


GALAKTYKA
II



Radziecka Fantastyka Naukowa

Galaktyka II

Wybór: Tadeusz Gosk, Sławomir Kędziński

Słowo wstępne

Przy komponowaniu pierwszego tomu niniejszej antologii starano się uwzględnić utwory, które w większości swej były typowe dla pierwszego okresu radzieckiej fantastyki powojennej i są przykładem popularnych tematów, rozwiązań literackich, tendencji ideologicznych wreszcie. Zestawienie tej, w pewnym sensie klasycznej już, literatury SF z twórczością, która powstała w latach siedemdziesiątych, pozwoli, mamy nadzieję, na przeprowadzenie przez czytelników paraleli i porównań: Co zmieniło się w treści i formie radzieckiej fantastyki? Jakie problemy pozostały aktualne, jakie odeszły w przeszłość, co pojawiło się na ich miejsce?

Należy tu od razu stwierdzić, że owo przejście, wymiana pokoleń, nie odbyły się w sposób skokowy. Gdy zapoznamy się uważnie z notami biograficznymi pisarzy zamykających tom pierwszy i otwierających drugi, możemy bez trudu zauważyć, że zachodzą wyraźne zbieżności i wieku, i stażu w fantastyce. Dane statystyczne nie są tu jednak najważniejsze, charakterystyczna jest raczej pewna wspólnota ich losów — poszukiwanie swojego stylu, tematyki, problemów, przechodzenie od literatury dość nieskomplikowanej, błażej i opartej w dużej mierze na przygodowo-fantastycznej anegdocie, do utworów o bogatszej warstwie intelektualnej, z rozbudowanymi podtekstami i uogólnieniami. Strugaccy i Bułyczow, Władimir Szczerbakow i Bilenkin wciąż przechodzą ciekawą ewolucję pisarską, wciąż wydają się solidaryzować z wyrażonym niedawno w *Uralskim Sliedopytie* przez Arkadija Strugackiego poglądem, że „nasze najlepsze utwory są jeszcze przed nami”.

Jednocześnie twórczość tego pokolenia fantastów stała się jakby drogowskazem dla generacji, która pojawiła się w fantastyce w latach siedemdziesiątych, przykładem, że gatunek ten jest nie tylko rozrywkowy, ale również i nośny intelektualnie, jest gatunkiem pozwalającym się wypowiadać często w sposób silniejszy, bardziej wyrazisty niż w literaturze „głównego nurtu”. Stąd też może i zainteresowanie fantastyką, jakie zaczęli przejawiać ci, którzy legitymowali się już dorobkiem w innych dziedzinach literatury i nie tylko literatury — Szukszyn, Jakubowski, Jarowoj, Aleksander Szczerbakow, Łapin.

Błędem byłoby jednak przypuszczać, że owa generacja lat siedemdziesiątych w równie intensywny sposób zaczęła przekształcać formalnie i treściowo swój umiłowany gatunek, jak stało się to na przykład w literaturach anglojęzycznych, czy chociażby w Polsce.

Radziecka SF, jak chyba zresztą cała sfera działalności artystycznej w ZSRR, w niewielkim tylko stopniu podlega wpływom rozmaitych mód, fal czy prądów. Jest to raczej kładzenie akcentu na to, co piszemy niż jak. I trzeba powiedzieć, że efekty są ciekawe. Pojawiają się utwory niezwykle pomysłowe, o inteligentnej, błyskotliwej kompozycji, ciekawie napisane, jak na przykład opowiadania Dymitra De-Spillera. Swoich kontynuatorów ma również „liryczna” fantastyka zbliżona do „na wpół prawdopodobnych historii” Szefnera, w czym wydaje się celować szczególnie Sybirak — Wiktor Kołupajew. W dalszym ciągu autorzy chętnie sięgają do wątków kosmicznych, wynalazków i temu podobnych atrybutów fantastyki technicystycznej, w której osią przewodnią był dawniej tryumf człowieka nad kosmosem, ziemską czy pozaziemską przyrodą. Pozornie wszystko pozostało jak dawniej, zmieniła się, bagatela, wymowa utworów. Właściwie nie spotykamy już

cielącego zachwyty nad możliwościami zmiany kierunku biegu rzek, osuszania morza, zbudowania tamy przez Cieśninę Beringa, czy coś w tym rodzaju. Coraz częściej natomiast autorzy zastanawiają się nad problemem współdziałania z przyrodą, implikacjami wynalazków, kosztami ekologicznymi czy społecznymi, wynikającymi na przykład z rozprzestrzeniania na Ziemi cudownych, baśniowych roślin, które dają człowiekowi wszystko, czego potrzebuje. Pojawia się więc coś w rodzaju „fantastyki moralnego (czy może ekologicznego) niepokoju”, która stawia pytania o zakres uprawnień człowieka, o stopień jego odpowiedzialności. I coraz częściej mottem do wielu radzieckich opowiadań mogłyby stać się słowa Lisa z „Małego Księcia” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego: „Jeżeli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebowali. (...) Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś”.

Czy jednak radziecka fantastyka lat siedemdziesiątych ogranicza się jedynie do modyfikacji wymowy tradycyjnych wątków? Na pewno nie i o tym również powinien zaświadczyć prezentowany państwu tom. Znajdziemy w nim przecież obok tradycyjnych utworów zarówno bardzo drapieżną społecznie fantastykę debiutanta Pieczenińskiego, jak i nie spotykaną do tej pory fantastykę typu baśniowego, w której postaci wywodzące się z bajek czy bylin zderzane są z realiami codzienności. Uzyskane w ten sposób przez autorów — Bilenkina, Szukszyna, Łapina — efekty są niewątpliwie godne uwagi, a refleksje, jakie się nasuwają, przypominają nieco myśli, te z lektury „guslarowskich” opowiadań Bułyczowa, odwołującego się w nich równie chętnie do motywów takich jak np. kosmici, cudowne wynalazki, jak i wywodzących się właśnie z fantastyki baśniowej.

Poszukiwania, choć w niewielkim zakresie, czynione są również w odniesieniu do warstwy stylistycznej utworów. Inne, bardziej adekwatne do tematu i nastroju opowiadań formy wypowiedzi starali się zastosować w swoich utworach Puchów w „Palindromie do antyświata” i Pieczeniński w „Metrze”.

I jeszcze jedna, chyba dość istotna sprawa. Gdy zapoznamy się z biografiami pisarzy, których utwory zamieszczone były w tomie GALAKTYKA I, bez trudu zauważymy, że poza Michajłowem, który stale mieszka i pracuje w Rydze, wszyscy pozostali związani byli z dwoma ośrodkami — Moskwą i Leningradem. Ta „rejonizacja” uległa wyraźnemu rozbiciu w połowie lat sześćdziesiątych, a następna dekada i lata obecne proces ten jeszcze bardziej nasiliły. W tomie drugim bardzo wyraźnie został zaakcentowany aktywny udział w radzieckiej fantastyce pisarzy z Syberii — Kołupajewa, Łapina, Jarowoja, Jakubowskiego.

Jak to często bywa z antologiami, GALAKTYKA w swej części prezentującej nową fantastykę w chwili obecnej ma już charakter nieco historyczny. Zaszły w niej dość istotne zmiany, pojawili się i zdobyli renomę nowi pisarze, kontynuowane są poszukiwania treściowe i formalne, formują się nowe, regionalne grupy pisarzy fantastów, często piszących w językach narodowych litewskim, łotewskim, ukraińskim, turkmeńskim i innych. Miejmy nadzieję, że wkrótce, może w następnym tomie GALAKTYKI, czytelnicy polscy będą mogli zapoznać się i z nimi.

Sławomir Kędziński

Władimir Szczerbakow
Szotłandskaja skazka

Bajka szkocka

W zamku Donvegan

Po nierównym murze zamku przesuwiała się rozmyta smuga cienia mostu zwodzonego. Holger widział, jak zagasła wieczorne światła po przeciwnej stronie fosy i, nakrywszy krzewy dzikiej róży, przypadła do nóg.

Zamek Donvegan zachował swój pierwotny wygląd: wyrwy po dawnych szturmach pieczołowicie załatano, jak niegdyś skrzypią koła opuszczające zwodzony most, który prowadzi na wewnętrzny dziedziniec. Nad wejściem, tak jak setki lat temu, pali się pochodnia, jej płomieniem kołysze wiatr.

Po kręconych schodach Holger dotarł do przestronnej sali, której nagie ściany zdobiły starodawne herby i głowy jeleni. W zagłębieniu na środku sali nierówno drżał w otwartym wiaderku żar, wysuwając w górę czerwone języki, a blade odblaski, trzepoczące się po podłodze, wydobywały z półmroku, zda się, nie martwą posadzkę, lecz lata i dziesięciolecia, zamknięte tutaj niczym konserwa w puszcze. Wokół szalały huragany i wojny, lała się woda i krew, a zamek gromadził w swoich podziemiach i basztach ślady zamierzchłych czasów.

Holger oddalił się od grupy turystów, z którą przyjechał ze Szwecji, i na kilka minut pozostał sam na sam z zastygłą przeszłością. Trudno było wyobrazić sobie ludzi, dla których domem były te ściany, korytarze i schody utkane z kamiennych żył, ciężkie i statyczne niczym z kadru niemego filmu albo ze starego anonimowego sztychu.

W południowej baszcie obejrzał broń pochodzącą z Brytanii i Skandynawii. Miecz wikingów podobny do ciężkiej, żelaznej pałki przywiódł na pamięć całą epokę, w której rośli, jasnowłosi wojownicy o wypukłych oczach przemierzali na łodziach niczym na morskich rumakach pół świata, od Morza Kaspijskiego po Amerykę, zostawiwszy tu, w Szkocji, nie tylko pamięć o sobie, ale i część siebie.

W ostatniej izdebce na górze z jednym jedynym oknem pokrywa kurzu i charakterystyczna, ledwie wyczuwalna woń starego kamienia były wyraźniejsze. Izdebka stała pusta, więc Holger spojrzał pytająco na przewodnika po zamku, który wszedł za nim.

— Szal wróżki. Miejskowa relikwia — odparł tamten na milczące pytanie.

Teraz dopiero Holger zauważył w kącie na małym stoliczku zwój ciemnozielonego koloru.

— Mogę opowiedzieć, jeśli ma pan życzenie, historię związaną z tym szalem: Wiele wieków temu naczelnik potężnego klanu, władający tym zamkiem, Malcolm, pojął za żonę wróżkę, którą napotkał na brzegu strumienia Cantelbury. Owego dnia było słonecznie, śpiewały ptaki, gwiazdki zawilców i białe dzwoneczki wyciągały się w górę, a liliowy dywan wrzosu na górskich stokach wydawał się przedłużeniem nieba.

W przezroczystym powietrzu zabrzmiało leciutkie dzwonięcie i Malcolm zobaczył amazonkę na siwym koniu. Wąską dróżką z wolna zbliżała się ku niemu. Dziwnie połyskiwał zielony jedwab jej sukni pod aksamitnym płaszczem, a włosy lśniły wszystkimi odcieniami płomienia. To spotkanie zdecydowało o losie obojga.

Szczęśliwa żyli sobie w zamku, aż razu pewnego żona wyznała Malcolmowi, że tęskni do

swoich. W dniu urodzin syna Malcolm sam odprowadził ją na brzeg strumienia, tam gdzie wielkie, popękane od upływu czasu głązy wyznaczały drogę do Krainy Wrózek.

Wieczorem na zamku wyprawiono ucztę — świętowano narodziny syna, przyszłego naczelnika klanu. Malcolm starał się przemóc smutek i brał udział w ogólnej zabawie. A w baszcie spał nowo narodzony syn. Młodziutka piastunka czuwająca u kołyski wsłuchiwała się w dźwięki kobz dolatujące z sali. W pewnej chwili tak gorąco zapragnęła znaleźć się tam choć przez chwilę i spróbować przysmaków, że nie oparła się pokusie. Szybko pobiegła krętymi korytarzami, zalanymi światłem księżyca, i niepostrzeżenie weszła do wielkiej sali.

Malcolm dojrzał ją i polecił przynieść dziecko, aby pokazać je gościom. Dziewczyna pośpieszyła do baszty. I oto wydało jej się, że spokój czymś został zakłócony. Rzeczywiście, pod jej nieobecność rozegrały się pewne wydarzenia:

Krzyk wielkiej sowy obudził chłopczyka, zapłakał, aż matce—wróżce ścisnęło się serce (nie ma w tym nic osobliwego, wróżki są w stanie usłyszeć nawet cicho wypowiedziane słowo z bliska iż daleka, niezależnie od tego, gdzie są). Wróżka pośpieszyła do syna, przykryta go zielonym szalem, a kiedy zasnął, zniknęła.

W chwilę później piastunka zobaczyła ten delikatny niczym wiosenna trawa szal, haftowany w niezwykły wzór — przypominał cętki na skrzydłach elfów. Szal był tak przedziwnie utkany, że nie musiała długo zgadywać, skąd się tu wziął. Ale dziewczyna nie darzyła wrózek wielkim zaufaniem. W końcu powszechnie wiadomo, że potrafią one podmienić dziecko. Tym razem jednak wszystko skończyło się szczęśliwie: może wróżka naprawdę kochała Malcolma albo współczuła mu odrobinę...

— Od tamtej pory w zamku Danvegan przechowywany jest dar wróżki — zakończył przewodnik swoją opowieść.

Holger podszedł do stolika i dotknął szala. Wyhaftowany był w cętki tworzące tajemniczy rysunek.

— Ona się tutaj zjawia — powiedział przewodnik.

— Co za ona? — nie zrozumiał Holger.

— Wróżka. Pewnego razu długo szukałem w domu fajki i w końcu doszedłem do wniosku, że musiałem zostawić ją w baszcie, więc wróciłem. Światło zapala się na niższym piętrze, ale zapomniałem włączyć, a potem nie chciało mi się schodzić na dół. Świecił księżyc. Szkatuła z szalem kryła się w cieniu. Przesunąłem ręką po stole, potem zawiesiłem szal na oknie i zacząłem szukać w skrzyni, a kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem w oknie niewiastę.

— Czytałem o wrózkach, ale nigdy w życiu ich nie spotkałem — powiedział Holger z całą powagą.

— Sądzę, że są takimi samymi ludźmi jak my, tylko o wiele więcej potrafią. Słyszałem, że całkiem niedawno gdzieś na północy mieszkała prawdziwa wróżka, zdaje się, w Iverness. A z wróżką z naszego zamku może jeszcze uda się kiedyś porozmawiać.

Holger miał lat dwadzieścia pięć i skłonny był uwierzyć.

— Może i mnie uda się ją zobaczyć? — zagadnął.

— No cóż... prawdę powiedziawszy, tej opowieści nikt nie przyjmuje na serio. Kogo zresztą może zadziwić coś takiego w naszych czasach? Ale niewykluczone, że jeśli któreś z najbliższych księżycowych nocy zapragnie pan sprawdzić, czy nie zapomniałem zamknąć drzwi baszty, przeżyje pan coś nieoczekiwanego.

Holger wsunął rękę do kieszeni, ale Anglik powstrzymał go. — Nie trzeba, sir. Pan mi uwierzył — i to wystarczy.

Margaret, Maggy, Mag

Z helikoptera Wyżyna Szkocka przypomina wzburzone morze — grzbiety i szczyty górskie wyglądają jak zastygła fala przybojowa. A wgłębienia między falami to nieprzeliczone wąskie doliny, Glen z olbrzymimi głazami, pozostawionymi przez lodowiec, ze zboczami porośniętymi wrzosem i błękitnymi taflami jezior. Nawet zwykłe brzozy wśród tego przepychu wyglądają inaczej, dokładnie jak na płótnach starych mistrzów.

Holger przyleciał tu w jednym tylko celu — zobaczyć to wszystko, i kiedy helikopter zniżył się i osiadł na ziemi, mógł, przysłoniwszy oczy, wyobrazić sobie Szkocję taką, jaką była owego słonecznego dnia.

Dwugodzinna podróż powietrzna zakończyła się w miasteczku podobnym do dziesiątków innych. Wśród domów z wypielęgnowanymi rabatkami pod oknami Holger w ciągu dwóch minut wypatrzył powszechnie znany szyld. Do baru wszedł za dziewczyną, która pozostawiła samochód po drugiej stronie ulicy, i dosiadł się do jej stolika.

Wszystko mu się w dziewczynie podobało: i krótkie kasztanowe włosy, i oczy, i uśmiech, ledwie dostrzegalny, ostrożny. Możliwe, że dzisiaj jest po prostu taki dzień, pomyślał, i wtem przyłapał się na tym, że przygląda się kołnierzykowi jej sukni — nawet ten okrągły kołnierzyczek był zadziwiająco ładny i sztywny.

Spotkanie z nią wypłynęło jako oczywistość, przesądzona już dawno, i gdyby nie doszło do skutku dzisiaj, jutro, pojutrze, Holger być może bezwiednie marzyłby z nadzieją o takim właśnie słonecznym dniu, w którym chce się razem patrzeć na promyk padający przez okno w siny przestwór powietrza.

Podobał jej się sposób, w jaki mówił po angielsku — przekręcając słowa, połykając głoski, kalecząc zdania. Holger powiedział, coś po szwedzku, a ona w niepojęty sposób uchwyciła sens. To ich oboje rozweseliło.

Ale czy długo można śmiać się bez obawy, że miejsce wesołości zajmie smutek?

*Kiedyś kochałem, roilem sny,
Uśmiech budziły słońca promienie,
Lecz jesień chłodne przyniosła mgły,
Gdy przyszła wczesna, niepostrzeżenie.*

— Dan Andersson — Holger uczynił przesadnie tragiczny gest. — Czytałem kiedyś...

— Dawno? — z ożywieniem zapytała dziewczyna.

— O, dawno. Jeszcze w szkole.

— Jeszcze w szkole... — powtórzyła z przekąsem — myślałam, że jest pan młodszy. Do twarzy panu z wierszami.

— My się jeszcze nie znamy...

— Margaret.

— Holger.

Dom jej stał niedaleko od miasta przy drodze biegnącej na zachód. Kiedy wysiedli z auta, pomyślał, że wieczór będzie z księżycem, i przyszedł mu na myśl zamek Danvegan.

Furtka się zamknęła, hałas dolatujący od szosy ucichł, przytłumiony szmerem twardej, wysokiej trawy rosnącej po brzegach dróżki, wysypanej okrągłymi ziarenkami żużlu. Czyste i jasne było tu powietrze, pachnące lasem po deszczu, i niebo nad głową wydawało się inne — przejrzystsze, głębsze.

Podeszli do domu. Jedna ze ścian była zasłonięta do połowy pomarańczowymi, zielonymi i niebieskawymi liśćmi wyrastającymi zgodnie z tych samych pędów.

Przed niskim gankiem stała wielka gliniana misa z delikatnym, zielonym szlaczkiem na obrzeżu, z góry spływała do niej strużka wody, spływała i wyciekała na ziemię w miejscu, w którym odprysnął wzorzysty brzeżek.

Szczerba wyglądała na zupełnie świeżą, aż Holger mimo woli poszukał wzrokiem odłamka. Wstępując na ganek zdążył zajrzeć do środka misy, ale nie zobaczył dna. Nie wiadomo skąd pojawiła się pewność, że na dnie odłamka też nie ma.

Niewytłumaczalnie lekko pod dotknięciem jej palców drzwi otworzyły się na oścież. Pokój wydawał się przedłużeniem ogrodu. Na różowawej, kamiennej ścianie kładły się pastelowymi barwami dokładnie te same liście w trzech kolorach. W rogu stała taka sama misa jak w ogrodzie i dokładnie tak samo brakowało kawałeczka polewy na krawędzi, po której biegł ornament.

Holger podszedł do misy i wyciągnął rękę, chcąc ułović biegnącą w dół strużkę, która nie zostawiała śladów.

— To lustro — uśmiechnęła się dziewczyna.

A on zrozumiał wtedy, że to istotnie lustro, tak wiernie odbijające realną wodę, że miało się pełne złudzenie głębi. Nawet jakby osiadły na dłoni niewidoczne kropelki, też oczywiście złudne.

— To pani pomysł? — zapytał.

— Cóż w tym nadzwyczajnego? W domu powinno być dobre lustro i od razu widać, gdzie jest dla niego najwłaściwsze miejsce. Prawdziwe lustro powinno pozostać niewidoczne, niezauważone.

W pokoju znajdowała się też biblioteka, stół, telewizor i lekkie foteliki, ale te prozaiczne sprzęty harmonizowały jednak z ledwo uchwytną atmosferą inności, niezwykłości.

Światło elektryczne nie zapaliło się, nie wybuchło matowymi plamami — po prostu pojaśniało powietrze wokół i sprawą niedocieczoną pozostało, skąd wzięła się ta jasność. Fotel przesunął się, posłuszny palcom, a pokój zdawał się zmieniać kształty, zupełnie jakby ktoś wypowiedział bezgłośnie zaklęcia. Obraz telewizyjny nie mieścił się w ciasnym prostokącie ekranu — linie zbiegały się już poza nim, obejmując jakby większą przestrzeń.

Książki... ich kartki pachniały jabłkami jak okna wychodzące na sad. I opowiadały o szmaragdowych łąkach, gdzie szemrały fale traw, o perłowych polach dojrzałego owsa, o grzybach leśnych, deszczach, które przynoszą w darze letnie burze, o zjawiskach tajemnych i niepowtarzalnie pięknych. I każda stronica była zwierciadłem dnia, który zapadł się w przeszłość, jednego dnia, który jak gdyby zawieruszył się w niepamięci, rozpląnął się w niej i znowu wypłynął z niebytu — gałązką wiosennej brzozy albo górskiej sosny, która wniknęła pod ciekłą okładkę wraz z zapachem jabłek.

— Lubi pan... o tym? — głos jej rozbrzmiał tuż obok, ale Holger odczytał pytanie raczej z ruchu warg.

— Tak. Pani ma piękne książki. Gdzie je pani zdobyła?

— Te książki są o rzeczach pięknych. Ale mam również inne. Proszę spojrzeć — ujęła długimi palcami tom w jaskrawozielonej okładce. Książka otworzyła się. Przed oczyma pojawiły się trafne, żółcią przepojone słowa: *Czy turystyka jest zjawiskiem ekologicznym tego samego rzędu, co*

trzęsienie ziemi, pożar lub powódź? Nie, jest to zjawisko o charakterze regularnym, chronicznym, a nie sporadycznym, jak klęski żywiołowe, i przypomina bardziej chorobę. Na przełęczach w Alpach parkingi pochłaniają łąki, na szlakach turystycznych w Anglii i RFN w zeszłym roku przejechano dziesiątki tysięcy zajęcy i saren.

— To nie o nas — powiedział Holger. — Ja nie mam samochodu. Pani ma, ale pani nie jest turystką. A poza tym te zajęce i sarny okupiły sobą życie wielu ludzi, których przejechałyby te właśnie samochody, gdyby znalazły się na innych drogach, takich, na których nie ma saren, ale za to są ludzie.

— Prawdziwym zbrodniarzem jest obojętność. Dosięga wszędzie i wszystkich nie przebierając. Znalazłam kiedyś na drodze zajęcia ze zmiażdżonymi łapami. Dopiero po miesiącu był w stanie kicać.

— Mieszka teraz tutaj?

— Nie. Poszedł do siebie w lasy. Czasem zagląda z wizytą po starej znajomości. Podoba się panu u nas?

— Tak. Dzisiaj widziałem Szkocję.

— Z helikoptera? — zapytała z leciutką ironią i dodała sucho: — Dzisiaj jest ciepło i słonecznie, ale nawet przy takiej pogodzie wielu rzeczy można nie dostrzec.

Holger napotkał jej surowe spojrzenie.

— Powinien pan zobaczyć galijskie spotkania — doradziła mu. — Szkocja to ziemia Gallów, Celtów. Gallowie... przecież to słowo wkrótce ostanie się jedynie w książkach, w bajkach. I wrzosowiska zginą. Życie będzie jedynie ziemia i kamienie. Co tu było niegdyś przed laty, kiedy nie istniała Princess Street i George Square, zamek w Edynburgu, i jeszcze przedtem? — jak gdyby zapytywała o coś niejasnego albo dumiała na głos, nie spodziewając się odpowiedzi.

Holger przypomniał sobie niebieskawoszary romb jeziora Loch Lomond, łagodną falistość ziemi z rzadkimi zagajnikami, kolejkę przed nocnym klubem w Glasgow, roztańczoną, rozkrzyczaną, miotającą się, długowłosych chłopaków i sympatyczne dziewczyny z butelkami whisky w torebkach. I jeszcze chmurne niebo nad Clyde, pajęcze łapy dźwigów, zgiełk milionowego miasta i przygarbione plecy ludzi po pracy. To była Szkocja, którą znał tak, jak można poznać z migawkowego zdjęcia, nie lepiej.

— Galijskie spotkania... Są to bodajże festiwale, na których śpiewa się starodawne pieśni i rozgrywa mecze galijskiego futbolu. Machina czasu. Jedyne sposoby, aby ujrzeć fragment przeszłości.

— Nie jedyny. Ale zostawmy Szkocję. Proszę powiedzieć, czym się pan zajmuje u siebie w kraju?

— Jestem elektrykiem, inżynierem elektrykiem. — Trochę mu było przykro, że odpowiedź na jej pytanie brzmiała tak prozaicznie.

— Ciekawe to jest? — zapytała poważnie.

— Nie bardzo — przyznał Holger — ale gdybym miał drugi raz wybierać, trudno byłoby mi wymyślić coś lepszego.

— Ja sądzę, że człowiek na dwa sposoby odkrywa prawdę — powiedziała nieoczekiwanie — najpierw poprzez sztukę, a potem poprzez naukę, technikę. Można wiele umieć, nie znając istoty. Umieć to ciekawsze niż wiedzieć.

Nie wiadomo czemu westchnęła.

— Ma pani słuszość — przytaknął Holger. — Złote szkatułki z Muzeum Irlandzkiego liczą dwa tysiące lat, a ślady spawania odnaleziono na nich dopiero ostatnio. Irlandzcy Celtowie opanowali metodę spawania metali na zimno, potrafili ją stosować, ale wyjaśnienie tego procesu znaleźli dopiero inżynierowie dwudziestego wieku.

Nie odpowiedziała i Holger speszył się. Bursztynowe światło miękko otulające przestrzeń komnaty odbijało się w jej oczach, gotowych do uśmiechu pobłażania, uśmiechu szczęścia, uśmiechu miłości. I rozszyfrowanie tego nie było wcale trudne, tymczasem oni dalej rozmawiali o książkach, o Cliffie Richardsie, o kinie — długo, tak długo, że niebo zdążyło zmienić dziesięć odcieni szarości, a na wschodzie i na zachodzie wychynęły gwiazdy.

Przeżywała krótka noc. Spostrzegł się naraz, że nie zna nazwy miasteczka. Helikopter trafił się przypadkowo, a jemu było wszystko jedno, dokąd leci.

— Inverness — wyjaśniła. — Przyleciałeś do Inverness.

— Inverness — powtórzył, jakby sobie coś przypominając. Później już po cichu powtórzył jej imię: Margaret, Maggy, Mag.

Nie ma nic prawdziwszego niż legendy

Przyczyna, która skłoniła Holgera, aby wrócić do zamku Danvegan, była zupełnie zwyczajna, otóż ciągnęło go i łagodnie świecące wysokie niebo, któremu towarzyszył niezmiennie cudowny aromat ziół, i letnie gwiazdy, ogromne niczym pod szkłem powiększającym, i kosmaty, otulony strzępiastymi obłoczkami księżyc, który to przebijał się na gwiazdne przestworza, to blaknął.

Najlepsze dni należą zawsze do przeszłości, ale mając dwadzieścia pięć lat nie dostrzega się tego. Szczególnie kiedy przyszedł czas urlopu, a ciepły wiatr po siedmiodniowych staraniach przegnał znad Wyżyny Szkockiej deszcze, na morzu rozświetlił białą pianę i połączył góry i wodę z niebem prostymi jak most promieniami.

Kiedy gaśły niebieskawe kłosa traw i na ramiona nasuwała się noc, drogi stawały się dłuższe, bardziej zadumane. Można było błąkać się, dopóki nie nadejdzie czas pierwszej gwiazdy i nie zakwili niewidoczny poranny ptak. Jedna z nocnych dróg przywiodła Holgera pod zamek.

Naturalnie historia o wróżce, którą opowiedział przewodnik, wydawała się zupełnie nieprawdopodobna. Ale była wówczas w jego twarzy i głosie jakaś spokojna niewzruszoność, znużenie lepiej niż słowa mówiące o rozmyślaniach, o niedowierzaniu i równocześnie o niemożliwości wykreślenia, puszczenia w niepamięć widoku jak ze snu lub z bajki.

Stary zamek przyciągał cienie niczym gigantyczny magnes. Holger kierował się ku południowej baszcie. Zlały się, rozplynęły punkty orientacyjne — fosa, znajome załomy murów. Zza koron stuletnich drzew wyzierał księżyc niczym cienka wążka świeczka. Holger zgubił wygodną drogę, a brnąć na przełaj było teraz coraz trudniej. Wzdłuż muru chwytnymi szeregami wyrastały krzaki dzikiej róży niczym jeże z przyszpilonymi do obłych grzbietów liśćmi.

Trzeba by wzlecieć, unosząc się nad ziemią, i po dotarciu do muru przefrunąć górą, a najlepiej od razu wpaść w okno jak ćma albo jak wróżka.

Gdy Holger wreszcie otworzył drzwi, pomyślał sobie, że łatwiej byłoby dokonać włamania niż dotrzeć do południowej baszty zwykłym sposobem. Strażnik nie zwodził: drzwi rzeczywiście można było otworzyć. Na wszelki wypadek Holger przymknął je za sobą i odetchnął.

W tym momencie przemknęła jakaś nieuchwytna myśl z miejsca absorbując jego uwagę, poczuł napięcie mięśni, usłyszał własne ostrożne kroki, złowił rytm serca.

Schody prowadziły stromo w górę. Wydawało się, że odgłosy cichły niczym w labiryncie rozsypując się w kaskadzie stopni. Na progu komnaty zwlekał chwilę, jak gdyby usiłował wedrzeć się w tajemnicę, samemu pozostając niewidocznym. Potem wszedł: pokój był pusty. Tutaj na wysokości południowej baszty księżyc płynął ponad koronami, niczym ogromna zimna ryba, i ściany komnaty jaśniały jak w dzień. Od okna ku niebu przedła się pozbawiona ciężaru ścieżka.

Holger czekał. Ale nic się nie zmieniało i czas oderwany od zdarzeń płynął to szybko, to znów powoli. Holger podszedł do stolika i z namaszczeniem dotknął lekkiego zawiniątka. Panuje pogląd, że wróżki są bardzo małego wzrostu, tymczasem szal nadawałby się dla normalnego człowieka. W każdym razie kiedy Holger go rozwinął i uniósł za rogi, tkanina z miękkim szelestem opadła do ziemi.

Wtem pochwycił ledwie dostrzegalny ruch. W chwilę później za szalem zobaczył kobietę. Ręce

same zastygły w powietrzu. Z wolna unosząc głowę czuł, jak od skroni do rąk biegnie wartka, ciepła fala. Zwyczajne niczym kwiaty i trawa linie jej twarzy, szyi, rąk czyniły ją podobną zapewne do wszystkich pięknych kobiet. Lecz w następnej chwili ujawniła się ledwo uchwytna odmienność, być może w szeroko rozstawionych oczach albo krótko ostrzyżonych włosach, które lśniły jakimś własnym światłem, a mimo to ocieniały twarz, ujawniło się to, co później kazało Holgerowi wciąż na nowo powracać myślą do tego spotkania.

Lekki smutek był w jej spojrzeniu, głębokie zrozumienie wszystkiego i cień minionego szczęścia, cień radości i trosk. Być może każdy dzień życia zatlił się w jej oczach własną, niepodobną do innych iskrą.

Była jeszcze nieomal dziewczynką i starała się ukryć lekki smutek czy też rozczarowanie — to Holger zrozumiał o wiele później, kiedy wciąż i wciąż usiłował przywołać na pamięć ulotny czar.

Minęło chyba tylko kilka sekund. Holger trzymał szal za rogi, zastygły, nie bacząc na niewygodną pozycję. Gdy opuszczał półprzeźroczystą tkaninę, spostrzegł, jak wróżka nachyliła się prędko, z lekkim machnięciem ręki, klasnęła długimi palcami i znikła, roztopiła się w księżycowej poświacie.

Holger podszedł do stolika, i gdy chował leżący się jedwab, nagle drgnął i obrócił się, ale w komnacie było pusto. Tylko w lustrze na ścianie zatrzepotał księżyc jak zimna ryba.

Zegar odliczał czwartą godzinę nocy. Oznaczało to, że na zamku spędził bez mała trzy godziny. Na pewno bohaterowie szkockich bajek — goście wróżek — tak samo nie zauważali upływu czasu.

Do hotelu wrócił przed świtem i obudził się tak późno, że mógł iść prosto na obiad. Miniona noc napływała niczym niejasny sen. Kiedy ubierał się leniwie, wyraźnie przypominało mu się niewielkie kółeczko na rogu szala — szczegół odcinający się od całości wymyślnego rysunku elfów. Odnaleźć jakiś przewodni rytm w dziwacznym wzorze, skomponowanym z cętek i cienkich kreseczek, nie było rzeczą łatwą. A kółeczko przypominało tarczę strzelecką — koncentryczne paski zajmowały całą powierzchnię: ciemne, potem jasne pole, i znowu prawie czarny krążek. Skrajne kręgi były całkiem wąskie, tak że nie udało mu się ich zliczyć.

Holger był prawie pewien, że gdzieś już widział takie kółeczka, i teraz podczas mycia dręczyło go pytanie, gdzie i kiedy na nie się natknął. W końcu doznał uczucia, jakie nachodzi człowieka, któremu odpowiedź już tłucze się po głowie, niczym znajome nazwisko wynurzające się z niepamięci, kiedy ktoś podpowie pierwszą literę. Przestał przesuwac ręką po szyi, tylko po prostu tak podstawił głowę, żeby leciał na nią silny, chłodny strumień, a kiedy wszystko wokół jakby wypełniła lekka świeża mgła i skóra zaczęła przyjemnie szczytać, zakręcił kran. Potem wolno wyciągnął rękę po ręcznik. W tej chwili zjawiała się odpowiedź.

Niedawno przeglądał książkę z holografii. Prążkowany krążek był soczewką Fresnela — hologramem jednej jedynej kropki. Wystarczy oświetlić taką siatkę, by pojawił się punkt, małeńka cegiełka obrazu przestrzennego. A więc taki jest szal wróżek, dumal Holger, i naraz wyraźnie stanęła mu przed oczami kobieta z zamku w krótkim płaszczu. Tak, była ona jak najbardziej żywa, tylko na podłodze nie zauważył jej cienia.

Holger narysował przypuszczalny schemat biegu promieni. Stare lustro na ścianie odbijało padające przez okno światło księżyca na hologram — portret. Cętki elfów — te kunsztownie wyhaftowane linie, kreski, kropki — były właśnie falową kopią oryginału. Przy oświetleniu powstawał obraz przestrzenny. Wróżki umiały haftować hologramy, jak obrusy czy suknie.

Zawsze uważał, że legendy nie mogą być tworem czystej fantazji. Rudowłosi Celtowie to plemię o największej wyobraźni na całej planecie — tym razem opowiedzieli o rzeczywistych swoich sąsiadach, wróżkach i elfach, które przypominały w jakimś sensie ich samych.

Pewnie nikt nie znajdzie odpowiedzi na pytanie, czy elfy były spokrewnione z Celtami. I kim one

w ogóle były?

Legendy obdarzają ich dziwnym i niespokojnym charakterem, zdolnością widzenia i słyszenia na takie odległości, że zdolność ta wydaje się zupełnie nieprześcigniona. Wyczuwa się, że ci, którzy o nich opowiadali, nie potrafili ich w pełni zrozumieć. Jak zwykle w takich razach, przeoczenia i uzupełnienia tak zaciemniły całą historię, że gdy ustne opowieści spisano, powstało jak gdyby krzywe zwierciadło, w którym trudno rozpoznać prawdziwą twarz.

Holger spróbował wyobrazić sobie, jak to mogło być: wąskie palce, srebrzyste nici, migocące jak struny nad zwiewnym jedwabiem i niemal niesłyszalna melodia — i wydało mu się: tak, tak właśnie było. Odgadł również znaczenie kółeczka, którego obraz falowy znajdował się w rogu hologramu. Była to rzeczywiście po prostu kropka. Kropka za podpisem mistrza, który był autorem portretu.

Przyszło mu do głowy, żeby poszukać jakiejś książki o wrózkach. Niech to będą stare legendy. Wśród nich na pewno znajdzie się i ta, którą słyszał na zamku. Kto wie, może przewodnik coś opuścił albo przeciwnie, coś dodał. W każdym przypadku legenda warta jest tego, żeby się z nią zaznajomić.

W małym sklepieniu kupujących było tylko dwóch — Holger i siwy staruszek w binoklach na zastrzonym nosie — wśród innych rzadkich druków znalazło się również wystrzępione, liczące sobie dwadzieścia lat wydanie bajek o wrózkach.

— To jedyna książka z tej serii — zauważyła wysoka puciołowata sprzedawczyni w bardzo krótkiej sukience, przypominającej złożone skrzydła anioła. — Ale wiele osób woli bardziej współczesne: „Noc lalek” i „Powrót Frankensteina” na motywach starego filmu, z kolorowymi ilustracjami. Więc którą?

Nie doczekawszy się odpowiedzi odwróciła się na pięcie i znacząco wzruszyła ramionami.

Holger przerzucał książkę, ale okazało się, że nie tak łatwo było znaleźć to, czego szukał. Tytuły niewiele mu mówiły.

— Legendy? — wtrącił się staruszek w binoklach. — Lubi pan legendy?

— Szukam takiej jednej historii... O szalu wrózek.

— Doskonale! — Kartki w jego rękach turkotały z błyskawiczną szybkością. — Proszę. — Tu podsunął Holgerowi otworzoną książkę: — „Chorągiew wrózek w Danveganie”. Właśnie to, czego pan potrzebował.

Staruszek zgarnął ze stołu gazety, które do tej pory studiował w skupieniu, i dorzucił życzliwie na pożegnanie: — Nie ma nic prawdziwszego niż legendy, młodzieńcze.

Treść pierwszej części legendy zgadzała się z tym, co opowiadał przewodnik w zamku. W drugiej części mówiło się o tym, jak ważną rolę odegrał szal wrózek w życiu klanu Mac Loudów, do którego należał Malcolm.

Kiedy młodziutka piastunka, posłuszna rozkazowi Malcolma, wniosła dziecko na salę, w której ucztowano, rozległ się śpiew wrózek. Pieśń zawierała przepowiednię: szal, który, jak się okazało, był sztandarem wrózek, wybawi klan w latach nieszczęść. Jednakże rozwijać go wolno wyłącznie w ciężkich chwilach, nigdy z błahego powodu. W przeciwnym razie na klan spadną klęski: umrze następca, klan straci skalisty łańcuch górski, dziedzictwo panów zamku, i w końcu w rodzie naczelnika nie pozostanie nawet tylu mężczyzn wioślarzy, żeby przepłynąć zalew Loch Danvegan.

Chorągiew wrózek pieczołowicie przechowywano w kutej szkatule. I ani sam Malcolm, ani jego syn, ani ich najbliżsi następcy nigdy nie odwoływali się do jego pomocy.

Dopiero po wielu dziesięcioleciach chorągiew rozwinięto po raz pierwszy. Zdarzyło się to,

kiedy Mac Donaldowie wystąpili przeciwko Mac Loudom. W samym gęszczy bitwy załopotala w górze zielona chorągiew i Mac Donaldom zdawało się, że przeciwnik otrzymał posiłki. Przerazili się i rzucili do uciezki.

Później chorągiew uratowała od pomoru bydło Mac Loudów. I wszyscy raz jeszcze uwierzyli w jej moc.

Lecz oto z górą sto lat temu niejaki Bucanen, który wstąpił na służbę do jednego z Mac Loudów, postanowił wyzwolić ludzi z zabobonu. Włamał się do szkatuły, wywlókl chorągiew i pomachał nią w powietrzu na oczach zebranych. I spełniły się jedna po drugiej wszystkie przepowiednie wrózek: bezpośredni następca naczelnika rodu zginął podczas wybuchu na okręcie wojennym „Charlotte”, skały Trzy Dziewice przeszły we władanie Campbella z Isnea, a sława klanu wkrótce przygasła i w rodzinie naczelnika nie udało się zebrać choćby tylu wioślarzy, żeby przepłynąć morski zalew.

Oto co przekazała legenda o zielonym jedwabiu z wizerunkiem wrózki, być może samej królowej wrózek, którą pojął za żonę naczelnik klanu. Nie wszystko dawało się wytłumaczyć. Możliwe, że nieco inaczej, klarowniej było to opisane w pierwotnym tekście, który nie dochował się do naszych czasów. Być może ci, którzy później rozpościerali sztandar bez ważnych powodów, byli po prostu bezmyślnymi, nierozumnymi ludźmi i bez wątpienia zasługiwali na lżejszą karę. Ja też rozwinąłem chorągiew, nieoczekiwanie pomyślał Holger.

Interludium w hotelu

Po powrocie do hotelu Holger wstąpił do restauracji na obiad. Tutaj spotkał Eryka Ernfasta, z którym razem leciał ze Sztokholmu. Na sali prawie nie było gości, jak zawsze o tej porze. Turyści, zatrzymujący się w hotelu, wpadali tutaj zwykle godzinę, dwie wcześniej i zasiadali do stołów w dużych, hałaśliwych grupach. Później sala pustoszała. Ernfast zapraszająco pomachał ręką.

— Gdzie się podziewałeś? Siadajżeż i opowiadaj.

Łatwo było zgadnąć, że czuł się tutaj jak u siebie w domu. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Ernfast wychylił pół szklanki jakiejś mikstury i zamówił następną kolejkę.

Miejsce było istotnie przytulne. Wielkie okna wychodziły na cichą ulicę z szarymi jak ziemia domami, które okalały przystrzyżone krzewy i klomby. Z paszczy marmurowego lwa przy wejściu do hotelu buńczucznie wystawał pęk gałązek. W starej witrynie naprzeciw pyszniła się reklama: *Palcie papierosy King*.

Holger wdał się w rozmowę. Czuł się jak odkrywca nowych ziem. Zupełnie nieoczekiwanie, łatwo i z niemiłą dla siebie samą otwartością, opowiedział Ernfastowi o wypadzie do Inverness, o Maggie (tak ją właśnie nazywał w rozmowie — Maggie). Później tonem sztucznie żartobliwym zaczął mówić o wróżkach, o starym zamku, świadom tego, że inne podejście byłoby teraz nie na miejscu.

— Nic nie rozumiem — oponował Ernfast — nie lubię bajek. Zresztą po co ci wróżka, skoro poznałeś taką dziewczynę?

— Istnieje tutaj jakiś związek... jakaś zagadka.

— Zagadka... to niedobrze. Zagadek nie powinno być.

— Nie powinno — machinalnie powtórzył Holger obserwując, jak Ernfast napełnia szklanki.

Naraz jasno stanęła mu przed oczami Margaret nabierająca dzbanem wodę z misy, ale nie z tamtej, która stała na ganku. Nie wychodziła z pokoju, tylko zbliżyła się do lustra, w którym odbijała się misa, nachyliła dzban — i dzban zanurzył się w wodzie. Rozeszły się kręgi, z dzbana spadły przezroczyste krople. Wtedy nie zwrócił na to uwagi, bo wszystko odbyło się tak naturalnie, wręcz niezauważalnie, jak gdyby lustrzane odbicie było istotnie realną misą.

Teraz jednak, próbując uwolnić się od iluzji, Holger po raz enty przenosił się w ten wieczór i słyszał jej lekkie kroki, wyraźnie aż do zawrotu głowy. Ale nie: dzban znów przechylał się w lustro, znowu podzwaniała w uszach i rozpryskiwała na krople spływająca z niego struzka, znowu Margaret odsuwała z policzka kasztanowe włosy... Czarnoksiężstwo.

Dziwna, nedorzeczna w gruncie rzeczy myśl zawładnęła nim z całą siłą. Zapewne był to wpływ nocy spędzonej w zamku. Bo czyż inaczej przyszłoby mu do głowy, że wróżki mogą żyć obok, teraz, wśród ludzi? Może zostało ich niewiele, ale na tej ziemi żyły przecież od zawsze.

Już tysiąc lat temu wiedziały i umiały więcej niż powinni umieć inni. Zdolność odgadywania, całkiem niezwykły dar postrzegania prawdy, dzięki któremu nie musiały pełzać ku niej na ślepo, wymacując załomy pustych paradoksów, powinny stopniowo odgradzić je od reszty świata.

Dawno, dawno temu bez trudu można było odejść, zagubić się na nieskończonych przestrzeniach

zieleniącej się ziemi, ale kilkaset lat później znikły gaje i bursztynowe plaże, ciężkie mosty przepasały zmętniało rzeki. Słońce dalej świeciło tak samo hojnie jak niegdyś, ale życie stało się inne; jedyne co trzeba było zrobić, to pragnąć odgrodzić się od wścibskiej ciekawości, od drobnych, ale nie kończących się zakusów na wszystko, co drogie sercu, to upodobnić się dostatecznie do innych, nie wyróżniać się niczym. Ale na pewno trudno się z tym oswoić.

— Nie ma co się smęcić — głos Ernfasta przerwał jego zadumę. — Co się z tobą właściwie dzieje?

Holger milczał. Niepojęty niepokój, jakiś niewytłumaczalny lęk doprowadził w końcu do postawienia pytania: Dlaczego ja tutaj siedzę? I dlaczego rozmawiam o rzeczach niemożliwych, niepowtarzalnych, z tym pijanym durniem? Ale dlaczego miałbym tego nie robić? A dlatego, że te chciwe, próżniacze ręce wyciągną się ku tajemnicy, w stronę kruchego nieznanego, nie teraz może, nie od razu, żeby zburzyć, zgnieść, rozbić ją — choćby z ciekawości, z samej chęci uprzedzenia w tym innych.

— Napijmy się! — zakomenderował Ernfast. — W końcu jesteśmy przecież w Szkocji.

— Nie. Wystarczy.

— Nie chcesz się ze mną napić? Przez jakąś tam Szkotkę — cienkie wargi Ernfasta ułożyły się w sarkastyczny półuśmiech — po prawdzie to obecnie do dobrego tonu należy ignorowanie zasad dobrego tonu.

— Dostyc! — Holger wstał.

— A ja mówię, napijemy się! — Ernfast ryknął nagle na całą salę, rozłożywszy na stole ręce jak macki.

— Oszalałeś — cicho, ale dobitnie powiedział Holger. — Idziemy stąd.

— Nie, zostanemy. Dopóki stąd nie wyjedziemy, zostaniemy tutaj, jasne?

Ernfast złapał go za rękę i zachwiał się razem z krzesłem. Wyswobodziwszy łokieć, Holger szybko skierował się ku wyjściu, zupełnie tak jakby sobie uzmysłowił, że należy bezzwłocznie, natychmiast dogonić coś, co mu się wymykało.

Słoneczna droga

Helikopter był już gotowy do startu, ale on wymachiwał rękami i łapiąc oddech wołał w biegu, żeby jego też zabrali. Ktoś podał mu rękę, pomógł wsiąść. Usiadł w fotelu i w milczeniu obserwował, jak lśnią słoneczne lustra okien w domach farmerów i gęstnieje powietrze w dolinach. Ale daleka ziemia uciekająca w dole wydawała mu się tylko nierealną plamą światła. Potem świadomość zarejestrowała nierówny romb jeziora, w połowie przesłonięty cieniem i wydłużony w stronę Inverness. W tym samym kierunku przносиły się milczące szeregi obłoczków dymu.

Helikopter zniżał się wolno, aż w pewnym momencie zawisł w powietrzu jak wielka czerwona wałka. Holger łapczywie przypadł do szyby, usiłując wypatrzeć drogę do jej domu. Tam gdzie spoglądał, stała nad horyzontem wydłużona chmurka, a po niej spuszczało się na ziemię słońce. Otóż i ona, zachodnia droga, pomyślał.

Jak tylko helikopter dotknął asfaltu lotniska, powróciło poczucie realności ziemi. Cienie zrobiły się wielkie i niezdarne. Schodził po schodkach, a powietrze wychodzące mu naprzeciw napełniało płuca.

Holger ruszył przed siebie szybko, nie oglądając się, jak gdyby bywał tu setki razy. Zastłoniwszy oczy można było widzieć słońce — punkt orientacyjny, lekko przyprószone szarym popiołem chmur. Wąska chmura—lodowiec usunęła się na bok, coraz rzadziej wylatywały z niej purpurowe promienie.

Daleko przed nim pojawiło się znajome domostwo, więc podążył ku niemu, przeczesując palcami włosy. Znowu zobaczyć Margaret — zaraz, za kilka minut... Ale cóż on to takiego dzisiaj wydumał? Z lekkim uśmiechem przypomniał sobie wykoncypowaną przez siebie samego historię. Tak, to niezwykła dziewczyna. Ale nic poza tym.

Nie ma co, gdyby wróżki istniały w naszych czasach, wyszywanie hologramów byłoby dla nich staroświecką babciną rozrywką, pewnie wielu nowych rzeczy by się nauczyły. Setki lat... Nawet w krótszym odcinku czasu wszystko wokół zmienia się nie do poznania.

Ale napełnienie dzbana wodą przez samo dotknięcie lustra należało tłumaczyć inaczej. Zwykłym kuglarstwem albo tym, że nie wszystko zdążył zauważyć, co w sumie prawie na jedno wychodziło. Kto wie, może kiedyś fizycy istotnie odkryją sposób przelewania wody za pomocą promieni świetlnych. Powietrze, wodę, najpierw pojedyncze atomy, no, a później — można będzie po brzegi napełniać retorty albo szklanki, posługując się podczas pokazu lustrem ustawionym gdzieś na sali, wobec obojętnych na cuda nauki studentów? Ale to kiedyś, w przyszłości, jeśli w ogóle.

Właściwie logiczne byłoby założenie, że wróżki nie znikły całkowicie. Ale teraz przecież chodzi o Margaret. Czy można uwierzyć? Gdyby tak było, mogła bez trudu podsłuchać, co wygadywał do Ernfa. Na wspomnienie Ernfa Holger uczył wstyd. Pewnie, że takie fantazje muszą budzić zdziwienie, że w ogóle mogły komuś przyjść do głowy. Ale opowiadać o Margaret... Nic nie dawało mu prawa do takiego postępowania graniczącego ze zdradą. Z lękiem Holger roztrząsał szczegóły rozmowy w hotelu. Przecież ten Ernfast mógł stawić się w Inverness z watahą takich samych jak on młodzieńców każdego pięknego dnia.

O takich to sprawach dumał Holger podchodząc zalaną zachodzącym słońcem drogą do znajomego domu. Trudno jednak przewidzieć wszystkie następstwa swego postępowania, dlatego też inna myśl, kojąca, nawet radosna zadźwięczała w jego duszy mocnym akordem. Myśl ta była dalszym ciągiem czegoś niewiarogodnego, niemożliwego, była to myśl—marzenie, wywołująca to lekki uśmiech, to przyływ ciepła do skroni i rąk, miała, żeby zawierzyć potędze pragnienia, kiedy lekkie, ale wyraźne dotknięcie działa jak niewidoczny huragan, a spojrzenie momentalnie przenika istotę duszy rzeczy. Czyż nie jest możliwe, żeby mogła odżyć drobina tajemnicy, która niegdyś była udziałem wielu?

Im był bliżej, tym bardziej stawało się oczywiste, że tam przed nim, w miejscu, z którego nie spuszczał oczu, zaszły zmiany. Zgasł najniższy słoneczny promień, tak jakby struna zaczęła o wierzchołek drzewa i pękła. I od razu spłynął chłodek z nieba, i pojawiło się trwożne uczucie, zwiastujące nieszczęście. Choć wypatrywał oczy, spojrzenie nie mogło odnaleźć niczego znajomego, niczego, co by przypominało jej dom.

Zimną, żółtą wstęgą wybiegała droga naprzeciw zachodzącego słońca. Furtka była uchylona, ścieżka prowadziła na zmurszały ganek. Dwa, trzy zakurzone krzewy sterczały spod zardzewiałego żelaznego złomu. Obok wały się pogięte kanistry i połamane drewniane skrzynki. Spoza tych skrzynek wyłonił się wielki, wychudzony pies i leniwie ziewnął ukazując wilgotne kły.

Holger obszedł dom dwukrotnie, usiłując połapać się, co tutaj zaszło. Zmyliłem drogę... Albo ona rzeczywiście wszystko słyszała? Było cicho i nikt go nie zawołał.

Nie wiadomo skąd wyskoczył zając. Wyglądało to tak, jakby spostrzegł jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo, ale nie miał siły, żeby natychmiast uciec jak najdalej. Holger podszedł do niego całkiem blisko i wtedy zając, wyraźnie kulejąc, wziął nogi za pas. Holger patrzył w ślad za nim, dopóki nie znikł z oczu. On miał tu przykicać nieco wcześniej... albo później, pomyślał.

Wieczne światło podpaliło wieczorne krzaki i czarne, puste okna nierównymi językami zachodzących ogni. Holger nachylił się: pod nogami leżał jakiś przedmiot, który zwrócił jego uwagę. Była to gliniana skorupka, Holger rozpoznał ją. Na pociemniałej polewie zachował się jeszcze zielony ornament. Skorupka kruszyła się w rękach, co wskazywało, że została odłupana od misy bardzo dawno temu. Może zresztą tylko tak to wyglądało. Holger pozbierał z ziemi okruchy i wolno poszedł z powrotem. Tylko raz, gdy wspiął się na pagórek, obejrzał się, jakby kierowała nim jakaś nadzieja. Ale wszystko trwało na swoim miejscu.

Przełożyła Monika Dutkowska

Dymitr Bilenkin

Dień, kogda pojavilsia żiraf

Dzień, w którym zjawiała się żyrafa

Drzwiczki opadły w dół i różowe oczko pieca oporowego spojrzało na laboratorium. Cząsteczki kurzu wpadały do środka, osiadały na rozzarzonych ściankach i krzesaly z nich iskry.

Walentyn chwycił szczypcami porcelanowy tygielek, ostrożnie wsunął go do piecyka i umieścił w podstawce. Śnieżna biel kłaczek wypełniających naczynko wydawała się czymś nienaturalnym pośród jaskrawego blasku rozgrzanego wnętrza komory.

— Ciągłe się bawisz w kucharza?

Wala się odwrócił. Sergiusz, zadbany i elegancki w swoich doskonale wyczyszczonych bucikach i nienagannie zawiązanym krawacie, stał za jego plecami i lekko kołysał się na palcach. Wala mimo woli rzucił okiem na swój fartuch — poprzepalany, z oderwanym guzikiem, sterany w bojach laboratoryjny kitel młodego chemika. I zapragnął, aby Sergiusz jak najprędzej się wyniósł. O ile to możliwe, zanim przyjdzie Swietka.

Mruknął coś pod nosem.

— Potężna aparatura — tym samym ironicznym tonem powiedział Sergiusz gładząc bok piecyka. — Nowoczesna konstrukcja z metalu, szamotowych cegieł i pogrzebacza.

Wala pośpiesznie szczerknął drzwiczkami. Różowe oczko zgasło.

— Właśnie otrzymaliśmy nowy związek, jeśli cię to interesuje.

— Taaak?

Wala zbyt późno się zorientował, że nie warto było o tym wspominać. Sergiusz wyprowadzał go z równowagi swoim stylem bycia, niedbałą pewnością siebie, która w połączeniu z czarującym uśmiechem tworzyła całość tak nieodpartą, że każda próba przywołania złośliwca do porządku wyglądała śmiesznie i nie na miejscu. Wala zdawał sobie z tego sprawę i małodusznie pasował przed tym naporem ironii i samozachwyty od czasu, kiedy Sergiusz przyłapał go na korytarzu i czule zaśpiewał do ucha: *Chemicy to zera, fizycy — pantery*, a w odpowiedzi na wściekłą replikę Wali uniósł tylko w zdumieniu brwi, jakby mówiąc: biedaczysko nie zna się na żartach! Wszyscy świadkowie tego zajścia ryknęli ze śmiechu. Tak, to prawda, że nigdy nie dowiedzie swojej racji ten, kto traci panowanie nad sobą.

— Geniusz! Boyle–Mariott!

Sergiusz chwycił Walę za rękę i wylewnie ją uściśnął. Potem poprawił strzałkę krawata i zmrużonymi oczami rozejrzał się po laboratorium. Co prawda, to prawda. Widok nie był imponujący. Pociemniałe szkło węzownic, kieszki gumowych rurek, mętna ciecz bulgocąca pod wyciągiem, a na stołach chaos i nie wytarte kałuże rozlanych odczynników. No, Swietłanko — obiecał w duchu Wala — dostanie ci się za te brudy!

— To znaczy, stworzyliście nową substancję — powiedział nieśmiało Sergiusz. — Wy, chemicy, jesteście płodni jak króliki. Ludzie mówią, że jeśli teraz dyplomant nie przedstawi komisji egzaminacyjnej jakiegoś nowego związku, to nie traktują go jak człowieka. Prawda to czy głupia gadanina?

— Głupia gadanina.

— Tak też przypuszczałem. A jakież to wybitne wartości niesie wasze odkrycie? — To nie jest odkrycie.

— Nie udawaj skromnisią. Znam takie ciche wody. Siedzi sobie taki, smaży coś cuchnącego, a potem trzask, prask, sensacja w gazetach! Młody, utalentowany uczony Walentyn Moroz otrzymał nowy preparat, którego maleńka drobinka wystarcza do wytrucia wszystkich pluskiew w promieniu stu kilometrów!

Wala aż się skręcił.

— Mógłby kto pomyśleć, że ty sam dokonałeś jakiegoś epokowego wynalazku.

Sergiusz przestał się uśmiechać. Eleganckim ruchem strącił ze stołu strzępy mokrej bibuły filtracyjnej, odsunął palnik gazowy i usiadł założywszy nogę na nogę.

— Nie, mój stary, niczego na razie nie dokonałem. Ni-cze-go!

— Miło słyszeć samokrytykę.

— Ech, Wala, Wala, ja to mówię poważnie. Nie znudziło ci się jeszcze takie życie? Grzebiesz się w tym wszystkim niczym kret, pewnie i ty kiedyś chciałeś być orłem. To zupełnie tak samo, jak baśniowy głupi Jasio, który leżał sobie na piecu (może być elektryczny) i nagle ujrzał cudo cudowne, dziwo przedziwne...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic szczególnego. Po prostu dławi mnie szara rzeczywistość, więc chciałem przed kimś duszę otworzyć.

— No i jak, pomogło?

— Czy przed tobą można się uzalić? Ty jesteś pracowita pszczołka. Zagrzebałeś się w mokrej bibule i bzykasz. A gdy ktoś zechce cię spod tej bibuły wyciągnąć, od razu użądliś. Wiesz, kto ty jesteś? Szttywniak! Typowy szttywniak!

— Daj ty mi święty spokój!

— Proszę, obraziłeś się! Charakterystyczny objaw wapniactwa. Ty już się nie spodziewasz cudu cudownego, dziwa przedziwnego, prawda?

Wala nie od razu znalazł odpowiedź. Powiedzieć coś serio — wyśmieje. Odwzajemnić się takimi samymi bredniami — będzie jeszcze gorzej: uda taką powagę i rzeczowość, że człowiek sam sobie wyda się kompletnym zerem.

— Wiesz co, Sergiusz? Najwidoczniej nie masz nic do roboty.

— Święta prawda! Właśnie urządzamy się w nowym lokalu. Bezpośrednio nad tobą. Szare komórki mają przestój i dlatego cisną się do nich rozmaite czarne myśli. Takie na przykład: Tyrasz, chłopie, w swoim chemicznym pipidówku, ślęczysz nad próbkami, coś tam otrzymujesz, o czym biuletyn zamieści kilkuwierszową wzmiankę i o czym wszyscy niebawem zapomną. A gdzieś w innych laboratoriach siedzą inne chłopaki i ślęczą nad tym samym.' Tak jest? Tak! I wszyscy widzą to samo. Aż wreszcie prędzej czy później któryś z was dokona Odkrycia. Takiego przez duże O. Jeden! A pozostali będą płakać i jęczeć: Ach, my biedni, przecież obserwowaliśmy to samo, jak to się stało? Ogarniasz?

— Lepiej byś się o siebie zatroszczył.

— Nie wierzysz? Nie masz racji. Przyjdzie taka minuta, przyjdzie z pewnością, kiedy objawi ci się cudo cudowne, dziwo przedziwne. A ty, jako że jesteś wapniak, albo przejdiesz obok niego nic nie widząc, albo nie uwierzysz własnym oczom. Jak ten facet, który zobaczywszy w zoo żyrafę powiedział: „Takie zwierzę nie może istnieć!”

— A ciebie to nie dotyczy? No, oczywiście że nie! Ty jesteś geniuszem. Wszyscy fizycy byli

geniuszami jeszcze w kolebce.

— A więc zgadzasz się ze mną?

— Z czym, do diabła, mam się zgadzać?!

— Mój ty Boże! Tłumaczysz jak człowiekowi, tłumaczysz... No więc jeszcze raz od początku.

Zsyntetyzowałeś nowy związek. Spodziewasz się po nim czegoś zupełnie niezwykłego?

— Doskonale wiem, że jesteś chemicznym analfabetą. Nie musisz mnie o tym przekonywać.

Wiedz jednak, że znamy z grubsza właściwości nowej substancji, zanim jeszcze przystąpimy do jej syntezy. Jasne?

— Nie jestem taki tępy — westchnął Sergiusz. — Oczywiście miałeś piątkę z filozofii?

— Miałem.

— Od razu widać.

Wala nawet przed samym sobą nie chciał się w pełni przyznać, co go w tej rozmowie najbardziej drażniło. Trudno ukryć! Tak samo jak wielu innych wątpił w swoje siły. To przecież takie powszednie, naturalne i zrozumiałe! Ale po cóż wywlekać to na światło dzienne. I to w dodatku w taki sposób. Gdyby choć Sergiusz sam coś przyzwoitego zrobił.

Wala poczuł, że niedługo wybuchnie.

— Ty oczywiście nie stracisz głowy na widok żyrafy. No tak, oczywiście że nie. Wy, fizycy, wszyscy jesteście teoretykami. Przepowiadacie jej pojawienie się na wiele lat naprzód. A potem dziwicie się, że wygląda inaczej niż powinna.

— Trafiłeś w samo sedno. Wala. Wielki umysł! O to właśnie chodzi, że żyrafa może się okazać zupełnie inna. A propos, gdzie się podziała Swietka?

— Coś od niej chciałeś?

Wala powiedział to i pomyślał z mściwą radością: Tak się kończą wszystkie twoje intelektualne rozmówki!

— Tego samego, co i ty — odpowiedział Sergiusz.

Wala pochylił się do przodu. — Zaraz stąd wylecisz... Bikiniarz, paw, ordynus... Widzicie go, nie lubi sztywniaków!

Trzasnęły drzwi i do laboratorium wpadła Swietka podśpiewując i postukując obcasikami. Sergiusz zeskoczył ze stołu jak zdmuchnięty. Podeszedł do dziewczyny, objął lekko za ramiona i zaczął coś szeptać do ucha. Swietka pokornie zastygła z opuszczoną głową, tylko jej ręce przebierały fałdy sukienki.

— Swieta! — wrzasnął Wala. — Dlaczego nie sprzątnęłaś ze stołów? Czemu nie wytarłaś rozlanych odczynników?! Tu, tu i tu?!

Pokazywał palcem, wrzeszczał i sam brzydził się swojego krzyku, ale nie potrafił się już zatrzymać.

Swietka wyswobodziła się z objęć Sergiusza, skinęła mu głową i dopiero potem spojrzała na Walę.

— Czemu na mnie krzyczysz? Wiesz przecież, że Michał Gierasimowicz wysłał mnie na miasto.

— Swietka, przejdź lepiej do nas — powiedział Sergiusz. — Nie jesteśmy takimi drewnianymi piłami.

Wala ruszył w jego stronę, ale Sergiusz jak gdyby nigdy nic zapytał zaaferowanym głosem:

— Słuchajcie, która godzina?

— Nie wzięłam ze sobą zegarka — powiedziała Swietka. Sergiusz chwycił Walę za rękę, bezceremonialnie odwinął rękaw kitla i popatrzył na tarczę zegarka.

— Antymagnetyczny, wodoszczelny, przeciwwstrząsowy. Bombowy czasomierz. No, a mój staje

od jednego kichnięcia. Cześć, zasiedziałem się u was. Na razie!

I zniknął. Swietka wzięła ścierkę i wytarła stoły. Robiła to szybko, zgrabnie, jakby mimochodem. Wala się odwrócił.

— Sergiusz to wietrznik, ale wesoły — powiedziała Swietłana.

Wala poczuł się jeszcze podłej od tego pocieszenia. Wsadził głowę pod wyciąg i zaczął bezsensownie przestawiać kolby, żeby Swietka nie zobaczyła wyrazu jego twarzy.

Ale kiedy się odwrócił, Swietki już nie było. Białe jesienne słońce przedarło się przez chmury i niechętnie oświetliło laboratorium. Mętne iskierki przebiegły po szkle węzownicy rzucając mdły odbłask na ściany.

Próbka musiała się żarzyć jeszcze dziesięć minut, więc na razie nie było nic do roboty. W laboratorium było cicho jak w zaklętym królestwie. Wala poczuł się dziwnie samotny i zagubiony. Zobaczył siebie jakby z boku, smutnego i nieefektownego i wydało mu się, że tak będzie zawsze: monotonne, powolne życie wśród kolb i probówek. I że tak samo równomiernie, bez wstrząsów, wzlotów i upadków będzie się starzał, nabierał doświadczenia, obrastał pracami naukowymi, stopniami i zaszczytami. I że ta jego działalność, choć oczywiście ważna i potrzebna, niekoniecznie musi mu przynieść zadowolenie. Nie wiadomo skąd i dlaczego przyszła do niego ta pewność, ale przyszła, i nie sposób się było od niej uwolnić.

Nagle coś się stało. Pojawił się jakiś obcy dźwięk. Wala się odwrócił.

Masywne cielsko pieca leciutko kołysało się na swojej podstawie. Wala przetarł oczy. Piec uniósł się i zawisł w powietrzu.

Wala uchwycił się krawędzi stołu. Obserwował z bolesnym zdumieniem, jak piec wolno popłynął do góry, jak wtyczka wysunęła się z kontaktu, jak sznur na podobieństwo wahadła zakołysał się w powietrzu. Piec dotknął sufitu i znieruchomiał.

Przeraził się. Pod sufitem, na wysokości czterech metrów, wisiało dobre sto pięćdziesiąt kilogramów, nie opierając się na niczym oprócz powietrza!

Nie wiadomo, po co przesunął stół, potem zaczął szperać po kieszeniach, póki coś tam nie trzasnęło. Przez kilka sekund ze zdziwieniem oglądał odłamki szklanej końcówki płuczki. Co ta końcówka robiła w kieszeni?

I dopiero wtedy zrozumiał całe nieprawdopodobieństwo sytuacji.

Rzucił się do drzwi, potem w kierunku miejsca, gdzie dopiero co stał piec, jakby chciał się przekonać, że go tam rzeczywiście już nie ma, potem znów do drzwi. I wpadł prosto na Swietkę, która właśnie wchodziła do laboratorium.

— Znowu krzyczysz? — spytała dziewczyna.

— Ja? Krzyczę?

— Jeszcze jak! Co się z tobą dzieje?!

Wala chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą wydając nieartykułowane pomruki. Swieta broniła się przerażona.

Potem wykrzyknęła i przysiadła. Ona również to zobaczyła. O dziwo, właśnie jej przestrach przywrócił Wali przytomność.

— Nie bój się. Daj spokój. To drobiazg.

— Boję się.

— Nie trzeba, Swieta, nie ma czego. Biegnij po Michała Gierasimowicza! Tylko cicho.

Dlaczego po profesora należy biec cicho, sam Wala nie miał najmniejszego pojęcia. Swieta jeszcze raz pisnęła i pobiegła, kuląc się jak pod ostrzałem.

Piec nieruchomo wisiał pod sufitem jak przyklejony. Za oknami po dawnemu świeciło zamglone

słońce, przez co nieprawdopodobne wydarzenie wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. — Takie rzeczy nie mogą się zdarzyć, nie mogą — szeptał do siebie Wala jak zakłęcie, mając wciąż nadzieję, że to wszystko mu się przywidziało i że za chwilę wszystko wróci na swoje miejsce, jak to bywa we śnie.

Ale wszystko i tak było na swoich miejscach. Wszystko... Oprócz elektrycznego pieca i oprócz jego, Wali, rozpędzonych myśli.

Wszedł Michał Gierasimowicz wyjmując w biegu okulary z górnej kieszeni marynarki, jak to zawsze robił w chwilach zdenerwowania. Wyglądał jak nauczyciel, który wchodzi do klasy wiedząc z góry, że czeka go jakiś nowy psikus. Zza jego ramienia wyglądała Swietka.

— Tak — powiedział profesor. — Co się tu u was wydarzyło, Walentynie Zacharowiczu?

Wala bez słowa pokazał na sufit.

— Co? Kto panu pozwolił... I zamilkł.

— On sam — pisnęła Swieta.

Okulary w rękach profesora podskoczyły jak żywe. Doskonale odprasowany garnitur jakoś od razu obwisł, jakby z Michała Gierasimowicza wypuszczono powietrze.

— Proszę mi wyjaśnić, jak to się stało — wyszeptał prawie błagalnym tonem.

— On sam... Włożyłem do środka tygielek z naszym NK i nic więcej. No i uniósł się.

— Dokładny czas początku zjawiska? Szybkość wznoszenia? Czas wznoszenia?

— Nie wiem. Straciłem głowę.

Michał Gierasimowicz popatrzył na Walę, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

— Niech pan postawi krzesło na stole! — zakomenderował. — A, już stoi. — Trzeba opuścić piec na dół. Nie, nie gołymi rękami! Niech pan poszuka dynamometru, zaczepi. Czy pan nie wie, co to jest dynamometr? Nie, już za późno.

Głos profesora znów opadł do szeptu, gdyż piec ni z tego, ni z owego oderwał się od sufitu i zaczął płynnie opuszczać się w dół.

— Stoper!!! — ryknął profesor.

Wala usłuchał jak automat. Wskazówka sekundnika gorączkowo przeskakiwała podziałki, ale Wala nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, ile wskazywała na początku.

— Łap go! Niech to diabli!

Piec wisiał już nad sarną podstawą. Wala chwycił go za krawędź i ustawił na dawnym miejscu. Wówczas usłyszał przerywany oddech i nie od razu się domyślił, że to jest oddech profesora.

— Co to było, Michale Gierasimowiczu? — zaszczębiotała Swietka.

— To? No, oczywiście... Z jednej strony... Spokojnie, koledzy, nikomu na razie...

I jakby szukając poparcia obrócił się ku Wali.

— Mogą wyśmiać... Albo nie? Jak pan myśli? Ale Wala nie potrafił myśleć o czymkolwiek.

— Tak więc — profesor niepewnym ruchem chwycił zasuwkę drzwiczek piecyka. — Twierdzi pan, że tam niczego niezwykłego nie ma?

— Tylko NK. Ten nowy związek...

— Aha! Ale to przecież niemożliwe! Ogólnie rzecz biorąc antygravitacja. Brednie! A jednak trzeba popatrzeć... Tak. Gdzie się podziały moje okulary?

Drzwiczki piecyka opadły w dół. Tym razem na laboratorium spojrzęło czarne oczko. Ścianki zdążyły ostygnąć i cząsteczki kurzu już się na nich nie iskrzyły.

— Co mi pan tu głowę zawraca?! Tu nie ma żadnego tygla! Twarz profesora spurpurowiała ze złości. Wala z bijącym sercem również zajrzał do wnętrza komory. Tygla w uchwycie nie było.

— Jest — głucho powiedział Wala.

Naczyńko wisiało pod sklepieniem pieca. Przykleiło się do niego zupełnie tak samo, jak poprzednio piec przykleił się do sufitu laboratorium.

Profesor popatrzył na Święte i Walę, jakby zwątpił również i w ich realność.

— Aaa... jak zachowywał się N K przy poprzednich wyżarzaniach? — zdecydował się w końcu zapytać.

— Zwyczajnie. A jak się miał zachowywać?

— Sam wiem, że nie mógł się inaczej zachowywać! No dobrze. Zobaczymy. Proszę wydobyć tygielek. Tylko ostrożnie, ostrożnie...

Wala uchwycił naczynie szczypcami i łatwo oderwał je od sklepienia, ze zdumieniem czując jego całkowitą nieważkość. Ręka mu drgnęła. Platynowe końcówki szczypiac ześliznęły się i...

— Ach!

Tygielek nie upadł, lecz płynnie, jakby w zadumie zawisł w powietrzu, a potem zaczął się powoli wznosić.

— Trzymaj! — krzyknął profesor.

Wala złapał tygielek, sparzył się o jego jeszcze gorącą powierzchnię, ale prawie nie poczuł bólu.

— Szczypcami trzeba! Kto pana uczył?!

Profesor zręcznie przechwycił tygielek szczypcami. Na jego dnie nie było już białych kłaczków, które spiekły się w niepozorną brunatną masę.

— Najzwyklejszy w świecie NK — speszył się profesor.

— Tak — powiedział Wala.

— Potworne. No, zobaczymy. — Z powrotem wsunął tygielek do pieca i osłabił uchwyt szczypiec. Tym razem naczynie nie uniosło się pod sklepieniem, tylko po prostu zawisło w powietrzu.

— Jak balonik — powiedziała Swietka.

— Proszę sfotografować zjawisko — profesor odzyskiwał równowagę ducha. — A ja tymczasem pójdę po Iwana Władysławowicza i Arkadiusza Stiepanowicza. I niech pan nie pozwoli piecykowi ostygnąć!

Szybko poszedł w kierunku drzwi, niezręcznie zaczepiając o krawędzie stołów.

— Diabli nadali... — mamrotał pod nosem i nie wiadomo, czy odnosiło się to do przeklętego NK, czy też do mebli przewrotnie wchodzących w drogę.

Trzasnęły drzwi.

Wala usiadł. Był nieprawdopodobnie zmęczony. Sparzone palce coraz silniej bolały. I nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Absolutnie nic! W głowie miał kłębek waty. „Żeby przynajmniej Michał Gierasimowicz jak najszybciej wrócił...” — pomyślał smętnie. Miał nadzieję, że gdy tylko profesor przyprowdzi Iwana Władysławowicza i Arkadiusza Stiepanowicza, wszystko stanie się proste i jasne.

Piec obojętnie patrzył na niego swoim czarnym oczkiem. Wala przypomniał sobie polecenie profesora, zmusił się do wstania, zasunął drzwiczki i włączył ogrzewanie.

I natychmiast o mało nie zemdlął z przerażenia. A co, jeśli tego nie wolno robić? Wyłączyć? Może to jeszcze gorzej? Zepsuję wszystko! pomyślał w panice.

Ale w laboratorium, co tam laboratorium! Na całym świecie nie było nikogo, kto by rozproszył jego obawy lub chociażby pocieszył. W ostatecznej rozpacz gotów był już prosić o radę Swietkę, której twarzyczka nie wyrażała niczego poza ciekawością. Żeby tylko ktoś wziął na siebie część odpowiedzialności...

I właśnie wtedy usłyszał znajomy głos dochodzący z korytarza. Wala się poderwał. Sierozka! Jak to dobrze, że on jest fizykiem.

— Sierożka! — zawołał. — Sierożka!

Sergiusz wpadł natychmiast, jakby tylko czekał na zaproszenie.

— No i co powiecie, alchemicy? — jego głos skrzył się filuternością. — Twarzyczki jakieś smętnawe. Piecyk fruwał, co? To drobiazg. W pewnej redakcji widziałem artykuł, oczywiście go nie wydrukowali, opisujący fakt wzlotu trumny w grobowcu rodzinnym autora.

— Więc ci już opowiedziano?

— Hm! Nie, braciszku, nikt mi niczego nie opowiadał. Nie wytrzeszczaj tak oczu, bo ci wyskoczą. Czyżbyście się niczego nie domyślili? No wiecie... Cha, cha, cha!

Roześmiał się głośno i im bardziej zdumionym wzrokiem patrzyli na niego Wala i Swietka, tym lepiej się bawił. W zachwycie klepał się po udach, pokazywał na nich palcem, zataczał się i śmiał, śmiał się szczerze i do łez.

— Ale przecież... Ten piecyk... — śmiech przeszkadzał mu mówić. — Przecież to ja go uniosłem! Ze swego laboratorium! Elektromagnesem. Cha, cha! Myślicie, że bez powodu zaczynałem tamtą rozmowę?

Odpowiedzią było milczenie, takie wyraziste milczenie, że Sergiusz natychmiast przestał się śmiać.

— Czyżbym rozbił wam jakąś butelkę? Zechciejcie mi wybaczyć! Błąd w sztuce. Naprawdę nie chciałem, sprawdziłem nawet zegarek, aby go nie uszkodzić. Ale pięknie wyglądała ta „żyrafa”, co?! Przyznajcie się! Co tak na mnie patrzycie?!

Sergiusz coraz bardziej się peszył. Nie rozumiał, co się dzieje. Jego słowa nie znajdowały oddźwięku u tych dwojga, a właściwie znajdowały, ale nie taki, jakiego oczekiwał. Przyglądali mu się z bliska, uważnie, z dziwnym wyrazem w oczach.

Potem Wala kiwnął na niego palcem.

— Podejź. Bliżej, bliżej.

Sergiusz zmieszał się. Pokornie, jak zahipnotyzowany ich wzrokiem, posunął się do przodu. Ostatni krok wyrażał całkowitą rozterkę.

— No, co wy... No, zażartowałem...

— Chwyć z łaski swojej za tę rączkę — powiedział czule Wala. — Nie bój się, nie bój. Teraz zajrzyj do piecyka.

I Wala zobaczył, jak Sergiusz odskoczył od czarnego oka pieca oporowego: w jego głębi wciąż jeszcze unosił się porcelanowy tygielek.

Przełożył Tadeusz Gosk

Dymitr Bilenkin
Gorod i wołk

Miasto i wilk

Transway z przeciągłym pomrukiem przywarł do peronu. Długie, wieloczłonowe cielsko wagonu znieruchomiało. Wilk przesadził barierę ochronną. Pazury nie znalazły oparcia na sirbolitowej nawierzchni i Wilk nieoczekiwanie zatoczył się.

— Trzeba chodzić jak wszyscy! — powiedział z wyrzutem przechodzień, któremu wpadł pod nogi.

Trzema susami przebiegi platformę i przemknął po schodach. W dole otoczyło go tyle zapachów, że zatrzymał się, a później pochylił głowę i wyciągniętym kłusem pognał ścieżką, nieprzyjemnie gładką i obrzydliwie prostą.

Miasto było z prawej i z lewej, z przodu i z tyłu, w górze i na dole. Wzrok prześlizgiwał się po masywnych niczym skały lub ażurowych jak bezlistne drzewa konstrukcjach budynków, pasaży, galerii i pomostów, po iglicy Wieży Kosmicznej, wznoszącej się nad zbiorowiskiem dachów-lądowisk, po wiszących ogrodach i ruchomych chodnikach. Wilk nie znał tego miasta, ale oczy nie znajdowały niczego szczególnego godnego uwagi. Nie tylko zresztą oczy, które nie odgrywały w jego życiu najważniejszej roli: podobnie jak wszystkie wilki kierował się przede wszystkim słuchem i węchem, zwłaszcza węchem. Jego żywiołem było królestwo zapachów, w którym człowiek gubił się zupełnie. Sella mała nie płakała usiłując dociec, w jaki sposób Wilk odnajduje ją w nieznanym, ludnym mieście, on zaś nie mógł jej niczego wytłumaczyć, ponieważ sam tego nie wiedział. Kiedy szukał Selli, po prostu ciągnęło go w określonym kierunku, pewne dzielnice wydawały mu się sympatyczniejsze od innych, ale dlaczego? Sekret tkwił nie tylko w subtelności powonienia, lecz także w czymś innym, bliskim, ale nie tożsamym z węchem, o czym ludzie już od dawna z pasją dyskutowali. Teraz też trzymał się wybranego kierunku, pewny, że doprowadzi go on do miejsca, w którym obecnie znajduje się Sella. Nie umiał wprawdzie określić odległości dzielącej go od tego miejsca, ale nie martwił się tym, gdyż Sella oczekiwała go dopiero wieczorem.

Przy windzie wiodącej na dolny poziom nikogo nie było. Nie spieszył się tym, bo z windą sam potrafił sobie radzić. Wskoczył do kabiny, stanął na tylnych łapach i nacisnął pazurami trzeci guzik od dołu. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i winda ruszyła. Atawistyczny strach przed pułapką ogarnął go na chwilę, ale natychmiast ustąpił.

Na dolnym poziomie było tak samo jasno i cicho, jak i na górnym, ale łapy Wilka wyczuwały lekkie drżenie gruntu, kiedy w podziemnych tunelach przemykały wagony metra, zespoły pojemników lub pneumaty. Ludziom dolny poziom nie wydawał się hałaśliwy, ale Wilk był innego zdania. Miesiąc spędzony w tundrze zrobił swoje i Wilkowi dawał się teraz we znaki łoskot i wibracje. Dlatego nie wskoczył na taśmę ruchomego chodnika, lecz lawirując między przechodniami zagłębił się w park. Wybrał tę drogę również dlatego, że w parku nie było tych wszystkich gładkich, sprężystych, zwierciadlanych nawierzchni, które doskonale służą ludziom, lecz nie bardzo nadają się dla łap. Piasek jest znacznie lepszy.

Łania wysunęła się zza krzewu i odprowadziła go długim spojrzeniem. Wilk nawet się nie

obejrzał. Szanował prawa miasta i łania o tym wiedziała.

— Hej! — usłyszał Wilk przebiegając nad brzegiem jeziora. Zatrzymał się. Ze szczytu niewysokiej wydmy machała nań pięcioletnia może dziewczynka, drugą rączką zgarniając z twarzy splątane pasma włosów. Gdy tylko zatrzymał się, pobiegła stromizną w dół, potknęła się i piszcząc z zachwyty stoczyła na trawnik.

— Witaj, czemu nie odpowiadasz? — wypaliła, wstając i otrzepując spodni.

Obroża, którą Wilk nosił na szyi, nie miała nic wspólnego z prawdziwą obrożą. Był to translator, który bezdźwięczne nawet wibracje krtani zwierzęcia tłumaczył na ludzką mowę. Urządzenie trzeba było jednak włączyć. Wilk dwukrotnie uniósł łapę. Dziewczynka radośnie kiwnęła głową i dotknęła obroży.

— Teraz witaj! — powiedział Wilk.

— Witaj. — Dziewczynka lekko sepleniała. Jej zielone oczy płonęły z niecierpliwości. — Będziemy się bawić w Czerwonego Kapturka — oświadczyła bezapelacyjnym tonem.

— W co?

— Jakiś ty niepojętny! — tupnęła bosą nogą. — Będziemy się bawić w bajkę! Czerwony Kapturek to taka dziewczynka, ona idzie w odwiedziny do babci...

Teraz z translatora wydobywał się warkot, ponieważ aparat tłumaczył słowa ludzkie na zrozumiałe dla Wilka zestawienia dźwięków.

— I kiedy dziewczynka zapytała, dlaczego babcia ma takie wielkie zęby, wilk, który udawał babcię, powiedział: „Żeby cię zjeść!”

— Zjadł?

— Nie... Zjawili się myśliwi i...

Wilk po raz pierwszy słyszał tę bajkę. Jej sens słabo do niego docierał, ale budził niejasną pamięć czegoś zapomnianego, nieprzyjemnego, zepchniętego na dno podświadomości. Wilk zdecydowanie pokręcił głową:

— Nie chcę. Będziemy się zwyczajnie bawić.

Twarz dziewczynki zachmurzyła się, ale nie upłynęło nawet parę sekund i dziecko galopowało już siedząc na grzbiecie Wilka, który po chwili delikatnie zrzucił je na trawę. Dziewczynka ze śmiechem złapała go za ogon, a on odwrócił się i groźnie wyszczerzył zęby. Teraz długo i zapamiętale tarłosili się, walczyli, tarzali i zwijali w kłębek. Oboje jednakowo potrafili rozkoszować się zabawą.

Spacerujący w pobliżu staruszek zatrzymał się i osłonił dłonią oczy.

— Siedemdziesiąt lat — pokiwał głową. — W dniach mojej młodości... Tak, któż w dniach mojej młodości mógł pomyśleć...

Towarzyszący mu młodzieniec nic nie odpowiedział. Uważał za zrozumiałe, a więc nieciekawe to, że na środku miasta wilk, syn trzeciego pokolenia ucłowieczonych drapieżników, bawi się z dzieckiem i może porozumieć się z ludźmi. Ideę, która wywarła ogromne wrażenie na pokolenie starca, uważał za równie banalną jak twierdzenie, że dwa razy dwa równa się cztery. Jeżeli mózg człowieka jaskiniowego był biologicznie równoważny mózgowi człowieka dwudziestego pierwszego wieku, a intelekt mimo to rozwinął się niepomiernie od tamtych czasów, to jest oczywiste, iż mózg zwierząt również kryje w sobie ogromne rezerwy! Po prostu wcześniej nikt nie zajmował się rozwojem ich intelektu, bo nikt nie potrafił tego, ale teraz, kiedy się nauczono...

Pożegnawszy się z dziewczynką Wilk stromym stokiem wbiegł na szczyt pagórka. Rozejrzał się i pociągnął nosem. Cisza wieczoru mogła wprowadzić w błąd człowieka, ale on dostrzegł oczywiste znaki zmiany pogody i teraz był pewien, że powietrze przestanie być spokojne natychmiast po

zachodzie słońca. Pobiegł szybciej. Wiatru jeszcze nie było, ale strumień zapachów wzmógł się. Drzewa, trawy, kwiaty pachniały inaczej niż godzinę temu. Nawet stal, tytan, spektrolit — wszystkie te niezliczone materiały, które wymyślił człowiek — zachowywały się inaczej.

Wszystkie zmiany zapachów były znane Wilkowi i jego świadomość nie brała udziału w ich analizie. Nagłe odchylenie od normy zmusiło go do zatrzymania się.

Pachniało czymś niezwykłym. Zapach nie był ostry, wręcz przeciwnie — niezwykle słaby, ale z czymś podobnym Wilk do tej pory się nie stykał. Zupełnie niezrozumiały zapach, zapach, który nie ma nic wspólnego ani z miastem, ani z przyrodą.

Pociągnął nosem i bez wahania ruszył ku ławce, na której siedział czterdziestoletni mężczyzna o twarzy smagłej i ostrej. Mężczyzna nieruchomymi oczyma patrzył na leżące przed nim miasto, jakby zamierzał chwycić je w ręce.

— Czemu się na mnie gapisz, przyjacielu? — mężczyzna odezwał się tak nieoczekiwanie, że Wilk nieco się zmieszał. — Wyglądam na dziwaka, tak? Racja. Odwykłem od tego wszystkiego — wskazał ręką horyzont. — Pięknie. A ty jak sądzisz?

— Pięknie — Wilk zgodził się nie tylko z uprzejmości. Ludzie uważali miasto za piękne i on również tak uważał, choć jego rozumienie piękna nie pokrywało się z ludzkim. Piękno utożsamiał z celowością.

— No dobra — powiedział mężczyzna. — Masz przecież do mnie sprawę. Mów!

Wilk był zdziwiony, nieznajomy wykazał przenikliwość rzadko spotykaną u ludzi.

Obcesowe pytanie, wymagało odpowiedzi.

— Ma pan przy sobie niezrozumiałe.

— Co, co?

Wilk uśmiechnąłby się, gdyby umiał. Podświadomość człowieka wyprzedziła rozum. Póki rozum usiłował znaleźć sens w pytaniu, palce drgnęły tak wymownie, że Wilk bez trudu odtworzył, co zamierza zrobić człowiek.

— Ono jest w górnej kieszeni.

— To? To masz na myśli?

Mężczyzna wydobyl przezroczystą rurkę wypełnioną drobnym piaskiem.

— Tak.

— Ale niuch! Może wiesz także, co to jest?

— Tak i nie. Piasek, ale niezrozumiały.

— Racja, skąd masz wiedzieć... Ten piasek pochodzi stamtąd — mężczyzna wskazał palcem niebo. — Z kosmosu, z Syriusza. Rozumiesz? Konkretnie z Szatana, bo tak nazwaliśmy tę mroczną i mroźną planetę. Ale tęczy piasek... Brylanty w porównaniu z nim to po prostu szkło. Mam rację? Popatrz, jak opalizuje...

Kosmonauta wyciągnął szklany korek i wysypał trochę piasku na dłoń. Uniósł rękę do góry i patrzył jak zaczarowany na grę światła w kryształkach. Wilk o mało nie parsknął uderzony w nos falą silnego zapachu. Poza zapachem piasek nie miał w sobie nic szczególnego. Zwyczajne, matowe, słabo połyskujące ziarnka piasku i to wszystko. Od ludzi wiedział o istnieniu jakiegoś niezwykłego i pięknego świata kolorów, ale wcale nie pragnął go poznać. Ludzie nie czuli większości zapachów, dla niego zaś nie istniały barwy. Przywykł do takiego stanu rzeczy i nie uważał się za pokrzywdzonego.

Wreszcie człowiek oderwał się od swojego piasku i jakby coś sobie przypominając zapytał:

— Jak ty to zdołałeś wyczuć pod szczelnie doszlifowanym korkiem?... Szybkim ruchem wysypał piasek z powrotem do rurki, obrócił ją parę razy w palcach i schował. Jego szeroka dłoń spoczęła

na głowie Wilka, twarz przybrała wyraz skupienia.

— Tak, przyjacielu, zaskoczysz mnie. Ale na mnie już czas. Powiem ci w sekrecie: chociaż „szatański” piasek jest tak piękny, wolę od niego ziemski. Masz jeszcze jakieś pytanie? Wobec tego żegnaj!

Mężczyzna wstał i szybko ruszył ścieżką ku wyjściu. Wilk nie ruszył się z miejsca. Zapach nie zniknął po odejściu kosmonauty, widocznie jakieś ziarenko piasku upadło na ziemię. Wilk mógł nawet pokazać, gdzie ono leży, chociaż go nie widział. Położył się z pyskiem opartym na łapach.

W głowie tłoczyły mu się niejasne myśli.

Translator był niewątpliwie wielkim wynalazkiem, ale urządzenie to mimo woli oszukiwało ludzi (naturalnie laików), narzucając im przekonanie, że skoro wilk może mówić ludzkim językiem, to i myśli podobnie do ludzi, tyle że w sposób uproszczony. Wszystko było jednak znacznie bardziej skomplikowane. Wilkom obce były konstrukcje logiczne. Częściowo zastępował je łańcuch obrazów, kojarzonych w sposób niepojęty dla człowieka.

A jednak Wilk miał własne wyobrażenie nawet o kosmosie, gdyż ludzie wiele mówili na ten temat, a on zapamiętywał wszystkie ich opinie. Wizerunek kosmosu ukształtowany w jego wyobraźni był daleki od realnego, a jednak nie był absurdalny. Teraz właśnie Wilk odwoływał się do tego wizerunku. Nigdy jeszcze żaden zapach nie wydawał mu się tak dziwny. Nie, właściwie było nieco inaczej. Dziwnym uczyniły go dopiero wyjaśnienia tego człowieka. Przedtem zapach był tylko nieznanym. Mężczyzna nadał źródłu zapachu dokładną nazwę, której sens Wilk doskonale rozumiał — piasek. Ale zapach wydzielany przez ziarenka piasku przeczył tej nazwie. Gdyby na miejscu Wilka znalazł się człowiek o powonieniu równie czułym jak powonienie Wilka, z łatwością pogodziłby sprzeczności. Połączyłby właściwości konkretnego ciała z właściwościami takiego abstrakcyjnego pojęcia jak „obca planeta”. Ale podobne pogodzenie — rzeczywiste lub pozorne — było Wilkowi niedostępne i zwierzę nie mogło pozbyć się zdumienia.

Był tak zaabsorbowany zagadką, że mimo woli głośno sapnął zapominając o istnieniu włączonego translatora, który natychmiast przetłumaczył to sapnięcie na ludzkie: „No, no!”

Słowa otrzeźwiły go i przypomniały, że pora ruszać dalej. Jednak nie od razu wstał. Jeszcze przez chwilę Wodził nosem wokół źródła dziwnej woni. Gdyby go zapytano, co go tak niepokoi, nie umiałby odpowiedzieć. Ciekawość i żądza poznania jest cechą w równym stopniu zwierzęcą, jak i ludzką. Zagadkowe zjawisko pociąga, gdyż nie wiadomo, co oznacza i co może przynieść: dobro czy zło. A to chce wiedzieć każda istota żywa. Instykt przewycięża strach wywołany nieznanym. Ciekawość Wilka była zabarwiona niepokojem. Zawsze bezpieczniej jest założyć, że to, co zagadkowe, równa się temu, co wrogie. Zresztą w świadomości Wilka odczucie to było silnie przytłumione zakorzenionym poczuciem bezpieczeństwa. Od razu kiedy człowiek stał się przyjacielem wilka, nie groziło mu już nic ani w lesie, ani w mieście.

Poryw wiatru spadający z pociemniałego nieba przemknął przed nosem Wilka i porwał źródło zapachu.

Błyskawicznie, jak to potrafią tylko zwierzęta, przełączył swoją uwagę. Zagadka zniknęła, a więc nie ma potrzeby myśleć o niej. Nie znaczy to, że Wilk zapomniał, ale po prostu uznał, iż nie warto zwracać uwagi na to uniesione wiatrem ziarenko piasku. Tylko szkoła myślenia, którą przeszedł u człowieka, sprawiła, iż Wilk wiedział, że jeszcze powróci do przerwanej myśli.

A teraz trzeba było odszukać Sellę. Pobiegł, kierując się na wschód od Wieży Kosmicznej. Silny już teraz wiatr mierzwił mu sierść. Instykt prowadził go pewnie. Gdzieś w pobliżu niedawno przechodziła Sella i trzeba było jedynie odszukać jej ślad. W pół godziny później znalazł się pod właściwymi drzwiami.

Sella często rozmawiała z Wilkiem, który nie mógł długo mieszkać w mieście, poza stadem. Ale ich przyjaźń nie słabła przez to. Sella była zoopsychologiem, ale Wilk nie stanowił dla niej obiektu doświadczalnego. Nie traktowała go również jak zwierzę domowe, którego przywiązanie można zdobyć przelotną pieśczętą. Sella widziała w Wilku osobowość równie zindywidualizowaną, jak osobowość człowieka. Traktowała go jak kolegę, którego się lubi nie zadając pytań „dlaczego?” i „z jakiego powodu?”

Dlatego spotkanie było jak zawsze radosne i czułe.

Natychmiast po kolacji Sella powiedziała:

— Pogadamy o ciekawych rzeczach?

To były ich ulubione wieczorne chwile. Wszystkie sprawy zostały już załatwione, w pokoju panowała cisza i nie było niczyich oczu poza oczami człowieka i zwierzęcia.

Sella siadła z podwiniętymi nogami na tapczanie. Wilk ułożył się obok. Dziewczyna przytłumiła oświetlenie i zanurzyła palce w grzywie drapieżnika.

Zwykle w takich chwilach Wilk opowiadał o tym, co zwróciło jego uwagę, zdziwiło lub zaskoczyło, a Sella mówiła o swojej pracy. Czasem po prostu plotkowali. Tak było i tym razem. Wilk, który nie grzeszył zbyt dużą konsekwencją, mówił urywanymi zdaniami, przerzucając się od wspomnienia do wspomnienia. Sella raczej milczała. W czarnych podłużnych źrenicach zwierzęcia połyskiwał odbłask lampy. Dziewczyna odzwyczaiła się nieco od Wilka i chwilami ogarniało ją poczucie nierealności.

— Czy martwe może stać się żywym?

— Co, co? — ocknęła się Sella.

— Dziś w mieście poczułem nieznaną. Martwe. Znajdowało się w kieszeni mężczyzny. Spytałem. Człowiek powiedział: piasek. Odszedł. Ziarnko piasku upadło. Stało się żywe.

— Piasek zawsze jest martwy.

— Wiem. Dlatego dziwne.

— Nic nie rozumiem! Skąd ci przyszło do głowy, że piasek ożył? Ziarnko zaczęło się poruszać?

— Nie, szybko pachniało.

— No więc co z tego?

— Martwe wolno zmienia zapach. Rośliny szybciej. Zwierzę bardzo prędko, zwłaszcza kiedy jest podniecone.

— Rzeczywiście?

— Tak.

— I po szybkości zmian zapachu można odróżnić kamień od drzewa, stal od motyla?

— Tak.

— Wilku, nigdy mi o tym nie mówiłeś!

— Nie pytałaś.

— Przecież to bardzo ciekawe! Mów dalej, mów!

— Dlaczego ziarnko piasku ożyło?

— Nie mogło przecież ożyć!

— Ożyło.

Sella uniosła się nieco, bo wydało się jej, że w oczach Wilka przemknął wyrzut: czemu tak wolno myślisz?

— Opowiadaj, Wilku, po kolei — powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Przecież nie zawsze oczywiste dla mnie jest oczywistym dla ciebie i na odwrót. A więc biegleś przez miasto...

— Tak.

— I poczułeś piasek, który znajdował się w kieszeni mężczyzny. Od kiedy to zacząłeś zwracać uwagę na zwykły piasek?

— Nieznany zapach. Człowiek wytłumaczył, że piasek z kosmosu.

— Z kosmosu?! Wobec tego wszystko jest jasne. Nie, co ja mówię?! Nic nie jest jasne. Niczego nie rozumiem. Jak on wyglądał?

— Człowiek?

— Piasek!

— Jak piasek.

— I był martwy?

— Tak.

— A kiedy ziarenko upadło...

— Zapachniało jak żywe.

— Powiedziałeś to mężczyźnie?

— On odszedł..

— Ziarenko poruszało się?

— Nie.

— Kim był ten mężczyzna?

— On był z kosmosu. Z Syriusza.

— Powiedział ci to?

— Tak.

— Człowiek wie, że jego piasek z martwego może przemienić się w żywy?

— Powiedział: to piasek. Bardzo piękny. Nie powiedział: to jest żywe. Czemu się denerwujesz?

— Dlatego... Wilku, nie omyliłeś się?

— Nie mogłem się pomylić.

— Tak, tak, wiem... To jednak nieprawdopodobne... Pomilczmy teraz chwilę.

Sella zamyśliła się. Jej ciemne oczy jeszcze bardziej pociemniały. Siedziała bez ruchu, ale Wilkowi zdawało się, że widzi ją biegnącą. Niepokoiło go to, gdyż nie mógł zrozumieć przyczyny, ale pojmował, że teraz lepiej o nic nie pytać. Sella poderwała się gwałtownie i nie zakładając pantofli podbiegła bosą do inforu.

— Zdjęcia członków wyprawy na Syriusza — powiedziała do mikrofonu. Po paru sekundach na ekranie pojawiła się czyjaś twarz.

— On? — Sella obróciła się do Wilka.

— Nie.

— Ten czy ten?

Na ekranie przesuwwały się portrety. Wreszcie Wilk powiedział:

— Ten.

— Wszystko się zgadza...

— Nie wytłumaczyłaś mi — upomniał ją Wilk.

— Poczekaj chwilę, Wilczku...

Palec Selli dwukrotnie zawisł nad guzikiem, zanim go nacisnął.

— Wzywam Borka, geologa wyprawy na Syriusza. Prawdopodobnie jest w mieście. Przekażcie mu... — zająknęła się. — Wezwanie bardzo pilne.

Wilkowi nie zdziwiło ani to, że Sella rozmawia z nieożywionym przedmiotem, ani to, że ten przedmiot szuka człowieka znajdującego się nie wiadomo gdzie. Nie rozumiał tego, ale zdołał przywyknąć i traktował przedmioty w rodzaju inforu jak śnieg lub deszcz: ponieważ istniały, trzeba

się do nich przyzwyczaić. Ale w zachowaniu Selli, w jej słowach i ruchach, wyczuwał rosnący niepokój i na wszelki wypadek sprężył się, przygotował na wszelkie niespodzianki.

Jakieś trzy minuty upłynęły w milczeniu. Wreszcie przeciwległa ściana rozstała się i pokój połączył się z drugim, przestronniejszym i jaskrawo oświetlonym. Siedzący przy stole mężczyzna podniósł głowę. Zobaczywszy dziewczynę, wstał.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli niepokoiłam pana bez potrzeby — powiedziała szybko Sella. — Przejdę od razu do rzeczy. Czy ma pan jeszcze piasek, który pokazał pan dziś Wilkowi?

— Jakiemu wilkowi? — kosmonauta ze zdziwieniem patrzył na Sellę.

— Temu.

— A, mój szary przyjaciel? Przypominam sobie Ale o co właściwie chodzi?

— To rzeczywiście piasek?

— Tak i to bardzo piękny. — Bork uśmiechnął się. — Pokazać? — wyjął z szuflady znaną Wilkowi rurkę. — Uroczy, prawda?

— To na pewno jest piasek? Nie kolonia organizmów?

— Oczywiście że nie! Skąd takie przypuszczenie?

— Został poddany kwarantannie?

— Naturalnie! Przepraszam, ale nie rozumiem...

— Możliwe, że to wcale nie jest piasek.

Uśmiech Borka zgasł. Kosmonauta czekał.

Sella powtórzyła pokrótce wszystko, co wiedziała.

— Nie chciałbym urazić pani przyjaciela — w głosie Borka wyczuwało się ironię. — Ale zgodzi się pani, że...

— Wilk nigdy nie myli się, jeśli chodzi o fakty — powiedziała Sella ostrym głosem. (Brwi Borka powędrowały do góry). — Może wyciągać fałszywe wnioski. Ale jeśli mówi, że ziarenko piasku zachowało się podobnie jak żywy organizm, to tak na pewno było.

— Trudno dyskutować z przekonaniem. Przypuśćmy więc, że moja diagnoza jest błędna. Ale czyżby sądziła pani, iż pracownicy Kwarantanny nie potrafią odróżnić minerału od żywego organizmu?

— Pleśń... — powiedziała cicho Sella.

— Tak, pleśń. — Borka na chwilę opuściła pewność siebie. — Nie, tym razem to coś innego — jego głos brzmiał znów twardo i zdecydowanie.

— Nie chce pan wierzyć?

— Nie mogę wierzyć. Ten piasek ma być żywy?! Proszę mi wybaczyć, ale fantazja zwierząt...

— Fantazję mają niestety bardzo słabo rozwiniętą — głos Selli brzmiał sucho. — Wilku, to jest piasek, czy coś innego?

— Nie czuję go.

— Prawda! Czy nie będzie zbyt wielką bezczelnością z mojej strony, jeżeli jednak poproszę pana o przyjazd?

— Aby pani zwierzę wydało ostateczny wyrok?

— Nie chodzi przecież o to!

— Ma pani rację. — Bork spoważniał. — Zapomniałem, że czasami nawet kij może wystrzelić. Gdzie pani jest? Będę za siedem minut.

Pokój Borka zniknął. Sella westchnęła i pogładziła Wilka po głowie.

— Nie wierzą nam. Wilczku... Zresztą sama sobie też nie wierzę.

— Wytłumacz!

— Nie wiem, czy zrozumiesz, bo i ja nie bardzo to pojmuję. W kosmosie zdarzają się bardzo niezwykle formy życia. Dziwaczne, niecodzienne... Dlatego wszystko, co stamtąd trafia na Ziemię, jest poddawane bardzo surowej kontroli. Zwłaszcza organizmy żywe. Nie zawsze żywe jest niebezpieczne, częściej zupełnie nieszkodliwe. Ale pewnego razu nawet dokładna kontrola nie wykryła pleśni. Dawno, kiedy jeszcze ciebie nie było, zaczęły się dziać straszne rzeczy. Z wielkim trudem poradziłyśmy sobie. Mam nadzieję, że tym razem...

— Nie chciałem straszyć.

— Wiem, wiem. Wszystko się pewnie wkrótce wyjaśni i z pewnością okaże się, że to pomyłka. Ale jest już Bork... Proszę wejść!

Bork energicznie uściśnął wyciągniętą ku niemu rękę, kiwnął głową Wilkowi i bez zbędnych słów odkorkował probówkę. Miał wygląd człowieka, który postanowił niczemu się nie dziwić.

— Co powiesz, Wilku? — głos Selli załamał się.

— To pachnie żywym.

— Co? Przecież mówiłeś...

— Wtedy był piasek. Teraz nie.

Bork zachmurzył się. Długo i uważnie patrzył na Wilka, jakby chciał przyłapać go na kłamstwie. Potem bez słowa wziął kartkę czystego papieru, odsypał nieco piasku i wydobył mikroanalizator. Pojawił się ledwie widoczny obłoczek. Spojrzawszy na skalę aparatu obrócił ja ku Selli.

— Widzi pani te liczby?

— Nic mi one nie mówią.

— Te liczby odzwierciedlają skład chemiczny i budowę próbki. Jedno i drugie świadczy o tym, że to jest minerał.

— Ale Wilk...

— Proszę pani. Jest pani zoopsychologiem i doskonale wie, że nie istnieją izolowane gatunki organizmów żywych. A planeta, skąd te ziarenka pochodzą, jest martwa niczym sople lodu.

— W soplach też bywają wysoko zorganizowane organizmy żywe.

— Racja. Ale gdyby pani widziała tę planetę... O ile dobrze zrozumiałem, dla Wilka żywe różni się od martwego odmiennym tempem zmiany zapachów. Tak?

— Tak.

— Po drodze wszystko przemyślałem. Ten minerał różni się od ziemskiego także i tym, że szybciej zmienia częstotliwości zapachowe. To wszystko. Jest pani rozczarowana?

Sella zaczerwieniła się.

— Niepotrzebnie. Wręcz przeciwnie: powinna być pani dumna — powiedział Bork, jakby tłumacząc się. — Minerał wiozłem Orcewowi na uniwersytet. Ale nawet Orcew nie od razu wykryłby tę jego właściwość. Panią coś jeszcze niepokoi?

— Drobiazg — powiedziała Sella z krzywym uśmiechem. — Najpierw dla Wilka cały piasek był martwy...

— Rozumiem, rozumiem. Na zapach, według naszego kudłatego analityka, wpływa zmiana pogody, a teraz zbliża się burza, prawda?

— Pan zawsze taki logiczny?

— Niestety, obawiam się, że to nieuleczalne.

— Dlaczego „niestety”? Wilku, przeprośmy za kłopot...

— I zapomnijmy o tym epizodzie. A jeśli powiem, że cieszę się, iż dzięki temu poznałem panią?

...

— A piasek rzeczywiście piękny — Sella pochyliła się nad stołem, jakby nie słyszała słów

Borka. — Jaka gra światła... co za blask!

— W ciemności kamień umiera. Drzewo nie, zwierzę tym bardziej, a kamień tak. Pod tym względem nasze poglądy są chyba zbieżne z wyobrażeniami naszych czworonożnych mądrali. Ciekawe, co Wilk teraz o mnie myśli?

— Nie radzę go pytać.

— Czemu?

— Większość ludzi jest do tej pory przekonana, że zwierzęta patrzą na nas jak na swego rodzaju bóstwa. Zapewniam pana, iż zwierzę nie traktuje nas w ten sposób.

— Nie należę do tego rodzaju ludzi.

— A pańska duma nie ucierpi, jeżeli Wilk wystawi panu niezbyt pochlebną charakterystykę? — spytała nie odrywając wzroku od migocących ziarenek.

— Zasłużyłem na nią?

— Mam nadzieję, że nie. Zresztą niech pan zapyta Wilka.

— Pewnie, że zapytam — powiedział zdecydowanie Bork i obrócił się ku Wilkowi. Nie zdążył.

— Proszę spojrzeć! — krzyknęła Sella. Słowa zabrzmiały jak dźwięk odłamków rozbitej porcelany. Bork błyskawicznie znalazł się przy stole, by sprawdzić, co wskazywał drżący palec Selli.

— Wydało się pani...

— One się ruszają — potwierdził nagle Wilk. Ludzie w popłochu odskoczyli od stołu i wpatrywali się w niego z odległości.

— Piasek już dawno się rusza.

Na sekundę wszyscy zamarli. Ruch kilku ziarenek, które oddzieliły się od masy pozostałych, był teraz widoczny nawet dla ludzi.

— One się dzielą — powiedziała Sella zduszonym szeptem. — Tu! I tu...

— Spokojnie...

Szybkim i precyzyjnym ruchem Bork zsywał piasek do próbki. Źródło złowieszczonego zapachu znikło w kieszeni i Sella uspokoiła się, jakby ze stołu zabrano jadowitą zmię.

— W porządku — powiedział Bork lekko zdyszany głosem. — W porządku — powtórzył, jakby starając się przekonać siebie i innych. — Możliwe, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. Nic się zresztą nie stało. Są zamknięte.

— Nie wszystkie! — wykrzyknęła Sella.

— Racja...

— To jedyne ziarnko piasku...

— Drobiazg, znajdziemy.

— Wiatr je zdmuchnął — powiedział Wilk.

— Tak... — Ręka Borka wolno sięgnęła do inforu.

— To nie ma sensu! — zatrzymała go Sella. — Łatwiej znaleźć ziarnko... To jest, chciałam powiedzieć... nie wiem co, niż...

— Wiem, ale nie ma innego wyjścia.

— Jest, Wilku!

— Słucham.

— Wilczku, kochany, potrafisz wyczuć to ziarenko? Powiedz, że możesz!

— Proszę posłuchać, Sello!...

— Jeśli ktokolwiek może to ziarnko odnaleźć, to tylko Wilk.

— Tak — powiedział Wilk. — Znajdę, jeżeli ono jest tu.

- A jednak... — Bork się wahał.
- Niech pan jedzie do laboratorium.
- Pani jest naprawdę przekonana...
- Znam Wilka.
- Wobec tego ja z nim pójdę! Mam wytrzymalsze nogi.
- Ale pan nie zrozumie Wilka tak jak ja. Niech pan jedzie!
- Dobrze, jedno nie wyklucza drugiego. W ostateczności można miasto objąć kwarantanną. Niech pani nie traci ze mną kontaktu!

Na górnym tarasie budynku królował wiatr. Jego zimne masy nadlatywały gwałtownymi porywami świszcząc i pogwizdując w barierach. Sellę przeniknął dreszcz.

Nozdrza Wilka chciwie wciągały powietrze. Wiatr przynosił mu nowe zapachy, a on je odczytywał niczym kartki szybko przeglądanej książki. Tło stanowił aromat łąk i zagajników. Wśród zapachów miejskich najostrzej wydzieliał się mdlący opar smarów, kwaśne wonie metalu i suche, z posmakiem szkła, emanacje polimerów. Wiatr niósł tysiące odcieni aromatów, a nos Wilka łowił je i segregował; wiatr pomagał i jednocześnie przeszkadzał. Pomagał, bo rozdmuchiwał płomień najróżnorodniejszych woni i niósł je na dziesiątki kilometrów; przeszkadzał, gdyż tworzył zawichrzenia, rwał cieniutkie niteczki słabych prądów. Na szczęście zmienił kierunek i czasami ucichał, tak że Wilk mógł obwąchać całe miasto, jakby unosząc się nad nim. Sella stała obok napięta jak struna.

Naturalnie wiedziała, że Bork podejmie wszystkie możliwe środki. Sprowadzi i wypuści na ślad psy tropiące. Niezwłocznie laboranci wyskalują na nowy zapach i uruchomią wszystkie analizatory. Ale wiedziała także, iż żaden aparat nie dorówna w czułości nozdrzom Wilka, a żaden pies nie pójdzie śladem tak, jak to robi Wilk. Wilk, który rozumie, choć może inaczej niż ludzie, cel poszukiwań. Poza tym obecnie decydowały o wszystkim godziny, a może nawet minuty.

Łowiąc podejrzane strugi zapachów. Wilk coraz to podrywał się do biegu. Wydawało się, że bawi się z niewidocznymi w ciemności motylami. Czasami jednak na dłuższą chwilę nieruchomiał.

Nagle jego nos przylgnął do pomostu. Później Wilk podskoczył do góry. Pazury zazgrzytały po betonie.

— Jest! Tu, tam...

Sella błyskawicznie wyprowadziła realot z hangaru. Aparat uniósł się nad miastem...

Ale w powietrzu nic zapachu zerwała się. Na próżno Sella rzucała realot na wszystkie strony, nabierała wysokości lub opadała w dół. Wreszcie kiedy trafili w strumień powietrza wznoszący się pionowo ku górze. Wilk ożywił się.

— Niżej, niżej...

— Niżej?

— Tak!

Sella zawahała się. Poniżej był szyb wentylacyjny. Jego obramowana światłami gardziel połyskiwała jak naszyjnik. Lecieć tam? Przepisy nie pozwalały na to. Jechać windą, a polem iść? A jeżeli później realot też będzie potrzebny? Nakręciła numer Borka.

Twarz kosmonauty, która ukazała się na ekranie, wyrażała niezadowolenie i napięcie. Na widok Selli rozchmurzyła się.

— Znaleźliście?

Sella wytłumaczyła, o co chodzi.

— Proszę się o nic nie troszczyć — powiedział szybko Bork. — Do diabła z przepisami, zaraz

połączę się ze służbą patrolową. Ale szybciej, jak najszybciej!

— One są żywe?

— Nie! Może to nawet gorzej... Proszę nie wypytywać. Na wolności mogą być dwa lub nawet trzy nasiona.

— I co one mogą?...

— Czekamy na ostateczny wynik. Natychmiast zawiadomię. Wyłączam się.

Ekran zgasł.

Realot nieruchomo wisiał nad gardzielą. Wiatr napierał nań i lekko nim kołysał. Sella zagryzła wargi i patrzyła w dół. Otwór był tylko nieco szerszy od średnicy realotu.

— Trzymaj się, Wilku.

Realot poleciał kamieniem w dół. Tylko tak można było wykonać ten manewr przy bocznym wietrze. Zamigotały lampy, stropy, pasaż, czyjeś wystraszone twarze na galeriach.

— Jeszcze niżej?

— Tak.

Kondygnacja podziemna była odgradzona kratą filtracyjną. Sella włączyła syrenę i wprowadziła realot w przestrzeń kondygnacji naziemnej. Wiedziała, że pół kilometra dalej znajduje się śluza transportowa. Z minimalną szybkością leciała tuż nad chodnikiem, bezpośrednio nad głowami ludzi. Z dołu dobiegły ją krzyki.

Co oni sobie o mnie myślą?! — przemknęło jej przez głowę.

Błyski lamp migocące w oczach, echo grzmiące między ścianami i wreszcie śluza!

— Czujesz?

— Tak, tak!

Wilk dyszał jak po szybkim biegu. Polowanie cieszyło go, cieszył szalony pościg za wrogiem, który w jakiś sposób zagrażał Selli.

W kondygnacji podziemnej poza arteriami transportowymi mieściły się również magazyny i urządzenia komunalne. Teraz jednak pole widzenia ograniczały ściany tunelu. Latanie tutaj było czystym szaleństwem, ale Sella wszystko sobie przemyślała. Prowadziła realot po tej stronie, po której nie mógł przebiegać ekspres biegnący z przeciwka. Powinien przejechać obok, zaledwie o dwa metry od lewego skrzydła. Było to więcej niż ryzykowne, ale Sella uznała, że zdoła jakoś uskoczyć, jeżeli dojdzie do spotkania.

Przeciągły huk z przeciwka zastał ją w tej samej chwili, kiedy ukazał się peron. Rzeczywiście zdążyła uskoczyć i zawisnąć nad platformą. Oczekujący na dworcu ludzie rozbiegli się na wszystkie strony.

Dalej nie było sensu lecieć. Sella i wilk wyskoczyli z realotu. Ludzie do niej krzyczeli, ale nie słyszała okrzyków. Tak, takiego popłochu jeszcze nikt nie wywołał...

Wilk biegł skokami i Sella ledwie nadążała za nim. Schody, pasaż, znowu schody... Sella zaczęła tracić oddech. Wilk zwolnił. Ludzie, obok których przemykali, nieruchomieli ze zdumienia. Widok był rzeczywiście malowniczy: rosły, potężny basior i biegnąca za nim drobniutka, ubrana w biel dziewczyna z rozwianymi włosami.

Kwadratowy podest. Drzwi jednej z wind rozsunęły się. Dwoma wspaniałymi susami Wilk wyprzedził Sellę. Jakaś staruszka już uniosła nogę, kiedy Wilk wskoczył do kabiny i miękkim pchnięciem zmusił kobietę do cofnięcia się.

Staruszka krzyknęła i w tym krzyku Wilk dosłyszał nutki tego samego atawistycznego lęku, który czasami budził się w nim samym jako pamięć o dalekich dniach, kiedy to wilki bały się ludzi, a ludzie bali się wilków.

— Co... ty... Wilku...

Ostry ból w piersi przeszkadzał Selli w mówieniu. Zamiast odpowiedzi Wilk postawił łapy na trzewiku kobiety.

— Wy... wy... — staruszka dławiała się ze strachu i oburzenia.

— Przepraszam... Niech pani z łaski swojej podniesie nogę...

Kobieta zupełnie utraciła dar mowy i dar ruchu, wobec tego Sella sama uniosła jej stopę. W jednym z nacięć podeszwy trzewika tkwiły dwa znajome ziarenka piasku..

I to wszystko. Dokoła tłoczyli się oburzeni ludzie. Wilk na wszelki wypadek wysunął się do przodu i niedbale ziewnął, ukazując imponujący garnitur kłów.

— Wilku, spokój! Przepraszam — rzuciła Sella kobiecie i przy okazji pozostałym. Wydobyła kieszonkowy wideofon i natychmiast zapomniała o otoczeniu.

— Znaleźliśmy, znaleźliśmy! — krzyknęła, jak tylko twarz Borka ukazała się na ekranie.

— Ile? — nastąpiło pospieszne pytanie.

— Oba!

— Sello, ich może być trzy.

— Ciszej proszę! — zwróciła się do krzyczącej kobiety. — To nie do pana... Sprawa jest tak poważna?

— Poważniejsza być nie może. Przy rozmnażaniu się ziarenka pochłaniają ciepło. I to jak! Mogą zamrozić planetę. Nigdy bym nie uwierzył, że to jest możliwe. Ale fakty... Szukajcie, Sello, szukajcie! Zaraz zawiadomimy wszystkich, my... Wzywają mnie, przepraszam.

Sella nie zauważyła, jak dokoła zapadło milczenie. Ludzie słyszeli rozmowę i pospiesznie rozstępowali się przed nią. Tylko staruszka jeszcze coś mamrotała.

— No i widzisz. Wilczku — powiedziała cicho Sella. — Musimy zacząć wszystko od początku.

Kiedy wydostali się na górę, burza już się zaczęła. Migotanie błyskawic zwielało się w przezroczystych płaszczyznach ścian. Potoki wody na moment rozbłyskiwały srebrem i znikwały w ciemnościach. We wszystkich kierunkach przemykały realoty z psami i urządzeniami analizującymi zapachy. Sella przemokła do nitki, ledwie wyszła na otwartą przestrzeń. Wilk długo krążył w miejscu, ale niczego nie wyczuł. Wsiedli do realotu. Czas płynął, ręce dziewczyny zdrętwiały od ściskania steru, a śladu ciągle nie było. Sella co chwilę łączyła się z Borkiem. Wiadomości były złe. Nigdzie niczego nie znaleziono.

— Może jednak były tylko dwa?

— Nie — odpowiedział Bork zdecydowanie. — Wszystkie ziarenka potroiły się.

— I nadal się dzielą?

— Przestały. Ale czy na długo? Na razie ani jednego wypadku czwartej generacji. Szukajcie trzeciego ziarenka, dopóki znów się nie zaktywizują.

— Szukamy.

Wilk nie mógł sobie znaleźć miejsca w kabinie. Zgodnie z ostatnim rozporządzeniem miasto wsysało powietrze tylko przez zewnętrzne śluzy naziemne i tłoczyło je ku centrum, aby wyrzucić je potem pionowo do góry. To naruszało zwykły obieg, wewnątrz miasta buszowały huragany, ale za to wszystkie zapachy zbiegły się ku dyżurującym w górze realotom. Wilk miotał się od jednego otwartego okienka ku drugiemu, nozdrza rozszerzały mu się jak miechy. Już, już wydawało mu się, że złowił... Za każdym razem nadzieja gasła. Możliwe, że poszukiwane ziarenko trafiło do kolektora odpływowego, możliwe, że wiatr uniosł je, jeszcze przed deszczem, daleko za miasto — wszystko mogło się zdarzyć.

„Na lewo, w górę, w dół, na prawo” — Sella wykonywała komendy jak automat. Chyba po raz

pierwszy w historii człowiek bezwzględnie podporządkował się Wilkowi.

Już dwukrotnie uderzał mu w nos jakiś zastanawiający zapach. Sprawdził go: nie, nie zgadza się. A jednak był to niezwykły zapach. Nie plastik, nie stal, nie drewno... Ale i nie ziarenko.

Wilk nie powiedział niczego. W kabinie świszczał wiatr. Mózg zwierzęcia pracował na zwolnionych obrotach. Wydawało mu się, że o czymś zapomniał i starał się teraz przypomnieć to sobie. Jeszcze przez jakieś pół godziny krążyli nad miastem. Potem zapach powtórzył się.

— Na lewo.

Sella posłusznie skrzyła.

— Bliżej. W górę! Opuść. Bliżej!

— Bliżej nie można. Rozbijemy się o ścianę domu.

— Trzeba.

— Wyczułeś?

— Dziwny zapach. Jeżeli ono nie jest z ziemi, to może być dziwne dwukrotnie.

— Jaśniej, Wilku, jaśniej!

— Ziarenko piasku może być dziwne?

— Tak, tak! — Oboje krzyczeli, aby pokonać świst wiatru. — Zrozumiałam! Jeśli ziarenko namokło, to jego zapach mógł zmienić się nie do poznania, nie tak, jak w wypadku ziemskich materiałów! O to chodzi?

— Możliwe.

— Gdzie jest?

— Tam!

Budynek był opasany wąskim gzymsiem. „To” znajdowało się gdzieś pośrodku. Sella gorączkowo zastanawiała się, co zrobić. Gdyby tu były okna starego typu! Ale przez szklaną ścianę nie można przedostać się na gzyms.. Trzeba było posadzić realot na wiszącym balkonie i stamtąd...

Balkon był nieco szerszy od realotu. W oczekiwaniu uderzenia Sella zmrużyła oczy. Wilk wyskoczył, gdy tylko otworzyła drzwi. Wiatr wcisnął ją w siedzenie. Wilk przeciskał się między prętami balustrady. Sella spojrzała w dół i zakręciło się jej w głowie. Ale Wilk już szedł po gzymsie tak, jakby to była deska ułożona na ziemi. Sella wstrzymała oddech.

Metr, jeszcze jeden, jeszcze i jeszcze... Wilk znieruchomiał. Błyskawice dwukrotnie oświetliły jego szeroki, mokry kark.

„Na co on czeka, na co?” — zastanawiała się Sella. Bała się krzyczeć, aby nie przestraszyć zwierzęcia.

Ułożywszy pysk na mokrym gzymsie Wilk próbował coś zrobić. Sella uchwyciła się mokrej balustrady i wychyliła do przodu. Wilk podniósł głowę. I nagle zrozumiała, że Wilk znalazł to, czego szukali. Znalazł i nie może zabrać, bo nie ma posłusznych ludzkich palców...

Sella złodowaciała. Wilk wolno cofał się po gzymsie. Można było oczywiście wezwać ludzi z aparatami plecowymi, ale kto zaręczy, że strumienie wody nie zmyją w tym czasie ziarenka? Bezpośrednio pod balkonem, u podnóża gmachu, znajdował się lej kolektora, a stamtąd już niczego nie można wydobyć.

Nos Wilka dotknął jej kolana. Słowa nie były potrzebne. Wilk żądał działania.

Sella przerzuciła nogę przez balustradę. Zachowywała się jak w gorączce, a jednocześnie była zadziwiająco spokojna. Przywarła plecami do ściany budynku. Stopy mieściły się na gzymsie. Wiedziała, że nie wolno patrzeć w dół. Patrzyła więc prosto przed siebie i widziała tylko ognistą iglicę Wieży Kosmicznej. Tryskający w niebo słup płomieni dawał jej przynajmniej myślowe oparcie. Zrobiła krok. Plecami czuła drobne nierówności ściany. Nogi miała jak obce. W bok trącał

ją wiatr.

Jeszcze jeden krok. Im silniej przyciskała się plecami do ściany, tym bardziej czuła jej dygotanie. Budynek płynnie się kołysał. Amplituda drgań była minimalna, ale naruszała nietrwałą równowagę, w której zastygła dziewczyna. Ściana domu, niczym dłoń oparta o plecy, miękko, lecz nieubłaganie odpychała ciało.

Sella zamarła z rozpostartymi rękami. Teraz kołysała się również Wieża Kosmiczna. Tak, kołysała się, a wraz z nią kołysała się Sella. Ciemność w dole przyciągała wzrok jak magnes. Sella zamknęła oczy. Zniknęło wszystko, zostało tylko miarowe drganie ściany. I boczne uderzenia wiatru. I chłód oblepiającej ciało mokrej odzieży.

Ciało z wolna chodziło w rytm uderzeń i drgań, niezależnie od świadomości odszukiwało kompensacyjne ruchy, które dawały równowagę.

Z zamkniętymi oczyma dziewczyna postąpiła kilka kroków. Wszystko byłoby proste, gdyby nie wyobraźnia. Nie warto było zamykać oczu, jeśli wyobraźnia rysowała nie tylko przepaść pod nogami, nie tylko znikomą szerokość gzymsu, lecz także upadek w dół... Wyobraźnia przejęła kontrolę nad ciałem, narzucając mu swój gorączkowy rytm. Sella zadygotała. Zaczęła się kołysać, tracić równowagę, dławić z przerażenia.

Ostre zęby zacisnęły się jej na łydce. Sella westchnęła z ulgą. Widziadła zniknęły. Noga tkwiła w paszczy Wilka jak w nieruchomym uchwycie. Osłabłe ciało znalazło nieoczekiwanie pewny punkt oparcia.

Minęło kilka sekund. Dziewczyna nie zdecydowała się na otwarcie oczu. Odpoczywała po strachu narzuconym jej przez grę wyobraźni. Zęby Wilka niezawodnie utrzymywały ją nad przepaścią. Dopiero teraz Sella zrozumiała cały bezmiar swojego szaleństwa i zadufania, które pchnęło ją na gzyms. Męstwo i zdecydowanie nie wystarcza: tu potrzebne było doświadczenie. Już by leżała na dole, gdyby nie podpora, którą dał jej Wilk. Gdyby nie poczucie realności, które jej przywrócił.

Twardy nacisk zębów odebrała jak rozkaz. Przystawiła jedną nogę, podciągnęła do niej drugą. Nie trzeba było o niczym myśleć, nie trzeba było niczego czuć, należało poruszać się z zamkniętymi oczami, podporządkowując się komendom zwierzęcia. Czysto mechaniczne działanie ubezpieczone obejmującym łydkę zaciskiem. Oczu nadal nie otwierała, aby nie spłoszyć błęgiego spokoju. Ciało samo znajdowało równowagę, bo rozum przestał w tym przeszkadzać.

Wreszcie lekkie ugryzienie powiedziało jej: „Stop!” Zaczynało się najtrudniejsze. Trzeba było otworzyć oczy i spojrzeć w dół...

Błyskawice nieustannie rozświetlały niebo, ale Sella widziała tylko to, co chciała widzieć: szorstką, chłostaną ulewą powierzchnię gzymsu. Fosforyczne światło upodobiało ją do księżycowej równiny. Za skrajem tej równiny przyczaiła się ciemność.

Selli wydawało się, że widzi ziarenko, ale nie była tego pewna. Trzeba było pochylić się. Wiatr zmienił kierunek i dmuchał teraz w pierś. Zjawiała się jeszcze jedna niepewna podpora.

Dziewczyna zgięła kolano i przeniosła nań ciężar ciała. Kamienna równina wyolbrzymiała. Ale kiedy Sella pochyliła się, w pole widzenia wtargnęła roziskrzona ogniami przepaść.

Nie wywarło to na nią takiego wrażenia, jakiego się lękała. Świadomość, zogniskowana na jednym, jedynym celu, wytrzymała. Jedynie gdzieś w głębi duszy drgnął poprzedni strach.

Teraz Sella dokładnie widziała ziarenko. Leżało w pobliżu krawędzi i lekko drgało pod uderzeniami padających kropel. Mogło tak pewnie leżeć bardzo długo, ale równie dobrze mogło stoczyć się za chwilę.

Przez jakiś czas nie było błyskawic. Potem zapłonęło od razu kilka. Ziarenko rozbłysło jak

brylant. Sella szybko wyciągnęła rękę.

Kiedy wrócili na balkon, Sella oparła się plecami o ścianę. Podłoga słabo wirowała. Ręka dziewczyny leżała na karku Wilka i Sella czuła, jak stopniowo uspokaja się urywany oddech zwierzęcia, którego wyobraźni były dostępne jej ostatnie przeżycia. Obojgu jednakowo łomotały serca. W dole leżało omywane deszczem miasto — ich miasto. Kojąco postukiwały krople deszczu. Podłoga wirowała coraz wolniej, wreszcie znieruchomiła.

Przełożył Tadeusz Gosk

Dymitr Bilenkin
Adskij modern

Cyrograf

Stiepan Porfiriewicz Demin — pięćdziesięcioletni mężczyzna o pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu spojrzeniu i przeplatanych mysią siwizną włosach — był niezgorszą kanalią. Nic więc dziwnego, że pewnego pięknego dnia zgłosił się do niego diabeł.

Urzędnik piekieł ubrany był w świetny garnitur z syntetycznego materiału, białą niemnącą koszulę i srebrzysty krawat. W szponiastych łapach trzymał elegancką teczkę w stylu „attache”, a w pysku dymił mu się amerykański camel.

— Ma pan na koncie dokładnie trzydzieści trzy świństwa — uprzejmie oświadczył Dominowi. — Tym samym nabyliśmy prawa do pańskiej duszy.

— Chwileczkę! — obruszył się Demin, nie zaproponowawszy nawet gościowi, aby usiadł. — O ile mi wiadomo, limit świństw...

— Ma pan całkowitą rację! Ale nie dalej jak miesiąc temu kierownictwo piekieł obcięło limit. Dokładnie dwukrotnie...

— Ależ to bezprawie! Samowola!

— I znów ma pan absolutną rację: bezprawie. Obecnie w wielu miejscach świata bezprawie jest w modzie. Faszystowskie przewroty, gwałcenie konstytucji, junty wojskowe... Nie ma co gadać, piekło stara się dotrzymać kroku postępowi w ogóle, a zbrodniom w szczególności.

— Mogliby przynajmniej uprzedzić.

— Ależ co pan! Przecież to już nie byłaby czystej wody samowola, nie rozumie pan?

Czart dobrotliwie się uśmiechnął i usiadł pomachując ogonem. Demin przygnębiony skinął głową, ale nieoczekiwanie olśniła go nowa myśl.

— Pański dowodzik poproszę...

Diabeł niedbale rzucił na biurko swój dowód.

Demin włożył okulary, znacząco kaszlnął, pomacał okładkę dokumentu i porównał diabelski pysk z wizerunkiem na zdjęciu. Potem przejechał paznokciem po piekielnej pieczęci i z westchnieniem zwrócił dokument diabłowi.

— Teraz chciałbym się zapoznać z zasadami konfiskaty dusz — powiedział, obrzucając diabła ciężkim spojrzeniem.

— Proszę się nie niepokoić, nie są skomplikowane. Po pierwsze...

— Nie trzeba. Powinien pan mieć instrukcję.

Diabeł skrzywił się kwaśno.

— Przekłeta biurokracja! — warknął. — Przecież naukowo udowodniono...

— Nauka nauką, a papierek papierkiem — pouczającym tonem odezwał się Demin. — Dlaczegoż bym miał wierzyć panu na słowo? To nie w moim stylu, a mam nadzieję, że i nie w piekielnym.

Diabeł pokornie pochylił głowę i wy dostał z teczki ciężkie tomisko, na którego grzbiecie gorzało ogniste słowo: Instrukcja.

Stiepan Porfiriewicz zagłębił się w studiowanie książki. Posapując z zadowolenia podnosił od

czasu do czasu pytająco brwi, w nabożnym skupieniu poruszał wargami, skrupulatnie analizując tekst. Jego pozbawione zazwyczaj jakiegokolwiek wyrazu oczy błyszczały teraz, jakby skropione życiodajnym balsamem.

Nudzącemu się czartowi sprzykrzyło się to wreszcie i bezceremonialnie rozwaliwszy się w fotelu włączył telewizor. Szedł akurat mecz hokejowy. Gra tak go pochłoneła, że zapalił naraz dwa camele, nastawiwszy uprzednio na maksimum siłę głosu odbiornika.

— Przeszkadza mi pan — zrzędliwie zauważył Demin.

— No i bardzo dobrze — nie odwracając nawet głowy odparł tamten. — Trudności stwarza się po to, aby je pokonywać. Zgadza się pan ze mną?

Demin popatrzył kątem oka na podrygujący z emocji ogon diabła i nic nie odpowiedział. Sam był mistrzem w stwarzaniu wszelkiego rodzaju trudności. Obdarzywszy diabła śmiercionośnym spojrzeniem, znów pogрузzył się w lekturze.

— Taaak... — powiedział wreszcie. — Zrobiona z głową, nie powiem. A ja myślałem, że cyrograf trzeba pisać krwią.

— Przeszarżała, absolutnie niehigieniczna zasada! — parsknął diabeł. — Proszę, oto blankiet, niech go pan wypełni i kończymy ten interes.

Nawet nie wysilił się, żeby oderwać wzrok od ekranu telewizora, na którym upływały ostatnie minuty meczu; wynik jednak w dalszym ciągu nie był przesądzony. Potrzebny blankiet sam wyskoczył z teczki i legł przed Deminem. Ten ostrożnie wziął go w palce, przyciągnął ku sobie i niewyraźnym, urzędniczym pismem wypełnił rubryki. Gdy tylko postawił datę i podpis, z teczki wyskoczyła wielka okrągła pieczęć i z hukiem ostemplowała dokument.

Zapachniało piekłem.

— Więc co ze inną? Mam się zbierać? — zapytał Demin.

— Cicho!!! — ryknął diabeł, hałaśliwie fetując decydującego gola. Wreszcie, wyłączony telewizor, z promieniejącym pyskiem odwrócił się do swojej ofiary.

— No co? Wypełnił pan? Przepysznie. Tak... tak — wszystko zgodnie z przepisami. Lubię mieć do czynienia z wykształconymi grzesznikami.

Końcem szpona złożył na dokumencie swoją parafkę.

— Teraz migiem zlatuję do piekła, zarejestruję cyrograf i... No, stary, nie załamuj się! „Wszyscy jesteście straconym pokoleniem” — jak powiedział Hemingway. Wszystkim wam jest pisane smażenie w kotle, pardon, w piekarniku na podczerwień. *C'est la vie!*

Pomachał cyrografem, zamknął teczkę z trzaskiem i ze słowami: — Niech się pan nie niepokoi, męki mamy opracowane zgodnie z ostatnimi osiągnięciami psychoanalizy! — zniknął.

Nie minęła jednak minuta, kiedy pojawił się z powrotem.

— Wiesz co, stary? — niedbale się odezwał. — Trzeba będzie przepisać ten cyrografik.

— A to dlaczego? — zachnął się Demin.

— Wypełnił pan blankiet atramentem. A atramentem nie wolno, do tego jeszcze fioletowym. Tylko długopisem albo jeszcze lepiej — flamastrem. Nasze piekło, powtarzam, stara się iść z postępem, a w szczególności z postępem techniki biurowej. Proszę to przepisać.

— Nie przepiszę! — zdecydowanie powiedział Demin.

— Jak to nie?!

— Bo nie. Nie trzeba się było zachwycać Hemingwayem czy jakimś tam innym waszym nowoczesnym, tylko dopilnować właściwego wypełnienia blankietu.

— No, no... — bez przekonania odezwał się diabeł. — Limit pańskich świństw jest wyczerpany, toteż...

— Toteż, młody człowieku, cyrograf raz podpisany przez pełnomocnika piekieł, w przypadku stwierdzenia post factum niezgodności z wymaganym wzorcem z racji zdrady lub podstępu duszodawcy, podlega przepisaniu jedynie za zgodą tego ostatniego. Jeśli natomiast zgoda taka nie zostanie wyrażona, to duszodawca, zgodnie z paragrafem 117, nie podlega już zaszeregowaniu do grupy „kanalii”, a do grupy „wyjątkowych bydlaków” i jako takiemu przysługuje mu podwójny limit podłonikczerności. Tak mówi wasza Instrukcja i dobrze by było, gdyby ją pan raz jeszcze przeczytał.

Rogi i kopyta diabła pobladły.

— Ależ to są formalności — wyszeptał.

— Za ich niedopilnowanie otrzyma pan wymówienie. Niech więc pan natychmiast znikną z moich oczu, zaklinam na Instrukcję! Raz!

— Proszę posłuchać! — wrzasnął diabeł, paskudnie zalatując siarką. — Zgoda, pańska podłość wzięła górę, ale na przyszłość... Skąd, skąd pan wziął atrament?! Przecież nie sposób go uświadczyć, choćby za nieśmiertelną duszę?!

— Ja, młody człowieku, jestem w pewnym sensie, he-he, konserwatystą. I jak pan widzi, czasem się to przydaje.

Przełożył Krzysztof Malinowski

Walentyna Żurawłowa
Snieżnyj most na propastiu

Śnieżny most nad przepaścią

Oszaleć można! Artykuł zupełnie mi nie wychodzi! Otwieram na przykład w pierwszym lepszym miejscu „Woprosy psychologii”. Największa niezgodność między dwiema hipotezami określana jest przez przeciętną wartość i dyspersję sumy zmiennych przypadkowych, która równa jest sumie wartości średnich i dyspersji rozkładu, z którego czerpane są zmienne. Dobrze, co? Dyspersji, i sumy... która... z których...

Artykuł jest co prawda o niczym, ale jak brzmi!

— Skrihas? — pyta Postrach Ośmiu Mórz w swoim wątpliwym esperanto. — Piszesz, mówię? Stoi u wejścia do namiotu, trzyma patelnię, a słońce wesoło lśni na jego łysinie.

— Wejdz, dziadku — zapraszam. — Widzisz, idzie mi całkiem malbone. Jak po grudzie.

— Zdarza się! — uspokaja mnie Postrach Ośmiu Mórz. Stawia patelnię na służącej za siół skrzynce i mamrocze: — Szi iris preter dorno sia... nie: domo de sia onklo. Ona szła koło domu swego wujka.

— Sia onklo. Swego wujka. Ćwiczę przyimek „preter”. A tobie przyniosłem rosta fisz. Czyli pieczonego głowacza.

Jem głowacza, słucham gadania dziadka i przychodzi mi do głowy świetny pomysł. Co prawda moje próby pisania językiem naukowym różnią się nieco od esperanckich popisów Postrachu Ośmiu Mórz, ale... A może by po prostu opowiedzieć, w jaki sposób odkryto efekt AS? Niech redaktorzy sami wyrzucą, co zbędne, uściślą terminologię, słowem, zrobią to, za co im płacą. Najważniejsze są fakty.

— Li rigardis... rigardis... — Postrach Ośmiu Mórz smutno wzdycha. — Zapomniałem, rozumiesz. A niech to!... On patrzył li rigardis. A gdzie on, kurza noga, rigardis? Zapomniałem. No dobra, ty sobie skribu, dona skribu, a ja pójdę przygotować sieci.

A oto historia odkrycia efektu AS:

Początek tej historii ginie w pomroce dziejów. Rzecz zaczęła się w zaprzyszłych czasach, kiedy mieszkaliśmy w swoim Taganrogu i chodziliśmy do szóstej klasy. Od tamtej pory minęła już cała wieczność! Pięć lat... Tak, pięć i pół roku!

Byliśmy wtedy w szóstej klasie, kończył się trzeci okres, a Nastia miała dwóję z matematyki. I właśnie od tej dwójki wszystko się zaczęło.

Już od pierwszej klasy stosunki Nasti z matematyką były mocno napięte, ale teraz sytuacja stała się wręcz katastrofalna. My — czyli ja i i Sasza Gejm — usiłowaliśmy Nastię z tych kłopotów wyciągnąć. Ja się z nią po prostu przyjaźniłam, a poza tym jako starosta klasy musiałam coś z tymi jej dwójkami zrobić. A Gejm już wtedy był cudownym matematycznym dzieckiem i zadania domowe rozgryzał jak pestki. Co prawda w pełni rozwinął skrzydła później, ale dla nas już wtedy był matematycznym geniuszem. Pracował z Nastia prawie w każdy wieczór, a ja mu pomagałam; beze mnie nie wytrzymałby nerwowo. Harowaliśmy jak konie, ale nic z tego nie wychodziło. A nad nami wisiało widmo klasówki z matematyki, która miała być w czwartek.

Tak więc zebraliśmy się przed klasówką u Nastii i zaczęliśmy rozwiązywać zadania. Tego wieczoru Gejm aż kipiał ze złości. Poprzedniego dnia dostał książkę matematyczną, czytał ją na lekcjach pod ławką i teraz marzył tylko o jednym: żeby się stąd urwać, polecieć do domu i czytać, czytać...

— Spróbuj trochę pomyśleć! — powiedział wściekły Sasza, mnąc i rzucając do kosza kolejny arkusz papieru z nieprawidłowym rozwiązaniem. — Nie można brać się za zadanie, nie przeczytawszy dokładnie warunków! Z czego ty się śmiejesz?!

— W okularach odbija ci się lampa — wyjaśniła Nastia — w każdym szkle jedna lampa. I kiedy się złościsz, lampy błyskają, jakby się miały przepalić.

— Mamy dwa punkty — kamiennym głosem powiedział Gejm. — Punkt A i punkt B. Rozumiesz? — położył ołówki po obu stronach podręcznika. Nastia przestała się śmiać. — Odległość między punktami wynosi osiem kilometrów. Dociera to do ciebie? Z punktu A wyszedł pieszy, idący z prędkością pięć kilometrów na godzinę. W tym samym czasie i w tym samym kierunku z punktu B wyruszył autobus. Zauważ, że poruszają się w jedną stronę, to ważne!

— A dokąd się wybierają? — zapytała Nastia.

— Tu! — ryknął Gejm i wskazał ręką na brzeg stołu. — Co ci zresztą za różnica, dokąd?! Najważniejsze, że poruszają się w jednym kierunku, a autobus w ciągu dwunastu minut dogoni pieszego. Trzeba obliczyć prędkość autobusu.

— Dobra — powiedziała Nastia. — Nie drzyj się. Obliczę. I zaczęła rozwiązywać zadanie, popatrując na ołówki. Gejm siedział na parapecie i patrzył na zegarek.

— Uff — radośnie westchnęła Nastia. — Popatrzcie, sto siedemnaście dzieli się bez reszty przez trzydzieści dziewięć! Czyli wszystko się zgadza! A bałam się, że się nie podzieli! Odpowiedź: trzy kilometry na godzinę!

— Trzy kilometry! — Gejm zawył i podskoczył na parapecie. — Nastia, ty jesteś rzadka kretynka! Pieszy idzie z prędkością pięć kilometrów, autobus rusza po nim, dogania go, co znaczy, że porusza się szybciej niż pieszy! Zastanów się: w jaki sposób autobus dogoni idącego, jeżeli będzie się włókł trzy kilometry na godzinę?!

W tym momencie musiałam wkroczyć, bo Nastia obraziła się za „rzadką kretynkę”. Przekartkowałam podręcznik i znalazłam inne zadanie, łatwiejsze:

O dziewiątej rano wyruszył ze stacji pociąg towarowy, w południe ekspres. Prędkości pociągów są znane, trzeba obliczyć, o której godzinie ekspres dogoni pociąg towarowy.

— Dobra, założmy, że nie jesteś kretynka — wielkodusznie zgodził się Gejm. — Nie upieram się. Ale myśleć logicznie to ty nie potrafisz. To uważam za pewnik! Nawet jeśli byś przeczytała książkę Puya „Matematyka i rozważania o metodzie”! Puy przedstawia ogólną teorię rozwiązywania zadań: rozwiązywać należy mianowicie zawsze od końca!

— Ja zawsze rozwiązuję od końca — zauważyła Nastia. — Patrzę na odpowiedź i potem rozwiązuję...

— Patrzę na odpowiedź! Przecież ja mówię zupełnie o czymś innym! Rozwiązywać zadanie od końca to znaczy uświadomić sobie, czego właściwie szukamy! Na przykład w tym zadaniu trzeba obliczyć czas. Co to jest czas?

— Czas... no wiesz, czas... Czas płynie!

— Czas to odległość dzielona przez prędkość! Zrozumiano?! Prędkość znamy. W tym przypadku jest to różnica dwóch prędkości. A jeżeli poznamy odległość, zadanie będzie rozwiązane. Jasne?

— Nie! Nie potrafię od końca! Od odpowiedzi potrafię, a od końca nie! Gejm wyraźnie chciał się wyzłośliwić, ale pokazałam mu pięść. Nastia długo wojowała z zadaniem, mnożyła i dzieliła

jakieś sześciocyfrowe liczby...

I w końcu zapoznała nas z wysiłkiem swoich wysiłków: ekspres dogoni pociąg towarowy o godzinie dziesiątej.

— Popatrz, Kira, z nim jest coś niedobrze — powiedziała wystraszona Nastia, pokazując na Gejma. — Przyjrzyj mu się!

Nic dziwnego! Ekspres dogonił pociąg towarowy na dwie godziny wcześniej, niż sam wyruszył ze stacji! Żal mi było Gejma, rozumiałam jego cierpienia, ale tak czy inaczej trzeba było przygotować się do klasówki.

Gejm ponuro zerkał na zegarek, a ja dałam Nastii jeszcze jedno zadanie:

— Z tym sobie na pewno poradzę — niepewnie powiedziała Nastia. — Nie denerwuj się, Sasza! Sam mówiłeś, że Einstein też łapał w szkole dwóje z matematyki! A ty się mnie czepiłeś! Rozumiem to zadanie, zaraz je rozwiążę! „Z kipiącego czajnika odlano dwie trzecie wody”. To znaczy, że w czajniku pozostała jedna trzecia. Widzisz, że wszystko rozumiem! „Uzupełniono czajnik wodą o temperaturze 20 stopni. Obliczyć temperaturę wody w naczyniu”. Więc w sumie są tu cztery pytania...

Gejm podszedł i zaczął się przyglądać, jak Nastia przystępuje do rozwiązywania problemu temperatury wody w czajniku. Nastia napisała cztery pytania, wyprowadziła odpowiedź i westchnęła z ulgą. Gejm zzieleniał. Złapał swoją czapkę, trzasnął drzwiami i wyszedł. Nawet „do widzenia” nie powiedział!

Zmieszana Nastia mrugała oczami, z trudem powstrzymując łzy:

— Nie chciałam go obrazić! — powtarzała. — Kira, przecież nie chciałam go obrazić! Dlaczego sobie poszedł?!

Miała jeszcze wątpliwości! A co mógł zrobić Gejm, jeżeli wedle wyliczeń Nastii woda z czajnika miała 240 stopni?!

Gejm sobie poszedł, ale ja musiałam zostać. Przy czym nie tylko nie znałam książki Puya „Matematyka i rozważania o metodzie”, ale w najmniejszej nawet mierze nie byłam matematycznym cudownym dzieckiem. Chodziłam na kółko teatralne, rozmawialiśmy tam nie o matematyce, lecz o metodzie Stanisławskiego. W domu też rozmawiałam o Stanisławskim, bo moi rodzice oboje pracowali w teatrze. I dlatego postanowiłam uczyć Nastię matematyki wedle metody Stanisławskiego. Po prostu nie miałam innego wyjścia.

— Przestań wyc! — powiedziałam do niej surowo. — Przestań wyc i spróbuj wyobrazić sobie, co wydarzyło się w zadaniu! Tak jakby to było kino! Albo teatr! Oto po drodze idzie pieszy. Wyobraź sobie tę drogę. Wyobraź sobie pieszego. Kto to jest, jak jest ubrany... I dokąd właściwie idzie. A do tego pada deszczyk, taki drobny, paskudny deszczyk, wyobrażasz sobie? I jasna sprawa, że pieszego to irytuje, że złości się sam na siebie, że nie chciało mu się zaczekać na autobus. I zastanawia się: autobus go dogoni czy nie?

— Nie! — przerwała Nastia. — On wie, że autobus go dogoni, tylko zastanawia się kiedy? Myśli sobie: podniosę rękę i autobus się zatrzyma. A deszcz pada coraz bardziej...

Ucieszyłam się tysiąc razy bardziej niż najmocniej przemoknięty pieszy na widok autobusu.

— Nasika, jedziemy! — zakomenderowałam. — Wczuj się w ten obraz! Wszystko ci wyjdzie!

I rzeczywiście — wyszło. Gryzła ołówkę wyobrażający punkt B i patrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Patrzyła jakby przeze mnie, gdzieś bardzo daleko... I była tam droga, taka sobie zwykła nie najlepsza droga, po której szedł pieszy — sympatyczny chłopak w kraciastej koszuli, i nasłuchiwał, czy nie jedzie autobus.

— Nic z tego — westchnęła Nasika. — Autobus go nie zabrał. Ochlapał wodą, oparskał

śmierdzącym dymem i pojechał dalej. Z szybkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę.

I wcale nie patrzyła na odpowiedź! Sama znalazła te czterdzieści pięć kilometrów!

Wzięliśmy się od razu za pociągi. Co prawda z początku nam nie szło. Nastia ciągle myślała o pieszym, którego nie zabrał autobus, choć deszcz w tym zadaniu lał już jak z cebra, a schować się nie było gdzie. To wszystko przeszkadzało Nasti wczuć się w obraz pociągu towarowego, któremu jest bardzo przykro, że już—już przegoni go rozgwieżdżony ekspres. Za to w obraz kipiącego czajnika Nastia wczuła się z miejsca. Wczuwając się nawet cichutko poparSKIWAŁA. I bardzo współczuła czajnikowi. Był nienowy, zakopcony, brudny i obrośnięty kamieniem... Rączka mu się oderwała i ktoś niedbale naprawił ją drutem... A przecież kiedyś czajnik wędrował z turystami w góry!

Tak właśnie się to wszystko zaczęło.

Oczywiście nie byłam wtedy w stanie przewidzieć, co z tego wszystkiego wyniknie. Cieszyłam się tylko, że Nasika będzie miała na okres trójkę z matematyki. Dostała tę swoją trójkę. To było wspaniałe zwycięstwo i kontynuowałyśmy nasze wysiłki. Zmuszałam Nastię do wczuwania się w każde zadanie. Metoda działała pewnie, tylko wymagała wiele czasu: wcale nie jest łatwo wczuć się w obraz kołchozowego pola, które w trzech ósmych zasiano pszenicą, w dwóch dziewiątych kukurydzą, potem jeszcze coś tam, a w związku z tym należy obliczyć...

Cóż było robić, Gejm rozpoczął już wtedy swoją olśniewającą karierę i nie miał chwili czasu, a ja mogłam uczyć Nastię matematyki tylko metodą Stanisławskiego.

No i poszło — najpierw w szóstej klasie, potem w siódmej. Nastia starała się, nawet schudła z tego, i tylko oczy miała z każdym rokiem większe. Przedtem nie zwracałam uwagi na kolor Naścinych oczu, a teraz nagle zauważyłam, że wyglądają jak niebo w czasie burzy. Szare, a wydają się ciemniejsze od czarnych. Olbrzymie ślepia koloru burzowego nieba. I coraz częściej pojawiał się w nich dziwny wyraz — oczy patrzyły przez ludzi, przez ściany, gdzieś daleko, daleko, gdzie jadą pociągi z punktu A do punktu B, autobusy doganiają pieszych wędrowców. A ja wciąż popychałam Nastię:

„No, wyobraź sobie, jak to wygląda!” i nie miałam zielonego pojęcia, jak się to skończy. Wydawało mi się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku... Bo na przykład Igor Laubis ma wspaniałą pamięć, a Nina Gusiewa przeczytała masę książek... I to im właśnie pomaga. A Nastia ma zaledwie wyobraźnię...

Nie rozumiałam wtedy, że rozpoczął się eksperyment psychologiczny. Zagadnienia pamięci to cała olbrzymia dziedzina wiedzy. A nikt jeszcze nie podjął tak — jak by to powiedzieć? — tak bezczelnego doświadczenia z rozwijaniem wyobraźni... Nikt nie wiedział, że kryją się tu tak niewiarygodne możliwości.

Mieszkaliśmy w zaułku Prezydialnym, a za rogiem, na Liebknechta, mieszkał latem chłopaczek, spasiony różowy pętaK. I całe lato trenował plucie do celu. Siedzi na ławce i pluje na kartkę z kólkami. Słabo się robiło! Przez trzy miesiące nauczył się trafiać w dziesiątkę z odległości paru kroków. Do czego może doprowadzić wytrwały trening!

A Nastia ćwiczyła nie trzy miesiące, ale całe pięć lat! Nawyobrażała sobie tysiące zadań. Przy tym miała na pewno szczególny talent w tym kierunku.

Od zadań z pieszymi, pociągami i miastami przeszliśmy w bezludny świat sinusów, stożków ściętych i równań kwadratowych. Ale Nastia potrafiła wyobrazić sobie dowolny problem. Nawet funkcje trygonometryczne kąta ostrego widziała jako powiązane ze sobą cechy charakteru pewnego człowieka o nazwisku O. Kąt. Ten człowiek zmieniał się w oczach: jedne cechy wypierały drugie, coś tam bezgranicznie wzrastało, coś się bezpowrotnie traciło... Sześćdziesięciostopniowy O. Kąt był zupełnie kimś innym niż O. Kąt dwudziestostopniowy.

Ale co lam O. Kąt! W wyobraźni Nasti ożywały nawet twory tak całkowicie pozbawione twarzy, jak ikсы i igreki. Wydawało mi się, że nic mnie już nie zdziwi, ale byłam głęboko wstrząśnięta, widząc, jak Nastia traktuje ikсы i igreki — dla niej w każdym zadaniu były inne! Zameęczałam Nastię:

— Zobacz, masz tu równanie:

$$2x^2 - y = 2$$

$$x^3 - y = 1$$

i wytłumacz mi, co ty w nich widzisz?!

— No jak to? — dziwiła się Nastia. — Przecież ten iks to taki malutki, szarotki maluszek z pierwszej klasy! Popatrz, jak się nadyma — chce się wydawać starszy — podnosi się do kwadratu, do sześcianu, podwaja — ale mimo wszystko dalej jest malutki... I pyszczek ma umazany atramentem! Odejmij igrek i prawie nic nie zostanie. Ale przecież szkoda tego maluszka — tłumaczyła dalej Nastia — i myślę, że lepiej mu niczego nie odejmować. Niech ten paskudny igrek zabiera łapy i idzie sobie precz! I popatrz, teraz dokładnie widać, jaki mały jest ten iksik! Podniósł się do sześcianu, a mimo to dalej równa się zeru...

Kiedy byłyśmy w ósmej klasie, wysłano mnie do pierwszaków, bo zachorowała ich nauczycielka i trzeba było jakoś zapełnić tę godzinę. Wzięłam ze sobą Nastkę. To był bardzo ważny epizod w dziejach odkrycia efektu AS.

Wyobraźcie sobie trzydziestkę pierwszaków — wyją, krzyczą, szumią, tupią... I nagle Nastia zaczyna im opowiadać bajkę o Czerwonym Kapturku. Po minucie panuje taka cisza, że słyszę skrzyp nowych pantofelków Nasti. I ja, idiotka, cieszę się, bo nie przyszło mi do głowy, że maluchy mogą się wystraszyć. Nastia opowiada o tym, jak Czerwony Kapturek idzie przez groźny, mroczny las. Wcale nie próbuje osiągnąć jakichś artystycznych efektów: patrzy na nas — a właściwie przez nas — i opowiada o tym, co widzi. A widzi straszny las, las pozbawiony kresu, otulony ponurą fioletową mgłą, która pochłania wszelkie dźwięki. Powykręcane szare pnie otaczają Czerwonego Kapturka, a nad ścieżynką unosi się duszny opar, lepkie białe kłęby. Wijące się wężowo gałęzie bezszelestnie zamykają się za dziewczynką, odcinają jej drogę powrotną...

Te wijące — się wężowo gałęzie były ponad wytrzymałość dwóch siedzących w pierwszej ławce dziewczuszek, które rozpaczliwie się rozplakały. Ale Nastia nie zwróciła na to uwagi. A ja się speszyłam... Przecież Nastia mówiła bardzo ładnie i maluchy słuchały...

W tym momencie Nastia doszła do tego, jak Szary Wilk zjada Babcię. Wyobraźcie sobie, jak ten przeklęty wilk musiał się prezentować, jeżeli bez mrugnięcia okiem połknął babcię w całości!... I Nastia przedstawiła tego drania jak należy. Malcy rozwyli się, przyleciała zastępczyni dyrektora i wszystko skrupiło się na mnie.

Tego dnia zrozumiałam wreszcie, że z Nastia dzieje się coś dziwnego. Poszłam więc do biblioteki, wzięłam sobie podręcznik psychologii dla wyższych szkół pedagogicznych i przystąpiłam do lektury. Nie, oczywiście, nie wszystko było dla mnie zrozumiałe, ale dwie rzeczy wiedziałam już na pewno: po pierwsze po szkole idę na psychologię. Po drugie — eksperyment należy kontynuować. W ósmej klasie Nastia miała same czwórki i piątki. To znaczy, że nadmiernie rozwinięta wyobraźnia nikomu nie szkodzi.

Wtedy myślałam w ten nieco naiwny sposób. Bardzo naiwny — jak ktoś ma dobre stopnie, to wszystko jest w porządku. Teraz dopiero rozumiem, że gdybym tego wieczoru przed klasówką nie wypuściła dzina z butelki, Nastia byłaby zupełnie innym człowiekiem. I moje losy potoczyłyby się całkiem inaczej... Marzyłam przecież o filmie, o teatrze, przez trzy lata chodziłam na kółko teatralne, aż mi wreszcie powiedziano: tak nie można! Musisz wybierać! I mieli rację. Opuszczałam próby, nie

uczyłam się ról i w ogóle teatr przestał mnie interesować. Czytałam tylko książki z psychologii, przebrnęłam nawet przez dwie prace Jeana Piageta: „Problemy psychologii genetycznej” i „Równoważenie struktur poznawczych” i coraz mocniej byłam przekonana, że jestem na właściwej drodze. Widzicie, w psychologii nader silne jest to, co można by nazwać tendencją obserwacyjną. Patrzenie z boku. Nawet eksperymenty psychologiczne to też obserwacja, tyle że w lekko zmienionych warunkach. Wyobraźcie sobie, że fizycy zadowolają się doświadczeniami w niewysokich temperaturach, ciśnieniach, prędkościach; gdzie byłaby dziś fizyka? Oczywiście psychologia ma do czynienia z człowiekiem i dlatego powinna być ostrożna, ale mimo to należałoby przejść do badań nad możliwościami ludzkiego mózgu.

To zabawne. Było mi wtedy smutno, że nie mogę eksperymentować na sobie. Nie miałam nowych pomysłów. Pozostawała mi więc praca z Nastia.

Oświeciłam Nastię, że od tego momentu będzie królikiem doświadczalnym. Nastia uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie — nie! przeze mnie! — swoimi oczyskami koloru burzowego nieba.

Od tej pory zmuszałam Nastię do wczuwania się w obrazy ze wszystkich przedmiotów — z rosyjskiego, z fizyki i nawet z rysunku technicznego. Oczywiście nie wszystko szło gładko. Na przykład historia. Historia wymaga dokładności, to nie matematyka, gdzie można sobie wyobrazić pieszego wesołego albo — jeżeli wola — smutnego, można w myślach zatrzymać autobus albo kazać mu jechać dalej. Pewnego razu Nastia wyobraziła sobie, że Mienszykow, będąc już na zesłaniu, stoi przy oknie, na dworze pada deszcz, a Mienszykow ponuro i niedbale wodzi po podbródku zdezelowaną maszynką elektryczną marki Charków. Maszynka elektryczna! W pierwszej połowie XVIII wieku! Ale Nastia przysięgała, że widzi ten obraz wyraźnie, a nawet słyszy monotonne buczenie maszynki.

Lepiej szło Nasti z matematyką, fizyką i chemią. Sądzę, że nie był to przypadek. Jeżeli ustawilibyśmy wszystkie dziedziny nauki i sztuki wedle ich ścisłości, to na jednym końcu szeregu byłaby historia — nauka dokumentalna, wykluczająca wyobraźnię, a na drugim poezja, która prawie całkowicie składa się z fantazji. Matematyka, fizyka, chemia — te nauki stałyby pośrodku szeregu. Pisać wierszy Nastia na przykład nie potrafiła, jej potrzebne były dane wyjściowe: warunki zadania.

Za to matematyka szła nam wspaniale! W dziewiątej klasie przyznał to nawet Sasza Gejm.

A było to tak:

Pewnego dnia na dużej przerwie Sasza oznajmił, że ma zadanko z repertuaru komisji egzaminacyjnej na mat–fiz–chem. Basen z czterema rurami. Klasa naturalnie jęknęła: wszyscy mieli już po dziurki w nosie zadaniowych basenów, specjalnie budowanych do topienia nieszczęsnych abiturientów. Ale słowa „komisja egzaminacyjna” i „mat–fiz–chem” brzmiały mocno. Igor Laubis podszedł do tablicy, a Gejm zaczął mu dyktować zadanie: „Jeżeli odkręci się pierwszą, drugą i trzecią rurę, basen napełni się w ciągu dwunastu minut, jeżeli drugą, trzecią i czwartą — w piętnaście minut. A jeżeli odkręci się pierwszą i czwartą — w dwadzieścia. Pytanie: ile czasu potrzeba na napełnienie basenu, jeżeli będą odkręcone wszystkie cztery rury?”

Obserwowałam Nastię. Patrzyła na Gej ma i oczywiście widziała ten zadaniowy basen. Prawdopodobnie widziała rury i krany, a może nawet ludzi, siedzących na brzegu basenu i czekających, kiedy wreszcie napełni się wodą. Igor zaczął wypisywać na tablicy równania, klasa podpowiadała mu, a tu nagle Nastia mówi: „To całkiem malutki basen! Po dziesięciu minutach będzie pełen”. Gejm od razu się zjeżył i zaczął wypytywać, skąd Nastia zna odpowiedź.

— Basen — powiedziała Nastia. — Betonowe ścianki, schodki, dwie trampoliny. I rury. Takie czarne rury, na których białą farbą wypisano numery...

— Dlaczego czarne? — przerwał Laubis. — A może szare? Albo pomarańczowe?

— Czarne! Z wielkimi białymi numerami — powtórzyła Nastia. — Ja tak to widzę i nic ci do tego! Numer jeden, dwa, trzy... Płynie woda. Przez minutę wypełnią basen w jednej dwunastej. Rury dwa, trzy, cztery. Przez minutę zapełnią basen w jednej piętnastej. I znowu rury numer jeden i cztery, jedna dwudziesta objętości w ciągu minuty. Każdy numer powtarza się dwa razy, to widać wyraźnie! Osiem rur, dwa komplety po cztery. Przez minutę wypełniają jedną piątą basenu, cały basen przez pięć minut. To znaczy, że czterem rurom potrzebne jest dwa razy tyle czasu. I koniec.

— Klękajcie narody! — uroczyście oznajmił Gejm. — Logika i precyzja myślenia! Moja szkoła! Akurat! Jego szkoła!

Nieraz kusiło mnie, żeby to wszystko komuś opowiedzieć, ale nie mogłam się zdecydować. W książkach z psychologii wyczytywałam ciągle, że zdolności matematyczne idą w parze z umiejętnością abstrakcyjnego myślenia. Matematyk — pisali w książkach — myśli w sposób uogólniony, strukturami syntetycznymi. Oto zadanie określonego typu, tu trzeba iść taką drogą — myśli matematyk — a potem zrobić to i to, obliczyć owo i owo... I tak dalej. Rozumie się, że bez żadnych obrazów. Przeciwnie, myślenie matematyczne opiera się właśnie na tym, że odchodzi się od konkretnego w stronę generalizacji i symboli. Wynika z tego, że moja praca z Nastią to bzdury i herezja. Próbowalam pogadać z chłopakiem, który był na piątym roku naszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Wyszło głupio: obśmiał mnie, a ja zamilkłam.

Pozostawały książki. Masę czytałam, wydawało mi się, że musi znaleźć się książka, która rozwieje moje wątpliwości. Powoli mój pokoiczek zrobił się za ciasny dla książek. Leżały wszędzie — na biurku, na podłodze, na parapecie... Pewnego dnia, żeby zrobić trochę miejsca, wyniosłam do ojcowskiej biblioteki to wszystko, co kiedyś zebrałam o teatrze. „No tak — smutnie powiedział ojciec. — Dzisiaj dokonałaś ostatecznego wyboru. Szkoda! Byłabyś niezłą aktorką...”

Teatr... Nie miałam teraz czasu, żeby jeździć na premiery do Rostowa. Dwadzieścia cztery godziny były równie ciasne jak mój pokój. Prawie fizycznie czułam tę ciasnotę czasu...

A eksperyment trwał. Nastia miała z matematyki same piątki. Nawet razem z Gejmem trafiła na olimpiadę okręgową. Pojechałam razem z nimi. Miałam ochotę przyjrzeć się matematykom. W sumie wszyscy byli podobni do Gejma: myśleli strukturami syntetycznymi, symbolami i oczywiście nie wczuwali się w obrazy iksów i igreków. A mimo to do końca olimpiady Nastia była w czołówce. Obcięła się przed finałem. W zadaniu trzeba było obliczyć wysokość obłoków nad rzeką. Obserwator stał gdzieś z boku. A więc Nastia — jedyna! — uwzględniła przy rozwiązywaniu zadania krzywiznę Ziemi. I naturalnie niepotrzebnie. W jury nastąpił rozłam. Zdania były podzielone: z jednej strony w zadaniu nie wymagano poprawki na krzywiznę Ziemi. Z drugiej — obserwator stał daleko od miejsca, nad którym wisiały obłoki, i ta poprawka dawała różnicę około trzydziestu centymetrów.

Rozumiałam, że Nastia po prostu nie miała innego wyjścia. Ona przecież widziała te obłoki, widziała, jak odpływają za horyzont, i oczywiście zauważyła wypukłość Ziemi. Jednym słowem, Nastia obcięła punkty za mało eleganckie rozwiązanie. Wedle mnie było to niesprawiedliwe.

Określoną rolę odegrał tu czynnik psychologiczny. Członkowie jury patrzyli na Nasikę z niejakim powątpiewaniem. Bo wyobraźcie sobie towarzystwo na olimpiadzie matematycznej! Skupieni, wyedukowani, promieniujący wręcz miłością do matematyki, do wiedzy — i dlatego bardzo pewni siebie. A obok nich — Nastia. Początkująca gwiazdeczka z okładki „Sowieckiego ekranu”. Roztargniony wzrok, błędzący gdzieś w przestrzeni, żadnych notatek, karteluszków...

Gejm był pierwszy, Nastia siódma, i mimo wszystko wróciliśmy z tarczą.

— Nie dąsaj się — uspokajał mnie Gejm. — Jak na Nastkę to całkiem niezłe! W dziesiątej klasie przyłoży się, będzie w pierwszej trójce. Choć, mówiąc szczerze, nie ma do tego iskry bożej!

Rzeczywiście nie miał żadnych wątpliwości, że on tę iskrę posiada! Ach, ta próżność cudownych dzieci!

— Posłuchaj, Gejm — zaproponowałam. — Zawrzyjmy umowę: jeżeli w ciągu najbliższych pięciu lat Nastia cię przegoni, zorganizujesz salut artyleryjski!

— Jaki salut?!

Macie ich, struktury syntetyczne... Ni śladu prawdziwej fantazji!

— Normalny! Przy pomniku Piotra stoją dwie stare armaty. Naładujesz i wystrzelisz. Jeżeli wygrasz ty, to my wykonamy salwę honorową z pięciu dział. Dwa przy pomniku Piotra, dwa przed muzeum i jedno przy wejściu do stoczni remontowej. Raban będzie na cały Taganrog!

Dopiero wtedy do niego dotarło... Zawarliśmy umowę.

Pięć lat... Widzicie, istnieje w psychologii pogląd, że talent do uczenia się matematyki wcale nie gwarantuje twórczych zdolności matematycznych! Na ten temat psychologowie kłócą się już od pół wieku. A mogą jeszcze dłużej... A ja byłam w stanie ten problem rozwiązać! Nastia traktowała mnie jak sportowiec swego trenera: moje zdanie wiele dla niej znaczyło.

W sumie przekopałam się przez sterty książek i zdecydowałam, że Nastia powinna pójść na mat-fiz-chem.

W lecie od rana szliśmy na molo. Port w Taganrogu jest cichy i nieduży.

Betonowe molo stanowi ulubione miejsce wędkarzy. Całymi dniami sterczą tam ze swoimi wędkami. A my sterczałyśmy z książkami. Przez całe lato pogrążałam się w gąszcz najbardziej zawitych problemów psychologii — teorię procesów intelektualnych, epistemologię genetyczną, analizę czynnikową, modelowanie funkcjonalne... Nastia czytała podręczniki wyższej matematyki i dla wprawy serwowała mi po angielsku mrozące krew w żyłach opowieści o życiu osobistym różniczek i całek.

Coś z tego udało mi się zapisać i potem przeanalizowałam metodą Learmeckera. Rezultaty były wstrząsające: współczynnik fantazji przewyższał 250! A Learmecker mówi, że sam nigdy nie spotkał człowieka, którego współczynnik fantazji byłby większy od 160.

Opanowując technikę analizy, czytałam fantastykę naukową, baśnie, mity. Tylko w dwóch przypadkach wskaźnik fantazji przewyższał 200, co — według Learmeckera — odpowiadało fantazji genialnej.

Pod koniec lata przeprowadziłam swego rodzaju egzamin i kazałam Nasti napisać wypracowanie na temat „Piąta pora roku”. Sama też w straszliwej męce wydusiłam z siebie trzy stroniczki (współczynnik fantazji 160). Analizę przeprowadziłam wedle najostrożniejszych kryteriów, a mimo to wskaźnik fantazji wyniósł u Nasti 290 jednostek.

Naturalnie w przypadku Nasti skala Learmeckera traciła sens. To, co się u niej wykształciło, nie było fantazją w normalnym rozumieniu tego słowa. To była nowa jakość, która tak się miała do zwyczajnej wyobraźni, jak rachunek całkowity do arytmetyki.

Podczas lata wykonałam jeszcze jedną pracę: zestawiłam zbiór zadań do rozwijania ultrafantazji. Przez te wszystkie lata działałam na oślep, nie mając opracowanego żadnego systemu. Nie mogłam go zresztą mieć, bo nikt przedtem nie prowadził takich badań. A teraz wyraźnie widziałam drogi rozwijania ultrafantazji. Zdawałam sobie sprawę z popełnionych dotąd błędów. Gdybym zaczynała swój eksperyment teraz, rezultaty byłyby widoczne już dużo wcześniej...

W dziesiątej klasie Nastia miała same piątki. Gejm pojechał do szkoły matematyczno-fizycznej do Nowosybirsk i gwiazda Nasti bez przeszkód płonęła na szkolnym firmamencie.

Aha, prawda, trzeba jeszcze dorzucić parę słów o chłopcach. Sława matematyczna plus oczy koloru burzowego nieba przyciągały ich jak magnes. Najpierw mnie to przerażało. Wyobrażałam

sobie wszelkie możliwe okropności: na przykład Nastia wyjdzie za mąż i nie będzie studiować na mat–fiz–chemie. Ale Bozia strzegła! Najwidoczniej panowie nie lubią, żeby nawet najpiękniejsze oczy patrzyły przez nich, a ich właścicielka myślała Bóg wie o czym. Wśród kręgów zainteresowanych utarła się opinia, że Nastia to kujon i marzy tylko o złotym medalu.

Rzeczywiście Nastia dostała złoty medal. Ja z trudem załapałam się na list pochwalny — wszyscy myśleli, że Nastia mi pomaga, i należało ratować honor firmy.

Medal — dobrze, ale wątpliwości miałam coraz więcej. Odkryłam nagle, że na froncie nauk ścisłych funkcjonuje koncepcja, która sama w sobie stanowi przeciwieństwo mojego eksperymentu. Mówi się bowiem, że współczesna nauka wkracza tam, gdzie zawodzi wyobraźnia. Im śmielej uczone będzie wyzwał się od tego, co oczywiste, tym dalej zajdzie. I podpierano ten pogląd przekonującymi przykładami. Rzeczywiście, spróbujcie sobie wyobrazić foton, który raz zachowuje się jak cząsteczka, innym razem jak fala, jeszcze kiedy indziej demonstruje charakter falowo—korpuskularny i w dodatku nie ma masy spoczynkowej... Teoria względności, mechanika kwantowa, fizyka atomowa — każdy krok w przód był możliwy tylko dlatego, że odchodzono od tego, co oczywiste. Właśnie dlatego tak wzrosła rola matematyki.

Wygląda na to, że usiłuję płynąć pod prąd. Dla uspokojenia sumienia wymyśliłam teorię szpar. Mianowicie iść do przodu można nie tylko z pozycji matematycznej siły, ale i drogami okrężnymi — istnieją szpary, przez które wyobraźnia może się wyrwać daleko do przodu.

Pojechaliśmy do Moskwy i bez nadmiernego wysiłku dostaliśmy się:

Nastia na mat–fiz–chem, a ja na psychologię. To był zabawny widok, kiedy po raz pierwszy pojawiłyśmy się na mat–fiz–chemie! Absolutnie nie obawiałam się o wynik Nasti i dlatego pozwoliłyśmy sobie na żarty. Ubrałyśmy się skromnie, ale bardzo efektownie — i w tej dziedzinie psychologia mnie czegoś nauczyła! Do tego od kwietnia chodziliśmy na molo i udało nam się cudownie opalić. Szerokie masy bladolicych abiturientów były wstrząśnięte do głębi!

— Drogie panienki! — zwrócił się do nas uprzejmie tykowany chudzielec. — Czyżbyście postanowiły rzucić szkołę filmową?

— Ależ o czym ty mówisz, Borysie?! — wtrącił się drugi intelektualista. — Po prostu nasze gwiazdy przyszły nam się trochę poprzyglądać. Tak między zdjęciami!

To była jedna banda. Ludzie z matematycznej szkoły Kostylewa. Rozumieli się w pół słowa, przerzucali subtelnymi aluzjami... Rozkosz słuchać! Podpuszczałyśmy ich cynicznie: „Opaleniżna? Ach, to z Krymu, rozumiesz, mówią, że przed egzaminem najważniejsze to świeże powietrze i dobre odżywianie...” Zabawiali się tak przez dwadzieścia minut. Za to trzeba było widzieć ich miny po egzaminie! Nastia sama doszła do nierówności Cauchy–Buniakowskiego.

— Świeże powietrze, co? — powiedział do mnie chudzielec. Sam ledwie—ledwie wyciągnął na piątkę i miał jeszcze obłęd w oczach. — Świeże powietrze i dobre odżywianie? Artystki! Nie rzucajcie szkoły filmowej, pomyślcie o losach rodzimej kinematografii!

Zamieszkałyśmy u Lidii Nikołajewny, przyszywanej ciotki Nasti. Oddała nam do dyspozycji pomieszczenie o powierzchni około dwunastu metrów kwadratowych, z których co najmniej trzy zajmowały wszelkiego rodzaju kamienie, pożyteczne, półpożyteczne i całkiem niepotrzebne minerały i kopaliny, zbierane przez męża Lidii Nikołajewny, geologa, pracującego teraz w Indiach. Kamienie leżały na parapecie, na półkach, na podłodze... Otomana, która mi się dostała, opierała się na czterech blokach półprzezroczystego, podobnego do lodu fluorytu. Przez dwa dni walczyłyśmy z kurzem, który wżarł się w te kamienie, i doprowadziłyśmy mineralne królestwo do pełnego blasku. Potem ułożyłyśmy kamienie na nowo, na stół postawiłyśmy druzę złocistego pirytu... Lidia Nikołajewna, pracująca w Instytucie Architektury, oznajmiła, że kamienie doskonale wpisały się w

nasze wnętrze.

Oczywiście nie byłoby głupio nieco zmniejszyć ilość kamieni, a powiększyć wnętrze... Nie chciałam jednak mieszkać w akademiku ze względu na nasz eksperyment.

Wyprowadzanie nierówności Cauchy–Buniakowskiego (mój prywatny powód do dumy!) nie było jeszcze gwarancją, że Nastia będzie zdolna do samodzielnych odkryć. W ogóle sytuacja była raczej koszmarna: nie mogłam wymagać od Nasti, żeby dokonywała genialnych odkryć już na pierwszym roku studiów, ale z drugiej strony nie mogłam również czekać pięciu czy dziesięciu lat. Po prostu mnie to nie urządzało. W psychologii eksperymenty wymagają niekiedy tyle czasu, że trzeba by przeżyć ze trzy życia...

Irytowało mnie to, ale nic nie mogłam poradzić. Nastia musiała wziąć się do roboty. Ja także. Wiele czasu pochłaniały przedmioty dodatkowe — sporządziłam indywidualne plany studiów dla nas obu na dwa lata. Do tego jeszcze dochodził sport — cztery razy w tygodniu chodziłyśmy na pływalnię. A w końcu Moskwa — jej teatry, sale koncertowe, zaułki i place, muzea i galerie obrazów, które koniecznie trzeba było zwiedzić...

Dużo chodziłam. Strasznie mi się podobało chodzenie po ulicach wielkiego miasta, patrzenie na przechodniów, na domy i wystawy sklepów... Pewnego dnia zesłam do metra zagrzeć się i na jadących w górę ruchomych schodach zobaczyłam grupę dzieciaków z wychowawczyniami. To były chyba dzieci z domu dziecka. Trudno powiedzieć, dokąd mogły się wybrać w taki mróz. Maluchy były ubrane w jednakowe paletka, czapeczki i rękawiczki. „Dwadzieścia sześć sztuk — powiedział ktoś za moimi plecami. — Dwie drużyny piłkarskie z rezerwowymi. Rosną następcy!” „Rzeczywiście! — odezwał się ironicznie drugi głos. — Teraz mają równe szansę. Potem jeden zostanie kapitanem, a drugi całe życie będzie siedział na ławce rezerwowych”. Chciałam się obejrzeć i nagle, w mgnieniu oka, w ułamku sekundy, którego nie potrafiłam uchwycić, zaświtała mi myśl, na którą czekałam przez te wszystkie lata. Zobaczyłam panoramę, szeroki plan, gdzie eksperyment z Nastią był tylko jednym z epizodów.

Pociąg odjechał, peron na chwilę opustoszał, a ja stałam, patrzyłam na szyny i serce biło mi tak, jakbym dobiegła dokądś ostatkiem sił.

Od tego dnia zaczęłam przygotowywać się do nowego eksperymentu. Czas... Ciągłe mi go brakowało. Pierwszy rok w Moskwie zleciał jak z bicia trzasnął.

Latem, zaraz po sesji, upchnęłam Nastię jako laborantkę w Instytucie Cybernetyki Technicznej. Miałam nadzieję, że będzie tam mogła zademonstrować swoje zdolności. Zademonstrowała, to fakt! Ale nie wszystko ułożyło się tak, jak to sobie zaplanowałam.

Pierwszego dnia Nastia wróciła z pracy zachwycona. Nieuważnie przełknęła uroczysty obiad, który przygotowałam pod światłym kierownictwem Lidii Nikołajewny, i przez cały wieczór zapoznawała nas z problemami laboratorium bioniki. Grupa, w której pracowała, zajmowała się rozpoznawaniem obrazów. W ogólnych zarysach zagadnienie to było mi nieobce, bo w pewnym stopniu związane jest z psychologią.

Weźmy jakąś literę, na przykład „a”. Można ją napisać na wiele sposobów: ręcznie, na maszynie, cienko, grubo, przeróżnymi charakterami pisma, ale człowiek zawsze łatwo pozna, o jaką literę chodzi. Można to „a” pochylić na bok, przekręcić, ozdobić jakimś wymyślnym zawijasem — mimo to patrzący zawsze rozpozna i odczyta „a”. Nasz mózg potrafi odnaleźć główne cechy charakterystyczne dla wszystkich wyobrażeń danego obiektu, a odrzucić nieistotne szczegóły. To znaczy, że istnieją jakieś sposoby, dzięki którym mózg rozpoznaje obrazy. A więc żeby maszyna posiadała tę umiejętność (bez czego nie może ona ani czytać, ani widzieć), trzeba znaleźć te sposoby, nauczyć sieje modelować. To jedno z głównych zadań bioniki. A w laboratorium Nasti prowadzono doświadczenia

z perceptronem — maszyną elektroniczną do rozpoznawania obrazów. Przedstawiano perceptronowi setki map i maszyna bezbłędnie wyszukiwała spośród nich dwie identyczne.

Nastia przekonywała nas, że perceptron to ósmy cud świata.

— Mając taki perceptron — mówiła — utrzymamy nosa samemu Rosenblattowi, twórcy perceptroniki.

Nagle zamilkła i zaczęła wpatrywać się w stertę kamieni, leżącą w kącie pokoju.

Najpierw sądziłam, że Nastia wyobrażała sobie, jak będzie wyglądała procedura ucierania nosa Rosenblattowi i jak on ten wstrząs przeżyje. Ale patrząc w jej oczy (które barwiły się jak burzowe niebo) zrozumiałam, że sprawa jest poważna.

Nastia miała pomysł.

Rozumiecie, nastąpił moment, na który czekałam tyle lat! Chciałam rzucić się Nasti na szyję, ale ze względów psychologicznych powstrzymałam się od wybuchów entuzjazmu. Trzeba było wszystko dokładnie przemyśleć.

A koncepcja była rzeczywiście ciekawa.

Pokaże się perceptronowi wiele fotografii jednej osoby, niech maszyna wyszuka najbardziej charakterystyczne cechy i stworzy z nich portret syntetyczny. Najlepszy bowiem fotografik nie jest w stanie stworzyć uogólnionego wizerunku człowieka. Synteza jest możliwa tylko w sztuce. Ale z kolei malarstwo — w odróżnieniu od fotografii — nie ma waloru dokumentalnego. Jeżeli koncepcja Nasti okaże się słuszna, perceptron będzie w stanie połączyć dokładność fotografii z uogólnieniem, cechującym malarstwo. I wtedy wystarczy zrobić tylko jeden krok, aby stworzyć nowy, syntetyczny rodzaj sztuki — fotomal.

Siedziałyśmy całą noc, roztrząsając to zagadnienie. Nie potrafiłyśmy przewidzieć, co z tego wyniknie... To moja wina. Należało zastanowić się nad wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

Rano, odprowadziwszy Nastię, poszłam do czytelnicy. Nie mogłam się tego dnia skupić — moje myśli wciąż krążyły wokół Nasti, perceptronu i fotomalu. Próbowałam sobie nawet wyobrazić, jak ucieramy nosa Rosenblattowi. A kiedy wróciłam do domu, zastałam rozbeczaną Nastię. Na łóżku leżała walizka i Nastia, połykając łzy, pakowała do niej swoje rzeczy.

Minęło trochę czasu, zanim udało mi się z niej wydobyć, co się właściwie stało.

Tak więc rano Nastia przedstawiła naszą koncepcję swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, programiście Juroczce. Nazywała go przy tym „szefem” i patrzyła na niego oczami koloru burzowego nieba. Patrzyła jak w obraz i oczywiście Jureczka tego nie wytrzymał. Wymamrotał „szalony pomysł” i pognał do szefa grupy, brodatego Wowy. Ten najpierw marszczył brwi i parsknął, ale Jureczka przedstawił mu propozycję nie do odrzucenia. Przypomniawszy, że w związku z jubileuszem P. P. Pychtina, profesora wydziału ekonomicznego, stosowna komisja przygotowuje album pamiątkowy: zebrali około setki zdjęć, po prostu wymarzony materiał do perceptronu. I laboratorium bioniki, które wiele razy karcono za chłodny stosunek do tego całego jubileuszowego zamieszania, może w ten sposób wnieść swój wkład, ozdabiając album pierwszym w świecie portretem fotomalowym. Wowa podrapał się w brodę i wyraził zgodę. Zaczęto ustalać szczegóły. Okazało się, że przy okazji uda się wyjaśnić niektóre sporne problemy, znajdujące się w niedawno opublikowanym artykule bioników kijowskich z grupy Stogina.

— Tak się entuzjasmowali... — mówiła Nastia. — Nie można było ich powstrzymać... — Ale oczywiście nie zamierzała ich powstrzymać.

Przygotowanie doświadczenia trwało trzy godziny. Trzeba było wyregulować głowicę fotograficzną. Potem przez osiem minut maszyna oglądała album. Dwadzieścia minut zajęło opracowanie otrzymanego portretu fotomalowego. W rezultacie skończyli pracę tuż przed przerwą

obiadową. Zadziałały nieznanne kanały informacji i wokół perceptronu zebrała się kupa narodu ze wszystkich pokoi i pracowni. Hałaśliwie witali pojawienie się pierwszego fotomalu. Portret wyszedł bardzo wyraźny. Co prawda Pychtin wyglądał na nim nieco dziwnie, ale był nadzwyczaj podobny. Udzielając wyjaśnień Jureczka podkreślał, że wykorzystano pomysł nowego pracownika laboratorium. Pomysł bardzo się wszystkim podobał. Nowy pracownik też...

Przybył też Paweł Pawłowicz Pychtin. Obejrzał portret i stwierdził:

„Hmmm! Interesujące...”

Powiększone zdjęcie powieszono w holu razem z zawiadomieniem o uroczystościach jubileuszowych. I od tego się wszystko zaczęło. Czy to oświetlenie w holu było inne, czy też była to wina powiększenia? — w każdym razie coś się nagle zmieniło... Nastia uważa, że zadziałał tu czynnik czasu: w fotomal trzeba się starannie wpatrzeć...

Tak czy inaczej wszyscy szybko zauważyli, że P.P. Pychtin wygląda na portrecie inaczej niż zazwyczaj. Nie miał, na przykład modnych okularów. Wydawało się, że one tylko odmładzają P.P. Pychtina... Ale wraz z okularami zniknęła gdzieś inteligencja. Coś się zmieniło w wyrazie oczu i malutkich, zaciśniętych ust. Perceptron zrobił to, co udaje się tylko najbardziej utalentowanym portrecistom. Pomiął wszystko, co było w P.P. Pychlinie zewnętrzne. Zmiany były prawie niezauważalne. Ale z fotomalu patrzył prawdziwy Pychtin — człowiek niezbyt mądry, lecz starający się wyglądać mądrze i poważnie. Człowiek niezbyt dobry, ale zdobiący twarz dobrodusznym uśmiechem...

— Był bez maski — powiedziała Nastia. — Prawdopodobnie taki bywa tylko sam ze sobą.

W holu zapanowało niezręczne milczenie. Potem wszyscy rozeszli się do swoich pokoi. Inżynier Filipiew, zwykle spokojny i małomówny, długo i nerwowo tłumaczył, że sami są sobie winni: trzeba było znaleźć inny obiekt! Kariera P.P. Pychtina zaczęła się od pewnego artykułu, w którym pryncypialnie demaskował zwolenników burżuazyjnej pseudonauki, cybernetyki. Filipiew przypomniał i inne epizody z naukowej działalności jubilata a potem przepowiedział, że Pychtinowi nie wystarczy poczucia humoru, żeby całą tę historię potraktować z przymrużeniem oka. Przepowiednia sprawdziła się prawie natychmiast: zabrzmiał dzwonek telefonu.

Brodaty Wowa i Jureczka heroicznie przyjęli na siebie pierwsze uderzenie, a Nastię wysłali w delegację. Posunięcie było prawie genialne: jubilat mógł sądzić, że laboratorium bioniki i Nastia zostali słusznie ukarani; laboratorium i Nastia mieli prawo uważać, że o żadnej karze mowy być nie może. Nastię wysłano w cudowne okolice, na czarnomorskie wybrzeże Kaukazu.

Pod całą tę aferę rozpito w laboratorium balon soku pomidorowego. Brodaty Wowa w imieniu kolektywu wyraził przekonanie, że nową laborantkę czeka olśniewająca kariera, bo narobić takiego zamieszania już w drugim dniu pracy, tego nie potrafi byle kto!

— No to o co chodzi? — zapytałam. — Wygląda na to, że wszystko się świetnie ułożyło? Nastia pochlipując pokręciła głową:

— Mam jechać do bazy zajmującej się badaniem delfinów, a tam nie ma ani bazy, ani delfinów... Zaczną wszystko budować dopiero we wrześniu. A w laboratorium ciekawiej...

Następnego dnia poszłam do Instytutu. Pogadałam z brodatym Wowa. Wysłuchałam Juroczki, który zaklinał się na wszystkie świętości, że będzie kontynuował badania nad fotomalem. Poszłam też do szefostwa. Ale już nic nie można było zmienić — dyrektor wyjechał na urlop. Załatwiłam tylko tyle, że i mnie zatrudnili jako laborantkę i wysłali na Kaukaz.

— Delfinów oczywiście jeszcze tam nie ma — powiedział brodaty Wowa, oglądając w zadumie moje podanie. — Jak na razie zażywają wywczasu w morzu. Ale przy wspaniałych zdolnościach Anastazji Siergiejewny można wierzyć, że bez żadnego trudu rozwiążecie paradoks Greya nawet i

bez tych sympatycznych waleni.

Zapytałam, co to jest, ten paradoks Greya. Wowa westchnął, spojrzął jeszcze raz na moje podanie i niepewnie zaproponował, żeby rozmowy o paradoksie Greya przenieść na teren pozasłużbowy. Grzecznie odrzuciłam tę uprzejmą propozycję.

— Wydaje mi się, że gdzieś coś o tym słyszałam — powiedziałam, ale było to obrzydliwe łągarstwo. Nigdzie nic o tym słyszeć nie miałam okazji. — Myślę, że ma pan rację: paradoks Greya można wytłumaczyć i bez delfinów. Zajmiemy się tym!

— No, no... — wymamrotał Wowa, frasobliwie drapiąc się w brodę. Moja bezczelność wyraźnie go speszyła. — Zajmijcie się! Koniecznie! Ludzkość czeka!

Po dwóch dniach byliśmy w Adlerze.

Z przygnębiających deszczów moskiewskich trafiłyśmy pod promienie oślepiającego słońca. Nad betonowymi płytami lotniska drgało upalne powietrze. Pomyślałam sobie, że zsyłka zapowiada się wcale nie najgorzej.

Po czterdziestu minutach trafiłyśmy do bazy delfinów. Tu mój entuzjazm jakby nieco osłabł. Miejsce co prawda rzeczywiście było cudowne: urwisty brzeg, w dole złocista plaża, błękitne morze i delikatny szum przyboju. Czterysta metrów piękna w pierwszym gatunku. I na tych czterystu metrach stoją brudne, niechlujne magazyny, leżą kupy cegieł i worki z cementem, a na samym froncie wznosi się dumnie stróżówka w czystym przedpiotrowym stylu — nieokreślonego kształtu, nieokreślonego koloru i zbudowana z nieokreślonego materiału. Wokół stróżówki rozpięto pajęczynę sieci. Między sieciami, wesoło popiskując, uganiało się kosmate, ryże psisko.

— Psi geniusz — powiedziała Nastia. — Od razu wyczuł w nas współpracowników Instytutu Cybernetyki Technicznej.

Zeszliśmy z urwiska i prowadzone przez psiego geniusza przedarliśmy się przez labirynt sieci do stróżówki. Przy wejściu, na polowym łóżku, spał malutki, łysy staruszek. Na jego piersi spoczywała książka w poszarpanej szarej okładce. Pies cicho szczechnął, staruszek otworzył oczy i usiadł na łóżku. Książka upadła. Schyliłam się, żeby ją podnieść — to były „Podstawy esperanto”...

— Mi estas gradislo — powiedział dziarsko staruszek. — Jestem stróżem. A wy? Kio wy estas?

W ciągu dziesięciu minut sytuacja wyjaśniła się.

Baza rzeczywiście istniała tylko w projektach. Na razie był teren, na który zwożono wszelkie materiały budowlane i coś tam z wyposażenia naukowego. Słowo „teren” stróż mówił w esperanto i brzmiało to niezwykle dostojnie — „tentorio”. Od południa teritorio graniczyło z potężną i kwitnącą bazą Instytutu Hydrologii, a od północy kończyło się stromym urwiskiem. Budynków mieszkalnych poza przedpiotrową chałupiną na teritorio nie było. A zatroszczyć się o nas powinien, wedle słów uczonego stróża, kamarado Torzewski, władający teritorio i materiałami.

— Kamarado Torzewski... on... li estas sadza homo — wyjaśniał stróż. — Dorzeczny facet, mówię.

— Co jest? — zapytałam. — W esperanto wszystkie rzeczowniki kończą się na „o”?

— Wszystkie! — potwierdził radośnie edukowany stróż i wskazał ręką na psa. — Hundo! A nazywam go Trezoro. Znaczy skarb.

Stróż esperantysta, Grigorij Siemionowicz Szemet, okazał się osobnikiem niezwykle interesującym. Z zawodu był zegarmistrzem i przeżył pół wieku w Nowogrodzie, prawie nigdy z niego nie wyjeżdżając. Życie toczyło się spokojnie i bez niespodzianek, jak dobrze wyregulowany zegarek. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie dla swojej licznej rodziny, Grigorij Siemionowicz zbiegł do Archangielska i zaciągnął się na kuter rybacki, bo poczuł nagle nieodpartą chęć odetchnięcia świeżym powietrzem, tęsknotę do przygód i morza, do niespokojnego, prawie koczowniczego życia.

Uciekinię zlokalizowano i sprowadzono do rodzinnych pieleszy. Ale zwał znowu — tym razem na Morze Ochockie. Rodzina musiała się z tym pogodzić. Każdej wiosny puszczali staruszka w drogę. Przewędrował kraj „lawlonge i lawlardže” (to znaczy wzdłuż i wszerz), z powodzeniem łowił ryby w głębinach ośmiu mórz, a teraz zbierał pieniądze na wycieczkę dookoła Europy.

Dziadek był krzepki i dziarski jak rzadko. Opowiadając, szybko sprzątnął połowe łożko i podjął nas herbatą. W chałupce było bardzo czysto, chłodno, nie heblowane deski pachniały żywicą. Nie wiem, jak Grigorij Siemionowicz mógł wysiedzieć w pracowni zegarmistrzowskiej, nie potrafię sobie tego wyobrazić.

— A co ma do tego esperanto? — zapytała Nastia. Staruszek klasnął w dłonie.

— W tej Europie, mówię ci, to cała masa różnych narodów. Nie mogę się przecież uczyć wszystkich języków! Nie wyrobię się do wyjazdu! A do tego, moje drogie beluliny, czyli pięknotki, esperanto to język dźwięczny, popularny, zgrabny... Przeczytam wam na przykład „Żagiel” w przekładzie na esperanto.

Wiersz poety Lermontowa nie został nam jednak odczytany, bo właśnie przybył kamarado Torżewski. Przybył nową błękitną wołgą, za którą sunęła karawana złożona z trzech ciężarówek załadowanych cegłą.

Kamarado Torżewski był wspaniały. Wydawało się, że zszedł właśnie z plakatu „Do kurortu przyjechałem, bo pieniądze oszczędzałem!” Przy czym stróż esperantysta miał rację. Torżewski był człowiekiem mądrym i dzielnym.

— Z was swoje chłopaki — powiedział. — Nie patrzcie tak na mój nowy garnitur i nową wołgę. To po prostu ekwipunek współczesnego zaopatrzeniowca. Bo kto mi da eternit i cegłę, jak przyjdę w pomiętej koszuli? A że macie rni pomagać, to patrzcie i uczcie się! Kontakt z braćmi delfinami zależy póki co od nas, zaopatrzeniowców. Nie będzie bazy, nie będzie kontaktu!

Dałyśmy Torżewskiemu słowo, że będziemy się przykładać ze wszystkich sił, żeby przyspieszyć kontakty z braćmi delfinami.

— To dobrze! — zaaprobował nasze stanowisko Torżewski. — Bracia delfiny ucieszą się. A na razie przyłóżcie się do rozładowania cegły. Ta banda, która mówi o sobie „ładowacze”, rzuca cegłę tak, jakby to było złoto. A cegły nie złoto, tłuką się. Taa... A potem pójdziemy zorganizować namiot i śpiwory.

I tak zaczęło się nasze życie na zesłaniu.

Pracy było dużo. Odbierałyśmy wagony z wyposażeniem, zdobywałyśmy transport, kierowały rozładunkiem i same rozładowywały... Torżewski przerzucił na nas brutalną prozę zaopatrzenia, sobie pozostawiając najczystsza zaopatrzeniową lirykę. Często wyjeżdżał, gdzieś tam prowadził dyplomatyczne rozmówki, na skutek których nasze magazyny zapełniały się fińską glazurą, tranzystorowymi klimatyzatorami i supernowoczesnymi regałami dla nie istniejącej na razie biblioteki.

O paradoksie Greya przypomniałam sobie dopiero po tygodniu.

— O Boże, jeszcze i to! — powiedziała z obrzydzeniem Nastia — W owej chwili stała przed lustrem i oglądała w skupieniu koniec swojego nosa. — Jak sądzisz, zejdzie mi skóra? Koniecznie musimy zorganizować jakiś krem. — Przedtem powiedziałyby „kupić”... — Aż paradoksu Greya nic nie będzie. Nie masz nawet pojęcia, czym to się je...

I tu nie miała racji: po rozmowie z brodatym Wową pognałam od razu do biblioteki i coś tam zdążyłam przekartkować. Prace Kramera, Perszina, Alejewa, zbiór artykułów o powłokach amortyzujących...

Nieprzystawalność prędkości delfinów do ich muskulatury — o to właśnie chodzi w paradoksie

Greya. Delfiny rozwijają prędkość do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ich mięśnie powinny być dziesięć razy silniejsze, niż są w rzeczywistości.

Przez pewien czas sądzono, że Krarnerowi udało się rozwiązać tę zagadkę. Twardy kadłub statku woda opływa gładko tylko przy niewielkich prędkościach. Wraz ze wzrostem prędkości prąd wody rwie się, tworzą się wiry i opór gwałtownie wzrasta. A więc Krarner założył, że skóra delfinów ugina się i jak by przystosowuje do prądu wody, zapobiegając powstawaniu wirów. Wy— próbowano sprężyste osłony amortyzujące: w pewnym stopniu rzeczywiście stanowiły przeszkodę w powstawaniu wirów. Ale paradoks Greya dalej był nie rozwiązany; amortyzacja wyjaśniała go tylko częściowo. Muszą istnieć jeszcze inne, bardziej efektywne sposoby walki z powstawaniem wirów. — Zastanów się, o czym ty mówisz! — oburzała się Nastia. — Jak można marzyć o paradoksie Greya, jeżeli nie mamy ani potrzebnych do doświadczeń przyrządów, ani samych delfinów?. Sprzeciwiłam się:

— I tu jest pies pogrzebany! Wyobraź sobie, jakby to było fajnie: rozwiązać zagadkę delfinów, nie mając ani jednego delfina!

Długo ją przekonywałam. To był pierwszy przypadek, kiedy Nastia nie chciała nawet próbować rozwiązać problemu. Wedle niej całe to zamieszanie było niepoważne: nie można przecież brać się do badań nad delfinami, jeżeli nie ma się nawet najmarniejszego delfina... Przekonałam ją właściwie przypadkiem:

— Pomyśl logicznie — zażądałam. Jak człowiekowi brak argumentów, to zawsze najlepiej jest powoływać się na logikę, chociaż na ogół logika nie ma nic do tego. — Pomyśl logicznie. Przecież inni badacze mieli delfiny, a nic z tego nie wyszło! A ty nie masz delfinów! Wynika z tego, że ci wyjdzie!

— No wiesz! — zaperzyła się Nastia. — To jest już skrajny idiotyzm! Nagle zamilkła i odwróciła się do mnie. Patrzyła na mnie oczami koloru burzowego nieba i zrozumiałam, że coś z tego będzie.

— Uważasz, że badania nad delfinami należy prowadzić bez delfinów? — zapytała zupełnie innym tonem.

I co ja mogłam powiedzieć?! Czułam, że mówię od rzeczy, ale mimo to powtórzyłam:

— Jeżeli podejść do tego logicznie, to wszystkiemu winne są delfiny. Inni badacze mieli delfiny, a paradoks dalej jest nie rozwiązany. Ty delfinów nie masz, więc wynika z tego, że poradzisz sobie z paradoksem.

— Tak, naturalnie... — wymamrotała Nastia, patrząc przeze mnie. Po półgodzinie zapytała:

— Co jest z rurami? Dzisiaj je przywiozą. Trzeba odebrać ze stacji. Musimy zorganizować samochody i dźwig.

Powiedziałam, że dam sobie radę sama. Niech spokojnie pracuje nad delfinami. To jest nie nad delfinami, lecz nad ich nieobecnością. Nie nad laką nieobecnością, która jest zwykłą nieobecnością, ale nad taką, z której można się więcej dowiedzieć niż z obecności... To były kompletne brednie... Na wszelki wypadek odwołałam się do magicznego słowa „logika”.

Zresztą Nastia nie słuchała, co do niej mówię. Odpowiedziała mi roztargnionym „aha!” i poszła nad morze.

Cały dzień miotalam się jak wściekła z tymi rurami. A Nastia leżała na plaży i patrzyła w morze. Przyniosłam jej kefir i ciastka, nie miałam głowy do zajmowania się obiadem.

W ogóle od tego dnia przyszło mi harować za dwie. Nie mogłam rozpraszać Nasti. Niech myśli! Jednego tylko nie rozumiałam: co też ona może sobie w tym przypadku wyobrażać? No tak. Morze... w nim delfiny... Co dalej? Pewnej nocy to mi się nawet przyśniło: delfiny smętnie się uśmiechały i

mówiły: „Nie trzeba tak na nas patrzeć!” Mówiły zresztą głosem Torzewskiego!

Nastia myślała dwa dni. Trzeciego dnia wręczyła mi spis książek, które uznała za niezbędne. Ten spis też niczego mi nic wyjaśnił. Wszystkie książki odnosiły się do teorii katalizy. Naturalnie katalizatory przyspieszają przebieg reakcji chemicznych, ale w jaki sposób mogą zwiększać prędkość delfinów? Cóż było robić: pojechałam do Soczi i zdobyłam książki.

Potem Nastia wręczyła mi jeszcze jeden spis: chemikalia, szkło laboratoryjne, urządzenia do analizy chromatycznej. To było łatwiejsze — poszłam do sąsiadów hydrologów i wyzebrałam co trzeba. Postawiliśmy drugi namiot i teraz Nastia miała swoje laboratorium.

— Jeżeli będziesz już na etapie delfinów — powiedziała Nastia — to uprzedź! Trzeba będzie przygotować jakąś łajbę.

— Delfiny? — zdziwiła się Nastia. — Nie! Po co mi delfiny? Następnego dnia Postrach Ośmiu Mórz powiedział:

— Posłuchaj, belulino, pojechałabyś ty do domu. Tu jest „Meteor”, długo by podróż nie potrwała... Post lahero benas ripozo. Trzeba trochę odetchnąć, mówię, nie tylko tyrać! A ty ciągle lahero i nic ripozo. A i Nastka wyschła na wiór na tym twoim kefirze. Tylko oczy zostały. Dzisiaj będzie ucha, żebyś mi przysłała punktualnie o piątej!

Wróciłam o dziewiątej głodna i wściekła. Wył magnetofon, a wokół stróżówki szaleli weseli hydrolodzy. Trenowali tańce! Uchy już nie było, to mi się od razu rzuciło w oczy! Zeżarli mi moją uchę, kręcą się wokół Nastii, staruszkowi zwracają głowę — wyrzuciłam całe towarzystwo na zbity pysk. Kolację Jadłam nieco dziwną: wino, jabłka, ciastka i na wpół skamieniały ser.

W głowie mi szumiało ze zmęczenia i od wina. Nie zwróciłam nawet uwagi na słowa Nastii: „Jutro będziemy próbować!” Zapakowałyśmy się do śpiworów, a ja machinalnie wyszeptalam: „Dobrze, jutro!” I nagle do mnie dotarło: będziemy próbować!

— Hej, słuchaj, co próbować? — zapytałam. — O czym ty mówisz?

— Będziemy pływać. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, jutro pobijemy rekord świata. Śpij! Słuchaj, a ten Alosza fajny, nie? No, ten wysoki, z wąsami! Jest ‘z Rostowa, prawie krajan...

Odechciało mi się spać. Przecież Nastia rozwiązała zadanie!

— Dobra, zaraz ci wytłumaczę, nie drzyj się — warknęła z niechęcią. — Zresztą nie ma co tłumaczyć, to bardzo proste. Przecież sama mówiłaś, że bez delfinów będzie lepiej. Mówiłaś? No to wyobraziłam sobie morze, a w nim delfina. Potem tego delfina usunęłam, rozumiesz?

Nie rozumiałam. Delfin sobie pływa — to jest do wyobrażenia. A co będzie, jeżeli się usunie delfina?

— Będzie morze — powiedziała z naciskiem Nastia. — Nie widzisz, czy co?! To logiczne, sarna mówiłaś. Zostanie woda, trzeba myśleć tylko o wodzie. Należy sobie wyobrażać wodę, jasne?

Prawie w ciemno zadałam pytanie:

— Cząsteczki wody?

— Nie. W tym rzecz, że nie cząsteczki. Gdyby woda składała się z cząsteczek, wrzałyby przy minus osiemdziesięciu stopniach. Cząsteczki wody występują w grupach, w agregatach. Dlatego woda jest płynna. No, wyobraź sobie lód z jego siatką krystaliczną. Olbrzymi kryształ jak magazyn na stacji towarowej. Kiedy lód się topi, kryształ rozpada się na agregaty. Zamiast magazynu oddzielne skrzynki, jasne? Przypuśćmy, że w skrzynkach są piłki. Piłki z natury są bardzo ruchliwe. Łatwo je rozrzucić. Ale przeszkadza w tym opakowanie. Tak samo jest z cząsteczkami wody. Są zamknięte w agregatach jak piłki w skrzynkach. Od tego są uzależnione wszelkie właściwości wody, także opór, który woda stawia ruchowi. Spróbuj rozrzucić piłki, które są zapakowane w pudełka! Myślałam więc w ten sposób: gdyby dało się rozdrobnić agregaty na oddzielne cząsteczki, to spójność wody

gwałtownie by się zmniejszyła. Może te delfiny właśnie tak...

— Poczekaj! — przerwałam. Delfiny były mi w tej chwili raczej obojętne. — A jak rozdrobnić te agregaty? Nastia prychnęła lekceważąco:

— Przecież przynosiłaś mi książki! Znowu logika: przecież ktoś kiedyś musiał się już tym zajmować, zupełnie przy innej okazji. Woda to laki rozpowszechniony związek chemiczny! Słowem, doszłam do tego, że problemem rozdrabniania agregatów zajmują się biochemicy. Naturalnie nie przyszło im do głowy, że jest to droga do zmniejszenia spójności wody. Po prostu zagregowane cząsteczki wody uczestniczą w procesach energetycznych organizmu. Jak będziesz miała ochotę, to zajrzyj jutro do książek. Jedno jest istotne: kiedy agregat przechwyci dodatkowy proton, natychmiast się rozpada. Jak domek z kart. Rozumiesz? Tak więc musiałam znaleźć środek, który łatwo oddaje protony. Jutro sprawdzisz to sobie. Za podstawę wzięłam krem „Księżycowy”, bo mimo wszystko nie jesteśmy statkami, żeby mazać się; jakimś protonotwórczym świństwem.

— Spij! — powiedziała poirytowana. — Nie zdajesz sobie nawet sprawy czego dokonałaś... I te twoje przemyślenia... śnieżny most nad przepaścią nieznanego. Chwiejny, śnieżny most...

— Co proszę? — zdziwiła się Nastia. — Śnieżny most nad przepaścią? Nawet fajne! Widzę ten most. Umilkła, popatrzyła na swój śnieżny most, a potem powiedziała:

— Słuchaj, Kira, to z jakiegoś wiersza?

— Nie, z prozy. Tak Karol Pirson powiedział o prawie dziedziczenia.

— Ale Mendel miał rację! A do tego to takie ładne: śnieżny most nad przepaścią! Uściśliłam:

— Nad przepaścią nieznanego.

— No to co? Najważniejsze nie spaść!

Nie, pomyślałam. Najważniejsze to mieć odwagę wejść na ten most. Nie czekać, aż zwiożą betonowe belki, lecz znaleźć wąską, śniegową ścieżynkę i mieć odwagę.

To dziwne, ale spałam tej nocy świetnie. Rano obudził mnie niewiarygodnie smakowity zapach, to dziadek i Nastia dusili pomidory. Pomyślałam sobie, że dzień będzie udany.

Po śniadaniu Nastia wręczyła mi słoiczek z zielonkową mazią.

— Staraj się! — błagała. — Robisz teraz u mnie za delfina! Staruszek pomógł nam odmierzyć sto metrów. Stopera nie miałyśmy, trzeba było wziąć mój zegarek.

— No, panienki! Ruszamy! Pod moim przewodnictwem! — oznajmił rażno Postrach Ośmiu Mórz.

Maż była chłodna i woda była chłodna. Stałam na śliskim kamieniu, a dziadek. Nastia i hundo Trezoro patrzyli na mnie z brzegu. Śnieżny most, pomyślałam. Tylko żeby wytrzymał!

Płynęło mi się cudownie. Takie wrażenie ma się rzadko — wydaje się człowiekowi, że frunie, nie napotykając żadnego oporu. Nie męczyłam się, przez cały dystans zwiększałam szybkość.

— Czterdzieści osiem sekund! — krzyknęła Nastia. — Nam nie straszny śnieżny most, śnieżny most, śnieżny most... — zaśpiewała.

Rekord świata mężczyzn wynosi pięćdziesiąt dwie sekundy, doskonale to pamiętałam. Nawet jeżeli Nastia pomyliła się o sekundę czy dwie, to wszystko jedno, i tak pobiłam ten rekord.

— Weźmy rusałki — powiedział Postrach Ośmiu Mórz — przecież były dziewczynami, a jak pływały! Mądrość ludowa! Dziewczyny powinny pływać lepiej od mężczyzn! Albo takie zjawy...

— Stop, dziadku! — wyhamowała go Nastia. — Zjawy to już zupełnie inna bajka! Kira! Leć stumetrówkę na plecach!

Rekord to minuta i sześć sekund, a ja przepląnęłam dystans prędej. Teraz już doskonale wyczuwałam prędkość.

— Kwindek sep, kurza stopa! — zapał zachwycony dziadek. — Pięćdziesiąt siedem sekund! Prułaś jak „Meteor”!

Tego dnia zaważyłyśmy dwie sprawy zaopatrzeniowe. Pływałyśmy i mierzyłyśmy czas. Około drugiej należały już do nas wszystkie prawie rekordy olimpijskie i światowe. Nawet w pływaniu na osiemset metrów mogłam liczyć na srebrny medal, a Nastia na brązowy. Kończyła nam się maź, inaczej wyciągnęłybyśmy na złoty...

Potem, zmęczona i szczęśliwa, leżałam na gorącym piasku i patrzyłam, jak staruszek z Nastia przygotowują uroczysty obiad. Kręciło mi się trochę w głowie, kula ziemską łagodnie się kołysała.

— Napiłby się człowiek zimnej lemoniady — westchnął Postrach Ośmiu Mórz. — Wy, panienki, boicie się przełknąć choć jedną zbędną kalorię, wiadomo, figura! A mnie żadna zbyteczna kaloria niestraszna! Mój organizm wykazuje zdumiewającą odporność na takie kalorie...

Staruszek zastawia na nas sidła, chce, żeby Nastia skoczyła do hydrologów po piwo.

— Nie bądź taki sprytny, dziadku — mówię — piwo będzie wieczorem. Teraz trzeba myśleć przytomnie. Jest taki problem: jak nazwać to odkrycie, żeby wszystko było jasne i zrozumiałe. I żeby ładnie brzmiało! Pomyśl!

— Chciałbym mieć twoje zmartwienia! — warczy Postrach Ośmiu Mórz. Jest wyraźnie pochlebiony. — Nazwij to tak: „Szybkościowe pływanie Anastazji Saryczewej”.

W tym coś jest. Efekt Anastazji Saryczewej, efekt AS... A w głowie dalej mi się kręci! Rozdrobnione agregaty łączą się ze sobą bardzo szybko, inaczej woda za mną kipiałaby bez użycia jakiegokolwiek energii. No tak, rozpadanie i łączenie się agregatów odbywa się tylko w cienkiej warstwie. Ale co z tego? To wcale nie przeszkodzi w wykorzystaniu efektu AS (efekt AS — to brzmi dumnie!) na szybkich statkach.

— Nastia, słuchaj, trzeba dzisiaj wysłać depezę do Gejma! I do brodatego Wowy!

— Nie, do Gejma lepiej zadzwonić! Jest teraz w Taganrogu. A z Wową parę dni poczekajmy. Jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne.

Nastia opowiadała dziadkowi o Gejmie i salwie z dwóch dział. Nie, dwa działa to za mało! Jeżeli Gejm ma choć resztki poczucia przyzwoitości, to wystrzeli ze wszystkich pięciu armat. Efekt AS przyda się nie tylko na statkach. Woda to krew naszej cywilizacji. Jest wszędzie, w rurach, w turbinach, w zespołach hydraulicznych...

— Z tymi działami to chyba lekka przesada — mówi staruszek. — Coś wam powiem: nie ma co robić rabanu, lepiej tę sprawę zachować w sekreto. W esperanto „sekreto” znaczy tajemnica! Jasne?! Końce w wodę! Całkowita cisza! Będziecie sławne na cały świat z rekordów pływackich! Wszędzie was będą wozić, na wszelkie olimpiady, spartakiady. Zdjęcia będą w gazetach. A ja pojedę sobie z wami, pooglądam świat.

— A może by tak zrobić, Kira? — śmieje się Nastia. — Grigorij Siemionowicz podsunął wspaniały pomysł! Nawet wobec prawa bylibyśmy czyści. Regulaminy zawodów nie zabraniają używania żadnych mazi! Wyobrażasz sobie, co to będzie? Dostaniesz od razu piękne trzypokojowe mieszkanko! Jako mistrzyni świata.

Długo jeszcze się wygłupiali, jedno przez drugie snując oszałamiające perspektywy naszej sportowej kariery. Słyszałam tylko fragmenty zdań. Rozważałam gorączkowo jedną myśl: co by było, gdyby zastosować efekt AS w naszym systemie krwionośnym?

— Do ni komencu — oznajmia na koniec Postrach Ośmiu Mórz. — Koniec zabawy, bierzemy się za obiad! Ach, laka okazja i bez tego... no... botelo da piwo. Zginiesz z nimi, człowieku! Zmyj piasek, mówię, i bierz się do jedzenia! Szybko!

Tak, trzeba się spieszyć! Straciłam masę czasu, czekając, aż doświadczenie z Nastia da rezultaty. Za to teraz można pewnie iść naprzód.

Pewnie?

Nowy eksperyment — nowa przepaść. I to jeszcze jaka! Co mi tam! Odszukam śnieżny most, odszukam go na pewno i nie będę się bała na niego wejść!

Czekaj na mnie, śnieżny moście.

Przełożyła Anita Tyszkowska

Aleksander Gorbowski
Sowpadienije

Koincydencja

O zmierzchu ciemny ogrom statku kosmicznego wylądował bezszelestnie na skraju lasu. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć: ani przechodniów, ani pastucha, ani zbieraczy grzybów. Tak właśnie było zaplanowane. Od statku oddzieliły się trzy figury i przyglądały się, jak jego ogromne cielsko powoli pogrąża się w ziemię. Tonęło w niej, jak gdyby jakaś ogromna siła wciągała je w głębinę.

Gdy statek zniknął, krzaki i trawa znów pojawiły się na dawnym miejscu i ani jedno źdźbło, ani jeden zgnieciony listek nie przypominały o tym, co działo się tu przed chwilą.

Operacja „Inwazja” rozpoczęła się.

Trzej wyszli na drogę. Szli w stronę miasta. Chód mieli naturalny, ruchy i gesty prawie ludzkie. I nie wpatrując się długo w ich twarze, niepodobna się było domyślić, kim są i w jakim celu przybyli. Przybyli zaś ze świata, który nie był zaznaczony, na żadnej z map gwiazdowych Ziemi.

Ci trzej byli doświadczeniymi wywiadowcami, a nasza planeta nie była pierwszą, na której stanęli. Interesowały ich tylko trzy rodzaje informacji:

tańce ziemskich istot, ich wyobrażenia o kategoriach dobra i zła, a także coś, co określali za pomocą słowa nie mającego odpowiednika w żadnym języku ziemskim. Toteż nie można było tego ani wyrazić, ani przetłumaczyć. Cała reszta nie miała znaczenia. Prestiż narodowy, potencjał wojskowy, ideologia oraz polityka były dla nich równie obojętne jak zbiory koperku czy reguły gry w golfa.

Nie kierowała nimi pusta ciekawość. Zadaniem ich było dowiedzieć się i przekazać mocodawcom, w jaki sposób można oczyścić planetę z paskudztwa, z żalostnego gatunku biologicznego, który teraz wiódł na niej nędzne życie. By uwolnić ten świat dla innych, doskonalszych istot.

Wszyscy trzej szli w nogę, poruszając rękami do taktu, i wydawało się, że nawet twarze mieli jednakowe. Milczeli.

Gdy weszli do miasta, rozeszli się tak samo jak szli, w milczeniu, każdy w swoją stronę.

W jakiś czas później to jednego, to drugiego można było spotkać w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, miastach i krajach. Zjawiali się, by zniknąć i wkrótce potem niespodziewanie pojawić się tam, gdzie — wydawałoby się — najmniej można się było ich spodziewać. Gdy jeden występował na kongresie nudystów, drugi patroszył trupy w prosektorium, trzeci zaś brał udział w próbach chóru lub ślęczał nad rękopisami w mało znanym muzeum, by znalazłszy jakieś zapomniane i tylko jemu wiadome zdanie sardonicznie chrząknąć i zapisać sobie coś w notesie, z którym się nigdy nie rozstawał.

Przeprowadzali wywiady z wielkimi uczonymi. Przeglądali tajne dokumenty. Najbardziej jednak interesowało ich to trzecie, to, co nie miało ani określenia, ani nazwy w żadnym języku ziemskim. Toteż przez długie godziny rozmawiali z umierającymi, ze skazanymi na śmierć i chorymi psychicznie. Szukali odpowiedzi i chyba ją znajdowali.

Tak oto myszkowali po krajach i kontynentach, zjawiali się i znów znikali, nie czując krzty litości do tego skazanego na zagładę świata. Skazanego od chwili, gdy postawili na nim stopę.

A tymczasem zbliżała się chwila, gdy dowiedziawszy się, czego należało, mieli porzucić tę planetę, zostawiając jej mieszkańców, by bawili się w swe niewinne zabawy, nim nastąpi nieunikniony dzień, który będzie ostatni. Pozostały im jeszcze do rozpoznania tylko szczegóły, niuanse i ostatnie szkice, by urzeczywistnić decyzję, dojrzałą już i wspólnie podjętą. I choć nie korespondowali ze sobą, nie rozmawiali przez telefon i nie wysyłali telegramów, każdy z nich wiedział, co robią inni; wiedział też, że zbliża się czas powrotu.

Pewnego takiego dnia, któregoś z ostatnich, jeden z nich siedział w bibliotece i kartkował książki o tematyce fantastycznonaukowej. Między innymi wpadło mu do rąk opowiadanie Aleksandra Gorbowskiego. Opowiadanie miało tytuł „Koincydencja”.

W miarę jak czytał, rosła jego konsternacja, zamieniając się w trwogę, rozpacz i przerażenie. W opowiadaniu była mowa o ich ekspedycji, o ich statku! Gdy doszedł do miejsca, gdzie było napisane, jak on, siedząc w bibliotece, natknął się na to opowiadanie, jak rosła jego konsternacja zamieniając się w trwogę, rozpacz i przerażenie, gdy doczytał do tego miejsca — wtedy zrozumiał, że to koniec. Koniec nie tylko ekspedycji, lecz zapewne i świata z którego przybyli.

Albowiem zanim jeszcze wylądowali, gdy jeszcze nie zbliżyli się do planety, komunikat o tym zdarzeniu — w postaci opowiadania — już istniał. Nigdy jeszcze, w żadnym innym ze światów, nie spotkali się z podobną zdolnością do przewidywania przyszłości.

W obliczu takiej potęgi jedynym wyjściem była ucieczka.

W bezsilnej złości zasyczał na otwartą książkę i parszając z przerażenia, rzucił się do wyjścia.

Z szatańskim tupotem przemknął po ulicy, wypuszczając na asfalt kłęby siarkowego dymu i płomieni, wreszcie skrył się wśród podwórek i opłotków.

Książka, którą czytał, została na stole.

W bezsilnej złości głośił tekst zasyczał na otwartą książkę i parszając z przerażenia, rzucił się do wyjścia.

Z szatańskim tupotem przemknął po ulicy, wypuszczając na asfalt kłęby siarkowego dymu i płamieni, wreszcie skrył się wśród podwórek i opłotków.

Wszyscy trzej, gnani przerażeniem, mknęli nad samą ziemią niczym trąba powietrzna. Ręce mocno przyciskali do boków. Mieli twarze wampirów.

Prawie jednocześnie dobiegli wreszcie do miejsca, gdzie czekał statek. Ciemny ogrom już wynurzał się im na spotkanie. Potem wchłonął ich, znienacka uniósł się i bezszelestnie ruszył w niebo.

Tak zakończyła się próba inwazji ze świata, którego nie było na żadnej z gwiazdowych map Ziemi.

Tak zakończyła się próba inwazji ze świata, którego nie było na żadnej z gwiazdowych map Ziemi.

Przełożył Michał Wołodźko

Wiktor Kołupajew
Gazietnyj kiosk

Kiosk z gazetami

Na dwadzieścia kroków nie było nic widać, taka wisiała mgła. Tylko lampy elektryczne i ślepe reflektory samochodów przeświecały niewyraźnie żółtymi plamami. Pół setki stopni poniżej zera! Z rzadka tylko skrzywienie kroków i przeraźliwe klaksony aut, i mróz, mróz... I w Usf–Mańsku, i na jego przedmieściach, i w promieniu tysięcy kilometrów.

Gnałem z hotelu do klubu zakładów elektromechanicznych, w którym o godzinie dwunastej rozpoczynała się konferencja. Nikt mnie nie wyprzedzał. Tak szybko rwałem do przodu, bo byłem tylko w lekkich butach i jesionce; para oddechu momentalnie zamarzała mi na twarzy, a nos utracił czucie tak kompletnie, że chciałoby się go schować pod pachę. I poza tym chciałoby się, żeby mróz nie był taki dojmujący, żeby można było popatrzeć na mój Usf–Mańsk, powłóczyć się po jego nowych dzielnicach, wpaść do kogoś z dawnych znajomych, wypić kieliszek wina i pójść do miejskiego parku, a później tak jak kiedyś, dawnymi czasy, pojeżdżać tam sobie zgórek, zgubić czapkę i znaleźć ją utyłaną śniegiem, i śmiać się, rechotać i rzucać się śnieżkami, i wygłupiać. Chciało mi się wszystkiego. Bo nie byłem w Usf–Mańsku dziesięć lat, a przedtem przeżyłem w nim dwadzieścia.

Miałem jeszcze do dyspozycji półtorej godziny wolnego czasu. Chciałem być pierwszy i rozgrzać się w środku. A palem stać i patrzeć, jak zmarznięci na sopel lodu ludzie wraz z kłębami pary wtłaczają się do holu, postukują nogami i rozcierają jeden drugiemu policzki.

— Nigdy w tym kiosku człowiek nie kupi świeżej gazety! — z irytacją powiedział jakiś osobnik okutany od stóp do głów i omal nie zbił mnie z nóg. — Przepraszam.

Odkoczyłem w bok i zobaczyłem przed sobą kiosk gazetowy ze szkła i plastiku w koronkach skrzącego się szronu. Był cały rozświetlony i wyglądał jak z bajki. Ale jak tam może wysiedzieć sprzedająca gazety staruszka? Załóżmy, że w środku jest temperatura o dziesięć stopni wyższa, to i tak mamy minus czterdzieści. Brr! Jak ona tam może wysiedzieć? Może już zamarzła?

Postanowiłem kupić gazetę, żeby nie tracić na próżno czasu podczas niektórych referatów. Na moje nerwowe stukanie okienko kiosku od razu zostało odsunięte.

— Babciu! — zawołałem. — Pięć dzisiejszych gazet. Jedną lokalną.

— Nie jestem babcią. Jestem Katia, Katieńka — odpowiedział mi dziewczęcy głos.

— Katia, Katieńka? Wspaniale, Katia, Katieńka. Więc jak będzie z gazetami, Katiu, Katieńko? — słowo „Katieńka” wargi wymawiały z trudem, ale specjalnie powtórzyłem je kilkakrotnie.

— Ja nie miewam dzisiejszych gazet.

— To już słyszałem. Tylko na co mi wczorajsze? Już je czytałem.

— Wczorajszych też nie mam.

— To po co pani tutaj siedzi?

— Ja sprzedaję tylko jutrzejsze gazety — odparła dziewczyna i w okienku ukazała się jej główka w ciepłej wełnianej czapeczce. — O Boże! Przemroził pan sobie policzki! Trzeba rozetrzeć! Daleko pan idzie?

— Do klubu elektromechaników.

— To za daleko. — I po chwili zastanowienia: — Niech pan wejdzie do mnie. Tu jest ciepło.

— Ale czy można?

— Proszę wejść.

Szarpnąłem drzwi kiosku, ale widocznie za słabo, bo się nie otworzyły, i zacząłem podskakiwać waląc się po policzkach, łokciach i kolanach. A w palcach nóg nie miałem już po prostu czucia.

— Mocniej! — zawołała dziewczyna.

Szarpnąłem z całej siły i wcisnąłem się do wnętrza kiosku wraz z powstającymi momentalnie kłębamii pary — miejsca było tam za mało nawet dla jednej osoby — i zatrzymałem się niezdecydowany, niczym znak zapytania.

— Proszę usiąść. — Dziewczyna wskazała mi stos gazet.

Usiadłem i od razu przysunąłem nogi do dwóch piecyków elektrycznych.

W kiosku było jasno, ciepło i sucho. Do tego bardzo czysto i przytulnie.

— Jak policzki szernieją, to dziewczyny nie będą kochać — powiedziała i roześmiała się. — Niech pan rozciera.

Ściągnąłem zębami rękawiczki i spróbowałem rozprostować palce. Nic z tego nie wyszło.

— Źle z panem — orzekła dziewczyna, zdjęła rękawice i ciepłymi dłońmi ostrożnie dotknęła moich policzków. Nie oponowałem. Zapytała: — Pan jest przyjezdny, czy należy pan do tych elegantów, którzy dla fasonu nie noszą zimą ciepłego ubrania, a później latami leżą w szpitalach?

— Jestem przyjezdny, Katiu, Katiénko. Lecę z hotelu na konferencję... Na temat rozchodzenia się fal radiowych.

— A... Czytałam o tym w gazecie. — Jeszcze kilka razy przesunęła swymi ciepłymi dłońmi po moich policzkach. — Teraz się rozgrzeją.

— Dziękuję, Katiu. — Podałem jej swoją jeszcze niezupełnie rozgrzaną prawicę. — Dmitrij Jegorow.

Ona również wyciągnęła rękę i przy tym tak jakoś wesoło się roześmiała, że i mnie zaraziła śmiechem.

— A więc to pana tak zjechali na tej konferencji?

Nie od razu dotarł do mnie sens wypowiedzianych przez nią słów.

— A ja się jeszcze zastanawiałam, którą gazetę zostawić. Ale we wszystkich jest jedno i to samo. A więc pan jest owym Dmitrijem Jegorowem, księżycowym fantastą.

— Wcale nie jestem księżycowym fantastą, Katiu. Wręcz przeciwnie, chodzę obiema nogami po ziemi. Czy uświadamia pani sobie, jak fale radiowe przenikają w głębę?

Pokręciła przecząco głową.

— No to powiem prościej. Poszukuję użytecznych kopalii i wody za pomocą fal radiowych rozchodzących się w głębie. Bez wież wiertniczych i próbek gruntu. I nie ma w tym żadnej fantazji. Ciekawi panią to? — zapytałem.

— Ciekawi — odparła — proszę mówić dalej. Przecież konferencja i tak zacznie się o dwunastej.

Opowiedziałem jej, jak tego lata nasza ekspedycja pracowała na Bagnach Wasiugańskich w północnym rejonie okręgu tomskiego, jak żarły nas meszki i komary, jak nawalała aparatura i chłopcy porobili się źli i zamknięci w sobie, a Goszka, nasz kierownik, zaczął wyrzaskiwać piosenki. Radzono mu, żeby się zamknął, żeby szedł w diabły, podsuwano mu pięść do powąchania, a on ciągle śpiewał, wypluwał z gardła wążące wszędzie komary i nazywał nas „lanymi kluchami”. Tym ostatnim nie czuliśmy się dotknięci, natomiast jego śpiewów nikt nie był w stanie wytrzymać. Ktoś

pierwszy, przez łzy, zaczynał rechotać. A wtedy reszta też nie wytrzymała. I rechotali wszyscy trzymając się za brzuchy.

— Pośpiewać jeszcze? — pytał Goszka i dorzuczał: — Ale z was lane kluchy. Komary żarły nas nie mniej niż przedtem i aparatura w dalszym ciągu nawalała, ale w nas budziła się złość na samych siebie, na własną bezradność. I nie chcieliśmy być dalej „lanymi kluchami” i nie wyłaziliśmy z tajgi, mimo że trzy razy nas odwoływali... Tylko nasza aparatura do końca nie zadziałała jak należy. Co zresztą mało kogo zdziwiło. Znana jest penetracja elektryczna, magnetyczna, radiacyjna i grawitacyjna. Ale nam marzyło się coś innego. Marzyło nam się, żeby widzieć przez ziemię na wskroś, jak przez przezroczyste szkło. Ekspedycja zakończyła się fiaskiem.

— A jednak było to fajne — podsumowałem. — I potrzebne. Odniosłem wrażenie, że w jej spojrzeniu dostrzegłem cień zazdrości. No bo w końcu coś tam jednak robiłem, do czegoś dążyłem, padałem i podnosiłem się, i szedłem naprzód. A ona na pewno któryś już rok z rzędu siedzi w tym maleńkim kiosku, sprzedaje gazety i kartki pocztowe, odlicza resztę, widząc tylko wyciągające się do okienka ludzkie ręce, i nawet nie próbuje zmienić czegokolwiek w swoim losie. Rozprostowałem ramiona i powiedziałem:

— Katiu, Katiénko, jedźmy razem z ekspedycją!

— Ja jako kucharka? — zapytała całkiem serio.

— Dlaczego akurat kucharka? — zmieszałem się.

— No bo jako kto?

— No, na przykład...

— Dobra! Zgadzą się — powiedziała.

— Mówisz serio?

— Serio. I tak mnie pan ze sobą nie weźmie. Wiem, że to żarty. A zresztą sprzedawanie gazet też jest ciekawe.

— Nawet znacznie ciekawsze — odparowałem z sarkazmem, tak mi się przynajmniej wydawało. — I w ten sposób przesiedzisz tu całe życie.

Nie obraziła się, błysnęła ku mnie swymi wielkimi oczami, w których nie było już zazdrości, a był tylko śmiech i ironia.

— Nno, tak — powiedziałem.

Rozgrzałem się już całkowicie, ale nie chciało mi się stąd ruszać. Przez cały ten czas nikt ani razu nie zastukał w okienko. Pewnie nikt nie miał ochoty kupować gazet w taki mróz.

Ukradkiem przyglądałem się Kati. Była niewielkiego wzrostu, miała czarne, wysuwające się spod czapeczki włosy. I oczy też miała czarne, a policzki lekko nabrzmiałe, jakby je wydymała. Na nogach nosiła skórzane kozaczki na wysokich obcasach, a w kącie za krzesłem dostrzegłem walonki. Leciutkie zimowe paltko z niedużym kołnierzem było do połowy rozpięte, spod niego wysuwał się niebieski, puszysty szalik.

— A teraz znowu ruszył pan do boju? — ze smutkiem spytała Katia. — Chce pan dowieść swojej racji?

— Chcę — odparłem.

— Nie uda się panu. Znowu ogłoszą pana księżycowym fantastą.

— Ach, Katiu, Katiénko — powiedziałem z goryczą. — Czemu pani tak mówi? Przecież nie może pani wiedzieć tego na pewno. Jeszcze nie wiadomo, kto...

Nie dokończyłem, bo nagle wsunęła mi w rękę gazetę i powiedziała:

— Proszę przeczytać!

Migiem przeleciałem pierwszą stronę. Nic specjalnego. Wszystko tak jak być powinno.

Bohaterowie wyrębu, dojarcki, czyny, współzawodnictwo.

— Na trzeciej stronie — podpowiedziała Katia.

Rozpostarłem gazetę i przeczytałem: *W Ust'-Mańsku odbywa się wszechzwiązkowa konferencja na temat przenikania fal radiowych.*

Katia cichutko zachichotała w rękaw. Widocznie na moim obliczu nazbyt jawnie rysowało się zdumienie. *Dwudziestego czwartego grudnia o godzinie dwunastej w południe w Domu Kultury zakładów elektromechanicznych otwarto wszechzwiązkową...*

— Którego jest dzisiaj? — zapytałem ochryple, usiłując dociec z przerażeniem, gdzie mogłem zmarnować cały dzień.

— Dwudziesty czwarty — odpowiedziała Katia z całą powagą.

— Wobec tego dlaczego piszą o rozpoczęciu w czasie przeszłym? Przecież rozpocznie się dopiero za godzinę!

Odwrociłem stronę. Gazeta „Czerwony Sztandar”, dwudziesty piąty grudnia.

— Nic nie rozumiem. Więc który w końcu dzisiaj jest?

— Dwudziesty czwarty. A który miałby być?

— Wie pani co, Katiu. Ja bardzo przepraszam. Coś mi głowa wysiada. Pewnie mnie zawiało.

— Nic pana nie zawiało i z głową wszystko w porządku. To jest jutrzejsza gazeta! Zawsze sprzedają jutrzejsze. Tylko że słabo się rozchodzą. Wszyscy chcą mieć dzisiejsze. A mnie nie dowożą dzisiejszych.

— Ależ to niemożliwe!

Jednak notatka dotyczyła naszej konferencji. I mój referat nazwano czystym urojeniem.

— Dziwne — powiedziałem. — Teraz wiem, co mi się przydarzy w ciągu najbliższych godzin. A jeśli zapragnę zrobić wszystko inaczej, niż tutaj napisali? Dajmy na to, że nie pójdę na konferencję?

— To nic nie da — powiedziała Katia. — Nie ma pan do tego żadnych powodów. Przecież jest nie tylko pana referat.

— No tak, faktycznie. — Na moment wyobraziłem sobie rozjuszoną fizjonomię Goszki i drgnąłem. — Możliwe, że nic się nie da zmienić. Najwyżej jakieś błahe szczegóły, których w gazecie tak czy owak nie podają. Nieźle się pani urządziła, Katiu. Sprzedawać jutrzejsze gazety to całkiem co innego niż dzisiejsze. To musi być rzeczywiście ciekawe.

— Więc nie zabierze mnie pan na ekspedycję? — zapytała drwiąco.

— Niech pani posłucha — zacząłem, nie odpowiadając na jej pytanie. — O której zamyka pani kiosk?

— O ósmej.

— Przyjdę po panią o wpół do ósmej, zgoda?

— Dobrze. Ale co będziemy robić? Pana nie można długo trzymać na dworze, boby pan zamarzł.

— Coś tam wymyślimy. No, lecę, Katiu, Katieńko. Postaram się zrobić wszystko, żeby mnie nazwali księżycowym fantastą. Chcę tego!

— Powodzenia! — kiwnęła mi. — A ja chcę na pana czekać.

Stałem w drzwiach jak wryty, nie wiedząc, co by tu powiedzieć. Znowu się ze mnie śmieje!

— No, niech pan leci. Całe ciepło uszło. Będę czekała.

Wybiegłem na pięćdziesięciostopniowy mróz i otoczony kłębem pary pognałem w górę aleją — obok domu akademickiego, koło pomnika Kirowa stojącego z podniesioną ręką, koło gmachów politechniki.

W przestronnym, ale nieforemnym holu Domu Kultury, z kandelabrami, żyrandolami i skórzanymi

kanapami, był już tłum ludzi. Oddałem swoje czysto symboliczne palto do szatni, wbiegłem na pierwsze piętro i tam z balkonu począłem wypatrywać, czy w dole nie odnajdę w tłumie znajomej twarzy.

Miałem szczęście i w dziesięć minut później już rozmawiałem ze swoim dawnym kolegą z roku. I posypały się pytania: gdzie? kiedy? jako kto? żonaty? dzieci? ile? doktorat? Siemiona Fiedorowa? Jasne, że pamiętam! Mrozek, co? U nas teraz trzyma na okrągło.

Żadnych innych znajomych nie spotkałem, a mój kumpel ze studiów wkrótce mnie zostawił. Był jednym z organizatorów konferencji, rozumiałem go. Takie konferencje to jednak absorbująca rzecz.

Punkt dwunasta zadzwieczał dzwonek przewodniczącego. Słowo wstępne wygłosił sławny członek akademii. Następnie podano porządek obrad sekcji i podsekcji, komitetów i komisji. Konferencja potoczyła się zwykłym trybem.

Nie kupiłem gazet w kiosku Kati. Sam nie wiem czemu. Pewnie przez ten pośpiech straciłem głowę. I teraz muszę wysłuchiwać tasiemcowych referatów przekrojowych.

W przerwie wszyscy rzucili się do bufetu na piwo i kanapki.

Później rozpoczęła się praca w sekcjach. W naszej sekcji, ku memu zdziwieniu, znalazło się czterdzieści osób. A ja sądziłem, że wszyscy radiofizycy przerzucili się na badania jonosfery, plazmy i takich tam różności, które się łączą z kosmonautyką.

Połowa referatów była z gatunku tych, które potrzebne są przyszłym doktorom do wylegitymowania się sześcioma publikacjami. Przecież każdy referat, choćby najżałośniejszy, liczy się jako publikacja. Nawet sami referujący odbębniali je byle zbyć i wreszcie z westchnieniem ulgi skromnie usiąść na miejsce. Pytań ani wystąpień na temat takich referatów na ogół nie bywa.

Później zaczęły się poważniejsze dysertacje. Niektóre były wręcz przebojowe. A już w szóstej godzinie przyszła kolej na mnie. Mówiłem spokojnie, z pewnością siebie, i słuchano mnie nie przerywając. Już mi się zdawało, że nie będzie jutrzejszego artykułu o „księżycowym fantaście”. Pytania padały prościutkie i powziąłem nadzieję, że uniosę stamtąd całą głowę, ale okazały się to tylko przedbiegi. I w pół godziny później nie pozostało na moim referacie suchej nitki. Najbardziej uwzięły się na mnie „mamuty” z politechniki w Usf’–Mańsku. Trzeba pecha, że na salę wszedł akurat dziennikarz i kilkanaście razy błysnął fleszem.

Ale ja jakoś nie przejąłem się tym specjalnie.

Pewnie, że Goszka da mi wycisk. I pieniędzy na letnią ekspedycję przydzielą trzy razy mniej niż trzeba. Ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Staralem się zmienić treść artykułu w jutrzejszej gazecie. Staralem się ze wszystkich sił. Nie udało się. I teraz wiedziałem, że w gazecie będzie wszystko tak, jak to już czytałem. A zatem dziewczyna ze szklanego kiosku naprawdę sprzedaje jutrzejsze gazety!

Przyszedłem po nią za dwadzieścia ósma. Wcześniej nie mogłem się wyrwać. Dwadzieścia minut, które pozostały do zamknięcia kiosku, wystarczyły mi, żeby się trochę ogrzać.

— No i jak? — spytała Katia, a oczy śmiały się jej filuternie.

— Wszystko się zgadza — odparłem. — Referat jest mrzonką fantasty. Ale jakie to wszystko dziwne. Skąd oni ci przywożą jutrzejsze gazety?

— Z drukarni — mówi ona.

— I wszyscy w Usf’–Mańsku tak zwyczajnie traktują to, że sprzedajesz jutrzejsze gazety?

Zdawało mi się, że posmutniała.

— Przecież mało kto wie, że gazeta jest jutrzejsza. Wszyscy myślą, że to dzisiejsza.

— Poczekaj no. To znaczy, że dla ciebie ta gazeta jest jutrzejsza, a dla wszystkich innych jest

zwyczajna, dzisiejsza?

— Dla ciebie też jest jutrzejsza — powiedziała Katia.

— Dla mnie też. No dobrze. A dla innych?

— A dla innych jest dzisiejsza.

— A czy często trafiają się ludzie, dla których jest jutrzejsza?

— Nie bardzo.

— No, ale jednak?

— Ty jesteś pierwszy — uśmiechnęła się i zmarszczyła nos. — Od razu pomyślałam sobie, że ty to dostrzeżesz.

Czas już było zamykać.

Katia zmieniła buty na walonki, zgasiła światło i zamknęła kiosk. Poszcęściło nam się i w minutę później złapaliśmy taksówkę. Spacer po ulicy w taki mróz był nie do pomyślenia, szczególnie dla mnie.

Zaprosiłem ją do swego kolegi ze studiów. Przystała na to.

Mój kolega miał dwupokojowe mieszkanie. Jego żona akurat przyszła z pracy i zaraz zabrała się do przysmażania kartofli. Troje dzieciaków od lat sześciu do dziewięciu wszczęło z nami rozmowę o Tomku Sawyerze.

Tak już się przyjęło, że z okazji spotkania powinna stanąć na stole butelka wina. Butelkę oczywiście opróżniliśmy. Wyszliśmy koło jedenastej. Odprowadziłem Katię do hotelu robotniczego i nawet wszedłem razem z nią na korytarz. Przegadaliśmy jeszcze z godzinkę, ale już nie ciągnąłem jej na swoją ekspedycję. Teraz ja sam bym przystał z radością na sprzedawanie jutrzejszych gazet.

Zawsze chciałem wiedzieć wszystko do końca, więc spytałem Katię:

— No, ale w końcu jaki jest sens w tych twoich jutrzejszych gazetach, skoro nikt o tym nie wie?

— Ja wiem — odpowiedziała.

— Ale ty i tak nic nie możesz zrobić!

— Co ty tam wiesz — odpowiedziała mi zagadkowo. Jutrzejsze gazety przychodzą różne. Oczywiście nie wszystkim się różnią. Szczegółami. Pogoda trochę lepsza albo trochę gorsza, czyjaś choroba albo wyzdrowienie, czyjaś radość albo smutek. Gazety przychodzą trochę różne, a ja wybieram jedną konkretną. I to jest dopiero właściwa gazeta.

Gwałtownie przygięła moją głowę, pocałowała w usta i uciekła, krzyknąwszy:

— Jutro o dziewiątej!

A ja dalej stałem na miejscu zmieszany i szczęśliwy.

Rano wstałem koło siódmej. Mój hotelowy współlokator jeszcze spał i jego koncertowe chrapanie rozchodziło się zapewne na cały świat. Przez okrągłą noc spać mi nie dawał, ale nad ranem mimo mego dziarskiego nastroju zabrakło mi już sił, żeby wysłuchiwać jego arii. Ubrałem się i poszedłem do bufetu zjeść serdelka na gorąco. Potem wróciłem do pokoju, zabrałem teczkę, palto i wyprowadziłem się na korytarz. Przesiedziałem tam chyba godzinę. Powinienem zjawić się w kiosku u Kati o dziewiątej, a na razie była dopiero ósma.

O wpół do dziewiątej nie wytrzymałem i na łeb na szyję poleciałem w mroźny poranek. Na dworze nie było ani trochę cieplej niż wczoraj, więc nauczony gorzkim doświadczeniem poruszałem się po ulicach wyłącznie biegiem.

Kiosk z gazetami tak jak wczoraj lśnił niczym obsypany diamentami. Zastukałem w okienko i zamiast powitania zakrzyknąłem:

— Katiu–Katieńko, zapraszam!

Nic mi nie odpowiedziała, z wnętrza doszedł mnie szelest zgniatanej gazety. Szarpnąłem drzwi za klamkę i władowałem się do środka.

Katia siedziała odwrócona do mnie całym ciałem, przyciskając do piersi stos gazet pachnących farbą drukarską.

— Na czas jestem? Nie spóźniłem się?

— Nie wiem, może — odpowiedziała ledwie słyszalnie. To mnie trochę zdziwiło, zaniepokoiło. Była czymś zdenerwowana i jak gdyby nie chciała ze mną rozmawiać. Zapytałem:

— Stało się coś?

— Stało — powiedziała. — Muszę wyjść.

Nic nie rozumiałem.

— Przepraszam, Dmitrij. O dziesiątej zapalił się, zapali się dom dziecka na ulicy Wierszynina. Muszę ich uprzedzić.

Przelotnie spojrzałem na zegarek. Do tego czasu brakowało około godziny. A na ulicę Wierszynina, gdzie znajduje się dom dziecka, jest, jak pamiętałem, dziesięć minut piechotą.

— Nie ma tu gdzieś w pobliżu telefonu? Trzeba do nich po prostu zadzwonić.

— Telefon jest w Instytucie Elektroniki. Ale przez telefon mogą nie uwierzyć. Trzeba iść.

— Jeszcze zdążymy — uspokoiłem ją. — Dawno to przeczytałaś?

— W tej chwili, gdy zastukałeś w okienko.

— Lecimy — powiedziałem.

— Nie chodź ze mną. Ja muszę sama.

— Nie zwracaj głowy. Podali szczegóły?

— Podali — wyrzekła, ale jakoś tak z przymusem, jakby nie chciała odpowiadać, jakby mówiła nieprawdę.

— Dzieci wszystkie ocalały?

— Wszystkie... jedno omal się nie spaliło.

Wyskoczyłem z kiosku, za mną wyszła Katia, zamknęła kiosk i klucz wsunęła mi do kieszeni. Byłem trochę podekscytowany i nie odczuwałem mrozu tak dotkliwie, jak pięć minut wcześniej.

Złapała mnie za rękę i pobiegliśmy. Pierwsze sto kroków przebiegliśmy w milczeniu, potem odwróciła głowę i popatrzyła na mnie badawczo. Spróbowałem się uśmiechnąć, ale już zdążyły zamarznąć mi wargi.

— Pojechałabym z tobą nawet jako kucharka — powiedziała.

— No to jedziemy. Decyduj się! — słowa były buńczuczne, ale wypowiedziane na głos nie zabrzmiały zbyt heroicznie.

— Dobrze by było — odpowiedziała.

— Jedziemy! — zatrzymałem ją na chwilę. — Po co czekać lala? Pojedziemy za trzy dni, jak się skończy konferencja, co?

Zabawnie zmarszczyła nosek i kiwnęła głową, i znowu pociągnęła mnie naprzód. Pobiegliśmy prospektem Kirowa. Koło kina „Październik” ścięliśmy róg i znaleźliśmy się na ulicy Wierszynina, na wprost domu dziecka. Budynek był nowy, piętrowy, z cegły, w oknach paliło się światło i nic nie zwiastowało bliskiego pożaru. Nawet przez chwilę wydawało mi się, że Katia zakpiła sobie ze mnie, że chce mnie tylko wypróbować. Ale ona tak stanowczo szarpnęła furtką niewielkiego, najwyżej metrowego ogrodzenia, że natychmiast rozwiały się wszystkie moje wątpliwości. Furtka od razu ustąpiła ze skrzypieniem, ale przy głównym wejściu nie powiodło nam się. Albo dzwonek nie działał, albo nikt go nie słyszał. I dopiero po dobrej chwili domyśliliśmy się, że główne wejście jest na pewno zawalone wszelakimi rupieciami i trzeba wchodzić od tyłu.

Drzwi od tyłu były otwarte, a światło naturalnie w imię oszczędności wyłączone. Potrącając się i potykając o stopnie dobrnęliśmy do korytarza. Tam było widno. Naprzeciw można było domyślać się głównych drzwi, ledwie prześwitujących i to tylko górą, zza stosu najprzeróżniejszych przedmiotów. Na lewo mieściła się kuchnia. Dolatywały stamtąd przyjemne zapachy. Obok był pokój, coś w rodzaju jadalni i tam zasiadły już dzieciaki, z czuprynami i wygolone, z warkoczykami i ostrzyżone na krótko. Dwie wychowawczynie z tacami chodziły wokół stołów. Na prawo była sypialnia. Co mogło znajdować się na piętrze, oczywiście nie miałem pojęcia.

Katia od razu ruszyła ku drzwiom, za którymi siedziały dzieci, i zwróciła się do pań, kiwając do nich ręką.

— Można poprosić na chwileczkę?

Wychowawczynie popatrzyły na nią ze zdumieniem, po czym jedna z nich postawiła tacę na kredensie i podeszła do drzwi.

— Dzień dobry — przywitała się Katia i poprosiła, by z nią wyjść na korytarz.

— Dzień dobry — powiedziała kobieta i przestąpiła próg.

— Proszę mnie nie pytać, skąd o tym wiem — zaczęła Katia. — Koło dziesiątej w tym budynku wybuchnie pożar.

— Ojej! — przycisnęła rękę do piersi tamta.

— Trzeba ubrać dzieci i porozumieć się z sąsiednimi domami, żeby je przyjęto.

— Ojej — powtórzyła kobieta i zawołała drugą. — Mario Pawłowna! Dzieci z zainteresowaniem obserwowały tę scenę i już zaczęły hałasować i dokazywać.

— Mario Pawłowna, marny pożar — zajęczała wychowawczynie.

— Co się siało? — ostro spytała Maria Pawłowna — Kim państwo są?

— Ja sprzedaję gazety, ten pan jest inżynierem. O dziesiątej wybuchnie u was pożar. Trzeba wyprowadzić dzieci.

— Wyprowadzać na laki mróz? — nie zmieniając tonu zaproponowała Maria Pawłowna.

— Ale przecież pożar — zaszepiała pierwsza wychowawczynie.

— Trzeba działać — postanowiłem wtrącić się do rozmowy. — Mają tu państwo telefon?

— Marny — odparła Maria Pawłowna i wskazała ręką.

Telefon znajdował się za moimi plecami.

— On zadzwoni do straży pożarnej, a panie niech ubierają dzieci — Katia mówiła spokojnie nie podnosząc głosu. Starła się mówić z przekonaniem, żeby jej uwierzono.

Pierwsza wychowawczynie powtarzając swoje „ojej” pobiegła na piętro. Z kuchni wynurzyła się kucharka i przyłączyła się do nas. Z dworu wszedł dozorca okutany w szal niemal do samego czoła i stuknął o podłogę drewnianą szuflą, która była dzisiaj na ulicy zupełnie niepotrzebna.

Wykręciłem numer i kiedy zgłoszono się na drugim końcu drutu, powiedziałem do słuchawki:

— Proszę wysłać wóz strażacki do domu dziecka na ulicy Wierszynina.

— Dawno się pali? — zapytano mnie rzeczowo, a do niewidocznego dla mnie kolegi krzyknęto: — Wezwij siódmą. A co się pali? — to już odnosiło się do mnie.

— Na razie nic, ale o dziesiątej się zapali.

— Znowu żartownisie — z niezadowoleniem powiedział głos i słuchawka została odłożona.

Wykręciłem numer po raz drugi, ale rozmowa także nie przyniosła rezultatu. Nie dawano mi wiary.

Z piętra zeszły trzy kobiety. Jedna z nich była kierowniczką domu dziecka.

— Urządzenia przeciwpożarowe mamy w porządku — oznajmiła nam. — Państwo są z kontroli bhp?

Mimo że Katia tłumaczyła wszystko po kolei, kierowniczką zaciągnęła nas do ściany i zmusiła do przeczytania „Planu ewakuacji dzieci na wypadek pożaru”. „Plan” prezentował się wręcz znakomicie i szkoda wielka, że był nie do zrealizowania w tym budynku w żadnych okolicznościach.

— A czy są tutaj przynajmniej gaśnice? — Zapytałem spoglądając na zegarek. Dochodziła już dziesiąta.

— Są — odparła kierowniczką. — To znaczy były. O, tutaj wisiały — i wskazała na trzy ciemniejsze niż reszta ściany miejsca. — Jedna się urwała i o mało nie zabiła Tanieczki Sólcewej. Trzeba je było powynosić do składziku.

Czas płynął. Należało zacząć działać.

— Dlaczego gaśnice nie wiszą na swoich miejscach! — wrzasnąłem. Kierowniczkę od razu strach obleciał. Kto ich wie, może są rzeczywiście z komisji kontrolnej.

— Anikieicz! — krzyknęła. — Dawaj no tu mi giem gaśnice! Dozorca wypadł na dwór i za moment wrócił, bo okazało się, że nie ma kluczy. Panie zaczęły dochodzić gorączkowo, kto też może mieć klucze. Anikieicz odnalazł je u siebie i ponownie pognął na dwór.

— Ubierać dzieci — rozkazała Katia.

Posłuchano jej i nie posłuchano. Dzieci przeprowadzono od stołu na korytarz. Ale nie było w tych poczynaniach przekonania, jak gdyby wszyscy czekali, że fałszywy alarm zostanie odwołany.

Dzieci było mniej więcej pięćdziesięcioro. I jak się zorientowałem, na piętrze znajdowało się ponadto sto dwadzieścioro. Zacząłem rozwalać graciarnię sprzed głównego wejścia. Sanki wrzucałem prosto do sypialni, beczki z resztkami przekwaszonej kapusty wtaczałem do kuchni. Ktoś tam usiłował mi pomagać, ale krzyknąłem, żeby szybciej ubierać dzieci i od razu wyprowadzać na dwór.

Katia jeszcze raz zadzwoniła do straży pożarnej i jej chyba uwierzono. Rozrzuciłem połowę gratów i teraz pozostawało tylko przedrzeć się do drzwi, żeby całą resztę wywalić wprost na ulicę. Leciały jakieś grabie, łopaty, stare chodniki i wiadra bez dna. Kucharka zalała kuchnię wodą. Usiłowaliśmy wyłączyć piecyki elektryczne, ale gniazdka rozmieszczone były w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, tak że często nie można było dosięgnąć do wtyczek. Jedna z wychowawczyń pobiegła do pobliskiego kina umówić się, żeby wpuszczono tam dzieci do holu. Kierowniczką wciąż nam jeszcze nie wierzyła. Już ona by nam dała za swoje, gdyby te nasze chaotyczne, trzeba to przyznać, przygotowania okazały się zbędne!

Otworzyły się drzwi bocznego wejścia i na korytarz wtoczył się dozorca z dwiema gaśnicami w rękach. Kichnął kilkakrotnie i usiłował coś powiedzieć. Wreszcie udało mu się.

— Palimy się — zawołał dorzucając kilka mocnych słów i rąbnął gaśnicą w podłogę. Ale niewiele było pożytku z tych obskurnych gaśnic. A para, która razem z dozorcą wdarła się na korytarz, nie zniknęła. Nie była to para. To był dym. Gryzł mnie w oczy. Dozorca rzucił się wraz ze mną do odwalania drzwi. Kiedy przejście było wreszcie wolne, drewniana ścianka już płonęła.

Po dwudziestu minutach przyjechała straż pożarna. Dzieci do tego czasu zostały przeniesione do pomieszczeń kinowych. Komisja zabrała się do ustalania przyczyn pożaru. Wychowawczynie jeszcze nie całkiem przyszły do siebie po ostatnich przejściach. A ja pędziłem karetką pogotowia trzymając w swojej ręce zimną i mokrą dłoń Kati. Katia usiłowała podtrzymać walącą się drewnianą ściankę między dwoma pokojami, żeby dać czas na wyprowadzenie ostatnich dzieci. Wyprowadzono je wyjściem ewakuacyjnym po żelaznej drabince z pierwszego piętra na podwórko. Wyprowadzono je wszystkie, a ona nie zdążyła odskoczyć i płonące drewniane przepierzenie przygniotło ją do podłogi. Minutę wcześniej podała mi na ręce półubraną dziewczynkę i krzyknęła, żebym podszedł pod okno do strony ulicy, może tamtędy trzeba będzie podawać dzieci.

Ja nie doznałem nawet lekkich oparzeń. A na jej twarz nie pozwolono mi spojrzeć! Zakryta była czymś białym.

Siedziałem w holu kliniki, załamany i rozbity. Powiedzieli mi, że zrobią wszystko, co w ich mocy. Zdawałem sobie sprawę, w jakich okolicznościach używa się tego sformułowania.

Ze trzy razy radzono mi, żebym sobie poszedł, bo w niczym nie mogę pomóc i tylko irytuję lekarzy swymi pytaniami. Kiedy wyganiali mnie po raz czwarty, a ja ciągle znajdowałem preteksty, żeby zostać, jeden z młodych lekarzy powiedział nagle:

— Jak chce pomóc, to niech spróbuje. Jutro będzie o tym komunikat w gazetach, dzisiaj wieczorem podadzą informację przez radio, ale może być już za późno. Gdzie pan mieszka?

Pokręciłem głową:

— Jestem przyjezdny.

— Szkoda. To znaczy, że nie ma pan tu znajomych?

— Mam, ale niewielu.

— Konieczny będzie przeszczep skóry. Potrzebni są ochotnicy. Około pięćdziesięciu osób. Może więcej.

— Ja to załatwię! — zawołałem i wypadłem na ulicę.

Konferencja była w toku.

Starczyło mi przytomności umysłu na tyle, żeby nie wzniecać paniki, tylko odszukać mego kolegę ze studiów. Wysłuchał mnie w milczeniu i powiedział:

— Coś takiego. Wczoraj była taka wesoła. — I dodał: — Dobrze zrobiłeś, że powiedziałaś to mnie. Wszystko się załatwi. Waszą sekcję pošlemy pierwszą.

Wszedłem razem z nim do sali, gdzie pracowali radiofizycy od gleby, i usiadłem na pierwszym z brzegu krześle. Mój kolega poszeptał o czymś z przewodniczącym sekcji, który odczekał, aż mówca zakończy swój referat, po czym oznajmił zgromadzonym:

— Proszę państwa! W mieście wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Potrzebna jest skóra do przeszczepu. Myślę, że zrobimy przerwę i razem pójdziemy do kliniki. To niedaleko. Tylko dwie przecznice stąd... Dziewczyna może umrzeć!

Do kliniki każda grupa pomaszzerowała oddzielnie, w określonych odstępach czasu stawiała się cała konferencja.

Koło pierwszej w południe wpuszczono mnie jednak na salę, gdzie leżała Katia. Biała poduszka, białe prześcieradło na ciele i zwój bandaży zamiast twarzy. Tylko czarne krążki oczu z opalonymi rzęsami i ledwo zaznaczone usta. Przysiadłem na stołku koło łóżka. Katia patrzyła na mnie nieruchomo, nie mrugając. A ja nie wiedziałem, co jej teraz powiedzieć. Wszystkie słowa uwięzły mi w gardle. Pogłaskałbym ją tylko po policzku i po włosach, ale tego nie wolno mi było robić. Kiwnąłem jej głową i próbowałem uśmiechnąć się zuchowato. Nie wiem, co przeczytała w moim uśmiechu, ale wargi poruszyły się lekko i z ich ruchu zrozumiałem, co powiedziała.

— Jak policzki szernieją, to nie będziesz kochać.

— Będę, będę — powiedziałem. — Wywiozę cię z Usf⁷-Mańska, Katiu. A w lecie pojedziemy na Bagna Wasiugańskie tuczyć na sobie komary.

Wyprowadzono mnie z sali. Kati znowu zrobiło się gorzej.

— Nic tu pan nie może pomóc — powiedzieli mi. — Niech pan idzie do hotelu. Proszę wstąpić do Kati do kiosku i zawiadomić, co się stało. Zresztą niech się pan zajmie czymkolwiek, robi coś. Może pan przyjść jutro rano.

Wszedłem na ulicę i ruszyłem w powrotną drogę.

Znajdowałem się w stanie jakiegoś duchowego otępienia, żadna myśl nie przebiegała przez głowę. Nawet mrozu nie odczuwałem. Tak doszedłem do kiosku Kati i przypomniałem sobie, że klucz od niego leży w mojej kieszeni. Otworzyłem zamek, wszedłem do środka i włączyłem światło. Gazeta leżała otwarta na czwartej stronie. Od razu odszukałem niewielką notatkę w rubryce wypadków. Donoszono w niej, że wczoraj o godzinie dziesiątej rano z powodu uszkodzonej instalacji elektrycznej wybuchł pożar w domu dziecka na ulicy Wierszynina. Podczas ratowania dzieci zginęła Jekatierina Smirnowa. Katia Smirnowa. Nie wiedziałem nawet, że ma takie nazwisko. Zwyczajnie, Katia–Katieńka.

W gazecie napisano nieprawdę! Przecież ona nie zginęła przy ratowaniu dzieci. Ona żyje!

Przypadkiem zawadziłem wzrokiem o zgniecioną stronę gazety, leżącej obok, i przypomniało mi się, że kiedy rano wstąpiłem po Katię do kiosku, zmięła gazetę, spojrzała na tę, która teraz leżała przede mną i dopiero wówczas powiedziała, że będzie pożar. Wiedziała, co z nią się stanie i mimo to poszła.

Rozprostowałem zgniecioną gazetę. Też była jutrzejsza. I notatka o pożarze też tam była. Tylko podano w niej, że zginął Dmitry Jegorow.

W skroniach załomotało mi głucho. Teraz zrozumiałem całą swoją istotą, co miała na myśli mówiąc, że codziennie rano wybiera gazety. Zawsze ma kilka różnych wariantów i właśnie dzisiaj wybrała własną śmierć tylko dlatego, że byłem jeszcze ja. To ja powinienem trzymać walącą się w ogniu ścianę, a ona posłała mnie na dwór z poleceniem, które mógł spełnić ktokolwiek. Ja powinienem leżeć przygnieciony płonącymi deskami.

Wyciągnąłem z paczki jeszcze jedną gazetę. Zginął Dmitrij Jegorow. Trzecią... To sarno. Zawzięcie szukałem tego, co chciałem odnaleźć. Tak się spieszyła. Tak się ucieszyła, że zostanie przy życiu.

Dzisiaj ja wybiorę jutrzejszą gazetę.

I znalazłem ten egzemplarz. Ten był właściwy. Przecież setki ludzi zrobiło wszystko, żeby żyła. Setki ludzi, nie wiedząc o tym, starały się, aby zmienić treść notatki.

Postanowiłem, że wybiorę i będę sprzedawać tę właśnie gazetę, żeby wszyscy wiedzieli, że Katia żyje, że odniosła jedynie straszliwe oparzenia, ale będzie żyła, z pewnością będzie żyła! Zacznę o tym przekonywać wszystkich ludzi, którzy zajrzą do kiosku.

Ale było za zimno i nikomu nie chciało się przystanąć koło kiosku. Wobec tego wyszedłem na chodnik z plikiem gazet i zacząłem rozdawać je przechodniom.

— Proszę was, przeczytajcie o Kati Smirnowej! Będzie żyła! Przeczytajcie! Katia będzie żyła! Zapracujcie tego!

Z początku myślałem, że będą na mnie patrzeć jak na wariata. Ale nic podobnego się nie stało. Przechodnie brali gazety, zatrzymywali się, wypytywali mnie, współczuli, wyrażali nadzieję, że z pewnością przeżyje.

— Powinniście tego bardzo pragnąć — mówiłem. — To właśnie Katia przynosi wam duże i małe radości. Wy tego nie zauważacie, bo nie wiecie, że gdyby nie ona, nie byłoby i waszych radości. To dzięki niej jest ładna pogoda, więc idziecie sobie do lasu. I jest wam przyjemnie i wesoło. To ona zapobiega wypadkom na ulicach. To ona tak zrobiła, że dziewięćdziesiąt dziewcząt znalazło swoich chłopców. A bez niej mogliby się wcale nie spotkać. To prawda, że nie może ona wykonać planu nawet małej fabryki. Ale to nie ma znaczenia. To mogą zrobić inni. Czytajcie gazetę! Niech Katia żyje!

— Przecież to królowa Usf?–Mańska — powiedział ktoś. Uwierzono mi i teraz wiedziałem:

Katia będzie żyć, bo wszyscy tego pragną. Wstąpiłem na pocztę główną i oddałem klucze od kiosku. Potem wpadłem na konferencję i „mamuty” z politechniki w Usf’-Mańsku orzekły, że czasowo będę zatrudniony w ich laboratoriach, że w moich fantazjach coś jest, że posłano już telegram do mego instytutu z prośbą o przedłużenie mojej delegacji. Rozumieli, że teraz nie mogę wyjeżdżać z tego miasta. Pozostanę tu, w Ust’Mańsku, aż im udowodnię, że można widzieć ziemię na wskroś, aż Katia wyzdrowieje, aż rozpoczną się przygotowania do ekspedycji, aż wreszcie razem z nią polecę na północ, na bagna, w chmary komarów, w deszczowe dni i pieśni.

Biegłem do kliniki. Na dwadzieścia kroków nie było nic widać, taka wisała mgła. Pół setki stopni poniżej zera. Z rzadka skrzypienie kroków i przeraźliwe klaksony aut, i mróz, mróz...

I w Usf’-Mańsku, i na jego przedmieściach, i w promieniu tysiąca kilometrów.

Biegłem do Kati, bo ona czekała na mnie.

Przełożyła Monika Dutkowska

Askold Jakubowski
Gołosa w noczi

Głosy w nocy

Widział, jak do oceanu spada gorejąca kapsuła.

Widział, jak jej płomień przekreślił chmury i wszedł w żółty horyzont zachodzącego słońca.

Po czym stał się krzyżykiem na wodzie.

Daleko za tym płomieniem, w oślepiająco żółtej barwie zachodu tonącego w wodzie słońca, znajdowała się baza raketowa. Wymacywała Selgina (i kapsułę) swymi lokatorami.

— Niech to diabli! — krzyknął Selgin i zasłonił oczy dłońmi. Zaciskał je mocno, lecz widział kapsułę, jak opiera się skrzydłami o wodę.

Kapsuła nie tonie, trzymają ją pływaki — a więc wyskoczył za wcześnie. Tak kazała Sinugola. Biedna moja łódeczko, pomyślał Selgin.

— Niech to diabli? — krzyknął gniewnie i podciągnął nogi, bo spadochron nie mógł go dalej unosić. Selgin spadał do oceanu. Od jej żywej, falującej powierzchni wody dzieliły go zaledwie dwa lub trzy metry.

Woda!... Kipiące pęcherzykami fale podskakiwały i chwyciły go za nogi.

Woda! Oto złapała go, obróciła na linkach, ukazała czerń całego horyzontu.

Woda wydała się Selginowi obrzydliwie gęsta. Te pęcherzyki... Miały błyszczący żółty punkcik w środku, patrzyły rybimi oczami. Selgin pojął — ocean jest złowieszczo, niebezpiecznie żywy. Poczul tęsknotę za prostotą kosmosu. Ten jest zupełnie oczywisty. Jest wzorem napisanym kredą na czarnej tablicy. Selgin chciał go widzieć, żyć w nim, latać. Koniecznie. (Teraz widział niespokojne chmury, ich groźną czarnordzawą barwę, płonąca kapsułę raketową unoszącą się na wodzie. Podtrzymywały ją pływaki nadmuchane przez automat).

Fale wzniosły się nad nim, schwyciły go. Szarpnięcie! Uderzenie! Wstrzymując dech Selgin pociągnął pierścień kombinezonu ratunkowego. Kombinezon zaczął powoli wypełniać się powietrzem, ścisnął boki i gardło elastyczną gumą. Wysoko uniósł głowę Selgina nad wodą.

I Selgin popłynął — kombinezon zamienił się w niewielką gumową tratwę. Selgin leżał i patrzył ze złością na wodę. Zbliżały się fale, chciały go utopić, duże i małe. Na małych siedziały inne fale — jeszcze mniejsze, na tych zaś — malutkie. Wszystkie były drapieżne...

Oto plusnęły mu w twarz.

— Spokój — wychrypiał kombinezon ratunkowy. — Absolutny spokój, ja się panem opiekuję.

Było to tak nieoczekiwane, że Selgin roześmiał się uniesionymi do góry ustami. I od razu łyknął wody. Splunął.

— Pański śmiech świadczy o rozstroju nerwowym. Przede wszystkim absolutny spokój — głos robola syczał jak przeziębiony. — Proszę mi ufać, utrzymam pana na wodzie przez dwie doby. Mam zapas wody do picia. Proszę pamiętać: panika zwiększa zużycie białek i witamin. Proszę zachować spokój. Opiekuję się panem, ja, kombinezon ratunkowy nr 10381, seria SK.

Selgin zobaczył, jak do jego policzków zbliżyły się dwie rurki, jedna czerwona, druga granatowa.

— Woda — powiedział automat, trącając Selgina w nos granatową rurką, i powtórzył: — Woda.

— A co z jedzeniem? — spytał Selgin.

— Jedzenie... — trąciła go druga rurka. I natychmiast, wśród syków i trzasków, przemówiła baza Sinugoli. Śmigłowców nie wysyłali, był silny sztorm.

— Czekaj na Rufusa, stary — kazali mu. — Czekaj.

Fale były coraz większe. Nadciągała ta sama burza, która strąciła go, rodząc na skrzydłach kapsuły pioruny kulisie — cztery elektryczne pomarańcze.

Selginowi powiedział o nich nagły popłoch wśród wskazówek przyrządów pokładowych. A z początku wszystko szło tak dobrze — oderwał się od „Frama”, zszedł z orbity i zaczął spadać w dół, w kierunku warstwy powietrznej. Uderzył o nią i podskakując poleciał dookoła kuli ziemskiej po trajektorii lądowania. Prześliznął się nad Afryką i Atlantykiem... Polem Kordyliery, Pacyfik... Ocean Indyjski! (Tu właśnie był front burzowy. Przeszedł przez jego śnieżne góry).

Niespodziewany zamęt we wskazaniach przyrządów kazał mu obejrzeć się; wtedy to Selgin zauważył elektryczne pomarańcze. Siedziały na prawej płaszczyźnie skrzydła koło rzędu nilów.

— Paskudy! — krzyknął. Nie przestraszył się, czuł tylko wesołą złość. Spojrzał na lewą płaszczyznę i dostrzegł drugą rodzinę piorunów. Siedziały obok siebie cicho i spokojnie, jak dwa żółte kurczaki.

— Czekajcie, zaraz się was pozbędę! — zagroził im i gwałtownie poderwał aparat w górę. Przyspieszenie siadło mu na ramionach, schwyciło za głowę i wcisnęło oczy w głąb czaszki.

— Oooh... — zajęczał Selgin wznosząc się ponownie ku przenikliwemu, kosmatemu słońcu nieba stratosfery.

I naprawdę rozsierdził się na pioruny — zepsuta trajektoria, pokiełbaszona trasa. Diabły elektryczne! Nie ma ich! Nie, są. Więc Selgin natychmiast skierował aparat w dół, do oceanu, przeciągnął po jego smukłym ciełe pilnikiem prądów powietrznych, aż posypały się iskry. Wtedy pioruny wybuchły — wszystkie naraz!

— Skacz! — krzyknęła Sinugola. — Skacz!

Selgin nacisnął guzik katapultowania.

— Niepotrzebnie — przeklinał teraz siebie samego. — Ach, niepotrzebnie.

Burza odeszła, ale lał deszcz. Kombinezon obciskał całe ciało — niepodobna się ruszyć. Pomocy z powietrza trudno się spodziewać, woda i chmury są w nieustannym, szaleńczym ruchu. Statek?...

A jeśli go nie znajdzie?

— Proszę się nie obawiać — mówił kombinezon ratunkowy. — Nawiązałem łączność. Statek przybędzie dokładnie o godzinie zero. Proszę nie bać się wczesnego zmroku, jesteśmy na niskiej szerokości geograficznej. Czy chce pan posłuchać koncertu?

— Przestań gadać, kombinezonie — poprosił Selgin. Na niebie znowu zmiany, chmury szybko rozbiegały się. Uwolnione od nich niebo przybrało groźną barwę polerowanej miedzi.

Może jednak przyślą śmigłowiec?...

Błysnął kawałek księżyca, wiercił się na niebie, podskakiwał lub spadał razem z chmurami w dół.

— Proponuję zużyć połowę porcji żywnościowej — sugerował kombinezon ratunkowy. — Proszę łykać pokarm powoli.

— Nie chcę! Zbrzydło mi wszystko. Za dużo tu wody i chmur. Czy możesz przenieść mnie gdzie indziej?

— Nie mogę, już podałem nasze współrzędne.

Szybko zapadał zmrok. Księżyc pędził wśród chmur. Pomarszczoną twarzą uśmiechał się do Selgina. Ten zaś poczuł rozdrażnienie, poczuł się ściśnięty i skrępowany. Zapragnął walczyć, wszystko odrzucić od siebie — idiotyczny kombinezon, wodę, zbyt gęste i mokre powietrze — i uciec.

Księżyc uśmiechał się znacząco. Obok Selgina przepływał statek. Zjawił się niespodziewanie — czarny, bez świateł i łoskotu silnika.

Selgin w milczeniu patrzył, jak obok przepływa czarny, długi kształt. Nie chce nawiązać łączności, nie chce pomóc. Dlaczego? Muszę połączyć się z Sinugolą.

Milczący statek płynął przez zalane światłem księżyca fale. Jego burta... Była w niej czarna szczelina. Wpływała lam woda i wylewała się z powrotem. Ogromne, czarne postacie, poruszające się na pokładzie, nagle połączyły się w jedno wielkie ciało. Wpadło ono z pluskiem do wody i rzuciło się na Selgina. Woda zagotowała się, dokoła zakręciły się grube czarne sznury. Jednocześnie aparat ratunkowy wyrzucił z siebie z przeciągłym sykiem gęstą, czarną chmurę. Zakryła ona księżyc. Selginowi odjęło dech.

— To kalmar... Proszę nie oddychać przez półtorej minuty, przez półtorej minuty — mamrotał kombinezon. — To napad kalmara. Proszę liczyć do dziewięćdziesięciu, proszę liczyć.

Selgin potrząsnął głową — żrąca para paliła go w twarz. Gdy gaz ulotnił się, statek był już daleko. Błyszczał i przypominał wrzucony do wody kawałek księżyca. Dokoła nie było nikogo — tylko woda i woda...

Przeklęty kalmar uciekł.

Kombinezon ratunkowy brzęczał sygnałami elektrycznymi, wzywając jakiegoś Tiki.

To daremne, pomyślał Selgin. W abrakadabrze wody, strzępów powietrza i morskich okropności znaleźć go jest prawie niepodobieństwem. Cóż to za wściekły i okrutny żywioł! Przyjemnie zmierzyć się z takim. Oto prawdziwa walka!

— Wspaniale! — krzyknął. — Kombinezonie, tu jest wspaniale!

— On oszalał, wzywam „Tiki”, wzywam „Tiki” — powtarzał kombinezon ratunkowy. — Zalecam uspokoić się. Mnie też jest trudno, mam spalony opornik Nr 1001882. Proszę wziąć do ust świecącą rurkę. Proszę wziąć do ust rurkę, pokrytą świecącą farbą. Natychmiast! Wzywam pilnie „Tiki”, niech nas przesuną... — Kombinezon mamrotał i jęczał. Selgin wyciągnął szyję, złapał ustami rurkę, poczuł gorzki smak.

Wraz z nim w głowie pojawił się mglisty czarnozielony zamęt i Selgin zapadł w sen. Nie, to był tylko początek snu — migotanie i marszczenie się zielonych plam. A może ciemnych, żywych ciał?

Plamy podskakiwały i pluskały. To tylko fale. Sen... Sen... W przyjemnym śnie, który go ogarnął, przemieszczały się różne wrażenia i dźwięki: wstrząsy, przenikliwe świsty, czyjeś pośpieszne mamrotanie. Selgin poczuł ruch... Sen...

Wtem woda zalała mu twarz. Parsknął i podniósł głowę — dokoła kręcił się zwany kłęb ciał. W słuchawkach — dziwny gwar.

Sen. Opuścił głowę, zacisnął powieki, słuchał dziwnych głosów:

— Niesiemy, niesiemy człowieka, unosimy go wysoko. (To sen, ja śpię, ale w kosmosie takie sny się nie zdarzają).

Znów spojrział — czarne grzbiety kręcą się w wodzie. Wesoło, ścisk, unoszą go... Piękny sen!

— To ratownicy — mamrotał we śnie znajomy głos. (Ach, to kombinezon ratunkowy). — Pracują w tej strefie, to pomocnicy Rufusa. Proszę słuchać elektronicznego tłumacza. (To też jest sen, myślał Selgin. Sen, sen). Lecz śpiew wdzierał się ciągle do słuchawek, dźwięki zlewały się w słowa.

— Sarti co robiłeś wśród kamieni Sinugoli?

— Szukałem małży perłowych... Płyniemy, płyniemy, płyniemy...

— Znalazłeś je?

— Prosił mnie Yamamoto, chce odświeżyć krew stada ostryg.

— Co widziałeś wśród kamieni przybrzeżnych?

— Wiele rzeczy... Płyniemy, płyniemy...

— Jak uniknąłeś niebezpiecznych Manuezów?

— Nie zaczepiały mnie i nie przeszkadzały. Widziałem Ewana, twego dorosłego syna, on tam mieszka.

— Płyniemy, płyniemy, płyniemy...

— Co mu powiedziałaś?

— Nie chciałem go martwić, nie wspomniałem o twojej przegryzionej płetwie grzbietowej...

— Płyniemy, niesiemy człowieka...

— Ależ to nie sen! — krzyknął Selgin.

Gwałtownie uniósł głowę. Dokoła niego szybkie, prześlizgujące się czarne cienie... Rekiny? Zamarł z przerażenia. Ach, to delfiny! Słyszysz przekład ich pisków w zrozumiałe słowa. W oceanie jest cudownie. Koledzy, kombinezony ratunkowe, delfiny, woda, ewany. Wspaniale. W porównaniu z oceanem kosmos to tylko zwykła czarna tablica z wzorami napisanymi kredą. Pustka. Życie jest tu!

— Mówcie dalej — prosił delfiny.

— Żygo, gdzie się wczoraj podziewałeś? Bawiliśmy się przez cały dzień.

— Byłem w czarnych zalewach.

— Co tam robiłeś?

— Towarzyszyłem wielkim maszynom, pilnowałem, by nie siadły na mieliznę. Bawiłem się z nimi. Ludzie rzucali mi smaczne sardynki.

— Było ci dobrze, ale mnie leż, mnie leż.

— A ty co robiłeś?

— Podskakiwałem do góry, rozpędzałem się i znów podskakiwałem, niemal żyłem w żywiole człowieka.

— Niepotrzebnie, każdy ma własny żywioł. Porzuciliśmy ziemię, odeszliśmy do ciepłego i obfitego morza, przypomnij sobie nasze legendy. Gdyby nasz nowy przyjaciel zamieszkał z nami, czułby się tu dobrze. Nie szukałby grzmiącego lotu, lecz pływał w błękitnych lagunach i poznawał naszą mądrość...

— Każda istota ma swoją mądrość...

— Istnieje leż mądrość wspólna.

— Wiem, każe ona pomagać i poświęcać się. Szybciej, słyszę, jak Rufus mnie woła. Słyszę go, słyszę, on prawie mieszka z nami, strzeżemy go.

— Czy jest blisko?

— Jest obok nas, zostało do niego sto, i dwieście, i jeszcze pięćdziesiąt, i jeszcze tysiąc ruchów płetwą. Zaraz nasz przyjaciel w zimnym obcisłym kombinezonie wypuści w górę błyszczącą gwiazdę i kapitan Jerry zobaczy ją.

— Płyniemy, niesiemy człowieka...

Gdy zazgrzytało żelazo i światło reflektora uderzyło go w twarz, Selgin podniósł głowę. Zbliżał się doń świecący się ogrom — statek „Tiki” pod dowództwem kapitana Jerry’ego Rufusa.

Mówią, że to właśnie Jerry Rufus namówił Selgina, by ten został oceanonautą, ale to nieprawda. Decyzja zrodziła się wówczas, gdy Selgin zobaczył ruch ciemnych ciał, usłyszał głosy delfinów.

Ale prawdą jest to, co powiedział Jerry'emu Rufusowi, gdy ten w kajucie poczęstował go dla rozgrzewki kieliszkiem koniaku.

Powiedział:

— Do diabła, wściekle chciałbym znaleźć się wśród was, wśród nich, w wodzie.

Przełożył Michał Wołodźko

Feliks Kriwin
Izobratiel Wiecznosti

Wynalazca Wieczności

Wynalazca wieczności zmarł w 1943 roku w małej miejscowości uzdrowskiej nad Morzem Śródziemnym. Nieco wcześniej w tymże morzu utonął przedstawiciel władz okupacyjnych, któremu przysłała ochota ochłodzić się w śródziemnomorskich wodach i który pozostał tam dłużej, niż to sobie zakładał.

Równocześnie z nim znajdowali się w wodzie:

Profesor entomologii, lat pięćdziesiąt osiem; Agent niewielkiej firmy handlowej, trzydzieści dwa lata; Listonosz, nie wyglądający na swoje szesnaście lat; Studentka medycyny, niewiele ponad dwadzieścia; Fryzjerka damska, około trzydziestki; Ekspedientka, właścicielka sklepu kolonialnego, niewiele ponad czterdziestkę; a także Starsza Pani — modelka, której wieku nie udało się ustalić.

Na obecność w wodzie wspomnianych osób zwrócono uwagę dopiero wtedy, gdy przedstawiciel władz okupacyjnych bezpowrotnie zniknął z pola widzenia. Agent Handlowy i Fryzjerka rozmawiali o czymś żywo. Starsza Pani zażywała kąpeli morskiej tuż przy brzegu, inni po prostu pluskali się, każdy na swój sposób.

Wyciągnięto ich na brzeg i zatrzymano w charakterze zakładników — pod groźbą, że zostaną rozstrzelani, jeżeli w ciągu miesiąca nie zgłosi się faktyczny przestępca. Nie wtrącono ich do więzienia, by nie zabijać w nich woli życia, przeciwnie, umieszczono w komfortowej willi, wewnątrz bardzo przytulnej, lecz na zewnątrz okratowanej i starannie strzeżonej.

* * *

Był to swego rodzaju eksperyment.

Pierwszy dzień wydawał się niezmiernie długi. Profesor objaśnił to przyczynami natury subiektywnej. Czas — powiedział — jest tylko w połowie kategorią obiektywną, w połowie zaś — czysto psychologiczną, uzależnioną od procesów zachodzących w nas samych. Radość sprawia, że biegnie szybciej, cierpienie zwalnia jego bieg, a gdy czeka się na śmierć — wlecze się niesłychanie powoli, albowiem życie nie chce się poddać śmierci.

Wspominał o śmierci nie podejrzewając, że właśnie tu, wśród nich, znajduje się wynalazca Nieśmiertelności, której zresztą dotychczas jeszcze nie wynaleziono.

Starsza Pani — modelka ochoczo podtrzymała ten temat. Rozmowy o wspólnym losie odrywały ją od rozmyślań o własnym nieuniknionym kresie.

W owych latach, gdy Starsza Pani była modelką, myśl o przemijaniu nie nawiedzała jej. Teraz nie zostało już nic oprócz przemijania. Kąpiele morskie, zamiast pomóc, zgubiły ją ostatecznie. Takie to niespokojne czasy — ktoś kogoś topi, a chorego człowieka wyciągają z wody przerywając kurację...

— Nie mówmy o śmierci — odezwała się Ekspedientka. — Póki jesteśmy młodzi... Urwała, pochwywszy krytyczne spojrzenie Fryzjerki.

Profesor przyznał jej rację — po to, by żyć, trzeba się skoncentrować na życiu. Są owady, które żyją tylko przez parę godzin, i bynajmniej nie jest to dla nich powodem do rozpacz. Przez ten krótki czas wcale nie przeżywają mniej niż krokodyle w ciągu trzystu lat.

— Doprawdy trzystu? — Starszej Pani zabłyśły oczy. Własny wiek wydał jej się prawie niemowlęcym.

— Nienawidzę owadów — powiedziała Fryzjerka. — I nie rozumiem, po co krokodyle żyją tak długo.

Starsza Pani kiwnęła potakująco głową. Doprawdy żyją tak długo? Trzysta lat! A przed nią zaledwie miesiąc. Cóż można zrobić przez ten czas? Użyć życia — z pewnością nie. Na to całego życia za mało, coż dopiero mówić o marnym miesiącu. Owady — I o co innego, mają minimalne potrzeby. W ogóle nie wiadomo, po co żyją. A krokodyle? Też nie wiadomo, po co, jak słusznie stwierdziła Fryzjerka. Żyją trzysta lat — i nie wiadomo po co.

— Wszystko jest względne — odezwał się Agent. Ponieważ był handlowcem na względną skalę, wyznawał teorię względności. — Każde miasto jest małym państwem, każdy dom — małym miastem...

— Jakież przyjemne to nasze miasteczko — powiedziała Fryzjerka, obrzucając spojrzeniem ściany i sufit.

Agent zaproponował jej spacer po korytarzu, ale odmówiła. Była fryzjerką damską i serce jej zamierało na widok mężczyzn strzygących się obok, w salonie męskim. Ich brody i wąsy stanowiły dla niej całkowitą zagadkę, po powrocie do domu długo stała przed lustrem z brzytwą w ręku, wyobrażając sobie, że goli klienta. W salonie damskim, a tym bardziej w swym samotnym pokoiku, nie miała kogo golić i ręka jej zawisała w powietrzu jak szybujący ptak.

Listonosz przyniósł gazetę. Odkrył w składziku całą paczkę starych gazet, ale przyniósł tylko jedną. Uporządkował je według dat i choć wszystkie były sprzed lat pięciu, to jednak w porównaniu z najstarszą późniejsze zapewniały regularny dopływ informacji.

Agent rozłożył gazetę i przeczytał komunikat o utworzeniu się rządu Daladiera, który w rzeczywistości został rozwiązany już trzy lata temu. Wiadomość o utworzeniu tego rządu, który w swoim czasie nie spełnił niczyich oczekiwań, dziś została powitana z radością, ponieważ oznaczała ustąpienie władz okupacyjnych. Istniało wprawdzie niebezpieczeństwo, iż rząd Daladiera ustąpi miejsca rządowi Paula Reynauda, który w najcięższych chwilach ucieknie z Paryża, ustąpiwszy miejsca marszałkowi Petain, który ustąpi go z kolei wspomnianym władzom okupacyjnym. I choć mawia się, że nowe jest tylko dawno zapomnianym starym, niekiedy stare powraca tak szybko, iż nawet nie zdąży się o nim zapomnieć.

— Wszystko jest względne — powtórzył Agent, zagłębiając się w lekturze. Rzeczywiście, wszystko jest względne. Przecież człowiek już w chwili swych narodzin skazany jest na śmierć, różnica polega tylko na terminie, w którym wyrok ten zostanie wykonany — za dzień, za miesiąc, czy za sto lat. Myśl tę wypowiedział Profesor, znawca układów biologicznych mających niejednakowy okres trwania, lecz jednakowe zakończenie.

Już wówczas, na plaży, Fryzjerka nie mogła oderwać oczu od wspaniałej brody Profesora, która nawet teraz nie przestawała jej kusić. Palce ścisnęły wymagowaną brzytwę, ręka wzlatywała jak ptak...

— Z punktu widzenia motyla, trzydzieści dni to wcale niemało — powiedział Profesor.

— Z pewnością dla motyla godzina znaczy tyle co rok — wyraził przypuszczenie Agent. — Czas dla niego liczy się według wyższego kursu, toteż i zysk życiowy jest nie mniejszy niż w przypadku innych.

— Ja wolę stały kurs — wtrąciła Ekspedientka.

Agent jednak uważał, iż stały kurs możliwy jest wyłącznie przy obfitości towarów, a przy ich deficycie trzeba śrubować ceny.

— My, ludzie — mówił — żyjemy w warunkach obfitości czasu — mamy do dyspozycji lata, dziesiątki lat. Dlatego też nie cenimy czasu. Gdybyśmy mieli wyliczony każdy dzień, czas miałby znacznie wyższą cenę.

— I osiągnęlibyśmy laki sam zysk? — spytała z powątpiewaniem Ekspedientka.

— Oczywiście. Rachunek jest prosty — zakładamy, że godzinę liczymy według kursu miesiąca. Wówczas doba będzie miała wartość dwóch lat, a miesiąc — sześćdziesięciu.

To prawda, że wszystko jest względne, zależnie z jakiej strony na to patrzeć. Czupryna i brak zarostu może wyglądać jak gęsty zarost i łysina. Fryzjerka przeniosła wzrok z profesora na Agentą.

— A zatem miesiąc, który nam dano do dyspozycji, może zastąpić sześćdziesiąt lat, czyli średnią długość życia?

— To ńcące — uśmiechnął się Profesor i mruknął porozumiewawczo do Starszej Pani. — I co pani na to? Przeżyjemy razem jeszcze sześćdziesiąt lat.

— Nie z moimi dolegliwościami. — Do Starszej Pani nie przemawiał jego optymizm.

Listonosz wziął papier, ołówek i zabrał się do liczenia. Właściwie nie było w tym nic skomplikowanego, zwykłe zadania szkolne. Jeśli godzina równa jest miesiącowi, to dwanaście godzin równa się dwunastu miesiącom. A dwadzieścia cztery godziny — to dwa lata. Zostaje tylko pomnożyć przez trzydzieści.

Studentka natomiast dawno już wyrosła z zadań szkolnych i patrzyła na świat z wyżyn swych nieukończonych studiów. Wiedziała, że miesiąc jest częścią roku, to znaczy czasu, w jakim Ziemia okrąży Słońce, a godzina — częścią doby, to znaczy obrotu Ziemi wokół własnej osi. Jak można mylić te dwie sprawy?

— Co nas obchodzi Ziemia czy Słońce, skoro już więcej ich nie zobaczymy? — odezwał się Agent, a Ekspedientka westchnęła:

— Jesteśmy jak motyle, które zamknięto w jednym pudełku i pozwolono przeżyć w nim trzydzieści dni.

— Sześćdziesiąt lat — poprawił ją Listonosz. — Trzeba się przyzwyczaić do nowej rachuby czasu.

Wszyscy zaczęli przyzwyczajać się do nowej rachuby czasu. Pierwsze miesiące upłynęły im na urządzaniu się w nowym miejscu.

Profesorowi przydzielono osobny gabinet, aby mógł kontynuować pracę naukową. Oprócz tego miał uczyć Studentkę: wygłosić cykl wykładów, przeprowadzić z nią zajęcia seminaryjne, a na koniec — przeegzaminować.

Starsza Pani — modelka młodniała po prostu w oczach. Przecież miarą młodości nie są lata już przeżyte, lecz te, które do przeżycia zostały. Obecnie Starsza Pani miała przed sobą tyleż czasu, co młoda Studentka i jeszcze młodszy Listonosz, i gdyby nie choroby, czułaby się ich rówieśnicą.

Wszyscy stali się rówieśnikami. Czterdziestoletnia Ekspedientka, która po raz pierwszy zyskała prawo do życia osobistego, zainteresowała się trzydziestoletnim Agentem. Z miejsca wybrała go spośród innych swych rówieśników — sześćdziesięcioletniego Profesora i szesnastoletniego

Listonosza. Przyczynił się do tego również fakt, iż obarczona liczną rodziną oraz rzeszami klientów, po raz pierwszy w swym rodzinno–kolonialnym życiu znalazła się w tak niewielkiej grupie, że mogła przyrzeć się każdemu z osobna, podczas gdy dawniej widziała ludzi wyłącznie *en masse*. Nie mogła więc nie zauważyć szczupłej, z lekka ironicznej twarzy Agenta. Usiłowała wyobrazić sobie, jak wchodzi do jej sklepiku po jakiś zakup — i nie potrafiła. W niczym nie przypominał jej klientów i nie sposób było wyobrazić go sobie za lada — ani po jednej, ani po drugiej stronie. Oznaczało to, że jego i Ekspedientkę dzieli coś więcej niż lada. Zbliża nas to, co nas dzieli, a dzieli to, co zbliża — taka jest dialektyka życia, rozmyślała Studentka, machinalnie robiąc konspekt wykładu i kątem oka obserwując tych dwoje.

Jedynie dialektyka można było wyjaśnić fakt, iż Agent wolał czterdziestoletnią rówieśnicę niż dwie pozostałe — dwudziesto– i trzydziestolatkę. To wszystko jednak było znacznie prostsze. Studentka słuchała wykładów Profesora. Fryzjerka nie spuszczała wzroku z jego brody — obie skupiły na nim całą uwagę, zupełnie ignorując Agenta, Ekspedientka była wolna — od sklepu kolonialnego, od rodziny, w identycznym położeniu znajdował się Agent Handlowy. Ich zawód wymagał bodaj względnego obcowania ze światem zewnętrznym.

Po dwóch latach znajomości Listonosz przyniósł Ekspedientce pierwszy list wyznaczający jej randkę w korytarzu. A po trzech miesiącach Agent otrzymał odpowiedź. Odległości były niewielkie, poczta pracowała pełną parą, listy jednak szły bardzo długo — według nowej rachuby czasu.

Starsza Pani, czując przyływ nowych sił, wzięła się za porządki. We własnym domu dawno już tego nie robiła, gdyż uważała, że przeżyła już życie.

Teraz jednak, gdy ujrzała przed sobą przyszłość, być może niewielką, lecz nie gorszą niż u innych, postanowiła ją godnie przeżyć i całą duszą oddała się zajęciom gospodarskim.

Najważniejsze, że miała o kogo dbać. Ledwie otworzyła oczy, zaczynała gorączkowo myśleć: trzeba sprzątnąć gabinet Profesora, przygotować stanowisko pracy dla Fryzjerki, a jeszcze przedtem — obudzić Listonosza i wyprawić go w drogę, aby zdążył dostarczyć poranne gazety.

Budziła Listonosza, karmiła naprędce i odprowadzała do drzwi wiodących z jadalni do salonu. Następnie przecierała lustro Fryzjerki, ustawiała przed nim fotel i starannie układała przybory: grzebienie, nożyczki, szczypczyki, wałki. Po chwili zjawiała się Fryzjerka, zamieniała ze Starszą Panią kilka słów i zagłębiała się w fotelu czekając na klientów. Starsza Pani zaś spieszyła do gabinetu Profesora.

Sama nie mogła się nadziwić swojej energii. Mogła przez trzy miesiące z rzędu pucować podłogę, by uzyskać wspaniały połysk, przez tydzień czyścić kredens przywracając mu przyzwoity wygląd. Przed wszystkimi drzwiami rozłożyła chodniczki i surowo pilnowała, by każdy wycierał nogi przechodząc z pokoju do pokoju. Prace domowe nie mają początku ani końca i to w pewnej mierze upodobnia je do wieczności. Może dlatego młodzi mniej je lubią niż ludzie starsi, starsi zaś nabierają dzięki nim zbawczego poczucia, że wszystko to nigdy się nie skończy. Mogłoby się zdawać, że Starsza Pani — modelka prezentuje te cudze pokoje, tak jak niegdyś prezentowała cudze toalety. No, spójrzcie, nie macie ochoty tu pomieszkać? Najlepsze pokoje tylko u nas!

I tylko w bieżącym sezonie!

Albowiem żywot motyla trwa tylko jeden sezon.

Tak oto mijały lata i jak to z nimi bywa, pędzały jak szalone. W godzinach wolnych od wykładów Profesor pisał monumentalne dzieło: „Życie motyli w warunkach zamkniętego pomieszczenia”.

W owym wielkim świecie, w którym czas odmierzały ważkie lata, trwała wojna, tutaj — nikt o

tym nie myślał, albowiem ludzie żyli w innym wymiarze. Przedtem też nie rozmawiali w zbyt wielkich kategoriach i tam, gdzie nikt ich nie ograniczał, ograniczali sami siebie; życie w małym świecie miało tę zaletę, że uwalniało człowieka od większych burz. Profesor ograniczał się do entomologii. Ekspedientka do sklepu kolonialnego i rodziny. Fryzjerka — do salonu damskiego, za którym rozpoczął się tajemniczy salon męski, pełen trwóg i niebezpieczeństw, jak każdy świat, którym rządzą mężczyźni i nawet Agent Handlowy, podróżując po całym ogromnym świecie, pozostawał w swym własnym — małym, jak pasażer, który nie opuszcza przedziału, bojąc się, że mu ukradną walizkę.

Wzięci w charakterze zakładników, stali się po raz pierwszy mimowolnymi uczestnikami obcych i niemiłych im spraw, które zwykle nazywali pogardliwie „polityką”. Któż z nich śmiałby utopić przedstawiciela władz okupacyjnych? Nie było mowy o topieniu kogoś, chodziło o to, żeby samemu utrzymać się na powierzchni — takie doświadczenie wynieśli z pływania w Morzu Życia.

Oczywiście różne to było doświadczenie. Duże — Starszej Pani i Profesora, nieco mniejsze — Fryzjerki, a całkiem malutkie — Listonosza. Właściwie ani on, ani Studentka nie mieli w ogóle doświadczenia, oni dopiero wstępowali w Morze Życia i nie zdążyli jeszcze dotrzeć do jego głębin.

— Usiądźmy pod amplą — proponował Agent Ekspedientce. Siadali więc pod amplą, która siała na nich księżycowy blask. Przesiadywanie pod tym sztucznym księżycem przenosiło Ekspedientkę w dalekie lala, kiedy to i księżyc był inny, i ona była inna, i mężczyzna siedzący obok niej był zupełnie inny. Tamten mężczyzna, późniejszy współwłaściciel sklepu kolonialnego, późniejszy mąż i ojciec jej pięciorga dzieci, był wówczas jeszcze nikim, lecz właśnie wtedy był jej szczególnie drogi. Światło księżycyca... Możliwe, że wszystkiemu winne jest światło, które czyni bliskim obcego człowieka. Później, gdy się rozproszy, okazuje się, że człowiek ten jest obcy, ale to właśnie trzeba będzie ukryć przed nim, przed sobą, przed innymi ze względu na wspólne dzieci, wspólną rodzinę, wspólny sklep kolonialny... Poza tym nie istnieje nic wspólnego, a zwłaszcza to, co niegdyś przywidziało się w świetle księżycyca...

Wzajemna skłonność Ekspedientki i Agenta od pierwszej chwili spotkała się z przychylnością i gorącym poparciem ze strony pozostałej ludności tego zamkniętego świata. Listonosz całkowicie poświęcił się ich korespondencji, tracąc na dostarczanie listów najwyżej jeden dzień. Profesor, by nie zakłócić ich sam na sam, przesiadywał długo w swoim gabinecie, starając się skoncentrować na ukochanej entomologii. Studentka wskrzeszała w pamięci zapomniane wiersze, odnoszące się do obecnej sytuacji i jak ulotki rozrzucała je po pokoju. A Fryzjerka — słów dla niej brak, nie oszczędzała siebie ani swej jedynej klientki, spóźnionego życia, które wymagało nieustannych kosmetycznych zabiegów.

A Starsza Pani — modelka, widząc dalej niż inni, po kryjomu szyła pieluszki. Aby owe pieluszki się przydały, trzeba by nie sześćdziesięciu, ba, nawet nie sześciuset lat według nowej rachuby czasu, prawdziwa miłość jednak nie lęka się podobnych przeszkód, więc Starsza Pani szyła pieluszki wierząc w prawdziwą miłość.

Sprawcy wszystkich tych poczynań siedzieli będąc ośrodkiem zainteresowania — które usiłowało być delikatne i nienatarczywe. Agent mówił:

— Czy nie wydaje się pani, że jesteśmy sami na świecie? Tylko pani, ja i ta ampla...

— Tak — odpowiadała mu Ekspedientka. — Tylko my oboje i dokoła ani żywej duszy...

Tymczasem jedna dusza ślęczała w gabinecie, druga przypominała sobie wiersze dla nich, a trzecia przygotowywała na zapas pieluszki... Cóż począć, miłość jest egoistyczna, niczego wokół nie zauważa, gdy siedzi pod amplą.

— Niech pan spojrzysz — mówiła Ekspedientka wznosząc w górę oczy i wraz z nimi — marzenia i nadzieje. A tam, pod wieczornym sklepieniem sufitu, jej marzenia spotykały się z jego marzeniami, noc zaś już się zbliżała odgradzając ich od świata grubą ścianą, ściślej mówiąc — czterema grubymi ścianami...

Tak przeleciało trzydzieści lat i Starsza Pani zaniepokoiła się, czy zdąży uszyć pieluszki. W tym zamkniętym świecie lata upływały szczególnie szybko i Starsza Pani poczuła, że znów zaczyna się starzeć. Dawały o sobie znać choroby, pozostałość jeszcze tamtej, poprzedniej starości, i zdarzało się, że całymi miesiącami nie wstawała z łóżka, a kiedyś nawet przeleżała w nim cały rok.

Wspominała lata swej młodości... Młodość, chociaż ruchliwsza od starości, posuwa się jednak wolniej. A starość mknie jak na skrzydłach — choćby nawet starych i niemodnych — mknie, że trudno za nią nadążyć.

Zwłaszcza teraz daje się to odczuć. Za ledwie osiedlili się, zaczęli żyć, a tu już przemknęło trzydzieści lat. I pozostało już tylko trzydzieści. Czas motyli.

Życie Starszej Pani było długie i urozmaicone. W czasach młodości była modelką, potem bardzo krótko żoną; później kucharką, pokojówką, gospodynią... W końcu — po prostu Starszą Panią żyjącą ze swych oszczędności. Z wszystkich tych zawodów najbardziej lubiła pierwszy, dzięki któremu stawała się ośrodkiem zainteresowania. Nigdy później nikt już nie zwracał na nią uwagi. Dlatego w głębi duszy pozostała modelką, dochowując wiary swej młodości i urodzie. To bardzo trudne — dochowywać wiary młodości i urodzie; które nie są zdolne odwzajemnić się tym samym.

Sytuacja była rozpaczliwa. Lata mijały jak dni i Starsza Pani czuła się niczym stary balonik, z którego uszły resztki powietrza zostawiając sflaczałą powłokę...

Nagle, w tej dramatycznej chwili, kiedy zdawało się, że znikąd nie można wyglądać ratunku. Listonosz przyniósł jej list następującej treści:

Z UWAGI NA KATASTROFICZNE PODROŻENIE CZASU, PROPONUJEMY OD DZIŚ LICZYĆ GODZINĘ ZA ROK, A NIE ZA MIESIĄC. W TEN SPOSÓB ZOSTANIE NAM DO DYSPOZYCJI JESZCZE TRZYSTA SZEŚĆDZIESIĄT LAT.

List był bez podpisu i bez adresu zwrotnego, jednakże jego kategoryczny ton przekonywał. Przekonywał głównie dlatego, iż trzysta sześćdziesiąt lat brzmi zawsze lepiej niż lat trzydzieści czy też piętnaście dni.

Starsza Pani natychmiast poczuła świeży przypływ młodości. Trzysta sześćdziesiąt lat — to minimum cztery życia, jeśli nawet jedno zostało przeżyte, to jeszcze trzy są w zapasie. Można by pomyśleć, że Starsza Pani ledwie zaczęła żyć.

— Boże, jacyż my jesteśmy młodzi! — wykrzyknęła, zdradzając ogółowi otrzymany list. — Jeszcze będziemy żyć i żyć...

Gdy mówiła te słowa, minęły trzy dni. Ale przed nimi było jeszcze mnóstwo lat...

Ludzie przywykają do wszystkiego. Nawet do tego, że mają przed sobą czterysta lat życia. W końcu i to staje się dla nich naturalne i zwyczajne. Życie biegnie swoim torem, być może dłuższym, jednak tym samym, i tylko częściej migają słupy milowe lat.

Obecnie wykład profesora trwał jedenaście miesięcy bez przerwy. A Starszej Pani trzy lata schodziły na sprzątanii i trzy — na przygotowaniu obiadu. Spotkania Ekspedientki i Agenta wydłużyły się, za to dłuższe też były rozłaki.

— I znów nie będziemy się widzieć przez kilka lat — wzdychali wracając do swych pokojów, a przy następnym spotkaniu wykrzykiwali:

— Ach, tyle lat!... Tyle długich lat!

Nic dziwnego, przez wszystkie te lata on myślał wyłącznie o niej, a ona — wyłącznie o nim. Wprawdzie przeleciały one w ciągu jednej nocy, niemniej jednak im się dłużyły, jak potrafią się dłużyć tylko lata rozłąki.

Z niczym nie dadzą się porównać. Na przykład, rok na Marsie trwa blisko dwa lata ziemskie. Na Jowiszu — dwanaście lat. Dwieście pięćdziesiąt lat ziemskich na Plutonie I. mimo to zdaje się krótszy niż rok rozłąki, nawet trwający zaledwie jedną godzinę.

Stąd też najdłużej żyją ci, którzy są rozłączeni. Każdy dzień jest dla nich rokiem, a każdy rok — równy osiemnastu miesiącom na Plutonie. Jest to trzysta siedemdziesiąt pięć lat ziemskich spędzonych w wiecznym mrozie i wiecznej nocy, w odległości sześciu miliardów kilometrów od Ziemi.

Codzienna prasa dostarczana przez Listonosza przekształciła się najpierw w coroczną, a potem przychodziła raz na dwadzieścia cztery lata. Nikt jednak nie uskarżał się na przestoje w pracy poczty, gdyż nawet przy takiej częstotliwości nikt nie znajdował czasu na czytanie gazet.

Komu w głowie gazety, gdy w fotelu u Fryzjerki przesiaduje się rok, prawie rok trwa streszczenie wykładu, a sprzątanie pochłania mniej więcej trzy lata.

Profesor zaś siedział nad swoją monografią. Na przemyśleniu jednej frazy schodziły mu dwa, a nawet trzy miesiące. Nic w tym dziwnego, przecież była to poważna praca naukowa, nad którą warto spędzić nawet całe życie. — „Życie motyli w warunkach zamkniętego pomieszczenia”.

Był sobie Psychiatra. Leczył ludzi cierpiących na fałszywe wyobrażenia o sobie, między innymi na megalomanię, czyli wygórowane pojęcie o własnej wartości. Przypuśćmy, że urośli sobie, że jest orłem — jest to klasyczna forma manii wielkości. Ale gdyby orzeł urośli sobie, że jest żiębą — to już nie byłaby mania wielkości, lecz kompleks niższości. A jeśli żięba wyobrazi sobie, że jest wróblem, lub wróbel, że jest żiębą — to już ani mania, ani kompleks, lecz w ogóle nie wiadomo co. To znaczy nie wiadomo nam, bo Psychiatra doskonale wiedział.

Pewnego razu, podsumowując swą wieloletnią pracę Psychiatra zwrócił uwagę na pewien ciekawy fakt — przez ostatnie dziesięć lat żaden z jego pacjentów nie uważał się za Napoleona.

Jednakże sprawa nie kończyła się na Napoleonie. W tym samym okresie wśród znajdujących się w klinice Psychiatrii pacjentów nie spotykało się także innych wielkich imion: nie było Cezara ani Aleksandra Macedońskiego, nie było Arystotelesa ani Galileusza. Szczytem maniakalnej wyobraźni chorych psychicznie byli ich najbliżsi zwierzchnicy; dyrektorzy, kierownicy, administratorzy.. Porucznik wyobrażał sobie, że jest kapitanem, kapitan — że jest majorem, major — że jest pułkownikiem. Student urośli sobie, że jest wykładowcą, wykładowca docentem, docent profesorem, kieszonkowiec — włamywaczem.

Takie obniżenie maniakalnego pułapu było także swoistą patologią, obniżeniem potencjalnych możliwości jednostki na skutek utraty wiary w siebie.

Jest to zgubne nie tylko dla jednostki jako takiej, lecz i dla społeczeństwa, jako że potencjalne możliwości społeczeństwa zależą od potencjalnych możliwości jednostek, z których się składa. Psychiatra więc postanowił podwyższyć ów pułap, wpoić swoim chorym manię prawdziwej wielkości.

Opowiadał im o wielkich czynach dokonywanych na Ziemi przed ich urodzeniem, o drogach, które przywiodły ludzi do wielkości. Mówił o niewyczerpanych możliwościach człowieka, o tym, że różnica między wielkimi, średnimi i miernymi ludźmi polega jedynie na tym, że w różnym stopniu wykorzystują owe możliwości. Mała wiejska dziewczynka ocaliła ogromny kraj i historia uznała ją za wielką bohaterkę. Każdej dziewczynie dana jest taka możliwość.

— Motyle, rzecz jasna, pozbawione są tych możliwości — zakończył Profesor swoje opowiadanie, będące ilustracją wykładu dla Studentki. — Albowiem życie motyla jest uzależnione od jego fizjologii, motyl nie może wyjść poza granice własnej fizjologii, a człowiek może. Rozerwać ten zamknięty krąg, wyjść poza granice fizjologii — oznacza w istocie rzeczy stać się człowiekiem. Z małego człowieka dużym człowiekiem. Z dużego człowieka wielkim. Człowiek jest tym większy, im wyżej wznosi się ponad fizjologię. Ponad fizjologię motyla. Ponad fizjologię zwierzęcia. Ponad fizjologię człowieka. Ponad fizjologię wszystkich, którzy żyli przed nim na Ziemi.

Pocztę dostarczono z całorocznym opóźnieniem, ponieważ Listonosz słuchał wykładu Profesora. Poprzednio nigdy tego nie robił — wykłady bowiem były poświęcone niezrozumiałej i niezbyt go interesującej entomologii. Teraz jednak, gdy Profesor zaczął mówić o ludziach nieprzeciętnych, których imiona zasłynęły w historii, Listonosz musiał się zatrzymać i wysłuchać opowiadania do końca.

Czym różni się życie człowieka od życia motyla? Oczywiście nie tylko długością. Człowiek dysponuje możliwościami, których motyl jest pozbawiony. Motyl mógłby stać się orłem, gdyby tylko miał takie możliwości. Ale ich nie ma. A człowiek — ma.

Weźmy, na przykład, braci Montgolfier, którzy jako pierwsi wzniesli się balonem. Ludzie żyjący przed nimi nie umieli latać. Dysponowali taką możliwością, lecz nie umieli jej wykorzystać. A bracia Montgolfier — tak. Wyszli poza granice własnej fizjologii — i polecieli. Teraz nikt już nie powie, że ludzie nie umieją latać; Listonosz od dziecka marzył, by zostać lotnikiem. Gdyby nie wojna, z pewnością by nim został, ponieważ dysponował taką możliwością. Wojna pozbawiła go jej na pewien czas, gdy jednak się skończy...

Ale kiedy skończy się wojna? Mając w zapasie blisko czterysta lat, można liczyć, że kiedyś wreszcie się skończy.

Przyjemnie jest marzyć o przyszłości widząc przed sobą jeszcze blisko czterysta lat, że zostaniesz lotnikiem, że skończysz uniwersytet, że nauczysz się golić brody tak, jak to robią w męskim salonie... Albo że poświęcisz te czterysta lat życia na doprowadzenie do końca pracy nad monografią i będziesz niańczyć wnuki... Boże, jakież zawrotne perspektywy odkrywają się przed każdym z nas! Gdyby świat, który nas otacza, został stworzony na nowo, a tworzywem byłyby wyłącznie perspektywy — jakież byłyby cudowny! Byle tylko perspektywy te nie zderzały się, nie przekreślały wzajemnie, jak na przykład perspektywa niańczenia wnuków — perspektywę życia osobistego czy dokończenia monografii.

Świat jest ciasny i każda perspektywa przedłużana w nieskończoność musi przekreślić nieskończoną liczbę perspektyw i z kolei sama przez nie zostać przekreślona. Nie jest to zwykła reguła geometryczna, której znajomość wynosi się z ławy szkolnej, lecz reguła życia, której nie można się nauczyć, gdyż ciągle powstaje na nowo.

Żyjemy w punkcie przecięcia perspektyw, a świat, w którym się one przecinają, jest ciasny. Tak, ciasny, zwłaszcza gdy go zamknąć w czterech ścianach... Ale czy ściany stanowią przeszkodę dla perspektyw? Otoczcie nas dziesiątkami ścian, zamknijcie w kamiennych więzieniach — i stamtąd pomkną w nieskończoność ku dalekim gwiazdom nasze wyzwolone, nie dające się ujarzmić perspektywy.

Gdy mrówka się zakocha, wyrastają jej skrzydła. Dzieje się tak zresztą ze wszystkimi zakochanymi, ale mrówce wyrastają autentyczne skrzydła. I wówczas fruwa. I kocha. A kiedy

przestanie fruwać i kochać, wraca na ziemię i sama wyłamuje sobie skrzydła, aby już nigdy więcej nie kochać.

A na przykład takiemu motylkowi–koszówce skrzydła nigdy nie wyrastają i rozmnaża się bez miłości, partenogenetycznie. Cóż warte życie bez miłości? Jak długo można żyć bez niej? Koszówka żyje tylko kilka minut, lecz w jej przypadku i tak zbyt długo.

Ekspedientce bardziej podobała się mrówka. Sama wyłamuje sobie skrzydła, które jej wyrastają, gdy przychodzi miłość. My, ludzie, zwykle podcinamy sobie skrzydła nawzajem, ona zaś robi to sama! Ekspedientka nie byłaby do tego zdolna, zabrakłoby jej siły woli. To nie bagatelka — samej wyłamać sobie skrzydła, aby już więcej nie kochać!

Skrzydlate mrówki, bezskrzydłe motyle... I wszystko przez tę miłość, przez tę miłość.

Starszą Panią słuchającą Profesora zdumiewało znów co innego. Zwyczajna mucha, a co sobie wykoncypowała! Okazuje się, że nie ona karmi swoje larwy, lecz przeciwnie, one gromadzą pokarm dla dorosłych osobników. Fryzjerka z kolei dziwiła się, że dorosłe jętki mniej się różnią między sobą niż ich młode potomstwo — gąsienice. Można by to wytłumaczyć utratą indywidualności. Widocznie z wiekiem traci się indywidualność i klientki damskiego salonu dlatego przesiadują tam pół dnia, aby ją odzyskać. Agentowi zaimponowała umiejętność chrząszczyków oleić, które jak nikt inny potrafią przystosować się do warunków. Larwa oleicy siedzi na kwiatku czekając na pszczołę robotnicę. Posłuży się nią najpierw jako środkiem transportu, który ją przeniesie do komórki, gdzie przede wszystkim zje jajeczko pszczele. Zaspokoiwszy pierwszy głód, larwa zaczyna zmieniać swój wygląd, aby zatrzeć ślady, a także przystosować się do nowych warunków. Szczęki jej upodabniają się do łyżek, aby wygodniej było spijać miód. Po wypiciu miodu larwa jeszcze dwukrotnie zmienia wygląd ostatecznie zacierając ślady. Proszę, jak się urządziła.

A Listonosz przeżył pierwsze rozczarowanie, jeśli chodzi o północ. Marzył o tym, by zostać lotnikiem i lecieć właśnie na północ, a teraz speszyło go to, co usłyszał o meszkach. Okazuje się, że meszki, które na południu żywią się nektarem kwiatów, 'na północy stają się okrutnymi krwiopijcami.

Trudne życie, które człowieka potrafi uszlachetnić, meszkę zamienia w istną bestię. Jednakże, powiedział sobie Listonosz, to wszystko bynajmniej nie znaczy, że trzeba bać się północy. Grunt, żeby nie być meszką.

Tak, od entomologa też można się czegoś nauczyć.

Upłynęło następne dwieście lat i Starsza Pani znów poczuła, że się starzeje. Nie było już w niej owej lekkości co dwieście lat temu, całymi dniami nie opuszczała łóżka. Życie uchodziło z niej, jak publiczność opuszczająca salon mody po skończonym pokazie — wszystkie modele zostały już zaprezentowane...

I wówczas Listonosz przyniósł jej list.

ZGODNIE Z NOWĄ REFORMĄ CZASU NAKAZUJĄCĄ ODTĄD PRZYJĄĆ ZA ROK NIE GODZINĘ, LECZ MINUTĘ, PRZED NAMI JESZCZE DZIEWIĘĆ TYSIĘCY SZEŚĆSET LAT.

Prawie dziesięć tysięcy lat. Praktycznie biorąc oznacza to tyle, co wieczność. Żadnemu człowiekowi nie udało się przeżyć tylu lat. Biblijny Maluzalem żył dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat, po prostu śmiesznie krótko — mniej niż tysiąc lat! Tak, Matuzalem nie zdążył się nacieszyć życiem... Można powiedzieć, że zmarł w wieku niemowlęcym...

Starsza Pani zeskoczyła z łóżka i pobiegła zająć kolejkę za Ekspedientką, której Fryzjerka układała włosy. Po to, by żyć i żyć, trzeba przede wszystkim dobrze wyglądać. Fryzjerka pracowała szybko i minęło niespełna czterdzieści lat, kiedy skończywszy czesać Ekspedientkę, zajęła się Starszą

Panią. Zaraz, zaraz, jak to Starszą Panią? Czy można nazwać tak kobietę, która przeżyła zaledwie trzysta lat?

Krokodyl żyje trzysta lat, lecz umiera jak staruszek. Dla nas życie zaczyna się dopiero po trzysetce.

Zegar tykał, odmierzając nie godziny i minuty, lecz lata i stulecia. Pełny obrót wskazówki — prawie tysiąc lat. Jeszcze jeden obrót — i znów tysiąc... I pewnego pięknego tysiąclecia Listonosz poczuł, że sufit zaczyna go przygniatać.

Nie chodziło tu o wzrost. Listonosz był najniższy ze wszystkich, a tymczasem sufit przygniatał właśnie jego, nie zaś wysokiego Agenta. Może powodem było to, że Listonosz marzył o zostaniu lotnikiem, a dla lotnika nie istnieją żadne sufity, nawet niebo nim nie jest. A może podziałał tak na niego wykład Profesora — nie len o owadach, nie, tylko tamten o potencjalnych możliwościach. Wydało mu się, że sufit przytłacza właśnie jego potencjalne możliwości i przeszkadza w ich urzeczywistnieniu.

Upolowawszy moment, kiedy Profesor był wolny od pracy naukowej oraz dydaktycznej. Listonosz spytał go o Psychiatrę, który wpajał swym pacjentom manię prawdziwej wielkości. Czy udało mu się ich uzdrowić? Czy stali się normalnymi wielkimi ludźmi?

Niestety, odrzekł Profesor, na razie wielkość nie jest jeszcze normą. Powinna nią być, lecz nie jest. Osiągając wielkość człowiek narusza normy — społeczne, naukowe, estetyczne lub po prostu psychiczne, skoro już mowa o czystej psychiatrii. I na odwrót: stając się całkowicie normalnym często tę wielkość traci — nie tylko tę patologiczną, także autentyczną, która powinna stanowić normę.

— A czymże jest norma? — spytał Profesor i zamiast odpowiedzieć wprost, posłużył się przykładem: — Mucha demonstracyjnie przechadza się przed żabą, czekając, aż tamta ją połknie. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku nie można tego uważać za normalne, ale dla muchy takie samobójstwo to naturalna kolej rzeczy. Tylko w żabich wnętrznościach może narodzić się jej potomstwo, więc poświęcając siebie zapewnia mu życie.

— To nadzwyczajne — odezwał się Listonosz. — Ale pan mówił o ludziach...

— Tak, przepraszam. Nie jestem ekspertem w sprawach ludzkich, moją dziedziną jest entomologia. Ale czy człowiek nie żyje dla swego potomstwa? Inaczej życie nasze straciłoby wszelki sens i nie można by go uznać za normalne.

Jednakże, zauważył Profesor, norma jest również kategorią zmienną, ale da się zastosować we wszystkich okolicznościach. Niekiedy jest rzeczą normalną żyć dla potomstwa, niekiedy umrzeć dla niego. Najważniejsze, aby mieć poczucie czasu, w którym się żyje.

— Weźmy na przykład ćmy. Stale dążą do światła. Lecą prosto w ogień i spalają się w nim właśnie na skutek tego dążenia. Powinny być dziennymi motylami, mieć wokół mnóstwo światła i donikąd nie dążyć... Lecz one urodziły się nie w swoim czasie i przeznaczeniem ich stał się pęd do ognia. Może to nawet dobrze — przynajmniej do czegoś dążą...

— Mówił pan o ludziach — wtrącił znowu Listonosz. Profesor przeprosił raz jeszcze i zaczął mówić o ludziach. Wprawdzie w ludzkich sprawach orientował się gorzej niż w owadzich, coś niecoś jednak o nich wiedział — z własnych obserwacji, z książek, a zwłaszcza z historii. Historia pamięta młodzieńca, który witał okręty u wybrzeży, ciesząc się ich szczęśliwym powrotem i szczerze rozpaczając, gdy przytrafiło im się nieszczęście. Nie były to jego okręty, wiozły cudzy ładunek i nikogo nie obchodziła ta radość lub rozpacz, on jednak wciąż przesiadywał na brzegu witając okręty. Później go wyleczono, stał się normalnym człowiekiem. Przestały go interesować sprawy innych,

wyraźnie rozróżniał swoje i cudze radości i klęski... Z czego został wyleczony? Z wielkości patologicznej czy też autentycznej? Zdarzyło się to w czasach starożytnych, kiedy medycyna nie była jeszcze na tyle wszechstronna, by postawić trafną diagnozę.

Wieczność mijała szybko, nawet nie zdążyli się obejrzeć, gdy upłynęło siedem tysiącleci. Zostało im tylko trzy tysiące lat, czyli pięćdziesiąt zgodnie z poprzednią rachubą czasu lub pięćdziesiąt godzin — zgodnie z pierwotną.

Czas kurczył się, ścieśniał coraz bardziej, nie można było wyprostować się ani postąpić kroku. Normalnie nie zauważamy, nie liczymy, ile go upływa, dlatego lżej nam oddychać. Ale gdy staje się natrętnie dostrzegalny, ubywa go coraz więcej i robi się tak ciasno, że tylko siedzieć w kucki albo leżeć na podłodze, wówczas i my chcielibyśmy znaleźć, stać się motylem, by jeszcze choć trochę pofruwać.

Człowiek jednak nie może być motylem, potrzebuje prawdziwej nieograniczonej swobody w czasie i przestrzeni i umiera, gdy czas jego się kończy.

Studentka przestała streszczać wykład, nie nadążała już za słowami Profesora. A on spieszył się, aby dokończyć program, ponieważ zbliżał się egzamin.

— Na jednego człowieka przypada około trzydziestu milionów owadów, a ich ogólny ciężar przekracza niemal dziesięciokrotnie ciężar całej ludzkości. Ludzie stanowią mniejszość, dlatego tak zaszczytnie jest być człowiekiem.

Tyka zegar odmierzając minuty, dni i wieki. Wskazówka minutowa zamiast minut wskazuje lala i cała jej droga jest wielkim świętem noworocznym. Od nowego roku do nowego roku. Nie istnieje żaden siary rok, wszystkie są młodziutkie, wiekiem równe minucie. Do siego roku! Do siego roku! Ledwie można zdążyć z życzeniami, ponieważ z niczym więcej się nie zdąży...

Tyka zegar... Tyka zegar...

Dlaczego tyka tak głośno?

Potężne uderzenia, od których trzęsie się dom, jak gdyby ostatek czasu walił w drzwi, żądając, by go stąd wypuszczono... Czuje, że tu, w tym domu, wkrótce nadejdzie jego kres, więc się wyrywa pragnąc stopić się ze swą wiecznością...

Cykają minuty, tyka zegar, grzmią stulecia i łomocze wieczność...

Raptem łomot milknie. Na dole skrzypnęły drzwi, w nagle zapadłej ciszy rozległ się głos Listonosza.

I len sam głos, który oznajmiał adresatowi: „Gazeta dla pana”, „List dla pani”, ten sam głos powiedział:

— To ja wykończyłem waszego oficera.

Niewyraźna odpowiedź kogoś, do kogo adresowane były te słowa. Oddalające się kroki. I znowu cisza. Uspokojony zegar cyka ledwie dosłyszalnie.

Nie były to jego okręty, czemuż więc dla nich poświęcił życie? Co innego siedzieć na brzegu i przeżywać radość lub smutek, a zupełnie co innego rzucić się w odmęt na pewną śmierć... Lecieć jak ćma do ognia, nie doczekawszy dnia... Czy nie rozsądniej cierpliwie doczekać świtu zamiast w ciemnościach lecieć do ognia?

— Biedny chłopiec — powiedziała Ekspedientka — nie rozumiem, jakim sposobem mógł utopić dorosłego mężczyznę.

— Chłopcy w tym wieku zawsze marzą o bohaterskich czynach — spokojnie wyjaśnił Agent.

Ach ci mężczyźni — zupełne dzieci — pomyślała Fryzjerka. — Skąd się w nich bierze ten pociąg

do wielkich słów? Utopienie człowieka nazywają bohaterstwem. — Wzruszyła ramionami, lecz głośno nie wyraziła swego zdania. To są męskie sprawy i niech mężczyźni się o nich wypowiadają.

— W tym wieku — powiedział Agent, i oto znów powracała świadomość własnych lat wznosząc między nimi bariery wieku...

— A przecież milczał — potrząsnęła głową Starsza Pani — o wszystkim mówił, a to przemilczał...

— Moje dzieci są takie same — powiedziała Ekspedientka. — Jak coś zbroją, nic o tym nie mówią. Można z nich duszę wyrwać — nie pisną ani słowa.

— Mógłby się przyznać wcześniej — zauważyła Fryzjerka.

— To nie takie proste — odparła Studentka. — Trzeba się zdobyć na odwagę, zwłaszcza idąc na pewną śmierć. Mógłby w ogóle się nie przyznawać, nikt by go nie podejrzewał. Ale postąpił jak człowiek mężny. Dwukrotnie tak postąpił.

— A kiedy jeszcze? — zapytał Agent.

— No wie pani, jeśli to będziemy nazywać męstwem... — Fryzjerka nie dokończyła zdania, połapałszy się, że w ogóle nie należało go zaczynać.

— Utopii oficera — rozległ się głos Profesora. — Skąd ten pomysł, że on to zrobił? Kto wam powiedział? Agent odwrócił się do okna:

— O ile wiem, sam się do tego przyznał.

— Wobec tego skłamał. Przez cały czas byłem blisko niego, pluskał się tuż przy brzegu, uczył się pływać.

— On nie umiał pływać? — zdziwiła się Fryzjerka. — Jakże więc mógł kogoś utopić, skoro sam nie umiał pływać?

— Zabiją go — powiedziała Studentka i rozplakała się.

— I tak by go zabili — nie bez racji zauważył Agent. — Jeśli ma zginąć siedem osób, czy nie lepiej, by zginęła jedna? Prosty rachunek.

— Nie taki prosty dla tego, kto umiera — powiedziała Starsza Pani.

— To zbyt subiektywne podejście — odparł Agent — a w tym przypadku trzeba rozumować obiektywnie.

Starsza Pani spytała, czemu więc on w imię obiektywizmu nie wziął winy na siebie? Wszakże i wtedy rachunek byłby ten sam — jeden zamiast siedmiu.

Odpowiedział lodowatym tonem:

— Dlaczego właśnie ja? Wydaje mi się, że właśnie w pani wieku ocenia się pewne fakty z większym obiektywizmem.

Miał prawo tak mówić, albowiem teraz, gdy miarą ich wieku były lata przeżyte, nie zaś te, które ich jeszcze czekały, przestali być rówieśnikami i on znów był młody, a ona stara.

Nawet nie odwrócił się podczas tej rozmowy. Dalej patrzył w okno.

— I gazet dziś nie było... I na pewno już teraz nie będzie... Starsza Pani wyszła na schody, jak gdyby chciała popatrzeć za odchodzącym Listonoszem. Często żegnała w ten sposób swoich synów...

— Drzwi są otwarte — oznajmiła wracając.

— Zdjęli wartownika — rzucił Agent patrząc w okno.

— Czy to znaczy, że jesteśmy wolni? — upewniła się Fryzjerka. Wszyscy byli wolni, lecz nikt nie ruszał się z miejsca. Okręty szczęśliwie przybiły do brzegu, nikt jednak nie spieszył się z wyjściem na ląd.

— Dlaczego on to zrobił? — dziwiła się Fryzjerka. Nie mieściło jej się w głowie, czemu Listonosz wziął winę na siebie, czemu świadomie skłamał.

— Żeby nas uratować — powiedziała Studentka.

— Nas? Przecież znaliśmy się tak mało.

— To wy go nie znaliście, ja znałam go bardzo dobrze. Kochałam go jak syna, jak wnuka. Zawsze, gdy byłam w złym nastroju, przynosił mi list... — Starsza Pani rozejrzała się bezradnie szukając listu, gdyż właśnie teraz czuła się bardzo przygnębiona.

— Dla nas też nie był obojętny — odezwała się Ekspedientka. — Darzyłam go wielką sympatią. Studentka spojrzała na nią ironicznie.

— To wystarczy, by oddać za panią życie?

— Dlaczego za mnie, moja droga? Chyba raczej za panią, pani mu bardziej odpowiada wiekiem.

Fryzjerka też lubiła Listonosza, choć niestety mało się znali. Gazet nie czytała, listów do niej nikt nie pisywał. I nigdy by jej w głowie nie powstało, że on, dla którego nie była nawet adresatką...

— Poczty dziś nie będzie — powiedział Agent. I ujrzał w rękach Starszej Pani list. Jednak otrzymała list. Z opóźnieniem, ale otrzymała. Jakże była wdzięczna temu chłopcu, że w takiej chwili pamiętał o liście do niej. Podeszła do kredensu, żeby poprawić serwetkę i pod nią spostrzegła list. Było to jak powrót młodości.

— Co do nas piszą? — zainteresował się Agent.

— Koperta jest bez adresu.

— To znaczy, że list przeznaczony jest dla nas wszystkich. Pozwoli pani, ja przeczytam.

— Nie — zaprotestowała Studentka. — Nie przeczyta pan. Każdy, tylko nie pan.

Czytała powoli, jak niegdyś w szkole podstawowej, ponieważ nagle coś się stało z jej wzrokiem i również z głosem. Czytała:

ŻYCIE JAK NAJDŁUŻEJ. GDY POCZUJECIE, ŻE ZOSTAŁO WAM NIEWIELE LAT, UZNAJCIE DZIEŃ LUB GODZINĘ ZA ROK I ZNÓW UJRZYCIE PRZED SOBĄ WIECZNOŚĆ. TAK ZAPEWNE CZYNIĄ MOTYLE, KTÓRE ŻYJĄ ZALEDWIE JEDEN DZIEŃ. KAŻDA ISTOTA ŻYJĄCA PRZEŻYWA WIECZNOŚĆ. TYLKO MA ONA RÓŻNY WYMIAR. MOJA WIECZNOŚĆ DOBIEGA KRESU. A WASZA NIECH JAK NAJDŁUŻEJ SIĘ NIE KOŃCZY. PRZEPRASZAM. ŻE NIE MOGŁEM DOSTARCZYĆ WAM TEGO LISTU JAK PRZYSTOI LISTONOSZOWI.

— Ten sam charakter pisma — powiedziała Starsza Pani. — A więc to on pisał listy, przedłużając mi życie.

— Przedłużając nam wszystkim — dodała Studentka

— I teraz znów nam je przedłużył — powiedziała Ekspedientka.

— To prawda — przyznała Fryzjerka — gdyby nie on, zostałyby nam tylko dwie doby.

Agent spojrzał na zegarek, który znów wskazywał godziny, a nie jak przedtem lata i stulecia.

— Wynalazca wieczności — rzekł.

I oto dla wszystkich stało się jasne, że to on. Listonosz, odkrył dla nich wieczność.

Profesor uważał to za prawdziwe wielkie odkrycie. Na uwagę Agent, iż wieczność istnieje obiektywnie i niezależnie od nas, odparł, że niekiedy trzeba ją wynaleźć na nowo, aby ją dać człowiekowi.

— Niechaj ten, kto żyje, korzysta z życia — powiedział Agent.

— To prawda — westchnęła Ekspedientka. Niełatwa to była prawda, lecz nie dało się przed nią uciec. Pewnie, że szkoda tego chłopca, ale przecież ich wspólne życie, jej i Agent, dopiero się zaczęło.

Przysunęła się do niego, lecz on nie odpowiedział na ten gest — różnica lat murem stała między nimi. Teraz już wszystkich dzieliła bariera wieku.

Nie tylko zresztą wieku. On miał własną rodzinę, ona — również. Ona miała swój sklep, on — firmę handlową. Wszystko, co ich dawniej zbliżało, teraz prysnęło, wyfrunęło jak motyl przez otwarte drzwi, za którymi leżały ich różne drogi życiowe...

Każde miało własną drogę.

Czy własną?

Życie, które czekało na nich za drzwiami, stało się obce przez ten miesiąc — przez te wieki i tysiąclecia. Wszystko, co tu zyskali, co dała im wieczność — bodaj niewielka, bodaj motyla, ale jednak wieczność — zostanie im bezpowrotnie odebrane. Profesor nie skończy swojej monografii o życiu motyli w warunkach zamkniętego pomieszczenia. Ekspedientka nie zazna dreszczu miłości, Starsza Pani wróci w swoją starość, a Fryzjerka do damskiego salonu całkowicie pozbawionego kontaktu z salonem męskim. Wiersze, które z pamięci przepisywała Studentka, będą na próżno wołać o miłość, a sterta pieluszek przeleży bezużytecznie...

Ekspedientka uświadomiła to sobie i odsunęła się od Agenta. Obcość wkradła się pomiędzy ludzi znajdujących się w tym pokoju, jak gdyby pod jednym dachem nie przeżyli wieczności, bliski był im tylko tamten, który odszedł, który stworzył i zburzył ich malutki motyli świat.

Był im bliski, aczkolwiek odszedł najdalej — tak daleko, że na powrót nie wystarczy wieczności.

Studentka podniosła się.

— Dosyć mam pańskiej entomologii! On w tej chwili umiera, aby nam wolno było jeszcze trochę popęłzać, pofruwać!

Cisnęła swoje staranne streszczenie — akurat nie w stronę Profesora, który miał bezpośredni związek z entomologią, lecz w stronę Agenta, który nie miał z nią nic wspólnego.

— Studenckie bunty — powiedział Agent. — Nie szkodzi, takie bunty z wiekiem przechodzą.

Studentka była już przy drzwiach:

— Bądźcie szczęśliwi. Przyjemnej wieczności. Ja nie chcę, żeby za mnie umierali inni.

— Nie za panią jedną — powiedziała Ekspedientka, Agent zaś uzasadnił tę myśl w sposób bardziej naukowy:

— Człowiek umiera za kolektyw. To jest normalne. Nienormalne zaś — kiedy kolektyw ginie za jednego człowieka.

Starsza Pani omal nie skoczyła na niego z pięściami. — On to uważa za normalne! Umiera za niego człowiek, a on uważa, że to normalne!

— Nie za mnie — cierpliwie wyjaśniał Agent. — On umiera za kolektyw, a każdy jest częścią kolektywu.

— Nie jestem częścią, jestem człowiekiem i mam prawo umrzeć sama za siebie, jak winien umierać człowiek.

— Przecież to nie pani... — zająknęła się Fryzjerka, ale Studentka przerwała jej:

— A właśnie że ja! Żałuję, że wcześniej się nie przyznałam — to właśnie ja utopiłam przedstawiciela władz okupacyjnych. Podobna była do Starszej Pani z lat jej młodości. Tak samo nieugięta, tak samo zdecydowana iść na całego nie myśląc o konsekwencjach. Starsza Pani jednak dawno już przywykła liczyć się z konsekwencjami, a w obecnej chwili łatwo je mogła sobie wyobrazić. Kiedy więc Studentka zerwała się do wyjścia. Starszej Pani wydało się, że to odchodzi jej młodość, odchodzi, by nigdy już nie powrócić.

— To niemożliwe — odezwała się Fryzjerka. — Widziałam, jak pani pluskała się w wodzie — ostrożnie, żeby nie zniszczyć fryzury. Cały czas przyglądałam się pani, w pobliżu nie było żadnego

oficera.

— A jednak zrobiłam to.

Profesor pokręcił głową:

— To do pani niepodobne. Nie wierzę, by taka dobra dziewczyna była zdolna zabić człowieka.

— Mało mnie pan zna.

Profesor uśmiechnął się. Jak to — mało ją zna, skoro wysłuchała cyklu jego wykładów? Każdy człowiek ma inny sposób słuchania, toteż gdy chcesz kogoś poznać, uczyn go swoim słuchaczem.

— Po wyjściu z wody miała pani zupełnie suche włosy — twierdziła Fryzjerka. — Jak można utopić człowieka nie zamoczywszy nawet włosów?

Ale dziewczyna uparcie obstawała przy swoim — zupełnie jak Starsza Pani w dniach swej młodości, dlatego właśnie od razu to pojęła.

Agent, pragnąc wnieść w tę burzę emocji nieco zdrowego rozsądku, odezwał się:

— Zapewne miała pani powód, by go utopić? Może ubliżył pani, obraził jej godność?

Niczym wykładowca w czasie egzaminu podsuwał jej właściwe odpowiedzi. Mimo wyraźnej wrogości, jaką mu okazywała, pragnął jej pomóc.

Studentka przyznała, że oficer istotnie obraził jej godność. Nie miał nic przeciwko niej samej, nie widział jej nawet. A mimo to obraził jej godność.

— Jakim sposobem? — nie mógł zrozumieć Agent.

Zdrowy rozsądek ulotnił się i znowu wszystko zaczęło się gmatwać. Jak można obrazić godność dziewczyny nie widząc jej i w ogóle nawet nie wiedząc o jej istnieniu?

Profesor powiedział, że już sam fakt okupacji obraża godność każdego człowieka. Oczywiście, nie w takim stopniu...

— A więc zrobiła to pani ze względów politycznych? — domyśliła się Fryzjerka. Miała obojętny stosunek do polityki, podobnie jak do okupantów — wszyscy oni strzygli się nie u niej, lecz w sąsiednim salonie.

— Bez względu na racje, jakie mną powodowały, sama poniosę odpowiedzialność za mój czyn. — Studentka zdecydowanie ruszyła do wyjścia. Starsza Pani jednak znalazła się tam przed nią i zagroziła drzwi własnym ciałem.

— Zostanie pani tutaj!

— A to dlaczego?

— Dlatego, że to nie pani utopiła oficera.

— Skąd pani wie?

Starsza Pani uśmiechnęła się do swej przywróconej młodości.

— Wiem. Ponieważ to ja go utopiłam.

— Pani?! Proszę mnie nie rozśmieszać — przy pani reumatyzmie, zapaleniu korzonków nerwowych, kurczach... — Ekspedientka wyliczała wszystkie choroby, na które często uskarżała się Starsza Pani, i z których każda była mocnym argumentem, powalającym cierpiącą, jak tylko może powalić choroba.

— Cóż to zapalenie korzonków? — broniła się Starsza Pani. — Trzeba było tylko zebrać siły... Agent popatrzył na nią krytycznie.

— W pani wieku to nie takie proste.

Był młody i nie bawił się w delikatności mówiąc o cudzym wieku. Ale Starsza Pani już nie ukrywała swoich lat, przeciwnie — nawet się nimi szczyciła. Dawały jej prawo wyjść jako pierwszej, zatrzymać tę młodość, poświęcając dla niej swoją starość. W ten sposób znów stawała się młoda. Studentka objęła Starszą Panią.

— No, proszę... Proszę tam nie iść... I tak nikt pani nie uwierzy.

— Mnie? Niech tylko spróbują! Proszę mnie puścić. Przekonam ich, mam dowody...

— Jakie dowody?

— Nie słyszeliście? Powiem, że mi ubliżył... że obraził moją godność... Śmiało może tak powiedzieć! Starsza Pani też ma godność, którą można obrazić.

— Kobiety! — zawołał Profesor. — Dlaczego bierzecie na siebie sprawy nie należące do kobiet? Czy oprócz was nie było tam mężczyzn? Czy któryś z nich nie mógł utopić oficera?

— Kogo pan ma na myśli? — oschłym tonem zapytał Agent. Zapadło milczenie, z początku niezręczne i bezradne, później jednak stawało się coraz głębsze, coraz bardziej wymowne i zdeterminowane.

Przerwał je głos Profesora:

— Mam na myśli siebie.

W chwili niebezpieczeństwa chrząszcz pokątnik złowieszczy staje na głowie i zaczyna chrobotać ostrzegawczo. Inne chrząszcze uciekają, on jednak zwleka, musi ostrzec wszystkich, którzy są zagrożeni. Staje więc na głowie i chrobocze...

— Co, nie wyglądam na to? Oderwany od życia naukowiec, mól książkowy, a tu nagle taka partyzantka. Tymczasem... — Profesor mówił szybko, inaczej niż na wykładach, jak gdyby w obawie, że lada chwila rozlegnie się dzwonek. — Od razu go zauważyłem. Gdy się rozebrał i wszedł do wody, popłynąłem za nim. Za młodu byłem nie najgorszym pływakiem, zresztą i teraz jeszcze... Słowem, postanowiłem go utopić.

— Ze względów politycznych? — znów domyślnie spytała Fryzjerka.

— Tak. I z państwowych. Co pani woli. Jak tylko go zobaczyłem, postanowiłem to zrobić. Wykorzystać owe niewykorzystane możliwości, o których mówił mój przyjaciel Psychiatra. Mimo że zajmuję się owadami, to jednak w człowieku tego nie lubię. Źle, jeśli człowiek staje się obiektem entomologii.

Wypiękniał nagle, nawet broda przestała go szpeci, co natychmiast spostrzegła Fryzjerka. Mówił jak natchniony. W oczach jego migotał odblask owego ognia, do którego leciał w tej chwili jak ćma. Tylko że ona nie wie, dokąd leci, a on wiedział.

Mówił o jakimś oddziale partyzanckim, z którym był związany i skąd otrzymał rozkaz zlikwidowania przedstawiciela władz okupacyjnych, nie tylko tego zresztą, lecz i wszystkich pozostałych.

— Wszystkich? — wykrzyknęła Fryzjerka.

— No, może nie wszystkich. Ja też nie działałem sam... Był nas cały oddział... Ale nie o tym teraz mowa. Wszedłem do wody z konkretnym zadaniem...

Spieszył się w obawie, że gdy przerwie na chwilę, cała ta opowiadanka pęknie jak bańka mydlana, więc skwapliwie ją nadmuchiwał, malując wszystkimi kolorami tęczy.

— Profesorze, kochany Profesorze! — zawołała Studentka. — Jak pięknie pan mówi, to pański najlepszy wykład! Pan jest prawdziwym rycerzem, Profesorze!

— Prawdziwym mężczyzną — dodała Ekspedientka.

Tym samym jak gdyby wyróżniła Profesora, dając do zrozumienia, że spośród dwu obecnych w tym pokoju mężczyzn Agent nie zasługuje na to miano.

Dotknęły go te słowa. Szacunek nawet obojętnej mężczyźnie kobiety bynajmniej nie jest mu obojętny.

— Bzdura! — skwitował. — Ja jeden wiem, jak to było. Stało się to w moich oczach.

Tak, wszystko to stało się w jego oczach, ponieważ znajdował się najbliżej oficera. Nie Studentka, nie Starsza Pani, nie Profesor, lecz właśnie on. Agent. Oficera po prostu złapał kurcz. Agent widział, jak jego twarz wykrzywiła się z bólu, jak otworzył usta, by zawołać o pomoc, lecz nie zdążył — zalała go fala. Jeszcze kilka razy wypływał na powierzchnię, błagalnie wytrzeszczając oczy na Agentą, ten jednak wolał trzymać się z daleka, by w razie czego uniknąć podejrzeń. Odpłynął nawet jeszcze dalej i napotkawszy po drodze Fryzjerkę, zaczął z nią rozmawiać, aby wszyscy widzieli, iż wspólnie zażywają kąpieli.

— Prościej byłoby go uratować — zauważyła Ekspedientka.

— Uratować wroga? — wykrzyknęła Studentka. — W tym samym czasie, gdy nasi przyjaciele biją wroga, my mamy go ratować?...

— Nie o to chodzi — spokojnie wyjaśnił Agent. — Oczywiście mógłbym go uratować, gdybym miał pewność, że mi się to uda... W przeciwnym razie oskarżono by mnie o morderstwo.

— Dlaczego nie powiedział im pan od razu, że oficer sam utonął? Profesor — i laki naiwny. Przecież gdyby im powiedział, pociągnięto by go do odpowiedzialności za nieudzielenie pomocy. Oficer padł ofiarą podejrzliwości i nieufności okupantów do obywateli okupowanego kraju.

— Jest pan zwyczajnym łajdakiem — powiedziała Ekspedientka. — Mój Boże, jakże ja mogłam kochać takiego łajdaka!

Zwykle tak bywa, gdy emocje biorą górę nad zdrowym rozsądkiem. Logicznie biorąc, postępek Agentą był bez zarzutu, a jeśli czynimy coś zgodnie z logiką, tym samym i dalsze zarzuty stają się bezpodstawne i niedorzeczne.

— Pójdę — zdecydowała Starsza Pani. — Proszę się nie bać, nie wydam pana, powiem, że sama widziałam, jak utonął.

Może jeszcze uda się ocalić Listonosza. Pisał do niej listy, przedłużał jej życie... Jej starość nie jest już nikomu potrzebna, natomiast jego młodość może się przydać jeszcze wielu ludziom.

— Pójdę z panią — oświadczył Profesor. — Zawsze lepiej, gdy jest dwóch świadków, a nie jeden.

— Ja też pójdę — odezwała się Studentka. Fryzjerka wahała się — iść czy nie iść? Poszłaby, lecz przecież nic nie widziała... Mogliby ją oskarżyć o fałszywe świadectwo, tym bardziej że zupełnie nie potrafi kłamać.

— Możecie przyprowadzić choćby stu świadków — i tak nikt wam nie uwierzy — stwierdził Agent. — Honor żołnierski wymaga, by oficer ginął z ręki wroga, a nie jak zmokła kura tonął w morzu. Wziąłem to również pod uwagę. Tak, tak, od początku rozważyłem wszystkie okoliczności i dlatego milczałem.

— Jakież z pana łajdak!

Agent pozostawił uwagę Ekspedientki bez komentarza.

— Proszę, rozważmy wszystko logicznie: chłopiec pragnie umrzeć jak bohater, a wy chcecie, by umarł jak zwyczajny kłamca. Żywego i tak nie wypuszczą — choćby za to, że oszukał władze okupacyjne. Po cóż więc odbierać mu to, o czym marzył. Bądźcie wyrozumiali dla niego, pozwólcie mu umrzeć jak bohaterowi!

Niedawno jeszcze mieszkali w tym domu, zamknięci na cztery spusty, odgradzeni od wszystkich problemów, a zwłaszcza od konieczności podejmowania decyzji. Mieli swą małą motylą wieczność i choć sufit nad ich głową był niższy, pewniejszy jednak od nieba — cały ich malutki świat, aczkolwiek mniejszy niż tamten wielki, był znacznie pewniejszy i lepiej urządony.

Ograniczenie czasu i przestrzeni — to jeszcze nie najgorsze. Mimo że otacza nas bezkres wszechświata, nieskończoność czasu, mamy jednak własne miejsce, własny mały wymiar, który pozwala nam czuć się wielkimi. We wszechświecie to niemożliwe — to wymaga ciasnoty; ciasnoty Ziemi, ciasnoty miasta i mieszkania. Wszyscy jesteśmy wielcy, różnica zależy tylko od stopnia ciasnoty — jedni są wielcy w skali całej Ziemi, inni w skali swego mieszkania. I każdy ma własną wieczność: jedni wielką, drudzy małą.

Stali u progu swej małej wieczności i patrzyli w tamtą — ogromną, której nie można określić ani oswoić, która jako nieskrępowany żywioł kocha odważnych pływaków skaczących w jej głębie i nie baczących na wskazówki zegara. Przyzwyczailiśmy się do godzin i minut, do miesięcy i lat, ale musimy je porzucić, ponieważ wszyscy jesteśmy pływakami w ocenie Wieczności. I nie tylko rzuconymi na łaskę fal, my sami obieramy własną drogę i z naszych krótkich godzin i lat tworzymy Wieczność...

‘W taką to Wieczność odszedł Listonosz, jej Wynalazca. I stało się jasne, że wynalazł on tamtą ogromną Wieczność, a nie tę motylą. Jakkolwiek i przed nim istniała, wynalazł ją na nowo. Albowiem Ogromną Wieczność trzeba wciąż, na nowo odkrywać, aby nie zamieniała się w ślepy, bezmyślny żywioł.

A tak łatwo zamienić Wieczność w bezmyślny żywioł! Wystarczy tylko kurczowo trzymać się wskazówek zegara.

Profesor zrobił krok ku otwartej na oścież Wieczności. Agent zatrzymał się, puszcżając przodem kobiety — był mimo wszystko człowiekiem dobrze wychowanym.

Przełożyła Elżbieta Zychowicz

Michał Puchow
Palindrom w antimir

Palindrom do antyświata

Znana jest hipoteza, że w antyświecie, jeżeli takowy istnieje, czas płynie wstecz. Dlatego też przedstawiona niżej miniatura, w której opisano lot astronautów w antyświatową część kosmosu, została napisana palindromem — czyta się ją identycznie zarówno od początku, jak i od końca. Każdy utwór literacki jest strumieniem informacji, czas i informacja są ze sobą sprzęgnięte i gdy czas zmienia swój znak, tekst przekształca się lustrzanie, przy czym punkt symetrii (słowa: „Wstrząs. Znowu wstrząs”) jest zarazem chwilą wtargnięcia do antyświata. Ale życie toczy się dalej i druga część opowiadania nie jest zwykłym zwierciadlanym powtórzeniem pierwszej, lecz również pewnym rozwinięciem tematu.

Gwiazdolot pożera przestrzeń. Przyspiesza. Przyspiesza cały czas. Ciemność. Wokoło gwiazdy Galaktyki. Ziemia daleko za nimi. Kapitan mówi cicho:

— Dolecieliśmy.

Gwiazdolot otaczają cienie, nie kształty. Gwiazdozbiory zakrywa zasłona, czarna jak nieprzenikniony mrok. Nawigator nie odpowiada.

— Ale tu są. Wszystkie dziesięć statków przepadło właśnie tutaj — szeptem mówi kapitan.

Noc. Przed dziobem gwiazdolotu — okno w antyświat. Przesącza się skądś, pełnie poświata, mdła jasność — błysk, i milczenie czujników i analizatorów. Milczenie trwa długo.

— Koniec. — To mówi nawigator. — Wszystkie indykatory się palą, antymateria.

Próżnia. Gwiazdy nie migocą — cicho czernieją i gasną. Oslepiły ekrany. Ciemność.

— Dawniej myślano, że nie sposób pokonać granicy — mówi kapitan. Nawigator odpowiada.

— Inaczej sądzą teoretycy. Niektórzy to udowodnili. Pomyśl: myśmy przekroczyli barierę. Wygląda to tak. Ciemność zapłonie. Wybuch wielkiej siły. Magnetyczne i grawitacyjne pola się rozproszą i zakrzywią. Nastąpi to prędko, niedługo trzeba będzie czekać. Antymateria, niszcząc czas, da znak, znak inny.

— Wysłać sondę.

— Automatyczną sondę? Czemu? Ludziom zagraża nie przejście. — Nawigator głośno myśli: — Śmierć to zatrzymanie się. Ruch to życie. Życia bez śmierci i ruchu bez zatrzymania się nie ma. Dalej lecą śmiali. Nas czeka chłód i mrok, i nicość.

Na kursie granica antyczasu, lustro antyświata, skraj wszechświata, galaktyki. Za rufą ciemność.

— Automatyczną rakietę należało wysłać. Dlaczego poleciliśmy sami? — mówi potem kapitan. I dodaje po chwili: — Strasznie boję się odbicia.

— Nie zdążymy teraz wyhamować — twardo mówi nawigator. — Naprzód.

I naprzód, dalej, pędzi statek. Lecz odważnych czeka tajemnica, niepojęta przestrzeń, gdzie cofa się czas.

Godziny, minuty, sekundy ulatują. Twarze pokrywa pot. Oświetlone konsole. Wszystko zwalnia bieg. Mija minuta. Długa wibracja.

Wstrząs. Znowu wstrząs.

Wibracja. Długa minuta mija. Zwalnia. Wszystkie konsole oświetlone. Pot pokrywa twarz. Ulatują sekundy, minuty, godziny.

Czas się cofa. Gdzie przestrzeń? Niepojęta tajemnica czeka odważnych. Lecz statek pędzi dalej, naprzód i naprzód.

Nawigator mówi twardo:

— Wyhamować? Teraz zdążymy; — Nie my, odbicia. Boję się. Strasznie — po chwili dodaje kapitan. Polem mówi: — Polecieliśmy sami. Dlaczego? Wysłać należało raketę automatyczną.

Ciemność. Za rufą galaktyki wszechświata, skraj antyświata, lustro antyczasu, granica. Na kursie nicość.

I mrok, i chłód czeka nas. Śmiali lecą dalej. Nie ma zatrzymania bez ruchu i śmierci bez życia. Życie to ruch. Zatrzymanie się to śmierć — myśli głośno nawigator. — Przejście nie zagraża ludziom. Czemu sondę?

— Automatyczną sondę? Wysłać innym znak,

— Znak da czas niszcząc antymaterię. Czekać będzie trzeba długo. Nieprędko to nastąpi. Zakrzywią się i rozproszą pola grawitacyjne i magnetyczne siły. Wielki wybuch. Zapłonie ciemność. Tak to wygląda. Bariere przekroczyliśmy. Myśmy, pomyśl, to udowodnili. Niektórzy teoretycy sądzą inaczej — odpowiada nawigator.

Kapitan mówi:

— Granicę pokonać nie sposób, myślano dawniej. Cicho. Ciemność. Ekrany oślepy, gasną i czernieją. Migocą nie gwiazdy — próżnia, antymateria. Palą się indykatory, wszystkie. Nawigator mówi:

— To koniec.

Długo trwa milczenie analizatorów i czujników. Milczenie. I błysk. Jasność, mdła poświata. Pełźnie skądś, przesącza się antyświat w okno gwiazdolotu. Przed dziobem noc.

Kapitan mówi szeptem:

— Tutaj właśnie przepadło statków dziesięć. Wszystkie są tu. Ale odpowiada nie nawigator. Mrok nieprzenikniony jak czarna zasłona zakrywa gwiazdozbiory. Kształty, nie cienie, otaczają gwiazdolot.

— Dolecieliśmy — cicho mówi kapitan.

Za nimi — daleko — Ziemia, galaktyki, gwiazdy. Wokoło — ciemność. Czas ciągle przyspiesza, przyspiesza, przyspiesza... Przestrzeń pożera gwiazdolot.

Przetłóżył Sławomir Kędziński

Michał Puchow
Siemia zła

Nasiona zła

Chciałeś grać — to graj.

Bykowiec przez chwilę trzymał konia nad szachownicą i wreszcie postawił go na nowe miejsce.

Stąd będzie miał w zasięgu ostatnie pola kontrolowane przez białe.

Ruch konia szachowego przypomina przejście zerowe.

Teraz, jeżeli białe zrobią ruch wieżą, czarne zbiją ją koniem. Bezkarnie. Drugą wieżę białe mają zablokowaną. Króla też. Gdy pójdą damą — wymienią ją za figurę. Z kolei każdą figurę oddadzą za piona. I co najważniejsze, nawet ta ofiara nic w ich położeniu nie zmieni. Przy następnym posunięciu białe znów będą musiały coś oddać.

Innymi słowy, sytuacja idealnie przypomina tę, w jakiej znalazła się Ziemia w czasie swego pierwszego międzygwiazdowego kontaktu.

Bykowiec spojrział na siedzącego naprzeciw Piczugina. Dowódca zbiornikowca wpatrywał się w drewnianą szachownicę. Oparł łokcie o blat stołu, masywny podbródek położył na nadgarstkach. Szukał jakiegoś sposobu — już nie, by wygrać, ale żeby odzyskać swobodę ruchów. Najwidoczniej jeszcze się nie zorientował. Jeszcze na coś liczył.

Bykowiec spojrział na lustro w ramach z polerowanego dębu wiszące za plecami Piczugina. W szklanej tafli odbijał się pokryty siwizną tył głowy kapitana. Nic nie wskazywało na to, by miał on zamiar poddać partię.

Bykowiec zobaczył w lustrze i swoją twarz. Mocną, świadczącą o silnym charakterze i zdecydowaniu. Stalowe, twarde spojrzenie.

Twarz pełna niezwyklej determinacji. Na pokrytej bukową boazerią ścianie nad swoją głową zobaczył zegar–kalendarz. Już czas, pomyślał chyba po raz dziesiąty. Nie można dłużej zwlekać. Postój wkrótce się skończy, potem przejście zerowe i Ziemia.

Zacząłeś grać, to graj. Przecież tak się starałeś, by dostać przydział na ten zbiornikowiec nie po to, by zwyciężyć na szachownicy.

— Przegrałem — oznajmił Piczugin zatrzymując zegar. — Rozgromiłeś mnie, Sienia. Ostatnio zrobiłeś bardzo duże postępy.

— Uczę się od pana, Piotrze Aleksiejewiczu.

— Tak? Cóż, nie będę się sprzeczał. Jeszcze jedną?

Bykowiec pokręcił przecząco głową, odwrócił szachownicę i zaczął zbierać figury.

— Pójdę na platformę obserwacyjną. Pospaceruję. Chyba zmęczyły mi się szare komórki.

— Rozumiem — odparł Piczugin. — Ale przyjdź do mnie później, co? Ciężko mi tu samemu.

Spraw mam co prawda mnóstwo, ale godzinkę uda się nam jakoś zorganizować.

Bykowiec w milczeniu skinął głową, wstali wyszedł z kabiny, zamykając za sobą drzwi.

Rozciągał się przed nim zupełnie pusty korytarz. To było oczywiste — postój zbliżał się do końca, hiperzbiornikowiec „Lucifer” przygotowywał się do ostatniego skoku w układ słoneczny. Oprzyrządowanie zostało już sprawdzone. Teraz uściśla się programy, wprowadza ostatnie korekty.

To najdogodniejszy moment.

Bykowiec powoli szedł korytarzem wyłożonym drewnianymi boazeriami. Tak, drewna mamy teraz pod dostatkiem, ziemia potrzebna jest pod nowe zasiewy. Z zaciśniętymi pięściami maszerował obok zamkniętych drzwi. Czuł wewnętrzne napięcie, ale nie miał pewności, czy jego plan się powiedzie. Brak ci fanatyzmu. Sienią, pomyślał. Brak ci prawdziwej wiary. A cóż bez niej wart jest człowiek?

Zbliżył się do drzwi kolejnej kabiny. Na tabliczce pod szkłem widniał napis *Siemion Pawłowicz Bykowiec, młodszy nawigator*.

Przyspieszył kroku. Wreszcie koniec korytarza. Z lewej strony śluza powietrzna; na wprost, za grodzia, znajduje się pokład obserwacyjny, a za nim ładownia wypełniona nasionami z Linoru.

Drzwi ostatniej kajuty, znajdującej się naprzeciwko wejścia do śluzy, otworzyły się. Z kajuty wyszedł starszy nawigator Pietrow. Na „Luciferze” nietrudno było spotkać kolegę — nawigatorów na zbiornikowcach jest wielu.

— Pan do mnie, Sienieczka? Strasznie żałuję, ale muszę iść. Proszę mi wybaczyć, praca, cóż mogę poradzić?

— Ależ nie, Arkadiju Lwowiczu. Po prostu miałem ochotę pospacerować po pokładzie obserwacyjnym.

Starszy nawigator Pietrow obrzucił Bykowca podejrzliwym — a może tylko mu się tak zdawało — spojrzeniem.

— Zmarznie pan. Niech pan przynajmniej założy skafander. Parcież jak zwykle nie włączyli ogrzewania.

— Tak pan sądzi?

— Nie mam zwyczaju bawić się w hipotezy. Proszę spojrzeć — Pietrow uchylił drzwi prowadzące na pokład obserwacyjny. Powiało mrozem. — Ma pan klucz?

— Nie — skłamał Bykowiec. — Przecież jestem tylko „młodszy”, Arkadiju Lwowiczu.

— To proszę wziąć mój. Idę na służbę, nie będzie mi potrzebny. Pietrow wyciągnął z kieszeni pokaźną, dzwoniącą wiązkę.

— Ten chyba jest od śluzy.

Bykowiec wziął klucze. Śluza była tuż obok, naprzeciwko kajuty. Zamek szczęknął. Starszy nawigator Pietrow nie odchodził, stał tuż obok i sapał Bykowcowi w ucho.

Światło w środku zapalało się automatycznie w chwili, gdy drzwi zaczynały się otwierać. Na ścianie wisiały skafandry. Pod drugą stały butle z powietrzem. Na stelażu przy trzeciej ścianie stały pedantycznie rozmieszczone uniwersalne promienniki. Stały w dwóch rzędach — w głębi, kolbami do góry, ciężkie, o długich lufach, natomiast lekkie, w kaburach, umieszczone były w gniazdach tuż nad podłogą. Nie sposób było wziąć któryś z nich, nie schylając się przy tym.

— Niech pan bierze pierwszy z brzegu. Wszystkie są takie same — powiedział Pietrow. — Ale błagam, niech się pan pospieszy. Zupełnie nie mam ochoty na awanturę z Borysem Grigoriewiczem. Zna pan Wiedeńskiego, przyczepi się do najmniejszego spóźnienia.

— Niech mu się pan nie daje — poradził Bykowiec. — Niech pan napisze raport do Piczugina.

— Osobiście staram się trzymać od Piczugina jak najdalej — odparł Pietrow. — Między nami mówiąc, co z niego za dowódca zbiornikowca? Nie ma ani doświadczenia, ani kwalifikacji. Nie mówię już o jego manierach. Borys Grigoriewicz istotnie jest surowy, ale sprawiedliwy. Poza tym błyskotliwy, niezwykle wykształcony, doświadczony specjalista. I wspaniały człowiek, doskonale, precyzyjnie zorganizowany wewnętrznie. Nie chciałbym mówić źle o Piczuginie, ale niestety nie mogę powiedzieć i nic dobrego.

Uważam, że trafił tu przez pomyłkę. Przecież dawniej służył w astrozwiadzie, słyszał pan o tym?

— Wiem — odparł Siemion. Kto ma teraz wachtę?

— Chyba Albert Josifowicz. Ale, Sienieczka, bardzo pana proszę, niech pan bierze ten skafander.

Przecież nie można zostawiać śluzu otwartej. Po prostu nie wypada.

Bykowiec przeszedł przez pomieszczenie i zdjął z wieszaka skafander. Popatrzył na butle z powietrzem. Między nimi widniał luk — wyjście ze statku.

— Powietrze nie będzie panu potrzebne — powiedział starszy nawigator i roześmiał się nagle.

— Zrobił się pan zupełnie podobny do Linorczyka, jak Boga kocham. Tak samo flegmatyczny.

Przecież już dawno powinienem być w nawigacyjnej, na wachtcie. Po co mam obrywać od Borysa Grigoriewicza?

Bykowiec przechodził właśnie koło stelażu z promiennikami. Niósł przed sobą prawie nieważki skafander i patrzył na Piętrowa, który niecierpliwie dreptał w drzwiach.

Siemion upuścił skafander, na stelaż. Pochylił się. Przez cienki materiał namacał futerał z pistoletem. Gdy podniósł skafander, na stelażu pozostało puste miejsce. Popatrzył na Piętrowa. Nie, nic nie zauważył.

Bykowiec wyszedł na korytarz.

— Pomóc? — zapytał starszy nawigator.

— Dziękuję, Arkadiju Lwowiczu — odparł uprzejmie Siemion. — Pan się przecież spieszy. Jeżeli będzie mi zimno, zarzucę go sobie na plecy.

— Dobrze, Sienieczka. Proszę mi wybaczyć, wachta. Po co narażać się na niepotrzebne rozmowy?

Schował klucze do kieszeni i ruszył korytarzem w stronę dzioba statku. Bykowiec odprowadził go spojrzeniem i otworzył drzwi na pokład obserwacyjny.

Tu ze wszystkich stron miękko świeciły gwiazdy. Z góry, pod nogami, zewsząd. Rzeczywiście było zimno. Bykowiec przymknął drzwi, kaburę z promiennikiem wsunął za pas. Zarzucił na ramiona nogawki skafandra i zawiązał je na piersi. Tak będzie lepiej. Rzeczywiście, gdyby nie nawinał się Pietrow, zmarłby tutaj.

Korytarz rozchyłał się stożkowe jak szyjka butelki. Jego ściany były przezroczyste. Za nimi płonęły gwiazdy. Trzeba było zejść po stopniach, które wyglądały jak z lodu, ale zupełnie nie były śliskie.

Bykowiec szybko schodził po przezroczystych schodkach. Nie patrzył na gwiazdy i nie myślał już o niczym. Wszystko zaplanował wcześniej.

Zejście skończyło się. Przeciwnie ściana bardzo szerokiego cylindra zniknęła gdzieś w górze. Pokład obserwacyjny był jasno oświetlony światłem gwiazd.

To znaczy, że oczy zdążyły się już przyzwyczaić.

Przy wejściu do ładowni — tu pomieszczenie znów się zwężyło i trzeba było wejść po identycznych schodkach — widniała masywna, czarna postać. Jeden z robotów ładowaczy, a obecnie strażnik. Dziwny zwyczaj wystawiać straż przy wejściu do ładowni i koło reaktora. Zresztą, wcale nie taki dziwny.

Robot zagroził Siemionowi przejście. Zwykły MW — mechanizm wykonawczy mózgu okrętowego.

— Dalej iść nie wolno — beznamiętnie oznajmił centralny komputer za pośrednictwem głośnika robota. Obok głośnika na głowie robota umieszczone były detektory wizyjne. Niżej widniała giętka szyja. Metalowy korpus. Bardzo silny manipulator. I gąsienica na dole.

— Muszę. — Bykowiec spróbował odsunąć robota na bok. Robot opierał się. — Idę z zadaniem

specjalnym. Mam wykonać pomiary wilgotności w ładowni. To rozkaz dowódcy. Piotra Aleksiejewicza Piczugina.

Robot nie odpowiedział, ale i nie odsunął się. Zresztą Bykowiec wcale na to nie liczył. Stał w dobrej odległości, prawie tuż obok, i wiedział, co będzie dalej. Człowiek jest bezsilny wobec robota. Komputer reaguje o wiele szybciej niż człowiek. Dlatego też nie należy walczyć z robotem jak równy z równym, dopóki steruje nim komputer.

— To ty, Siemion? — zapytał robot energicznym głosem Alberta Minca, który pełnił wachtę nawigacyjną. — Coś ty wykombinował?

Bykowiec nie odpowiedział. Zamiast tego z całej siły uderzył kantem prawej dłoni w giętką szyję automatu i jednocześnie lewą pięścią rąbnął go w bok, tam gdzie pod cienkim pancerzem ukryte były łącza. Stał wygięta się, wewnątrz robota coś zatrzeszczało. Bykowiec prawie natychmiast potężnie kopnął w dolną część kadłuba. Robot pochylił się i zaczął się przewracać. Siemion nie czekając, aż upadnie, ruszył do przodu i namacał kluczem otwór zamka.

— Co ty wprawiasz? Siemion! — krzyknął robot. — Co się dzie... Klucz przekręcił się. Ale metalowa łapa dopadła Siemiona i cisnęła go do tyłu. Robot leżał na boku nie mogąc się podnieść, ale jego manipulator doskonale wiedział, co robić.

Ze wszystkich stron świeciły gwiazdy. Bykowiec leżał na szklanej podłodze.

Nie wiedział, ile czasu już minęło. Robot znów przegradzał mu drogę. Gdy Bykowiec usiadł, manipulator poruszył się groźnie. A więc znów podłączyli go do komputera. Ale teraz było już wszystko jedno.

Bykowiec powoli wyciągnął pistolet. Ciężki, zimny. Uniósł broń. Czuł się jak morderca.

Nie wygłupiaj się, powiedział w duchu. To zwykły MW. Mechanizm wykonawczy. Mechanizm. Zaraz przybiegną następne, które równie sprawnie wykonują polecenia.

Zamknął oczy i nacisnął spust. MW — do diabła z nim. Błysk oślepił go nawet przez mocno zaciśnięte powieki.

Otworzył oczy. Manipulator leżał nieruchomo — osobno. Siemion wstał. Przeszedł przez zmasakrowany automat, wyjął klucz z zamka, popchnął drzwi ramieniem. Luk uchylił się wolno. Natychmiast w ładowni zapaliło się światło.

Lewą ręką ujął krawędź luku. Prawa dłoń ścisnęła rękojeść pistoletu. Promiennik przydał się. I to zanim rozpoczęła się właściwa akcja.

Bykowiec spojrzął za siebie. Robot leżał na wznak z wgniecionym bokiem, okaleczoną szyją oraz nieomal na wylot przedziurawionym kadłubem. Jego ramię było osmalone, w detektorach wizyjnych odbijało się zimne światło gwiazd. Obok leżał oderwany manipulator.

Hen, daleko w ciemności znajdowało się wyjście do korytarza. Jeszcze nikt stamtąd nie nadbiegał. Drzwi były jeszcze zamknięte. Zamknięte. Jeszcze nikt stamtąd nie biegnie. Nawet roboty, a one umieją szybko się poruszać.

Bykowiec, stojąc na progu ładowni, opuścił lufę promiennika w dół. W przezroczystą podłogę uderzyły białe błyskawice. Szkło pokryło się pęcherzami. Lej stawał się coraz szerszy i głębszy. Wreszcie rozległ się syk. Powietrze z pokładu obserwacyjnego zaczęło gwałtownie uciekać w próżnię.

Luk powoli zamykał się. Bykowiec przytrzymał go. W oddali, w ciemności, pojawiła się świetlista plama. Ktoś otworzył drzwi wiodące z korytarza na pokład obserwacyjny.

Bykowiec uniósł bron. Na tle białej plamy światła, widniała czyjaś sylwetka. Człowieka, nie robota.

Siemion przesunął nieco lufę. Białe błyskawice trafiły w ścianę tuż koło jasnego otworu. Ludzka

sylwetka przesunęła się w głąb korytarza, świetlna plama zniknęła.

Zrobione. Bykowiec wszedł do ładowni i puścił masywny właz, który powoli zamknął się pod naporem powietrza. Wiatr ucichł. Siemion wsunął promiennik za pasek — lufa parzyła — i usiadł na pokrytej szronem podłodze. W ładowni było bardzo zimno, on jednak czuł, że jest cały spocony.

Otarł twarz dłonią i wstał. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było przy wejściu dość przestronne, po kilku jednak metrach zwężało się, tworząc długi korytarz o ścianach uformowanych z dwóch równych rzędów kontenerów. Ładunek nasion, który wieźli do układu słonecznego.

Teraz ładownię od części roboczo-mieszkalnej oddzielała niezawodna przegroda — pokład obserwacyjny wypełniony próżnią.

Zrobił, co trzeba, ale nie powinien tracić czasu. Podszedł do stelaży, z wysiłkiem zdjął jeden kontener. Nacisnął zamek. Pokrywa odskoczyła.

Kontener wypełniony był dużymi, żółtymi nasionami przypominającymi trochę kukurydzę. Bykowiec uniósł pistolet.

Krótki rozbłysk i zawartość pojemnika przekształciła się w zwęglony popiół.

Przekłęte nasiona.

Zawartość kontenera. Jednego. A jest ich tu kilkaset. Trzeba się brać do roboty.

Zdjąć kontener, postawić na podłodze, nacisnąć zamek, nacisnąć spust...

Bykowiec sięgał po trzeci kontener, gdy nagle kątem oka zobaczył jakiś ruch. Odwrócił się, trzymając pistolet w pogotowiu.

Roześmiał się. Rzeczywiście był to robot, ale komunikacyjny. Kamera telewizyjna na kółkach, zupełnie niegroźna. Choć gdyby ją dobrze rozpędzić...

Robot mknął w jego stronę długim przejściem między dwupiętrowymi stelażami. Bykowiec uniósł broń. Tak. Najpierw po obiektywach. Potem po kołach.

Kamera zawirowała w miejscu jak bąk. Zatrzymała się.

Znów odwrócił się w stronę kontenera. Zdjął go, nacisnął zamek. Przykrywa odskoczyła.

Jeszcze jedna skrzynka wypełniona zwęglonym pyłem. Bykowiec sięgnął po nowy kontener.

Ktoś zachrypiał za nim jak w agonii. Siemion obejrzał się. W pomieszczeniu nikogo nie było. Tylko kamera zdeformowana trafieniami promiennika.

— Szemon — powiedziała kamera nieznanym, sepleniącym głosem. — Przesztań natychmiast. Przesztań, proszę czę po dobroczi. Pamiętaj, że czę widzę.

Pojedyncze, szklane oko patrzyło nań ze środka nadtopionej szramy.

— Przesztań natychmiast — powtórzyła kamera. — Żwariowałeś? Szłyszysz mnie?

— Coś za jeden? — zapytał Bykowiec.

— Mincz — odparła kamera ochryplym, nie dającym się zidentyfikować głosem. — Albert Mincz, dyżurny nawigator.

Ocalały cudem obiektyw spoglądał władczo, hipnotyzował. Bykowiec uniósł pistolet.

— Ani szę waż — zasepleniła kamera. — Natychmiast przesztań! Bykowiec wycelował starannie. Wyobrażał sobie swych kolegów nawigatorów, jak stoją stłoczeni w kabine dowodzenia pod czarną lufą jego pistoletu.

— Nie! — wyraźnie powiedziała kamera. Siemion nacisnął spust. Szklane oko pokryło się świeżym bielmem oparzelizny.

— Szienieczka! — zawołała kamera. — Niech pan przesztanie... Dlaczego chce pan napytać szobie biedy? — Umilkła na chwilę, po czym dodała: — Zwariował. Ciekawe skąd wziął blaszter?

Lufa promiennika wciąż skierowana była w stronę robota. Bykowiec opuścił broń. Niech sobie

gada.

Odwrócił się do kamery tyłem.

— Zwariował — szeleściły głosy. — Oszalał. Wariat! Wariat. Wariat...

Siemion otworzył pokrywę kontenera. Przekłęte nasiona! I znowu zapłonęła błyskawica i znów żółte nasiona przekształciły się w czarny pył.

Głosy ucichły. Od czasu do czasu od strony kamery dobiegały słabe chrypienia i szelesty, poszczególne, nie dające się rozróżnić słowa, ale Bykowiec nie wsłuchiwał się w te dźwięki.

Pracował szybko jak automat — zdejmował ze stelaży kolejne, ciężkie skrzynki z napisami *Złoto*, *Srebro*, *Miedź*, otwierał je i palił ich zawartość. Robił to spokojnie i metodycznie, nie dzieląc wcale uczuć bohatera powieści Bradbury'ego, dla którego „palić było rozkoszą”. Nie czuł żadnej rozkoszy. Może tylko na samym początku, kiedy chciał się wprawić w odpowiedni nastrój, czuł złość. Ale złość szybko mu minęła...

Już dawno temu ludzie zbudowali szczęśliwe społeczeństwo wyzwolone z wyzysku i władzy pieniądza. Dawno już ludzkość wyruszyła w kosmos i opanowała najbliższe systemy gwiazdne. Ludzkości brakowało tylko jednego — jakichś braci w rozumie.

Działo się tak dopóty, dopóki gwiazdne okręty ludzi nie natrafiły na planetę Linor. Tam ludzkość odkryła wreszcie świat zamieszkały przez niewątpliwie rozumne, pokojowo usposobione i pracowite antropoidy, dla których największym szczęściem było najwidoczniej to, że każdy z nich hodował swe własne drzewo... Właśnie te bardzo wyspecjalizowane, błękitne i różowe rośliny dają swym właścicielom żywność, tkaniny, materiały budowlane, użyteczne kopaliny. Mogą wydobywać z gruntu i akumulować w swych tkankach dowolne elementy układu okresowego pierwiastków i ich najrozmaitsze połączenia. I wszystkie wydzielają powietrze — olbrzymie ilości powietrza.

Rośliny wydzielające powietrze są niezwykle przydatne przy kolonizowaniu nowych planet. Jest to działalność, którą od dawna i z tak wielką miłością zajmuje się ludzkość. I oto wspaniałe hiperzbiornikowce, bracia promiennego „Lucifera”, wiozą już na Ziemię złociste nasiona z Linoru. Jednocześnie na Ziemi wyrąbuje się lasy, karczkuje zagajniki, a potem w naszą glebę zasiewa się te przekłęte ziarna. Zapładniamy naszą Ziemię żółtymi nasionami z Linoru i czekamy, kiedy wzejdą błękitne i różowe pędy. Nie musimy długo czekać. Przecież te rośliny z planety Linor są niewymagające i uniwersalne. Zawsze się przyjmują, wyrastają na każdej glebie, w której zostały zasiane, i wszędzie zakwitają wspaniałymi różowymi i błękitnymi barwami.

My zaś oddychamy powietrzem, które bezpłatnie dostarczają nam te wspaniałe rośliny...

Bezpłatnie...

Bykowiec pracował automatycznie — zdjąć kontener, postawić na podłodze, nacisnąć zamek, przycisnąć spust...

Błękitne i różowe rośliny, które kiełkują z tych nasion, dają nam metale, produkty żywnościowe, odzież i wszystko, czego potrzebujemy. Przede wszystkim powietrze. Ale wycinamy nasze lasy i cała nasza planeta staje się różowa i błękitna. Jak Linor.

Bykowiec zdjął ze stelażu kolejny kontener. Na pokrywie widniał napis *Złoto*.

Oznacza to, że jeśli zasadzi się jedno z tych ziarenek, wyrośnie, stanie się drzewem i zacznie wchłaniać z ziemi ten cenny metal. Rozprzestrzeni swe korzenie wszędzie. Jest genetycznie zaprogramowane na poszukiwanie złota i będzie je wydobywać. Będzie je odkładać w swoich tkankach. Następnie zawiążą się nasiona, potem zaś można będzie drzewo ściąć albo wykarczować je wraz z korzeniami, w tym momencie bowiem również składają się one prawie całkowicie ze złota. I przez ten cały czas — a proces akumulacji może trwać dziesięciolecia — drzewo będzie oczyszczać atmosferę, wydzielając ogromne ilości powietrza.

Cudowne drzewo, które tak ułatwia życie człowiekowi...

Ułatwia?

Tu najprawdopodobniej leży przyczyna wszystkiego. Ile potrzeba linorskich roślin, by wydobyć całe złoto znajdujące się, powiedzmy, w jednym hektarze naszej cierpliwiej, lecz niezbyt bogatej ziemi? Najwyżej jedną. Ale w ziemi, choć biednej, są jeszcze i inne skarby. Wodór, azot, krzem — nie sposób wyliczyć tego, co można zabrać ziemi. Tak właśnie powstają na naszej planecie mieszane lasy rodem z innej planety. Każde drzewo wysysa z ziemi swój zaprogramowany element i każde wymaga indywidualnej opieki. Do każdego więc przydziela się człowieka, by się nim opiekował i chronił je. I by sprzedawał owoce swej pracy. Każdy dla siebie. Ale co ma robić ten, który nie dostanie swojego drzewa? Wszyscy oddychamy obecnie powietrzem, w które bezpłatnie zaopatrują nas te cudowne rośliny. Zaczynamy opanowywać sztukę wymiany i zaczynamy być w coraz większym stopniu nie z tego, lecz z tamtego świata — z błękitno-różowego Linoru. Jego mieszkańcy stają się nam coraz bardziej bliscy i zrozumiali — te istoty, które hodują swoje własne drzewa i wymieniają ich owoce. I stopniowo stajemy się zupełnie innymi ludźmi...

Bykowiec sięgnął po kolejny kontener stojący na stelażu. Pojemnik znajdował się wysoko, na drugim poziomie i skafander z szelestem spełził z ramion Siemiona na podłogę. Pochylił się, by go podnieść i nagle poczuł, jak drżą mu kolana. Nogi miał już bardzo zmęczone. Wydawać się mogło, że nic specjalnego nie robił, ale stał już bardzo długo. Zbyt długo jak na człowieka przyzwyczajonego do siedzącego trybu życia. Do tego, by siedział i nie wychylał się...

Popatrzył za siebie, na efekty swej dzisiejszej pracy. Obok opustoszałych stelaży widniał nierówny szereg skrzynek wypełnionych popiołem. Było ich już dość dużo, trudno by je było od razu policzyć.

Zamknął kolejny kontener, opadł na jego wieko i przez jakiś czas siedział z rozluźnionymi mięśniami. Odpoczywał. Potem naciągnął skafander, przełożywszy uprzednio klucze do jego lewej, zewnętrznej kieszeni.

Skafander był lekki, prawie nie krępował ruchów. Miękki hełm wisiał za plecami jak kaptur peleryny.

W ładowni panowała pełna lęku cisza. Chrypiąca kamera została gdzieś z tyłu, zagubiła się wśród skrzynek z czarnym pyłem i do uszu Bykowca już nie dobiegały wydawane przez nią dźwięki. Za nim wiał się nierówny szereg otwartych i wypalonych kontenerów. Przed nim, po prawej i lewej stronie, dokąd sięgał wzrok, ciągnęły się dwupiętrowe stelaże, zalane sztucznym, białym światłem. Bykowiec zajmował się do tej pory wyłącznie prawym rzędem, ale pokonał nie więcej niż jedną dziesiątą drogi do końca ładowni.

Przeszedł dziesięć procent trasy. Nawet pięć, jeżeli wziąć pod uwagę drogę powrotną połączoną z pracą w lewym rzędzie. Poza tym nie wiadomo, co go jeszcze czeka. Plan ładowni Bykowiec znał — około 150 metrów kwadratowych dokładnie zastawionych stelażami, po środku, na lewej burcie, śluza powietrzna — jeszcze jedno wyjście ze statku, na końcu zaś tytanowa ściana oddzielająca ładownię od energetycznego serca statku — pomieszczenia reaktorów. Ale niespodzianka może czyhać na każdym kroku, a kroków tych trzeba będzie zrobić około dwustu. Na przykład roboty pełniące wartość przy reaktorze. Gdzie one są? Czyżby dowództwo na wszelki wypadek ukryło je za pancernymi drzwiami?

Tak, pora się rozejrzeć. Po co udawać strusia, który wetknął głupi łeb w żółty piasek? Ale najważniejsze, rzecz jasna, było nie to.

Bykowiec uniósł promiennik i spojrzał na wskaźnik ładowania. Stał na zerze. Bykowiec wycelował w jeden z kontenerów i nacisnął spust. Nic. Rzucił wykorzystany blaster w stertę popiołu.

Poczuł się dość nieswojo. Już czas. Niewielki spacer nie zaszkodzi.

Powoli i ostrożnie, przez cały czas obserwując przestrzeń przed sobą, maszerował wąskim korytarzem zamkniętym ścianami piętrowych stelaży. Niedobrze się stało, ale trzeba liczyć na łut szczęścia. Prawie nieważki skafander grzał lepiej niż kozuch. Barwne etykiety na skrzynkach rzucały się w oczy jak reklamy na słupach ogłoszeniowych.

Wreszcie stelaż po lewej stronie urwał się. W krótkiej odnodze, kilka metrów dalej, widniał właz służy.

Drzwi były idealną kopią tych, za którymi tak niedawno — choć miał wrażenie, że minęła cała doba — dzięki pomocy starszego nawigatora Pietrowa wszedł w posiadanie skafandra i pistoletu. Standaryzacja! Wyjął z kieszeni klucz.

Jednakowe drzwi — jeżeli istotnie są jednakowe — zawsze otwierają się jednakowymi kluczami. Standaryzacja! Wszystkie służy „Lucifera” i innych hiperzbiornikowców można otworzyć tym samym kluczem. Jeden klucz do wszystkich ładowni, jeden do wszystkich śluz, jeden do wszystkich sal generatorowych.

Siemion przekręcił klucz. Drzwi się otworzyły.

Śluz wyglądała tak samo jak tamta. Standaryzacja! Identyczne skafandry, butle z powietrzem, identyczne promienniki...

Bykowiec wsunął za pasek cztery promienniki w kaburach i wziął do każdej ręki długolufy promiennik dużej mocy. Ciężkie, o imponującej pojemności ładownika. Wszedł ze służy, zamknął za sobą drzwi. Nie przekręcał klucza, bo i po co? Tak czy owak jest tu sam i długo jeszcze będzie sam.

Ostrożnie zerknął w głąb korytarza. Pusty. No cóż, przegapili szansę. Następna pewnie się im nie trafi. Na razie jednak nie poszedł dalej przejściem prowadzącym do rufowej części „Lucifera”, do sali reaktorów i robotów-wartowników, ale wrócił na swoje poprzednie miejsce. Olbrzymie góry popiołu wyprodukowałaś dziś, Siemionie Bykowcu. A co by było, gdyby tak ze zwykłej ciekawości nie siać tych żółtych ziaren, ale użyźniać naszą ziemię tym czarnym, linorskim pyłem?

Bykowiec ustawił oba karabiny za skrzynkami z nasionami. Obok ułożył dwa promienniki w kaburach. Popatrzył i z zadowoleniem skinął głową — dobrze zamaskowane, nikt obcy ich nie znajdzie. Przed kim je chowasz, zwymyślał się w duchu. Naprawdę „żwariowałaś”, Siemionie!

Wyjął oba pozostałe pistolety z kabur, wetknął je za pas i ruszył przed siebie licząc wyjałowione kontenery. Czterdzieści dwa. Nie tak wiele, ale i niemało. W każdym razie, początek został zrobiony i to nie najgorszy początek.

— Siemionie Pawłowiczu! — odezwała się nagle zmasakrowana kamera (zupełnie już o niej zapomniał) wyraźnym głosem pierwszego nawigatora. — Niech się pan odezwie, żądam po raz ostatni! Mówi Wiedeński, pański bezpośredni przełożony!

Bykowiec popatrzył na robota komunikacyjnego ze zdziwieniem. Czyżby ten prymitywny automat był zdolny do regeneracji? Jeżeli tak, to trzeba się mieć na baczności. Zresztą, obwody elektroniczne nietrudno odtworzyć. O wiele łatwiej niż zniszczone podwozie. Chwilowo nie ma się czym przejmować...

— Witam, Borysie Grigoriewiczu — odparł uprzejmie. — Dawno pana nie słyszałem.

— Proszę nie kłamać, słyszał mnie pan dziesięć minut temu — oznajmił Wiedeński. — Ale nie traćmy czasu na spory. Oczekuję, Siemionie Pawłowiczu, że wyjaśni pan motywy swych bezsensownych poczynań. Dlaczego zamknął się pan w ładowni? Na jakiej podstawie uszkodził pan dwa cenne mechanizmy i naruszył hermetyczność pokładu obserwacyjnego? Jak pan śmiał skierować broń przeciwko swoim kolegom, którzy z narażeniem życia starali się panu przeszkodzić? I wreszcie, dlaczego nie odpowiadał pan na wezwania starszego stopniem? Co ma oznaczać to niesłychane

pogwałcenie regulaminu i dyscypliny? Żądam wyjaśnień!

— Najprawdopodobniej, Borysie Grigoriewiczu — odpowiedział krótko Bykowiec — oznacza to, że istotnie oszalałem. Opanowały mnie demony zła i postanowiłem zniszczyć ładunek. Mam nadzieję, że zadowala pana moje wyjaśnienie?

— Proszę nie kłamać — dobitnie powtórzył Wiedeński. — Zanim połączyłem się z panem, konsultowałem się ze specjalistami. Lekarze zapewnili mnie, że nie mają najmniejszych wątpliwości co do pańskiego stanu zdrowia — fizycznego i psychicznego. Jest pan zdrow jak byk i proszę wziąć pod uwagę, że zostało to odnotowane w odpowiednim dokumencie. Dlaczego pan milczy?

— Trudno dyskutować ze specjalistami. Powiedziałem już swoje.

— Mam wrażenie, że zapomniał pan o swych obowiązkach — ciągnął dalej Wiedeński. — Jest pan nawigatorem, Siemionie Piotrowiczu. Przez sześć lat uczono pana trudnej sztuki dostarczania ładunku dokładnie pod wskazany adres. Łożono na pana czas, siły i środki. Czymże się pan odpłaca Ziemi? Czym wywdzięcza się pan za dobro, którego pan doświadczył? Co pan robi w ładowni, i to z bronią w ręku? Proszę odpowiedzieć, rozkazuję panu!

— Niech pan nie traci na próżno sił — powiedział Bykowiec. — Postanowiłem zniszczyć wszystko, co będę mógł i nie mam zamiaru odpowiadać na pańskie pytania. Proszę wybaczyć, ale jestem teraz zajęty.

— Pójdzie pan pod sąd — orzekł Wiedeński.

— Bardzo proszę — odparł Siemion. — Tylko niech pan nie próbuje nasyłać na mnie robotów. Mam tu dobrą widoczność i broń.

Kamera znowu zamarła. Najwidoczniej pomost dowodzenia wyłączył się na jakiś czas. Z głośnika nie dobiegały już ani przemowy, ani dźwięk tłumionych głosów, ani nawet zwykłe szumy, szmery i trzaski.

A więc obie strony wypowiedziały wojnę. Żeby móc spokojnie pracować, powinien zabezpieczyć sobie tyły.

Bykowiec znów ruszył w głąb ładowni, uważnie wpatrując się przed siebie. Nigdzie nic się nie poruszało. Najwidoczniej straż rzeczywiście siedziała za ścianą.

Maszerował obok skrzyń wypełnionych czarnym pyłem. Ład i porządek były bezpowrotnie zniweczone. Gdy tu przyszedł, kontenery stały jak pod sznurek, tak jak ułożyły je w porcie roboty-ładowacze, te same, które teraz ochraniają reaktor. Załadunek na Linorze wygląda interesująco. Port zupełnie przypomina jakiś ziemski kosmodrom. Zresztą, istotnie wszystko wykonano na Ziemi i dostarczono Linorczykom w zamian za żółte nasiona. Skomplikowana sztuka handlu, którą pojętni i pełni inicjatywy uczniowie przyswoili sobie już w najdrobniejszych szczegółach.

Po raz drugi w dniu dzisiejszym Bykowiec zbliżył się do śluzy. Skręcił z głównego korytarza, podszedł do luku, pociągnął za drzwi. Ani drgnęły. Patrzył na nie ze zdziwieniem — wyraźnie pamiętał, że nie zamykał ich odchodząc. Szarpnął jeszcze silniej. Nie ustąpiły. Wtedy wyjął klucz z kieszeni na piersi i wstawił w otwór.

Klucz nie dawał się przekręcić.

Drzwi nie otwierały się.

A więc wydarzenia zaczynały nabierać tempa. Odszedł stąd mniej więcej pół godziny temu. Co mogło się stać w ciągu pół godziny?

Nic się nie mogło stać, ale drzwi nie ustępowały.

Bykowiec stał jeszcze przez minutę, patrząc bezmyślnie na drzwi. Coś takiego dzieje się wtedy, gdy otwarty jest zewnętrzny luk. Na przykład jeżeli jakiś statek przycumuje burta w burtę. Ale za poszyciem „Lucifera” nie ma niczego — ani kosmolotów, ani stacji. Jest tam tylko próżnia i długie

lata świetlne dzielące ich od Ziemi.

Nie powinien tracić czasu. Drzwi zaklinowały się nie wiadomo czemu — no i co z tego? To niewłaściwa chwila na rozwiązywanie rebusów. O wiele ważniejszą rzeczą jest zabezpieczenie sobie tyłów. Bykowiec szybkim krokiem ruszył dalej.

Szeregi kontenerów płynęły do tyłu. *Kobalt, Bawełna, Wełna, Spirytus, Papier...*

Wreszcie korytarz się skończył. Wyłożone grubymi, tytanowymi płytami wrota są oczywiście zamknięte na głucho. Cisza i spokój. Ani jednego robota po tej stronie. Wszystkie ukryły się za opancerzonymi drzwiami. Tak, Wiedeński i S-ka dobrze znają swój fach. No cóż, robią swoje i ja też będę robił swoje...

Jeżeli ktoś nagle otworzy te zamkowe wrota i wypuści stamtąd roboty, Bykowiec bez trudu będzie mógł je kolejno wystrzelać. Komputerowa superreakcja nie uchroni przed bezdźwięcznymi błyskawicami. Ponieważ jednak Wiedeński, wbrew temu co mówił, z całą pewnością uważa Bykowca za szaleńca, to najbardziej boi się ataku na salę reaktorów. To oczywiste, nikt nie ma ochoty wylecieć w powietrze — jeżeli można tak powiedzieć o statku poruszającym się w próżni kosmicznej. Tego się właśnie obawiają. No i dobrze.

Siemion stał przez chwilę nasłuchując. Za masywnymi wrotami panowała cisza. Zawrócił i ruszył w drogę powrotną. W porządku. Włazu nie da się bezszelestnie otworzyć. Bykowiec szedł powoli wsłuchując się w ciszę ładowni. Jego mięśnie, zmęczone wykonywaną pracą żurawia portowego, rozkoszowały się przechadzką. Zdjąć kontener, postawić na podłodze, nacisnąć zamek, przycisnąć spust...

Minął zamknięty właz służby i podszedł do skrzynek z popiołem. Chwila relaksu się skończyła, pora brać się do pracy. Postawił na podłodze nowy kontener, nacisnął zamek i nagle poczuł, że ktoś z tyłu na niego patrzy. To było niemożliwe. Mogli na niego patrzeć tylko z rozwalonej kamery, ale nie urodził się jeszcze człowiek, który reagowałby na spojrzenie przekazywane przez elektroniczne przetworniki.

Bykowiec obejrzał się powoli.

Za nim, nie opodal wejścia do ładowni siedział na pustej skrzynce dowódca zbiornikowca Paweł Piczugin, ubrany w lekki skafander z odrzuconym na plecy hełmem. Masywny podbródek dowódcy spoczywał na nadgarstkach rąk opartych łokciami na kolanach. Przez minutę patrzyli na siebie.

— No, co ty tutaj, Sienią? — powiedział Piczugin i wyprostował się. — Podejdź bliżej, porozmawiamy. Tylko schowaj, z łaski swojej, tę armatę.

Bykowiec opuścił promiennik.

— Jak się pan tu dostał?

— Hm, to moja sprawa — odparł Piczugin. — Lepiej pomyślmy, jak wykaraskać się z tej sytuacji. Siadaj, od stania nie zmadrzejesz.

Bykowiec podszedł bliżej, opuścił pokrywę kontenera i usiadł.

— Nie mam zamiaru cię straszyć — powiedział Piczugin. — Jesteśmy dorosłymi ludźmi i musimy sami odpowiadać za swe postęпки. Lepiej niż ja zdajesz sobie sprawę z konsekwencji. Ale dobrze cię rozumiem.

Bykowiec nie odpowiedział.

— Oczywiście możesz mi nic nie wyjaśniać — ciągnął Piczugin. — Rzecz jasna, moi nawigatorzy, ludzie o dość miernej fantazji, są przekonani, że zwariowałeś. Nie dyskutowałem z nimi. Tylko nie wyobrażaj sobie, że pochwalam twoje zachowanie.

Bykowiec słuchał w milczeniu.

— Możesz mi nic nie wyjaśniać — powtórzył Piczugin. — Sytuacja jest, ogólnie rzecz biorąc,

prosta. Do skolonizowania nowych światów są nam niezbędne rośliny z Linoru. Linorczycy dają nam nasiona, my zaś dostarczamy im pewne elementy wyposażenia technicznego i nawet budujemy porty w niektórych rejonach planety. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda normalnie. Mam rację?

— Tak — skinął głową Bykowiec.

— Nasionami z Linoru obsiewa się Marsa i Merkurego. Wokół pustynnych, kamiennych kul zaczynają powstawać tlenowe atmosfery. Na Marsie można już żyć, choć jeszcze niezbyt po ludzku. Ale ty, oczywiście, przejmujesz się nie tym.

— Oczywiście.

— Niepokoisz się czymś innym. Nie podoba ci się przywóz tych roślin na Ziemię. Nie podoba ci się również, że w naszą glebę pada mnóstwo linorskich nasion. Gniewa cię, że w imię nowych zasiewów karczkuje się nasze lasy. Sprawia ci przykrość, gdy widzisz, że cały nasz statek wyłożony jest wewnątrz drewnianymi boazeriami — nie z linorskiego drewna, lecz z naszego. I jeszcze większą przykrość sprawia ci to, że widzisz, jak na twoich oczach niszczy się brzoźowy gaik, po którym biegałeś będąc chłopcem, a potem pierwszy raz całowałeś się z dziewczyną, na jego miejscu zaś sadi się różowe linorskie zagajniki... Ale nie to jest źródłem twych obaw. Niepokoi cię coś innego.

— Ma pan dzieci? — zapytał Bykowiec.

— Jestem już dziadkiem — uśmiechnął się Piczugin. — Mam wnuka, takiego sprytnego chłopczyka. Wciąż mnie naciąga na różne rzeczy. Od dawna marzył o psie, kiedy zaś przyniosłem mu szczeniaka, zapytał. — A ile cię kosztował? — Dobrze więc znam tę sprawę. Ale większość nie dostrzega, co się dzieje. Masz wrażenie, iż głównym powodem tego stanu rzeczy jest fakt, że ludzie nic nie wiedzą o twoich zapatrywaniach. Dlatego właśnie się buntujesz... Powiedz, czy specjalnie w tym celu studiowałeś nawigację?

— Tak, ale nie w tym rzecz — odpowiedział Bykowiec. — Nie wspomniał pan o najważniejszym. Linor to biocywilizacja i wszystkie importowane przez nas rośliny są starannie opracowane genetycznie. Nie wiem, co się dzieje z wydzielanym przez nie powietrzem. Ale oddychają nim obecnie miliardy ludzi. Dawniej dawały nam powietrze tajga, oceany, stepy. Obecnie oddychamy powietrzem Linoru i sami przekształcamy się genetycznie. Kupiecki duch Linoru przedostaje się nam do krwi przez płuca, przez otwarte w cielejącym zachwycie usta i stajemy się inni. I gdy każdy z nas zacznie hodować swoje własne drzewko, będzie to koniec ludzkości. To nie my posługujemy się ich darami, lecz oni przekształcają nas na swoje podobieństwo.

— Przesadzasz — powiedział Piczugin.

— Nie — rzekł Bykowiec. — Wiele o tym myślałem.

Zamilkli.

— Ale jednocześnie istnieje proces odwrotny — odezwał się wreszcie Piczugin. — Ci, którzy wielokrotnie bywali na Linorze, widzą, że tam również wszystko stopniowo ulega zmianie. Dajemy im swoje maszyny, którymi sterować można tylko zespołowo. Dowiedzieli się od nas, co to takiego nauka, sztuka. Dowiedzieli się, co to takiego książki. Zmieniamy się i my, i oni, taka jest dialektyka.

Piczugin umilkł.

— To są różne zmiany, Piotrze Aleksiejewiczu — rzekł Bykowiec. — Być może dla nich jest to istotnie rozwój. Dla nas jednak to degradacja. Kupczykowstwo, to przecież już było. Czyż możemy zapomnieć, jaką cenę musieliśmy zapłacić, by się tego pozbyć?

— Słusznie. Ale ty również zapominasz o pewnej ważnej rzeczy. Zapominasz, że są ludzie, którym powierzono władzę. Sądzę, że to, co się dzieje, niepokoi nie tylko ciebie. Jestem pewien, że podejmują odpowiednie kroki. Mają przecież większe pole obserwacji niż ty. I lepiej wiedzą, co

robić.

— Jest pan pewien?

— Tak. Społeczeństwo składa się z ludzi. Sienia. Podobnie jak organizm składa się z komórek. Na czym polega normalna praca organizmu? Na tym, że każda komórka robi to, co powinna. W przeciwnym razie organizm ginie. To samo niebezpieczeństwo grozi społeczeństwu. Każdy powinien robić to, co do niego należy. Ty prowadzisz statek do portu, ja dbam o jego bezpieczeństwo, natomiast ktoś inny myśli, jak zneutralizować linorskie wpływy. Każdy powinien zajmować się swoimi sprawami. Swoimi, rozumiesz?

Zapadła długa cisza.

— Być może ma pan rację — odezwał się wreszcie Bykowiec. — Obiecuję panu, że się nad tym zastanowię. Ale lepiej będzie, jeżeli w tym celu zostanę sam. Piczugin wstał w milczeniu, przypiął hełm i skierował się w głąb korytarza, w stronę śluzy.

Kamera patrzyła na Siemiona pustym spojrzeniem wypalonego obiektywu.

— Miał pan rację. Piotrze Aleksiejewiczu. — Bykowiec wstał. — Przemyslałem wszystko i podjąłem decyzję. Każdy powinien robić to, co do niego należy. I będę to robić.

Odwrócił się plecami do kamery i zaczął iść wzdłuż nierównego szeregu kontenerów. Potem uniósł pistolet i kolejna porcja żółtych nasion zamieniła się w zwęglony popiół.

Przełożył Sławomir Kędziński

Dymitr De-Spiller
Obmancywanaja wniesznost

Mylący wygląd

Żadna chyba teoria naukowa nie wzbudziła nigdy tak gwałtownego sprzeciwu, zdumienia i jednocześnie tak gorącej obrony jak „jednoelektronowa teoria świadomości” Igora Głuchariowa. Po dziś dzień teoria ta pozostaje sporna. Możliwe, iż rozwój myśli naukowej w końcu sprawi, że zostanie ona odrzucona, ale i wówczas poruszone przez tę hipotezę zagadnienia nie utracą swego znaczenia.

Poza tym w ciągu stulecia, jakie minęło od dnia jej powstania, teoria ta stała się niepisany testem na zdolności twórcze. Jej fanatycy (trudno inaczej nazwać ludzi, absolutnie nie znających teorii świadomości, a jednocześnie zagorzałych zwolenników Głuchariowa) okazywali się zazwyczaj autorami najbardziej śmiałych i owocnych teorii w swojej dziedzinie nauki.

Fakty, na których Głuchariow oparł swą teorię, były już znane od dawna. Jednakże do tego, by znalazły ucieleśnienie w tak paradoksalnym stwierdzeniu, potrzebna była cała namacalność owych dziwacznych wydarzeń, które towarzyszyły pobytowi astronautów na Wędrującej Planecie.

Psychobiolog Igor Głuchariow leciał na planetę Eridan. Gwiazdolot prowadził pilot Wołodia Zienin. Ciągle ich ze sobą mylono — wysoki, barczysty Igor o nieruchomej, grubo ciosanej twarzy bardziej pasował do roli „wilka kosmicznego” niż okrągłutki gaduła Zienin. Znajomych zdumiewało jednak ich podobieństwo — obaj byli intuicjonistami, to jest ludźmi o trudnym do przewidzenia i trudnym do wyjaśnienia sposobie bycia i sposobie myślenia. Jeżeli jednak Igor zasłynął jako autor hipotez nie do obalenia, ale i nie udowodnionych (a zdaniem niektórych nie do udowodnienia), to Wołodia, którego decyzje natychmiast stawały się czynami, znany był jako pilot z fantastycznym szczęściem. W najtrudniejszych sytuacjach podejmował niewiarygodne, absurdalne decyzje i... zawsze okazywały się one jedynie słuszne, ratując życie i jemu, i jego pasażerom.

Na Eridan lecieli na zlecenie Centralnej Rady Kosmicznej. Automat przywiózł z tej planety niewielkie twory organiczne, kształtem i wielkością przypominające pestkę wiśni, które pokrywały całą powierzchnię Eridanu i dosłownie kipiały w jego oceanach. Badania wykazały, że te „pestki” mogą się stać niewyczerpanym źródłem substancji organicznych dla przemysłu spożywczego i chemicznego. Ale na holofilmach spostrzeżono nagle ruch „pestek”, nie usprawiedliwiony warunkami zewnętrznymi. Wielu uczonych uznało ten fakt za oznakę świadomości, być może dopiero się rodzącej. Igora wysłano, by to sprawdził, i od jego odpowiedzi zależała decyzja, czy Eridan zostanie wykorzystany jako źródło organicznego surowca.

Cel wyprawy wywołał mnóstwo dyskusji o tym, co to jest „świadomość”, „intelekt”, „rozum”. Prowadzono je także w obecności Uldstruga — najnowszego modelu robota. Jakoś w połowie lotu Wołodia Zienin, zostawszy sam na sam z Uldstrugiem, zapytał go nieoczekiwanie:

— Wydaje mi się, że niezbyt chętnie wykonujesz polecenia Igora i mało mu pomagasz. A może się mylę?

Robot odpowiedział dopiero po chwili.

— On mi się nie podoba.

— A to czemu? — zdziwił się Wołodia.

— Chce dowieść, że ja nie istnieję.

— Jak to?! — wykrzyknął Zienin i uśmiechnął się. — Pozwól mu się dotknąć...

Ale Uldstrug zignorował żart.

— Rzekomo nie istnieję jako istota czująca i świadoma. Działam podobno czysto mechanicznie jak śpiąca lalka. Ona przecież nie odczuwa chęci snu, kiedy pod działaniem ciężarków zamyka oczy. Wołodia niedowierzająco wzruszył ramionami.

— To niemożliwe. Przecież na każdym kroku udowadniasz, że czujesz i myślisz zupełnie jak człowiek. Na jakiej podstawie?...

— O to niech pan jego zapyta! — odrzekł gniewnie robot. Co też Wołodia uczynił, kiedy we trójkę zebrali się w mesie.

— Igor, jak ty się odnosisz do Uldstruga?

— Wspaniale! — machinalnie odrzekł Igor, po czym z niepokojem podniósł głowę. — A co? Przeciążam go?

— Nie, po prostu spytałem, jak się do niego odnosisz?

— A jakże ja się mogę do niego odnosić? — nie zrozumiał Igor.

— No, co ty o nim myślisz?

— Świetna maszyna — odpowiedział Igor i nadal pytająco spoglądał na Wołodię.

Uldstrug, który słuchał ich uważnie i popatrywał to na jednego, to na drugiego, na te słowa znieruchomiał jak pogański bożek, bez żadnych objawów życia. Wołodia zaczął go bronić.

— Tymczasem on się uważa za istotę czującą i myślącą. — Ze stali i szkła — ironicznie dodał Igor.

— Zgoda! Ale przecież jest naszym towarzyszem, zupełnie jak człowiek...

— Co to, to nie! Mogę się zgodzić, że Uldstrug jest myślącą i czującą maszyną, ale chyba nie istotą, tym bardziej podobną do człowieka.

— Ale świadomość! Przecież jego świadomość może być całkowicie ludzka?!

— W żadnym wypadku.

— I możesz to udowodnić?

— Nie.

— Jak to?! — oniemiał Wołodia. — A więc poza wyglądem zewnętrznym nie można znaleźć cechy, różniącej go od człowieka?

— Nie można — potwierdził Igor.

Wołodia doznał dziwnego uczucia. Póki Igor odmawiał Uldstrugowi „ludzkich” cech, próbował dowieść czegoś wręcz przeciwnego, jako że w czasie lotu przywykł do robota jak do kolegi, niezbyt się od nich różniącego, może tylko więcej wiedzącego i mogącego dokonać więcej niż oni. Gdy tylko jednak usłyszał, że jego, człowieka, nie sposób odróżnić od robota, poczuł rozdrażnienie.

— A więc, gdyby mu nadać ludzki wygląd...

— To nie odróżnisz go od siebie — szydęczo zakończył Igor.

Uldstrug poruszył się i wpatrzył w Igora — nawet dla tego wszytkowiedzącego robota stwierdzenie to było nowością.

— Dlaczego?

Igor zamyślił się. Gdyby zaczął wyjaśniać wszystko ściśle naukowo, byłby to wywód długi i mimo wszystko niezrozumiały, a nie chciał ich zbyć byle czym — ani Uldstrug, ani Wołodia nie wiedzieli, ile pracy i nerwów włożył Igor w tego robota.

— Zachowanie człowieka zależy od znajomości sytuacji i jej prawidłowej oceny, i przez długi

czas uczeni sądzili, że im więcej danych o konkretnej sytuacji ma robot i im głębszą potrafi przeprowadzić analizę, tym bardziej przemyślane będzie jego zachowanie. Zaczęli uzbrajać maszyny w coraz większą liczbę czujników, coraz obszerniejszą informacją obciążali ich pamięć, coraz bardziej skomplikowane stawały się programy zachowania, ale świadomość się w robotach nie pojawiała. Był też jednak rezultat pozytywny. Liczeni wybrali optymalne wyposażenie robota, najlepsze programy, przy których jego zachowanie było najbliższe zachowaniu człowieka, zaopatrzyli go w imitatory nastrojów i namiętności i teraz nie da się go odróżnić od człowieka.

— Ale czymś się przecież różni? — spytał Wołodia.

— Tym, że nie popełnia bezmyślnych czynków. Ale z tego nie robi się testu...

— Uwaga — znowu przerwał im Uldstrug. — Dogania nas planeta. To było niewiarygodne — planeta nie mogła się poruszać szybciej niż statek w stosunku do galaktyki. Okazało się jednak, że Uldstrug się nie pomylił. Po godzinie w iluminatorze można już było zobaczyć migoczącą tęczowo kulę, gęsto oplecioną łańcuchami górskimi.

— Zajrzyjmy tam — zaproponował Wołodia. — Dziwna jakaś planeta.

— Zgoda — odrzekł Igor.

Zlecieli Uldstrugowi pieczę nad lądowaniem, a sami znikli w komorze grawitacyjnej. I opuścili ją dopiero po godzinie, kiedy stopa gwiazdolotu pewnie stanęła na gruncie.

Pokonując ciekawość, nie od razu wyszli ze statku, lecz by nie naruszać regulaminu, położyli się spać o zwykłej porze, przekazawszy dozór automatom. Przed snem przez pół godziny oglądali okolicę.

Falistą równinę nieustannie oświetlała zorza polarna. Przecinały ją szare, poprzecznie pofałdowane wały, ciągnące się po horyzont, tam gdzie czerniały góry. Grunt był guzowaty i wydawał się przez to kamienisty, ale oddzielnych kamieni było mało. Nie opodal wznosiły się tarasowate wzgórza.

Napatrzywszy się do woli przez iluminator, astronauta poszli spać i przespali sześć godzin. W tym czasie pracowały urządzenia samopiszzące, które ustaliły, że planeta zawiera sporo substancji monopolarowych, jest lekko radioaktywna i ma rozrzedzoną atmosferę argonową. Temperatura na powierzchni utrzymywała się poniżej minus 2000 Celsjusza, toteż wyszli na zewnątrz odziani w ciężkie skafandry.

Natychmiast poczuli, że stali się ciężsi, zresztą nie o wiele. Rozejrzeli się i skierowali ku szaremu wałowi o głębokich kolistych fałdach, który ciągnął się zakolami na szczyt wzgórza. Po drodze w kilku miejscach pobrali próbki gruntu, ale nie udało im się odbić kawałka samego wału. Młotek z brzękiem odskakiwał od jego powierzchni, choć na oko niczym się ona nie różniła od kruchego gruntu, którego szczeliny czasem ciągnęły się także na wale.

Wołodia za pomocą przyrządu określił skład chemiczny substancji — o dziwo, pierścieniowaty wał nie składał się z bazaltu, jak wszystkie okoliczne kamienie, ale z jakichś związków monopolarowych.

— To niesamowite, że tak różne minerały są tak podobne! — wykrzyknął Igor, na próżno szukając wzrokiem choćby najmniejszej różnicy w wyglądzie powierzchni wału i bazaltu. Zienin zgodził się, że jest to rzeczywiście niepojęte. Wstał z kolan, przeszedł po wale i spostrzegł w zagłębieniu pod wzgórzem stos jakichś dziwnych wydłużonych kamieni.

Zbliżywszy się do tego trójkątnego stosu, zobaczyli, że kamienie były rurkowate, z wieloma kanalikami na wylot, niektóre się rozwidlały, inne były spiralnie wygięte i w ogóle bardziej przypominały skamieniałe kości niż minerał.

Wkładając je do plecaka Wołodia nagle poczuł, że coś się w pobliżu zmieniło — przedtem na

wale nie było łaciatego wzgórka.

Dziwny był ten wzgórek! Im bliżej do niego podchodzili, tym bardziej stawał się jednobarwny, a kiedy podeszli zupełnie blisko, okazało się, że nie ma na nim żadnych lat. Czyżby wał zmieniał kolor niczym kameleon? Nie mogąc w to uwierzyć, astronauta tłumaczyli sobie zjawisko grą odbłasków „zorzy polarnej”. Pagórek był równie twardy jak wał i Wołodia przywołał Uldstruga.

Z zapałem operując młotkiem geologicznym Uldstrug uderzał w wał z taką siłą, że jego powłoka poddała się. Zaczęła się rozpadać na rurkowate wydłużone kawałki, zupełnie takie same, jakie znajdowały się w trójkątnej kupce. W ciągu minuty Uldstrug wybił już spory otwór. W jego głębi znajdował się jakiś lśniący purpurowo pokład, tak twardy, że w żaden sposób nie udawało się go rozbić. Kiedy zaś Uldstrug uderzył z całej siły, młotek geologiczny się rozpląszczył. Owładnięty gorączką badawczą robot włączył przecinak i zaczął wykrawać szczelinę w purpurowym mineralu.

W tej chwili stojący obok Zienin spostrzegł ciemną sylwetkę przypominającą człowieka, która nagle pojawiła się nad wzgórzem. Wołodia zamachał rękami i pobiegł w tym kierunku. Igor rzucił się za nim.

Nagle po pierścieniowatym wale przebiegł szybki dreszcz. Szare cielsko wału wybrzuszyło się i zadygotało. Z urwiska posypały się kamienie. W następnej sekundzie z tyłu rozległ się rozpaczliwy krzyk, wyrażający nieznośny ból.

Bez wątpienia krzyczał Uldstrug. Astronauta obejrżeli się i z wysokości wzgórza zobaczyli tylko aluminiowe nogi; reszta ciała robota utkwiała w zmarszczce wału. Podbiegając do jego milczących szczątków, astronauta ani przez chwilę nie przypuszczali, że robot umilkł na zawsze. Obraz, jaki ukazał się ich oczom, odsłonił całą prawdę. Cała głowa i korpus Uldstruga zamieniły się w sprasowany proch, z taką siłą ścisnęła go fałda wału. O remoncie nie mogło być mowy.

Zienin i Głuchariow przez chwilę stali w milczeniu nad szczątkami Uldstruga, po czym wyruszyli w kierunku postaci, która runęła ze wzgórza. Na płaskim kamieniu pod stromizną znaleźli metalowego dziwotwora. Był to bez wątpienia robot. Na resztkach łomu, przyspawanego do metalowej ręki, Igor przeczytał napis: *Górnik mechaniczny — zbieracz monopolarytów systemu Tielatnikowa.*

— Wiem, dokąd trafiliśmy — powiedział Wołodia. — To Wędrująca Planeta. Dwa lata temu dostrzeżono ją w okolicach systemu słonecznego. Poruszała się wbrew wszelkim prawom fizyki, absolutnie nie udało się wysadzić na niej zwiadowców. Na automatyczną ciężarówkę kosmiczną z ośmioma robotami—górnikami na pokładzie planeta dosłownie się natknęła. Ciężarówka wylądowała, ale następnego dnia planeta z kolosalnym przyspieszeniem wystartowała i znikła w kosmosie. Chodź, wróćmy do gwiazdolotu i zbierzmy myśli — według mnie spacer po tej planecie nie są zbyt bezpieczne.

Zaczęli rozmawiać o pierścieniowatych wałach, przy czym Zienin wyraził opinię, że najprawdopodobniej są to części żywego organizmu i że umyślnie przyjmują one wygląd gruntu, żeby mechaniczni zbieracze monopolarytów nie rozbijali ich swymi łomami.

— Te roboty — mówił Wołodia — działają jak poszukiwacz rudy Corna. Pamiętasz?

— Kiedyś wiedziałem, ale zapomniałem.

— To bardzo prosty algorytm. Poszukiwacz rudy odłupuje kawałki gruntu i bada je w polu grawitacyjnym. Jeżeli odłupany kawałek okazuje się monopolarytem — zachowuje go, jeżeli nie — odrzuca i bierze następny kawałek, niepodobny do wszystkich już odrzuconych.

Wały zaś, na swoje nieszczęście, składają się z substancji monopolarytowych, więc jestem pewien, że to właśnie z nich wykruszono rurkowate kamienie. Ale potem wały przystosowały się do oszukiwania robotów. W jakiś sposób zmieniają barwę i przyjmują wygląd zwykłego gruntu.

— A jak myślisz, może specjalnie zepchnęły robota z urwiska?

— Według mnie to był tylko wstrząs wału, nic więcej. Pewnie nieszczęsny Uldstrug sprawił mu straszny ból. Ta istota mogła zginąć po prostu z bólu.

— A gdzie pozostałe roboty?

— Sądzę, że spotkał je los Uldstruga. I jeżeli myśmy mogli swobodnie chodzić po powierzchni planety, to pewnie tylko dlatego, że nie jesteśmy do nich podobni.

— Teraz? — zapytał Igor. — Przecież Uldstrug zewnętrznie jest bardzo podobny do człowieka.

— Teraz — odrzekł Wołodia — boję się, żebyśmy nie musieli zapłacić za to podobieństwo. Toteż, zanim nie oblecimy planety i dokładnie jej nie przebadamy, nie wolno nam się ruszyć z gwiazdolotu. — Wołodia potrafił czasem być stanowczy.

Na wysokości 400 metrów Zienin wyłączył stery astronawigacyjne i skierował gwiazdolot ku dalekiemu łańcuchowi górskiemu. Po jakichś dziesięciu minutach spomiędzy gór wyrzała szkarłatna plama, która, zbliżając się, stawała się coraz bardziej podobna do gigantycznego gniazda, uwitego z czerwonych nici. Wkrótce astronauta spostrzegli, że czerwone nici to pierścieniowate wały, takie same jak ten, który zmiądzzył Uldstruga. Setkami zmiłek rozbiegały się od gniazda we wszystkich kierunkach i nikły w górach. Jednakże gwiazdolot nie mógł się zatrzymać i trzeba było przelecieć obok, zniżając się tylko trochę dla wykonania zdjęć filmowych. Po półgodzinie ostatnie czerwone zmiłki skryły się za górami.

Pod gwiazdolotom rozpościerała się pocięta szczelinami skalista okolica. Astronauci podlecieli do szerokiej rozpadliny, zniżyli się i poprowadzili statek między jej brzegami. Na monitorach ukazało się żebrowane dno wąwozu. Z przodu rozjarzył się migotliwy blask i zaraz potoczyły się nagie perłowe wysepka które następnie zwały się w kręte pasmo. Za zakrętem pasmo wybrzuszyło się w migocący perłowo wał. Zienin włączył kamery filmowe.

Wąwóz stopniowo się rozszerzał i wreszcie stał się równiną. Tutaj między wzgórzami ukazywało się coś kipiącego, przypominającego białą fontannę. Astronauci wzlecieli nad równiną i wówczas zza wzgórza wypłynęła płatanina pierścieniowatych wałów, taka sama jak ta, którą niedawno widzieli, tylko że nie czerwona, lecz tęczowoperłowa. Nad splotem wałów trzepotała i krążyła olbrzymia, najeżona igłami bryła w kształcie odwróconego stożka. Z lekka dotykała swymi białymi igłami podłoża. Po każdym jej obrocie po wałach przebiegał migotliwy blask.

Zienin naprowadził na trzepocący stożek teleskop i zaczął filmować na najwyższych obrotach taśmy holograficznej. Jednocześnie obniżył lot statku.

Nagle silne uderzenie zbiło astronautów z nóg i ołowiany ciężar przycisnął ich do podłogi. Oddech stał się utrudniony, ręce i nogi bezwładne, przed oczyma popłynęły różnobarwne koła. Trwało to kwadrans. W tym czasie zorza polarna zgasła i wewnątrz gwiazdolotu pociemniało. Teraz kabinę oświetlały tylko gwiazdy.

Kiedy Zienin i Głuchariow tracili już przytomność pod wpływem przygniatającej siły, przeciążenie nagle ustąpiło.

Zobaczyli w iluminatorze Wędrującą Planetę jako ogromny dysk tęczowo połyskujący w gwiazdzistym niebie. Planeta malała stopniowo, z coraz większym przyspieszeniem oddalając się od statku. Zienin i Głuchariow zrezygnowali ze ścigania jej (tym bardziej że nie byłoby to łatwe) i w ogóle postanowili nie lecieć dalej, lecz wracać na Ziemię. Zdobyte informacje były bardzo cenne i lepiej było nie ryzykować ich utraty. Astronauci ustalili swe położenie i po zakończeniu niezbędnych obliczeń skierowali się ku Ziemi. Później udali się na spoczynek i spali aż do sztucznego poranka. I dopiero po śniadaniu zaczęli omawiać całe zdarzenie.

— Przypuszczam — odezwał się Zienin kreśląc w powietrzu koła — że przez te istoty...

— To znaczy przez pierścieniowate wały?

— Raczej przez ich skupiska, tak, jestem o tym przekonany, przepływają koliste prądy grawitacyjne. Wały ściśle na siebie oddziałują, a przy tym współdziałają z polami grawitacyjnymi galaktyki i mogą przemieszczać planetę w dowolnym kierunku. I właśnie za pomocą swych prądów grawitacyjnych te potwory odrzuciły nasz gwiazdolot w kosmos...

— Czemu więc nie zrobiły tego wcześniej?

— Cóż, nie tak znów łatwo wejść we współdziałanie z polami naszych rotorów. A co do tych kolczastych brył, jestem pewien, że to były ich centra nerwowe.

Zienin podszedł do projektora filmowego, nastawił go i włączył. Kolczasta tańcząca bryła była sfilmowana bardzo wyraźnie, ze wszystkimi szczegółami. Zienin powiększył obraz i rzucił na ekran jego dolny fragment, na którym igły stykały się z podłożem. I, o dziwo, okazało się, że za każdym razem kolczasta bryła balansowała tylko na jednej igle, przy czym miejsce zetknięcia nie zmieniało się. Był to małeńki półokrągły pagórek, ku któremu zewsząd wyciągały się igły. Ale tylko jednej udawało się na nim oprzeć, kiedy zaś przechylała się i stożek już miał utracić równowagę, o pagórek wspierała się kolejna igła. Zmiana podtrzymujących stożek igieł następowała bardzo szybko, ale na zwolnionym obrazie można ją było dokładnie zaobserwować. Igły były tak ostre, że nawet przy maksymalnym powiększeniu ich końce pozostawały niewidzialne.

Jak sądzisz, czy igła zbudowana jest z całego szeregu atomów, czy tylko z jednego, czy może nawet z jednego monopolu magnetycznego? — wykrzyknął nagle Głuchariow i nie czekając na odpowiedź ciągnął z zapalem: — Słuchaj, Wołodia, to przecież bardzo ważny szczegół, że ta kolczasta bryła (która, jak przypuszczasz, jest ich organem myślenia) za każdym razem opiera się na jednym monopolu magnetycznym. Wiesz nie gorzej niż ja, że zgodnie z mechaniką kwantową nie istnieją prawa określające, w jakim kierunku ma się posuwać konkretna cząstka elementarna. Tymczasem zachowaniem tych istot za każdym razem kieruje właśnie ruch jednej cząstki elementarnej. — Coś tu chyba jest niejasne — rzekł Zienin.

— Oczywiście — zgodził się Igor. — Ale wiesz, na co zwróciłem uwagę? Krzywa „świadomości” zachowania robota w eksperymencie, o którym ci mówiłem, zdumiewająco się pokrywa z „określonością” zachowania ciał fizycznych. Praktycznie nic nie możemy powiedzieć o zachowaniu galaktyk, nieco więcej o systemach planetarnych i tak dalej. Możliwość przewidzenia zachowania cząstki widzialnej osiąga maksimum, następnie maleje, a na poziomie cząstki elementarnej znów mówimy tylko o przypuszczalnym zachowaniu. Poszczególne cząstki elementarne również mogą dokonywać „nieprzewidziane” posunięcia wbrew warunkom zewnętrznym. Czy ta zbieżność nie wydaje ci się dziwna? — Zienin był tak oszołomiony potokiem słów, naprowadzających go na jakąś myśl, że tylko skinął głową.

— Wyobraź sobie — mówił Głuchariow coraz bardziej się zapalając — że cząstki elementarne mają potencjalny pierwiastek psychiczny. (Tak mało wiemy o ich naturze, że nie możemy z góry odrzucać takiej możliwości). I załóżmy, że na pierwiastek psychiczny tego monopolu magnetycznego, na którym opiera się kolczasta bryła, jakoś rzutuje cały potwór, to jest jego struktura fizyczna. Wówczas ów monopol, jak sądzę, może mieć psychikę tożsamą z psychiką całości. To znaczy psychika monopolu za każdym razem jest psychiką tego potwora! Niezła hipoteza robocza, nieprawdaż? Poza tym powiedz sam, czy nie pasuje ona i do człowieka?

— Co? Zupełnie cię nie rozumiem! Więc według ciebie jesteśmy wszyscy cząstkami elementarnymi, które wyobraziły sobie, że są ludźmi?!

— A czemuż by nie? Procesy zachodzące w mózgu są bardzo niestałe. Zupełnie niewykluczone, że ich przebieg za każdym razem określa zachowanie jednego jedynego elektronu. Możliwe, że na

jego pierwiastek psychiczny nakłada się w jakiś sposób to, co się dzieje w organizmie. W rezultacie uzyskuje on świadomość tożsamą naszej własnej. Moja świadomość teraz to świadomość jakiegoś jednego elektronu w moim mózgu (a w następnej chwili jakiegoś innego). Mówiąc nieformalnie, ja teraz to elektron. Chcę podnieść rękę, ale w rzeczywistości tylko przeskakuję w atomie z orbity na orbitę. Ale to przeskakiwanie daje początek całej lawinie procesów, które rzeczywiście kończy podniesienie ręki. Z tymi słowy Igor podniósł rękę.

— No i co, według tej dziwnej teorii można stworzyć czującą maszynę?

— Nie, to niemożliwe! — zdecydowanie odrzekł Głuchariow. — Będą to zaledwie maszyny „przetwarzające informację”, a nie czujące.

— Ale przyroda jednak potrafiła stworzyć coś takiego!

— To znaczy, jeżeli zbudujesz taką maszynę, maszynę, w której wszystkie procesy będą tak subtelne, że w każdej chwili będą zależeć tylko od jednego elektronu, i wszystko w maszynie będzie rzutować w jakiś sposób na pierwiastek psychiczny tego elektronu, to taka maszyna może czuć...

Jednak wszystkie jego argumenty wydawały się Zieninowi nieprzekonywające. Budziły raczej zniecierpliwienie niż szacunek. Mimo to Zienin chętnie rozmawiał na ten temat i dyskutował z Głuchariowem przez wiele dni lotu na Ziemię.

Gwiazdolot powrócił na Ziemię 16 stycznia 2492 roku. Nie będę tu mówić o ważności przywiezionych przezeń informacji. Wspomnę tylko, że samo promieniowanie „rurkowatych kamieni” dało początek dwóm dyscyplinom chemicznym, a ich zastosowanie praktyczne jest ogromne. Co do jednoelektronowej teorii „świadomości”, to jej losy są nieokreślone. Zresztą moim zdaniem teoria naukowa może mieć inne znaczenie praktyczne, może mniej dotykalne, ale wcale nie mniej istotne. Może nas ona skłonić, byśmy po nowemu spojrzeli na różne rzeczy, po nowemu zaczęli myśleć o zjawiskach, należących być może do zupełnie innej dziedziny wiedzy. I w tej dziedzinie możemy osiągać niedostępne dawniej rezultaty.

Przełożyła Ewa Rojewska–Olejarczuk

Chrystalnyj dom

Kryształowy dom

A jednak Winogradowa odeszła...

Przed odejściem odwiedziła wszystkie wydziały i laboratoria, w których miała przyjaciół i znajomych. Zajrzała także do nas, do BINT-u — Biura Informacji Naukowo-Technicznej.

— Odchodzi pani, Olgo Michajłowno?

— Tak, Wołodia. Zaproponowano mi kierownictwo katedry. Wiosną na wydziale budowlanym politechniki otwarto nową katedrę projektowania urbanistycznego i Olga Michajłowna wygrała konkurs na stanowisko kierownika Rzeczywiście, lepszej kandydatury na to stanowisko niż docent Winogradowa nie znalazłoby się w naszym mieście: przez ostatnie dwa lata Olga Michajłowna pracowała właśnie nad kompleksowymi planami miast, z których dwa otrzymały wysokie nagrody, a do teorii architektury wszedł nawet nowy termin — „otwarte bryły Winogradowej”... I tylko u nas, w biurze projektowym Instytutu Naukowo—Badawczego, gdzie Olga Michajłowna oficjalnie pełniła funkcje naczelnego inżyniera, w rzeczywistości zaś dyrektora instytutu do spraw architektury, wiadano, że planowaniem miast zajmuje się ona tylko z obowiązku; jej prawdziwą pasją były wnętrza... Zresztą nawet sam termin „otwarte bryły Winogradowej” bynajmniej nie oznacza tego, co się na ogół pod tym terminem rozumie.

— Nie żal pani nas opuszczać?

Olga Michajłowna przerzuciła papierosa w kącik ust i popatrzyła na mnie ze smutnym zaciekawieniem:

— Jakież pan jest natarczywy, Wołodzieńka. Przecież pan wszystko wie.

Zeskoczyła z biurka — siedzenie na skraju biurka to jej ulubione przyzwyczajenie, sam widziałem, że nawet w gabinecie dyrektora Moczjana czasem się zapominała i nagle znajdowała się o głowę wyżej od wszystkich zgromadzonych na naradzie, a dostojny Wagram Wasiliewicz przerywał swą wypowiedź w pół słowa i z niemym wyrzutem wpatrywał się w Olgę Michajłownę siedzącą na brzeżku posiedzeniowego stołu, dopóki ktoś nie sprowadził jej na ziemię... Olga Michajłowna lekko zeskoczyła z zawalonego papierami biurka — aż trudno uwierzyć, że już przekroczyła czterdziestkę — wetknęła niedopałek do popielniczki i wyciągnęła do mnie drobną dłoń.

— Do widzenia, Wołodia.

Potem obeszła wszystkich informatyków, z którymi była zaprzyjaźniona, i którzy regularnie zaopatrywali ją w nowe informacje i przedruki, a wychodząc z pokoju powiedziała ze zdumieniem:

— Jak tu u was duszno!

I znikła. Jak gdyby rozpląnęła się w otwartych drzwiach. Malutka kobieta z niedbałą fryzurą, z nieodstępnym papierosem, w grubym swetrze — zawsze jej było zimno, często chodziła nawet w spodniach... I to docent! A jest czarująca nawet w męskim stroju...

Tkwi w tym głęboka niesprawiedliwość — tak przynajmniej uważa wiele pań w naszym instytucie — i rozum, i uroda... Jak by tu precyzyjniej wyrazić to, o czym szepczą między sobą nasze

panie? Że to coś nienaturalnego, nie do pogodzenia? Jednym słowem diabelskiego. Oczywiście i wśród naszych pań są kobiety mądre, ale która zaryzykowałaby pojawienie się w instytucie w zwyczajnej, „codziennej”, jak mówią, chusteczce na głowie lub zimą w kosmatej rozczochranej uszance?

— Ach, tak... Okradłam Oleżeczkę — śmieje się w takich wypadkach Olga Michajłowna.

Oleżeczka to jej syn, oczko w głowie, dziecię ukochane, przy którym sama wygląda jak uczennica...

Odeszła więc Olga Michajłowna i zabrała za sobą z naszego instytutu radość życia... I nagle, coś po dwóch tygodniach, znowu przyszła; zobaczyłem ją w „maneżu”, jak nazywa się u nas hali na trzecim piętrze, gdzie wystawia się nowe ciekawe projekty i gdzie zawsze jest potwornie nadymione. Winogradowa stała w otoczeniu swych dawnych kolegów — jak się domyśliłem, omawiali projekt dzielnicy mieszkaniowej „Zarieczna”, ostatnią pracę Olgi Michajłowny. Chciałem przejść nie witając się, żeby jej nie przeszkadzać, ale zobaczyła mnie, rozsunęła krąg i zawołała:

— Wołodia!

Minęło właściwie niewiele czasu, zaledwie dwa tygodnie, a już spostrzegłem w jej wyglądzie taką zmianę, że aż się przestraszyłem, czy nie jest chora, ale ona tylko machnęła ręką:

— Co pan wygaduje? Przecież to nowa katedra, dwoję się i troję... Może i tak. A może to z powodu stroju? U nas w instytucie Olga Michajłowna zawsze chodziła w „spodniowym wariancie”, jak to określały nasze panie, a tu nagle surowy ciemnobrązowy kostium ze stojącym kołnierzykiem, białe koronkowe mankiety, bursztynowe guziki...

— Niech mnie pani weźmie do siebie, do katedry...

Idiotyczna prośba! Nie jestem przecież architektem czy mechanikiem, nawet nie kalkulatorem... Moją dziedziną jest informacja techniczna. Jestem, jak to u nas nazywają, inżynierem „rozległych horyzontów”. Ale Olga Michajłowna nieoczekiwanie dla mnie potraktowała moją głupią prośbę zupełnie poważnie, kiwnęła głową, co oznaczało: dobrze, pomyślę o tym, a potem nagle wzięła mnie pod rękę i poprowadziła korytarzem.

— Ma pan papierosa? Zapomniałam swoich przy makiecie. Poczęstowałem ją papierosem, szczęknąłem zapalniczką... Po co jej jestem potrzebny?

— No — powiedziała Olga Michajłowna, z rozkoszą wypuszczając strumyczek dymu. — Więc przyszedłam. Ma pan pół godzinki czasu? — Oczywiście! Nawet dwie.

— No to chodźmy. I zdecydowanie skierowała mnie do schodów: na dół, na dół... Na drugim podeście już się domyśliłem, dokąd mnie ciągnie. Zresztą wcale tego nie ukrywała.

— Próbował pan? Nie wychodzi?

— Znalazła go pani? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie i poczułem, że mocniej ścisnęła mój łokieć i przyspieszyła kroku.

— Tak. Był u rodziców.

Ale w tym jej „tak” wyczułem coś niedobrego. Może dlatego, że po „tak” nastąpiło „był”?

— Był? — zdziwiłem się. — A co — przyjechał? Pociągnęła mnie po schodach jeszcze szybciej, teraz schodziliśmy prawie biegiem. Dokąd tak pędzimy na złamanie karku, co się stało, pani docent?

— Umarł, Wołodia.

Zatrzymałem się zdumiony: umarł. W tej chwili wyraźnie wyobraziłem sobie wiecznie zmieszanego, wiecznie zakłopotanego, cichutkiego Lonię Kudriewatycha; nawet gdyby miał zabić komara, dziesięć razy zadałby sobie pytanie, czy ma do tego prawo. A Winogradowa powiedziała to tak szorstko, nawet nieprzyjaźnie... Umarł. To niemożliwe. Każdy inny, ale nie Lonia...

— Mówi pani poważnie?

— Jak najpoważniej! — westchnęła Olga Michajłowna. — Proszę mi jeszcze dać papierosa.

Zatrzymaliśmy się na podeście między pierwszym piętrem a parterem i stanęliśmy przy oknie, wychodzącym na podwórze instytutu zastawione kratownicami, płytami, blokami i na pół zmontowanymi mieszkaniami nowego, ulepszanego projektu. Nie mieliśmy się już dokąd spieszyć...

Lonia Kudriewatych pojawił się w instytucie jakieś dwa lata temu, skromny, niepozorny technik z laboratorium materiałów budowlanych. Dzięki Oldze Michajłownie, która przepadała za zdrobnieniami, wszyscy, którzy mieli z nim do czynienia, nazywali go Lończykiem. Nawet często zwracali się do niego wprost również a la Winogradowa. Gdyby tak nazwano kogo innego, trudno byłoby powstrzymać śmiech nawet przy powitaniu, a Kudriewatych jak gdyby urodził się z tym zdrobnieniem.

Laboratorium materiałów budowlanych, w którym pracował, mieściło się w oddzielnym budynku — stąd, z podestu między pierwszym piętrem a parterem, dobrze widać drzwi, szerokie, że wagon mógłby w nie wjechać, nad nimi łukowatą framugę, a jeszcze wyżej, pod samym dachem, hasło: „Twórz w duchu epoki!” Hasło, moim zdaniem niezłe, plotka przypisuje je samej Wino—gradowej, ale nie wiadomo czemu prawie we wszystkich, którzy je zobaczą, hasło wywołuje uśmiech... Dziwne!

Na prawo od laboratorium był placyk makietowy, gdzie montowano mieszkania według nowych projektów, stropy dla zakładów produkcyjnych i krytych stadionów, i projektanci w praktyce sprawdzali, czego im trzeba. Częściej jednak placyk makietowy stał pustką i grało się na nim w siatkówkę. Właśnie tam, w przerwie obiadowej, poznałem Lonię Kudriewatycha.

Grał w naszej drużynie, przechodził za mną. Grał bardzo źle, chociaż starał się jak mógł i byłem zmuszony cofać się do obrony. Nie uratowało nas to jednak od klęski, a pod koniec drugiego seta, kryjąc blokującego Lonię, niefortunnie upadłem i obtarłem sobie rękę.

— Niech pan idzie ze mną — powiedział Lonia ze skruchą, i nawet ze strachem. — U nas jest apteczka.

W laboratorium materiałów budowlanych bywałem już dawniej, ale zawsze przelotem, informację techniczną odbierało się u nich w gabinecie kierownika i teraz, przy okazji „nieszczęśliwego wypadku”, po raz pierwszy naprawdę zobaczyłem, jakim sprzętem technicznym nabite jest to laboratorium: piece, suwnice, prasy, znów piece... Najbardziej rzucała się w oczy prasa stojąca tuż przy wejściu, sięgająca głową aż pod reflektor umocowany na dachu. Reflektor najprawdopodobniej zrobiono właśnie do oświetlenia tego kolosa.

— Ściskamy tutaj konstrukcje betonowe — powiedział Kudriewatych, pochwycając moje spojrzenie. — To unikalna maszyna. Stoi na własnym fundamencie, pięć metrów w głąb ziemi.

Umyłem ręce pod kranem, zajodynowałem i podszedłem do prasy giganta. Potężna maszyna, ani słowa.

— Dwa tysiące ton — powiedział z dumą Kudriewatych, naciskając przycisk „rozruch” i po dwóch, trzech sekundach dźwignię. Prasa miękko uszyła w dół, ale w odległości pół metra od matrycy, na której leżała cegła, nagle runęła w dół i z cegły pozostała tylko garstka czerwonego pyłu. Uderzenia jednak nie usłyszałem.

— Młot? — spytałem.

— Niezupełnie — uśmiechnął się Lończyk. — Młot uderza, a to naciska. Ale bardzo szybko. Takie błyskawiczne obciążenia są bardzo wygodne. Można stworzyć ciśnienie do stu tysięcy atmosfer. Pokazać panu?

I nie czekając na moją odpowiedź wyjął spod stelaża z matrycami butelkę. W szyjce butelki tkwił korek. Lończyk wysunął go prawie całkowicie i postawił butelkę pod prasą.

— Niech pan spróbuje — promieniał cały z zadowolenia. — To nietrudne, trzeba tylko postawić sobie konkretne zadanie, co chce się zrobić. I uda się. Nacisnął dźwignię, prasa runęła w dół...

— O — podał mi caluteńką, dokładnie zakorkowaną butelkę. — Niech pan spróbuje, to nic trudnego.

Zrobiłem odmowny gest obtartą ręką. O sztuczce z korkiem już słyszałem. Nikomu nie udawało się jej powtórzyć.

— Jeżeli do butelki naleje się wody, można w niej stworzyć dowolne ciśnienie — objaśnił Kudriewatych wciąż z tym samym nieśmiałym, skruszonym uśmiechem.

— Dowolne? — zdziwiłem się. — Ależ ona się przecież rozleci na kawałki!

— Tak, naturalnie — przygasł nagle Łończyk. — Ale jeżeli postawi pan sobie zadanie...

O tym też już słyszałem. Rzeczywiście, jakimś cudem udawało mu się z absolutną dokładnością przewidzieć maksymalne dopuszczalne ciśnienie — przy doświadczeniach z próbkami na tej właśnie prasie gigancie. Na przykład żelazobetonowy wiązาร์ powinien pęknąć przy obciążeniu dwustu ton. Kudriewatych, nie włączając regulatora ciśnienia, zgniata wiązาร์ ręcznie, dźwignią, a po odczytaniu wykresu obciążeń okazuje się, że było dokładnie dwieście ton...

— Jak się to panu udaje? — spytałem zaciekawiony. Zastanowił się chwilę, uśmiechnął się ze zmieszaniem i powtórzył:

— To może zrobić każdy. Trzeba tylko bardzo mocno chcieć, żeby wyszło to, co trzeba. No i oczywiście wiedzieć, co się powinno utrzymać. Wyobrazić sobie chyba... — Wzruszył ramionami, całym swym wyglądem wyrażając ubolewanie, że nie może mi wyraźnie odpowiedzieć na takie, zdawałoby się, dziecinne pytanie.

Na tym stanęło i rozstaliśmy się, ale spotykając mnie za każdym razem tak się cieszył, że wkrótce. Jakoś niepostrzeżenie przeszliśmy na „ty”, chociaż właściwie nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać: kilka zdań o pogodzie, o nowym filmie, o nowych projektach, wywieszonych w „maneżu”... Właśnie tam, w „maneżu”, kiedyś naprawdę mnie zdumiał.

Było to tak. Co jakiś czas — raz na kwartał, czasem raz na pół roku — w „maneżu” urządza się wystawy pod hasłem „Terra fantasia”. Szkice nie są podpisane, oznacza się je tylko symbolami, temat dowolny i jedynym warunkiem przyjęcia projektu na tę wystawę fantasy, jak ją określa nasz dostojny Wagram Wasiliewicz, jest całkowite oderwanie od problemów i możliwości dnia codziennego. Ironia ironią, a w ostatnich latach prawie połowa fantasy, jak się okazało po otwarciu kopert z nazwiskami autorów, została przysłana z Moskwy, Leningradu, Charkowa... Wagramowi Wasiliewiczowi pochlebia oczywiście ta popularność naszego „maneżu”, chociaż zdaje on sobie sprawę, że nie chodzi tu o instytut, ale o Winogradową, która kiedyś podała projekt owych wystaw fantasy, ciągnie tę sprawę już z pięć lat, jeśli nie dłużej, i sama regularnie wystawia na nich najbardziej wystrzałowe projekty.

Za każdym razem wokół jej projektów wybuchają prawdziwe burze — co prawda, to prawda. I tym razem także Olga Michajłowna pozostała wierna sobie: na olbrzymim watmanie — metr na trzy — nakreślony był dom... Czy rzeczywiście dom? Dziwaczny owalny ul, w którym każdy rząd plastrów jak gdyby uchodzi w głąb. Ma się wrażenie, że cały dom składa się z półprzejrzystych, ostro szlifowanych kryształów, z których każdy istnieje w przestrzeni samodzielnie, niezależnie od innych... Całość zaś to dom siadający się z mnóstwa mieszkań! Ale czyż coś takiego może istnieć w naturze? A raczej czy można w ogóle zbudować taki „powietrzny zamek”?

Zresztą główny spór rozgorzał wcale nie wokół samego projektu — Olga Michajłowna nie takie rzeczy wystawiała! — ale wokół tablicy w rogu watmana, na której autor ma wskazać materiały, z jakich, według niego, można zbudować jego dziecie, przybliżone koszty budowy i cały szereg

wskaźników kosztorysowych, jak mówią projektanci. Pierwszego dnia wystawy cała tabela na szkicu oznaczonym symbolem „delta” była pusta: autorka z całą szczerością potwierdziła, że nie ma pojęcia, z czego można zbudować dom-ul. Ale po jakichś dwóch, trzech dniach ku ogólnemu zdumieniu tabelę wypełniono, a raczej wypełniono jedną jej rubrykę: „materiał”, ale za to z dopiskiem „sprawdzono w praktyce”. Wśród mnóstwa cyfr, charakteryzujących nikomu nie znaną cegłę, rzucały się w oczy chyba dwie: ciężar — jedynka (zabaweczka dwa razy lżejsza od zwykłej cegły) i wartość — dwie dziesiąte kopiejki za metr sześcienny. Właśnie te dwie dziesiąte kopiejki radowały wszystkich bez wyjątku — tańsze od piasku! W końcu uznano, że jest to wspaniały żart i któryś z architektów u dołu tabeli, pod charakterystyką materiału, dopisał: *5 października = 1 kwietnia*.

Następnego dnia rozpętała się już prawdziwa burza. Nie wiem, kto znalazł na stoliku, na którym leżała księga pamiątkowa, tę dziwną cegłę, ale kiedy przyleciałem do „maneżu”, nie można się już było tam docisnąć i był taki zgiełk, jak na meczu hokejowym: „To przecież cyrk!... Mistyfikacja, koledzy, iluzjonistyczne sztuki!... Chwała madame Winogradowej!... Żeby coś takiego wymyślić... Twarda woda!...” Z trudem udało mi się przedrzeć do planszy z domem—ulem, przy której stała sama Olga Michajłowna i zdetonowana, z niedowierzaniem oglądała szklaną bryłę... Zresztą w tym właśnie sęk, że bryła nie była szklana, lecz... Z czegoż więc była zrobiona? Na tabliczce, przyklejonej do jednej z krawędzi bryły, przeczytałem, gdy wreszcie udało mi się wziąć ją do ręki, tę samą charakterystykę, co na planszy domu-ula: *gęstość — 1, moduł sprężystości — $3,0 \times 10^4$* ... A niżej w cudzysłowie: „*twarda woda*”.

Wyrwano mi bryłę, zanim zdążyłem się dokładnie przyjrzeć, jaki ma kolor. Zielonkawoniebieski? Kolorem rzeczywiście bryła przypominała lód, tylko że była ciepła... No i wytrzymałość! Wyższa niż cegły!

A po godzinie przyszła do naszego BINT-u sama Olga Michajłowna. Przysiadła na krawędzi mojego biurka i oświadczyła:

— No, Wołodieńka, proszę mnie poinformować.

— O czym, Olgo Michajłowno?

— Niech pan nie udaje głuptasa, Wołodieńka. Cały instytut oszalał, Wagram Wasiliewicz osobiście skonfiskował bryłę „twardej wody”. Cała nadzieja w panu: proszę o informację! Kim jest autor, jaki skład, technologia i tak dalej. A może to mistyfikacja?

— Skądże ja mogę wiedzieć, Olgo Michajłowno! Przecież pani trzymała to w rękach...

— Trzymałam. Przyznam się, że nawet polizałam. I wierzę, że to nie mistyfikacja. Dlatego właśnie przyszłam do pana. Ile czasu panu potrzeba, żeby odszukać autora tej sensacji?

Wzruszyłem ramionami: skąd mam wiedzieć?

— No, no... — drwiąco przeciągnęła Olga Michajłowna. — Wie pan przecież, jak się dobrze do pana odnoszę...

Istotnie, ku zdziwieniu wielu moich kolegów odnosiła się do mnie bardzo dobrze. Dwa razy do roku, na swoje urodziny i na sylwestra, zapraszała mnie do siebie do domu — rzecz w ogóle niesłychana! Zresztą, jak się zorientowałem już przy pierwszej wizycie, połowa gości przychodzi do Winogradowów w ogóle bez zaproszenia. A ci, którzy przychodzą na osobiste zaproszenie... Ale w jaki sposób mam jej pomóc? Zagadka. „Twarda woda”. A przecież to ktoś od nas, z instytutu. Bryłę znaleziono dokładnie o dziewiątej, w tym czasie nie ma w instytucie żadnych osób postronnych... Więc wynika z tego, że ktoś ze swoich. Swój...

Co mnie natchnęło, że przypomniałem sobie o Lończyku Kudriewatychu? Czy jego sztuczki z butelką, w której chciał stworzyć dowolne ciśnienie, czy też... Ale nie, chyba nie o to chodzi. Kiedyś spotkałem go w westybulu, było to rano, ucieszył się strasznie, długo potrzasał moją ręką, ale nagle

weszła Olga Michajłowna, odwróciłem się, żeby ją przywitać, a kiedy przypominałem sobie o Kudriewatychu... Tak jakoś patrzył na Olę Michajłownę, z takim uwielbieniem, z takim nabożeństwem... Nagle poczułem się jak mały chłopiec, którego nakryto przy dziurce od klucza, poczerwieniałem i zły na samego siebie odszedłem ostrożnie. Ale on, jak mi się wydaje, nawet tego nie zauważył: nadal stał na środku westybulu jak słup, dopóki Olga Michajłowna nie znikła w bocznym korytarzu.

Ale cóż w tym dziwnego? Tylu mężczyzn, jak mówią nasze panie, straciło głowy dla „madame Winogradowej”... A jednak: „Trzeba tylko bardzo chcieć, żeby wyszło to, co trzeba...” — chyba tak wtedy powiedział? Tak, Bóg świadkiem, że właśnie tak... Po pięciu minutach byłem już w laboratorium materiałów budowlanych.

— Cześć, wynalazco. Ależ narobiłeś szumu tą swoją „twardą wodą”! Sam Wagram Wasiliewicz pragnie cię uwieńczyć laurami!

Kudriewatych, uśmiechając się ze zmieszaniem, pospiesznie wytarł ręce w ścierkę, potem w fartuch ze śladami oleju i dopiero wtedy uściskał mi dłoń. Wyglądał kiepsko — był niebieskoblady, rzekłbym, jak po pijatyce ze szkolnymi kolegami. I oczy miał jakieś zmęczone, zapadnięte...

— Miałeś grypę, czy co? Teraz podobno grasuje jakiś „hongkong” z Azji...

— Nie, nie jestem chory — odpowiedział. — Po prostu tak. Sam nie wiem. Proszę nie zwracać uwagi.

— A... Jak ty to robisz? Co to jest, lód?

— Nie — pokręcił głową Łończyk. — Lód jest przecież kruchy, tworzą się w nim klastry, to takie grupy molekuł, między którymi jest pustka. Jeżeli wodzie odbierze się energię błyskawicznie, nie dopuszczając do utworzenia się klastrów...

Prawdopodobnie odgadł z mojej miny, że nic z tych klastrów nie rozumiem, bo umilkł, nie wiedząc, co zrobić z rękami — tarł i tarł je ścierką...

— I co, z tej „twardej wody” można zbudować „ul” Winogradowej? — zapytałem też raczej intuicyjnie, nie wiedząc, jak wypełnić nieoczekiwaną pauzę.

— Tak, oczywiście! — momentalnie się przeobraził i tak mnie to zdumiało, jakbym ujrzał nagle zupełnie innego człowieka: oczy mu się ożywiły, znikła nieprzyjemna niebieskość twarzy, no, a głos, głos!... „Zupełny kaznodzieja!” — mignęło mi w głowie, ale już w następnej chwili zapomniałem o ironii, jako że Łończyk opowiadał o rzeczach... hm... ciekawych.

Do koncepcji stworzenia „otwartych brył Winogradowej” Łończyk, jak się okazuje, zapalił się jeszcze w instytucie inżynierii budowlanej, gdzie również pracował jako laborant, a jednocześnie studiował na wieczorówce. Oto jak on sam rozumiał ten termin:

— Domy, w ogóle budowie miejskie, to cena, jaką płaci człowiek za to, że stał się człowiekiem... Niech pan weźmie pod uwagę, że tę myśl wypowiedziała po raz pierwszy Olga Michajłowna! Człowiek sam siebie wyrwał z krajobrazu, z przyrody, był to krok konieczny, wszystko zaczęło się od jaskiń. Ale kiedy tylko uczynił ten krok, zaczął budować sobie siedziby i tym samym, jak mówi Olga Michajłowna, wydzielił się z przyrody, przestał być jej elementem. Ale przecież oznacza to, że... przestał się rozwijać, rozumie pan? Człowiek nie może żyć w oderwaniu od ziemskiej przyrody — oto główna myśl Olgi Michajłowny.

Człowiek musi do niej powrócić, w przeciwnym razie wcześniej czy później zacznie się degenerować, oczywiście w sensie biologicznym — mówił pospiesznie Kudriewatych. Ona uważa, że większość chorób współczesnego człowieka to rezultat tego, że żyje on w zamkniętej przestrzeni: dom — mieszkanie — cztery ściany, w pracy to samo, na wizie to samo... Rozumie pan? Na klaustrofobię cierpią absolutnie wszyscy, tylko u jednych objawia się to strachem przed zamkniętymi

pomieszczeniami, a u innych nerwicą, psychozą, jednym słowem różnego rodzaju rozstrojami nerwowymi, a to wzmacnia podatność na choroby układu krążenia, a może i na raka, nieprawdaż? Więc Olga Michajłowna zaczęła poszukiwać takich architektonicznych rozwiązań domów i mieszkań, które by uwolniły człowieka od tego ucisku ścian i sufitu. Przeczytałem wszystkie jej prace, obie dysertacje, ona przecież, jeżeli można tak to określić, otworzyła swymi pracami kierunek zupełnie nowej nauki, dla której jeszcze nie mogę wymyślić nazwy, ale to kwestia czasu, a istota sprawy polega na tym, że trzeba znaleźć prawidłowości... Zresztą ona już je znalazła. Olga Michajłowna! Rozumie pan, istnieją całkiem określone prawidłowości między stanem psychicznym człowieka a przestrzenią, w której się on znajduje — geometrią tej przestrzeni, kubaturą, przejrzystością i tak dalej. Rozumie pan? Przecież teraz budujemy domy kierując się zewnętrznym wyglądem architektonicznym i możliwościami technicznymi — wytrzymałością betonu, szkieletu stalowego... To w latach trzydziestych architekci—konstruktywiści podjęli próbę projektowania budynku jakby od wewnątrz — z uwagi na funkcjonalność, wygodę samego mieszkania. I zrozumiałem, jak mogę pomóc Oldze Michajłownie: chodzi o to, że budynki, domy mieszkalne swą geometrią powinny przypominać twór przyrody, coś co przyroda sama już uformowała. Przyroda stworzyła nie tylko człowieka, ale i mieszkanie dla niego powinna była stworzyć, oto, o czym pomyślałem. Kryształ, rozumie pan? Geometria kryształu jest taka, że powinien on robić wrażenie otwartej bryły — byłem tego pewien, chociaż nie wiedziałem, jaki konkretnie kryształ najlepiej odpowiada tym warunkom. Olga Michajłowna! Ona znalazła... Wie pan, kiedy zobaczyłem jej nowy projekt z mieszkaniami—kryształami, wyobraziłem sobie siebie we wnętrzu takiego mieszkania... To przecież to, nad czym łamałem sobie głowę kilka lat! A ona to rozwiązała tak prosto, tak genialnie... Wie pan, kiedy zobaczyłem ten dom z kryształów, o mało się nie rozpląkałem. Ze szczęścia... Nie może pan sobie wyobrazić, co to za cudowne uczucie...

Teraz też był w takim stanie. Aż niezręcznie było na niego patrzeć: głos się łamie, drży, a w oczach jakiś półpijany blask... I bez końca:

— Olga Michajłowna, Olga Michajłowna...

— Niech pan zaczeka — połapałem się i sam nieoczekiwanie dla siebie przeszedłem z nim na „pan”. — Przecież to właśnie Olga Michajłowna posłała mnie, żebym pana odszukał. Wszystko to musi pan opowiedzieć jej!

Zaczerwienił się, potem zbladł, zakręcił się wokół mnie, nie wiedząc, gdzie wetknąć Zafuszczoną ścierkę...

— Tak, oczywiście — bełkotał. — Wszystko jej pokażę. Przecież zrobiłem to dla niej...

— Dla niej?

— No tak. — Opanował się i tylko znów nie wiedział, co zrobić z rękami:

to chował je w kieszeniach kurtki, to wyłamywał sobie palce... — Kryształ jako taki nie może jeszcze całkowicie usunąć klaustrofobii. Kryształ musi być przezroczysty albo chociażby półprzezroczysty. Nie powinien przytłaczać człowieka swą ograniczonością, skończonością swej wewnętrznej przestrzeni. A więc szkło? pomyślałem. Ale szkło jest zbyt kruche i za drogie. To była długa droga, już nie pamiętam, jak doszedłem do koncepcji „twardej wody”. Najprawdopodobniej dzięki temu, że jest ona tania. Najtańsza ze wszystkiego. A potem zacząłem zamrażać wodę w trwałych, wytrzymałych cylindrach... Pokazać?

— Nie, muszę zadzwonić do Olgi Michajłowny. Gdzie tu jest telefon? Winogradowa chyba biegła. W każdym razie przysłała zadyszana, szeroko otwartymi oczyma z jakimś dziwnym uśmiechem długo patrzyła na Kudriewatycha, potem, jakby nie wierząc własnym oczom, pokręciła głową i powiedziała jakimś spieszonym, szczęśliwym półszepem:

— Boże, przecież to Łończyk... Jakże mogłam cię nie poznać? Dawno u nas jesteś? Och, ty moje чудо... Więc jednak wymyśliłeś? Co za szczęście, prawda? Ależ ty jednak jesteś uparty, Łończyk...

Podeszła do oniemiałego Łończyka, uściskała go, puściła, przyglądając mu się ze szczęśliwym uśmiechem, potem potarła mu włosy...

— No, pokazuj, ty moje чудо. Więc nauczyłeś się błyskawicznie zamrażać wodę? A czy ona ci aby nie rośnie? Zamki na lodzie...

— Nie — wyszeptał Łończyk. — Nie. Proszę się nie denerwować, Olgo Michajłowno. Wszystko sprawdziłem. W „twardej wodzie” wszystkie molekuly zorientowane są w jednym kierunku. Proszę popatrzeć, co robię. — Nagle zakrzętnął się wokół prasy, wyciągając skądś ciężki solenoid i ustawiając go na matrycy. — Każda molekula wody może zastygnąć w sześciu wariantach. A ja silnym polem magnetycznym zmuszam cząsteczki, żeby się ustawiły... Oto solenoid. Teraz molekuly jak gdyby się pakują. Jak klocki w pudełku. I tu bardzo ważna jest szybkość, póki nie zdążyły się rozsypać, zmienić orientacji, trzeba im odebrać energię ruchu. Unieruchomić... Proszę spojrzeć.

Spod stelaża wyciągnął wiadro z wodą... Lód? Tak, po wierzchu pływały kawałki lodu. Zaczerpnął roztawionej wody mniejszym wiaderkiem, nalał w matrycę pod prasę, włączył solenoid, potem coś szcęknęło, solenoid odleciał w bok, a z góry, na wodę w grubej stalowej matrycy, runęła prasa... Popatrzyłem na Olgę Michajłownę: szeroko otwartymi oczyma, zafascynowana, patrzyła na prasę, na wodę w wiadrze, na Łończyka... Miałem wrażenie, że widzi wszystko jednocześnie, nawet wodę za grubymi ściankami matrycy.

— No — powiedział Łończyk, uśmiechając się ze zmieszaniem. — Niech pani patrzy.

Z matrycy wysuwał się powoli przejrzysty, lekko zielonkawy prostopadłościan — dokładnie taki, jak ten na stoliku w „manżu”. Olga Michajłowna ostrożnie wzięła go w ręce, niedowierzająco kręcąc głową obróciła go wąską krawędzią, krawędź błysnęła pod lampą króciutką tęczą...

— Cud — wymamrotała. — Po prostu cud... Jak ty to robisz?

Łończyk promieniał. Zresztą „promieniał” to za słabe słowo; po prostu emanował szczęściem, trudno było w ogóle zrozumieć, co tu jest większym cudem: świeżo wyjęty spod prasy blok czy sam jego wynalazca...

— Niech pani spróbuje — namawiał Olgę Michajłownę. — To bardzo proste: najpierw dźwignią trzeba stworzyć takie ciśnienie, żeby wycisnąć z wody gazy, ale szybko, nie dłużej niż przez dwie, trzy dziesiąte sekundy, a potem od razu do stu tysięcy atmosfer.

— Nie, nie! — zaprotestowała Olga Michajłowna. — Mnie się to nie uda. O — wskazała na mnie — naucz Wołodę.

I Łończyk nauczył mnie: najważniejsze, jak zrozumiałem z jego objaśnień, to wyobrazić sobie dokładnie, wręcz dotykalnie, że woda w matrycy się zeszkliła. Wyobrazić, to sobie w chwili, gdy się naciska dźwignię. Udało mi się to jednak dopiero po trzeciej czy czwartej próbie. I kiedy Łończyk oświadczył, że tym razem wyszło, poczułem się tak rozbity, tak wycieńczony tymi próbami odgadnięcia odpowiedniego ciśnienia, że mimo woli usiadłem na skrzynce obok prasy, gdyż nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

— Ależ to robótka!...

I w tej chwili w laboratorium pojawił się Wagram Wasiliewicz. Jak zawsze życzliwy i dostojny, dosłownie wyrwał Oldze Michajłownie z rąk dopiero co wykonany przeze mnie prostopadłościan.

— Aj-aj, kochana Olgo Michajłowno! Takie odkrycie, taki wynalazek... Nagroda Nobla! A pani milczy... Aj-aj-aj!...

— Ależ to nie moje odkrycie — roześmiała się Olga Michajłowna. — To on stworzył to чудо — wskazała na zupełnie już zmieszanego Łończyka.

— Tak? — majestatyczny Wagram Wasiliewicz wpatrzył się w zdumieniu w technika, którego prawdopodobnie widział po raz pierwszy w życiu. — Ależ to przecież wspaniałe! To przecież genialne!

Wokół prasy zebrało się już sporo osób: kierownik laboratorium, inżynierowie, laboranci...

— A więc cóż, towarzysze? — Moczjan powiódł po zebranych orlim spojrzeniem. — Nowy wynalazek? Pięknie, wspaniale, jak sądzę...

Moczjan ubóstwiał wynalazki. W instytucie raz na zawsze ustanowiono zasadę: wszystko, co wychodzi z murów instytutu — projekty, artykuły, wywiady, a tym bardziej podania do Komisji Wynalazków — wszystko ma wychodzić tylko z podpisem dyrektora. Wyjątek robiono jedynie dla Winogradowej. Olga Michajłowna jednak nie chciała korzystać z tego wyjątkowego prawa i wszystkie jej artykuły, jak również prace jej współpracowników, trafiały na biurko Wagrama Wasiliewicza. „Czemu mnie pani obraża? — oburzał się Wagram Wasiliewicz. — Pani prowadzi absolutnie samodzielną pracę, a ja mam dość roboty z innymi pracownikami, współautorów liczę na pęczki, kochana Olgo Michajłowna...”

Przy prasie stanął sam „autor projektu”. Tym razem jednak odbijał bryły w milczeniu, bez objaśnień, i tylko pokrywające jego twarz drobne krople potu świadczyły o tym, że nie tylko mnie, ale i jego praca ta kosztuje wiele wysiłku. Zupełnie jak wyciśnięta cytryna, przyszło mi nagle do głowy. A więc to dlatego wygląda na takiego zmęczonego...

— T–taak... — powiedział oszołomiony Wagram Wasiliewicz, kiedy u jego nóg urosła sterta kryształowych brył. — A może to się topi? Nie sprawdzaliście?

— Nie topi się — odpowiedział Łończyk.

— A co powie eksperyment? Jego wysokość eksperyment! — zagrzmiał Moczjan, odzyskawszy nagle grunt pod nogami. — Macie termostat? Dajcie tu, a program sam zadam... Nauka to twórczość zbiorowa, nieprawdaż, koledzy?

Ustawiono trzy bryły.

— Trzy, towarzysze Słowianie — rzekł Wagram Wasiliewicz — to już przeciętne statystyczne mnóstwo. Więc niech będą trzy.

Każdy prostopadłościan umieszczono w termostacie, podłączono termometry — laboranci mieli już w tym wprawę, włączyli termostat na nagrzewanie...

— Nie zamykać drzwiczek — powiedział Moczjan. — Musimy mieć możliwość obserwacji. Wszyscy mają patrzeć.

Ale nie było na co patrzeć. Kiedy temperatura w termostacie przekroczyła 100, nad bryłami ukazała się lekka mgiełka, która się natychmiast rozwiała, a bryły zaczęły chudnąć. „Twarda woda” parowała nie topiąc się.

— T–taak... — z głębokim zastanowieniem przeciągnął Wagram Wasiliewicz — trzeba tę sprawę zanalizować. To rzecz poważna, rozumiem to, towarzysze. — Powiódł po nas ciężkim, świdrującym spojrzeniem i wyszedł, wzywając ze sobą kierownika laboratorium.

Wiedzieliśmy, co oznacza świdrujące spojrzenie Moczjana: należy natychmiast rozejść się na stanowiska pracy — tak właśnie dyrektor przepędzał z „maneżu” architektów. W tym Jednak wypadku świdrujące spojrzenie Wagrama Wasiliewicza, jak się wyjaśniło wkrótce, po powrocie zdyszanego kierownika laboratorium, miało oznaczać coś zupełnie innego.

— Chwileczkę, proszę państwa, proszę się nie rozchodzić! — krzyknął kierownik laboratorium. — Pańskie nazwisko? A pani? A pana?

Zapisał wszystkie nazwiska w notesie i wyjaśnił przepaszającym tonem, zwracając się głównie do Olgi Michajłowny:

— Zgodnie z zarządzeniem dyrektora wynalazku nie wolno rozgłaszać, dopóki nie załatwi się patentu. Listę nazwisk państwa przekażę do kontroli... Rozumiecie państwo, co to znaczy?

— Och, Boże! — westchnęła Olga Michajłowna. — Wagram Wasiliewicz szuka współautora...

Zupełnie zepsuł się jej humor. Co za kontrast w porównaniu z nastrojem, w jakim tu przyszła pół godziny temu... Zresztą i Lończyk siedział na skrzynce przybity i śmiertelnie zmęczony.

— Chodźmy, chłopcy — rzekła Olga Michajłowna, łagodnie dotykając ramienia przygasłego Lończyka. — Zapalimy na dworze. Lończyk ożywił się, otrząsnął, rozpromienił w uśmiechu.

— Zaraz coś pani pokażę, Olgo Michajłowno.

I pokazał.

Za laboratorium był blaszany garaż. Bóg jeden wie, do kogo należał, jako że już od dawna używano go jako składu rozmaitych rupieci. Ale kiedy Lończyk otworzył garaż, oboje z Olgą Michajłowna krzyknęliśmy jednocześnie „ach!” To rozumiem! Cały ogromny garaż aż po sufit zapchany był bryłami „twardej wody”.

— Kiedyś ty to wszystko stworzył, moje ty чудо? — wykrzyknęła Olga Michajłowna, znów patrząc szeroko otwartymi oczyma, niepomna na Moczjana i nieprzyjemne notowanie nazwisk przy prasie. — Przecież z tego cudu można zbudować całą sekcję! Oj, oj, moje ty чудо!

Budowie sekcji sprzeciwił się jednak Wagram Wasiliewicz: dopóki materiał nie został opatentowany, nikt nie ma prawa ani go widzieć, ani dotykać, ani, niech Bóg broni, wynosić z instytutu. I kropka. Żadnych sprzeciwów. Prawdopodobnie Olga Michajłowna i Moczjan stoczyli „ważką” rozmowę. Prawdopodobnie Olga Michajłowna chwyciła się ostatecznych argumentów, w przeciwnym bowiem razie Moczjan nigdy by tak szybko nie ustąpił. A tu dosłownie na drugi dzień po „dwujedynym”, jak określiła to ironicznie Olga Michajłowna, posiedzeniu na placyku za laboratorium materiałów budowlanych, obok starego garażu zjawili się dziarscy cieśle i raz—dwa wzniesli tarcicowy parkan z budką dla strażnika. Strażnika, rozumie się, „ustanowił” sam Wagram Wasiliewicz, zezwalając na dostęp do placyku tylko tym osobom, które były mimowolnymi świadkami produkcji „twardej wody” i znalazły się na „liście kontrolnej”. Tym sposobem i ja wraz z ośmioma laborantami, technikami i inżynierami z laboratorium materiałów budowlanych, których zwolniono od dotychczasowych obowiązków, budowałem kryształową sekcję. Budowałem ją pod kierunkiem samej Olgi Michajłowny.

Nie wszystko szło gładko, sporo czasu straciliśmy na dobranie kleju — bo rzeczywiście, czym te bloki łączyć? — ale wreszcie zbudowaliśmy sekcję. Wyglądało to jak dziwaczny domek—akwarium, jak dwie krople wody podobny do szklanych budowli, które od czasu do czasu pojawiają się w parkach i na bulwarach, zachęcając, by w ich przezroczystych ścianach wypić filiżankę kawy, zjeść szaszłyk... Z tą wprawdzie różnicą, że nasz domek—akwarium nie był jednak przezroczysty. Chociaż z drugiej strony, wszystko było z niego widać.

Kiedyś zastałem Olgę Michajłownę w domku nieco zmieszaną. Siedziała pośrodku pokoju (jeżeli to dziwaczne pomieszczenie z pochyłymi ścianami można nazwać pokojem), a obok niej na podłodze siedział Lończyk... Zresztą w tym momencie nie zwróciłem na niego uwagi, zdziwiła mnie tylko Olga Michajłowna, i dopiero później, już u siebie w BINT—cie, zdałem sobie sprawę, że... Coś się stało. Trudno mi było tak od razu połapać się w mnóstwie nagle zjawionych myśli, jakichś na pół zapomnianych epizodów, rozmów, nawet szeptów... Ze dwa razy spotkałem ich na ulicy, szli razem, a Lończyk, ku memu zdziwieniu, niósł jej torbę... Ukłoniłem się, a oni... przeszli, jakby mnie nie widzieli. I za drugim razem mniej więcej tak samo. I zaczęły się snuć po korytarzach instytutu rozmaite ploteczki i insynuacje... Słuchałem tego z obrzydzeniem. Ona po prostu dobrze się czuje w towarzystwie Leonida, przecież to widzę, no i w porządku. Przecież człowiek musi czasem gdzieś

czy z kimś duchowo odpocząć. I tam, w „kryształowym domu”, jak ochrzcili naszą budowlę laboranci, oboje także często bywali razem i jak zawsze — milczeli, albo Leonid coś opowiadał półgłosem, tylko jej, a ona... Ona zawsze wyglądała tak, jakby drzemała. Wyraz twarzy jakiś nieobecny, smutny: oczy przymknięte, dłonie wsunięte pod pachy, lekki błędzący uśmiech, siedzi, odchylona na oparcie krzesła czy ławki... Jednym słowem, odpoczywa. A tym razem... Zresztą może tak mi się tylko wydało? Ciągłe te pogwarki na korytarzach... I mimo woli przychodzą człowiekowi do głowy różne obrzydlistwa.

— Wołodia? — ze zdziwieniem podniosła głowę, jak gdybym spadł z księżyca. — A, Wołodia...

Wejdz, wejdz... — Wyciągnęła z kieszeni bluzki papierosy i poczęstowała mnie. Sobie też wzięła, wyprostowała, wsunęła w usta, przerzuciła w kącik warg i roześmiała się:

— Tu nie wolno palić, Wołodia. Niech pan schowa papierosa.

— Dlaczego? — obejrzałem się dokoła.

— Zepsuje pan perspektywę — uśmiechnęła się, wskazując ręką wokół siebie.

Teraz rozejrzałem się uważniej i wreszcie coś zrozumiałem. Ściany domku były nie tyle przezrocyste, co... przeświecające. Jasnoblękitne. Zresztą, koloru ich nie dałoby się określić na pierwszy rzut oka — był zmienny.

— Teraz tak — powiedziała Olga Michajłowna. — Dzień jest pogodny, więc są Jasnoblękitne jak sklepienie niebieskie. — I wszystko to wyjaśniała mi, myśląc najwyraźniej o czymś innym. Z jakimś nieobecnym spojrzeniem.

Spróbowałem się nieco przesunąć... Akurat w tym samym miejscu co... A gdzież on się podział? Łończy–Leonid zniknął — cicho, bezszelestnie jak zjawa. T–taak... Ale co mnie tu sprowadziło? Aha... Przesunąłem się jeszcze trochę i... ściana, a właściwie krawędź, zwrócona do nieba, znikła! Jakby się rozplynęła w powietrzu. Było to tak nieoczekiwane, że mimo woli się roześmiałem. Jakimś stłumionym, dziwnie głupim śmiechem.

— Co się stało? — spytała Olga Michajłowna. Zorientowała się i wstała ze swego krzeselka. — Niech pan usiądzie, Wołodia.

Usiadłem i... Czemu nie dostrzegłem tego wcześniej? Przecież dziesiątki razy bywałem w tej części kryształu i ani razu... Wszystkie ściany i sufit, także ułożony z bloków „twardej wody”, znikły i miało się wrażenie, że się stoi gdzieś na płaskowyżu, skąd we wszystkie strony rozpościera się nieogarniona dal. Oto, czym jest „otwarta bryła Winogradowej”...

— Tak, Wołodieńka — zgodziła się Olga Michajłowna. — W miastach nauczyliśmy się stwarzać te przestrzenie — place, kompleksy budynków, ale wewnątrz domu...

Jednak zapaliła. I — o dziwo! — nieogarnione dale zaraz się zachmurzyły, a niewidzialne dotychczas ściany ukazały się, na razie niewyraźnie, jakby wokół zaczęła się zagęszczać lekka mgła.

— Właśnie, Wołodia, staram się uchwycić tę perspektywę — znowu dziwnie wymówiła swe ulubione słowo. — Tylko to się okazało bardzo trudne, zachować otwarte mieszkanie. Oto przed chwilą byliśmy na świeżym powietrzu, w górach, prawda, Wołodia?... A wystarczyło, że stara czarownica zapaliła i koniec, perspektywa przepadła. A jeżeli w pokoju postawi się meble? Powiesi zasłony? Czy uda się znaleźć takie proporcje i taką grubość ścian, żeby człowiek, odsunawszy zasłony, mógł się znaleźć pod kopułą niebios? Oto, na czym polega cała sztuka...

Olga Michajłowna wzięła ołówek i znów, kucnąwszy, schyliła się nad planszą. Nie od razu się zorientowałem, co rysuje: obwodzi kawałek papieru łamaną linią i zaczyna cieniować. Jedne plamy są jasne, inne trochę ciemniejsze, niektóre jeszcze ciemniejsze. I nagle, odchyliwszy się do tyłu, zobaczyłem, że plamy zlewają się tworząc wyraźny rysunek... Dom? Jeszcze jeden dziwaczny „ul”, połączenie ośmiokątnych kryształów...

A potem wszystko nagle wywróciło się do góry nogami. Zaczęło się od dostojnego Wagrama Wasiliewicza, który postanowił przeforsować patent. Wezwał któregoś dnia do swego gabinetu Łończyka... Leonida Grigoriewicza, jak go tytułował bez cienia uśmiechu. Był tam, jak się potem dowiedziałem, ekspert do spraw wynalazków, który widocznie przygotował wszystkie dokumenty i te dokumenty Wagram Wasiliewicz bez zbędnych słów położył przed zmieszonym Łończykiem.

— Czytaj i podpisz — serdecznie poprosił Moczjan. — Pan zaświadczy — wskazał na eksperta — że takich odkryć dokonuje się raz na sto lat, dobrze mówię?

Łończyk posłusznie przeczytał wszystkie papiery, Wagram Wasiliewicz dał mu do podpisania własny długopis, Łończyk odszukał pierwszą rubrykę do złożenia podpisu i, ku niemałemu zdziwieniu Moczjana, wykreślił swoje nazwisko. Zresztą, Wagram Wasiliewicz pomyślał chyba, że wykreślił bynajmniej nie własne nazwisko...

— Jak to? — wpatrzył się w Łończyka. — W obecności towarzysza z zarządu zaprzeczasz mojemu udziałowi w opracowaniu metodyki, w eksperymentach, nawet w technologii? Tak mam to rozumieć? — Z pełnym goryczy zdumieniem spojrzął na „towarzysza z zarządu”.

— Wykreśliłem nie pana, Wagramie Wasiliewiczu, ale siebie — powiedział Łończyk, wprawiając Wagrama Wasiliewicza w jeszcze większe zdumienie. Biedny Wagram Wasiliewicz! Czekał go jeszcze jeden cios... — To pomysł Olgi Michajłowny — oznajmił Łończyk. — Ja tylko... ja byłem tylko wykonawcą...

— Ach tak? — wykrzyknął wstrząśnięty Moczjan. — Tego jeszcze brakowało... I tutaj madame Winogradowa! Ależ to niemożliwe! To bzdura, młody człowieku. Bzdura!

Oczywiście, bzdura. Inna sprawa, kiedy współautorem okazuje się młody, nikomu nie znany technik laborant — wykonawca i nic więcej, a zupełnie inna sprawa, kiedy jest nim znany w całym kraju architekt, autor własnych wynalazków, który nie potrzebował żadnych współautorów... Bzdura, oczywiście, któż tego nie zrozumie? Ale mimo wszystko nie udało się Wagramowi Wasiliewiczowi przekonać technika.

I nastąpiły dla nas czarne dni. Dla nas, to oczywiście za wiele powiedziane — dla Olgi Michajłowny i dla Łończyka. Strażnika z budki usunięto, drzwi budki opieczętowano, a żeby się nie znaleźli fotoamatorzy, którzy zapragną uwiecznić „kryształowy dom” z dachu laboratorium albo z parkanu, na rozkaz dyrektora „do chwili zalegalizowania patentu na nowy materiał budowlany” „kryształowy dom” zakryto brezentem, poplamionym smarem, benzyną i diabli wiedzą, czym jeszcze. Tym brezentem, jak twierdzili laboranci od materiałów budowlanych, monterzy w swoim czasie osłaniali prasę—giganta, kiedy rozebrano nad nią dach.

A potem nagle... Aż niemiło wspomnieć. A potem nagle zjawił się w instytucie dryblas Oleżeczka. W ogóle bywał już w instytucie dawniej — w sprawach, że tak powiem, rodzinnych... Zresztą jak się wkrótce wyjaśniło, i tym razem także przyszedł w czysto „rodzinnej sprawie”.

— Stary! — powitał mnie radośnie od progu. — Kopę lat! Taki czarujący dryblas z niespożytym optymizmem! I jaki rozkoszny uśmiech! Wszystkie moje damy momentalnie „straciły głowy”.

— Słuchaj, stary — poklepując mnie po ramieniu i wręcz promieniejąc szczęściem, że wreszcie odnalazł oddanego przyjaciela, odezwał się Oleżeczka na cały pokój, chociaż zdawało mu się, że mówi konfidencyjnym szeptem — pracuje tu u was jeden taki, podobno wynalazł „twardą wodę”. Zapoznaj mnie z nim — mamam ciągle mi o nim truje... Co? Bądź człowiekiem.

Poznałem ich ze sobą. Oleżeczka zresztą sam by się z nim poznał — bez mojego pośrednictwa. Więc już lepiej niech się to stanie przy mnie, pomyślałem z jakimś niedobrym przeczuciem.

Łończyka znaleźliśmy przy prasie. Przygotowywał do rozbicia płytę z żelazobetonu. Krzątał się przy prasie jakoś niemrawo, jak starzec. Przykry był to widok.

— To ten palant? — zdziwił się Oleżeczka. Przyjrzał się uważniej i oświadczył z przekonaniem: — Ten. Zapoznaj nas, stary. Sam się przedstawił:

— Oleg Winogradow. — I uśmiechając się szeroko, z całego serca, uściślił: — Syn z bożej łaski profesor Winogradowej.

Ale Leonid chyba, domyślił się już wcześniej. Skurczył się, znów nie wiedział, co zrobić z rękami...

— Słuchaj, stary — poufnie nachylił się ku niemu Oleżeczka. — Stasowałeś, czy co? No, maman, rozumiem, jesień życia i tak dalej... Ale przecież ty masz dwadzieścia, góra dwadzieścia trzy lata? Głupio jakoś, stary, no nie? Ludzie się śmieją. Doktor architektury, bez mała członek akademii i... Zresztą, dobra, nie chodzi o stanowisko. Zastanów się jak człowiek: ty i ja. Ha! Tatuś... No? Jasno się wyrażam? Głupia sprawa. Idę sobie proszpektem, na podryw wyszedłem, dziewczynę za rączkę trzymam... A ta w śmiech, stary. „Z kim to twoja mamusia się prowadzi? To ten? Hi–hi–hi...” To o tobie, stary. Doszło? Głupia sprawa, sam chyba wyczuwasz. No i mąż... Znaczący, mój ojciec, przecież jest, nigdzie się nie podział. No, wygłupili się, rozwiedli... Różnie w życiu bywa. Ja może też już tego... Ojcem jestem. Wyczuwasz? No więc mój tatuś bywa regularnie u nas w domu. I wyobraź sobie taki cyrk: ty, tego, z maman... normalka, życie jest życiem, nic się na to nie poradzi. A tu się ładuje tatuś... Z bukietem, z czekoladkami. Regularnie zresztą. Wyczuwasz? Mój stary może jeszcze nie całkiem stracił nadzieję, no nie? Więc stary, opamiętaj się!

— Tak, tak — Leonid rzeczywiście się opamiętał. — Ma pan rację, to bez sensu. Ma pan rację. Dziękuję za radę. Ja... ja wszystko rozumiem. Przepraszam.

— No proszę! — ucieszył się Oleżeczka. — Wiedziałem, że to tylko zaćmienie umysłu, każdemu się zdarza. Życie jest życiem. Nie gniewaj się, jeżeli coś nie tak, dobra, stary?

Na znak życzliwości poklepał po ramieniu najpierw Lończyka, potem mnie... Leonid pod jego potężną dłoń skulił się, taki maleńki, taki wątlutki... Patrzy gdzieś obok nas, w podłogę.

— Bądźmy kumplami! — krzyknął już od drzwi Oleżeczka... Hm, Oleżeczka... A przecież ona tylko tak o nim mówi, w dodatku bez żadnej ironii. Tak to jest!

O tym, że Leonid zniknął, że nie przychodzi do instytutu, dowiedziałem się od Olgi Michajłowny. Przyszła kiedyś do BINT—u rozżłoszczona, nawet się nie przywitała, przekartkowała dla pozoru jakiś biuletyn, a potem powiada:

— Proszę mnie odprowadzić.

W instytucie nie zaczynała rozmowy. Wyszliśmy na ulicę. Długo milczała, a potem nagle wypaliła:.

— Jakim prawem wtrąca się pan w moje życie osobiste? Z wielkim trudem udało mi się ją przekonać, że moja rola w tym „wtrącaniu” była nikła — byłem tylko świadkiem i to wszystko.

— Kłamię pan, Wołodia. On się nie mógł zachować tak podle — ucięła na pożegnanie. „On” — jej Oleżeczka. — On nie mógł tak postąpić. Nie wierzę panu. Nie wierzę.

Ale potem chyba uwierzyła...

A później w ogóle odeszła z instytutu. Wkrótce po tym sławetnym pożarze, za który Wagram Wasiliewicz zapłacił za karę, jak głosi fama, okrąglą sumkę. Chociaż, jak wynika z protokołu straży pożarnej, cała wina Wagrama Wasiliewicza polegała na tym, że swym dwumetrowym płotem, który oddzielał od świata „kryształowy dom”, Wagram Wasiliewicz zagroził „wozom strażackim drogę do źródła pożaru”. A źródło pożaru, jak stwierdza „protokół pożaru”, znajdowało się w starym garażu, do którego latami zwalano stare rupiecie, szmaty, pakuły, puszki z rozpuszczalnikami i różne tym podobne rzeczy, które Leonid, uprzątając garaż z bloków „twardej wody”, zepchnął w kąt, na wielką kupę. No, a kiedy wszystko to się zapaliło, włączając w to i zatłuszczony brezent na

„kryształowym domku”... Paliło się krótko. A z domku–kryształu pozostał tylko żelazny szkielet. No i straszy teraz za laboratorium materiałów budowlanych — stąd, z podestu między parterem a pierwszym piętrzem, gdzie utknęliśmy z Olgą Michajłowną, widać tylko jego narożnik.

— Więc, Wołodia, nie próbował pan?

— Nie. Zresztą kto mnie dopuści do prasy?

Olga Michajłowna westchnęła głęboko, wyrzuciła papierosa i powiedziała:

— Szkoda. A ja właśnie... I urwała.

— I ja także — domyśliłem się, co chciała powiedzieć. — Idę ulicą, podnoszę głowę... cegły, mur, ciasnota. Jaskiniowcy z nas, prawda, Olgo Michajłowno? Wszyscy chcą tylko się ukryć, zaryć w swoich norkach–mieszkaniach. Budujemy domy tak, żeby patrzyły na nas, pełzających po ziemi. — Nagle mnie poniosło: — Wie pani, Olgo Michajłowno, to wszystko dlatego, że jesteśmy przywiązani do ziemi. Nic innego nam na razie nie potrzeba — żyjemy w jednej płaszczyźnie. Ale kiedyś ludzie mimo wszystko zaczną żyć w trójwymiarowej przestrzeni. Nie wiem, jak to będzie — może nauczą się latać za pomocą jakichś motorków czy skrzydeł, a może w ogóle pokonają grawitację... I wtedy wszystko się zmieni: sam wygląd domów, miast... rozumie pani? Domy zwrócą się fasadami ku niebu, otworzą się... prawda?

Olga Michajłowna popatrzyła na mnie z zainteresowaniem:

— Otworzą się?

— Tak. Czyż nie to miała pani na myśli, wprowadzając termin „otwarte bryły”? Przyjdzie czas, kiedy będziemy koniecznie musieli zrezygnować z murowanych i żelazobetonowych pudełek. Ale co je zastąpi? Domy–czasze, domy–kwiaty, domy–kryształy... I wszystkie one będą zwrócone ku niebu, ku słońcu! Wtedy właśnie będzie potrzebny zupełnie nowy materiał — bo czyż z cegły zbuduje się dom–kwiat? A kiedy wszyscy to zrozumieją... Nauczą się robić kryształowe bloki. Na pewno. Olga Michajłowna w zadumie kiwała głową:

— Tak... On tak właśnie mi mówił: „Człowiek jest na razie jeszcze bardzo słaby, potrzebna mu skorupa...” — nagle, jakby olśnił ją jakiś pomysł, schwyciła mnie za rękaw: — Skoro panu marzą się domy–kwiaty... Po cóż ma pan przeżuwać cudze myśli! Idziemy, idziemy, Wołodia. Skoro pan wie, co trzeba robić, niechże pan robi! Niech pan rysuje, wymyśla... — Ciągnęła mnie korytarzem jak psotnego chłopca, za rękaw. — Skoro marzą się panu domy–kwiaty — niechże pan rysuje! Co to za fantazje tylko dla siebie... Zmuszę pana do pracy, zmuszę...

Nagle zatrzymała się zdyszana, odwróciła się do mnie gwałtownie i powiedziała, patrząc mi w oczy:

— Czulałam, że pan także ma w sobie coś... z niego.

Przełożyła Ewa Rojewska–Olejarczyk

Kongress

Kongres

Stary Kuzia, urzędowo Kuźma Nikiforowicz Łykov, zanim wybrał się na swe stanowisko pracy do Domu Kultury, wyskoczył na chwilę na dwór, zobaczyć jak tam z pogodą i czy przypadkiem nie zbiera się na deszcz.

Było gdzieś koło wpół do dwunastej. Napęczniały księżyc wisiał nad chatą kuma Leksieja, gdzieś w oddali dudnił traktor, leniwie poszczekiwały psy, a wietrzyk od czasu do czasu przynosił dziewczęce czastuszki i akompaniament gitary. Ot, zwykły wieczór współczesnego kołchozu. I właśnie wtedy stało się — stary Kuzia zobaczył diabła.

Diabeł siedział na dachu szopy, zwiesił nogi oraz ogon i wygrzewał się w ciepłych promieniach księżyca. Był to najprawdziwszy diabeł — czarny jak sadza, o zielonych, kocich oczach, malusieńkich rożkach i eleganckich kopytkach. Prawdę mówiąc był niezbyt duży, nie większy od walonka, ale tak w ogóle, to zupełnie prawdziwy. Stary Kuzia zdążył dostrzec, że facjatę diabeł ma szalenie kwaśną i oczka smutne, ale mimo to nie ulegało wątpliwości, że w tej konkretnej chwili jest zupełnie zadowolony z życia. Wylegiwał się w promieniach naszego naturalnego satelity, zgrabnie iskał się łapką pod pachą i aż pomrukiwał z tej przyjemności.

Wszystko to dotarło do starego Kuzi natychmiast. W następnej chwili jego ręka jakoś sama z siebie dotknęła czoła, zrobiła znak krzyża, i diabeł zniknął, jakby go wcale nie było.

— Tfu, tfu, tfu, siło nieczysta! — stary trzykrotnie splunął siarczyście. — Całe życie, że tak powiem, piłem i nigdy mi się żadne diabły nie zwidywały, a jakim rzucił, to ledwo trzy dni minęły i masz! Do czego to człowieka trzeźwość może doprowadzić.

Gnębiony tą niewesołą myślą stary Kuzia przysiadł na ganku, żeby z sensem i bez pośpiechu rozważyć, w jaki sposób doprowadził się do tego stanu.

Przypomniał sobie trzy dni, które minęły od chwili, gdy przestał pić, trzy ostatnie dni, długie jak całe życie. Przez cały ten czas stary Kuzia czuł się jakoś nie tak. On sam był jakiś nie taki, i ludzie byli jacyś nie tacy, wieś wyglądała nie tak i nawet czas płynął nader względnie. Stary Kuzia był zdania, że przytrafiło mu się coś paskudnego, ale co, tego jeszcze nie wiedział.

Wszystko zaczęło się od tego mantyki Afonina, przewodniczącego kołchozu. Co za namolny człowiek z niego, istny rzep! „Rzuc no — powiada — ten nałóg, Kuźmo Nikiforowiczu, bądź co bądź jesteś naszym weteranem pracy, nie przystoi ci całą wieś kompromitować”. No i zaczęli go na zarządzie obrabiać i podawali mu do wiadomości, i namawiali, i straszili, i wstydzili wszyscy razem. Wyrzuty mu robili, że niby to przez tę całą wódkę rozkład w rodzinie — i różne inne takie komentarze wygłaszali. Stary Kuzia trzymał się twardo, choć mu głowa jeszcze po wczorajszym trzeszczała i suszyło go strasznie. Ale czy sam jeden mógł dać radę całej gromadzie? Znowu ten Afońka się poderwał. „My cię — powiada — Kuźmo Nikiforowiczu, jeżeli na amen nie rzucisz, z twej intelektualnej — powiada — posady zdejmujemy i przeniesiemy na magazyn”. No i tu stary Kuzia stchórzył. Wiadoma sprawa — czy magazyn to odpowiednie miejsce dla myślącego człowieka? Wstał i ze strachu chlapanął ozorem: „Dobra, znaczy się, od tej samej chwili, znaczy się, ani, ani!

Znaczy się, rzucam. Wychodzi, że kropelki do ust już nie wezmę. Jeśli ktoś zobaczy, niech mi z własnej inicjatywy, znaczy się, w mordę napluje!”

No i od tej pory stary Kuzia nawet kropelki do ust nie wziął, choć początkowo całe wnętrze mu się regularnie na opak wywracało i żywym ogniem paliło. A teraz na dodatek jeszcze mu się coś w głowie poprzekręcało. Ale co robić, chcesz czy nie, jak dałeś, bracie, słowo, to z gęby cholewy nie rób.

Kiedy stary Kuzia stał się nie takim, jakim pamiętał się przez sześć dziesiątków lat i jakim cała wieś go pamiętała, to zaczął dostrzegać, że i z obiektywnym światem jakiś nieporządek się zdarzył. Najpierw zmieniła się przestrzeń. Krzywe uliczki, po których przedtem w żaden sposób przejść nie można było, żeby nie wlecieć na jakiś płot, wyprostowały się w podejrzany sposób. Jeżeli dawniej każda droga szła pod górkę, teraz zrobiła się płaska jak stół. Jeżeli dawniej sklep zawsze był pod ręką, to teraz znalazł się, gdzie diabeł mówi dobranoc, na drugim skraju wsi. Takie same głupoty działały się z czasem. O ile, założmy, porządny, kieszonkowy zegarek starego Kuzi pokazywał dwunastą, to budzik na komódce u synowej odcykiwał właśnie wpół do pierwszej, zegar z kukułką u kuma Leksieja na cały okrąg wykukiwał pierwszą, no a tranzystor młodszego syna. Piętki, informował z Moskwy, że jest dopiero siódma trzydzieści rano.

Stary Kuzia wydmuchał nos, pomyślał o tym, jakie to cuda na świecie bywają, popatrzył na księżyc, który już do połowy wlaźł za komin kuma Leksieja i po cichutku zaczął mamrotać:

— Jasna sprawa, że cudów jako takich nie ma, każdy, tego, efekt można naukowo wyjaśnić. No, powiedzmy, że wsią. Jasna sprawa, jedno z dwojga:

albo zakrzywienie przestrzeni, albo kollaps wszechświata. To samo z zegarem: — albo teoria względności nam się przytrafiła, albo paradoks jakowyś.

Obrzydła ci, powiedzmy, twoja własna, ślubna stara, że gorzej nie można, co za kłopot? Siadaj, bracie, do podświetlonej rakiety i fiut! No a kiedy wrócisz po tygodniu piękny i miody, po twojej starej już nawet śladu nie ma, na Ziemi setka lat minęła. I, jasna sprawa, żeń się od nowa, bracie, z którą chcesz damulką, wszystko zgodne z prawem, żadna łajza ci się nie przyczepi. Ale to nic, nawet dziwić się nie ma czemu. Niedawno to wymyślili w jednym zagranicznym kraju taką sztuczkę, że nie do opisania. Na straty już można chłopów spisać albo na obrok postawić. Tera jak baba dzieciaka zachce, prosta sprawa, chaps sobie z miękkiego miejsca jedną tylko komórkę i już ją, tę komórkę, znaczy się, niańczyć zaczyna, dzieciak jej rośnie. Tera to już nawet nie gdzieś tam, het, ale w naszej wsi ten efekt już praktycznie wdrażają. A skąd niby Niuśka Łonszakowa, wdowa, bliźniaki wzięła, co? Ot, jakie sprawy na tym świecie się dzieją, a wy mówicie...

Ale w tej samej chwili stary Kuzia uzmysłowił sobie, że nie jest wcale pijany i nie znajduje się ani na skwerku koło sklepu, ani u kuma Leksieja, tylko u siebie w obejściu, że nie ma wokół niego słuchających koleżków, zmieszał się i umilkł.

Oprócz kłopotów z czasoprzestrzenią, które stary Kuzia mógł jeszcze jako tako wytłumaczyć, w ciągu tych trzech dni zauważył zupełnie niezrozumiałe nieporządki w swoim domu. Okazało się, że wcale nie panował w nim wzorowy porządek i dobrobyt, jak zawsze uważał, ale w samej rzeczy formalny upadek i rozprężenie. Mało tego, że stara zrobiła się od tego alkoholizmu Kuzi nerwowa i chorowita, ale i syn z synową ciągle koty drą. Niutka została na drugi rok, a Piętka, łajdak, zupełnie z posłuszeństwa wyszedł i też do butelki zaczął zaglądać. Nawet krowę, powiedziała stara, i motocykl sprzedali, ale pieniędzy ciągle nie starcza do pierwszego. Takie to sprawy. No i w tym przypadku jak by się stary Kuzia nie głowił, nie szperał w swym bogatym doświadczeniu naukowym, do swej erudycji się nie odwoływał, to jednak nic wyjaśnić nie mógł i z tego powodu czuł się coraz podlej.

Należy tu stwierdzić, że stary Kuzia był we wsi Czortowo najwybitniejszym specjalistą w

zakresie fizyki teoretycznej, genetyki molekularnej, neurofizjologii, astronautyki i telepatii. Zazwyczaj po tym, gdy po raz trzeci lub czwarty rozlał z koleżkami połówkę na trzech, stary Kuzia zaczynał koło sklepu prowadzić taką propagandę antyreligijną, że chłopcy stały z rozdziawionymi gębami, a kobiety uciekały gdzie pieprz rośnie. A przecież Kuźma Nikiforowicz Łykw uniwersytetów ani akademiiów nie kończył, ale tylko kursy, które WZA nazywał, nie wyjaśniając oczywiście, że skrót WZA oznacza „walka z analfabetyzmem”. Swą głęboką wiedzę zdobył Kuzia wyłącznie przy warsztacie pracy, to znaczy pracując jako nocny stróż w miejscowym Domu Kultury, który miał zupełnie niezłą bibliotekę.

Nocami, pilnując powierzonego mu obiektu, stary Kuzia zakładał na nos okulary, zasiadał w wygodnym fotelu, palił do świtu lampę z zielonym abażurem i czytał ku swemu zadowoleniu *Wykłady z fizyki* Fejmana, dzieła Nielsa Bohra i rozumiał prawie wszystko.

Stary Kuzia pracę swą cenił — przecież rzucił picie dopiero wtedy, gdy zagrożono mu przeniesieniem do magazynu. No bo gdzie w Czortowie znajduje się druga taka umysłowa posada? Ale przede wszystkim dzięki bibliotece Domu Kultury mógł na bieżąco dowiadywać się o wszystkich najnowszych odkryciach i hipotezach, utrzymywać się na poziomie i wygłaszać publiczne odczyty dla ludności. To właśnie było, w gruncie rzeczy, celem życia starego Kuzi, no a jeżeli wypił przy tym czasami, no to tylko dla kuraju...

Stary Kuzia westchnął ciężko i wstał z przyzby. Pora było rozpocząć pracę, bo póki tu wysiadywał, księżyc pojawił się już po drugiej stronie komina kuma Leksieja.

— Zmusił jednak... — mruzczał stary pod nosem. — Magazynem postrachał. Co za mantyka z tego Afońki. Do całkowitego kataklizmu człowieka doprowadził; z tej trzeźwości diabły mi się zwidują. Tfu, siło nieczysta! Zgiń, przepadnij! I po co ja się tej agitacji poddałem, obiecałem, że rzucę picie?! Stary zająknął się i umilkł. Skądś z góry, od strony przyćmionych gwiazdeczek, dobiegł doń dziwny, skrzypiący głos, który mówił coś z wyraźnie cudzoziemskim akcentem.

— Ogromnie się cieszę, panie kolego! Na słoneczku raczy się pan wygrzewać, he, he, he? — odpowiedział mu drugi głos, jakiś rozlazły, bez wyrazu, ale tym razem niewątpliwie swojski, rosyjski.

— Do otwarcia zostało jeszcze trochę czasu, proszę usiąść, odpocząć — zaprosił ochryply i skrzypiący.

Po intonacji i trochę innym akcencie stary Kuzia, bądź co bądź otrzaskany z przyjacielskimi wizytami, bezbłędnie rozpoznał, że ten, kto mówił, był cudzoziemcem. Rozejrzał się zaniepokojony, ale nikogo w pobliżu nie było.

— Poznajmy się, panie kolego. Łopotusza jestem — przedstawił się tymczasem rosyjski głos.

— Herr Stück. Pozwoli pan, że się zapytam, mister Łopotusza, co pan sądzi o idei zorganizowania tego kongresu?

— Muszę się przyznać, panie kolego, że nie odnoszę się do niej z jakimś szczególnym entuzjazmem. Proszę mi z łaski swojej powiedzieć, co może począć kilkaset nędznych diabłów, czortów i kłobuków, podczas gdy cała ludzkość ze swą nauką i techniką, swymi potężnymi organizacjami społecznymi...

Komu, u diabła, na pogaduszki się o tej porze zebrało, pomyślał zirytowany stary Kuzia, święcie przekonany, że gdzieś w pobliżu któryś z miejscowych gada z przyjezdnym cudzoziemcem. Co to za Łopotusza? Przecie we wsi takiego nie ma. A zresztą, przez te trzy dni mógł się i zjawić, cóż to się działo przez te trzy dni...

— Zgadzam się z panem całkowicie, mister Łopotusza. Istotnie, sytuacja na całym świecie

nasuwa nader ponure myśli i wcale nie mamy nadziei, że nasz szanowny kongres w sposób natychmiastowy, radykalny rozwiąże wszystkie problemy. Ale jesteśmy w stanie choćby pryncypialnie ukazać to zagadnienie...

— Ha, ukazać zagadnienie! Komu, szanowny panie? Niech je pan spróbuje ukazać ludzkości! Przecież czarcim zgromadzeniom przedstawiano je już tysiące razy i co z tego? — rozlazły zakończył ponuro.

Stary Kuzia spojrział do góry i o mało znowu się nie przeżegnał. Tym razem jednak udało mu się opanować, a nuż znowu niechcący spłoszy siły nieczyste, podczas gdy dobrze by było posłuchać, o czym one tam gadają.

Na skraju dachu, prawie nad głową starego, siedział ten sam diabeł. To, co siedziało obok niego, było dziwne i nieznane. Przypominało raczej wywróconą na lewą stronę starą rękawicę, która z rok leżała w kącie pod piecem, albo kłębek wełny, który wleciał babce do piwnicy, albo starego, wyleniałego szczura oblepionego rzepami.

— Zgiń, przepadnij! Zgiń, przepadnij! — mamrotał drżącymi ustami stary Kuzia. — Nas diabłami nie przestraszycie, myśmy ateści. Boże, co to takiego, halucynacja czy prawdziwe diabły? — Zaczął gorączkowo szperać w swej uniwersalnej pamięci, starając się odnaleźć jakąś materialistyczną interpretację postaci diabła, ale nie mógł wyszukać nic odpowiedniego.

— Niech pan spojrzy, człowiek! — zaskrzypiał nagle przestraszony cudzoziemiec.

— Proszę się nie obawiać, Herr Stück. To nie człowiek, to stary Kuzia — uspokajającym tonem wymamlał Łopotusza. — Pijany jak bela.

No niech cię, zdziwił się stary Kuzia, który nie dosłyszał ostatniego zdania. Zna mnie. Widać nieźle im dopiekłem swoją propagandą antyreligijną. Jasna sprawa, w Czortowie nie tylko diabły, ale wszyscy mnie znają.

— Niech więc pan nie zwraca na niego uwagi. A w ogóle muszę stwierdzić, że obecnie ludzie wciąż nie dają mi spokoju. Ledwo się usadowię w jakimś zacisznym kątku, a tu już zjawia się człowiek. Zaiste, na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą.

— Rzeczywiście, miejscowość wielce tu ożywiona.

— Proszę mi więc łaskawie odpowiedzieć, panie kolego, czym wyjaśnić fakt, że właśnie naszą wioskę uznano za odpowiednie miejsce do odbycia kongresu?

— To było nieporozumienie, wyłącznie nieporozumienie — zaskrzypiał sarkastycznie diabeł — komitet wykonawczy podjął uchwałę, że należy wybrać najbardziej głuchą, zabitą deskami wieś. Oczywiście popatrzone na mapę i miejscowość ta po prostu nas... jak to po rosyjsku?... oczarowała. Wioska Czortowo, rzeka Smierdziucha, Żmijowe Bagna, Łysa Góra i Jezioro Rusalki. Można rzec, unikalny zakątek. Niestety, okazało się, że mapa jest nieco przestarzała, jeszcze przedrewolucyjna. Poleciliśmy zebrać wycinki prasowe o wsi Czortowo. No i znaleźliśmy artykuł jakiegoś jegomościa, który znał nieco rosyjski i był tu niedawno jako turysta. Napisał, co następuje: „Lud jest tu ciemny i niewykształcony, do chwili obecnej w najlepsze wierzy w diabły, czorty i wiedźmy. W wiosce Czortowo słyszałem na własne uszy, jak pewien szacowny obywatel powiedział koło sklepu do swej żony »Oddaj lepiej butelkę, wiedźmo!« Ona na to odparła »Idźże do diabła, stary czorcie!«.” Dysponując takimi zeznaniami naocznego świadka, mister Łopotusza, podjęto ostateczną decyzję...

Co za bydlę narobiło takiego wstydu naszej wiosce? I to na cały świat, pomyślał z gniewem Kuzia. Koło sklepu, powiada. Przecie tak jakbym znał tych wszystkich, co to koło sklepu. Niech ja go znajdę!

— Ale jak pan widzi, popełniono błąd — ciągnął dalej diabeł. — I jakże po czymś takim wierzyć prasie? Okazało się, że nic się nie zgadza. Miejscowość ożywiona, elektryczność, radio. Dom

Kultury z bogatą biblioteką, przodujący, wzorowy kolektyw, a co najważniejsze oświeceni, gościnni i zadowoleni z życia ludzie.

— Niech pan jeszcze doda, Herr Stück, wybudowany nie opodal zakład hydrolizy drewna, który przekształcił rzekę Smierdziuchę, nazwaną tak z powodu leczniczych źródeł siarkowych w kanał ściekowy. I osuszenie Żmijowych Bagien, które przedtem były ostoją zwierzyny, a teraz na nich tylko turzyca rośnie. I proszek, który po całej gminie rozpylają z samolotów. Wszystko co żyje, powyzdychało od niego, a ja, proszę wybaczyć, dostałem jakichś parchów na całym ciele. I głośnik na Domu Kultury w dzień i w nocy drze się bezustannie: „Zostań takim, jak ja chcę!” Ale ja, Herr Stück, nie życzę sobie zostać takim, jak oni chcą. Ja, być może, chcę pozostać samym sobą, dobrym, starym kłobukiem i w miarę sił robić swoje...

Cie, cholera, zrozumiał wreszcie stary Kuzia. Jakże ja wcześniej nie wyrozumiałem, że to coś to najzwyklejszy kłobuk. Ale z niego drań! Normalny drań, ten Łopotusza. I to jeszcze swój, kołchozowy... Przed cudzoziemcem gębę sobie po próżnicy naszą rzeczywistością wyciera, ale słoninę, to naszą, ruską, żre! No, poczekajże, dobiorę się do ciebie, ty ścierwo, pokażę, gdzie raki zimują!

— Rozumiem pana. Doskonale rozumiem i współczuję — uprzejmie westchnął cudzoziemiec, to znaczy diabeł. — Jesteśmy głęboko zaniepokojeni nadmiernym rozwojem zjawiska, które znane jest pod nazwą „uboczne skutki postępu technicznego” lub, jak często powiadają Rosjanie, jako „druga strona medalu”. Niestety, powstrzymanie rozwoju ludzkości jest rzeczą niemożliwą. Jedyne co w naszej mocy, to choć częściowe osłabienie ciosu, który może spaść już niedługo. Temu zagadnieniu poświęcony jest w gruncie rzeczy nasz kongres. A przy okazji. Jak daleko stąd do Żmijowych Bagien, mister Łopotusza?

— Idąc prosto — odparł kłobuk — godzinę. Ale znam jedną boczną ścieżkę, którą dojdziemy przez jakieś dziesięć minut. Oho, już czas...

I przed oczyma starego Kuzi, zdumionego wszystkim, co widział i słyszał, para duchów nieczystych roztopiła się w ciemności.

Kuzia, niesłuchanie zaciekawiony, postanowił, że nie pójdzie do pracy — nic przez tę noc z Domem Kultury się nie stanie — ale uda się na Żmijowe Bagna, by choć jednym okiem zerknąć na zwołany tam czarci sabat.

Boczną dróżkę na Żmijowe Bagna znał nie tylko Łopotusza, ale i stary Kuzia. I choć wyraźnie nie mógł równać się ze zwawo maszerującymi diabłami, to jednak po półgodzinie zbliżył się do miejsca, w którym za starych, dobrych czasów rzeczywiście znajdowały się olbrzymie bagna, wymarzone miejsca dla myśliwych polujących na ptactwo wodne i gdzie obecnie rozpościerały się smętne, o zasolonym gruncie, porośnięte turzyca łąki. Księżyc świecił jasno i stary widział każdą trawkę, każdy listek na ścieżce.

Nagle coś wytoczyło się zza krzaków na oświetlone miejsce. Było to... Było to podobne do dwóch puszystych dmuchawców, większych jednak od prawdziwych. Podskakując i przeganiając się nawzajem, przetoczyły się przed starym Kuzia w stronę Żmijowych Bagien. Stary zorientował się, że należą one najprawdopodobniej do tego samego towarzystwa, zdjął czapkę i zgrabnie przykrył nią stworki tak, jak chłopcy łapią nieostrożnego motyla. Następnie ostrożnie namacał je ręką i, starając się ich nie rozgnieść, przełożył do kieszeni. W dotyku przypominały myszki, były ciepłe, miękkie i gdy się je gładziło, przyjemnie łaskotały w palce.

Stary Kuzia dość długo łąził po Żmijowych Bagnach, ale nie znalazł żadnych śladów Herr Stücka, Łopotuszy czy w ogóle czegoś podejrzanego. I dopiero nieomal o świcie, gdy księżyc zaczął już

blednąc, a niebo na wschodzie rozjaśnił zielonkawy poblask, stary poczuł jakiś charakterystyczny zapaszek zalatujący stęchlizną oraz spaloną siarką. Ruszył w stronę, z której dolatywał ów odór i wkrótce usłyszał harmider dobiegający z niewielkiego wąwozu położonego na granicy Żmijowych Bagien i lasu u stóp Łysej Góry. Ostrożnie przemykając się wśród krzaków podkraśl się do brzegu wąwozu, spojrzął w dół i o mało co nie zleciał. Cóż to był za widok!

Na liczącej dobry hektar powierzchni wąwoziku kłębiły się najprzeróżniejsze okazy sił nieczystych. Były tu zwykłe diabły, takie jak Herr Stück — wyświechtane, wyłysiałe, ze smętnymi, zwiędłymi fizjonomiami, o solidnych brzuskach, a niektóre miały nawet pooblamywane rogi. Były przysadziste, zielonobrode i omszałe leśne diabły, jak też i żabopodobne, płetwonogie, jaskrawozielone błotne licha o wytrzeszczonych sklerotycznych ślepiach; naburmuszone upiory o błoniastych skrzydłach; zmory, które stary Kuzia rozpoznał natychmiast, choć jako żywo nigdy podobnie nieopisanych poczwara nie widział; jakieś długonose, wierzące się strzygi, ważni panowie, którzy składali się jakby z samej tylko brody, i wyraźnie zagraniczne, wyelegantowane, wykarmione, z godnymi minami gnomy i trolle; znudzone, senne elfy i zwykłe kłobuki takie jak Łopotusza, zanedbane, zapleśniałe, nadgryzione przez mole i wytarzane w puchu; pełno też było rozmaitego, bezimiennego drobiazgu przypominającego nieco świerszcze za kominem, pogniecione dmuchawce czy nawet szczoteczki do mycia butelek.

Całe to nieczyste bractwo machało nogami, rękami, łapami, skrzydłami, ogonami i czym kto mógł, niewiarygodnie gadało, piszczało, chichotało, świstało, klaskało, tupało, gwizdało, wyło grobowymi głosami i głucho pohukiwało, aż mróz po karku biegał. Wszyscy przepychali się w stronę spróchniałego pnia pełniącego rolę mównicy i wszyscy naraz domagali się, by ich dopuścić do głosu. Widok był tak nieprzyzwoity i obrzydliwy, że stary Kuzia chciał już splunąć i iść byle dalej od grzechu, gdy nagle jakiś ważny, siwobrody pan, który wyglądał przyzwoiciej od innych, wlaź na mównicę, to jest na pień i zawył, że ogłasza się piętnastominutową przerwę, po której dyskusja zostanie wznowiona.

Natychmiast cała ta zgraja rozbiegła się, rozleciała, potoczyła na wszystkie strony z okrzykami: — Piwo przywieźli! Rzucili chustki moherowe! Zajmijcie mi kolejkę! — jakby wszyscy zjechali się tu z całego świata tylko po to, by poprzepychać się przy bufetach i z papierosem w zębach przespacerować się po korytarzu.

Kuzię przewrócono, poturbowawszy go solidnie, przebiegły po nim ze dwie setki poczwara, więc stary na wszelki wypadek przycupnął pod krzakiem — lepiej trzymać się z daleka od tej bandy. Jasne, że sam na sam zmierzyłby się z każdym diabłem, każdym czortem, ale z całym kongresem siły nieczystej?! Wiadoma sprawa, jak go znajdą, to na śmierć załaskoczą.

No i przeleżał stary Kuzia całą przerwę zerkając naokoło przymrużonymi oczyma, przysłuchując się i wszystko skrupulatnie notując w pamięci.

Niedaleko od jego kryjówki stał łysawy kłobuk o tułowiu pokrytym rzadkimi kępkami skołtunionej sierści i jęklwym głosem skarżył się wylupiastookiej żabie:

— Męża ma cichego, pokornego, słowa na swoją obronę nie powie, no i obrywamy od niej obydwaj. Taka solidna dama, kandydat nauk i okulary nosi, no, po prostu nie daj Boże. Raz, znaczy się, nie popatrzyła dobrze, cabas mnie za kark i do miednicy z wodą. Zamiast kotka. No i dalejże mnie kapać i to w „Nowości”. Siłę nieczystą w „Nowości”!

— K—um, kum — przytakiwała żaba.

— Gospodarza ma za nic. Kładzie się wieczorem i zawsze z książką. Dawniej, bywało, jeszcze przed elepstryką, wyskoczy gosposia na podwórze, postraszysz ją jak należy, przybiega do domu drżąca cała gołąbeczka, do chłopca się przytuli, przygarnie ślicznie—pięknie. To i dziateczki były. A

tera to same książki. No i jeszcze ten, jak go tam... panie Boże dopomóż... cielewizior. Straśnie uczone się tera ludzie porobili, w nic nie wierzą. Spróbuj taką nastraszyć, jak ona cały rozum ma tą nauką wypełniony. No i proszę — jedno tylko dzieciątko w rodzinie rośnie i to jakieś takie, ni to, ni sio. No, a czy to rodzina, jeżeli tylko jedno dzieciątko?

— Kum, kum — kiwała głową zaba.

— Z gospodarzem, co prawda, to prawda, żyjemy zgodnie, grzech byłoby się skarżyć. Całkowite wprost porozumienie. Niedopałki pod piec mi podsuwa, nie zapomina o starym. Ja go też ratuję jak mogę. Razu pewnego strasznie się na gospodarza rozeźliła, jak go zaczęła wyrażeniami obrzucać, skończyć nie mogła. No, pomyślałem, połaskoczę ją troszeczkę, żeby uwagę odwrócić. A ona, chlast go, biedaka, po gębie. Ale co zrobić — krótkowidz przecie...

Później koło starego Kuzi stanął zamorski gnom z dwoma długonosymi strzygami ubranymi, trudno zgadnąć, ni to w minispódniczki, ni to w maxi-kapelusze i zaczął się wymądrzać.

— Stwierdziliśmy w sposób niezbity, że wszystkiemu winna jest architektura. Współczesne wewnętrzne mieszkalne nie przewiduje, niestety, powierzchni kwaterek dla kłobuka lub elementu zastępczego. Gdzie, proszę powiedzieć, mamy mieszkać, jeżeli nie ma ani pieca, ani piwnicy, ani strychu? Osobiście, na przykład, jestem szczerze przywiązany do swego gospodarza i nie porzucę go bez względu na okoliczności. Ale niedawno przeprowadził się do nowego mieszkania i nawet nie zadał sobie trudu, by mnie zaprosić. No i porzuciłby mnie na pastwę losu, gdybym nie wpadł na pomysł, by wleźć do starego buta. Nie, dopóki architekci nie zaczną w projektach współczesnych wewnątrz mieszkalnych umieszczać dla nas jakichś zacisznych kącików, nie zazna ludzkość szczęścia, oj, nie zazna. Nawiasem mówiąc, mój gospodarz jest architektem i niedawno przeprowadziłem z nim następujący eksperyment — przez całą noc szeptałem mu do ucha o tym kąciku. Owszem, zastosował się do moich rad i uwzględnił w projekcie wyspecjalizowany zakątek. No i do czego to doprowadziło? Gospodarza wyśmiali, nazwali rutyniarzem i o mało nie wyrzucili z pracy. Nie wiem, nie wiem, o czym myśli ludzkość, jak będzie dalej żyć.

Strzygi popiskiwały z zachwytem, kręciły główkami na cieniutkich szyjkach, trącały się nosami i przytakiwały.

— Nie należy niedoceniać naszych możliwości — tłumaczyła z mora upiorowi przechadzając się wraz z nim naokoło krzaka, pod którym leżał stary Kuzia. — Bądź co bądź możemy wpływać na ludzi sugerując im podczas snu różne rzeczy. Ja, na przykład, nie jestem w stanie nic wykonać własnoręcznie, nawet nitki zwinąć, ale swemu gospodarzowi, redaktorowi największej gazety w kraju, zasugerowałam, żeby zorganizował dyskusję na temat ochrony przyrody. Cóż to była za dyskusja! Aż iskry leciały!

— Ginie, ginie czarcie plemię — buczał ktoś z tyłu. — Nie mamy najskromniejszych nawet warunków do wydajnej pracy. Proszę mi wyjaśnić, co ja jej złego, oprócz dobrego, zrobiłem? Ale ona mnie aerozolem, aerozolem, jak karalucha jakiegoś. O mało co duszę Bogu bym oddał, słowo honoru.

— Należy przystosowywać się do zmiany warunków, a nie płakać komuś w kamizelkę, drogi przyjacielu. Nawet mole nauczyły się żywić kapronami i nylonami. Dla nas to przecież znak niebios. Ja mam zamiar nieść krzyż do końca...

— Jeżeli chodzi o nas, wodniki, to mamy już dość. Posłużyliśmy ludzkości i basta, teraz sama niech się sobą zajmuje. Przy skupiskach ludzkich nie ma ani jednego nie zatrutego zbiornika wodnego. Przecież nie mogę, u diabła, żyć w mazucie! Nawet ryby zdychają, a my w końcu nie jesteśmy jakimiś tam płótkami, ale bądź co bądź twórcami i powinno się nam stwarzać odpowiednią atmosferę do pracy... Jeżeli więc ludzkość jeszcze nas potrzebuje, to przede wszystkim niech nas

wyprowadzi na czystą wodę...

— Jak zmiłowania, śmierci u Boga proszę, ale wciąż jej nie zsyła, no i wegetuję dalej. Jak powiadają, ani żywy, ani martwy...

W tej właśnie chwili rozległ się dzwonek i wszystkie stwory nieczyste zniknęły, jakby je wiatr zdmuchnął z powrotem do wąwoziku. Tylko jeden nietoperz zerkając na boki powędrował prosto do bufetu. Stary Kuzia wstał, otrzepał się, rozprostował kości i postanowił, że posłucha, o czym tam jeszcze będą rozprawiać. Ciekawość aż go rozpierała.

Dyskusja — hałaśliwa, bezładna, pełna namiętności — ciągnęła się prawie do wschodu słońca. Stary Kuzia wsłuchiwał się w każde słowo. Starał się zrozumieć, jaki jest cel tego zebrania duchów nieczystych, po co zjechali się tu przedstawiciele, delegaci wielu krajów. Ale nawet odwołując się do swego gruntownego, przyrodoznawczego wykształcenia nie mógł się tak od razu połapać, o co tu chodzi. Początkowo wydawało mu się, że głównym problemem, którym szalenie przejmowali się zebrani, jest to, że ostatnimi czasy ludzie stworzyli czarciemu plemieniu zupełnie nieznośne warunki egzystencji. Ale w miarę jak na pieńek wdrapywali się coraz to nowi oratorzy, staremu Kuzi zaczęło świtać w głowie, że to nie o swoją skórę martwią się diabli i że jedynym zadaniem kongresu jest uratowanie ludzkości, która zupełnie zagubiła się w labiryncie cywilizacji. Gdyby pokrótce zreasumować to, co stary Kuzia usłyszał w tej dyskusji, otrzymalibyśmy następujący obraz:

Kiedy w zamierzchłej przeszłości człowiek poznawał tajemnicę zdobywania ognia, pierwszym stworzeniem, jakie zamieszkało przy jego ognisku, wcale nie był pies, lecz diabeł, który porzucił swe błotniste uroczyska. Stopniowo poczęła kształtować się swoista i nader odporna na wszelkie życiowe trudności symbioza człowieka i diabła. W tym dziwnym, na pierwszy rzut oka, związku, człowiek dawał czartowi dach nad głową, karmił go i ogrzewał, czart zaś, którego średnia wieku wynosi setki lat, dbał o to, by tradycje, obyczaje i zwyczaje przekazywane były z pokolenia na pokolenie tak krótko żyjących ludzi. Od zarania dziejów człowiek był istotą społeczną, przy czym jego działalność społeczna rozwijała się w dwóch płaszczyznach — w plemienu i rodzinie. O ile jednak walka o byt sprawiała, że w miarę upływu wieków więzy plemienne krzepły, o tyle w sprawach rodzinnych trzeba było całkowicie zdać się na czarta. Od dawien dawna diabeł stał się dobrym duchem domowego ogniska — niańką, pedagogiem, doradcą, historykiem i etnografem, a gdy trzeba było, również sędzią i politykiem.

Kiedy dziecku po raz pierwszy zdarzyło się rozbić gliniany garnek, a więc przedmiot o niewątpliwiej wartości materialnej, wtedy prosiło: „Niech to diabli wezmą!” i diabeł posłusznie zbierał i wyrzucał skorupy. Gdy zdarzyło się to po raz drugi, matka mówiła gniewnie: „Niech cię czarci porwą!”, a wtedy czart posłusznie brał dziecko i na jakąś godzinkę lub dwie uwalniał od jego obecności krzątającą się po kuchni kobietę. Jeżeli nie można było czegoś znaleźć w chacie, mówiono: „Diabli wiedzą, gdzie to jest”, no a diabeł istotnie wiedział. Lecz gdy w domu zapanował kompletny chaos, powiadano: „Sam diabeł kark by tu sobie skręcił” i rzeczywiście, nieraz się zdarzało, że diabeł próbując rozwikłać zagmatwane ludzkie sprawy, ulegał takiemu właśnie wypadkowi przy pracy. Za występki, które przeciwko rodzinie i obyczajom przodków popełnił ktoś z domowników, karę wymierzał diabeł i ludzie przywykli wysyłać winowajcę do kompetentnych czynników jednym, krótkim zdaniem; „Idź do diabła!” Niekiedy czart zmuszał kogoś do zajęcia się czymś trudnym, ryzykownym i gdy sprawa brała w łeb, poszkodowany człowiek narzekał: „Diabli mnie podkusili w pojedynkę napadać na mamuta!”

Gdy dziecko szło na spacer w towarzystwie diabła, dorośli nie niepokoiли się o swego potomka i mówili: „Czort z nim!”

Niekiedy karał on całą rodzinę: „Znowu jakichś gości diabli niosą!”, niekiedy zaś nie szczędził niespodzianek: „Licho nie śpi!” Kiedy czart był wyjątkowo zaradny, sumienny i lojalny, wtedy o jego szczęśliwym gospodarzu powiadano: „Temu to diabeł dzieci kołysze!”

W każdym razie człowiek bez diabelskiej pomocy był zupełnie bezradny, a jeżeli zamiast swojego diabła, który wyjechał na ustawowy wypoczynek, pojawił się jego zastępca, człowiek dawał wyraz swemu zdziwieniu: „Co za licho?”

Tak działo się od wieków. Zdawać by się mogło, że nic nie zagraża rodzinie, nic nie zagraża współpracy człowieka i diabła. Aż nagle, gdzieś w połowie dwudziestego wieku, społeczeństwem wstrząsnęła potężna fala rewolucji technicznej, która przyniosła ze sobą nowe dobra i wartości. Delikatna skorupka ludzkiej rodziny nie wytrzymała tego wstrząsu, zarysowała się nieco, początkowo prawie niedostrzegalnie. Dopiero gdy rodzina w gruncie rzeczy utraciła swe poprzednie wpływy na proces wychowawczy, albo — ujmując rzecz szerzej — na kształtowanie się człowieka, diabli, poczuwając się do odpowiedzialności za współtowarzysza w symbiozie, pojęli, co się dzieje, i zaniepokoiili się nie na żarty.

I nie bez powodu.

Gdzież bowiem, jak nie w rodzinie, od dzieciństwa uczono człowieka, by kochał matkę i czcił ojca swego, szanował starszych i troszczył się o młodszych? Gdzież, jak nie w rodzinie, kultywowano tradycje, wpajano przekonania, z dziada na wnuka przekazywano wypróbowane przez wieki obrzędy i obyczaje? I gdzież, jak nie w rodzinie, czerpał człowiek doświadczenie życiowe i mądrość życiową, tak potrzebne w kontaktach z bliźnimi? Oto dlaczego kult domowego ogniska, domowych pieleszy, domu ojczystego był swego czasu głównym obiektem troskliwej opieki czartów, których olbrzymia większość przekształciła się po prostu w domowe kłobuki.

Kiedy jednak rola rodziny zaczęła podupadać, gdy matka i żona, w przeszłości opiekunka domowego ogniska, stała się kimś na wzór i podobieństwo mężczyzny i poszła do pracy; gdy zajęcia zawodowe, czas wolny, rozrywki, jedzenie, wychowanie dzieci, tradycyjne święta oraz inne obrzędy zaczęły odbywać się poza domem, ludzkie mieszkanie utraciło swą dotychczasową organizującą rolę.

Dom utracił swoje poprzednie znaczenie, młodzi ludzie zbyt szybko uzyskiwali samodzielność, zbyt wcześnie porzucali rodzinne gniazdo, próbowali stworzyć swój własny dom. W ten sposób łańcuch dziedzicznych tradycji nie mógł należycie okrzepnąć i pękał. Synowie i córki nie mieli dość czasu na to, by przejąć mądrość życiową ojca i matki, mądrość wypróbowaną doświadczeniem wielu pokoleń — i w efekcie każda generacja musiała wszystko zaczynać od początku. Młodzi, którzy nie posiadli wiedzy o kontaktach międzyludzkich, nie umieli ustępować sobie nawzajem, nie znali uczuć przywiązania i wyrozumiałości, nie potrafili również sensownie zorganizować swojej rodziny, nie umieli rozsądnie wychować własnych dzieci. Jakże znaleźć wyjście? Co należy zrobić, by człowiek powrócił na łono rodziny? Jakże natychmiastowe i skuteczne kroki należy podjąć? O tym właśnie rozprawiano na burzliwym i smętnym czarcim kongresie.

Ponure przemowy delegatów, ich przejmujące wycia, skargi i jęki tak oszołomiły starego, że wkrótce zupełnie stracił głowę. Ale zahartowany w bojach z przeciwnościami, doświadczony przez nieporównywanie bardziej skomplikowane perypetie, stary Kuzia wziął się w garść i wkrótce w jego umyśle dojrzał przebiegły i dalekosiężny plan. Teraz już wiedział, jak ma odwrócić grożące czarciem plemieniu, a w rezultacie i ludzkości, nieszczęście.

— Albo wóz, albo przewóz — zdecydowanym tonem oznajmił stary. Z tymi słowy ściągnął koszulę, zawiązał rękawami kołnierz, dzięki czemu otrzymał coś na kształt worka, nałożył marynarkę na gołe ciało i przeczuwając, że posiedzenie wkrótce się skończy, przyczał się koło ścieżki.

Nie musiał czekać zbyt długo. Pierwszy trafił do worka jakiś gapiowaty boruta z zieloną brodą, stary jak sama tajga. Później, gdy ścieżką zaczęli wędrować jeden po drugim kolejni delegaci, do towarzystwa borucie powędrowały dwie nierozłączne strzygi, ponura zmora o mętnych ślepiach, parka cuchnących pleśnią kłobuków, zagraniczny troll pachnący dobrą wodą kolońską i ze dwadzieścia dmuchawcowych kul, które, jak się to później okazało, były duszkami rodzinnymi. Stary Kuzia z workiem wypełnionym zdobyczą skierował się już w stronę domu, gdy usłyszał znajomy skrzypiący głos. Po ścieżce wędrował w otoczeniu świty upiorów znany mu już diabeł.

— Aha, to ty, Hersztuk, czarci synu! — ucieszył się stary. Tylko ciebie mi brakowało!

Wyskoczył na ścieżkę i schwycił Herr Stücka za nogę. W tym samym jednak momencie worek zaczepił o krzak, rozwiązał się i wszystkie schwytane stwory rozbiegły się w mgnieniu oka. Stary Kuzia zaklął, splunął, podniósł koszulę, postanowił jednak nie łapać już nikogo. Bał się, żeby mu Herr Stlick nie uciekł. Trudno zgadnąć dlaczego, ale ten cały Herr Stück, diabeł poważny i rozsądny, przypadł staremu do gustu. Ruszył więc do domu z koszulą przerzuconą przez ramię i trzymając diabła na rękach. Żeby niewielkie, ale nader widoczne różki Herr Stücka nie rzucały się w oczy jakiemuś przypadkowemu przechodniowi, stary Kuzia przykrył je dłonią i co chwila głaskał diabła po głowie. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że Kuźma Łykov wraca z lasu niosąc na rękach dużego czarnego szczeniaka. Na szczęście nikogo o tak wczesnej porze nie spotkali.

Zanim stary Kuzia dotarł do wioski, przełazi koło paśnika przez płot i otworzył furtkę na podwórze, słońce wychyliło się już zza horyzontu. Stary przede wszystkim zdjął z gwoździka nad budą psi łańcuch, pamiątkę po Burku, który zdechł na wiosnę, zrobił z rzemyka coś na kształt obróżki i przywiązał Herr Stücka do nogi żelaznego łóżka. Łóżko stało w szopie, w której poprzednio stara zamykała niekiedy Kuzię, żeby mu „głupoty wywietrzały na świeżym powietrzu” i żeby „chaty swoim chuchem nie zatruwał”. Potem cichutko zakradł się do sieni, przyniósł spodeczek mleka, postawił na podłodze przed Herr Stükiem i położył się na łóżku.

Po burzliwych przeżyciach minionej nocy sen zmorzył go natychmiast.

Śniły się mu różne bzdury, takie bzdury, że nie daj Boże. Jakoby u nich, w Czortowie, miała się dziś odbyć wyjazdowa sesja Akademii Nauk, stary Kuzia powinien wygłosić na niej referat, a tu jeszcze cała góra literatury do przeczytania, no i nie zaopatrzył się w to, czym godnie mógłby przyjąć kumpli z naukowego świata. Śniło mu się, że przez całą noc przygotowywał się do referatu, rankiem zaś szykował to co należy na spotkanie oraz zasiadał w komitecie organizacyjnym, w którego skład wchodził oprócz niego Afońka i, rzecz jasna, kum Leksiej.

Stary Kuzia obudził się w południe i natychmiast spostrzegł, że spał nie wiedzieć czemu nie w swojej szopie, ale na kanapie w Domu Kultury. Obok piętrzyła się solidna sterta dzieł naukowych, na których leżały jego okulary. Wszystko było możliwe, mógł, oczywiście, w głupocie swojej przybiec do roboty gdzieś o świcie i przygotowywać się do referatu na sesję Akademii — albo to wiadomo co trzeźwemu do łba strzeli? — ale skąd się tu wzięły okulary? Stary doskonale wiedział, że zostawił je w chacie u synowej, na komodzie, i że wczoraj wieczorem, zanim wyszedł na chwilę na podwórze, pomyślał sobie, oj, żeby tylko ich nie zapomnieć.

Stary Kuzia, głowiąc się nad tą przedziwną sytuacją, wstał z tapczanu i nagle poczuł miły ciężar w kieszeniach marynarki. Było to właśnie to — dwie nietknięte butelki. W umyśle starego wszystko się zakotłowało. Czy przypadkiem nie naruszył przyrzeczenia, które złożył Gminnej Radzie oraz przewodniczącemu Afońce osobiście i czy te wszystkie przygody z diabłami i kongresem nie przyśniły mu się przypadkiem w pijanym widzie. Fakty, które trzymał w rękach, niezbitnie potwierdzały słuszność tej hipotezy, ale stary niczego nie mógł sobie przypomnieć.

Aby ostatecznie rozwiązać wszelkie wątpliwości, pospieszył do domu, bowiem tylko Herr Stück,

tylko on jeden mógł go uspokoić. Ale Herr Stücka w szopie nie było — za to spodeczek z mlekiem i łańcuch znajdowały się tam, gdzie je umieścił. Niestety, ani talerzyk, ani łańcuch nie były w tym wypadku żadnym niezbitym dowodem, iż w Czortowie odbył się międzynarodowy kongres. Wniosek nasuwał się sam — wszystko to przywidziało mu się w stanie upojenia alkoholowego.

Kiedy jednak skontrolował swe samopoczucie, nie skonstatował ani bólu głowy, ani pragnienia, ani też chęci, żeby się „podleczyć”. Było to niezbitym świadectwem, że nie złamał obietnicy, zjawiska zaś, na pierwszy rzut oka nie wyjaśnione, można było wytłumaczyć nader prosto — siły nieczyste w osobie herr Stücka splątały mu paskudnego psikusa i trzeba się mieć na baczności.

Gdy stary Kuzia doszedł do takiego wniosku, już bez żalu wziął obie półlitrowki, przelazł do ogrodu kuma Leksieja i zasadził je na grządce z ogórkami, z której, zdarzało się, podkradali ogóreczki na zakąskę i którą, wiedział dobrze, kum Leksiej niechybnie wkrótce odwiedzi. Niech ma niespodziankę.

Stary pozbył się pokusy, poszedł do chaty i tam, u synowej na komodzie, znalazł kolejne potwierdzenie słuszności swych domysłów — okulary, drugie okulary, dokładnie takie same, jak te w kieszeni. Nie było już żadnych wątpliwości — czyż bez pomocy siły nieczystej można obecnie dostać okulary?

To ostatecznie go uspokoiło. Zabrał się więc u siebie w szopie do przygotowywania wędek — z tą tylko różnicą, że zamiast haczyków, ciężarków i spławików wypróbowywał różne pętłe. Potem obejrzał skórzaną obrózkę, z której herr Stück bez trudu wysunął swą rogatą głowę i rozciął starą puszkę po konserwach, żeby przygotować ulepszoną wersję obroży. Przy tym zajęciu zastała go stara.

— Co tu majstrujesz na głodniaka? Obiadu nie jadłeś... — zapytała wachając podejrzliwie.

— Eee, tak, błystkę robię — skłamał bez mrugnięcia okiem stary Kuzia. — Pomyślałem sobie, że warto by jutro skoro świt pójść na ryby. Powinny dobrze brać.

Tym razem Herr Stück był przywiązany solidnie i nie mógł już uciec. Stary Kuzia dobrze jednak pamiętał poprzedniego diabelskiego psikusa i z całych sił starał się nie zasnąć. Mimo to jednak sen go zmorzył.

Obudził się, bo ktoś łaskotał go w ucho. Początkowo zdawało mu się przez sen, że do ucha wlała mu pluskwa. Otworzył oczy — koło poduszki siedział zafrasowany Łopotusza i w skupieniu łaskotał starego Kuzię słomką.

— Zgiń, przepadnij! — warknął na niego stary. Łopotusza nie przepadł jednak, zjeżył się tylko. Koło łóżka leżał zwinięty w kłębek ponury Herr Stück. Nie spał.

— Kuźmo Nikiforowiczu, niech pan wypuści obcokrajowca — poprosił Łopotusza łamiącym się głosem i zmiął słomkę.

— Coś ty za jeden, że próbujesz mi rozkazywać?

— Przecież tutejszy, czortowski. Za kłobuka robię u Bachtiejewych.

— No to wynocha stąd — podsumował sprawę Kuzia i przewrócił się na drugi bok.

— W żaden sposób nie mogę, Kuźmo Nikiforowiczu — nie ustępował Łopotusza. — Niechże pan pomyśli — herr Stück jest cudzoziemcem, osobą, można rzec, nietykalną, delegatem na kongres, członkiem komitetu wykonawczego, mistrzem zakonu. Przecież to międzynarodowy skandal, Kuźmo Nikiforowiczu! Daliśmy gwarancje i co będziemy odpowiadać na ich notę? Na cały świat skompromituje pan naszą wioskę...

— Proszę ja kogo, o kompromitacji będzie mi tu gadać! Powiedz no lepiej, ty sukinsynu, któż to ubiegłej nocy przed cudzoziemcem obsmarował naszą wioskę, co?

— A kto do zagranicznej gazety trafił, kiedy swą urzędową ślubną starą wiedźmą nazwał? —

odgryzł się Łopotusza.

— No, kto taki? Kto!

— Pan, Kuźmo Nikiforowiczu, pan, któż by inny.

Stary Kuzia był tak zaskoczony, że aż mu mowę odebrało. Nagle w całej jaskrawości stanęła mu przed oczyma ta dawna scena, kiedy pożarł się ze starą koło sklepu. Chciał u niej wydebić na flaszkę i nazwał ją nieładnie w obecności jakiegoś uśmiechającego się krzywo cudzoziemca w kraciastych spodniach.

— Nno tak, możliwe, nie pamiętam — wymamrotał zmieszany. Natychmiast jednak, spojrzawszy na ponuro przysłuchującego się rozmowie mistrza zakonu, oznajmił stanowczo. — Ale Hersztuka nie oddam, potrzebny mi, znaczy się, do sprawy... No, to wszystko, wynoś się, mój łaskawco, audyencja skończona.

Ale Łopotusza wcale nie miał zamiaru się wynosić.

— Po co panu, Kuźmo Nikiforowiczu, zagraniczny diabeł? Same z nim kłopoty. Waszych obyczajów nie zna, nic w domu nie robi, po co panu taki ciężar? Niech pan weźmie mnie zamiast niego, do końca dni swoich będę wiernie służyć — panu, pańskim dzieciom i pańskim wnukom.

— Przecież chyba mam własnego kłobuka, co? — niepewnie zauważył stary. — Mówiliście tam, na tym waszym kongresie, że w każdym domu...

— Miał pan, Kuźmo Nikiforowiczu. Miał pan, ale ten pański kłobuk już kopyta wyciągnął. Trzy lata minęły, jak ducha wyzionął kum Susieduszko, wieczne mu odpoczywanie. Zatrął go pan swoimi wyziewami. Odcierpiał swoje, biedaczysko.

— Ale ty sam się napraszasz. Co, nie boisz się zatruć?

— Oj, niesłodko żyć u pana, Kuźmo Nikiforowiczu, niesłodko. Widzi pan, na jaką ofiarę się decyduję, by zapobiec konfliktowi międzynarodowemu? Niech pan wypuści cudzoziemca — zapewnię pańskiemu domowi szczęście i dostatek.

— Jasna sprawa — powiedział w zamyśleniu stary Kuzia drapiąc się po szczeciniastym podbródku — dobrze by było porządek zaprowadzić, zupełne rozprężenie w chacie przez to moje ciągłe zapracowanie. Ale to sprawa wagi państwowej. Nawet wszechświatowej. Dlatego więc, przyjacielu, składam swój osobisty dobrobyt w ofierze interesom społecznym i Hersztuka nie oddam.

— Rany boskie, na cóż on panu?

— Załatwię sobie urlop, sprzedam jesienią kartofle i machnę się do Moskwy, prosto do Akademii Nauk. Niech się tam uczeni z waszym Hersztukiem dogadają i wspólnie rozwiązują problemy, które wy, czartowskie plemię, w głupocie swojej bez ludzkiej pomocy chcieliście rozwiązać.

W tej samej chwili milczący dotąd Herr Stück zerwał się na równe nogi, stuknął kopytkiem i wrzasnął:

— Zgubić mnie chce!

— Niech się pan nie denerwuje, panie kolego — uspokoił go Łopotusza. — Daję słowo, całą sprawę tak lub inaczej da się rozwiązać.

— Tak lub inaczej! Otóż to — tak lub inaczej! — biadolił zagraniczny gość.

— Przecież jest pan wysoce wykształconym człowiekiem, niezwykle kulturalnym, Kuźmo Nikiforowiczu — zaczął pompatycznie przemawiać Łopotusza. — Czyż pan nie rozumie, że tą drogą nie tylko nic pan nie uzyska, ale również zniszczy pan w zarodku wszystkie nasze plany? Przecież kongres uchwalił nie jakieś tam dowcipasy, ale mądre, poważne decyzje. Proszę wziąć pod uwagę, że na szali leży przyszłość ludzkości i że przyszłość ta znajduje się w pańskich rękach, Kuźmo Nikiforowiczu. A pan — do Akademii! Ci tam, akademicy, mają zupełnie inne poglądy na życie. I

zupełnie inne cele. Myśli pan, że to ich zainteresuje? Ale gdzież tam! Owszem, zainteresuje ich, do jakiej rodziny rzędu parzystokopytnych należy Herr Stück. Tylko to ich zainteresuje...

— Oni mnie spreparują! — wzdrygnął się herr Stück i nagle rzucił się na kolana. — Na wszystkie świętości zaklinam pana, mister Łykw!

Tego było już za wiele.

— Sza, niechrześcienie! — podniósł głos stary Kuzia. — Tylko mi przeszkadzacie spać swoim mruzeniem. Bo jak was przeżegnam!

Herr Stück i Łopotusza umilkli przestraszeni, natomiast stary Kuzia odwrócił się do ściany, naciągnął koc na głowę i zasnął snem sprawiedliwego.

Obudził się dobrze po południu. Po Łopotuszy i herr Stücku już ślad przestygł. Gruba, żelazna noga łóżka, do której przywiązał o świcie czarta, była wygięta w łuk, herr Stück zaś zwiął razem ze zsuniętym z niej łańcuchem. W miejscu, w którym niedawno siedział rogaty członek komitetu wykonawczego, leżała kartka z magicznym słowem *Auf Wiedersehen!*

Staremu Kuzi zrobiło się słabo. Poczul, jak serce zaczęło mu łomotać jak oszalone, dusza uciekła w pięty. Jedno z dwojga — albo diabetis, albo myocarditis, pomyślał i runął bez zmysłów.

Od tej chwili minęły dwa lata.

Stary Kuzia ostatecznie rzucił wódkę i nikt ani razu nie widział go pod muchą, nawet w niedziele. W domu zapanował pokój i dobrobyt. Stara była zadowolona, syn z synową żyli jak dwa gołąbki, Niutka zaczęła się lepiej uczyć, zapisała się do kółka kroju i szycia, Pietka też się ustatkował, zabrał się do różnych prac domowych, nareperował dach, postawił nowy płot. W czasie świąt duży, rodzinny stół łamał się od potraw, niedawno kupili nowy motocykl z przyczepą, telewizor i lodówkę, ale mimo to zawsze starczało pieniędzy do pierwszego. Sąsiedzi i krewni, z wyjątkiem kuma Leksieja, nie mogli się nacieszyć takim nieoczekiwanym rozkwitem rodziny Łykwów.

Ale ten dobrobyt wiele kosztował starego Kuzię. Szczególnie początkowo chodził mroczny niby chmura gradowa — czuł jak kamień przygniata mu serce. Nieraz, gdy był sam w domu, szperał pogrzebaczem za piecem, szukał czegoś w piwnicy i na strychu, nawet, kupił pułapkę na myszy i ustawiał ją nocami, ale nic nie udało mu się w nią złapać.

W wyniku tych wydarzeń ucierpiał również przewodniczący Gminnej Rady, Afonin. W pierwszych miesiącach swej trzeźwości stary Kuzia nie odstępował go ani na krok i codziennie składał ustne oświadczenie, że nikt inny, tylko sam człowiek może pomóc ludzkości znaleźć właściwe wyjście z zaistniałej sytuacji i uparcie domagał się, by Afonin zredagował mu umotywowane pismo do Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie niesłuchanie ważnej dla całego rodu ludzkiego. Sam Kuzia, choć czytał dość biegle, pisać nie umiał, podpisywał się tylko.

Ponieważ jednak Afonin na ustne oświadczenia nie reagował jak też ignorował żądanie zredagowania pisma, stary Kuzia sam zaczął uczyć się języka obcego, aby jesienią, po sprzedaniu kartofli, osobiście machnąć do Narodów Zjednoczonych i wygłosić tam umotywowaną mowę w rzeczonym języku obcym. Swe zajęcia naukowe stary Kuzia zarzucił całkowicie, siedząc po nocach w Domu Kultury wciąż powtarzał obcojęzyczne wyrazy i najwidoczniej szło mu to nieźle, ani mieszkańcy wioski bowiem, ani przyjezdni goście nie rozumieli ani słowa.

W miarę jednak opanowywania bogactw leksykalnych stary Kuzia uspokajał się coraz bardziej, kamień, który leżał mu na sercu kruszył się, coraz mniej ciążyło mu brzemię odpowiedzialności za losy ludzkości i wreszcie doszedł do słusznego wniosku, że ten cały kongres i związane z nim diabelskie sztuczki to nic innego jak całkowicie naukowa halucynacja. Zresztą, wychodząc wieczorami na podwórko z przyzwyczajenia wyteżał słuch — czy przypadkiem od strony szopy nie

dobiegnie go znajomy głos. Myślał jednak już nie o diabłach, ale o tym, że czas najwyższy zorganizować przy pomocy Afonina czortowski oddział Towarzystwa Walki z Nałogami. Któż bowiem poza starym Kuzią mógłby zostać jego przewodniczącym?

Przełożył Sławomir Kędziński

Do trietich pietuchow

Nim trzeci kur zapieje...

Bajka o głupim Iwanie, który wędrował za siedem gór, siedem rzek, coby rozumu nabrać.

Kiedys w pewnej bibliotece, gdzieś tak koło szóstej wieczorem, bohaterowie rosyjskiej literatury klasycznej zaczęli się kłócić. Dopóki jeszcze bibliotekarka była na miejscu, przyglądali się jej ze swoich półek pełni zainteresowania i czekali. Na odchodnym bibliotekarka rozmawiała jeszcze z kimś przez telefon. Rozmawiała tak dziwnie, że bohaterowie literaccy słuchali i nic nie rozumieli.

— No nie — mówiła bibliotekarka — to w sumie małe piwo. Tak, taki z niego jelen. Lepiej pobałujmy. Co? No mówię, że jelen... Zaszalejemy, co? Potem wpadniemy do Władika. Wiem, że to baran, ale ma grundiga, posiedzimy, posłuchamy Mors też będzie, i ten, wiesz, od Puchacza. Wiem, że to wszystko jelenie, ale coś trzeba zrobić z czasem!

— Nic z tego nie rozumiem — cicho powiedział ktoś w cylindrze, ni to Oniegin, ni Czacki, do swojego sąsiada, ociężałego szlachcica, prawdopodobnie Obłomowa. Obłomow uśmiechnął się:

— Wybierają się do zoo.

— To tam są same jelenie?

— To ma być ironia? Niezła, co?

Pan w cylindrze skrzywił się:

— Fi donc!

— Francuzek się panu zachciewa — z dezaprobatą powiedział Obłomow. — A mnie się podoba. Z tymi nogami to oni niezłe wymyślili, co?

— To już... tego... — wtrącił się do rozmowy niewyglądny jegomość, wyraźnie bohater z Czechowa. — To już za krótko. Po co to?

Obłomow zaśmiał się cicho:

— To po co tam patrzysz? Weź i nie patrz.

— W samej rzeczy nie moja to sprawa — wmieszała się postać z Czechowa. — Proszę bardzo! Tylko dlaczego zaczęli od nóg?

— Co? — nie zrozumiał Obłomow.

— Odradzać się.

— A niby jak się odradzać? Od nóg, bracie, najlepiej od nóg.

— A pan wciąż taki sam — ze skrytą pogardą zauważył Niewyglądny. Obłomow znów cicho się zaśmiał.

— Słuchaj, stara! — krzyczała w słuchawkę bibliotekarka. — To osioł! Kto ma samochód? On? Nie, poważnie?! — bibliotekarka umilkła na dłuższą chwilę. — Doktor czego? — zapytała cicho. — Ach, tak!.. Sama jestem oślica.

Bibliotekarka bardzo się zdenerwowała. Odłożyła słuchawkę, chwilę posiedziała, a potem wstała i wyszła. I zamknęła bibliotekę na klucz.

Wtedy bohaterowie rosyjskiej literatury żywo zeskoczyli ze swoich półek, zaszurali krzesłami.

— Tempo, panowie, tempo! — pokrzykiwał jakiś łysoń w zarękawkach. — Jedziemy dalej. Kto

chce jeszcze coś dodać na temat głupiego Iwana? Jedna prośba, nie powtarzajcie się! I proszę się streszczać! Musimy jeszcze dzisiaj podjąć jakąś decyzję. Kto chce zabrać głos?

— Czy mogę? — odezwała się nieśmiało Biedna Liza.

— Nie krępuj się, Liza — powiedział Łusy.

— Ja sama jestem pochodzenia chłopskiego — zaczęła Biedna Liza — i wszyscy wiecie, jaka jestem biedna.

— Wiemy, wiemy! — zaszumiała sala. — Streszczaj się!

— Ale wstyd mi — pełna świętego oburzenia kontynuowała Biedna Liza — że głupi Iwan znajduje się tu, między nami! Jak długo jeszcze! Jak długo jeszcze, pytam, okrywał będzie hańbą nasze szeregi?!

— Wypędzić! — zabrzmiały głosy z tylnych rzędów.

— Cicho! — surowo powiedział Łusy w zarękawkach. — Co proponujesz, Lizo?

— Niech przyniesie zaświadczenie, że jest mądry!

Rozległ się pełen aprobaty szmerek.

— Dobrze mówi!

— Niech przyniesie! Albo niech się wyniesie!

— Coście tacy w gorącej wodzie kąpani? — odezwał się ogromny Ilia Muromiec, który siedział na swojej półce i nie mógł wstać. — Rozwrzeszczeli się. Skąd on ma to wziąć? Łatwo wam mówić...

— Od Mędrca. — Prowadzący zebranie Łusy rąbnął pięścią w stół. — Ilia, nie udzielałem ci głosu!

— Nie pytałem cię o pozwolenie! I pytać nie będę! Zamknij jadaczkę, bo przyduszę, atramentem napoję! I jeszcze bibułą zakąsisz! Gryzipiór!

— No, zaczyna się! — z niezadowoleniem powiedział Obłomow. — Ilia, ty byś tylko pyskował. A cóż widzisz takiego złego w propozycji, żeby przyniósł zaświadczenie? Mnie też jakoś niezręcznie przy jednym stole z głupim. Jemu onuce śmierdzą. Sądzę zresztą, że nikomu...

— Cyt! — zagrzemiał Ilia. — Niezręcznie mu, widzicie! A pałą w łeb chcesz? Sięgnę!

Tu ktoś wyraźnie przypadkowy zauważył:

— Bratobójcze walki!

— Co? — nie zrozumiał Łusy.

— Bratobójcze walki — wyjaśnił Przypadkowy. — Zginiemy!

— Kto zginie? — Ilia także nie dostrzegał niebezpieczeństwa, o którym mówił Przypadkowy. — Klapnij se, ułan. Bo i ciebie trzepnę!

— Żądam satysfakcji! — podskoczył Przypadkowy.

— Siadajże! — powiedział urzędas. — Jakiej satysfakcji?

— Żądam satysfakcji! Ten karaczarowski żłób mnie obraził!

— Siadaj! — przyłączył się do Łysego Obłomow. — Co zrobimy z Iwanem?

Wszyscy głęboko się zadumali.

Głupi Iwan siedział w kącie i miętosił róg swego kubraka.

— Myślcie, myślcie... — powiedział. — Mądrale się znalazły. Dochtory...

— Nie bądź cham. Iwan — uciszył go urzędas. — Troszczą się o niego, a on wyskakuje z pyskiem. Co sądzisz o tym zaświadczeniu? Może byś jednak poszedł?

Dokąd?

— Do Mędrca. Coś z tym fantem trzeba zrobić. Ja się przychyłam do zdania...

— A ja się nie przychyłam! — rozdarł się znowu Ilia. — Przychyła się! A przychyłaj się do

upojenia! Nie idź, Wańka! Głupotę wymyślili, zaświadczenie! Kto z tym wyskoczył? Lizka? Co ty, babo!

— A nic! — wykrzyknęła Biedna Liza. — Jak ty siedzisz, to wszyscy muszą siedzieć? Nie weźmiesz nas, wujaszku Ilio, na lep swojej siedzącej agitacji! Zgadza się ze zdaniem przewodniczącego zebrania: trzeba coś zrobić. — I raz jeszcze powiedziała cienkim, pełnym przekonania głosem: — Coś trzeba zrobić!

Wszyscy się zamyślili. A Ilija zmarszczył brwi.

— Co to za „siedząca agitacja”? — warknął. — Gada byle co?! Co za agitacja?

— Ciągłe taka sama! — krzyknął do niego Obłomow. — Powiedzieli ci: siedząca!

— Ja—ka? — mówił dalej Obłomow. — Zamilcz, proszę! Przyjaciele, koniecznie trzeba coś zrobić. Należy się tylko zastanowić co.

— A ja i tak żądam satysfakcji! — przypomniał sobie swoją obrazę Przypadkowy. — Wyzywam tego krzykacza (do Ilii) na pojedynek!

— Siadaj! — krzyknął na Przypadkowego urzędas. — Mamy coś robić, czy zajmować się pojedynkami? Koniec z robieniem z siebie idioty! I tak już marnowaliśmy kupę czasu! Trzeba coś zrobić, a nie ganiać po lesie z pistoletami!

Tu wszyscy, mocno przejęci, zaczęli nieśmiało klaskać.

— Ja tobym w ogóle zabronił pojedynków! — zawołał blady Leński.

— Tchórz! — odpowiedział mu Oniegin.

— Kto tchórz?

— Ty tchórz!

— A ty nicpoń! Szuler! Rozpustnik! Cynik!

— A chodźmy na Wołgę! — wykrzyknął nagle kozacki Ataman. — Hajda |w step!

— Siadaj! — zdenerwował się urzędas. — Ja ci pokażę „hajda!” Wrzucę za szafę i tam sobie krzycz! Pytam po raz ostatni: co robimy?

— Chodź no tu, Atamanie — poprosił Ilija Kozaka. — Coś ci powiem.

— Uprzedzam — powiedział urzędas — że jeżeli zaczniecie jakąś awanturę, to łby poukręcę. Też mi, widzicie, vox populi dla ubogich!

— Odezwać się nie można! — oburzył się Ilija. — No co! Co za naród, Boże miłosierny! Co byś powiedział, zawsze im nie tak.

— Tylko nie udawajcie, z łaski swojej — wycodził z pogardą Oniegin, obracając się do Ilii i Kozaka — że tylko wy jedni reprezentujecie tu lud. My też jesteśmy solą tej ziemi.

— Zara się rzucą glebę ojczystą całować — powiedziała jakaś drugoplanowa postać w typie gogolowskiego Akakija Akakiewicza. — Paluchy będą gryźć...

— Na diabła mnie paluchy gryźć? — szczerze zdziwił się kozacki Ataman. — Paluszkciem to ja cię przygniotę, karczek ci skręcę...

— Ciągłe krwawe bratobójcze właśnie — smętnie zauważył Przypadkowy. — Teraz to już w ogóle niczego nie zrobimy! A w dodatku przepadniemy!

— Hajda na Wołgę! — rozdarł się znowu Ataman. — Pohulamy!

— Siadaj! — ze złością powiedział Obłomow. — Hulaka! Tylko by hulali! Tu trzeba coś zrobić, a nie hulać!

— Aaaa — zaszeptał złowieszczo Ataman. — Tego szukałem całe życie, tego mi właśnie trza! — Wyciągnął szablę z pochwy. — I temu zaraz juchy utoczę!

Wszyscy poderwali się z miejsc.

Akakij Akakiewicz jak ptak pofrunął na swoją półkę. Biedna Liza przykucnęła przerażona i zasłoniła głowę sarafanem. Oniegin trzęsącymi się rękami nabijał pojedynkowe pistolety. A Ilia Muromiec śmiał się i mówił:

— Żwawiutcy się zrobili, diabły kosmate! Pyskają aż miło! Obłomow odgrodził się od Kozaka krzesłem i przeraźliwie krzyczał:

— Zapytajże historyków literatury! Zapytaj! Byłem dobry! Tylko nicpoń był ze mnie nie uświadomiony! Ale nieszkodliwy!

— To się zobaczy! — powiedział Kozak. — Zobaczy się, czyś ty dobry: dobrych moja szabla się nie ima.

Urzędas zbliżył się do Kozaka, ten się na niego zamachnął i urzędas odskoczył.

— Różnij, Kozacze! — wrzasnął Ilia. — Rozlej krew pohańczę! I jeden Bóg wie, jakby się to mogło skończyć, gdyby nie Akakij Akakiewicz. Pośród całego tego zamętu podskoczył nagle i krzyknął:

— Remanent!

Wszyscy zamarli... Oprzytomnieli. Kozak schował szablę. Obłomow otarł twarz chustką. Liza wstała i wstydliwie obciągnęła sarafan.

— Dicz — gorzko powiedział urzędas. — I jak tu można cokolwiek zrobić. Dziękuję, Akakij, jakoś mi nie przyszło do głowy ogłosić remanent.

— Ilia, nie masz czegoś do wypicia? — zapytał Kozak Muromca.

— Skąd? — odparł Ilia. — Jestem niepijący.

— Ciężko na duszy — westchnął Kozak. — Mam kaca po tym wszystkim.

— A to co znowu? Rozszalał się — powiedział urzędas. — Jedziemy dalej. Liza, ty chciałaś jeszcze coś dodać?

— Proponuję wysłać głupiego Iwana do Mędrca po zaświadczenie — powiedziała Liza głośno i z przekonaniem. — Jeżeli nie wróci, nim trzeci kur zapieje, to niech... sama nie wiem... niech się stąd zabiera!

— A dokąd on pójdzie? — smutno spytał Ilia.

— Niech idzie do antykwariatu! — twardo odparła Liza.

— O, panienko, nie za ostro? — zapytał ktoś z powątpiewaniem.

— Nie za ostro! — także twardo powiedział urzędas. — W żadnym wypadku. Tak trzeba, Iwan!

— Tutaj! — odkrzyknął Iwan. I wstał.

— Idź.

Iwan popatrzył na Ilię.

Ilia schylił głowę i zamilkł. I Kozak także zamilkł, tylko z wysiłkiem zmarszczył czoło i powiódł wzrokiem po półkach i stole — widocznie ciągle szukał gorzały.

— Idź, Wańka — cicho powiedział Ilia. — Nic się tu nie da zrobić. Trzeba iść. Widzisz, jacy oni wszyscy mądrze. Idź i pamiętaj: w ogniu ci nie spłonąć, w wodzie nie utonąć. Za inne rzeczy nie rękę.

— Chcesz moją szablę? — zaproponował Iwanowi Kozak.

— A po co mi ona?

— Iwan — powiedział Ilia. — Idź śmiało: będę o tobie myślał. Jak cię bieda przyciśnie — jak ktoś będzie na ciebie nastawał, krzyknę: „Wańka, uważaj!”

— Skąd będziesz wiedział, że go bieda przydusiła? — spytał Kozak.

— Będę wiedział. Sercem poczuję. A ty, Iwan, mój głos posłyszysz. Iwan wyszedł na środek biblioteki, pokłonił się wszystkim nisko. Potem poprawił kubrak i podszedł do drzwi.

— Co złego, to nie ja — powiedział od progu.

— Niech cię Bóg prowadzi — zwrócił się do niego Obłomow. — Może nie przepadniesz.

— Jak wrócisz z zaświadczeniem — wstydliwie szepnęła Liza — to wyjdę za ciebie za męża.

— Na jakiegoś mi diabła potrzebna — zachował się brutalnie Iwan — carewnę se jakąś przygrucham.

— Daj spokój. Iwan — machnął ręką Ilia. — Nie ma co z nimi zaczynać. One wszystkie takie same dobre, jak ta — wskazał na Lizę. — Po cholere ci to zaświadczenie? Co cię tak, babo, przyparło? Qdzie chłopak pójdzie, noc się zbliża. A w ogóle da mu to zaświadczenie ten wasz Mędrzec? Też tam pewnikiem kołkiem nie siedzi.

— Zaświadczenie jest niezbędne, wujaszku Ilio — zdecydowanie oznajmiła Liza. — A tobie. Iwan, to ja przypomnę, żeś moją ręką pogardził. Jeszcze jak ci przypomnę!

— No idź już. Iwan, czas ucieka — zauważył urzędas.

— Żegnajcie! — powiedział Iwan. I wyszedł. Poszedł, gdzie oczy poniosą...

Ciemno było... Szedł, szedł i do lasu trafił. A dalej dokąd iść, nie wie. Siadł na pieńku, smuci się:

— Biedna moja główko, zginiesz, przepadniesz. Gdzie Mędrca szukać? Żeby choć kto drogę wskazał...

Ale nikt mu drogi nie wskazał. Posiedział Iwan, posiedział i poszedł dalej.

Idzie, idzie — światełko w lesie błyszczący. Bliżej podchodzi — chatka na kurzych nóżkach stoi, a naokoło cegły, eternit, tarcica wszelaka leżą.

— Jest tu kto? — zakrzyknął Iwan.

Wyszła na ganek Baba Jaga. Popatrzyła na Iwana i spytała:

— Kto ty jesteś? Dokąd droga prowadzi?

— Głupi Iwan jestem, do Mędrca po zaświadczenie idę — odpowiedział Iwan. — A gdzie tego Mędrca znaleźć, nie wiem.

— Po co ci zaświadczenie?

— Też nie wiem. Kazali.

— Aaa! — wycedziła Baba Jaga. — Wejdz, wejdz. Odpocznij. Nie zjadłbyś czegoś?

— Jak dadzą...

— Wchodź!

Wszedł Iwan do chatki.

Chatka jak chatka, nic szczególnego. Duży piec, stół, dwa łóżka.

— Kto z tobą mieszka?

— Córka, Iwanie — zagruchała Baba Jaga. — A ty co? Całkiem głupi?

— Jak proszę? — nie rozumiał Iwan.

— No, zupełny z ciebie idiota, czy cię tak tylko z rozpędu nazwali? Wiesz, jak to bywa, szlag cię trafi, krzykniesz kretyn! Ja to i na swoją córkę czasami tak krzyknę: uch, kretynka! A jaka tam ona kretynka? Mądrą mam córeczkę... Może i z tobą też tak wyszło? Wszyscy krzyczeli: głupi, głupi! A ty wcale nie jesteś kretyn, tylko jednostka prostoduszna.

— O co ci właściwie chodzi?

— Gołym okiem widzę: żaden z ciebie kretyn, jesteś tylko prostoduszny i już! Jak cię zobaczyłam, od razu sobie pomyślałam: jaki zdolny młody człowiek! Na czole masz wypisane: talent. A ty choć sam się domyślasz, jaki jesteś zdolny? Czyżbyś całkiem uwierzył, żeś dureń?

— W nic nie uwierzyłem! — gniewnie powiedział Iwan. — Jak sam mogłem uwierzyć, żeś kretyn?

— A nie mówiłam! Wszystko przez ludzi! Miałeś kiedyś do czynienia z budownictwem?

— No... Z ojcem, z braćmi ciesiołką się zajmowałem. A bo co?

— Widzisz, chcę tu sobie bungalówek postawić. Materiał jest, a budować nie ma komu. Nie wzięłybyś się za to?

— Muszę zaświadczenie zdobyć.

— Po diabła ci ono! — wykrzyknęła Baba Jaga. — Bungalówek postawisz, wszyscy zobaczą! Kupa gości do mnie przyjeżdża, zapytają, kto stawiał. Kto (Stawiał? Iwan stawiał! Hyr pójdzie po całym lesie!

— A co z zaświadczeniem? — znowu spytał Iwan. — Bez zaświadczenia nie mam po co wracać.

— No to co?

— Jak to co? Gdzie ja się, biedny, podzieję?

— Zostaniesz palaczem w moim bungalowku. Jak będziesz budował, zaplanuj sobie pokoik w suterenie. Cicho, ciepło, żadnych kłopotyków. Na górze goście się znudzą, to gdzie pójda? Do Iwana. A ty gadaj, co ci ślina na język przyniesie. Nieboskie historie opowiadaj. Będę o ciebie dbać. Iwanuszka ci będę mówić.

— Stara rozwora powiedział Iwan. — Patrza, jaka cwana! Iwanuszka mi będzie mówić! A ja mam sobie dla niej flaki wypruwać!? Ni hi–hi, ni kwa–kwa, babciu!

— Aaa! — złowrogo zasyczała Baba Jaga. — Teraz wiem, z kim mam do czynienia! Symulant! Oszust! Element! My z takimi wiesz, co robimy? Przypiekamy! Hej! Jest tam który?! — Baba Jaga po trzykroć klasnęła w dłonie. — Brać go! Związać durnia! Leciutko go przypieczemy!

Strażnicy, czterech zdrowych byków, złapali Iwana, związali i położyli na ławie.

Pytam po raz ostatni — Baba Jaga podjęła jeszcze jedną próbę. — Będiesz stawiał bungalówek?

— Bądź przeklęta! — dumnie wyrzekł Iwan. — Strach na wróble! Włosy ci z nosa rosną!

— Do pieca z nim! — rozdarła się Baba Jaga. I zaczęła tupać: — Szuja! Cham!

— I kto to mówi! — Iwan też nie żałował gardła. — Małpa zielona! Tobie nie tylko w nosie, ale i na języku sierść rośnie! Darmozjadka!

— Do ognia! — Babę Jagę całkiem krew zalała. — W ogień!

Iwana zdjęli z ławy i zaczęli pchać do pieca, w ogień.

Oooo! Poszła Dunia w pomidory,

Oooo! A za Dunią dwa majory,

Hej, hej, Dunia ma,

Dunia, dziewczuszka maja! — Mnie w ogniu nie splanąć, rozworo!

Idę śmiało!

Ledwie Iwana upchnęli do pieca, na dworze zadzwoniły janczary, zaparskały konie.

— Córeczka moja jedzie! — ucieszyła się Baba Jaga. — Wyjrzała przez okno. — Uuu! Razem z narzeczonym! A to ci będą mieli kolacyjkę! Strażnicy też się ucieszyli, podskoczyli, zaklaskali w ręce.

— Smok Gorynycz jedzie! Smok Gorynycz jedzie! — krzyczeli. — Poszalejemy! Zalejemy pyski! Do chatki weszła córka Baby Jagi, też urody mocno nienatrzętnej, a do tego wąsata.

— Fuj, fuj! — powiedziała córka, — Coś tu człowiekiem cuchnie! Kto to?

— Kolacyjka — powiedziała Baba Jaga. I ohydnie się zaśmiała: Ha! Ha! Ha! Ha!

— Co jest! — zdenerwowała się córka. — Rzy jak... Pytam: kto to?

— Pieczemy Iwana.

— Ach tak? — mile zdziwiła się córeczka. — Cóż za uroczą niespodzianka!

— Wyobraź sobie, że on nie chce, żeby w lesie było ślicznie! Bungalowku nie chce stawiać, pasożyt jeden! Córeczka zajrzała do pieca. A z pieca — ni to płacz, ni to śmiech dochodzi.

— Oj, nie mogę — jęczał Iwan. — Padnę ze śmiechu!

— Co jest? — ze złością zapytała córeczka Baby Jagi. Jaga też podeszła do pieca. — Co z nim?

— Chichocze?

— Co tobie, ej?!

— Au! Skonam ze śmiechu! — wył Iwan. — Ja tego nie przeżyję!

— Macie idiotę — powiedziała córeczka. — Co ty wyprawiasz?

— Wąsataś! Wąsy... Oj, Boże, skąd się takie świństwa w przyrodzie biorą! I jak ty będziesz z mężem sypiać?! Przecież za mąż idziesz!

— Jak każda. A co? — nie zrozumiała córeczka. Nie zrozumiała, ale się zaniepokoiła.

— Wąsiska!

— No to co? Mnie tam nie przeszkadzają. Nawet lepiej wszystko czuję!

— Tobie nie przeszkadzają. A ślubnemu? Jak ty za mąż pójdziesz...

— A mężowi co do tego? Do czego ty pijesz, durniu? Co cię obchodzi mój przyszły mąż? — Zaniepokojenie córeczki sięgnęło szczytu.

— No jak to? Pocałuje cię ciemną nocką i pomyśli: Diabli nadali! Sołdat nie sołdat? Baba nie baba? I odkocha się. Co można z babą z wąsami? Oj, wiédźmy, wiédźmy. Ni cholery taka nie rozumie! Przecież on z tobą żyć nie będzie, z taką wąsatą! A jeszcze ci łeb ze złości odgryzie, już my znamy takich Gorynyczy!

Baba Jaga i córeczka popadły w zadumę.

— W porządku, wylaż — zakomenderowała córka. Głupi Iwan szybko się wygramolił, otrząsnął.

— Nieźle się wygrzałem!

— A co nam radzisz? — spytała Baba Jaga. — Z tymi wąsami?

— Co... Co... Trzeba się wąsów pozbyć, jeżeli chcesz szczęście rodzinne uratować.

— Ale jak się pozbyć, jak?!

— Powiem wam, a wy mnie z powrotem do pieca wrzucicie?

— Ależ, Waniuszka, nie wrzucimy — zagruchała czule córka Baby Jagi. — Wypuścimy cię i idź, za siódmą górę, siódmą rzekę. Tu nasz Wania zaczął się krygować zupełnie jak dzisiejsi hydraulicy.

— Nie ma letko — oznajmił. — Trzeba wykonać mieszanekę.

— No to wykonaj!

— Wykonaj, wykonaj. A kiedy pójdę do Mędrca? Nim trzeci kur zapieje, muszę wrócić.

— Umówmy się tak — powiedziała Baba Jaga — słuchaj: ty załatwisz wąsy, a ja ci dam swoją miotłę. W mgnieniu oka będziesz u Mędrca. Iwan zamyślił się.

— Pospiesz się! — poganiała go wąsata córka. — Wejdzie Gorynycz i co będzie? To Iwana zdenerwowało.

— Ej, słuchajcie, wejdzie i...

— I co?

— Wejdzie i z miejsca mnie zeżre.

— To możliwe — zgodziła się córeczka. — Co by tu wymyślić?

— Powiem, żeś mój bratanek — znalazła sposób Baba Jaga. — Rozumiesz?

— Niech będzie — zgodził się Iwan. — Teraz tak: moja mieszanina nie skutkuje od razu.

— Jak to? — nastroszyła się córka.

— Zaraz ją zrobimy i położymy ci maseczkę na twarzy. W porządku? Ja lecę do Mędrca, a ty

leżysz tu z maseczką.

— A jak oszuka? — dała wyraz swej nieufności córeczka. — Mamuśka?

— Niech spróbuje — powiedziała Baba Jaga. — Niech tylko spróbuje nas nabrać, wróci z góry — ręka, noga, mózg na ścianie! — Ach, taka wasza mać! — Iwan znowu się zaniepokoił, prawdopodobnie chciał baby okantować. — Co za ludzie! O co chodzi? Chcesz z wąsami paradować? Twoja sprawa! Człowiek chce im zrobić dobrze, a te pyszczą! Wy mnie w ogóle nie szanujecie!

— A co ma do tego szacunek? Mów do rzeczy!

— Nie mogę! — trąkotał dalej Iwan. — Słowo daję, nie mogę! Szlag człowieka może trafić! Co za ludzie! A łaż se z wąsami, łaż! Żyj se z nimi do uśmiechniętej śmierci! Nie kobieta, a generał Kuropatkin! Faj! A dzieciątka na świat przyjdą? Wyciągnie rączyny synek czy córeczka: „Mamusi, co tam masz?” A jak podrosną? Podrosną i na ulicy za nimi będą wołać: „A twoja mama ma wąsy! A twoja mama ma wąsy!” Przyjemnie będzie dziecku, co? Miło będzie słyszeć takie słowa?! Nikt nie ma mamy z wąsami, a on ma! Co biedactwo ma odpowiadać? Przecie nie odpowie, łzami się zaleje i wróci do domu, do wąsatej mamuśki.

— Przestań! — wykrzyknęła córeczka Baby Jagi. — Rób tę swoją mieszankę! Co ci do tego potrzebne?

— Przygarść kurzego pomiotu, przygarść ciepłego gnoju i przygarść miękkiej gliny, taką maseczkę położymy na twarz.

— Na całą twarz? A czym ja będę oddychać?

— Co za ludzie! — znowu Iwan zatrajkotał głosem pełnym wyrzutu. — Niczego im nie wytłumaczysz!

— No dobra! — ryknęła córka. — Zapytać nie można, czy co?

— Nie można! — Iwan też ryczał. — Kiedy majster mówi, trzeba siedzieć cicho! Powtarzam: gnój, glina, pomiot. Maseczka będzie z dziurką, pooddychasz sobie. Szlus!

— Słyszeliście? — zapytała Baba Jaga strażników. — Na jednej nodze! Marsz!

Strażnicy pognali po glinę, gnój i pomiot.

W tym momencie w oknie pojawiły się trzy głowy smoka Gorynycza. Zagapiły się na Iwana. W chatce wszyscy zamarli. Gorynycz długo, długo patrzył na Iwana. Potem zapytał:

— Kto to?

— Gorynyczu, to mój bratanek Iwanuszką — powiedziała Baba Jaga. — Iwanuszką, przywitaj się z wujaszkiem Gorynyczem.

— Witaj, wujaszku Gorynyczu! — pozdrowił smoka Iwan. — Co słychać? Gorynycz uważnie patrzył na Iwana. Patrzył tak uważnie i tak długo, że Iwan poczuł się nieswojo.

— No i co; taka wasza mać! Co? Bratanek, słyszałeś! Przyszedłem do cioci Jagusi. W gości. Co, gości będziemy żreć? No to żyjmy! A rodzinę chce zakładać — wszystkie dzieci zeżre, co? Tatuś, psiakrew!

Głowy Gorynycza naradziły się.

— Według mnie on zachowuje się po grubiańsku — powiedziała jedna.

Druga pomyślała i oznajmiła:

— Głupi, a nerwowi!

Trzecia wyraziła się najbardziej lapidarnie:

— Ozorek w sosie własnym — powiedziała.

— Ja ci taki ozorek pokażę! — eksplodował ze strachu Iwan. — Taki ci ozorek zrobię, że niektórym tu kością w gardle stanie! Ciocia, gdzie moja czarodziejska szabla? — Iwan zerwał się z

ławy i udawał, że szuka czarodziejskiej szabli. — Zara naszatkuję takiego bigosu! Głowy ci się znudziły?! — Iwan krzychał na Gorynycza, ale na niego nie patrzył, strasznie było patrzeć na trzy spokojne głowy. — Ja cię tu zaraz urządzę!

— Po prostu chamstwo mu do łba uderzyło — odezwała się znów pierwsza głowa.

— Denerwuje się — zauważyła druga. — To ze strachu. Trzecia nie zdążyła się już wtrącić.

Iwan zatrzymał się przed Gorynyczem i zaczął mu się przypatrywać.

— Żulia — powiedział. — Sam cię zeżrę.

I wtedy po raz pierwszy zabrzmiał głos Ilii Muromca:

— Wańka, uważaj!

— Co za Wańka, co za Wańka! — rozwrzeszczał się Iwan. Co za Wańka! Ciągłe się kogoś boimy, ciągle przed kimś trzęsiemy portkami! Byle gnida robi z siebie bógwico, a ty, człowiecze, zdychaj ze strachu! Nie chcę! Nie będę! Koniec! Mam potąd! — Iwan rzeczywiście usiadł na ławie, wyciągnął fujarkę i zaczął cichutko poświstywać. — Żryj! — powiedział, odrywając się na moment od fujarki. — Będiesz żarł?! Żryj. Gad. Potem ucałuj swoją wąsatą panienkę. A potem płódźcie wąsate dzieci i maszerujcie z nimi w jasną przyszłość. Patrzcie go! Będzie mnie tu straszył! A kij ci w oko, palancie! — I Wańka znów zaświstał na fujarce.

— Gorynycz — powiedziała córka. — Nie zwracaj na niego uwagi. Pluj na to, nie obrażaj się! Nie warto.

— Ale on się przecież zachowuje jak ostatni cham! — zaproponowała pierwsza głowa. — Co za słownik!

— To z przerażenia. Nie wie, co robi.

— Wszystko wiem! — wtrącił się Iwan, przestając grać na fujarce. — Wiem wszystko. A teraz wam marsz dopasuję. Dla przyszłego wąsatego batalionka.

— Waniuszka — powiedziała łagodnie Baba Jaga. — Nie bądź cham, dziecko. Po co ci to?

— Po to, że nie dam się brać na krzyk! Będzie mi tu oczami przewracał! Przewracaj sobie, jak będziesz już miał wąsaty batalion, wtedy możesz! A teraz chałę!

— No nie, to naprawdę cham... — prawie płacząc powiedziała pierwsza głowa. — No jak tak można?

— Płacz, płacz! — powiedział szorstko Iwan. — A my się pośmiejemy. Pod wąsem.

— Może już wystarczy? — odezwała się druga głowa.

— A wystarczy — przytaknął Iwan. — Wystarczy!

— Ooo? — zdziwiła się trzecia głowa. — Całkiem, całkiem...

— Aha! — znów z głupia frant przytaknął Iwan. — Dobry jest Wańka, co?

I zaproponował:

— Zaśpiewamy?

Poszła Dunia w pomidory,

zaintonował Iwan...

A za Dunią dwa majory,

— Gorynycz, chórem!

Hej, hej, Dunia ma, Dunia, dziewczka maja...

dośpiewał Wańka.

— A tanga znasz? — zapytał Gorynycz.

— Jakie tanga?

— Stare.

— Całe masy. Lubisz tanga? W porządku, ojczulku, będę ci śpiewał do upojenia. Na przykład:

Chryzantemy złociste

w kryształowym wazonie,

Stoją na fortepianie

Siejąc smutek i żal!

Poprzez mgły srebrnomgliste

Do nich wyciągam dłonie,

Szeptając wciąż jedno zdanie:

Czemuż odeszłaś w dal?

— Tango, co? — Wańka zauważył, że w Gorynyczu coś się przełamało. Podeszedł do niego i poklepał jedną z głów po policzku. — Uch ty, wściekły! Wścieklaczku ty mój!

— Nie spoufalaj się! — powiedział Gorynycz. — Bo ci łapkę odgryzę!

Wańka szybko cofnął rękę.

— No, no, no — powiedział uspokajająco. — Kto tak rozmawia z mistrzem? Bo wezmę i przestanę śpiewać!

— Nie przestaniesz! — powiedziała głowa Gorynycza, którą Iwan przed chwilą przyhołubił. — To ja wezmę i główkę odgryzę!

Dwie pozostałe głowy wybuchnęły gromkim śmiechem. Iwan też zaśmiał się drżącym głosikiem.

— Wtedy to już w ogóle nie zaśpiewam, nie będzie czym. Jak śpiewać bez głowy?

— Filet! — powiedziała głowa, która czas jakiś temu wspominała ozorek w sosie własnym. To była najgłupsza głowa.

— A ty byś tylko żarła! — zezłościł się na nią Iwan. — Tylko o żarciu i o żarciu! Ludożerczyni jakaś, czy co?!

— Waniuszka, nie pajacuj! — uspokajała go Baba Jaga. — Śpiewaj!

— Śpiewaj — przytaknęła córka. — Rozbałajdał się! Masz talent, to śpiewaj!

— Śpiewaj! — rozkazała pierwsza głowa. — I wy też śpiewajcie!

— Kto? — nie zrozumiała Baba Jaga. — My?!

— Wy. Śpiewajcie!

— To może ja sama? — wystąpiła z głupią propozycją córka; nie miała ochoty śpiewać drugim głosem. — Śpiewać z chłopem... wybac mi, ale...

— Trzy, cztery! — spokojnie komenderował Gorynycz. — Zaczynajcie!

Dam ci strzelbę, dam konia...

zaczął Iwan. Baba Jaga i córka podchwyciły:

Dam ci siodło zleczone,

A ty za to, za wszystko

Oddaj mi swoją żonę.

Z tobą życie nie dla niej

Twoja głowa już siwa,

Zniszczysz kwiat jej młodości

I nie będzie szczęśliwa.

Okragłe, pozbawione wyrazu ślepka Gorynycza zwilgotniały — jak każdy despota łatwo, się rozczulał.

— Dalej — powiedział.

*Pod tym gęstym jaworem
Siedzieliśmy we dwoje...*

Śpiewał dalej Iwan.

*Wszystko wokół milczało
Dała mi serce swoje!*

I z uczuciem Iwan powtórzył jeszcze raz, sam:

*Ech! Wszystko wokół milczało,
Dała mi serce swoje!*

— Jak ty mieszkasz? — zapytał wzruszony Gorynycz.

— W jakim sensie? — nie zrozumiał Iwan.

— Pokój przyzwoity?

— Aaaa! Tera siedzę w bibliotece, razem ze wszystkimi.

— Chcesz samodzielny pokój?

— Nie, po co mi?

— Dalej!

Cała siebie mi dała,

ciągnął dalej Iwan...

O nic więcej nie stoję!

— Tego nie trzeba — powiedział Gorynycz. — Opuść.

— Jak to? — nie pojął Iwan.

— Opuść.

— Gorynycz, tak nie można! — uśmiechnął się Iwan. — Z pieśni słów się nie wyrzuca!

Gorynycz w milczeniu patrzył na Iwana; znów zapanowała złowieszcza cisza.

— Przecież bez tego nie ma pieśni! — zdenerwował się Iwan. — Z pieśni słów się nie wyrzuca!

Zrozum! Pieśni nie ma!

— Jest pieśń! — powiedział Gorynycz.

— No jak jest? Jak, u diabła, jest?

— Jest pieśń. Im lakonicznej, tym lepiej.

— Patrzajcie ludzie, co oni wyprawiają! — Iwan z oburzenia aż trzepnął się po udzie. — Co chcą, to robią! Nie ma bez tego pieśni, nie ma bez tego pieśni, nie ma pieśni! Nie będę śpiewał lakonicznie! Koniec!

— Waniuszka — powiedziała Baba Jaga. — Nie stawaj sztorcem!

— Poszła won! — wściekł się w końcu Iwan. — Śpiewajcie sobie sami! Ja nie będę!! Do grobu was wpędzę! Sam was wszystkich zeżrę! Z wąsami! A te trzy dynie... ja je też troszeczkę podpiekę!

— Boże miłosierny, ileż to trzeba cierpliwości — westchnęła pierwsza głowa Gorynycza. — Co też kosztuje nerwów, zanim ich czegoś się nauczy. Ani to wychowania nie ma, ani wykształcenia.

— Co się tyczy „troszeczkę podpiekę” — zauważyła trzecia głowa — to on niegłupio mówi, aaa?

— Do jakich wąsów robisz ciągle aluzje? — zapytała Iwana druga głowa. — Cały wieczór nic, tylko słyszę: wąsy i wąsy. Kto tu ma wąsy?

— A młodzian się śmieje pod pszenicznym wąsem — zanuciła żartobliwie pierwsza głowa. — Jak tam dalej idzie z tym Chaz Bułatem?

— Całą siebie mi dała — wyskandował Iwan.

— Co za chamstwo, Iwan! — powiedziała pierwsza głowa. — Obrzydliwa estetyka. Przecież mieszkasz w bibliotece, jak możesz? Tam są tacy wspaniali chłopcy... Kto cię zaraził tym seksualizmem? Tam u was jest Biedna Liza... urocze dziewczątko... Znałem jej ojca. To twoja narzeczona?

— Kto? Lizka? No, jeszcze czego?

— Jak to? Ona czeka na ciebie.

— Niech czeka, nie doczeka się.

— Taa... A to ananas! — powiedziała druga głowa.

A głowa, która cały czas mówiła o żarciu, zauważyła całkiem poważnie:

— Nie, nie ananas. Co za ananas? Ozorek w sosie własnym. No, może być szaszłyk.

— Jak tam szło dalej? — przypomniała sobie pierwsza głowa. — Z tym Chaz Bułatem?

— Zabił go — potulnie powiedział Iwan.

— Kogo?

— Chaz Bułata.

— Kto zabił?

— Mmm... — Iwan z wysiłkiem zmarszczył czoło. — Młody kochanek zabił Chaz Bułata. Pieśń się tak kończy: „Głowa starca poturlała się po łące”.

— Też niedobrze — powiedziała głowa. — To okrutne.

— A jak jest dobrze? Głowa zamyśliła się.

— Pogodzili się. Jeden drugiemu oddał konia, siodło i poszli do domu. Na której półce siedzisz tam u siebie, w bibliotece?

— Na najwyższej. Razem z Ilią i dońskim Atamanem.

— Ooo? — zdziwiły się chórem trzy głowy.

— To już wszystko jasne — powiedziała najmądrzejsza z głów Gorynycza. — To durnie. Kto z kim przestaje... A po co idziesz do Mędrca?

— Po zaświadczenie.

— Po jakie zaświadczenie?

— Że jestem mądry.

Trzy głowy Gorynycza wybuchnęły zgodnie głośnym śmiechem. Baba Jaga z córką też zaczęły się podśmiewać.

— A tańczyć umiesz? — zapytała najmądrzejsza z głów.

— Umie — odpowiedział Iwan. — Ale nie będę!

— Wedle mnie to on i bungalówek umie postawić — wtrąciła się Baba Jaga. — Wracam do tego tematu...

— Cicho! — ryknęły wszystkie trzy głowy Gorynycza. — Nie udzielałem nikomu głosu!

— Ojczulkowie moi... — zaszeptała Baba Jaga. — To nie wolno nic powiedzieć?

— Nie wolno! — zaryczała córeczka. I wsiadła na Babę Jagę: — Tu nie jarmark!

— Zatańcz, Wania... — wyszeptała czule najmądrzejsza z głów.

— Nie będę tańczyć! — uparł się Iwan. Głowa chwilę pomyślała.

— Idziesz po zaświadczenie — powiedziała. — Tak?

— A co? Idę.

— A na zaświadczeniu będzie napisane: Zaświadcza się niniejszym, że Iwan jest mądry. Tak? I będzie pieczęć.

— No.

— Ale ty nie dojdiesz — mądra głowa spokojnie patrzyła na Iwana. — Z zaświadczenia będą nici.

— Jak to nie dojdę? Wyszędłem, to i dojdę.

— Nie. — Głowa ciągle przypatrywała się Iwanowi. — Nie dojdiesz. Nawet stąd nie wyjdiesz.

Iwan przygiął się pod tym brzemieniem. Podniósł rękę i smutnie wykrzyknął:

— Rozkwitały! Baba Jaga z córką zaśpiewały:

Rozkwitały jabłonie i grusze,

Śpiewały i klaskały w dłonie:

Popłynęła ponad rzeką mgła...

Iwan dreptał w kółeczko przytupując łapcami, ręce mu bezwładnie wisiały, nie ujął się pod boki, głowy nie podrzucał, wzrokiem jak sokolik młody nie toczył...

— A czemu ty jak sokolik młody wzrokiem nie toczysz? — zapytała głowa.

— Toczę — odparł Iwan.

— W podłogę się gapisz.

— A co, sokolik nie może się zamyślić?

— O czym?

— O życiu. Jak sokoleta wychowywać. Zlituj się, Gorynycz — zaczął błagać Iwan. — Ile można? Wystarczy.

— Aaa — powiedziała mądra głowa. — Teraz zmądrzałeś! Teraz możesz iść po zaświadczenie. Zacząłeś z siebie robić bógwico. Czemu żeś się wygłupiał?

Iwan milczał.

— Stań twarzą do drzwi! — rozkazał Gorynycz. Iwan stanął twarzą do drzwi.

— Na mój rozkaz wylecisz stąd z prędkością dźwięku!

— Troszkę przesadziłeś, Gorynycz! — zaoponował Iwan. — Tak to ja nie potrafię!

— Polecisz, jak potrafisz. Przygotuj się, trzy, cztery!

Iwan wyleciał z chatki.

Trzy głowy Gorynycza, Baba Jaga i jej córka wybuchnęły śmiechem.

— Chodź no tu! — zawołał Gorynycz narzeczoną. — Trochę cię popieszczę!

A Iwan znów wędrował ciemnym lasem. Drogi znów nie widać, tylko maleńka ścieżynka wiję się wśród drzew. Szedł Iwan, szedł, zmęczył się. Usiadł na zwalonej sośnie, smutno duma.

— Jakby mi kto w duszę superfosfatu nasypał. Jak ciężko! Ucho od śledzia zobaczę, nie zaświadczenie!

Podszedł do niego od tyłu Niedźwiedź, przysiadł na pniu.

— Cóżes taki smutny, chłopie? — zapytał Niedźwiedź.

— No jakże — odpowiedział Iwan — najadłem się strachu, naśpiewałem, natańczyłem, a tak mi na duszy ciężko! Tylko kłaść się i umierać!

— Gdzieś ty był?

— W gościach. Diabli mnie ponieśli do Baby Jagi.

— Też masz do kogo w gości chodzić! Po co żeś tam polaził?

— Zaszedłem po drodze.

— A dokąd idziesz?

— Do Mędrca.

— Patrzcie, patrzcie!.. — zdziwił się Niedźwiedź. — To daleko.

— Nie wiesz przypadkiem, jak tam iść?

— Nie. Gdzieś kiedyś o nim słyszałem, ale jak tam iść, nie wiem. Ja sam, bracie, z rodzinnego gniazda wylazłem. I tak idę przed siebie. Nie wiem gdzie...

— Wyrzucili cię?

— Wyrzucić nie wyrzucili, ale... sam byś poszedł. Tu, niedaleko, klasztor jest. Żyliśmy tam sobie. Przy klasztorze się pożywiłem, tam kupa pasiek. Ale spodobał się klasztor diabłom. Skąd się tego paskudztwa tyle uległo? Obsiadły cały klasztor, bo do środka ich nie wpuszczają, i od rana do nocy tańczą, śpiewają, rozrabiają.

— A czego właściwie chcą?

— Wejść do środka. Ale tam jest straż. Diabły ich muzyką ogłuszają, strażników znaczy, wymalowane baby im pokazują, wódą częstują — na manowce chcą ich sprowadzić. Taki raban robią naokoło, że tylko uszy zatkać i uciekać. Koszmar, co tam się dzieje! Dusze żywe gubią! Mnie samego palić nauczyli. — Niedźwiedź wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. — Nie ma życia. Pomyślałem, podumałem, nie, trzeba się zwijać, jeszcze pić się nauczę. Albo pójdę do cyrku. Ze dwa razy już się upiłem.

— To kiepsko.

— Jeszcze jak kiepsko! Niedźwiedzicę stłukłem. Lwa po lesie szukałem. Wstyd na stare lata! Nie, myślę sobie, trzeba się wynosić. No i idę.

— A nie wiedzą one przypadkiem czegoś o Mędrca?

— Kto? Diabły? Co mają nie wiedzieć? One wszystko wiedzą! Tylko z nimi nie zaczynaj, przepadniesz! Zginiesz, chłopcze!

— No to co? Pójdę...

— Przepadniesz! Zresztą spróbuj, ale... Uważaj! To wściekłe typy!

— Tera to ja sam jestem wściekły. Gorzej niż diabeł. Uch, jak on mnie i sponiewierał! Duszę połamał!

— Kto?

— Smok Gorynycz.

— Bił cię czy co?

— Żeby bił! To było gorsze od bicia! Śpiewałem przed nim, tańczyłem. Lepiej by już pobił!

— Poniżył?

— Poniżył! I to jak poniżył! Chyba tego jednak nie przeżyję! Wrócę i ich podpalę. Co?

— Daj spokój — poradził Niedźwiedź. — Nie zaczynaj z nimi. Wiadomo, kto to jest. Gad! Daj spokój. Lepiej odejdz. Uszedłeś z życiem i chwała Bogu. Tej bandzie nie dasz rady, wszędzie cię dopadną.

Siedzieli w milczeniu. Niedźwiedź ostatni raz zaciągnął się papierosem, rzucił peta, przydeptał go łapą i wstał.

— Żegnaj!

— Żegnaj! — odpowiedział Iwan i też wstał.

— Z diabłami ostrożnie — przestrzegł jeszcze raz Iwana Niedźwiedź. — One są gorsze od Gorynycza. Zapomnisz, jak się nazywasz! Wszystko na świecie zapomnisz! A przy tym co za cwane

plemię! Jak sięgną po igłę, to ukradną całą krowę! Nawet się nie obejrzysz, jak ci chomąto założą!

— Nic to! — powiedział Iwan. — Kogo Bóg lubi, tego nie zgubi! Jakoś sobie poradzę. Gdzieś tego Mędrca muszę szukać. Diabli nadali! A czas mam tylko do trzeciego kura.

— No, jak tak, to się pospiesz! Żegnaj! I każdy poszedł w swoją stronę. Niedźwiedź krzyknął jeszcze z ciemności:

— Tam, słyszysz, muzyka!

— Gdzie?

— No posłuchaj! „Oczy czarne” grają!

— Słyszę!

— Idź w stronę muzyki! Widzisz ich, jak szaleją! O Boże — westchnął Niedźwiedź — zaraza na świat przyszła! Zaraza! W bagnach żyć nie chcą, w żaden sposób nie chcą, chcą dranie w mnisich celach!

Stały wrota. I wysoki płot. A na wrotach napisano:

Diabłom wstęp surowo wzbroniony!

W bramie tkwił ogromny strażnik uzbrojony w dzidę i czujnie obserwował, co się wokół dzieje.

A wokół powstawał jakiś senny bałagan, pauza wśród diabelskiego sabatu. Ten z diabłów, wsunawszy ręce w kieszenie wąziutkich spodni, leniwie wybijał czeczotkę, tamten kartkował duńskie świerszczyki, jeszcze inny tasował karty. Ktoś tam żonglował czaszkami. W kącie dwa diabły ćwiczyły stanie na głowie. Duża grupa, rozłożywszy na ziemi gazetę, siedziała przy koniaku i zakąskach, popijali sobie. A trzy sztuki — dwóch gitarzystów i panienka — tkwiły na wprost strażnika; panienka przepięknie śpiewała „Oczy czarne”, muzykanci jej równie przepięknie akompaniowali. I panienka sama w sobie była nie najgorsza, na pięknych kopytach, w pięknych spodniach. Strażnik stał jednak spokojnie, nie wiadomo czemu zupełnie go to wszystko nie ruszało. Nawet pod wąsem pogardliwie się uśmiechał.

— Smacznego! — powiedział Iwan, podchodząc do uczujących. Obejrzeni go od stóp do głów i odwrócili się.

— Co to, do stołu nie prosicie? — surowo zapytał Iwan.

Znowu mu się przyjrżeli.

— A co ty za ksiązę? — zapytał jeden, opasły diabeł z potężnymi rogami.

— A taki ze mnie ksiązę, że jak was złapię, potrząsnę, to kłaki będą lecieć! Wstawać! Diabły nieco się zmieszały. Popatrzyły na Iwana.

— Do kogo mówię?! — Iwan kopnął butelki. — Wstać! Opasły zerwał się i naparł na Iwana, ale koledzy złapali go i odciągnęli na bok. Przed Iwanem pojawił się średniego wzrostu diabeł, wytworny i w okularach.

— O co chodzi, kochany? — powiedział, biorąc Iwana pod rękę. — Co to my tak rozrabiamy? Co? Coś nam tu be? Nastrój nam się zepsuł? Co nam trzeba?

— Zaświadczenie potrzebne! — ze złością odparł Iwan. Zaczęły się do nich zbliżać inne diabły. Po chwili Iwan stał pośrodku diabelskiego kręgu.

— Grajcie dalej! — krzyknął Wytworniś muzykantom i panience. — Wania, jakiego zaświadczenia ci trzeba? O czym?

— Ze jestem mądry.

Diabły popatrzyły na siebie. Zaczęły coś szwargotać szybko i niezrozumiale.

— Świr — powiedział jeden. — Albo awanturnik.

— Chyba nie — zauważył drugi. — Po prostu chce załatwić jakieś formalności. Jedno tylko zaświadczenie ci potrzebne?

— Jedno.

— A jakie, Wania? Bywają różne. Może być charakterystyka, świadectwo. Może być o obecności i o nieobecności, o „w tym, że”, i „tak jak”, może być „w tym stanie rzeczy”, a może „w związku z powyższym”. Zaświadczenia są przeróżne, zrozum! Jakie ci dokładnie kazali przynieść?

— Że jestem mądry.

— Nie rozumiem. Jakiś dyplom?

— Zaświadczenie.

— Ale zaświadczeń są tysiące! Są „w związku z tym, że”, są „nie biorąc pod uwagę”, są...

— Oj, bo się po was przejadę — powiedział Iwan z pogrózką w głosie. — Przyduszę, oj, przyduszę! Albo „Ojcie nasz” zaśpiewam! — Spokojnie, Wania, spokojnie — spieszył się lekko Wytwornis. — Nie ma o co kopii kruszyć. Możemy ci dać każde zaświadczenie, tylko trzeba wiedzieć, o co z grubsza chodzi.

— A ja nie chcę lipnego zaświadczenia — twardo stwierdził Iwan. — Ja chcę takie, jakie Mędrzec daje. Diabły zaczęły szumieć:

— Tylko takie, jakie Mędrzec daje...

— O—ła—ła!

— Lipne go nie urządza! Nieprzekupna duszyczka! Robespierek, psia noga!

— Metropolita się znalazł! „Ojcie nasz” nam będzie śpiewał! A „Felka Zdankiewicza” nie łaska?!

— Cicho, diabły, cicho! — Chciałbym wiedzieć, jak on się po nas przejedzie? Na krzyk nas bierze! Ideologia zwykłych wrzasków?! Jak mamy to rozumieć?! Ten obywatel Zadupia Wielkiego się po nas przejedzie?!

Zbiegły się wszystkie diabły. Iwan znalazł się w okrążeniu. A diabły przyglądały mu się i wymachiwały rękami.

— Butelki wywrócił!

— Grubiaństwo! Co to znaczy, że się po nas przejedzie? No co? Szantaż?

— Dać mu kielicha!

— Wyszturczać go zdrowo! To się mogło źle skończyć.

— Sza, diabły, sza! — wykrzyknął Iwan. I podniósł rękę. — Sza, mówię!

Mam propozycję!

Iwan, Wytwornis i jeszcze kilka diabłów odeszli na bok i zaczęli się naradzać. Iwan coś im półgłosem klarował, rzucając okiem na strażnika. I reszta też spoglądała na strażnika.

Tak jak przedtem trzymali przed nim wachtę muzycanci: panienka śpiewała teraz ironiczną piosenkę pod wieloznacznym tytułem „Gdzie ci mężczyźni”. Śpiewała i z wdziękiem przytupywała.

— Nie bardzo w to wierzę — powiedział Wytwornis — ale...

— To trzeba sprawdzić! — zaproponowali inni. — W tym coś może być.

— To trzeba sprawdzić — przytaknęła reszta. — W tym coś może być.

— Sprawdźmy! — powiedział Wytwornis do swego pomagiera. — W tym coś może być. Jak nam ten numer wyjdzie, to pošlemy z Iwanem do Mędrca naszego, diabła. Tak się zakręci, że Mędrzec Iwana przyjmie. Do niego się okropnie trudno dostać.

— Tylko bez kawałów! — zapowiedział Iwan. — Jak mnie Mędrzec nie przyjmie, to jak złapię tego waszego diabła... tymi rękami drania...

— Spokój, Iwan — przerwał Wytwornis. — Bez zbędnych słów. Wszystko będzie okay. Maestro, czego panu trzeba? — zwrócił się do pomagiera.

— Dane osobowe strażnika. Gdzie się urodził, rodzice... I jeszcze jedna konsultacja z Iwanem.

— Kartoteka! — rzucił Wytworniś.

Dwa diabły gdzieś pognały, a Wytworniś objął czule Iwana i zaczął się z nim przechadzać, coś mu tam niegłośno opowiadając. Przynieśli dane. Jeden z diabłów zameldował:

— Z Syberii. Pochodzenie chłopskie.

Wytworniś, Iwan i maestro naradzili się króciutko.

— Tak? — zapytał Wytworniś.

— Bomba! — odpowiedział Iwan. — Niech jutra nie dożyję!

— Maestro?

— Za dwie i pół minuty. — Maestro spojrzął na zegarek.

— Zaczynajcie! — zakomenderował Wytworniś.

Sześć diabłów — trzy panie i trzech panów — usiadło wraz z maestrem nie opodal strażnika i zaczęło stroić instrumenty. Zestroili się wreszcie. Maestro kiwnął głową i cała szóstka pełną piersią zaczęła:

*Gdzie Bajkał podnóży gór sięga,
Przez śniegi, wichurę i noc,
Wędruje zgarbiony włóczęga
Dźwigając przeklęty swój los...*

Tu trzeba zapomnieć o naszej bajce i w miarę możliwości pogрузić się w świat pieśni. A jest to świat przepiękny: smętny i pełen uczuć. Dźwięki pieśni, niegłośne, ale mocne i czyste, trafiają prosto w serce. Sabatowe zamieszanie znikło gdzieś za górami, za lasami, diabły, a szczególnie te, które śpiewały, stały się nagle słodkimi istotami, dobrymi i mądrymi. Okazało się, że sens ich życia nie leży wcale w szaleństwach i rozróbkach, ale w czym innym — miłości i współczuciu.

*Do brzegów Bajkału podchodzi,
Wspomina rodzinny swój dom,
Ostatkiem sił wsiada do łodzi,
Na wiosłach zaciska swą dłoń...*

Ach, jak oni śpiewali! Jak oni, skubani, śpiewali! Strażnik oparł włócznię o wrota i zamarł, słuchając pieśni. Łzy napłynęły mu do oczu, jakby nagle oszalał. Być może, przestało do niego docierać, gdzie jest i co robi.

*Dopływa, ktoś wyszedł, ktoś spotkać go chce,
Ktoś czeka, bo sercem już zgadł!
Ach, witaj mi, matko najdroższa,
Czy zdrowi mój ojciec i brat?*

Strażnik podszedł do śpiewaków, siadł, opuścił głowę i zaczął się rytmicznie kołysać.

— Mhmmm... — powiedział.

A przez puste wrota zaczęły przechodzić diabły.

Pieśń płynęła — szarpała duszę, unicestwiała miałąk życiową krzątanicę, otwierała świat pełen przestrzeni i powietrza.

A diabły szły i szły.

Podali strażnikowi ogromny kielich. Nie namyślał się, wypił, rąbnął kielichem o ziemię, głowę wsparł na rękach i znów powiedział:

— Mhmmm...

*Gdzie Bajkał podnóży gór sięga,
Przez śniegi, wichurę i noc,
Wędruje zgarbiony włóczęga,
Dźwigając przeklęty swój los...*

Strażnik uderzył się kulakiem w kolano, podniósł głowę — twarz cała we łzach.

*Wędruje zgarbiony włóczęga
Dźwigając przeklęty swój looos...*

zaśpiewał pełnym męskim głosem.

— Tyś mi się chyba przyśniło, życie moje! Dawaj „Kamaryńską”! Wszyscy, wszyscy przepadniemy, wszyscy w ogniu złym spłoniemy! Dajcie gorzały!

— Nie trzeba, chłopie, nie trzeba — powiedział podstępnie maestro. — Upijesz się i o wszystkim zapomnisz.

— Kto?! — zaryczał strażnik. I złapał maestra za klapy. — Liczyć mnie będziesz?! Ty capie jeden! Łeb ci, śmierdzielu, ukrećę! Ja się po was wszystkich przejadę!

— Co oni tak wszyscy lubią jeździć? — zdziwił się Wytworniś. — Ten się chce przejeżdżać, tamten się chce przejeżdżać. A w którą stronę mamy jechać, szanowny panie? — zapytał strażnika.

— Cyt! — powiedział strażnik. — „Kamaryńską”!

— „Kamaryńską”! — rozkazał Wytworniś muzykantom.

— Gorzały! — zawył strażnik.

— Gorzały! — potulnie wtórował mu Wytworniś.

— A może jednak nie? — sprzeciwił się fałszywiec maestro. — Jeszcze mu zaszkodzi.

— Dawaj gorzałę! — podniósł głos Wytworniś. — Będzie mu lepiej.

— Przyjacielu! — załkał strażnik. — Buzi!

— Idę — wywinął się Wytworniś. — Zaraz się spijemy w trupa! I po nich Wszystkich się przejedziemy! My ich wszystkich...

Iwan ze zdziwieniem obserwował diabły kręcące się wokół strażnika. Szczególnie niepokoił go Wytworniś.

— Cóżes ty taki dziarski? — zapytał go.

— Milcz, prostaku! — warknął Wytworniś. — Bo tak się po tobie przejadę, że...

— Co jest? — z groźbą w głosie zapytał Iwan. — Po kim się przejedziesz? Powtórz!

— Na kogo ty głos podnosisz? — w głosie stróżującego draba także zabrzmiała pogróżka. — Na mojego kumpla? Ozorek z ciebie zrobię!

— Znowu ozorek — powiedział Iwan, zatrzymując się. — Co za czasy!

— „Kamaryńską”! — rozkaprysił się Wytworniś. — Iwan nam zatańczy „Kamaryńską”! Ruszaj, Wania!

— Idź do diabła! — zdenerwował się Iwan. — Sam ruszaj! Z tamtym!

— Jak tak, to nie poślę z tobą diabła — powiedział Wytworniś. Ze złośliwą uwagą przyjrzał się Iwanowi. — Zrozumiano? Trafisz ty do Mędrca! Nigdy do niego nie trafisz!

— Ach, ty ryju niechrzeczony! — Iwana aż zatkało z oburzenia. — Jak to? Jak tak można?! Wstydu nie masz? Dogadaliśmy się przecież. Takim grzechem swoją duszę obarczyłem! Nauczyłem was, jak do klasztoru wejść!

— Pytam po raz ostatni: będziesz tańczył?

— O przeklętnicy! — jęknął Iwan. — Za co to wszystko? Za jakie grzechy?

— „Kamaryńską”! — zakomenderował Wytwniś. — „Cierpienia mieszkańca Zadupia Wielkiego”!

Diabły muzykusy zagrały „Kamaryńską”. Opuściwszy ręce wyciął Iwan hołubca, przytupnął łapcami. Płakał i tańczył. Tańczył i płakał.

— Och, zaświadczonko! — wykrzyknął z gorzką złością. — Dużo ty mnie kosztujesz! Tak dużo, że nie da się powiedzieć, jak dużo!

I oto — kancelaria. O, kancelario! Bo jak kancelaria to już kancelaria! Iwan byłby w końcu zabłądził, gdyby nie diabeł. Wreszcie się ten diabeł przydał. Długo krążyli razem po schodach i korytarzach, nim znaleźli gabinet Mędrca.

— Chwileczkę! — powiedział diabeł, kiedy weszli do sekretariatu. — Posiedź tu, zaraz wrócę. — I gdzieś poleciał.

Iwan rozejrzał się.

W sekretariacie siedziała młodziutka sekretarka, podobna do bibliotekarki, tyle że innej maści i na imię miała Miłka. Tamta nazywała się Gałka. Sekretarka Miłka pisała na maszynie i rozmawiała równocześnie przez dwa telefony.

— Oj! Ale jaja! — śmiała się do jednej słuchawki. — Pamiętasz u Morgunowów? Wbiła się w żółtą błyszczącą kiecę, chyba chciała udawać kopę siana! Nad czym ty się zastanawiasz? Po co?

A w drugą słuchawkę ostro:

— Nie ma go! Nie wiem! Proszę o ton ciszej! Mówię piąty raz: nie ma go! Nie wiem!

— Dużo was tam było? Jedenaście sztuk? Same pary? Ciekawe? Ona była sama? Kleiła się do ciebie? — Niech pan posłucha: raz już powiedziałam! Niech mnie pan nie straszy! Nie wiem!

Iwan przypomniał sobie: ich bibliotekarka, jak chce się od koleżanki dowiedzieć, czy szef jest na miejscu, pyta: „Tatusiek w domu?” I tak też zapytał Miłkę:

— A tatusiek kiedy będzie w domu? — Nagle czegoś go ta Miłka rozgniewała. Sekretarka spojrzała na niego przelotnie:

— Czego pan sobie życzy? — zapytała.

— Pytam, kiedy można by...

— W jakiej sprawie?

— Potrzebuję zaświadczenia, że...

— Poniedziałek, środa, dziewiąta kreska jedenasta.

— Ja... — Iwan chciał powiedzieć, że zaświadczenie jest mu potrzebne, nim trzeci kur zapieje.

Miłka wyrecytowała znowu:

— Poniedziałek, środa od dziewiątej do jedenastej. Matołek?

— Ale jaja — powiedział Iwan. Wstał i powoli przeszedł się po pokoju. — Ja bym nawet powiedział: ale gips! Jak mówi nasza Gałka: „Szał ciał, orgia dusz, węzowisko namiętności”. Albo: „krzyżówka jelenia z grundigiem”. Pytam o całokształt: panienka z ciebie? I sam sobie odpowiadam: panienka. Same pary! — Iwan coraz bardziej się podniecał. — No, ale ty dobrze się sobie przyjrzyj! Nie masz lic jak malina! To jaka z ciebie panienka? Zapytaj lepiej mnie, serce ci u mnie jak Żelazna Brama! Zapytaj: czy chciałbym się z tobą ożenić? Zapytajże!

— Chciałbyś?

— Nie! — twardo odpowiedział Iwan.

Miłka zaśmiała się i klasnęła w dłonie.

— Jeszcze! Jeszcze! — poprosiła. — Jeszcze troszeczkę! No proszę! Iwan nie zrozumiał, co za „jeszcze”.

— Niech pan coś jeszcze opowie!

— Aaa! — dotarło wreszcie do Iwana — myślałaś, że ze mnie zwykły błazen! Że ja to ot, taki sobie, Waniek w łapciach! Matołek, jak mnie nazwałaś. To się dowiedz, że jestem od was mądrzejszy... wrażliwszy, głębiej z glebą ojczystą związany. Uosabiam dążenia, a wy co uosabiacie? Chałę zdobną lukrowaną uosabiacie! Papugi! Jesteście beznadziejni. We mnie jest sedno, a w was nie ma nawet tego! W głowie wam tylko tańce, hulanki, swawole! Nawet nie chcesz ze mną porozmawiać jak człowiek z człowiekiem! Uch, jak się wścieknę, jak złapię pałę!

Miłka znów wybuchnęła śmiechem.

— Ojej! Jak fajnie! Jeszcze, jeszcze!

— Ej, bo będzie niedobrze! — wrzasnął Iwan. — Ej, będzie niedobrze! Wy' mnie lepiej nie denerwujcie! Lepiej mnie nie denerwujcie!

W tym momencie wpadł do sekretariatu diabeł i zobaczył, jak Iwan wydziera się na dziewczynę.

— Tiu, tiu, tiu! — zatrajkotał nerwowo i popchnął Iwana do kąta. — Co się tu dzieje?! Kto wam pozwolił głos zabierać? Ajajajajaj... Na chwileczkę nie można odejść. Wstępniaków się naczytał — tłumaczył dziewczynie diabeł „występ” Iwana. — Siedźże cicho, zaraz nas przyjmą. On za chwilę przyjdzie. Już się dogadałem: wchodzimy w pierwszej kolejności.

Ledwie skończył mówić, kiedy do sekretariatu wpadł jak wicher ktoś malutki, siwy jak gołąbek — był to Mędrzec we własnej osobie, jak domyślił się Iwan.

— Bzdura, bzdura, bzdura — powtarzał biegnąc. — Wasylisa nigdy nad Donem nie była.

Diabeł z szacunkiem skłonił głowę.

— Proszę! — rzucił w przestrzeń Mędrzec. I zniknął w gabinecie.

— Idziemy! — popchnął Iwana diabeł. — Tylko żeby ci do głupiego łba nie przyszło wyskakiwać z tymi twoimi wstępniakami! Mów „tak” i kiwaj głową! Mędrzec miotał się po gabinecie. Jak się to mówi: nosiło go.

— Skąd?! Skąd oni to wzięli?! — zapytywał retorycznie i podnosił do góry ręce. — No skąd?!

— Co ci to, ociec? — zainteresował się Iwan.

Mędrzec zatrzymał się przed dwoma petentami — Iwanem i diabłem.

— No? — zapytał surowo, acz nie całkiem zrozumiale. — Zrobiliście Iwana w konia?

— Po co od razu tak stawiać problem? — zagadał wykrętnie diabeł. — Na dobrą sprawę już dawno chcieliśmy...

— Wy co? Czego szukacie w klasztorze? Jaki macie cel?

— Walka z obskurantyzmem — twardo odparł diabeł.

Mędrzec pogroził mu palcem:

— Figlujecie bez teoretycznej podbudowy!

— Ależ skąd? My poważnie — diabeł skwitował uśmiezkim bezsilną starczą pogroźką. — Flaki się przewracały, jak diabeł na to patrzył. Samych habitów wystarczało...

— To co, w waszych fraczkach mają chodzić?

— Po co od razu we fraczkach? Nikt ich do tego nie zmusza. Ale tak z ręką na sercu: czyż nie jest jasne, że z nich beznadziejni zacofańcy? Powie pan: moda! Ja także powiem: tak, moda. Wszak jeśli ciała kosmiczne krążą po swych orbitach, to one, mówiąc ściśle, nie wypełniają ich całkiem dokładnie.

— Tu, oczywiście, należy mówić nie o modzie — podjął z namaszczeniem przejęty starzec — ale o możliwości pozytywnego wpływu ekstremalnie czartowskich tendencji na pewne zaskorupałe normy moralne.

— Koniecznie! — wykrzyknął diabeł, wpatrując się w Mędrca rozkochanym wzrokiem. — Koniecznie o możliwości pozytywnego wpływu!

— Każde zjawisko — kontynuował starszy pan — zawiera w sobie dwie funkcje: napędową i hamującą. Rzecz w tym, która z funkcji jest w danym momencie stymulowana; napędowa czy hamująca. Jeżeli bodziec zewnętrzny trafi na funkcję napędową, to całe zjawisko podskoczy i przesunie się do przodu, jeżeli trafi na funkcję hamującą, to całe zjawisko, że tak powiem, kurczy się i zapada w sobie. — Mędrzec omiół wzrokiem diabła i Iwana. — Na ogół nikt tego nie rozumie.

— Ależ dlaczego, przecież to oczywiste! — wykrzyknął diabeł.

— Zawsze powtarzam — ciągnął Mędrzec — że należy koniecznie uwzględnić istnienie obu tych funkcji. Uwzględniajcie funkcje! Uwzględniajcie funkcje! Rzec by można, że każde zjawisko ma dwie głowy: jedna mówi „tak”, druga mówi „nie”.

— Ja widziałem zjawisko o trzech głowach — dał głos Iwan, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— Uderzymy jedną głowę, usłyszymy „tak”, uderzymy drugą, usłyszymy „nie”. — Stary Mędrzec gwałtownie chwycił diabła za guzik. — Którą wyście uderzyli?!

— Tę, która powiedziała „tak”! — bez wahania odparł diabeł. Starzec opuścił rękę.

— Analizując potencjalne możliwości danych głów, czyli danych zjawisk, dochodzimy do wniosku, że głowa, która mówi „tak”, jest mocniejsza. Należy oczekiwać, że dane zjawisko będzie podskakiwać i posuwać się do przodu. Idźcie! I bez teorii nie pokazywać mi się na oczy! — Starzec pogroził diabłu palcem. — Obijacie się! Uważajcie! Oj, zanihiluję! Zanihiluję!

Diabeł przypochlebnie uśmiechnięty wycofywał się ku drzwiom. Wreszcie otworzył je sobie zadkiem, rozpromienił się na pożegnanie i zniknął.

Iwan jak stał, tak rymsnął przed Mędrcelem na kolana.

— Ociec! — zaskowyczał, składając ręce jak do modlitwy. — Zgrzeszyłem! Nauczyłem diabłów, jak się do klasztoru dostać!

— No? Wstańże, wstań, tego to już nie lubię! Wstawaj! — rozkazał Mędrzec.

Iwan wstał.

— No? I jakieś to zrobił? — zapytał staruszek z uśmiechem.

— Poradziłem im, żeby zaśpiewali pieśń o rodzinnych stronach strażnika. Oni tam przed nim stawali na uszach, kusili, a on nic. To ja im mówię: o stronach rodzinnych, o jego rodzinnych stronach mu zaśpiewajcie. No to zaśpiewali.

— Co zaśpiewali?

— „Gdzie Bajkał podnóży gór sięga”.

Staruszek zaśmiał się.

— Ach, szelmy! — wykrzyknął. — A ładnie przynajmniej śpiewali?

— Tak śpiewali, tak słodko zawodzili, że mnie samego coś za gardło chwyciło.

— A ty potrafisz śpiewać? — szybko zapytał Mędrzec.

— Co mam nie potrafić? Potrafię.

— A tańczyć?

— A bo co? — zaniepokoił się Iwan.

— To cacy... — ucieszył się starszy pan. — To lubię. Kopniemy się w jedno miejsce. Ech, Wania! Jestem zmęczony, zmęczony, że aż strach. Boję się czasem, że padnę i już się nie podniosę. Rozumie się, że padnę nie z fizycznego zmęczenia, ale zwalę się pod brzemieniem myśli.

W tym momencie weszła sekretarka Miłka. Z jakimś pismem.

— Melduję: wulkan Popocatepetl gotów do erupcji! — oznajmiła.

— Aha! — wykrzyknął staruszek i przeleciał się po gabinecie. — Co? Wstrząsy?

— Wstrząsy. Wysoka temperatura w kraterze. Huk.

— Wyjdźmy od analogii z brzemienną kobietą. — Mędrzec pobudził swój intelekt do zwiększonego wysiłku. — Wstrząsy, czyli skurcze. Są skurcze? Są. Wysoka temperatura w kraterze... Nadmierna pobudliwość kobiety w ostatnich dniach ciąży, jej gadatliwość, to nic innego, jak podniesiona temperatura w kraterze. Jest. Huk, huk... Starzec okiełznał dziki bieg swoich myśli. Wycelował palec w Miłkę: — A huk to co jest?

Milka nie wiedziała.

— Co to jest huk? — palec starca celował teraz w Iwana.

— Huk? — Iwan zaśmiał się. — Zależy jaki. Założmy, że huku narobi Ilija Muromiec, to jedna sprawa, a huk roboty Biednej Lizy to... — Prymitywny antymaterializm — przerwał Iwanowi starzec. — Huk to drgania powietrza!

— Żebyś ty wiedział, jak od Ilii dryga! Szyby z okien lecą!

— Zanihiluję! — ryknął starszy pan. Iwan przymknął się. — Huk to nie tylko mechaniczne drgania powietrza, to również embrionalny dygot! Są huki, których ucho ludzkie nie jest w stanie postrzec!

— Ucho niby nie postrzeże, ale... — znów nie wytrzymał Iwan, ale staruszek przeszył go wzrokiem. — No co? Mam cię zanihilować?

Nie ma potrzeby — uspokoił go Iwan. — Ja już więcej nie będę.

— Kontynuujmy. Wszystkie trzy cechy wielkiej analogii widać jak na dłoni. Konkluzja? Konkluzja: niech sobie wybuchnie! — Staruszek wycelował palce w sekretarkę: — Zanotuj!

Sekretarka Milka zanotowała. I wyszła.

— Wania, mój przyjacielu, jestem zmęczony — ciągnął stary jak gdyby nigdy nic. — Jestem taki zmęczony, że czasami wydaje mi się, że nie potrafię już podjąć żadnej decyzji. Ale nie! W odpowiedniej chwili podejmuję! Po siedemset, osiemset decyzji na dobę! A tak by się chciało czasami — starszy pan uśmiechnął się lubieżnie — tak by się chciało poszczypać... trawkę poszczypać, jagódki, co w rękę wpadnie... I wiesz co? Podejmuję wtedy decyzję! Osiemset pierwszą. Odpocznę! Jest tu taka jedna. Smutna Księżniczka się nazywa. Właśnie do niej wyskoczmy!

Do gabinetu weszła Miłka.

— Kocur syjamski Tiszka wyskoczył z siódmego piętra!

— Rozbił się?

— Rozbił się.

Staruszek wpadł w zadumę.

— Zanotuj! — rozkazał. — Kocur Tymoteusz nie wytrzymał!

— To wszystko? — zapytała sekretarka.

— Wszystko. Która to dzisiaj decyzja?

— Siedemset czterdziesta ósma.

— Przerwa.

Milka skinęła głową i wyszła.

— Do Księżniczki, przyjacielu! — wykrzyknął wyzwolony Mędrzec. — Zaraz ją rozśmieszymy! Rozerwiemy ją na strzępy! Ech, Wania! Grzech, grzech, pewnie, że grzech! Co?

— Czy ja co mówię? Bylebyśmy zdążyli, nim trzeci kur zapieje. Mam jeszcze kawał drogi.

— Zdążymy! Grzech, powiadasz? Jasna sprawa, grzech. Nie uchodzi, co? Nie uchodzi.

— Nie o tym grzechu mowa. Diabły, powiadam, do klasztoru wpuścić to dopiero grzech!

Na twarzy Mędrca odbił się wysiłek umysłowy.

— Diabły, mówisz? Taaak — wymamrotał. — To nie takie proste, kochany, to wszystko nie takie

proste. A to kto? O! Syjamczyk! Z siódmego piętra! W drogę!

Smutna Księżniczka powoli, ale skutecznie wściekała się z nudów. Najpierw to sobie po prostu leżała. Leżała, leżała i jójczyła.

— Powieszę się! — oświadczyła.

Była tam jeszcze jakaś młodzież, panienki i chłopięta. Też się nudzili. Rozebrani do rosołu leżeli wśród fikusów opalając się pod kwarcówkami. I tak im było nudno...

— Powieszę się! — zawyła Smutna Księżniczka. — Ja już nie mogę! Młodzi ludzie wyłączyli tranzystory.

— Jak lubisz... — powiedział jeden z młodzieńców. — A co?

— Przynieś sznurek — poprosiła Księżniczka.

Ten, do którego się zwróciła, poleżał chwilę, poleżał. Aż wreszcie usiadł.

— A potem drabinę? A potem leć i szukaj haka? To już lepiej: pójdę i dam jej po pysku!

— Daj spokój — powiedzieli mu. — Niech się wiesza. Może będzie weselej. Jedna z panienek wstała i przyniosła sznur. Któryś z panów pofatygował się po drabinę i postawił ją pod hakiem z żyrandolem.

— Zdejmij najpierw żyrandol! — poradzili mu.

— Sami se zdejmijcie! — odwarknął.

Wtedy ten, który poradził zdjąć żyrandol, wlaźł na drabinę i zaczął się z owym żyrandolem mocować. Wreszcie się udało.

— Sznurek trzeba namydlić!

— Słusznie, sznurek się mydli! Poszli szukać mydła.

— Mydło jest?

— Do prania. Może być?

— Co za różnica! Trzymaj sznur! Nie urwie się?

— Ile tam ciebie jest, Alka? — Smutna Księżniczka miała na imię Alka. — Ile ważysz?

— Osiemdziesiąt.

— Wytrzyma! Namydłaj!

Namydlili sznur, zrobili pętlę. Koniec sznura przywiązali do haka. Zleźli z drabiny.

— Wczołgaj się, Alka!

Smutna Księżniczka leniwie się podniosła, ziewnęła od ucha do ucha i zaczęła wdrapywać się na drabinę. Wdrapała się.

— Powiedz ostatnie słowo — poprosił ktoś z dołu. — Ojej! Tylko nie to! — zaprotestowali pozostali.

— Nie trzeba. Alka! Daj se spokój!

— Tego jeszcze brakowało.

— Alka, błagam cię, tylko bez gadania. To już lepiej zaśpiewaj!

— Nie zamierzam ani śpiewać, ani gadać — powiedziała Alka.

— Spryciuła! No, to zaczynaj!

Alka wsadziła głowę w pętlę.

— A drabinę polem odkopnij!

Ale Alka usiadła na drabinie i znów zawyła:

— Też nudnoooo — ni to zapłakała, ni zaśpiewała. — Nic się nie dzieje!

Wszyscy się z nią zgodzili.

— Rzeczywiście.

— Nic nowego, wszystko było i się zmyło.

— I stąd patologie.

— Naturalizm.

I na to weszli Mędrzec i Iwan.

— Proszę, pozwól — zagadywał dziarsko staruszek chichocząc i zacierając łapki. — Fioła dostają z nudów. Oj, młodzi ludzie. Próbowali wszystkich środków, ale nikt nie wymyślił jeszcze lekarstwa na nudę. Nieprawdaż? Co, moje Smuciątko?

— Poprzednim razem obiecałeś, że coś wymyślisz! — zakaprysiła ze szczytu drabiny Smutna Księżniczka.

— A co! wymyśliłem! — wykrzyknął radośnie starszy pan. — Obiecałem i wymyśliłem. Wy szanowni panowie, szukając tak zwanej radości życia, zapomnieliście o ludziach. A lud się przecież nie nudzi! Lud się śmieje i śmiać! Umiał się śmiać! W historii naszego kraju były bowiem takie momenty, kiedy prosty lud przeganiał ze swojej ziemi dzikie hordy i tylko śmiech był mu orężem! Wraże pułki ze wszech stron otaczały mury obronne, a zza owych murów rozbrzmiewał nagle grzmiący śmiech potężnych piersi! Wrogowie tracili głowy i odchodzili. Trzeba znać historię, droga młodzieży. Bo wicie, rozumiecie... Jesteśmy zbyt wyrafinowani, zbyt przeintelektualizowani. A ojczyściej historii nie znamy. Co, Smuciątko?

— Co wymyśliłeś? — zapytała Smutna Księżniczka.

— Co wymyśliłem? Wziąłem i zwróciłem się do ludu! — nie bez patosu powiedział staruszek. — Do ludu, gołąbeczko, do ludu! Co zaśpiewamy, Wania?

— Jakoś mi głupio; oni tu wszyscy gołkiem biegają — powiedział Iwan — niech się choć trochę przy ogarną.

Młodzi obojętnie przemilczeli tę uwagę, a staruszek pobłażliwie zachichotał, pokazując w ten sposób, że mocno zaprzeszłe poglądy Iwana na wstydlivość także nie budzą jego entuzjazmu.

— Wania, to... Ujmijmy to tak: mądrzejsi od nas już ten problem rozstrzygnęli. Naszym zadaniem jest tańczyć i śpiewać. Prawda? Bałałajkę!

Przynieśli bałałajkę.

Iwan wziął ją w ręce. Pobrzdakał, struny szarpnął, nastroił. Wyszedł za drzwi... I nagle wpadł do pokoju — cały w hołubcach i prysiudach — z pieśnią ludową na ustach:

Moja miła jak kobyła

Mało jadła, mało piła!

— Oj — jęknęła chórem młodzież. — Weź i przestań! No, przestań!

— Wańka, daj se spokój.

— Tak — odezwał się staruszek — w wyższych sferach w takich wypadkach zwykło się mawiać — takaja c'est la vie! Uruchomimy rezerwy! Zapląsamy sobie. Wańka, plie!

— A takiego! — rozsierdził się Iwan. — Co ty, Pietruszkę chcesz ze mnie zrobić?! Ty się lepiej popatrz, im wcale nie do śmiechu! I mnie też nie do śmiechu!

— A zaświadczenie? — jadowicie zapytał starzec. — Co? Zaświadczonko? Trzeba na nie zapracować.

— No i od razu z pyskiem. Nieładnie, ociec, nieładnie.

— No to jak? Umawialiśmy się.

— Ale to ich nie bawi! Żeby ich choć bawiło, toby jakoś... Ale tak to głupio.

— Nie męcz człowieka — zwróciła się do starca Smutna Księżniczka.

— Dawaj zaświadczenie! — Iwan zaczął się denerwować. — I tak już wiele czasu zmitrężyliśmy. Nie zdążę. Kiedy to już pierwszy kur piał! Zara się drugi odezwie, a do trzeciego

muszę zdążyć. A ja jeszcze muszę iść i iść...

Ale staruszek postanowił rozśmieszyć młodzież za wszelką cenę. I wybrał zdecydowanie niesmaczną metodę, chciał zrobić z Iwana pośmiewisko. Aż tak pragnął wygodzić swojej „księżniczce”, bo mocno przyparło starego lubieżnika.

I do tego Jeszcze szlag go trafiał, że nijak nie mógł rozruszać tego stada nudzących się baranów...

— Zaświadczenie? — spytał z figlarnym uśmieszkiem. — Jakie zaświadczenie?

— Masz ci los! — wykrzyknął Iwan. — Już przecie mówiłem...

— Powtórz, bo zapomniałem.

— Że jestem mądry.

— Aaa! — przypomniał sobie staruch, usiłując wciągnąć młodzież do tej paskudnej zabawy. —

Potrzebne ci zaświadczenie, żeś mądry? Przypomniałem sobie. Ale jak ja ci mogę dać takie zaświadczenie? Co?

— Masz przecież pieczęć.

— No, pieczęć niby mam. Ale skąd mam wiedzieć, czyś ty mądry czy nie? Przypuśćmy: Daję ci zaświadczenie, że jesteś mądry, a tyś głupi jak świńskie ucho. I co to będzie? To będzie fałszerstwo. Na coś takiego pójść nie mogę. Odpowiedz mi najpierw na trzy pytania. Odpowiesz, dam ci zaświadczenie, nie odpowiesz, nie miej do mnie żalu.

— Niech będzie — zgodził się niechętnie Iwan. — Wszystkie wstępy do baśni mówią o tym, że wcale nie jestem głupi.

— Tak we wstępach piszą? A wiesz ty, kto te wstępy układa?

— Co to, pierwsze pytanie?

— Nie, nie. Jeszcze nie. Tylko tak sobie. A pytanie ci zadam takie: co powiedział Adam, kiedy Bóg wyjął mu żebro i stworzył Ewę? No, co przy tym powiedział Adam? — Staruszek przyglądał się młodzieży i swojej Księżniczce ze sprytnym błyskiem w oku. Bardzo był ciekaw, jak spodobał im się jego szatański pomysł. Sam był z siebie zadowolony. — No? I cóż to powiedział Adam?

— Nic zabawnego — odezwała się Smutna Księżniczka. — Głupio. Bez polotu.

— Umysłowe rękodzieło — dołączyli się inni.

— Idiotyzm. Co powiedział? „Sam stworzyłeś, to sam sobie z nią żyj”. Staruch przypochlebnie wycelował paluszek w dowcipnisia:

— Ciepło, ciepło!

— Mógłbyś to jakoś zgrabniej powiedzieć.

— Chwileczkę, chwileczkę! — zatrzepotał rączkami staruszek. — Ciekawe, jak Iwan to ujmie.

Wania, co powiedział Adam?

— A może ja bym też o coś zapytał? — zaproponował z kolei Iwan.

— Polem.

— Nie, najpierw odpowiedz, co powiedział...

— Nie, niech on zapyta! — Smutna Księżniczka wyraźnie zaczynała kapryścić. — Pytaj, Wania.

— O co on może pytać? Po czemu worek owsa na targu?

— Wania, zapytaj! Zapytaj, Wania! Wania, zapytaj! Zapytaj!

— No, no, toż to zwykła dziecinada — powiedział z niechęcią stary. — Już dobrze, dobrze.

Pytaj, Wania!

— Powiedz mi, dlaczego masz dodatkowe żebro? — Iwan wycelował palec w staruszkę, wyraźnie go małpując.

— Jak proszę? — usiłował zyskać na czasie starszy pan.

— Nie! Nie! Nie! Nie: Jak proszę”, a dlaczego? — zainteresowała się Smutna Księżniczka. — I

dlaczegoś to ukrywał?

— To rzeczywiście ciekawe — ożywili się pozostali. — Dodatkowe żebro? Nadzwyczajna sprawa!

— I stąd cała jego mądrość!

— Niech pan pokaże! Niech pan pokaże! Bardzo prosimy! Młodzi ludzie otoczyli staruszka zwartym kręgiem.

— Ale, ale — wystraszył się — po co to wszystko? Co za kawały? Tak wam się ten concept durnia spodobał, czy co?

Krąg wokół staruszka zacieśnił się. Zaczęli zdzierać z niego marynarkę, szarpać za spodnie. Wcale nie na żarty zamierzali pozbawić Mędrca odzieży.

— Nie pochwalić się takim bogactwem! I czemuż to?!

— Przytrzymajcie no marynarkę. Marynarkę, mówię, trzymajcie! Oj, niczego nie mogę się domacać!

— Przestańcie! — wrzasnął staruszek i zaczął się ze wszystkich sił bronić, o oczywiście zmobilizowało młódź do zwiększenia wysiłków. — Natychmiast kończcie z tym skandalicznym zachowaniem! Ten idiota zażartował, a oni... Iwan, powiedz im, żeś żartował!

— Zdaje się, że wymacałem! Koszula przeszkadza! — grzebał na całego w staruszku krzepki młodzian. — Ma jeszcze trykocik, eeee... to cały komplet ciepłej bielizny! Jegierowskiej. Trzymajcie koszulę!

Ściągnęli z Mędrca marynarkę, spodnie. Ściągnęli koszulę. Starszy pan został w samych gaciach...

— To skandal! — wydierał się. — W tym nie ma żadnego materiału na dowcip! Kiedy jest wesoło? Wtedy, kiedy wszystko, zamierzenia, cele i środki, jest wypaczone! Kiedy odchylenie od normy jest oczywiste!

Krzepki młodzian poklepał go delikatnie po krągłym brzuszku.

— A to... to przypadkiem nie odchylenie?

— Ręce przy sobie! — zapiszczał stary. — Idioci! Półgłówki! Żadnego wyobrażenia, co znaczy wesoło! Kretyny! Obiboki!

W tym momencie zaczęli go starannie łaskotać, więc głośno zachichotał i spróbował się wyrwać z okrażenia. Ale młodzi ludzie stali twardo ramię przy ramieniu.

— Czemu pan ukrywał dodatkowe żebro?

— Jakie żebro? Oj, ha-ha-ha! No gdzie?! O rany, nie mogę! To... Ha-ha-ha!

— Dajcie mu dojść do słowa!

— Prymityw! Dowcip na poziomie neolitu! Wszystko to, poczynając od żebra, a kończąc na waszych zakusach, idiotyzm! Ha-ha-ha!

I tu staruszek puścił bąka — tak po starczemu, cichutko — sam się tym bardzo speszył, cały zadrzał i skurczył się w sobie. A młodzi wpadli w histerię. Teraz oni się śmiali. I to jak! Padali, wyli i piali na przemian. Smutna Księżniczka niebezpiecznie chwiała się na drabinie, ale ze śmiechu nie mogła z niej zleźć. Iwan zdjął ją stamtąd i położył obok pozostałych — niech się wyśmieje! Sam zaś znalazł spodnie staruszka, pogrzebał w kieszeni... Znalazł! Pieczęć. I zabrał ją.

— Bawcie się dobrze — powiedział — na mnie już czas.

— Po co ci to wszystko? Pieczęć, znaczy... — żałośnie spytał stary. — Daj, wypiszę ci zaświadczenie...

— Sam teraz będę wystawiał zaświadczenia. Wszystkim, jak leci. — Iwan podszedł do drzwi. — Żegnajcie!

— To zdrada. Iwan — stwierdził Mędrzec. — Przemoc.

— Nic z tych rzeczy! — nadął się Iwan. — Przemoc to jak ci dadzą po ryju.

— Podejmę urzędową decyzję! — groził Mędrzec. — Podejmę i tak zatańczycie!

— Nie pleć, ociec! — krzyknęli młodzi. — Kładź się!

— Najukochańszy mój! — złożyła ręce jak do modlitwy Smutna Księżniczka. — Podejmij!

Oczyść atmosferę!

— Decyzja! — uroczyście oznajmił Mędrzec. — Dany humor danego kolektywu idiotów ogłasza się jako głupi! A także nie odpowiadający wymogom współczesności i zezwierzęcony! W związku z czym pozbawia się go prawa wywoływania nowej jakości, nazywanej dalej śmiechem. Kropka. Moją tak zwaną kontuzję należy uznać za niebyłą!

I zagrzmiała nagle wspaniała, porywająca muzyka. I chór. Chór, który wydaje się nie tylko śpiewa, ale i przytupuje sobie.

PIOSENKA DIABLÓW

Allelujaaa!

Allelujaaa!

Hej, pójdziemy w świat!

Każdy chwyt nam brat!

Zabierzemy z sobą w drogę

Kubek wódki, świńską nogę!

Allelujaaa!

Allelujaaa!

Siemasz ludu, cześć!

Jak nie masz co jeść,

To gdzieś w bramie,

Gdzieś pod płotem

Rozłożymy się pokotem,

A gdy potem się zerwiemy”

Suche pyski zalejemy

Kulturalnie!

Allelujaaa.

Allelujaaa!

Ach, któż to, któż tak cudownie śpiewa i jeszcze do tego przytupuje? Ach, któż, ach, któż potrafi się tak cieszyć?! Ech... To w klasztorze. Diabły. Zakonników wyrzucili na zbity pysk i teraz balują.

Kiedy nasz Iwan stanął pod murami klasztoru, była już głęboka noc. Nad lasem wisiał srebrzysty księżyc. Teraz przy bramie trzymał wartę strażnik diabeł. Natomiast zakonnicy uwiesili się na ogrodzeniu i gapili do środka. A tam akurat płynął wesoły diabelski korowód: diabły szły procesją śpiewając i tańcząc. A pieśń ich niosła się daleko, daleko...

Iwanowi zrobiło się żal zakonników. Ale kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że stoją i podrygują w takt diabelskiej muzyki. I leciutko przytupują. Tylko niektórzy — przede wszystkim starzy w pełnych cierpienia pozach siedzieli na ziemi i kiwali głowami. Ale charakterystyczne było to, że choć okropnie smutno kiwali, to jednak do taktu! A i sam Iwan nawet nie zauważył, jak po chwili zaczął przytupywać i podskakiwać, jakby go giez ukąsił.

Ale oto piski i pienia w klasztorze umilkły, widać zmęczyły się diabliska, musiały odsapnąć. Zakonnicy odeszli od muru. I wtedy z rowu wygramolił się furtian i w pijanym widzie poczołgał się

na dawne swoje miejsce.

— Won, gnoju — powiedział do diabła. — Skądę się tu wziął? Diabeł strażnik pobłażliwie się uśmiechnął.

— Idź stąd. Odejdź! Prześpij się.

— A to co znowu? — zdumiał się zakonnik. — Jakim prawem? Jaksę się tu znalazł?

— Jak się prześpisz, to ci wyjaśnię, jakim prawem. A teraz won! Furtian zaczął napierać na diabła, ale ten boleśnie diabnął go dzidą.

— Paszoł, mówię! Zaleje taki pysk i pcha się. Podchodzenie surowo wzbronione! Tu wisi instrukcja: nie zbliżać się do bramy na odległość mniejszą niż dziesięć metrów!

— O zez ty ryju! — zaklął szpetnie strażnik mnich. — Ach, ty, synu kozła i otomany! No dobra. Poczekaj, przyjdę do siebie, to ci pokażę taką instrukcję! Ciebie tu zamiast instrukcji powieszę!

— Przeklinanie też surowo wzbronione! — twardo powiedział diabeł. — Bo cię zapuszczuję! Będiesz se mógł kłać, ile dusza zapagnie. Przeżywać się będzie! Już ja cię poprzezywam, ty... Spadaj, pókim dobry Moczymorda! Spadaj!

— Agafangel — zawołali furtiana — odejdź. Jeszcze sobie biedy napytasz. Nie ulegaj grzesznym pokusom! Agafangel, zataczając się, poszedł do swoich. Poszedł i zaryczał:

Gdzie Bajkał podnóza gór sięga,

Przez śniegi, wichurę i noc

Wędruje zgarbiony włóczęga...

Diabeł strażnik zachichotał:

— Agafangel! — powiedział ze śmiechem. — Też cię nazwali! Już lepiej Agaspiryt. Albo po prostu Jabrzębiak.

— A co to się wam, bracia, wydarzyło? — spytał Iwan, przysiadając się do zakonników. — Wypędzili was?

— Wypędzili — westchnął siwobrody starzec. — Jeszcze jak wypędzili! Po prostu wykopali. I jeszcze po grzbiecie przyłożyli!

— Oj niedobrze, niedobrze! — jęczał cicho drugi. — A jak niedobrze, to już ze szczętem. W życiuśmy takiej biedy nie zaznali.

— Trzeba cierpieć! — dał narzekającym słuszny odpór całkiem stetryczały zakonnik. — Wzmocnić się w wierze i cierpieć.

— Jakże to, cierpieć? Trzeba coś robić!

— Młodzik z ciebie — zaczęli mu perswadować. — Dlatego rozrabiasz. Postarzejesz się i rozrabiać przestajesz. Co tu robić? Zobacz, jaka w nich siła.

— To kara za nasze grzechy!

— Za grzechy... za grzechy... Trzeba cierpieć... Iwan ze złością rąbnął się w kolano.

— Gdzie ja wtedy miałem głowę! Po cóżem ją miał, dynię przekłętą! Moja wina, bracia, moja wielka wina! To ja wam podłożyłem świnię! Grzech na moją głowę spada!

— No, no, no — uspokajali go. — Co ty?! Ale cię wzięło! Co z tobą?

— Ech, ech — kajał się Iwan. I nawet zaszlochał. — Ileż to wzięłem na sumienie! Przez tę jedną wyprawę! Oj, jak mi ciężko!

— No, no, nie oskarżaj się tak. Nie trzeba. Co teraz zrobisz? Trzeba cierpieć, bracie nasz, trzeba cierpieć!

I wtedy wyszedł z bramy Wytworniś i zwrócił się do obecnych.

— Panowie — powiedział. — Chce który zarobić? Jest chałtura!

— No? A o co chodzi? — ożywili się zakonnicy. — Co jest?

— Tam u was wiszą portrety, parę rzędów.

— A?

— Co za portrety, to nasi święci!

— Trzeba ich przemalować, ciut się zestarzeni. Zapanowała ogólna konsternacja.

— I kogo namalować zamiast nich? — cicho zapytał najstarszy z mnichów.

— Nas.

Teraz to już wszyscy zamilkli. I długo milczeli.

— Boże w niebiesiech! — powiedział stary mnich. — Oto kara boska.

— No? — poganiał Wytworniś. — Jest jakiś majster? Zapłacimy przyzwoicie. Przecież i tak siedzicie i nic nie robicie.

— Bij ich!! — wykrzyknął nagle jeden z zakonników. I kilku się zerwało. Rzucili się na diabła, ale ten szybko wpadł w bramę i schował się za strażnika. A do strażnika w mgnieniu oka dołączyły inne diabły. Groźnie nastawiły włócznie.

— Ale z was grubianie — odezwał się zza palisady Wytworniś. — Prostack, trzeba by od podstaw wychowywać. Dicz. Wiecheć z butów wystaje. Nic to, już my się za was weźmiemy. — I odszedł. Ledwie odszedł, z klasztoru znowu zabrzmiała muzyka. I rozległ się stuk kopyt po kamiennym podwórku. Diabły zaczęły tańczyć czeczotkę. Wszystkie.

Iwan złapał się za głowę i poszedł precz.

Szedł po lesie, a diabelska wściekła muzyka wciąż go doganiała, przeganiała i męczyła. Szedł Iwan i płakał, tak gorzko mu było na duszy, tak podle.

Usiadł na tym samym zwałonym pniu co poprzednim razem.

Usiadł i zadumał się.

Podszedł z tyłu Niedźwiedź i też przysiadł.

— Byłeś tam? — zapytał.

— Byłem — odpowiedział Iwan. — Ale lepiej, żeby nie był.

— Co? Zaświadczenia nie dali?

Iwan tylko machnął ręką, nic nie powiedział. To był zbyt bolesny temat.

Niedźwiedź wsłuchał się w daleką muzykę. I zrozumiał wszystko bez słów.

— Ci tam — wskazał łapą — wszyscy tańczą? A wiesz, gdzie tańczą? W klasztorze!

— Och, mamó moja! — zdziwił się Niedźwiedź. — Wleźli?

— Wleźli.

— To już koniec — powiedział Niedźwiedź głosem skazańca. — Trzeba uciekać. I tak wiedziałem, że wleżą. Zamilkli obaj.

— Słuchaj odezwał się Niedźwiedź. — Ty jesteś bliżej miasta. W cyrku to jakie są warunki?

— Chyba niezłe. Prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie, ale obito mi się o uszy, że całkiem, całkiem.

— A jak tam karmią? Ile posiłków dziennie?

— Cholera wie. Chcesz iść do cyrku?

— No a co robić? Chcesz, nie chcesz, trzeba iść. Gdzie pójdę?

— Taa... — westchnął Iwan. — Takie jest życie.

— Bardzo rozrabiają? — zapytał Niedźwiedź, zapalając papierosa. — Ci tam?

— A co się będą obcyndalać.

— Jasne. Nie po to się pchali. Teraz sobie poharcują. Tfu, żeby ich nagła śmierć, takich synów!

— Niedźwiedź rozkaszał się. Kaszłał długo i przeraźliwie. — Jeszcze mnie odrzucą w tym cyrku.

Wybrakują. Płuca mam jak durszlak. Dawniej to jednym palcem kłonicę się łamało, a wczoraj, jakem pognał za krową, wiorstę przeleciałem i język miałem do pępka. A tam pewnikiem ciężary trzeba dźwigać.

— Tam każą na zadnich łapach posuwać — ostrzegł Iwan.

— Po cholere? — zdziwił się Niedźwiedź.

— A coś ty taki ciemny? Żreć dają tylko tym, którzy chodzą na tylnych łapach. Każdy głupi to wie.

— Ale po co im to?!

— Tego to ja już nie wiem.

Niedźwiedź popadł w zadumę i długo się nie odzywał.

— No, no, no — powiedział wreszcie.

— A rodzinę to ty jakąś masz? — zainteresował się Iwan.

— A gdzie lam! — z rozpaczą w głosie wykrzyknął Michajło Iwanycz. — Rozpędziłem na cztery wiatry. Dałem sobie po krzyżach, zacząłem rozrabiać, to pouciekali. Nie wiem, dokąd ich poniosło. — Pomilczał przez chwilę. Nagle zerwał się i ryknął: — O żeż ty bladź! Schlam się, złapię kłonicę i zrobię w tym klasztorze porządek.

— Dlaczego w klasztorze?

— Bo przecież oni tam siedzą!

— Daj spokój, Michajło Iwanycz. Nie szarp się. Zresztą i tak się tam nie dostaniesz.

Michajło Iwanycz usiadł i zaczął trzęsącymi się łapami zapalać papierosa.

— Jesteś niepijący? — zapytał.

— Niepijący.

— To błąd — ze złością powiedział Michajło Iwanycz. — Od tego robi się lżej. Może spróbujesz?

— Nie. — Iwan zdecydowanie odciął się od tej propozycji. — Już próbowałem. Wódka jest gorzka.

Michajło Iwanycz zarechotał ogłuszająco. Klepnął Iwana po ramieniu. Oj, dzieciaku, dzieciaku. Osesek, jak Boga kocham. Spróbuj!

— Nie. — Iwan podniósł się z pnia. — Komu w drogę, temu czas. Żegnaj!

— Żegnaj! — powiedział Niedźwiedź. I poszli każdy w swoją stronę.

Przyszedł Iwan do chatki Baby Jagi. I chciał ją już minąć, kiedy usłyszał, że ktoś go woła:

— Iwanuszka, Iwanuszka! Cóż nas tak omijasz?! Rozgląda się Iwan, nikogo nie widzi.

— Tutaj jestem, tutaj! — rozległ się ten sam głos. — W wychodku! Patrzy Iwan — wychodek, a na drzwiach wychodka kłódka zamczysta.

— Kto tam? — zapytał.

— To ja, córeczka Baby Jagi. Ta z wąsami, pamiętasz?

— Jasne że pamiętam. A po coś tam wlaźła? Kto cię tak urządził?

— Wyzwól mnie stąd, Iwanuszka! Zdejmij kłódkę! Na ganeczku pod słomianką jest klucz, weź go i otwórz! Potem ci wszystko opowiem. Iwan znalazł klucz i otworzył kłódkę. Wąsata córuczna Baby Jagi wyskoczyła z wychodka i zaczęła bluzgać jadem:

— To tak się traktuje narzeczone! Uch, gad! Świnia nie smok! Ja ci tego, łobuzie, nigdy nie zapomnę: Ja cię urządzę!

— To Gorynycz cię tam upchnął?

— Gorynycz. Fuj, gadzina! Dobra, dobra, ty trójjedyna formuło. Ja ci znajdę taką przechowalnię, padalcu!

— Za co on cię tak? — poinformował się Iwan.

— Sam go zapytaj. Chce mnie wychować. Napoleona udaje, do aresztu mnie wsadził! Nic nie można powiedzieć. Głębisko jedno! Córka Baby Jagi omiotła Iwana taksującym wzrokiem.

— Słuchaj no — powiedziała — chcesz być moim kochankiem? Co? W pierwszym momencie Iwan zbaraniał, ale odruchowo spojrzał na wąsatą narzeczoną: wąsata to wąsata, ale całą resztę ma na miejscu i całkiem do rzeczy — i usiąść na czym i czym odetchnąć. A w sumie te wąsy... wprawdzie... ale cóż to są wąsy? Ciemna smużka nad wargą, co to znowu za wąsy? To nie wąsy, tylko dodatkowy wabik.

— Chyba czegoś nie zrozumiałem — płatał się Iwan. — Czemu z tym do mnie, nie całkiem, nie tego...

— Wańka, uważaj! — rozległ się nagle głos Ilii Muromca. — Uważaj, Wańka!

— Zaczyna się — skrzywił się Iwan. — Zawańkał.

— Co się zaczyna? — nie zrozumiała narzeczona. Nie mogła słyszeć głosu Ilii, to w bajce zakazane. — Myślałby kto, że baby pchają ci się bez przerwy do łóżka.

— Ależ nie — powiedział Iwan — dlaczego? Ja w tym sensie... że... to znaczy... w ogóle!...

— Co ty tam mamrociesz? Coś mamrocze, kręci. Albo tak, albo nie. Jak nie, to zawołam sobie kogo innego.

— A co z Babą Jagą?

— Poleciała z wizytą. A Gorynych na wojnie.

— Idziemy! — zdecydował się Iwan. — Mam jeszcze z pół godzinki. Możemy pofiglować.

Weszli do chatki. Iwan zrzucił łapcie i uwalil się na łóżko.

— Zmęczyłem się! — powiedział. — Oj, jak się zmęczyłem. Gdzie ja nie był... Czegom nie widział... A com wycierpiał...

— Nie jesteś tu po to, żeby się wylegiwać! Co wolisz? Sałatkę czy jajecnicę?

— Dawaj cokolwiek, byle szybko! Zara się rozwidni.

— Zdązysz. Dam ci jajecznicy, zdrożonyś. — Córka Baby Jagi rozpałała ogień pod kuchnią, postawiła patelnię.

— Niech się grzeje. To teraz mnie pocałuj, a umiesz przynajmniej? — Tu córeczka Baby Jagi zwała się na Iwana i żwawo zaczęła figlować. — Cooo! Toż ty nie masz o niczym pojęcia! Ale łapcie zdjąłeś!

— Kto nie ma pojęcia?! — uniósł się Iwan honorem. — Ja nie mam pojęcia?! Ja się tu zara tak rozwinę, że ty... Trzymaj ręce! Ręce trzymaj! No, moją rękę, moją rękę trzymaj, bo coś mi się trzęsie. Trzymasz? Łap za drugą! Za drugą mówię! Trzymasz?!

— Trzymam? No...

— Puszczaj! — zawył Iwan.

— Poczekaj, patelnia pewnie się już spaliła — powiedziała córka Baby Jagi. — Ale z ciebie numer! A dzieciątko byś mi zrobił?

— Co mam nie zrobić! — zbeczelniał Iwan z kretesem. — Nawet dwa.

A dasz ty sobie z nim radę? Wiesz, ile przy takim dzieciątku jest roboty!

— Umiem już przewijać! — pochwaliła się córka Baby Jagi. — Chcesz, to ci pokażę. Zaraz postawię jajecnicę i zobaczymy. Iwan roześmiał się:

— No, no...

— Zaraz zobaczysz — córka Baby Jagi postawiła jajecnicę na kuchni i podeszła do Iwana. — Kładź się.

— Ja? Po co?

— Ciebie zawinę. Kładź się.

Położył się. Córka Baby Jagi zaczęła go starannie owijać, opakowywać w prześcieradło.

— Ty mój pieczoszku — gaworzyła — maluśki mój... Synuśka mój... Uśmiechnij się do mamusi! Jak ślicznie umiemy się uśmiechać, no pokaż, pokaż! No jak? — La, ła! — zapłakał Iwan.

— Papiusia! Chcę papu!

Córka Baby Jagi zaśmiała się.

— Aaa, papiusia się zachciało? Papiusia chce moja synuleńka... No i zawinęliśmy naszego najmilszego. Zaraz damy papu. No uśmiechnij się do mamusi!

Iwan uśmiechnął się do „mamuśki”

— Tiu, tiu, tiu... — Córka Baby Jagi podeszła do kuchni. Ledwie odeszła przez okno umieszczone nad łóżkiem wsunęły się trzy głowy Gorynycza. Zamarły, patrząc na zawiniętego w płachtę Iwana. Długo milczały. Iwan aż oczy zamknął ze Strachu.

— Głu, glu, glu — czule odezwał się Gorynycz. — Malutki ty mój! No co, do tatusia się nie uśmiechniesz? Do mamusi się uśmiechniesz, a do tatusia nie chcesz? Tiu, tiu, uśmiechnij się. No uśmiechnij!

— Mnie nie do śmiechu — powiedział Iwan.

— Aaa! Pewnie nam się coś przydarzyło? Tak, okruszynko moja?

— Na to wygląda — przyznał się Iwan.

— Mamuśka! — zawołał Gorynycz. — Chodź no tu! Syneček się spaskudził!

Córeczka Baby Jagi upuściła na ziemię patelnię z jajecznicą. Stała jak słup soli. Milczała.

— No co z wami jest? Czemu się nie cieszyacie?! Tatus wrócił, a wy tacy smutni! — Gorynycz uśmiechał się wszystkimi swymi trzema głowami. — Nie kochacie tatusia? Oj, chyba nie kochają tatusia, oj nie kochają. Nie szanują. No to tatus was spapusia. Ćpał was będzie tatus. Z kośćcami. — Gorynycz przestał się uśmiechać. — Z wąsami! Z gówienkami! Szał zmysłów chcieli sobie urządzić! — ryknął chórem. — Chuci grzeszne zaspokoić! Figielki im w głowie! Kamasutra! Zaraz zrobię z tym bajzlem koniec! Chaps, i po krzyku!

— Gorynyczu — jęknął zrezygnowany Iwan. — Mam tu pieczęć. Pieczęć zdobyłem, nie głupie zaświadczenie! To przecie duża rzecz! Nie masz co się tu wydzierać. Nie drzyj się! — głos Iwana pewnie z tego strachu zaczął nabierać mocy i dźwięczności. — Cóżes się tak rozwrzeszczał?! Nie masz nic do roboty? Zećpie nas! Patrzcie go, papiusiać nas będzie! Zajrzyj, o tu mam pieczęć. Tu w kieszeni! Zobacz, jak nie wierzysz! Przystawię ci ją na każdym czółku, ty...

I u Gorynycz uśmiechnął się, bluznął ogniem z jednej głowy i leciutko opalił Iwana. Iwan zamilkł. Ale przedtem powiedział jeszcze cichutko:

— Nie baw się ogniem. Smok plus ogień równa się pożar. Córka Baby Jagi padła przed Gorynyczem na kolana.

— Mój najukochańszy — powiedziała — źle mnie zrozumiałeś: na śniadanko ci go przygotowałam. Chciałam ci zrobić niespodziankę. Przyleci Gorynycz, myślę sobie, a ja tu mam dla niego coś dobrego w płachetce, świeżutkiego, ciepłutkiego.

— Ale ma gadanie! — zdumiał się Iwan. — Zeżrą człowieka i powiedzą: tak trzeba, tak było w planie. Dobrali się jak w korcu maku. Tfu. Żryj, głodomorze! Żryj, wstydu oszczędź! Bądźcie przekłeci!

Gorynycz już, już miał Iwana szamnąć, już, już rozdziawiał paszczęki, kiedy do izby wpadł doński Ataman z biblioteki.

— Doigrałeś się, łobuzie?! — wrzasnął na Iwana. — Doigrałeś?! Zwiążali?!

Gorynycz drgnął i poderwał swoje trzy głowy.

— A to co takiego? — syknął.

— Chodźmy na dwór — zaproponował Ataman, wyciągając z pochwy swą wierną szabelkę. — Będziemy mieli więcej miejsca. — Spojrzał na Iwana z niesmakiem. Skrzywił się. — Iwan, do czego to podobne!

— Sfrajerowałem się, Atamanie. — Iwanowi wstyd było spojrzeć Kozakowi w oczy. — Umoczyłem. Ratuj w imię Boże!

— Nie gorączkuj się — uspokajał go Ataman — nie takim ognioplujom dawałem radę! Jedną ręką go... Raz sieknę, wszystkie trzy spadną. Jak ci? Gorynycz? Chodź, spróbujemy się! Ale potworzysko!

— Jakież będę miał dzisiaj śniadanie! — zachwycił się Gorynycz. — Z trzech dań! Idziemy! I poszli się bić.

Z polanki zaczęły dobiegać odgłosy ciężkich ciosów i niewyraźne szcęknięcia. Walka była okrutna. Ziemia drżała.

— A dlaczego mówił o trzech daniach? — zapytała córka Baby Jagi. — Co to, nie uwierzył mi? Iwan milczał. Nadśluchiwał odgłosów starcia. Przez pewien czas milczała też kobieta.

— Ale ten Kozak! — wykrzyknęła przypodchlebnie. — Jaki on odważny! Jak myślisz, kto zwycięży?

Iwan milczał.

— Stawiam na Kozaka — mówiła dalej kobieta. A ty?

— Ooo! — zajęczał Iwan. — Zejdę! Na apopleksję!

— Co, źle się czujesz? — zapytała ze współczuciem, — Czekaj, rozplacę cię z tego. — Podeszła, żeby uwolnić Iwana z prześcieradła, ale przystanąła i zamyśliła się. — Nie, troszeczkę poczekamy. Diabli wiedzą, jak to się skon—czy. Poczekamy.

— Zabij mnie! — błagał Iwan. — Dźgnij nożem! Dłużej tego nie wytrzymam!

— Poczekamy, poczekamy — trzeźwo oceniła sytuację niewiasta. — Nie ma się co gorączkować. Najważniejsze, żeby nie palnąć teraz jakiegoś byka.

Na polance zrobiło się nagle cicho. Iwan i córka Baby Jagi zamarli w oczekiwaniu.

Do izby chwiejąc się wszedł Ataman.

— Krzepkie bydło! — powiedział. — Ledwie mu dałem radę. A gdzie ta... A, laluniu, tużes ty! No, to co robimy? Chcesz trafić tam, gdzie twój przyjaciel, małpo jedna?

— Ojej! — zamachała rękami córka Baby Jagi. — Cały Kozak, cały on! Od razu do gardła się rzuca! Dowiedz się przynajmniej, jak było naprawdę!

— A bo to ja nie wiem, jak było! — Ataman wyplątał Iwana z płachty i z powrotem zbliżył się do kobiety. — Co tu się działo?

— On mnie przecież o mało nie zgwałcił! Taki grubianin, taki grubianin! Zapieszczę, powiada, na umór. I przyplódek zostawię, Gorynyczowi na złość. Taki bojowy, szatan nie kogut! — I córka Baby Jagi lubieżnie zachichotała. — Prawdziwy ogień!

Ataman spojrział zdziwiony na Iwana.

— Iwan...

— Słuchaj jej dalej! — z goryczą wykrzyknął Iwan. — Ją toby zabić trzeba, tylko grzechu na duszę brać się nie chce! I tak już ich tam, choć się zawał. Teraz już byś przynajmniej kręcić przestała!

— Jaki by on tam był bojowy — plotła dalej baba, jakby nie słysząc Iwana — to i tak tobie nie dorówna. Odważniej szych od ciebie. Kozaku, mężczyzn, w życiu nie spotkałam.

— A co, tak ci się bohaterowie podobają? — figlarnie spytał Ataman. I podkręcił wąża.

— Zostaw! — powiedział Iwan. — Zginiemy! Nie słuchaj tej zmił.

— Czemu od razu ginąć? Do niewoli ją weźmiemy!

— Idziemy, Atamanie. Nie ma już czasu. Tylko patrzeć, jak trzeci kur zapieje.

— To idź! — rozkazał Ataman. — Idź, a ja cię dogonię! My tu tylko malutkiego...

— Nie! — powiedział stanowczo Iwan. — Bez ciebie nie ruszę się z miejsca. Co by Ilia powiedział?

— Mmm... — zasepił się Kozak. — No, w porządku, idziemy. W porządku, nie będziemy Muromca martwić. Jeszcze się spotkamy, laluniu! Widzicie, jaka wąsata? Uch, zewrzemy się kiedyś, kochana, wąs w wąs. — Ataman głośno się zaśmiał. — Idziemy, Iwanuszka, podziękuj liiii. Wyczuł pismo nosem. On cię przecież ostrzegął, czemuś go nie posłuchał?

— No tego, tak między nami, bohaterami... nie posłuchałem...

Iwan wyszedł z Atamanem.

Córka Baby Jagi długo siedziała na Jawie i rozmyślała.

— I co ja mam teraz robić? — zapytała sama siebie. I sama sobie udzieliła odpowiedzi: — Ani ze mnie wdowa, ani mężatka. Trzeba sobie kogoś poszukać. W bibliotece Iwana i Kozaka witano głośno i radośnie.

— Dzięki Bogu, cali i zdrowi!

— No, Iwan, aleś nas przestraszył! Aleś przestraszył!

— Waniusza! — zawołała Biedna Liza. — Waniuszka!

— Poczekaj, dziewczyno, nie rób zamieszania! — przyhamował ją Ilia. — Dajże się najpierw dowiedzieć, jak tam było. No i co, Wańka, zdobyłeś zaświadczenie?

— Całą pieczęć zdobyłem, popatrz! — Iwan oddał pieczęć. Długo i ze zdziwieniem oglądali pieczęć, obracając ją na wszystkie strony i boki. Podawano ją sobie z rąk do rąk. Ostatni dostał pieczęć Ilia. Długo miętosił ją w ogromnych dłoniach, przyglądał się: Potem zapytał:

— No tak. I co z nią robić? Tego nikt nie wiedział.

— I po co było człowieka wysyłać w taką dal? — zapytał jeszcze Ilia. I tego teraz też już nikt nie wiedział. Tylko Biedna Liza, Biedna Liza Przodownica, usiłowała wyskoczyć z odpowiedzią:

— Jak to ty powiadasz, wujaszku Ilia...

— Co ja powiadam? — ostro przerwał jej Muromiec. — Powiadam: po co?! Po coście wysłali człowieka w taką dal? Tu jest pieczęć. A co dalej? Tego nie wiedziała i Biedna Liza.

— Siadaj, Wańka, na miejscu i siedź! — rozkazał Ilia. — Zaraz kury zapieją...

— Myśmy nie siedzieć powinni! Ilia! — zdenerwował się nagle Iwan. — Nie ma się co rozsiadywać.

— Niby czemu? — zdziwił się Ilia. — No to zatańcz. Czego się wściekasz? — Ilia uśmiechnął się i uważnie przyjrzał Iwanowi. — Patrzcie go, jaki wrócił!

— No jaki? Jaki?! — nie dał się powstrzymać Iwan. — Wróciłem. I zawsze wszystko na mnie! Siedzieć tu!

— Więc usiądź i pomyśl — spokojnie poradził Ilia.

— Hajda, na Wołgę — drugi podróżnik też zaczął krzyczeć. Zerwał czapkę z głowy i cisnął ją na podłogę. — Po co siedzieć?! Pohulamy! Pohu...

Ale nie zdążył wykrzyczeć swojego „pohulamy!”. Rozległo się dziarskie „kukuryku!” To trzeci kur zapiał.

Wszyscy wskoczyli na swoje półki.

— Czapkęśmy! — wykrzyknął Ataman. — Czapka na podłodze została!

— Cicho! — zakomenderował Ilia. — Nie ruszać się z miejsc! Potem podniesiemy. Teraz nie

można!

W tej chwili zazgrzytał w zamku klucz. Weszła ciocia Masza, sprzątaczką. Weszła i zaczęła sprzątać.

— Jakaś czapka tu leży? — zdziwiła się. I podniosła czapkę. — Co za czapka? Jakaś dziwna. — Popatrzyła na półki z książkami, — Czyje to?

Bohaterowie klasycznej literatury rosyjskiej siedzieli cicho, nie ruszali się. Ataman też siedział cicho, w żaden sposób nie dając po sobie poznać, że to jego czapka.

Ciocia Masza położyła czapkę na stole i zaczęła sprzątać.

I tak kończy się nasza bajka.

Być może, będzie jeszcze inna noc. Być może, coś się jeszcze tu przydarzy. Ale to już będzie zupełnie inna historia... Bo tej już koniec.

Przełożyła Anita Tyszkowska

Smisl 54

Sens 54

Michał Pietrowicz Riazancew już dawno machnął ręką na swój wygląd zewnętrzny, nic więc dziwnego, że nie miał najmniejszego pojęcia, jakim to przemianom ulega jego cielesna powłoka. Jednak któregoś dnia zdarzyło mu się przymierzać garnitur — żona go namówiła — i z tej okazji trafił do kabiny wyłożonej z trzech stron lustrami. W tej to właśnie kabinie, oglądając pod nadzorem Olgi Siergiejewny sprawunek, zobaczył trzech niepodobnych do siebie, ale w równym stopniu niesympatycznych mężczyzn. Jednego — wąskiego w ramionach, ze spłaszczoną małpią potylicą, drugiego — z obwisłym nosem i błyszczącą łysiną na czubku głowy i trzeciego wreszcie, dobrze znanego, z workami pod oczami, dwudniową szczeciną na brodzie i obrzmiałymi policzkami. Ta obserwacja sprawiła, że jeszcze głębiej pogрузił się w stan powszechnej prostracji, melancholii i obojętności.

Trochę się jednak Riazancew zaniepokoił, lecz nie oznakami starości, podsuniętymi mu nagle przez beznamiętne lustro. Poczul nagle, że jego zaniedbana cielesna powłoka wyrodziła się nie wiedzieć kiedy w całkiem autonomiczną istotę, i to w dodatku w istotę zupełnie obcego mu gatunku. Taki osobnik powinien palić papierosy marki Bielomor, potulnie godzinami stać w kolejce po kufel kwaśnego piwa i nade wszystko cenić sobie tępe gapienie się w telewizor. W powszechnym, zewnętrznym języku takiego osobnika dałoby się zdefiniować mętnymi terminami w rodzaju „szmata” czy też „robot”. Natomiast w języku wewnętrznym Riazancewa istota taka nosiła miano po tysiackroć bardziej precyzyjne, lecz zupełnie przypadkowo brzmiące dla otoczenia niezbyt cenzuralnie.

Swoim językiem wewnętrznym mówił Riazancew od wczesnego dzieciństwa i nie jest wykluczone, że bez niego przepadłby na tym świecie, gdyż w stopniu doskonałym pozbawiony był zdolności wydawania i wykonywania rozkazów.

Mieszkańcy naszej planety, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, co chwilę wymieniają między sobą rozkazy — a Riazancew był pod tym względem genetycznie upośledzony. Ledwie usłyszał rozkazujący ton w czymś głosie, natychmiast drętwiał i tracił koordynację ruchów. W dzieciństwie przy takich okazjach Riazancew coś jeszcze próbował szczebiotać, ale nic to nie pomogło. Dlatego też, gdy tylko trochę podrośł, nauczył się zatajać swoje ptasie słowa, a otoczeniu okupywać się.

Cena nie grała dla niego roli — okupywał się i zdobywanymi w pocie czoła przyzwoitymi stopniami, i niezręcznymi pochlebstwami, i nawet kanapkami, które matka dawała mu na drugie śniadanie. Zdołał nawet dostać się na wyższą uczelnię, żeby tylko uwolnić się od służby wojskowej i od mnóstwa ludzi, którzy mieliby prawo wydawać mu rozkazy; ożenił się też tylko dlatego, żeby nie patrzeć na łzy Oleczki, koleżanki z roku, chorowitej, nadmiernie poważnej, utykającej na jedną nogę brzyduli. A potem przeglądał się w lustrze tylko przy goleniu, pozostawiając swojej powłoce cielesnej całkowitą swobodę mimikry. W ten sposób, sam tego nie zauważając, przekształcił się Riazancew w mężczyznę, którego wiek trudno jest określić, jeszcze trudniej zgadnąć, o czym myśli i czy w ogóle potrafi o czymkolwiek myśleć — w niemłodego wzorowego męża, skazanego na

noszenie workowatych garniturów, które zawsze bez najmniejszego trudu można kupić w dowolnym sklepie. Oto co jawiło mu się w przymierzalni domu towarowego „Odzież Męska”.

Idąc do domu z kolejnym bezkształtnym garniturem pod pachą, Michał Pietrowicz rozmyślał smętnie o niedoskonałości swojej rozlazłej figury, o ubóstwie języka zewnętrznego i o tym, że chyba będzie musiał znowu zmienić miejsce pracy.

Ze względu na wrodzone cechy charakteru Riazancew pracę zmieniał bardzo często, tak że osiągnąwszy czterdziesty drugi rok życia miał już za sobą projektowanie mostów, obliczanie sieci irygacyjnych, budowę linii komunikacyjnych i wiele innych rzeczy. Był znakomitym programistą i miał opinię niezastąpionego pracownika. Z każdej kolejnej instytucji zwalniano go bardzo niechętnie, nie mając przy tym najmniejszego pojęcia, dlaczego ten chmurny mężczyzna odchodzi. A Michał Pietrowicz składał wymówienie, gdy tylko zwierzchnicy przyzwyczaili się do nowego człowieka i zaczęli go tykać.

Teraz, po wizycie w sklepie, Riazancew uznał, że właściwie na inne traktowanie nie zasługuje, ale zaraz jednak pomyślał, że mimo to z projektowaniem kombinatu chemicznego trzeba sobie dać spokój. Zmiana miejsca zatrudnienia zazwyczaj przychodziła mu bez większego trudu, bo swoje obowiązki służbowe traktował zawsze bez szczególnego nabożeństwa i nigdy nie nazywał ich „pracą”.

Pracą była zupełnie inna, sekretna działalność, którą zajmował się niemal bez przerwy i o której wiedział tylko jego kumpel Wasilij Stiepanowicz — matematyk, pasjonujący się lingwistyką, ćwiczeniami jogów, cywilizacjami pozaziemskimi, wywoływaniem duchów i przy wszystkich tych zainteresowaniach, mimo czterdziestki na karku, zajmujący eksponowane stanowisko asystenta w jednym z instytutów naukowych.

Wasilijowi Stiepanowiczowi nie wolno było trzymać rękopisów w domu, więc pracę nad słownikiem języka Achu prowadził konspiracyjnie, u przyjaciół. W obecności małżonki żadnych języków nie znał, idiotycznie dowcipkował i mówił wyłącznie o oczekującym go kiedyś awansie — dlatego wielu ludzi uważało go za banalnego kombinatora i obiboka. Jednak cały swój wolny czas Wasilij Stiepanowicz poświęcał słownikowi, układanemu wedle jakiegoś „integralnego” systemu. Co to był za system i skąd on zna język Achu, nie bardzo było wiadomo: w każdym razie nigdy żadnego Achuńczyka na oczy nie widział.

Kiedy Wasilij Stiepanowicz przychodził do Riazancewów, pani domu była bardzo rada. Gość w dom, Bóg w dom — powtarzała, gdy tylko ktoś jej słuchał. I wcale przy tym nie udawała. Kiedy tylko ktokolwiek przyszedł — nawet Wasilij Stiepanowicz — mąż ożywał i zyskiwał dar mowy. A ona o niczym innym nawet nie marzyła. Żeby gość czuł się u nich dobrze, Olga Siergiejewna starała się jak mogła: stawiała na stole piwo, jakąś skromną zakąskę i utykając znikwała w kuchni.

Gdybyż wiedziała, jak męża brzydzi piwo... — Teraz też, nie dochodząc jeszcze do domu, Riazancewa zobaczyła z daleka pulchną postać Wasilija Siergiejewicza czekającego skromnie na ławce przed bramą. Ucieszyła się, zakrzętnęła... Nie minęło nawet pięć minut, kiedy mężczyźni zostali posadzeni przy nakrytym stole.

Ledwie wyszła, a już Wasilij Stiepanowicz zwinnie rozłożył swój rękopis, a Riazancew przymknął oczy.

Język wewnętrzny nie poddawał się pisemnej rejestracji i dlatego wymagał szczególnego skupienia. W przeciwnym razie terminy traciły spójność, a Riazancew popadał w prymitywną zewnętrzną logikę. Żeby ją odrzucić, odgarnąć od siebie, rozwiązywał dla rozgrzewki jakieś zadanie, które w świecie zewnętrznym uznawane było za niezmiernie trudne i skomplikowane. Udowadniał Wielki Teoremat Fermata lub analizował pobieżnie jeden z najbardziej zawikłanych problemów

Hilberta. Ta metoda rozgrzewki stanowiła tajemnicę nawet dla Wasilija Stiepanowicza, który nie miał pojęcia, że jego przyjaciel zna się bodaj trochę na czystej matematyce.

Własna logika nie przychodziła. Przeszkadzały krzyki dzieci za oknem i ostry zapach marynowanego śledzia, spoczywającego dumnie na nakrytym przez Olgę Siergiejewną stole. A kiedy rzecz zaczęła się układać, gość nagle zaczął wiercić się na krześle i złamał święte milczenie.

— Cały nasz wydział, drogi Michale Pietrowiczu, rzucili na trzy punkty — powiedział nieśmiało.

— Jakie znów punkty? — zapytał Riazancew, przechodząc niechętnie na język zewnętrzny.

— Właściwie to tajemnica i nie powinienem nic; gadać. Chyba że w najogólniejszej formie...

Jednym słowem, zadanie jest następujące: w jakich warunkach punkt zderzy się kolejno z dwoma innymi. Wszystkie trzy poruszają się po przypadkowych torach. Już od pół roku się nad tym męczymy. Teraz zlecono to całemu wydziałowi.

— Głupia zabawa — mruknął Riazancew, wciąż jeszcze mając nadzieję, że uda mu się zachować z takim trudem osiągniętą koncentrację.

— Dla pana to może i zabawa, a ludzie mogą stracić premię... Ale jak ktoś rozwiąże, to i docentem może zostać.

Rozmowa na tym się urwała. Riazancew znowu zamknął oczy. Ale problem Hilberta już umknął, a zamiast niego w głowie zaczęły wirować te trzy głupie punkty.

Wasilij Stiepanowicz żuł kanapkę i usiłował sprecyzować osiemnaste znaczenie słowa „taj”, gdy nagle rozległ się głos, który z początku wydał mu się nieznamy.

— Szanse na kolejne zderzenie z dwoma innymi ma punkt leżący na powierzchni, której krzywizna określona jest przez pierwszą... nie, przez drugą pochodną takiej oto funkcji.

Wasilij Stiepanowicz zbaraniał. Nie od dziś znał Riazancewa, ale nigdy nie słyszał, żeby jego gospodarz wypowiedział tyle słów naraz. Uniósł oczy i zdumiał się jeszcze bardziej. To był Riazancew, ponad wszelką wątpliwość Riazancew, ale cóż to się z nim stało? Zwiny, wysportowany mężczyzna bezszelestnym krokiem krążył po pokoju, trzymając w ręku kartkę z wzorami. I worków pod oczami nie było, i same oczy błyszczały... Co się stało z normalną rozlazłością Michała Pietrowicza, gdzie się podziało jego przygnębienie?

— Czemu pan milczy? — zapytał surowo Riazancew.

— Nie wolno teraz panu przerywać, nie wolno, naprawdę nie wolno — wybełkotał Wasilij Stiepanowicz, patrząc na niego rozmiłowanym wzrokiem.

— Przy takim założeniu rozwiązanie można znaleźć metodami cyfrowymi, ale rachować trzeba będzie Bóg wie jak długo. Niech pan wreszcie coś powie!

— Nie wolno mi! Pan ma teraz kiał, nieprzewycięzalny kiał!

— Z jakiego to dialektu? Z achuńskiego? Wróćmy jednak do naszych punktów. Zadanie da się rozwiązać metodami niekoniecznie cyfrowymi. Jeśli punkty poruszają się z prędkościami podświetlnymi, to przy zachowaniu takiego warunku...

Olga Siergiejewna, zwabiona do pokoju brzękiem tłukącego się talerza, ujrzała nieprawdopodobną scenę. Niziutki Wasilij Stiepanowicz stał na palcach, całował jej męża w nie ogolony policzek, wykrzykując z zapalem:

„Rozwiązanie ogólne! To przecież rozwiązanie ogólne! A jednak miałem rację w sensie pięćdziesiąt trzy!” Na jej widok obaj natychmiast stracili cały wigor. Mąż otworzył usta i zagapił się przed siebie, a Wasilij Stiepanowicz zaczął piskliwie rozprawiać o spodziewanej podwyżce.

A teraz należałoby wytłumaczyć, w jakim to „sensie pięćdziesiąt trzy” rację miał mieć Wasilij Stiepanowicz. Trzeba będzie przymknąć oczy na niechlujność tego wyrażenia, stosowanego dość często w traktatach naukowych, kiedy trzeba powołać jakieś dobrze znane czytelnikowi twierdzenie

lub odesłać go do stosownej pozycji bibliografii.

Wasilij Stiepanowicz miał na myśli wyszukaną przez siebie w bibliotece broszurkę pod zagadkowym tytułem „Pięćdziesiąt sześć teorii ewolucji wypływających z siódmego postulatu Charczenki”. Napisał ją nie znany nikomu docent Szwindler i w żadnej innej księżnicy tego tomiku odnaleźć się nie da. Zresztą próba ponownego wypożyczenia dziełka zakończyła się niepowodzeniem: szary, niestarannie wydrukowany zeszyt gdzieś się zapodział. Wskutek tego uległy zapomnieniu liczne jego dziwne cechy, w tym również wielce podejrzana informacja o miejscu i dacie wydania: *Wasiuki, 1 kwietnia roku 1996*. Jednak same teorie Wasilij Stiepanowicz poznał wystarczająco dokładnie, bo w jakimś proroczym natchnieniu wyuczył się ich na pamięć. Mimo udawanego sceptycyzmu, jaki przystoi prawdziwemu naukowcowi, matematyk łatwo stawał się adeptem każdej tajemnej nauki. A teorie były tajemnicze i nie do udowodnienia, co dla ludzi o podobnej umysłowości jest szczególnie cenne.

Siódmy postulat Charczenki głosi: możliwości mózgu ludzkiego mają swoje granice, podobnie jak każdy przyrząd pomiarowy ma ograniczoną rozdzielczość. Z tego założenia docent Szwindler wyciągał cały szereg ekstrawaganckich wniosków, a między innymi teorię numer pięćdziesiąt trzy, dotyczącą przyczyn nadmiarowości mózgu człowieka, który z reguły, jak wiadomo, realizuje zaledwie małą część swoich możliwości.

Ostatnie etapy ewolucji gatunku ludzkiego — utrzymywał zagadkowy docent — stanowiły skokowe przemiany w ewolucji języka. Powstanie pojęć abstrakcyjnych, a następnie rozwój logiki matematycznej doprowadziły do uwolnienia mnóstwa komórek mózgowych, zamulonych dawniej informacjami szczegółowymi, i stworzyło ową nadmierność, pozwalającą temu cudownemu urządzeniu na dalsze podwyższenie swojej rozdzielczości.

Wasilij Stiepanowicz już od dwóch lat męczył Riazancewa teorią numer 53, patrząc na niego rozmodlonym wzrokiem i powtarzając, że riazancewski język wewnętrzny to nic innego, jak nowy skok w ewolucji myślenia, że logika tego języka wedle jego, Wasilija Stiepanowicza, obserwacji jest o parę rzędów wielkości doskonalsza od logiki matematycznej. Wprawdzie adepci—neofici zazwyczaj nadmiernie się zapalają i nie warto na nich zwracać większej uwagi, ale jednak Riazancew czasami mu wierzył.

Dom powinien być stary, bo inaczej skąd w nim miałyby wziąć się dusza?

I czy aby nie dlatego nasza epoka uważana jest za taką nerwową, że prawie nikt nie mieszka tam, gdzie się urodził i wychował?

Jeśli Riazancewowi zdarzyło się śnić, to wszystkie, nawet najbardziej głupie i fantasmagoryczne marzenia senne „działy się” zawsze w jednym i tym samym miejscu. W ciasnej, na jawie nie lubianej izdebce, w matczynym pokoju w zatęchłym wspólnym mieszkaniu. Michał Pietrowicz nie lubił też swojego nowego, lakierowanego mieszkania, wyżebranego przez żonę w jej miejscu pracy. Tę wielkopłytową twierdzę nazywał nieodmiennie ponurym mianem „maszyny do mieszkania”. Mimo to wśród sąsiadów miał opinię znakomitego lokatora, wzorowego wręcz gospodarza i pana domu. Po prostu miał zwyczaj za pomocą drobnych robót domowych okupować się od konieczności rozmowy z Olgą Siergiejewna.

Ranek następnego dnia powitał Michał Pietrowicz na balkonie, gdzie majstrował nową, nikomu nie potrzebną półkę. Żona do niego nie podchodziła, bo czuła, że jest w nie najlepszym humorze. Tymczasem Riazancew dumiał nad swoją wczorajszą nieostrożnością. Niby Wasilijowi Stiepanowiczowi można ufać, bo to przecież nikt obcy, ale jednak nie wolno było się tak odślaniać! Podobne rzeczy nigdy nie uchodzą płazem.

Miał rację. Zadzwonił telefon, co w domu Riazancewów zdarzało się niesłychanie rzadko.

— Dzień dobry, Michale Pietrowiczu. Mówi doktor nauk technicznych, profesor Konstanty Iwanowicz Kałmykow — powiedział uroczystym tonem starannie modulowany głos.

Riazancew skrzywił się boleśnie i natychmiast oczami duszy ujrzał siwowłosego mężczyznę w zamszowej kurtce. Szczupłego, ogorzałego bywalca międzynarodowych konferencji, roztaczającego blaski patentowanej swej uczoneości. Profesor akuratnie jak do pracy każdego marca jeździ w góry, gdzie z doskonale zamaskowanym wstrętem pija wytrawne wina, podczas gdy w kręgu podwładnych woli alkoholizować się tanim portwajnem. Zanim jeszcze Kałmykow, nie doczekawszy się na stosowną replikę, zaczął mówić dalej, Riazancew zdążył jeszcze chwycić się na tym, że myśli w języku zewnętrznym. A Kałmykow mówił tak:

— Wasilij Stiepanowicz zameldował mi, że pan coś tam wykombinował. Naturalnie sprawiłem mu burę, sam pan rozumie, tajemnica. Z tym jednak sobie poradzimy. Trzeba będzie chyba uznać pana za współautora, a może nawet ściągnąć do nas. Tak że zechce pan wpaść do nas i w trzech egzemplarzach...

Dalej Riazancew nie słuchał, gdyż zwrocik „zechce pan” był mu znany od dawna. Kto mówi „zechce pan”, ten wkrótce przejdzie na „ty”. I natychmiast poczuł się jak zbity pies, od razu nie do pojęcia stało się nie tylko zadanie o trzech punktach, lecz także nieskomplikowana logika profesora Kałmykowa. A profesor w końcu przedarł się do jego uszu:

— Czekam na ciebie jutro o dziesiątej. Przepustka będzie przygotowana w portierni.

— Nie przyjdę — wydusił z siebie Michał Pietrowicz. — Wszystko zapomniałem.

I odłożył słuchawkę.

— Troglodyto, co pan zrobił najlepszego!

— A o co chodzi? — Ogorzały mężczyzna w zamszach wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Nigdy jeszcze Wasilij Stiepanowicz, jakiś tam asystencina, tak się w jego obecności nie zapomniał.

— O pięćdziesiąt trzy! Słyszał pan o pięćdziesiątej trzeciej teorii Szwindlera?

— Nie słyszałem.

— Gdzie tam panu do niej! Przecież mówię: troglodyta. W pańskim mózgu mieszczą się tylko te trzy idiotyczne punkty. Nie dorósł pan do myślenia abstrakcyjnego.

— No, no!

— Proszę mi nie przerywać! Szwindler napisał wprost: już neandertalczyk miał mózg o takiej samej objętości jak dzisiejszy człowiek. Człowiek pierwotny, podobnie jak i my, musiał zapamiętywać miliony nie związanych ze sobą szczegółów. A Riazancew ma swój własny język, własny system logiczny. Myślę nawet, że on potrafi liczyć szybciej niż maszyna. Jego mózg przesunął się na wyższy stopień ewolucji!

— Raczej ktoś go w ten mózg kopnął — powiedział dowcipnie zamszowy. — Jeśli jest taki mądry, to dlaczego nie wybrali go dotąd do Akademii Nauk?

— O, pana na jego miejscu dawno by już wybrali. Pan by już służbową czajką jeździł. A ci nadewolucjoniści mają rozwiniętą etykę. Słyszał pan takie słowo? Pięćdziesiąta czwarta teoria Szwindlera, teoria etyki: dalsza ewolucja języka, a wraz z nią następny etap ewolucji człowieka jest niemożliwy bez skokowej zmiany etyki. Riazancew nie znosi żadnego przymusu, żadnego gwałtu. A pan tylko o swoim. Akademik! Czyżby pan naprawdę nie rozumiał, jakiej szkody pan narobił? On przecież nigdy nie przyjdzie, nigdy! A może nawet przede mną się zamknie. Co tam zresztą będę z panem gadał...

Oto jaka scena rozegrała się, kiedy Kałmykow wezwał Wasilija Stiepanowicza i opowiedział mu o tajemniczej rozmowie z Riazancewem. Cichutki asystent machnął ręką na marzenia o podwyżce i zwymyślał od troglodytów swojego szacownego zwierzchnika.

Tego dnia Michał Pietrowicz pracował na nocnej zmianie. Dla programisty nie było w tym nic nadzwyczajnego: komputer nie może mieć przestojów. Szykując się do pracy zauważył nagle, że Olga Siergiejewna jakby pozołkła, pokasłuje i utyka mocniej niż zazwyczaj. Nic nie powiedział żonie na pożegnanie — w ich domu nie było tego zwyczaju — ale już na klatce schodowej pomyślał, że kobieta jest chyba chora. I znowu złapał się na tym, że myśli w języku zewnętrznym.

W hali maszyn było, jak zawsze wieczorem, chłodno i pusto. Michał Pietrowicz lubił nocne dyżury i godził się na nie bez oporów. W nocy pracowało mu się łatwiej, a służba w pracy nie przeszkadzała. Ledwie zdążył usiąść przy klawiaturze, gdy skrzypnęły drzwi i do środka wszedł wicedyrektor Sarkisian. Człowiek, ze względu na którego Riazancew długo wahał się, czy powinien dać sobie spokój z projektowaniem kombinatów chemicznych.

Nie jest wykluczone, że gdyby Ludwik Awetisowicz został jego zwierzchnikiem piętnaście lat temu, Riazancew nie musiałby tak często zmieniać miejsca zatrudnienia. Sarkisian potrafił bez jednej fałszywej nuty zapytać: „Jak się pan czuje?” Jeśli wydawał polecenie, to zawsze odnosiło się wrażenie, że to nie jest żaden rozkaz tylko prośba, której nikt poza Riazancewem nie potrafi spełnić. Jednym słowem był mądry i przenikliwy, chociaż nie miał pojęcia o żadnym języku maszynowym ani wewnętrznym.

Sarkisian przywitał się i zaczął jakby mimochodem mówić o projekcie, który już całemu instytutowi stał kością w gardle. Piłują go już prawie trzy lata, a optymalnego wariantu ciągle nie ma. A jeśli nie będzie go do jutra w południe, to lepiej od razu się powiesić. Jedyna nadzieja w cybernetyce. No tak, jasne: maszyna jest przestarzała i zbyt wolna, normalnie musiałaby liczyć ten projekt przynajmniej ze dwie doby... Ale teraz trzeba ratować sytuację. Nie wiadomo jak, ale przecież Michał Pietrowicz nie takie rzeczy potrafi. Wszyscy o tym wiedzą.

Potem Ludwik Awetisowicz dodał, jakby na marginesie, że potrzebny jest nie zwyczajny optymalny wariant, lecz rozwiązanie uwzględniające idiotyczne wymagania nafciarzy, memorandum Kuźmina z centralnego zarządu i telefoniczne wytyczne wiceministra. Czy prostolinijna maszyna potrafi to strawić? I czy w ogóle można to zrobić do rana? Sam Einstein pewnie by poddał sprawę, ale na Michała Pietrowicza liczy cały instytut...

Sarkisian mówił niespiesznie, ale jego monolog trwał najwyżej minutę: dyrektor miał bezbłędne wyczucie rytmu. Poprosił, uśmiechnął się, nawet lekko objął za ramiona — i zniknął.

Wreszcie możliwe stało się to, co Wasilij Stiepanowicz nazywał uroczyście wielką próbą. Riazancew otworzył lufcik. Wyłączył maszynę. Zaczął się skupiać.

Rozgrzewkową teorię udało mu się udowodnić szybko i precyzyjnie, ale kiedy nastął moment zajęcia się dawnymi wyjściowymi, to zamiast zastarzałego projektu stanęła przed nim twarz Olgi Siergiejewny. A potem ni z tego, ni z owego przypomniała mu się matka, która też miała smutną, zaniepokojoną twarz. Przypomniał mu się zapach jej pokoju, zapach starego, dawno zamieszkanego domu, nie znany zupełnie lokatorom betonowych maszyn do mieszkania — i do głowy zaczęły się tłoczyć rozmaite inne rzeczy, które w języku wewnętrznym nie miały ani nazwy, ani wartości.

A potem jawił mu się czasownik „okupić”, w języku wewnętrznym pozbawiony większej wagi, lecz w zewnętrznym — Michał Pietrowicz zrozumiał to nagle z paraliżującą jasnością — wyczerpujący jego smętne życie do samego dna. Komu potrzebna ta cała jego katorżnicza praca, jeśli przez czterdzieści dwa lata swojego życia nie uszczęśliwił jednej bodaj żywej istoty, nie spłodził dziecka, jeśli z łagodną, nieśmiałą kobietą, która żyje tylko dla niego, rozmawia tylko o półkach na balkonie? Teorie Szwindlera to chyba tylko głupi żart, dziecięca zabawa — wszystkie, poza pięćdziesiątą czwartą. Poza teorią etyki.

Riazancew jeszcze spróbował wrócić w siebie. Zrobił kilka ćwiczeń oddechowych, których nauczył go Wasilij Stiepanowicz — ale język wewnętrzny nie przychodził. Trzeba było ponownie włączyć maszynę i chwycić za telefon. Wiedział, że na szczęście Wasilij Stiepanowicz również tej nocy pracuje na komputerze.

— Mylił się pan głęboko co do mnie w sensie pięćdziesiąt trzy — głucho, bez żadnych wstępów powiedział do słuchawki.

— Niemożliwe — wystraszył się matematyk. — Nie idzie?

— Nie idzie. I nie może iść, że tak powiem, w sensie pięćdziesiąt cztery. Jestem po prostu niewłaściwym osobnikiem, nie dorosłem do ewolucji. I w ogóle to wszystko nie ma sensu. — Michał Pietrowicz odkrył nagle, że potrafi się niewesoło uśmiechać.

— Niech pan nie traci nadziei — zatrajkotał Wasilij Stiepanowicz. — To się zdarza. Kiaj nie zawsze przychodzi na zawołanie.

— Co tu ma do rzeczy pański kiaj? Na diabła mi te murzyńskie dialekty, kiedy ledwie zaczynam rozumieć po rosyjsku? Proszę mi lepiej powiedzieć, czy wasza duża maszyna jest dziś mocno obłożona.

— Dziś jest wolna — odparł bez entuzjazmu kumpel.

— Wobec tego chciałbym się podłączyć...

W firmie Wasilija Stiepanowicza obowiązywał kategoryczny zakaz udostępniania komputera postronnym użytkownikom. Riazancew wiedział o tym, ale nagle zrozumiał, że nie może zawieść nadziei Sarkisiana. A wielka maszyna mogła uporać się z optymalnym wariantem w ciągu dwóch godzin.

Wasilij Stiepanowicz nigdy nie słyszał, żeby Riazancew kogokolwiek o coś prosił. Gdzieś mam Kałmykowa, pomyślał i powiedział krótko:

— Włączam.

Teraz Michał Pietrowicz miał dwie wolne godziny. Zamknął halę maszyn i pobiegł na sąsiednie podwórko. Sklep był już zamknięty, ale przy wejściu na zaplecze przestawiał jakieś skrzynie barczysty robotnik w pasiastej marynarskiej koszulce i papierosem w zębach.

— Bardzo pana przepraszam — zwrócił się do niego Riazancew — czy nie dałoby się tu zdobyć torebki mleka?

— Masz ci los? — usłyszał w odpowiedzi. — Myślałem, że chcesz flaszkę. To „ty” wcale nie brzmiało obraźliwie.

— Nie, chciałem kupić mleka. Żona mi zachorowała.

— Poczekaj. — Barczysty dał nura w drzwi, a wraz z nim znurkował zawieszisty aromat jasnego piwa. Po chwili wrócił z pogniecionym kartonowym pojemnikiem. Riazancew podał mu rubla.

— Daj spokój, człowieku — mruknął były marynarz zapalając nowego papierosa. — Zwariowałeś? Schowaj i leć do swojej kobity.

I Michał Pietrowicz poczuł się nagle tak lekko, jak nigdy w życiu. Nowe, jasne słowa i wzory wypływały z mętnych głębin niezrozumienia. To nie był sekretny, zapomniany już przezeń wewnętrzny język: nawet dziecko zrozumiałoby każde słowo. Riazancew poczuł ich spokojną, lecz twardą siłę i momentalnie oblekł w te nowe dla siebie słowa i problemy Hilberta, i dokuczliwy projekt, i wiele innych jemu samemu jeszcze nie znanych rzeczy.

I ten ostatni rubel też mu się przydał. Na przystanku tramwajowym stała sędziwa kwiaciarka. Nie zastanawiając się, skąd się tam wzięła o tej porze, Riazancew zorientował się nagle, że po raz pierwszy w życiu kupuje kwiaty.

Przełożył Tadeusz Gosk

Zołotoj kub

Złoty sześcian

Proszę mi wybaczyć, ale powinienem na chwilę zrobić małą dygresję od naszych naukowych rozważań i opowiedzieć to i owo z humorystycznej, że tak powiem, tragedii życia Aleksandra Bałajewa. Właśnie tak — humorystycznej tragedii i właśnie o stop spinie.

Niedawno pewien pisarz podarował mi książkę. O Galileuszu, Newtonie, Czyżewskim i o mnie. Jakoś mi się, mówię wam, głupio zrobiło. Odniosłem wrażenie, że patrzę na czcigodne prezydium wydziału nauk fizycznych, w którym siedzą sami ludzie solidni, poważni, tacy, wiecie, dwa razy więksi od zwykłych śmiertelników, obok nich zaś podskakując w fotelu i macha nóżkami jakiś urwis w krótkich spodenkach, co to nawet sandałkami do podłogi nie sięga. „Cóż to — powiadam — za cud przyrody?” „To — odpowiadają — właśnie pan. Aleksander Pietrowicz Bałajew, wspaniały, zasłużony fizyk naszych czasów”. „Jakiż z niego fizyk — krzyczę. — Przecież to jakiś berbec, mleko ma pod nosem. Przypadkowo mu się poszczęściło”. „To — mówią mi — pańska prywatna opinia, która nikogo nie obchodzi. Bardzo prosimy, żeby nie komplikował pan sprawy i nie przeszkadzał propagowaniu wśród młodzieży pozytywnych wzorców osobowych”. I w nader przekonujący sposób przedstawiają zgromadzonym nieprawdopodobną historię, zgodnie z którą już w dzieciństwie lubiłem w zadumie patrzeć na wirującego bąka. Mnie zaś jakby ktoś oblał zimną wodą. Może to wcale nie wymysł, może kiedyś, natchniony duchem bożym sam to oznajmiłem i gdzieś to wygrzebali? A przecież na bąka nie sposób patrzeć inaczej niż w zadumie. Tylko że ta zaduma jest jakaś nie taka, ot, siedzisz, człowieku i czekasz, kiedy wreszcie drgnie i zacznie się kołysać. Bezproduktywna zaduma.

Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że cała ta historia zaczęła się nie od bąka, ale w czasach studenckich, tego właśnie wieczoru, kiedy siedzieliśmy w akademiku i wyjąc z nudów oglądaliśmy w telewizji inscenizację opowiadania Wellsa. Pamiętacie, jest tam taka nowelka o człowieku, który mógł czynić cuda. Patrzyliśmy na to, i z braku lepszego zajęcia popisywaliśmy się naszymi dowcipami. Kiedy wreszcie bohater zatrzymał ruch obrotowy Ziemi i wszystko poleciało do diabła, morze zaś stanęło dęba — dobrze to zrobili, jak dziś pamiętam — ktoś palnął: „Ech przydałaby się tama”. Ktoś inny dodał: „Ech, wstawić by w nią dynama!” Ktoś zaś zakończył: „Potem byśmy, drogi bracie, posiedzieli przy herbacie!” Wszyscy, oczywiście, ryknęli śmiechem. Nie wiem, czy to zaimprovizowali, czy ściągnęli od kogoś. Nie jestem specjalistą od literatury. Ale te słowa utkwiły mi w pamięci. Razem z widokiem morza, które stanęło dęba. I dzięki temu oddziaływaniu audiowizualnemu, jak to wtedy mówiono, utrwaliłem sobie w pamięci precyzyjny układ logiczny:

Zatrzymanie ruchu obrotowego wyzwala energię, którą można wykorzystać. Myśl ta nie pojawiła się dzięki obserwacjom koła zamachowego, choć przecież, u licha, obserwowałem je do znudzenia, ale pod wpływem niezbyt wymyślnego i, w gruncie rzeczy, niezbyt śmiesznego dowcipu. No cóż, widać mój mechanizm zapamiętywania kształtowany jest nie przez istotę sprawy, lecz przez okoliczności towarzyszące. Biegałem więc z tym układem logicznym jak kot z pęcherzem, czułem, że wisi mi ten układ jak kamień u szyi — bez żadnego celu i pożytku, ale, jak powiadają, był widzialny i

namacalny. Obojętne o czym zacząłem myśleć, wciąż włożyły mi do głowy te idiotyczne powiedzonka. Mruczałem je bez końca, powtarzałem i mimowolnie kombinowałem, co by tu wirującego zatrzymać i w jaki sposób uzyskać taką falę, podobną do tej w filmie, jaką by ustawić tamę i turbinę i w jaki sposób zaparzyć wspomnianą herbatę. Żeby całość była bardziej zrozumiała, dorobiłem do niej nawet byle jaki początek: Twarde się wstrzymało, a ciekłe pociekło. Ciekło sobie, ciekło, aż się trzęsło piekło. No a dalej było już o tamie i dynamie.

Pewnego razu spóźniłem się fatalnie do pracy i w związku z tym postanowiłem połączyć godzinę po parku, by potem odegrać w portierni scenę powrotu z wyjścia służbowego. Chciałem uniknąć kłopotów z kadrowcem. Spacerowałem sobie, spacerowałem i dospacerowałem się do takiego stanu, że jak zwykle zacząłem sobie powtarzać te wierszydła. I nagle — dobrze zapamiętałem to miejsce: zbocze, na nim solidny pieniek, wokoło niego świeże opiłki — nagle mnie olśniło. Elektron obraca się wokół osi? Powiadają, że tak. No, a gdyby zatrzymać ten ruch obrotowy, to co by się stało? Zacząłem się zastanawiać — nic nie wychodziło. Z jaką prędkością się obraca? Jaki ma zasób energii? I spin, oczywiście ten spin... Wprawdzie mówi się, że to tak, tylko teoretycznie, ale w istocie... Co w istocie? Poza tym spiny są z jednakowym stopniem prawdopodobieństwa różnorodnie ukierunkowane. Czy można je ukierunkować? Zaczęły mnie męczyć jakieś koszarowe koszmary. Pamiętacie, Gribojedow pisze: „W trzy szeregi was ustawią. Jak piśniece — żadne modły was nie zbawią”. Proszę sobie wyobrazić taki oto obrazek: w metalowym sześcianie wszystkie obracające się wrzeciona elektronów walencyjnych ustawione są w taką trójwymiarową falangę w stylu Ludwika nastego. A. Bałajew wydaje rozkaz. Raz—dwa! Wszystkie wrzeciona zatrzymują się. Bach! Eksplozja wyzwolonej energii, zapalają się żarówki, gotuje się woda w czajnikach, jadą trolejbusy itd., itp. Wspaniale! Ale w co przekształcają się te nieruchome wrzeciona, czym jest elektron bez spinu? Wiem, wiem — teraz możecie mi to wytłumaczyć bez kłopotów, ale wtedy nikt tego nie wiedział. Człowiek godny takiego dzieła na pewno sprawy tak by nie zostawił, zacząłby czytać książki, rozmyślałby nocami w małżeńskim łóżu. Może otworzyłby przewodzik. Ale ja wszystko rzuciłem. Zająłem się lumenami, potem przerzuciłem się na anomalie falowe, a później... Później było wiele różnych takich...

Minęło pięć, może sześć lat. Może więcej. Czasami, dość rzadko, przypominałem sobie tę historię i z zapalem zabierałem się do niej. Rysowałem wtedy obrazek — elektron w kształcie wrzeciona, wektor spinu jak włócznia i wypisywałem dwie, trzy szkolne formułki — wachlarz Filipowa, podział spinów walencyjnych według Jeffersa i przekształcona przeze mnie matryca Berthiera–Winnersmitha.

No i pewnego razu nakrył mnie przy tym zajęciu Oskarek Dżaparidze.

— Co tam masz? — zapytał.

Cóż. Pokazałem mu tę całą abrakadabrę.

— Archimedes — stwierdził Oskarek i kręcąc głową pomaszerował dalej.

Zezłościłem się — i na serio zacząłem się zastanawiać, jak by tu przeprowadzić eksperyment. Nagle przyszła mi do głowy jasna, precyzyjna myśl. Zupełnie jakby mi się jakaś szufladka w mózgu otworzyła. Wszystko zaczęło się układać — logicznie, przekonująco. Rezultat był niesamowity — elektron o hamującym spinie wytwarza orientujące pole. W uproszczeniu mówiąc — sam stoi na baczność i zmusza do tego swoich sąsiadów.

Zaczyna się spontaniczny proces, w którym urzeczywistnia się moja wizja falangi elektronów.

Ta myśl zupełnie mnie oszołomiła. Pewnie, pomyślałem sobie, gdzieś coś pochrzanilem. Niech sobie poleży jakieś dwa, trzy tygodnie, ochłonę trochę i spojrzę na to znowu.

Żyłem jak we śnie, nie robiłem tego, co powinienem, działałem tylko pi razy oko. Zupełnie jak

autoklaw: spojrzysz z boku — blaszana puszką, ale w środku wszystko się gotuje.

Trzeciego dnia siedziałem właśnie w palarni, aż tu nagle wpada do niej Oskarek.

— Słuchaj, Sańka — powiada — szukam ciebie i szukam. Gdzieżeś się podziewał? Ułożyłem sobie takie coś... Popatrz, co mi wyszło.

I zaczyna pisać na kafelkowej ścianie. Elegancko mu to, chytruskowi, wychodzi, nie ma co. Aż tu nagle — stop, utknął.

Zacząłem rozplątywać cały len jego galimatias.

— A, to tak — mówi Oskarek. — Ciekawe, ciekawe.

I wyparował w nieznanym kierunku.

Patrzyłem na jego gryzmoły, patrzyłem, nic nie wypatrzyłem i powlokłem się do domu. W domu grzebałem się w tym przez następne trzy godziny. Nie, pomyślałem sobie, nieprzypadkowo czcigodne grono profesorskie uznało, że teoretyk ze mnie żaden i że moja działka to doświadczenia. Zacząłem spisywać na kartce konkluzje, z lewej strony moje, z prawej — Oskarka. Wypisałem — połowę i wszystko zrozumiałem. Gdzie ja namotałem, gdzie namotał Oskarek i co powinno być naprawdę. Okazało się, że zadanko to zwykła arytmetyka, doświadczenie — kaszka z mleczkiem. Siedzę sobie i patrzę, oczyma mrugam, aż tu nagle dzwonek. Telefon. Dzwoni Oskarek.

— Sanieczka? — powiada. — A może byś to kupił? — I zaczyna recytować mi dokładnie to samo. Nawet tymi samymi słowami.

— A dalej — mówię mu — dalej będzie tak...

— Alhambra — odpowiedział. — Masz łeb, Sania, i ja mam łeb. — A jaki stąd wniosek?

— Wniosek jest taki — odparłem — że jeżeli natychmiast nie wyruszysz w kierunku moich pieleszy, to nie rękę za siebie. Wszystko może się zdarzyć — z łamaniem mebli i tłuczeniem naczyń włącznie. Słabość okrutna mnie ogarnia na widok tych olśniewających perspektyw...

Prawdę mówiąc, w tym miejscu kończy się cała historia odkrycia. Bez żadnych tam zadumanych bąków. Jak Boga kocham! Prawda, że to nieciekawe? Newtonowi chociaż jabłko na głowę spadło — przedmiot skądinąd o estetycznej formie i apetycznej treści. A co ja mam robić? Mam na wieki wieków pozostać przy kafelkowej ścianie z palarni? Oszaleć można z rozpaczy. Czyż to nie tragedia humorystyczna?

No dobrze, nie będę robić z tego powodu problemu. Mam dosyć innych. Opowiedziałem wam tę historię nieprzypadkowo. To była przedmowa, powieść będzie za chwilę. Ale niecała. Niecała, fragmencik zaledwie.

W ciągu trzech dni zakończyliśmy, ja i Oskarek, obliczenia, spłodziliśmy uzasadnienie doświadczenia i wdarliśmy się do Ziemiczenkova. Tak, do Wiktora Pałycza. Tak, właśnie tego. Był już wtedy członkiem korespondentem i zastępcą do spraw naukowych w naszym instytucie. Tak i tak, mówimy mu, do przeprowadzenia eksperymentu jest nam niezbędnie potrzebny ni mniej, ni więcej tylko szczerozłoty sześcian o krawędzi siedemdziesięciu centymetrów.

Aż go, słońeczko nasze, skrzyło.

— Chłopcy, co wy? Nie wiecie, ile to będzie kosztować?

— Wiemy — odpowiada Oskarek. — Masa wyjściowa wynosi sześć i siedemdziesiąt pięć setnych tony. Ale tylko wyjściowa, bo z trzech stron, co dziesięć centymetrów przewiercimy w nim na wylot kanały, aby uzyskać możliwość chłodzenia ciekłym wodorem i stworzyć węzły masy. Przyspawamy też króćce. Również złote. O, tu mam szkic, proszę spojrzeć.

— Ech, kocham was, chłopaki! — powiada Wiktor Pałycz. — Wspaniali jesteście. Czy zdajecie sobie sprawę, ile ten sześcianik będzie kosztować?

— To zależy — wyjaśniam. — Jeżeli wziąć pod uwagę ceny międzynarodowe, to sześć i pół

miliona rubli, nie licząc kosztów obróbki. Ale obróbka będzie tania, jakieś głupie dwadzieścia tysięcy, i to dlatego tak dużo, że trzeba będzie zamawiać specjalne wiertła.

— Nic więcej nie potrzebujecie? — pyta Wiktor Pałycz. — Może warto przyczepić z setkę brylantów „Orłów” na rogach?

— Potrzebujemy — odpowiadamy chórem. — Pomyśleliśmy sobie, że gdyby rozszabrować trochę stanowisko doświadczalne Błagowieszczęńskiego, to i owo w nim przerobić, tylko troszeczkę, za jakieś dwieście pięćdziesiąt, góra trzysta tysięcy, to więcej wymagań mieć nie będziemy.

— Ach tak. Nie będziecie! — powiada Wiktor Pałycz. — A wyniki?

— W rezultacie — powiadam — otrzymamy elektrownię o mocy stu osiemdziesięciu megawatów i własnym zużyciu czterdziestu. A więc sto czterdzieści megawatów z hakiem na czysto. W ten sposób możemy pracować przez trzy lata. Potem zaś przez następne trzy lata będziemy otrzymywać sto pięćdziesiąt megawatów, ale już bez haka, przy zużyciu własnym pięćdziesięciu, ale już bez zapasu. Następnie trzeba będzie zmienić sześcian, bo w jednej trzeciej będzie to już pallad.

— Pallad — powiada. — Dwie tony palladu to też niezłe. A jakie prawdopodobieństwo powodzenia?

— Nas jest dwóch, a przyroda jest jedna — powiada Oskarek. — Oznacza to, że stopień prawdopodobieństwa wynosi sześćdziesiąt sześć i sześć w okresie. Innymi słowy, dwie trzecie.

— Wspaniale — oznajmia Wiktor Pałycz. — Czy wiecie, kochani, ile wynosi roczny budżet naszego instytutu?

— Wiemy — odpowiadam. — Coś około ośmiu milionów.

— Otóż to. Około. Osiem milionów sto dwadzieścia sześć i pół tysiąca rubli. I o każdego rubla walczyłem jak Ilia Muromiec. Tak więc zdobyć dla was te siedem milionów plus drugie tyle na nieprzewidziane wydatki to dla mnie pestka. A przy tym jaki oszałamiający stopień prawdopodobieństwa! Bałajew i Dżaparidze przeciwko matce—przyrodzie! Dorzucicie jeszcze połowę udziału na mnie i otrzymamy prawie siedemdziesiąt jeden i pół procent! Wszystko staje się proste i jasne... Przerwywamy wszystkie prace, wszystkich profesorów i doktorów wysyłamy na emeryturę, żeby nie obciążali prac instytutu swymi drobiazgami. Przy okazji zabieramy stanowisko doświadczalne Błagowieszczęńskiemu, po co ma się bawić ze swoimi ortometronami, skoro nam takie idee świtają. No i bierzemy się do roboty. Już nam wiozą złoto transportem specjalnym i trzydziestu trzech rycerzy go strzeże. Bałajew i Dżaparidze pełzają na czworakach koło wiertarki, zbierają złote wiórki do woreczka, żeby remanent się zgadzał. A po pół roku, najwyżej trzech kwartałach, członek korespondent Ziemczenkow włącza aparaturę. Grom i błyskawice! A gdy zapadnie cisza, to pozostałymi dwudziestoma ośmioma i pół procentami prawdopodobieństwa cała nasza trojka obrywa po grzbiecie, po grzbiecie! Czyż nie tak, młodzieńcy?

— Ależ nie — odpowiadam — oczywiście że nie. Przecież trzeba to zrobić, Wiktorze Pałyczu! A eksperyment na mniejszą skalę nic nie da. Nie rozwinie się krytyczny stożek. Niech pan spojrzysz na obliczenia.

— Spojrzę — odpowiada Wiktor Pałycz. — Oczywiście że spojrzę. I nie tylko ja, ale wszyscy — każdy kto powinien. A jeżeli czegoś nie zrozumiemy, to was, młodzieńcy, niewątpliwie poprosimy o wyjaśnienie. Na początek zaś bądźcie uprzejmi doprowadzić swoje obliczonka do chrześcijańskiego wyglądu i powielić jak należy, w dwudziestu egzemplarzach... Ile czasu będziecie potrzebować?

— Cztery dni i jedną godzinę — odpowiada złośliwie Oskarek. — Jeden dzień na doprowadzenie do porządku, trzy dni na to, by się doprosić o maszynistkę i godzinę na przepisywanie.

— Spokojnie — powiada Wiktor Pałycz. — Spokojnie, Oskarze Gliwiczu. Zresztą, nie będę miał nic przeciwko temu, żeby zamiast do obliczeń, zabrał się pan do remontu naszej koparki i do zakupu wszelkich akcesoriów... Nie miałby pan ochoty?

— Nie miałbym — odpowiada Oskar.

— Otóż to, nikt nie ma ochoty — powiada Zienczenkow. — Wszyscy chcieliby coś, panie, takiego odkryć... I w rezultacie Lew Jefimowicz musi wszystko sam załatwiać, no, przy mojej pomocy. Choć on Lew, ale nie Tołstoj i choć Jefimowicz, ale nie Riepin. Ani piórem, ani pędzlem działającego oprzyrządowania nie stworzy. A szkoda! Tak więc proszę, żeby egzemplarze znalazły się na moim biurku. Z parafami obydwu waszych kierowników naukowych. I Fomienki, i Miesorpiana. Plan seminariów mamy wprawdzie ustalony już do lutego, ale to nic, wprowadzimy was poza kolejnością. W pracowni Błagowieszczeńskiego. Satysfakcjonuje to panów?

— Satysfakcjonuje — odpowiadamy.

No i stało się. Zabrali się do nas jak należy. Nasze obliczenia nie znalazły się na biurku Zienczenkowa po czterech dniach — nie starczyło nam na to nawet czterech miesięcy. Miesorpian od razu powiedział, że to nie jego działka, że interesuje go co innego. Ale Fomienko, kierownik Oskarka, wczepił się w nas, że tylko pierze leciało. I wymacał, drań, dzięki mu za to, słabe miejsca w naszej matematyce. Ugrzęźliśmy na całego i dopiero Iwan Sulejmienow nam pomógł. Znać go? Podsunął nam pod nos kazachski rocznik z roku, niech sobie przypomnę, siedemdziesiątego ósmego czy dziewiątego. Prehistoria!... Ale analizowano w nim mniej więcej zbliżone przekształcenie, tylko warunki graniczne były inne. Bardzo pomógł nam Wadik Przybyszewicz, wyswatał go nam asystent Zienczenkowa. Doktor. To był człowiek jak czołg! Jeżeli miałem w mózgu jakieś przegródki, to mi je zupełnie porozwalał. „Pan — powiada — Aleksandrze Piotrowiczu, ma całkowicie rację. Ale nie w tej kwestii...”

Czym się to wszystko skończyło, dobrze wiecie. Ruszyła w bój przeciwko nam geofizyka i ekologia. Cóż to, panowie, powiadają, elektron rozebraliście, ładuneczek w licho wie co zmieniliście, wykorzystaliście, ale czym macie zamiar to zrekompensować? Ach, przy pomocy Ziemi? Raz przy pomocy Ziemi, drugi, a co potem? Wpadliście, panowie, na pomysł, żeby przekazywać dodatni ładunek planecie. Nie można. Naruszenie równowagi ekologicznej. Kosmologiczny problem. Rozwiązał go właśnie Machalajnen. Na pierwszy rzut oka prosta sprawa. Zaproponował, żeby zdejmować z protonów ładunek dodatni. Proces ten sprawiał, że wszystko stawało się czterokrotnie droższe, ale bez tego nie mogliśmy ruszyć z miejsca. No i dostaliśmy w trójkę Nobla. Machalajnen, Oskarek i ja. Pamiętam, jak pierwszy raz spotkałem się w Helsinkach z Machalajnenem. Przyzwyczailem się, że wszyscy jesteśmy młodzi, popatrzyłem na niego i замуrowało mnie zupełnie! Siedemdziesięcioletni starzec — srebrzyste brwi, broda jak łopata. „Witam pana — powiada — Aleksandrze Piotrowiczu. (A wtedy wszyscy nazywali mnie Sańką, zresztą sam się tak przedstawiałem). Bardzo się cieszę, że pana poznałem. Dawno tego pragnąłem, myślałem, że nie zdążę. Ale zdążyłem. Cieszę się, bardzo się cieszę”. Zrozumiałem go dopiero potem i zaczerwieniłem się po uszy. Do tej pory nie zastanawiałem się wcale nad tym, że można czegoś nie zdążyć zrobić. Ale teraz sam niekiedy myślę: Tego już nie zdążę. Tego już chyba nie zobaczę. Ale to — tak, tylko trzeba się przyłożyć. Okazuje się wtedy, że bardzo wielu rzeczy już nie zdążę, bowiem w naszej specjalności, jeżeli się solidnie pracuje, to można przesunąć się do przodu nie więcej niż sto metrów. Tak to jest, moi panowie. Przecież uruchomienie pierwszego pełnowartościowego, przemysłowego stop—spinowego bloku energetycznego o mocy dziewięćset megawatów zajęło nie rok, nie pięć, ale dwadzieścia cztery lata. I przez te dwadzieścia cztery lata uwijaliśmy się przy tym jak mróweczki. A kosztowało to nie najwyżej siedem milionów rubli, jak wyliczyliśmy to sobie z

Oskarkiem, nie czternaście, którymi Zienczenkow usiłował nam przytrzeć rogów, ale równe trzysta dwadzieścia dwa miliony sześćset siedemdziesiąt tysięcy. I dokładnie pamiętam, na co wydaliśmy każdy tysiąc. Pamiętam, i to jeszcze jak! Ale profesor Machalajnen naszej ślicznotki nie zobaczył. Nie zdążył.

Proszę więc, żebyście mi, panowie, nie mówili — tu jest, Aleksandrze Pietrowiczu, wektor, tu jest sektor, niech nam pan da półtora miliona, a po pół roku będzie pan miał, ja będę miał, Krezus jeden, antygravitację. Niech panowie przekażą swoje obliczenia Siemionowi Grigoriewiczowi. Jeżeli macie ochotę, to nawet zaraz. Dobrze wiecie, kto to taki. Ani piórem, ani pędzlem funkcjonującej aparatury nie wyczaruje. Proszę je powielić, rozesłać po pracowniach i przygotować się. Kiedy będziecie już gotowi, wyznaczę nadprogramowe seminarium. Słowo honoru.

A na razie żegnam panów, praca czeka. Muszę zrobić małe hokus–pokus z wydatkami na remonty kapitalne i posegregować choć część korespondencji. Proszę, jaka teczka! A może wymyślilibyście, panowie, taką maszynkę, która by załatwiała za mnie korespondencję, co? Nie? Otóż to...

Przełożył Sławomir Kędziński

Tot, kto wierniotsia

Ten, który powróci

Las, który miejscami przylegał do lewej strony szosy, był już złotoczerwony:

nadciągnęła wprawdzie jesień, ale nadal było słonecznie. Powietrze stało przejrzyste, a w dźwiękach brzmiał jesiennym tonem — przenikliwie i ostro, w niczym nie przypominając stłumionych odgłosów lata.

Wskazówka szybkościomierza chwiała się przy setce. Ostatecznie, szosa o tej porze była prawie pusta — tylko czasem pojawiały się nadjeżdżające z przeciwka długie skrzynie transportowców, wracające z portu do miasta — i dzięki temu kierowca mógł podziwiać barwy jesieni. Kiedy szosa wbiegła na szczyt wzgórza, w dole roztoczył się widok na olbrzymi port, mężczyzna ostro zahamował, ustawił pojazd na poboczu i otworzył drzwi.

Powietrze było rozgrzane, szosa także. Wprawdzie nie aż tak jak w lipcu czy sierpniu, ale nawet teraz promieniowało niewidocznymi falami ciepła. Lato przemknęło nieoczekiwanie i niezauważalnie, wprost przeleciało razem z natłokiem spraw nie cierpiących zwłoki.

Kierowca przeszedł przez szosę i z uczuciem błogości wszedł w trawę. Powolnie wirując w powietrzu przepłynął złotoczerwony liść. Mężczyzna podstawił dłoń, ale liść tuż nad dłonią zmienił kierunek i uleciał w bok. W tejże chwili na linii horyzontu pojawił się srebrzysty punkt. Powiększał się wciąż, a potem opadł za odległymi budynkami. Mężczyzna odruchowo spojrzął na zegarek: francuski statek „Espoire” wylądował zgodnie z rozkładem.

Espoire... To piękne słowo, dźwięczne. Wiedział, że to znaczy — nadzieja. Głośno powtórzył francuską nazwę wsłuchując się w swój głos i nagle znowu ujrzał przed sobą tamten skraweczek przyszłości, wyrwany nie wiedzieć z jakiego czasu, przebiegające przez ekran jaskrawe pasy i plamy, głosy dwóch mężczyzn, urywki rozmowy mającej ścisły związek z jego osobą.

Wstał. Zaszleściła trawa i opadłe liście, ziemia ugiwała się lekko pod jego krokami. Szedł nie odwracając się i las spoglądał za nim.

Zatrzasnął drzwi. Warkot silnika był przykry, ostry. Być może ten właśnie dźwięk kazał mu się jeszcze zatrzymać i z zadumą spojrzeć na lewo.

Gałęzie drzew chwiały się w jakimś skomplikowanym i harmonijnym pas tajemniczego i nieśmiertelnego tańca. Opadały z nich liście i wyruszały w krótkie rejsy po najdziwaczniejszych trajektoriach. Las żył swoim własnym, do niczego niepodobnym i z niczym nieporównywalnym życiem.

Mężczyzna patrzył teraz wprost przed siebie na srebrzystą wstęgę drogi. Wiedział, że las po lewej będzie się ciągnął jeszcze ponad dziesięć kilometrów. Niebawem w głębi pojawi się zabudowa centrum naukowego i pośród różnych instalacji i urządzeń mignie krystaloidalny Instytut Czasu. Dalej, po kilku kilometrach, szosa skręci. Las nieoczekiwanie się urwie i ukaże się wielki półprzejrzysty gmach dowództwa kosmofloty, podługowate budynki służb nawigacyjnych i wreszcie betonowe płyty pomostów cumowniczych. Gdzieś tam, przy którymś z nich, stoi gotowy do startu „Albatros”.

Andriej nie był jedynym pasażerem windy — wsiadła z nim jasnowłosa dziewczyna w różowym kombinezonie służby dyspozytorskiej. Spojrzeniem prześliznęła się po jego twarzy, potem po naszywkach i wtedy jakby coś się stało. Oglądając uważnie wiszący na wprost plan Centrum, Andriej czuł wyraźnie, że dziewczyna przygląda mu się ze zbytnim chyba zainteresowaniem. Spojrzał na nią, lecz akurat winda stanęła i musiał wysiąść.

Zagłębiwszy się w długi korytarz, obejrzał się jeszcze i wzruszył ramionami. Naszywki na uniformie nie zasługiwały na aż taką uwagę. Można się było z nich dowiedzieć, ile czasu ktoś spędził w kosmosie oraz ile odbył rejsów typu A, czyli podświetlnych. Niemało tego nazbierał, ale daleko mu jeszcze do rekordzistów. Aha, na kurtce był też jego własny numer, emblemat „Moskwy” i oznaka kapitańska.

Znowu się obejrzał i przyspieszył kroku.

W Centrum coś niecoś się zmieniło przez ostatni rok — na przykład korytarz nie skręcał w lewo jak dawniej, tylko w prawo. Andriej zatrzymał się niepewnie i natychmiast podbiegł do niego robot —przewodnik. Jego wypukłe oczy—fotokomórki wykonały ułamek obrotu, robot oglądał naszywki. W tejże chwili elektroniczny baedeker radośnie zazgrzytał:

— Proszę iść na prawo! Wszystko w porządku! Budynek był niedawno odnawiany! Czekają na pana w skrzydle błękitnym!

Andriej w odpowiedzi wymruczał przyjętą formułkę grzecznościową. Numer pokoju, gdzie go oczekiwano, był mu znany: widniał na leżącym w kieszeni wezwaniu. Skręcił w prawo. Ten korytarz nie przypominał innych. Był dwukrotnie szerszy i wprost skrzył się błękitnym blaskiem. Lśniły ściany, sufit, nawet podłoga. Uszedłszy parę kroków zrozumiał, że ten blask miał określony cel. Migotanie błękitnych ogni w jakiś niepojęty sposób nakazywało skupienie myśli, koncentrowało uwagę i wolę, widocznie chodziło o przygotowanie gości, by podczas czekającej rozmowy ograniczali się do spraw ważnych i koniecznych, pomijając zbędne. Andriej wiedział i tak, że rozmowa będzie krótka: wezwanie otrzymane w kosmotelu mogło znaczyć tylko jedno — miał zdać sprawę z przebiegu wyprawy na czwartą planetę 70TW, z której dopiero co powróciła „Moskwa”. Sprawozdanie było przygotowane od dawna i teraz spoczywało w plastikowej teczce, którą trzymał w ręce. Będzie jeszcze krótka rozmowa z Piestrienką lub jego zastępcą Krugłowym, po czym on, Andriej Rostow, dowódca „Moskwy”, podświetlnego statku klasy ekstra, przypuszczalnie będzie mógł wyjechać, gdzie mu się żywnie spodoba.

Ale skąd robot wiedział, dokąd go skierować? I co z tamtą dziewczyną?

Dwaj kursanci, którzy wyskoczyli nagle zza jakichś drzwi, na jego widok zatrzymali się jak wryci. Już za plecami usłyszał przyciszone głosy i niecierpliwie wzruszył ramionami. Stanowczo działo się tutaj coś dziwnego. Teraz jednak lekko się zaniepokoił; więcej się nie rozglądając, szybko wszedł do błękitnego skrzydła i odszukał numer A-312.

Sekretarka była kobietą szczupłą, w podeszłym już wieku i robiła wrażenie nieprzystępnej. Oderwawszy wzrok od zielonej teczki z dokumentami, z wyraźnym zainteresowaniem obejrzała interesanta od stóp do głów i skonstatowała z niezrozumiałym zadowoleniem:

— Ach, więc to pan?

— Przecież to mnie wezwaliście — z rozdrażnieniem zaczął Andriej — więc nie mogę być kim innym. Chciałem powiedzieć...

Sekretarka uśmiechnęła się i od razu przestała być nieprzystępna. W ogóle to dużo jej brakowało do podeszłego wieku. Miała zielone oczy i ciepłe spojrzenie. Wcisnęła jakiś guzik i natychmiast rozwarły się wielkie skrzydła drzwi. Spodobało mu się to: nie trzeba tkwić w poczekalni, od razu

zapraszają do środka. Przypuszczał, że rozmowa będzie krótka. Będąc pilotem z krwi i kości nie cierpiał urzędniczych pokoi.

— Proszę wejść, czekają już na pana — prawie że serdecznie powiedziała sekretarka i Andriej przekroczył próg.

Dopiero teraz poczuł się zakłopotany. Gabinet niczym nie przypominał dotychczas widywanych. Był ogromny i z łatwością można było w nim zabłądzić między mnóstwem okazałych, sięgających prawie sufitu modeli słynnych, już historycznych statków, zgubić się pośród stelaży z książkami, zapisami kosmicznych locji i mnóstwem przedmiotów, które tu, w Centrum, mogły się znajdować wyłącznie w jednym miejscu. Więc to tutaj go wezwano! Jeśli tak, to istotnie musiało się zdarzyć coś nadzwyczajnego.

Trafił do gabinetu samego dyrektora naczelnego.

Kapitanowie statków ekstraklasy, nawet takich jak podświetlną „Moskwa”, nieczęsto bywali tu zapraszani.

Burko było olbrzymie — jego powierzchnia miała nie mniej niż sześć metrów kwadratowych. Pierwszą myślą Andrieja było, że trzeba mieć ręce koszykarza, by sięgnąć do skrajnych narożników. W fotelu mógłby się zmieścić dwumetrowy facet. Nie zdziwił się więc, kiedy na jego widok podniósł się właśnie taki mężczyzna.

Zagrzmiał pytająco—twierdzący ton dyrektora naczelnego:

— Kapitan Andriej Rostow, dowódca „Moskwy”, przedtem pierwszy oficer na „Wołdze”, wcześniej drugi pilot „Sokoła”. Absolwent Wyższej Szkoły Nawigacji. Pilot ekstraklasy, sto siedemnaście lotów, w tym dwadzieścia cztery podświetlne i piętnaście próbnych. Wiek dwadzieścia dziewięć lat. Siadajcie!

Andriej automatycznie usiadł w fotelu. Chociaż... Błękitne ogniki w korytarzu widać zrobiły swoje: jego zakłopotanie szybko znikło. Wezwanie tutaj, do samego naczelnego, było faktycznie niezwykle, lecz Andriej nie przypominał sobie jakichś wyjątkowych grzechów. Ostatnia wyprawa przebiegała ściśle według grafiku.

— Jesteście zdziwieni, kapitanie — wolno powiedział ogromny mężczyzna za ogromnym biurkiem.

Przez cały czas patrzył Andriejowi prosto w twarz, jakby czegoś oczekując. Andriej obracał w dłoniach teczkę z raportem. Nagle przyszło mu na myśl, że raport jest zbyt zwięzły jak na tak długotrwałą i uwieńczoną powodzeniem ekspedycję. A jednak, o dziwo, zawiera wszystko, co trzeba.

Dyrektor naczelny zachmurzył się nieznacznie.

— Meldunek przekażecie mojej sekretarce — powiedział ozięble. — Ona już przekaże go Piestrience. My porozmawiamy o czymś innym. Wezwałem was, żeby dowiedzieć się czegoś o waszych planach na przyszłość.

— Zgodnie z regulaminem należy mi się urlop — zaczął oględnie Andriej. — Zamierzałem pojechać do domu, do Liwn. Lot trwał pół roku i razem z całą załogą...

Zaciął się i zamilkł, uświadomiwszy sobie, że rozmowa o własnym urlopie z dyrektorem naczelnym jest co najmniej śmieszna: przecież zgody na urlop udziela zupełnie kto inny.

— Ależ to zrozumiałe, należy się wam urlop! — zahuczał znowu gospodarz gabinetu. — Ale ja chciałbym wiedzieć, co zamierzacie później robić?

— „Moskwa” ma rejsy rozpisane na dwa lata z góry. Dyrektor wstał i przeszedł się po gabinecie. Z wyżyn swojego koszykarskiego wzrostu spoglądał na Andrieja i nad czymś się zastanawiał.

— No dobrze, nie marnujmy czasu — odezwał się wreszcie. — Załoga „Moskwy” rzeczywiście

otrzyma urlopy. Jeśli zaśo was chodzi, to zostanieie tutaj. Będziecie mieszkać w kosmotelu, jak dotąd, i codziennie przyjeżdżać na kosmodrom. Zostaliście, kapitanie, mianowani dowódcą wyprawy na Tellusa. Oczywiście macie prawo odmówić, ale w kosmoflocie obok zasad spisanych istnieją też niepisane...

Andriej odłożył dokumenty i również wstał z fotela. Nie od razu zrozumiał słowa dyrektora. Musiał mieć minę mocno oszołomionego, bo twarz naczelnego, tak dobroduszna i łagodna, stała się wyrazem dobroci i łagodności prawie że ojcowskiej.

— Na Tellusa?! — wyrzucił z siebie. — Nie rozumiem... Przecież ta ekspedycja...

Przy wejściu do Centrum biła fontanna, tuż obok stało kilka kolorowych ławeczek. Jeśli pominąć nowoczesne drzwi z masy plastycznej, wieńczące szereg różnobarwnych stopni z księżycowego bazaltu, który niespodziewanie znowu wrócił do łask w architektonicznej modzie, to fontanna i ławki wokół niej mogły się wydawać obrazkiem z odległej przeszłości. Być może człowiek właśnie tego potrzebuje: rozumnego zespolenia starego z nowym, zuchwałych aspiracji i nieco elegijnej pamięci i przeszłości?

Plastykowa aktówka była pusta. Andriej położył ją na ławce, sam usiadł obok i zaczął się przyglądać tęczącej migotliwości tryskającej wody.

Powoli oswajał się z myślą, że został szefem pierwszej wyprawy hiperpodświetlonej. Oszołomienie wywołane niespodzianką minęło i pojawiły się jakieś bliżej nie określone wątpliwości. Dlaczego właśnie on? W ułamku sekundy mignęła wizja przyszłości: moment startu, potem ciemność, kilka krótkich chwil lotu, i statek nagle, prawie bez przejścia, pojawia się w dalekim, obcym i niezwykłym świecie. Ta wizja wydała mu się zuchwałą, ale świadomość tego zuchwalstwa ustawiła wszystko na właściwych miejscach. Jest dowódcą pierwszej hiperpodświetlonej. W końcu nie ma w tym nic aż tak nadzwyczajnego.

W strużkach wody grała maleńka tęcza. Ostro świeciło wrześnie słońce, powietrze było rozgrzane i wilgotne. Wyciągnął nogi sadowiąc się wygodniej i zaczął przegląd znanych sobie danych.

I naraz stwierdził, że jego wiedza jest dość nikła.

Bez wyraźnego związku z tematem przypomniał mu się jego pierwszy podświetlony lot. Start wypadł nocą i czarny ogrom statku — to był staruszek „Zwycięzca”, będący obecnie bazą treningową dla kursantów — tkwił w najdalszym kącie kosmodromu w słabym świetle reflektorów. Było powszednio i zwyczajnie. Kłębiła się wilgotna mgła i być może dlatego, kiedy szedł po mokrych płytach pomostu, dostał niespodziewanego napadu dreszczy. A później — sprężyste kolebanie się trapu pod krokami dziesiątek nóg, metaliczny zgrzyt zatraskującego się luku, chłodne obicie fotela. Zresztą wewnątrz naszego systemu „Zwycięzca” leciał z bardzo dużą, lecz zwykłą sobie szybkością. Podświetlną włączyli dopiero poza układem. Momentu przejścia — musiał to przyznać — wcale nie zauważył i dopiero Jura Iwaszczenko, stary druh, mrugnięciem oka wskazał informacyjny pulpit, na którym pojawiły się czarne cyfry zupełnie nowych charakterystyk lotu. I żadnych szczególnych wrażeń nie doznał ani nie zauważył niczego niezwykłego...

Blondynka w jasnoróżowym kombinezonie dyspozytorki szybko zbiegła po stopniach budynku i przeszła przez skwer omijając z lewej fontannę. Przyjrzawszy się jej rozpoznał niedawną towarzyszkę z windy. Gdzieś się śpieszyła, zdążyła jednak rzucić na niego krótkie spojrzenie i z lekkim wahaniem skinęła głową jak znajomemu. Świetnie wyglądała w jasnoróżowym stroju. Blondynkom, pomyślał, zazwyczaj lepiej pasuje niebieski; ciekawe, jakby wyglądała w niebieskim?

Blondynka znikła w wejściu do maleńkiego sześcianiku, gdzie mieściła się dyspozytornia rejsów

w granicach układu; i Andriej niespodziewanie i ze smutkiem stwierdził, że zbyt rzadko bywa na Ziemi...

Zatem cóż wiedział o pierwszej w dziejach hiperpodświetlonej wyprawie? Od paru już lat krążyły o niej słuchy, ale dopiero niedawno stało się powszechnie wiadome, że mimo wszystko dojdzie do skutku. Na Tellusa. Na odległego, kuszącego Tellusa, skąd biegły ku Ziemi niezrozumiałe dla ludzi sygnały.

Andriej w napięciu zmarszczył czoło. Wiązało się z tą ekspedycją coś bardzo ważnego, coś, czego nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, coś związanego z efektem szybkości hiperpodświetlonej. Ale co to było?

Wstał i wsadził teczkę pod pachę. W tejże chwili na stopniach budynku znów ujrzał różową dziewczynę i ruszył na jej spotkanie. I nagle go olśniło: lot na Tellusa mógł się odbyć tylko w tym roku albo... za dwieście czterdzieści siedem lat. Efekt hiperpodświetlonej Korowiaka–Murtazajewa nie został jeszcze do końca rozpracowany.

— Poznajcie się — zadudniły słowa naczelnego. — Andriej Rostow, kierownik wyprawy. Pilot ekstraklasy, absolwent wyższej szkoły nawigacji. Do niedawna kapitan „Moskwy”.

Andriej podniósł się i przyjrzał zgromadzonym. Było ich czterech. Ubrani w jaskrawoczerwone stroje treningowe siedzieli rzędem na długiej kanapie. Dwóch znał już przedtem — Kołę Porochnika i Żenię Ponomariowa, obaj piloci nawigatorzy. Trzeci był wysokim, silnie ogorzałym od słońca mężczyzną o typie południowca. Andriej już chyba gdzieś go spotkał. Czwartego nie znał zupełnie. Zachowywał się nieśmiało i spokojnie.

Dyrektor kolejno ich przedstawił. Opalony atleta nazywał się Władimir Iwaszkiewicz. Andriejowi przypominał się lot na Kasandrę, kiedy to z trzech statków pozostał tylko jeden, gdyż dostrzegalna powierzchnia Kasandry okazała się optycznym złudzeniem — zarówno dla ludzkich oczu, jak i aparatury — wyjątkowy przypadek, do tej pory przedmiot sporów między uczonymi. Tym jedynym statkiem, co z powodzeniem wylądował na planecie, dowodził właśnie Iwaszkiewicz.

Czwarty z członków załogi nazywał się Siergiej Kryłow. Był jedynym w Centrum ekspertem w dziedzinie oprzyrządowania hiperpodświetlonych statków.

Wyglądało na to, że dyrektor wstydzi się swojego wzrostu: ceremoniał powitania i prezentacji odprawił jak najszybciej zdołał i natychmiast siadł za swoim olbrzymim biurkiem.

— Macie bardzo mało czasu. Na trening, zapoznanie się ze statkiem i szkolenie specjalistyczne sześćdziesiąt cztery dni. Start czternastego września. Tu macie plan zajęć. — Z łatwością sięgnął do najdalszego fotela i podał Andriejowi zieloną teczkę. — Myślę, że nie będzie szczególnych komplikacji. Hiperpodświetlone są prostsze w obsłudze niż inne typy statków. Lot nie będzie długi...

— Nazywa się „Albatros” — przerwał mu Kryłow.

— Jeden z członków waszej załogi — dyrektor popatrzył na Kryłowa — już przeszedł to szkolenie, teraz wasza kolej.

Spojrzenia pozostałych skupiły się na Kryłowie i Andriej nagle dostrzegł jego młodość wprost niewiarygodną, niedopuszczalną po prostu dla astronauty. Zatem owa nieśmiałość i lękliwość wynikają z młodego wieku? Miną jednak lata — wiedział o tym dobrze — i na twarzy Kryłowa legnie inna pieczęć. Odbiją się na niej bezsenne noce, śmiertelne ryzyko, może nawet klęski i straty. No i wreszcie, rzecz jasna, gwałtowna, nienasycona żądza dotarcia tam, gdzie nie dotarł nikt.

Dyrektor wstał zza biurka, uściśnął wszystkim ręce i pięciu mężczyzn w milczeniu wyszło na długi, skrzący się korytarz. Przed wyjściem z gmachu czekało już długie cygaro służbowego pojazdu, a Iwaszkiewicz, skoczywszy do przodu, szarmancko otworzył przed nimi drzwi, po czym wesoło, z

zauważalnym akcentem południowca, wykrzyknął:

— Zaczynamy podróż, panowie!

„Albatros” stał w najdalszym zakątku kosmodromu. Kiedy pojazd wymiął cielska statków ekstraklasy i turystycznych liniowców przechodzących krótki przegląd wreszcie się zatrzymał, Andriej doznał pewnego rozczarowania. „Albatros” niezbyt przypominał nowoczesny statek kosmiczny. Ustawiony obok „Moskwy” wydawałby się jej dalekim przodkiem, z piętnaście razy od niej mniejszym. Na domiar wszystkiego odcień jego nieprawdopodobnie burej barwy trącił jakby rdzą.

Widocznie na twarzy dowódcy zbyt wyraźnie ujawniło się rozczarowanie, bo młody Kryłow uśmiechnął się krzepiąco i trochę zagadkowo.

Iwaszkiewicz podszedł do statku, dotknął osłony i zabawnie się skrzywił. Porochnik i Ponomariow, trzymający się wciąż razem jak bliźniacy, obesli statek dokoła. Na stopnie trapu pierwszy wszedł Kryłow i gestem zaprosił do środka.

Trap leciutko ugiął się pod ich ciężarem tak jak wszystkie znane Andriejowi trapy. Pozwalał szczególnie ostro i wyraźnie zakosztować wrażeń przyszłego lotu.

Okazało się, że sterownia „Albatrosa” jest niezwykle mała, ma najwyżej sześć metrów. Przyborów było zaskakująco mało, ale za to fotele pilotów, o skomplikowanej i niepojętej konstrukcji, wyglądały niebywale masywnie.

Kabiny przyjemnie zaskoczyły swoim komfortem, nie widywanym nawet na turystycznych liniowcach. Salonik był wyłożony dębem, na półkach kredensu stała porcelanowa i kryształowa zastawa, na podłodze leżał puszysty dywan. Jedną ze ścian zajmowała wideoteka, której pozazdrościłaby niejedna taka na Ziemi.

W sekcji kuchennej — automatyczny standard. Stojące jak trzeba obok komory służowej skafandry też były całkiem zwyczajne — model B12. Jeszcze dalej — pojemniki z wodą i chłodnie z przepisową racją żywności. Była tu nawet mała salka gimnastyczna i basen.

Sekcja silników — kompletna płatanina różnych przewodów i układów.

Cztery godziny zajęć rano i cztery po południu — taki był porządek dnia. Ćwiczenia, treningi, konsultacje. Otaczała ich liczna grupa specjalistów dobranych pod kątem przygotowań do lotu — techników, profesorów, ekspertów z różnych dziedzin. W tym wszystkim oni, pięciu członków załogi. Pięć charakterów ujawniających się stopniowo podczas wielogodzinnych zajęć: w bibliotece, na boisku, w basenie. Radosna żywotność Iwaszkiewicza i stalowe nerwy Koli Porochnika. Skromność, nieśmiałość młodego Siergieja Kryłowa i powściągliwość Ponomariowa.

Nie obyło się bez krótkich chwil wypoczynku na Hawajach czy innych wyspach, rozgrywek w piłce wodnej z załogami podświetlnych statków, wycieczek do muzeów, wyprawy do teatrów i na koncerty, które organizował Iwaszkiewicz, ujawnił się bowiem jako znakomity skrzypek.

Lecz przede wszystkim ćwiczenia i treningi, ćwiczenia i treningi. Cztery godziny rano i cztery po południu.

Wrześniowy las przypominał akwarium; zielonkawe światło przebijało przez płataninę gałęzi i liści. Słońce zaczęło się już skłaniać ku zachodowi i światło grało miękkimi, przygłuszonymi półtonami. Pnie drzew i ziemia usłana ubiegłorocznymi szpilkami nagrzały się za dnia i teraz same emanowały ciepłem o cudownym i niepowtarzalnym aromacie.

Uniósłszy gałązkę nisko zwisającą nad ścieżką, Nina odwróciła się do Andrieja.

— Jakie to dziwne! Człowiek zdziałał tyle na Ziemi, tyle stworzył, a las się wcale nie zmienił. Jest taki sam jak przed wiekami.

— Zmienił się — mruknął Andriej. — Niektóre gatunki znikły, pojawiły się nowe na ich miejsce. Schylił się i zerwał łądkę obsypaną drobnymi fioletozowymi dzwoneczkami.

— Przedtem tego nie było!

— Tak rzadko bywasz na Ziemi, a wiesz o niej więcej niż ja.

— Pewnie dlatego. Podczas lotu wciąż się myśli o ojczyźnie. Czy wiesz, na jakiej zasadzie kompletuje się pokładowe wideoteki? Kasety z materiałami z historii Ziemi, z biologii, paleontologii, etnografii. Każdy astronauta to ekspert od spraw Ziemi. Znam chłopców, którzy w zoologii, powiedzmy, etnografii, nie ustępują specjalistom...

Nina nie miała dziś na sobie jasnorożowego kombinezonu, w którym tak jej było do twarzy, tylko lekką żółto—zieloną sukienkę. Andriej ostrożnie odgiął przed nią sprężystą gałązkę i ruszył jej śladem. W ciepłym, wrześniowym lesie było mu teraz dobrze i zapragnął, żeby ten dzień nigdy nie minął. Spojrzał na zegarek i westchnął.

— Muszę dodać, że mój ojciec był nauczycielem botaniki. Nawet umarł w lesie podczas lekcji, tam, u nas pod Liwnami.

— Opowiedz mi o sobie.

— O sobie? — Uśmiechnął się. — Najtrudniej szły mi studia. Nawet nie wiem, jak dotrwałem do końca. Z każdej dziesiątki kończyły tylko dwie osoby, reszta rezygnowała, zmieniała kierunek. No, a później zaczęły się loty. Poszło już łatwo, bo byłem gotów na wszystko. A bywało różnie.

— A u mnie wszystko było inaczej! Życie na Ziemi, nieciekawa praca. Dyspozytor bliskich tras! Żadnych niespodzianek, tylko szara codzienność i pospolitość. Wprawdzie jeden raz coś się wydarzyło... Zresztą, to nic ciekawego.

Andriej pochyliwszy się zerwał kulkę mlecza, dmuchnął. Patrząc na opadający puch i zaczął opowiadać o nieoczekiwaniu podnoszących się mgłach Kasandry, o szkarłatnym słońcu Prozerpiny, które w mgnieniu oka topi warstwą lodu skuwającą w nocy powierzchnię planety, o miękkich, zacisznych parowach pełnych szmaragdowych traw i zimnych strumieni na Emparanie, najpiękniejszej z planet.

Potrząsnął głową. Las bliski, bajeczny, gościnnie, pieszczotliwie szeleścił liśćmi i niby ich pozdrawiając kiwał czubkami olbrzymich sosen. Nic podobnego nie istniało na żadnej z planet. W całym wszechświecie nie istniało nic piękniejszego niż ten las i ten dzień, niezauważalnie, powoli przechodzący właśnie w ciepły, wspaniały wieczór.

Ścieżka zwięzła się. Biegła teraz wśród guzłowatych sosnowych korzeni. Wyszli na skraj polany obok dużego mrowiska.

— Odpocznijmy tutaj — zaproponowała Nina i usiadła na zwałonym pniu. — Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Wtedy wydałeś mi się całkiem inny niż teraz.

— Jaki?

— Surowy, poważny — zaśmiała się. — Kapitan „Albatrosa”, czy to nie zabawne?!

Słońce stało już zupełnie nisko. Jasne włosy Niny pokryły się złotem, cień padł na twarz nadając jej zagadkowy wyraz. Miał wrażenie, że tak będzie zawsze, wiecznie...

Następnego dnia na wykładzie jakiś nieznajomy podszedł do prowadzącego zajęcia i przerwał mu w pół słowa kładąc przed nim złożoną we dwoje karteczkę, tym samym zaś naruszając niepisane zasady obowiązujące podczas szkolenia załogi.

Przez okna lały się oślepiające promienie słońca. Odbijały się w polerowanych fragmentach sprzętu treningowego, rozpryskiwały słonecznymi plamami na ścianach. I ta gra słonecznych blasków wywołała w Andrieju poczucie ni to nierzeczywistości, ni to nieprawdopodobieństwa.

Karteczkę przyniósł pracownik Instytutu Czasu, owego olbrzymiego budynku, który wczoraj dostrzegli w lesie. W notatce donoszono, że uczeni uzyskali jakieś wyniki, które mogłyby zainteresować załogę „Albatrosa”. Andriej udał się tam natychmiast.

Nigdy dotąd tu nie był i teraz z ciekawością oglądał laboratorium z przyrządami, których przeznaczenia nie znał, z aparaturą zda się sposobną przesyć czas na wskroś, sfilmować przyszłość i jej fragmenty ukazać na ekranie.

Dopiero później dowiedział się, jak pracuje machina. Impulsem wdzierała się w czas, zbierała informacje i dostarczała je do terażniejszości. Pracownicy Instytutu Czasu spodziewali się, że kiedyś zdołają nakłonić do posłuchu ów impuls, skierować w dowolny punkt Ziemi, w uprzednio określony moment czasu, i że po jego powrocie uzyskają barwny obraz z dźwiękowym zapisem. Ale jak dotąd impuls przynosił tylko mgliste obrazy wyrwane z bliżej nie określonego czasu.

Niebawem załoga „Albatrosa” siedziała przed ekranami maszyny. W sali było dużo ludzi; wzdychali, pokasztywali, cicho rozmawiali, lecz co jakiś czas zapadała martwa, nieznośna cisza. Kiedy skończyła się taśma z ułamkami przyszłości, pokaz zaczęto od nowa. Andriej Rostow, ścisnąwszy skronie dłońmi, znowu wpatrzył się w ekran oczekując słów, które gdzieś, kiedyś, w przyszłości wypowiedziano na temat Tellusa.

W aureoli tęczowych, rozplywających się punktów widać brzeg i morskie fale. Brzeg opustoszały, tylko na piasku leży zapomniana książka. Słońce stoi nisko, na falach kładzie się złoty, oślepiający szlak.

Czytelność obrazu nie była najlepsza, za to dźwięki wyraźne: miarowy huk fal, szelest piasku.

W kalejdoskopie barwnych plamek, rozbłyskujących, migotliwych błysków — budynek do niczego niepodobny — dziwaczne nagromadzenie detali według zasad niepojętego ładu. Wokół dziwnie pusty plac. Obraz był bezdźwięczny.

Blondynka w białym fartuchu przy aparaturze chemicznej w laboratorium. Widok codzienny i zwyczajny, niczym nie różniący się od współczesnego. Możliwe, że tym razem impuls przyniósł skrawczek bardzo bliskiej przyszłości, oddalonej zaledwie o kilka dni, i dlatego obraz jest idealnie czytelny.

Od lewego do prawego brzegu ekranu przepęły pulsujące różnobarwne fale. Naraz barwy znikły i chaos na ekranie stał się czarno-biały. Teraz słyhać jakieś dźwięki, niewyraźny szmer, przeciągłe skrzywienie, wreszcie ludzkie głosy:

—...pracowałem — słyhać męski głos. — Nie wiedziałem o niczym...

—...Tellusa... kosmicznymi ekspedycjami...

Długa, przeciągająca się pauza i znowu migotanie barwnych plam.

—...to coś niewiarygodnego, niebywałego — mówi ten sam głos. Krótka cisza, na ekranie eksplozja, po czym pojawia się niewyraźna męska twarz i znika.

—...smutne... bardzo... to wielka szkoda...

—...niepowodzenie... bardzo ciężko... z załogi „Albatrosa”...

Znowu pauza.

—...pozostał sam... pozostał sam... pozostał sam... — wypowiedział z przerwami męski głos, po czym na ekranie pojawił się obraz dotyczący bez wątpienia czegoś całkiem odmiennego: oślepiająco zielony tropikalny las, w jego głębi jakaś wysoka konstrukcja kratownic o nie znanym przeznaczeniu zakończona otwartą platformą. Stoi na niej parę osób i wszyscy spoglądają w tę samą stronę...

Tych fragmentarycznych obrazów wyrwanych z przyszłości było jeszcze kilka. Polem zapis się skończył i cofnięto go po raz trzeci. I po raz trzeci zabrzmiały słowa:

— Pozostał sam... pozostał sam... pozostał sam...

Dyrektor naczelny długo przekładał jakieś papiery na swoim gigantycznym biurku, potem włożywszy okulary, przesadnie powoli i uważnie któryś z nich czytał, jego wargi poruszały się jakby powtarzając tekst. Do gabinetu dwukrotnie weszła sekretarka. Mówiła coś przyciszonym głosem i dyrektor równie cicho jej odpowiadał. Przechodząc obok Andrieja przyglądała mu się uważnie.

Iwaszkiewicz, siedzący naprzeciwko Andrieja, nerwowo bębnił palcami po blacie maleńkiego stolika. Porochnik i Ponomariow, obaj w czerwonych treningowych kurtkach, rozsiedli się na długiej kanapie i z identycznym napięciem w twarzach wpatrywali się w okno, za którym toczyło się normalne, powszednie życie kosmoportu. Obok nich przysiadł Sierioża Kryłow i z uwagą badał podłogę.

Andriej przyjrzał się całej czwórce. Rozważał w myślach, co każdy z nich odpowie na pytanie dyrektora.

A co powie on sam, kapitan „Albatrosa”?

Usadowił się wygodniej i przymknął oczy. Przemyślał tak wiele i dopiero teraz zrozumiał, że sam jeszcze nie zna swojej odpowiedzi.

Dyrektor wstał i odezwał się nienaturalnie łagodnym głosem:

— Prosiłem was o przybycie, żeby podjąć decyzję... Nie odwołają lotu, pomyślał Andriej. Bez względu na okoliczności ktoś poleci na pewno.

— Czy nie ma mowy o pomyłce? — szybko zapytał Iwaszkiewicz. — O ile rozumiem, to w zasadach działania maszyny nawet specjaliści nie bardzo się orientują...

Dyrektor kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Już się nad tym zastanawiali. Powołano specjalną komisję ekspertów, zanalizowano wszystko, co przekazała maszyna. Zdanie autorytetów nauki jest jednomyślne: obrazy ukazane na ekranie są fragmentami przyszłości.

W gabinecie znowu zapadła cisza. Potem poruszył się Kryłow i niespodzianie zabrał głos:

— To niewiarygodne! Im bardziej się o tym myśli, tym bardziej robi się nieprawdopodobne. Świadeństwo z przyszłości... i to o nas!

— A niewiarygodne! — Dyrektor wyprostował się i zrobił się jeszcze wyższy. — Niewiarygodne jest to, że pierwsza transmisja z przyszłości przyniosła informację o naszym locie akurat przed startem.

Z wyżyny swojego ogromnego wzrostu patrzył na siedzących przed nim pięciu mężczyzn.

— Niewiarygodne! — powtórzył, a głos miał ciężki, zmęczony. — Ale ocena tego niewiarygodnego faktu nie należy do naszych zadań. My mamy się zastanowić, co robić dalej.

Pod Iwaszkiewiczem skrzyknął fotel. Kryłow oderwał wreszcie wzrok od podłogi i utkwiał go w oknie.

— A teraz — głos władcy gabinetu zabrzmiał głucho — kiedy już o tym wiemy — zakasłał — ściślej, skoro możemy się domyślać, że lot będzie miał przebieg bardzo ciężki, nawet dramatyczny, czuję się zobowiązany powiedzieć wam, jako człowiek rządzący kosmoflotą, że teraz każdy z was... teraz może... zrezygnować.

Pod Iwaszkiewiczem znowu skrzyknął fotel. Naczelny dyrektor uważnie mu się przyjrzał.

Nikt nie będzie was osądzał. Dotychczas, zgodnie z niepisanym regulaminem kosmofloty, nie wolno wam było odmówić udziału w locie. Teraz macie do tego prawo... Iwaszkiewicz, co powiesz?

Iwaszkiewicz podniósł głowę, ale nie odezwał się. Zdawało się, że cisza gęstnieje.

Andriej potarł skronie dłońmi. Poczł ogromne zmęczenie. Pomyślał nagle, że ekspedycja na Tellusa to loteria, w której wygrywa tylko jeden los. Tylko jednemu z nich jest sędzone dojść do końca i dowiedzieć się, w imię czego przebył tę drogę? Tylko któremu z nich?...

— Ale następny lot na Tellusa może być dopiero za dwieście czterdzieści siedem lat! — z zaskakującą gwałtownością nagle przemówił Kryłow. Naczelny dyrektor potakująco pokiwał głową.

— Tak. Za dwieście czterdzieści siedem lat.

Nagle twarz mu się zmieniła, jakby poraziła go jakaś myśl. Przez pewien czas ważył coś w sobie, a potem powoli, z dziwną intonacją, jeszcze bardziej niżywszy głos, powiedział:

— Czy wiecie, co to może znaczyć? Jeżeli dzisiaj my zrezygnujemy z Tellusa, to będzie znaczyło, że informacja z przyszłości nie odnosi się do naszej, tylko do następnej wyprawy. Tej za dwieście czterdzieści siedem lat.

Wszyscy poruszyli się niespokojnie. Porochnik strzelił palcami. Ponomariow uśmiechnął się, a naczelny dyrektor z ukosa, z jakąś dziwną miną popatrzył na Sieriożę Kryłowa.

Do gabinetu cicho weszła sekretarka i położyła na biurku teczkę z grubym napisem „Bardzo pilne!” Naczelny odsunął ją na bok nie zaglądnając do środka i wstał.

— No, cóż... Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Zastanówcie się. Przyjdźcie, kiedy już zdecydujecie. Przyjdźcie razem albo każdy osobno.

„Pozostał sam... pozostał sam... pozostał sam...”

Otworzył oczy. Dokładnie zsunięte portiery stwarzały w pokoju półmrok. Podeszła do niego Nina, usiadła obok i położyła dłoń na jego czole.

— Spałem?

— Dokładnie dwadzieścia minut. Póki stałam przy oknie i patrzyłam na deszcz.

Zwarta ściana wody przesłaniała gęsty mrok późnego wieczoru. Strugi deszczu zdawały się mocno napiętymi nićmi, siekły po gałęziach drzew i strząsały na ziemię żółknące już liście. Ulewa zapełniła świat głuchym łoskotem i orzeźwiająjącym zapachem. Zapragnął pobiec boso przez kałuże, jak dawniej, w dzieciństwie, gdy wrażenia są takie jaskrawe i niezwykle.

Zamknął okno, ale jeszcze przez jakiś czas spoglądał na deszcz. Wiedział, że Nina śledzi jego każdy ruch i odwrócił się do niej.

— Kto poleci? — mówiła bardzo cicho.

Zasunął story i w pokoju znów zrobiło się cicho.

— Chcieli wszyscy, ale postanowiono wysłać tylko dwóch: lecę ja i Kryłow.

— Dwóch... — powtórzyła szeptem. — A potem zostanie jeden... Spuścił oczy, westchnął głęboko i zaczął chodzić po pokoju: piętnaście kroków od kąta do kąta, tam i z powrotem. Czekał na jej dalsze słowa.

— A gdyby poleciał jeden?

— Jeden nie może.

— Wiedziałam, że tak będzie. I rozumiem cię.

Popatrzył na nią. Przecież spotkali się właśnie tego dnia, kiedy dowiedział się o Tellusie i od tej pory wyprawa dziwnie mu się wiązała z jej osobą. Posmutniał.

— Nawet nie zdążyłeś pojechać do domu...

— Teraz już nie zdążę.

Zadrżała silnie i Andriej ją objął.

— Jemu jest jeszcze ciężiej — szepnęła. — Siergiej Kryłow to przecież jego syn.

— Syn? Czyj syn?

— Naczelnego — Nina bez powodzenia usiłowała się uśmiechnąć. — O tym wie tylko parę osób. On uważa, że dzieciom szkodzi sława rodziców. Zwłaszcza jeżeli dzieci robią to samo, co oni...

Andriej znowu przemierzył pokój. Wywołał z pamięci twarz Siergieja Kryłowa, a razem z nią dobroduszną, ciepłą twarz dyrektora. Owszem, było podobieństwo. Chociaż syn wyraźnie nie dorównywał wzrostem ojcu.

— I on... on pozwolił mu wziąć udział w tej wyprawie?

— To ty mi o tym powiedziałaś.

— Jego syn... — mruknął. — Jak się o tym dowiedziałaś?

— Przynależała mi dyskrecja. Ale teraz chyba mogę powiedzieć... To był przypadek. Miałam dyżur, kiedy w moim sektorze zaczął lądować jednoosobowy statek treningowy. Zdaje się, że wracał z Marsa czy Jowisza, dokładnie nie pamiętam. I przy lądowaniu nawaliły mu silniki hamujące, rzadki przypadek. Pilot był bardzo niedoświadczony i nie wiedział, co robić. Zgodnie z regulaminem zameldowałam o tym w dyrekcji i zaraz do mojej kabiny wbiegł sam naczelnny. Osobiście prowadził pilota i chcąc nie chcąc musiałam wysłuchać całej rozmowy. Stary dopiero później wszystko mi wyjaśnił i zobowiązał, że nikomu o tym nie powiem. Umilkła i zamyśliła się.

— Opowiedz jeszcze, jak lądował?

— Pilot zamiast silników hamujących zastosował napędowe, ale tak ustawił siłę ciągu, że zmniejszył prędkość. Kiedy już stanął, naczelnny usiadł bez słowa w fotelu. A potem powiedział, zapamiętałam te słowa „Jeżeli chce się wychować prawdziwego człowieka, trzeba mu od dzieciństwa wpajać, że najpierw musi liczyć na siebie samego. Pomogłem mu dzisiaj, ale na moim miejscu zrobiłby to każdy”.

Gdybym to ja miał wybierać, pomyślał Andriej, też bym wybrał Kryłowa. Usiadł na tapczanie, posadził obok siebie Ninę i objął ją ramieniem.

— Uważasz, że koniecznie powinieneś lecieć?

— Koniecznie.

Jej plecy drgnęły.

— Wiedziałaś.

— Jasne, że to banał, ale uważam, że nic nie przychodzi bez ryzyka czy trudności. Po to, żeby człowiek szedł wciąż naprzód, musi mieć jakieś przeszkody.

Dotknął jej włosów, ostrożnie owinał pasemko wokół palców i wtedy zobaczył jej łzy.

Po lewej stronie szosy, w miejscach, gdzie las podchodził aż do asfaltu, liście były już żółtoczerwone. Powietrze stało się przejrzyste, w dźwiękach też pojawiły się jesienne tony, przenikliwe i ostre, niepodobne do stłumionych głosów lata.

W głębi lasu mignęły zabudowania ośrodka naukowego, a pośród nich wrosnięty w ziemię kryształ Instytutu Czasu. Andriej jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu i wydało mu się, że już nie mknie po pustej szosie, tylko leci ponad nią.

Uśmiechnął się: miał wrażenie, jakby pojazd też usiłował przekroczyć barierę światła. Człowiek tego dokona. To oszałamiające uczucie: zdawać sobie sprawę, że niebawem Ziemia pozostanie gdzieś daleko. Słońce zaś stanie się zwykłą gwiazdą, niczym się nie różniącą od tysięcy innych gwiazd. I upłynie jeszcze trochę czasu, aż na własne oczy zobaczy tajemniczego Tellusa... musi go zobaczyć.

Zmniejszył szybkość, bo za chwilę szosa skręci w prawo, skończy się las i pojawią się podłużne budynki służb nawigacyjnych i półprzejrzysty gmach Centrum.

Wjechawszy na teren kosmoportu zaczął lawirować między statkami. Zahamował na mgnienie przy eleganckim korpusie „Moskwy”. Statek — jego dawny statek, obecnie w konserwacji, był dzisiaj pusty i niemy. Powrócił na Ziemię tylko na parędziesiąt dni i niedługo znowu wystartuje w kosmos ze starą załogą i nowym kapitanem. Niezawodny, wierny, wypróbowany statek, którego narowy Andriej poznał tak, jak być może nikt już nie pozna.

Znowu wcisnął pedał i „Moskwa” pozostała za nim.

Wreszcie najdalszy zakątek startowego pola. Obok niepozornego korpusu „Albatrosa” stało kilka pojazdów. Między innymi była też maszyna dyrektora naczelnego. Wszystko odbywa się normalnie, jak zwykle. Pomyślał, że to dobrze, iż znikła tradycja, kiedy to przed startem gromadziły się dziesiątki tysięcy ludzi i zapewne każdy z uczestników takiej ceremonii czuł się bardzo nieswojo. Dzisiaj start przestał być świętem, stał się sprawą do załatwienia. Statek gotów do natychmiastowego startu, załoga zbiera się obok, a świadkowie to raptem parę osób, bez których w żaden sposób nie można się obejść.

Wyłączył silnik i zszedł na rozgrzane płyty. Siergiejowi Kryłowowi towarzyszyła mała grupka odprawiających. Andriej westchnął i powoli, bez pośpiechu ruszył w ich stronę. Nina na jego prośbę pozostała w mieście.

Słów pożegnania było niewiele. Jak zwykle mocne uściski rąk i wypadające nagle z ręki naczelnego okulary, rozprysnięte okruchy szkła na betonie i czyjeś żartobliwe, stare jak świat słowa „Na szczęście!”, ale dziś nie dźwięczące tak wesoło. Jak zwykle trap elastycznie ugiął się pod nogami. Wszystko odbyło się normalnie. Jak zwykle.

* * *

I znowu była jesień.

— Wróciła wyprawa z Tellusa! — powiedział z entuzjazmem przez wideo pewien mężczyzna. — Tyś pewnie nawet o tym nie słyszał?! Zawsze ostatni się o wszystkim dowiadujesz, bo nosa z tego swojego laboratorium nie wysuwasz.

— Jasne, że słyszałem, cała Ziemia o tym mówi! — odparował rozmówca. — Pracowałem... nie wiedziałem o niczym, aż tu nagle nowina: „Albatros” wrócił.

— Mamy szczęście, że pierwszy lot na Tellusa odbył się przy nas — powiedział pierwszy z mężczyzn. — Dzisiaj aż mi żal, że nasza praca nie ma żadnego związku z kosmicznymi ekspedycjami...

— Znasz szczegóły?

— Wszystkiego jeszcze nikt nie wie. Ale już to wystarczy... To coś niewiarygodnego, niebywałego. Zresztą nie będziemy już długo czekać, wkrótce dowiemy się więcej. Teraz mi powiedz, co z twoim eksperymentem?

— Wciąż to samo — odparł strapiiony głos. — Ciągłe niepowodzenie. W dodatku zepsuł się blok wspomagający, a to znaczy, że tyle czasu poszło na marne.

— To oczywiście smutne. Bardzo... Współczuję ci, to wielka szkoda, ale w końcu ci się uda, musi się przecież udać...

— To po prostu kolejne niepowodzenie i tyle. Ale jednak bardzo ciężko i trzeba będzie odtworzyć blok wspomagający. Lepiej opowiedz mi dokładnie... Słyszałem, że ktoś z załogi

„Albatrosa” został w systemie Tellusa?

— Zgadza się. Jeszcze przecież nie znamy wszystkich praw efektu szybkości hiperpodświetlonej i dlatego „Albatros” musiał zaraz wracać zebrawszy minimum informacyjne i ustanowiwszy pierwszy kontakt. Został tam za zgodą dowódcy Siergiej Kryłow, żeby nawiązać bliższe związki z Tellusjanami. Choć pozostał sam, twierdzi, że nie będzie się tam czuł samotnie. Pozostał sam, jak w dawnych czasach odkrywcy pozostawali na nowo odkrytych przez siebie, ziemiach, by lepiej je poznać. Zresztą pozostał sam nie na długo. Tellusjanie od dawna znają efekt hiperświetlonej szybkości. Obiecali wkrótce przywieźć go na Ziemię swoim statkiem. Rozumiesz, przyleci do nas cała ekspedycja.

Przełożyła Joanna Krumholz

Tiema dla disiertacji

Temat dysertacji

Ekspozycja

O godzinie siódmej wieczorem szerokie drzwi Instytutu Mózgu otwierały się i pojedynczo, grupkami, a w końcu nieprzerwanym strumieniem wypływali z nich pracownicy. Po dziesięciu — piętnastu minutach strumień stopniowo zanikał. I w gmachu, i wokół niego, i na przylegających uliczkach zapadała cisza. Z rzadka zakłócały ją kroki przypadkowych przechodniów albo jakiejś parki, która tutaj przychodziła się całować, wiedząc, że nikt im nie przeszkodzi: wieczorami wszyscy bywalcy akademickiego ośrodka przierzucali się do dzielnic mieszkaniowych i kulturalno-rozrywkowych.

Tak było i tego dnia. Jednakże o wpół do siódmej zwykły bieg wypadków został zamacony: ku drzwiom Instytutu z przeciwnych stron zbliżyło się dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich miał około trzydziestu pięciu lat. Twarz jego wydawała się trójkątna: bardzo wysokie i szerokie czoło, nad którym niczym fontanna wznosiły się i opadały długie proste włosy; zupełnie płaskie, wygolone do błysku policzki zbiegały się nieomalże na miniaturowym podbródku, usta natomiast, przeciwnie, były tak wielkie, że odnosiło się wrażenie, że dość będzie je otworzyć, a broda nieuchronnie odpadnie; jedynie prosty nos z szeroko odgiętymi nozdrzami zawierał jakąś aluzję do proporcjonalności. Drugi na oko musiał mieć co najmniej sześćdziesiątkę. Oblicze jego przywodziło na myśl pysk dobrze ułożonego boksera — niemal kwadratowe, o grubych rysach i niewielkich rozumnych oczach, wydawało się smutne nawet wtedy, gdy się uśmiechał. Cała jego sylwetka, masywna i ciężka, pasowała do twarzy. Natomiast przystrzyżona krótko na jeża fryzura kłóciła się z całością — bardziej na miejscu byłaby lwia grzywa.

Podeszli do siebie, przywitali się, postali razem przez chwilę, cicho o czymś rozmawiając. Młodszy palił papierosa, zaciągając się krótko i łapczywie. Później gwałtownym ruchem cisnął go. Niedopałek zakreśliwszy w powietrzu szkarłatny łuk, rozsypał się potokiem iskier po wyłożonej płytkami ścianie. Starszy z dezaprobatą pokręcił głową. Następnie obaj weszli do gmachu.

W momencie gdy znaleźli się w holu, oświetlonym jedynie słabą lampką na stoliku wartownika, z czeluści budynku wyszedł trzeci osobnik. Twarzy nie można było dojrzeć, tylko biały fartuch świecił niczym śnieg w księżycową noc. Zbliżył się do wartownika i powiedział przyciszonym głosem:

— Proszę ich przepuścić, Wasiliju Fiodorowiczu. To do mnie.

— Przepustka! — Wartownik z trudem oderwał się od gazety.

— Proszę bardzo!

Wartownik uważnie popatrzył na papier, przeniósł spojrzenie na twarze gości.

— Dobra! — burknął, z powrotem zagłębiając się w tekst „Niedzieli” — Ale pracusie...

Osobnik w białym fartuchu szparko podszedł do tamtych dwóch, czekających kilka kroków od zimno połyskujących drzwi obrotowych.

— Dobry wieczór — odezwał się ściskając im dłonie. Stali tak kilka chwil, wreszcie młodszy z nowo przybyłych nie wytrzymał.

— No to prowadź, Wergiliuszu... Stary uśmiechnął się.

— W rzeczy samej, Leonidzie Siergiejewiczu, chodźmy. Niech nam pan pokaże swoje królestwo.

Dość długo szli korytarzami, dwa razy schodzili po schodach — ruchome schody były już o tej porze nieczynne — i wreszcie zatrzymali się przed drzwiami z tabliczką: *Laboratorium encefotografii molekularnej*.

Leonid Siergiejewicz puścił gości przodem, następnie sam wszedł i przekręcił klucz w zamku.

— A więc — powiedział półgłosem — wygląda, że wszystko w porządku. Trójkątnolicy bacznie lustrował otoczenie.

— Wiesz, odnoszę wrażenie, że im dalej, tym bardziej wszystkie laboratoria stają się do siebie podobne. Dochodzi do niesamowitej standaryzacji...

— Unifikacji — sprecyzował Leonid.

— Niech będzie. W każdym laboratorium widzisz niemal identyczne wyposażenie. Ja ni diabła się nie wyznaję na tej twojej branży, ale aparaturę masz taką samą jak ja...

— Cybernetyzacja wszystkich dziedzin nauki, tak to, zdaje się, ujęto w pewnym artykule — poddał głos trzeci. — Leonidzie Siergiejewiczu, czy dałoby się wytrzasnąć skądś szklankę wody?

Wyciągnął z kieszeni celofanowy pakiecik, w który, niczym guziczki, wtopione były jakieś tabletki, naderwał go i wyluskał na dłoń dwie.

— Co pan zażywa, Dmitriju Konstantynowiczu? — zapytał Leonid.

— Trioksazyne. Nerwy mi puszczają — przepraszającym tonem odparł tamten.

Leonid wyszedł do sąsiedniego pokoju. Dało się słyszeć bulgotanie wody.

— Proszę — Leonid podał Dmitrijowi Konstantynowiczowi stożkową menzurkę z podziałką. Ten ulokował tabletki na języku i, odrzuciwszy głowę, popił.

— Fuj! — powiedział zwracając naczynie. Na jego twarzy zastygł cierpiętniczy grymas. — Ale świństwo!

— Świństwo? — ze zdziwieniem powtórzył Leonid. — Przecież to są tabletki. Przelecą, zanim człowiek zdąży poczuć smak.

— Drażetki przelatują łatwo. A tych prochów nawet szklanką wody nie da się zapić. Albo jeszcze się nie przyzwyczaiłem.

— No i dobrze — wtrącił Nikołaj. — Ja osobiście wolę swój pociąg do medycyny manifestować innymi sposobami.

— Ależ proszę, panowie, siadajcie — zreflektował się Leonid. Sam odszedł do stołu przy oknie, zapalił sobie kinkiet i coś tam majstrował.

— Może ci pomóc? — zapytał Nikołaj.

— Dzięki, Kola, ja sam.

— Jak nie, to nie. Ale naprawdę siadajmy, Dmitriju Konstantynowiczu. Dmitrij Konstantynowicz usiadł przy stole, po uczniowsku kładąc ręce przed sobą. Nikołaj bokiem usadowił się na brzegu stołu, poklepał się po kieszeniach.

— Można tu zapalić, Leonid?

— W zasadzie nie, ale dzisiaj można.

— To wykombinuj, z łaski swojej, coś... No, coś w rodzaju popielniczki.

— Poszukaj sobie sam.

— Dobra — Nikołaj przemierzył pokój i zaczął przewracać w szafie.

— A w to można? — zapytał pokazując płytkę Petriego.

— Można.

Nikołaj ponownie zainstalował się na stole, zapalił papierosa.

— Mogę się poczęstować? — zapytał Dmitrij Konstantynowicz.

— Proszę. — Nikołaj wyciągnął ku niemu paczkę. — Ale pan pali?

— W zasadzie nie, ale dzisiaj jednego — uśmiechnął się tamten.

— Gotowe — Leonid pstryknął wyłącznikiem kinkietu. W rękach trzymał coś, co najbardziej może przypominało suszarkę fryzjerską — plastikowy kołpak z czterema przełącznikami na przedzie i wychodzącym z wierzchołka pękiem kolorowym kabli.

— Może odsiedzimy chwilę — zapytał Dmitrij Konstantynowicz. — Jak przed daleką drogą?

— Długie pożegnanie to tylko zbędne łyzy — uciął Nikołaj. — Zaczynaj, Lonia.

Leonid zasiadł w olbrzymim fotelu, który wyglądał, jakby przywędrował prosto z gabinetu stomatologa, i który po naciśnięciu ukrytego w poręczy klawisza rozłożył się tak, że dosięgał do wmontowanego w ścianę pulpitu z deską rozdzielczą w kształcie blatu. Leonid nasadził sobie „suszarkę” i zaczął wolnymi, ostrożnymi ruchami obracać ją na głowie.

— Kola — powiedział — autoblokada jest włączona. Ale tak na wszelki wypadek... Tu, w tej szafce jest strzykawka i ampułki. Spójrz no.

— Widzę.

— Weźmiesz tę tutaj, z paskiem.

— Tę?

— Tak. Umiesz obchodzić się ze strzykawką?

— Ja umiem — powiedział Dmitrij Konstantynowicz. — A raczej kiedyś umiałem.

— Myślę, że nie zajdzie potrzeba, a w razie czego trzeba będzie przypomnieć sobie stare umiejętności.

— Długo to potrwa?

— Czterdzieści pięć minut.

— Sporo.

— No to chyba zaczniemy! — Leonid odchylił się na oparcie fotela, zamknął oczy.

— Połamania ręki i nogi — powiedział Nikołaj. — A ja idę w cholerę. Wracaj jako dżin.

Cichutko, na paluszkach podszedł do Dmitrija Konstantynowicza, usiadł, położył przed sobą papierosy.

Do tej pory było ich trzech. Teraz dwóch i jeden.

Leonid

Za pięć minut zasnę. I obudzę się jako kto? Jako ja sam? Jako wszechmocny dżin? Czy tylko jako harmonijna osobowość o zrównoważonym charakterze i prawidłowym trawieniu? Nie wiem. Może lepiej będzie o niczym teraz nie myśleć. Nie myśl! Nie mogę. Tak już jestem zaprogramowany. A w ogóle największą trudność sprawia niemyślenie o małpie. Niepotrzebnie się w to wmieszałem. Wmieszałem? Przecież sam nakręciłem tę sprawę. Ale należałoby jeszcze wypróbować... Nie mogę więcej próbować — to moja jedyna szansa. Nie podejrzewałem nawet, że jestem tak próżny. Próżny. I pragnę, aby imię moje znalazło się w annałach. Być może jutro się tam znajdzie...

Jeszcze cztery i pół minuty. Nie, trzeba się uspokoić. Uporządkować myśli. Bo w końcu do tego dojdzie, że nie zasnę. Może to ja powinienem połknąć trioksazynę? Zabieraj się za porządkowanie myśli.

Wszystko zaczęło się bodaj od szefa. Albo od Tańki. Od szefa i Tańki. Wieczorem Tańka powiedziała, że ma już tego dość, brak jej do mnie sił, że ze mnie nie będzie nigdy nie tylko uczonego, ale nawet męża. I odeszła. To ona potrafi — odchodzić. „Zawsze trzeba odejść wcześniej, niż zatli się papier” — tak powiedziała i z gracją zgasiła papierosa. Paliła wyłącznie z filtrem. Kiedy kumple wyskakiwali do Moskwy, zawsze przywozili jej polskie zestawy: papierosy bez filtra rozdawała, a z filtrem brała dla siebie. Zresztą wcale tak dużo nie paliła.

Wobec tego poszedłem do domu asystenckiego i wspólnie z chłopcami zapisywaliśmy pule i piliśmy czarną kawę półlitrowymi kubasami.

A rano zostałem wezwany do szefa.

Lubię go, tego naszego szefa. I z głębi duszy szanuję. Tylko że jemu nie można tego powiedzieć, on jest wielki. W ogóle, moim zdaniem, wszyscy uczeni dzielą się na trzy kategorie: wielkich teoretyków, genialnych eksperymentatorów i wiecznych laborantów. Ja jestem wiecznym laborantem, co specjalnie mnie nie gnębi. Przecież zawsze są potrzebni nie tylko wielcy, ale i tacy jak ja. Ciułacze faktów. Mnie to w pełni zadowala. Powiem więcej, ja to lubię. Kiedy zostajesz sam na sam z robotą nudną i obrzydłą, kiedy masz wykonać tysiąc encefalogramów, które analizować, porównywać, a potem na ich podstawie wyciągać wnioski będą inni, wtedy to właśnie masz poczucie, że bez ciebie się nie obejdą. I tysiąc powtórzeń jednej i tej samej operacji to już nie szablon, tylko zadanie.

Tak więc wezwał mnie szef.

— Lonia — demokratą z tego naszego szefa — Lonia...

Już wiedziałem, co nastąpi potem. Tak, ma się rozumieć, trzymają mnie na etacie starszego pracownika naukowego. Tymczasem ja do tej pory nie mam stopnia naukowego. A przecież łąbski ze mnie chłopak, nic to dla mnie przygotować dysertację doktorską. I języki znam, a przecież większość kładzie się właśnie przez te języki. I tematów mamy, ile kto chce. No, dajmy na to:

„Wybrane aspekty dynamicznego modelu cyfrowego mózgu”. Temat do dysertacji jak złoto. Faktycznie, pomyślałem sobie, dlaczego by się za to nie zabrać?

— Władimirze Isajewiczu — powiedziałem — dobra jest. „Wybrane aspekty dynamicznego

modelu cyfrowego mózgu”. To będzie doskonałe!

Szef oniemiał. Już tyle razy napomykał mi o tym, ale zawsze wykręcałem się, zasłaniając się obowiązkami społecznymi i kłopotami rodzinnymi...

W końcu szef odzyskał dar mowy.

— Zuch z ciebie, Lonia! — wyrzekł z uczuciem — tylko że to nudna rzecz taki model. Wyobraża pan sobie, ile tam...

— Wyobrażam — powiedziałem — nawet bardzo dobrze sobie wyobrażam.

Szef popatrzył na mnie współczująco i pokiwał głową. Ja też pokiwałem na znak, że doceniam jego współczucie.

— W takim razie — powiedział szef — proszę przystępować do dzieła, będziemy pomagać. Zwalniam pana z wszystkich pozostałych zajęć, niech się pan poświęci swojemu tematowi. Rok panu wystarczy?

— Wystarczy — zełgałem bez mrugnięcia okiem. — Z całą pewnością wystarczy.

Na tym audiencja została zakończona. I zaczęły jeden za drugim płynąć powszednie święta.

Jako obiektu do opracowania modelu postanowiłem użyć własnego mózgu. Po pierwsze, miałem go zawsze pod ręką, po drugie nie znajdzie się nigdzie drugi równie idealnie przeciętny egzemplarz; nie chorowałem nigdy, kretynem nie jestem, geniuszem też nie, średnia arytmetyczna jak obszył.

Tak przeszło dziewięć miesięcy — akurat przepisowy okres, żeby powić model. I wtedy mnie ruszyło — robota skończona, model skonstruowany. I co dalej? Jakaż z tego, do cholery, dysertacja? Powinny być przynajmniej jakieś wnioski. A wnioski, jak wiadomo, to nie moja specjalność.

Pewno, że szansę na doktorat mam i tak. Nie darmo na jednego doktora nauk technicznych, filologicznych i tak dalej przypada minimum trzech doktorów nauk medycznych — statystyka to wielka rzecz. Ale wyłącznie na nią liczyć — obrzydzenie bierze.

I wtedy przypomniałem sobie o Kolce. Chodziliśmy razem do szkoły. Potem razem zdawaliśmy na fizyczno—matematyczny. On zdał, a mnie nie starczyło punktów i przenieśliśmy się na biologię.

Przyszedłem do Kolki z teczką, w której zmieściłby się rękopis pierwszego tomu „Wojny i pokoju” i z butelką gamzy. Posiedzieliśmy, powspominaliśmy. Potem zapytałem:

— Słuchaj, mógłbyś mi policzyć na tych swoich maszynach?

— Co policzyć? — Kolka zawsze na pytanie odpowiada pytaniem. Wyjaśniłem. Potrzebne mi były chociaż niektóre analogie, prawidłowości, algorytmy.

— A do czego to wszystko potrzebne? — zapytał.

— Mam nadzieję, że wiesz, co to takiego encefalogram. No właśnie. A tu jest zapis elektrycznej aktywności każdej komórki mózgu w ciągu czterdziestu minut akcji życiowej.

— Przystępnie.

— Tak jak chciałeś.

— Zgoda — odparł Kolka. — Zostaw. Zobaczymy, co z tego da się zrobić. Na tym się moja rola skończyła. Właściwie to zawsze tak bywa i inaczej zapewne być nie może: zgromadziłem fakty, a wnioski powinien opracować kto inny. Tylko że tym razem wnioski wyszły dziko szalone. No cóż, niedługo się wyjaśni, czy są one dostatecznie szalone, aby być prawdą, jak powiedział któryś z wielkich ludzi.

Nikołaj

Lonia zjawił się u mnie w końcu kwietnia. Prawdę powiedziawszy, trochę źle trafił: gdyby tak przyszedł miesiąc wcześniej, od razu bym do tego usiadł. Ale w maju trzeba było zamknąć dwa tematy i nie miałem czasu na postronne sprawy. A później, kiedy już z tamtym skończyliśmy, najzwyczajniej zapomniałem. Ja nie jestem nawet nieobowiązkowy, ale jak człowiek ma tyle spraw na głowie, to mu wszystko wylatuje z pamięci. I przypomniało mi się o Loni dopiero w czerwcu. Jedno trzeba mu przyznać: ani razu nie przypomniał mi o sobie, ani razu nie przynaglił. Taka delikatność wręcz mnie zdumiała. Najpierw pomyślałem sobie, że po prostu go nie pili, ale potem, kiedy lepiej sobie Lońkę przypomniałem — przecież nie widzieliśmy się kilka lat — uprzytomniłem sobie, że takie postępowanie jest dla niego najzupełniej naturalne — złożył wszystko mnie i teraz czeka. Żebyż to mieć jego charakter... Ja w ogóle nie umiem czekać. I za grosz cierpliwości. Lonia urósł w moich oczach.

Streszczając się, w czerwcu przypomniałem sobie o prośbie Loni. Grzebałem się w telewizorze i ni z tego, ni z owego w bałaganie na stole natknąłem się na jego teczkę. Z miejsca otworzyłem, przejrzałem. I nie dopatrzyłem się niczego. No, niezupełnie niczego. Były tam wykresy, wzory — wszystko jak należy. Ale dla mnie jako fizyka nie było w tym żadnego uchwytneho sensu. Niby wszystko jest w porządku, koniec końców na biologii znam się tyle co nic, a na takiej wąskiej specjalności to już w ogóle. Ale macie tu państwo ową sławetną dialektyczną dwoistość — niewiedza też ma swoje dobre strony, a mianowicie tak zwane świeże oko. Nie znając się na biologii miałem nadzieję zobaczyć to, czego normalny biolog w życiu by nie spostrzegł. Jednakże ta wiekopomna teoria w praktyce się nie sprawdziła. Przynajmniej nie od razu.

Po kilku dniach — byłem wtedy na urlopie — wykształcił się we mnie odruch warunkowy: gdy tylko siadałem do wykresów Loni, napadało mnie niepohamowane ziewanie.

Muszę wyznać, że najzupełniej jest mi obca zasada „powoli i metodycznie”. Zawsze byłem wyznawcą metody zrywu. Naturalnie zrywu podbudowanego naukowo. I skojarzeń.

Zastanawiałem się, z czym się mogą kojarzyć te krzywe. Ale nic mi nie przychodziło do głowy.

„Policz na tych swoich maszynach” — powiedział Lonia. Ale zanim się policzy, trzeba sformułować problem. Jak? Nie dostrzegałem żadnej nici przewodniej. Wobec tego zacząłem namiętnie eksperymentować. Wziąłem sprawę na ząb, przykładałem się do niej niczym pies do gnata. Grunt to pogładowość. Na szczęście Lonia jest pedantem — nie musiałem sprowadzać jego wykresów do wspólnej skali. Próbowałem je na siebie nakładać, próbowałem...

Podobno lenistwo jest motorem postępu. I rzeczywiście — z lenistwa — bo nie chciało mu się piechotą chodzić — człowiek wynalazł samochód. I tak dalej. Mnie też pomogło lenistwo. Żeby nie bawić się godzinami tymi durnymi krzywymi, przetworzyłem je i zapisałem w skali muzycznej. Następnie nagrałem na magnetofon i zacząłem puszczać taśmę w charakterze tła dźwiękowego. A sam ponownie zabrałem się za telewizor.

Mam jednopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze ośmiopiętrowego kwaterunkowego bloku. Mieszkają tu głównie swoi ludzie z instytutu, w większości młodzi, więc kiedy stawiam magnetofon

na oknie i puszczam go na pełny regulator, na ogół nie słyszę protestów. W każdym razie nikt nie przychodzi i nie mówi: „Panie, przymknij pan to pudło!”

Ale tym razem taśma nie zdążyła przelecieć te trzy, cztery razy, gdy sąsiad z góry załomotał czymś tam w podłogę. Wychyliłem się z okna i zapytałem, czy mu przeszkadzam spać.

— Spać mi pan nie przeszkadza, ale za to pracować bardzo. Czy nie można by trochę ciszej?

— Czemu nie? — odparłem uprzejmie.

I wyciszyłem dźwięk. Troszeczkę.

Sąsiada z góry wcale nie znałem. Nie był z naszego instytutu. Czasem spotykaliśmy się na schodach i wymienialiśmy ukłony według wszelkich wymogów etykiety. Zewnętrznie przypominał herszta gangsterskiej bandy: przysadzisty, kwadratowy, z twarzą boksera, krótko ostrzyżony.

Nie minął kwadrans, gdy zadzwonił dzwonek. Tak jak stałem, w samych gaciach poszedłem otworzyć: kobiet chwilowo się nie spodziewałem. Na progu stał „gangster” z drugiego piętra.

— Proszę wybaczyć — powiedział — nie chciałbym przeszkadzać panu w zajęciach, ale... Ja naturalnie muzykę bardzo lubię. Sam jestem w pewnym sensie muzykiem. Ale czy nie można by mimo wszystko trochę ciszej?

Chciałem odpowiedzieć, ale on ciągnął dalej.

— A poza tym, do diabła, jak można z muzyką obchodzić się tak po barbarzyńsku? Z czego pan to poprzegrywał?

— Z jaką muzyką? — zbaraniałem.

Wskazał ręką na okno z magnetofonem. Złapałem się za czuprynę.

— Niech pan pozwoli do środka — zaprosiłem go. — Proszę wybaczyć, że ja w takim stroju...

— Co znowu — grzecznie wymawiał się sąsiad. — Tylko proszę trochę ciszej nastawić. Nie chcę panu przeszkadzać.

— Co też pan mówi — zaprotestowałem gwałtownie. — Proszę wejść! Na intencję, że się tak wyrażę, nawiązania stosunków dobrosąsiedzkich. Bo to doprawdy głupio, dwa lata mieszkamy w jednym domu i nawet się nie znamy.

‘Usadziłem go na kanapie, a sam zacząłem pośpiesznie wciągać dzinsy i koszulę — jakoś niezręcznie jest przyjmować gości w gaciach.

— A więc utrzymuje pan, że to jest muzyka? — zapytałem.

— A cóż by innego — odpowiedział z lekkim rozdrażnieniem. — Jest to muzyka zepsuta barbarzyńskimi rękoma radiotów. Przepraszam, radioamatorów. A była to piękna muzyka!

Skwapliwie ściszyłem dźwięk. Zaczął się przysłuchiwać.

— Była to piękna muzyka — powtórzył. — Polifonia, tak?

— Nie wiem — powiedziałem i nagle w przyływie natchnienia zacząłem łąć; przyszedł mi do głowy olśniewający pomysł. Nie bez racji wierzę w natchnienie i iluminację. — Jest to utwór mojego przyjaciela. Nie był on muzykiem...

— Kompozytorem — poprawił mnie sąsiad.

— Kompozytorem — zgodziłem się. — To dyletant. Ofiarował mi to nagranie.

— Ale dlaczego takie fatalne?

— Bo widzi pan, ja... Tak się złożyło. Nagranie zostało zniekształcone.

— Ale chyba zachowała się partytura?

— Partytura przepadła. Spłonęła w czasie pożaru. A pan sam jest muzykiem, prawda?

— Tak.

— Proszę mi wybaczyć natręctwo, ale czy nie podjąłby się pan...

— Zrekonstruować? — Był nadzwyczaj domyślny. W milczeniu skinąłem głową i opuściłem

wzrok, żeby nie dojrzał błysku w moich oczach.

— No cóż — odparł — chyba... Można by spróbować. Chociaż będzie to olbrzymia praca — milczał przez chwilę poruszając wargami, jakby przeżuwał. — Dobrze — orzekł naraz zdecydowanie i w tym momencie wydał mi się samą doskonałością, mężem opatrnościowym. — Zrobi się.

Dmitrij Konstantynowicz

Najbardziej przypominało to pracę archeologa, zajętego rekonstrukcją jakiejś starożytnej świątyni czy pałacu. Pozostały z niego zaledwie fragmenty fundamentów i słaby kontur, widoczny tylko z lotu ptaka, ale upłyne kilka lat i oto natrafia człowiek na fotografię w książce, pod którą widnieje napis:

„Zigurat Urnammu. Rekonstrukcja”. A budowla jest tak piękna, tak organicznie wpisuje się w krajobraz, że nie sposób nie uwierzyć — tak, tak właśnie to wyglądało dawniej. Tak, a nie inaczej. Paleorzeźbiarz ze szczątków człowieka tworzący jego rzeźbiarski model, paleontolog na podstawie kilku kości odtwarzający wygląd dinozaura — ci mogliby zrozumieć, wobec jakiego zadania zostałem postawiony.

Przede wszystkim należało zapisać partyturę. Przesłuchawszy taśmę kilkakrotnie uporałem się z tą robotą bez problemów. Ale potem... Potem rozpoczęły się męki. I po raz pierwszy w życiu mogłem powiedzieć — były to męki twórcze.

Jakie to magiczne słowo — twórczość! Tworzenie. Z niczego, z pamięci, z własnego ducha wysnuć muzykę — cóż może stać ponad to?! Ale ja wysnuwałem ją tylko z instrumentu i kartek partytury. Byłem wykonawcą — niezłym wykonawcą — i niczym więcej. A nade wszystko pragnąłem usłyszeć: kompozytor Dmitrij Sztudin. Próżność? Nie wiem. Być może. Choć w końcowym rozrachunku najważniejsze było dla mnie nie to, lecz sam proces tworzenia, proces mnie niedostępny. Jak to się mówi: „Nie ma świnią rogów, boby bodła”. I oto teraz jawiła się przede mną jedyna szansa. Jedyna dlatego, że w tym zapisie, o którego rekonstrukcję prosił Nikołaj Michajłowicz, wyczułem rękę geniusza. Ja sam nie jestem Bóg wie kim. Ale wyczuć geniusza, rozpoznać go, tyle potrafię. Tutaj wręcz nie można się pomylić. Harmonia, prawdziwa harmonia każdemu każe przystanąć w świętym wzruszeniu.

Nagranie było tragiczne. Ja wszystko rozumiem. Nikołaj Michajłowicz albo je przegrzał, albo przemagnetyzował — coś w tym sensie mi mówił — ale jak można było tak się obejść z arcydziełem?! Zresztą nie mnie go sądzić. Jednak szkody były niepowetowane — okazało się, że zatarte są całe partie, w wielu miejscach ziały rażące swą dysharmonią puste miejsca...

W czterdziestym czwartym roku, kiedy trafiłem do szpitala wojskowego, miałem okazję napatrzeć się wszystkiego: ludzie z amputowanymi rękami i nogami, z poparzeniami twarzy, z utratą pamięci, wzroku... chyba tylko wówczas doznawałem podobnych uczuć jak teraz. Miałem przed sobą inwalidę i moim zadaniem było przywrócić go życiu.

Nikołaj Michajłowicz niemal codziennie wpadał do mnie dowiadywać się, jak posuwa się praca. Pewnego razu nie wytrzymałem i wsiadłem na niego: najpierw doprowadzić muzykę do takiego stanu, a potem „zrób pan coś z tym”. To już szczyt obłudy! Jednym słowem, zdrowo przeholowałem. Potem naturalnie zszedłem do niego, przeprosiłem i stanęło na tym, że jak skończę, to sam mu powiem. A do tego czasu proszę, żeby mnie nie poganiał. Obiecał. Ale spotykając się na schodach albo na podwórku, za każdym razem podchwytywałem jego błagalny wzrok. Po prawdzie rozumiałem go, ja też jestem w gorącej wodzie kąpany. Ale tym razem należało zebrać wszystkie siły, całą

cierpliwość — wszelkie pochopne działanie mogło spowodować błąd. Harmonia nie lubi raptusów — taki już jest jej charakter.

Pracowałem wieczorami — w dzień mam lekcje w szkole muzycznej. Kiedyś marzyłem o sławie, o nazwisku, ale z czasem zrozumiałem, że wspiąć się ponad poziom nauczyciela w szkole nie będzie mi dane. No cóż, pogodziłem się z tym. Powiem więcej — ta praca była dla mnie źródłem radości. Ale teraz zakradła się pokusa. Wielka pokusa.

Salieri — tak zwała się ta pokusa. Przecież to mogłaby być „Pierwsza Symfonia” Sztudina... Całe szczęście trwało to najwyżej parę godzin. A później nie mogłem nawet pracować, taki czułem do siebie wstręt. Wy—szedłem z domu i długo wałęsałem się po ulicach, usiłując zyskać utraconą równowagę. Przecież nie poddałeś się, perswadowałem sobie, więc za co się teraz biczujesz. I nie mogłem znaleźć odpowiedzi za co. Ale wstrętny posmak na duszy nie opuszczał mnie.

Wobec tego z powrotem zabrałem się do pracy, żeby rozpuścić ten osad. I praca pomogła. Teraz, kiedy wszystko jest już poza mną, mam pełne prawo powiedzieć — to była prawdziwa praca.

Kiedy partytura była już kompletna, zaniósłem ją Nikołajowi Michajłowiczowi. Ale okazało się, że nie umie czytać nut, nie może więc przesłuchać jej wzrokiem. W zamyśle nieznanego autora należało wykonywać to w polifonii. Mówię „to”, gdyż nie znajduję właściwego terminu. Nie jest to symfonia, nie jest... Jest to Muzyka nad Muzykami. Arcydzieło. Po miesiącu po raz pierwszy zdołałem wykonać je tak, jak je autor pomyślał. Tu nie mogło być wątpliwości, gdyż piękno jest zawsze jednoznaczne. O ile jest to prawdziwe piękno.

Nagraliśmy utwór (już mi weszło w krew mówienie w liczbie mnogiej) i Nikołaj Michajłowicz zabrał taśmę.

A po tygodniu zaprosił mnie do siebie. Oczekiwałem tego — gdzieś w podświadomości byłem przygotowany, ale w ostatniej chwili zląkłem się. Sam nie wiem czego. Ta historia nie mogła zakończyć się niczym. Powinien rozbrzmieć finalny akord. Ale i wtedy nawet nie mogłem przypuszczać, jaki on będzie... Praca nie powinna być celem samym w sobie, nawet jeśli proces tworzenia jest fascynujący. Należy ją przekazać. Ludziom. Ale gdybym ja był wiedział, w jakiej formie to się dokona.

Wszyscy trzej

Siedzieli przy stole w pokoju Nikołaja — Dmitrij Konstantynowicz i Leonid na kanapie, Nikołaj na trójnożnym taborecie przyniesionym z kuchni; mieszkanie było, oględnie mówiąc, nie przeładowane meblami.

— Po pierwsze, Dmitriju Konstantynowiczu, powinienem pana przeprosić — powiedział Nikołaj.

— Za co? — zapytał tamten zaskoczony.

— Za podstęp. Być może postąpiłem okrutnie, ale zapewniam pana, że to było jedyne wyjście. Inaczej pan by nie uwierzył i nie podjął tego dzieła...

— Streszczaj się. Kolka — wtrącił Leonid.

— A więc mówiąc krótko, to, co pan podjął się zrekonstruować, nie jest muzyką. A raczej muzyką nie było.

— No wie pan — zaczął już Dmitrij Konstantynowicz, ale Leonid go powstrzymał.

— Niech mnie pan z łaski swojej wysłucha. Później może pan mówić, robić, co się panu żywnie podoba, ale najpierw proszę wysłuchać.

— Dobrze. — Dmitrij Konstantynowicz nie zauważył nawet, że ochrypl.

— Widzi pan — ciągnął Nikołaj — wszyscy trzej w ostatecznym rozrachunku pracowaliśmy nad jednym. Z tym że pański wkład, Dmitriju Konstantynowiczu, jest naturalnie znacznie większy od naszego. Mamy tu klasyczny przykład badań nie ukierunkowanych. Lonia wykonał to, co określa się mianem dynamicznego modelu cyfrowego mózgu. Ujmując rzecz najprościej, wygląda to tak: rejestruje się elektroaktywność każdej komórki mózgu, sporządza wykresy, wyprowadza wzory tych wykresów. Lonię zaintrygowało, czy nie występuje tutaj jakaś ogólna prawidłowość.

Przyszedł z tym do mnie. Ja, żeby mieć bardziej przejrzysty obraz całości (przecież zapis przeprowadza się równolegle), ująłem te wykresy w zapisie dźwiękowym. W tym momencie pojawił się pan i orzekł, że jest to muzyka. Proszę samemu osądzić, czy mogłem się powstrzymać, kiedy otworzyła się możliwość niezwykłego eksperymentu? Gdybym od początku wszystko panu odkrył, toby się pan tej roboty nie podjął, prawda?

— Chyba nie... — z wahaniem odparł Dmitrij Konstantynowicz.

— No właśnie. A teraz...

— Teraz pozostało tylko nałożyć ten uzupełniony przez pana zapis na mózg obiektu. — Leonid wstał i podszedł do okna.

— I co wtedy?

— Sami nie wiemy, co wtedy — nie odwracając się odparł Leonid. — Gdybyśmy wiedzieli... Mamy tylko pewne hipotezy. Szczególnie on — skinął w kierunku Nikołaja.

Później siedzieli do północy, dopóki nie pojawiła się zaniepokojona żona Dmitrija Konstantynowicza z pytaniem, co się stało. Posadzili ją za stołem, koniak już się skończył, więc pito tylko kawę. Antonina Andriejewna skoczyła do siebie i przyniosła pieróg z mięsem. Siedzieli, jedli i rozmawiali. Roiły się im coraz to nowe kombinacje tego, co dokona się jutro.

Najwięcej mówił Nikołaj. Mózg ludzi jest dziwniejszy od wszystkiego, co znamy. Jego możliwości są fenomenalne. Weźmy chociażby ludzi rachmistrzów w rodzaju Szakuntaly Davy czy Williama Kleina, ludzi obdarzonych fenomenalną pamięcią, realnych protoplastów fantastycznego Kumbi. A przy „tym nasz mózg wykorzystuje zaledwie kilkanaście procent swoich potencjalnych możliwości. Wyobraźcie sobie pitekantropa, który znalazł się w rakiecie kosmicznej. Wykorzysta on tę „stalową jaskinię” jako schronienie dla siebie, ale nigdy nie zdoła pojąć wszystkich możliwości statku. Być może nasz mózg jest dla nas samych taką właśnie rakieta kosmiczną. Później hiatus, pośredni szczebel między neandertalczykiem a człowiekiem kromaniońskim. Neandertalczyk, jeśli chodzi o stopień rozwoju mózgu stojący niżej niż człowiek współczesny, i człowiek kromanioński wyposażony w taki sam mózg jak dzisiejszy człowiek. A przecież istnieli równocześnie! Zresztą jest to całkiem inna kwestia — kwestia pochodzenia. Rzecz w tym, że mózg od tamtych czasów się nie zmienił. I nawet dzisiaj wykorzystywany jest w jakimś mizernym ułamku procentu! Może gdy na normalny mózg nałoży się „poprawiony” encefalogram... Co się wtedy stanie? Jaki okaże się ten człowiek, ulepszony, harmonijny?

Przede wszystkim, ciągnął Leonid, czy on się w ogóle zmieni? Wychodzimy z założenia, że nakładane impulsy pobudzą nieaktywne komórki mózgu analogicznie do tego, jak stymuluje się nie pracujące serce, przekazując mu bioprądy serca zdrowego. No, a jeśli nic się nie stanie? Albo jeśli interwencja skończy się tragicznie? Należałoby przeprowadzić uprzednio różne badania: porównać encefalogram wyjściowy z encefalogramem chociażby wspomnianych genialnych rachmistrzów i mnemotroników, następnie porównać wszystkie te wykresy ze skorygowanym i zaobserwować, które są najbardziej zbliżone... Ale zaraz sam sobie zaprzeczył, mówiąc, że wszystko to będzie można przeprowadzić później. Żadnych szkodliwych skutków być tutaj nie może, aparatura wyposażona jest w gwarantowany system blokujący i przez cały czas utrzymuje dwustronne połączenie z obiektem.

Dmitrij Konstantynowicz w uniesieniu wyrzucił z siebie całą tyradę. Artyści są inżynierami dusz ludzkich. Ale do tej pory mogli oddziaływać na owe dusze tylko pośrednio, poprzez swoje dzieła. Dziś otwiera się nowa era. Artyści staną się prawdziwymi mistrzami, rzeźbiarzami, twórcami dusz. I pierwszą sztuką, która zapoczątkuje nową erę, będzie muzyka, najbardziej ludzka ze wszystkich sztuk. Tu znowu włączył się Nikołaj. Jakie wtedy otworzą się perspektywy? Czy zrealizują się potencjalne możliwości, które sprawiają, że człowiek staje się matematykiem, muzykiem czy malarzem, gdy w czasie hipnozy zasugerują mu, że jest Łobaczewskim, Riepinem czy Paganinim? A może oczywistością stanie się telepatia, telekineza, lewitacja? Przecież istnieje przekonanie, że nie eksploatowane komórki mózgu służą wegetatywnej działalności organizmu. A więc człowiek nie znający chorób. Człowiek zdrowy.

I wtem do świadomości Dmitrija Konstantynowicza dotarło: jutro. Eksperyment będzie przeprowadzony jutro.

— A kto ma być... obiektem? — zapytał zniechęcony, zająknawszy się lekko na tym słowie.

— Ja — krótko odparł Leonid. W pokoju zrobiło się cicho. Bardzo cicho.

Finałowy akord

Nikołaj zgniótł papierosa. Płytką Petriego pełna już była niedopałków.

— To chyba wszystko. Blokada się nie włączyła, czyli że nic mu się nie stało. W każdym razie nic złego.

Dmitrij Konstantynowicz skinął głową w milczeniu. Ostatnie minuty dłużyły się niemiłosiernie, jakby zrobiono je z czegoś fantastycznie ciągliwego i lepkiego. Miało się wrażenie, że można teraz odebrać zmysłami kwant czasu, tak jak w absolutnej ciemności da się postrzec kwant światła. Przekonany był, że to, czego dokonał, jest nic nie warte, że ten ryzykowny eksperyment przeprowadzony został niegodnymi środkami. Wyciągnął pakiecik i wyłuskał jeszcze dwie tabletki.

— Kola — powiedział cicho, pierwszy raz zwracając się do Nikołaja na ty — czy mógłbyś mi przynieść wody?

Nikołaj wstał, uczynił krok. I znieruchomiał.

Leonid wciąż jeszcze siedział, odchylony na oparcie fotela, oczy miał zamknięte. Ale „suszarka” nagle zaczęła unosić się nad jego głową, zupełnie jak gdyby przewody doprowadzone do niego zeszywniały i wypchnęły kołpak w górę, po czym wolno — bardzo wolno — popłynęła przez powietrze i osiadła na tablicy rozdzielczej pulpitu. Nikołajowi dech zaparło, coś jakby pitekantropus przejrzał tajemnice statku kosmicznego.

Za nim ochryple, urywanie dyszał Dmitrij Konstantynowicz.

Leonid otworzył oczy i zaczął wstawać z fotela.

Dzisiejsza genialność, zrozumiał Nikołaj, telepatia, telekineza, lewitacja. Nie! To nie to! Albowiem stanowi ona tylko oderwane elementy, a my teraz staniemy przed ich sumą — całkowitym panowaniem nad otaczającą nas rzeczywistością. I powstaną zupełnie nowe pojęcia, nie istniejące dotąd w ludzkiej świadomości i języku.

Myśl była mglista, on sam nie mógł pochwycić jej całkowicie, ale ona uporczywie tłukła się po głowie, nachodziła go jak gdyby z zewnątrz. I może to nie jest jego myśl?

Zaraz Leonid odwróci się i powie...

Przełożyła Monika Dutkowska

Sintiez Psa

Synteza Psa

— Przepraszam, to chłopczyk czy dziewczynka? — pyta tęgawa jejmość ze spranym do białości bolończykiem na smyczy.

— Pies, samiec — odpowiadam sucho. I nie oglądając się na boki przechodzimy obok niej.

Rzecz w tym, że mam psa, z którym spaceruję trzy razy dziennie.

Stop. W tej nienaganej pod względem faktograficznym informacji kryją się trzy niedokładności, by nie powiedzieć niesłychane fałsze. Pierwsza z nich — zupełnie nieoczekiwane — kryje się w słowie „pies”.

„Ach, biedny piesek!” — mówimy. — „Jaki sympatyczny pies!” I nie zauważamy, iż rzeczownik rodzaju męskiego maskuje wstydliwie oczywisty fakt, że wszystkie zwierzęta bywają dwóch płci. Jeśli jednak konie dzielimy spokojnie na ogiery i klacze, to z psami postępujemy o wiele gorzej: zwyczajne słowa — samiec i suka — przez nas samych zresztą wymyślone, aby rozróżnić psie osobniki różnej płci, nie wiedzieć czemu uznane zostały za niezbyt przyzwoite. Idiotyzm. Przecież nie wypływa to wcale z właściwości moralnych tych wyjątkowo rozumnych i niezmiernie porządných zwierząt, tylko z naszych ludzkich wad. Zastanówmy się więc, dlaczego mają cierpieć z tego powodu niewinne psy?

Ten, z którym od ośmiu lat mieszkam pod jednym dachem i dzielę się kawałkiem chleba, w żadnym razie nie może być nazwany infantylnym mianem „chłopczyk”. Nie chodzi nawet o jego rozłożystą brodę i bujne wąsy ani o zaszczytne blizny na uszach i czole. Mój przyjaciel ma surowe, trochę mroczne spojrzenie ryacza–ascety, spokojny, uprzejmy, zrównoważony charakter i pogardę dla luksusu. Nie trzeba słyszeć jego głosu — godnego, lekko ochryplego basu — bo wystarczy jedno spojrzenie, aby zrozumieć, że to prawdziwy samiec, pies z bożej łaski.

Nazywam go... To zresztą nieważne, jak ja go nazywam; to nasza prywatna sprawa, to rzecz nazbyt intymna. Będę go tu nazywał Psem, więc jeśli przypadkiem spotkacie nas na spacerze, nazywajcie go tak samo.

Druga niedokładność, drugi fałsz kryje się w słowie „mam”. Och, zupełnie nie jestem pewien, kto kogo w rzeczywistości ma...

Istnieje potoczna opinia, że pies upodabnia się do swojego właściciela. Ja sam nieraz zauważyłem, że jeśli właściciel jest długowłosy, to nawet prowadzony przez niego bokser ma jakby orli profil. To prawda. Jest rzeczą niewątpliwą, że Pies wiele ode mnie przejął — nieśmiałość, pewne skrępowanie w nieznanym towarzystwie, nawet krótkowidztwo. Ale i ja ze swej strony coś tam od niego zapożyczyłem. Noszę takie same rdzawe wąsy i brodę jak mój Pies. Kiedy krewni i znajomi namawiają mnie, żebym je zgolił, bronię się tym, że mam bardzo delikatną skórę. Coś w tym jest, ale przecież z biedą, bo z biedą, lecz przez ponad dwadzieścia lat jakoś się goliłem i przestałem to robić dopiero wtedy, gdy szczenięcy puch na pysku Psa przekształcił się w wąsy i brodę.

Ale zarost i pewna ociężałość ruchów — bo chodzimy też podobnie — to tylko cechy zewnętrzne. Często łapię się na tym, że naśladowuję zwyczaje Psa. Kiedy on chce zmienić pozycję we

śnie, to nie otwierając oczu unosi się na równe nogi i z rozmachem wali się na drugi bok. I chociaż śpi na wytwornej puchowej kołdrze, która powinna zamortyzować uderzenie jego niemal pięćdziesięciokilogramowego ciała, podłoga zawsze aż się pod nim ugina i brzęczą na ścianie medale, zdobyte w młodości przez Psa na psich wystawach. Możecie mi nie wierzyć, ale ja również przewracam się z boku na bok takim samym dziwnym sposobem — gwałtownie, z wielkim łoskotem. I jeszcze jeden mój najnowszy zwyczaj, niewątpliwie zapożyczony od Psa. Kiedy na długim korytarzu naszego instytutu, w gabinecie dyrektora lub w bibliotece zauważę nagle kogoś nieznanego, wtedy nieruchomieję, rozdymam nozdrza i wpatruję się weń swymi krótkowzrocznymi oczami. I dopiero po chwili daję krok do przodu. Przyjaciele śmieją się ze mnie, że w ten sposób wystawiam kobiety. Nieprawda. Każdy nieznanomy dowolnej płci powoduje w nas — i w Psie, i we mnie — taką właśnie reakcję.

I wreszcie ostatni fałsz, konsekwencja fałszu drugiego: bądź tu, człowieku, mądry i rozstrzygnij, kto z kim spaceruje — ja z nim czy on ze mną.

Wprowadziłem w końcu wszystkie niezbędne z mego punktu widzenia poprawki i mogę powrócić do informacji wyjściowej, która teraz, po wprowadzeniu uściśleń, brzmić będzie następująco: już od kilku lat my — ja i Pies — należymy do siebie nawzajem i razem spacerujemy trzy razy dziennie.

I, mówiąc prawdę, nikt inny nie jest nam do szczęścia potrzebny.

Co rano budzi mnie dzwonek budzika. Pies musi wstawać ze swojej kołdry odrobinę wcześniej, bo otwierając oczy niezmiennie widzę przed sobą jego trochę zaspaną, lecz zawsze życzliwą fizjonomię. Podchodzi do mojego łóżka i zaczyna się przeciągać, wyginając potężny grzbiet. Nigdy nie przynosi mi rannych pantofli, nie podaje obroży i smyczy, chociaż rozumie mnie w pół słowa i spełnia każdą prośbę. Nie lubię podobnych trików. Kiedy pies przynosi właścicielowi ranne pantofle, to zachowuje się trochę jak lokaj. A my z Psem jesteśmy równi.

Nie mogę powiedzieć, aby ranne spacerowanie budziły we mnie szczególny zachwyty. Obaj lubimy pospać i poranny chłodek wcale nas nie ożywia, tylko wpędza w dreszcze i wywołuje ziewanie. Obaj lubimy sobie podjeść i nie możemy doczekać się śniadania. Poza tym muszę spieszyć się do pracy. Jednym słowem ranny spacer jest dla nas wyłącznie niezbędnym zabiegiem higienicznym.

W ciągu dnia wyskakuję zawsze z pracy przynajmniej na pół godziny i wpadam do domu. Nie mam daleko, zaledwie trzy przystanki trolejbusem. Pies czeka na mnie w progu, wykonuje kilka rytualnych skoków i opiera mi łapy na piersi. Wychodzimy na pusty plac koło domu i Pies zaczyna udawać, że pomyliły mu się pory dnia. Energicznym truchtem rusza w stronę lasu, od czasu do czasu oglądając się na mnie z uśmiechem. Doskonale wie, że nigdzie teraz nie pójdziemy, bo muszę wracać do pracy. Po prostu żartuje. Stoję na środku placu, coś tam gryzę, przeglądam gazetę, której nie zdążyłem przeczytać rano lub też kartkuję jakieś fachowe czasopismo. Pies wraca i zaczyna biegać wokół mnie z nisko opuszczonym kudłatym łbem; jego lśniący czarny nos wciąga w siebie powietrze jak odkurzacz. Pora wracać: on do domu, a ja do pracy. Pies robi obrażoną minę, marszczy chmurnie brwi i odwraca się ode mnie, dając wszelkimi sposobami do zrozumienia, że to nie był spacer, tylko okrutna parodia spaceru, że z psem o takich zaletach nie wolno w ten sposób postępować. I tylko lekkie podrygiwanie krótkiego ogona dowodzi, że to również tylko żart. Żegnamy się do wieczora.

A wieczorem, kiedy cała robota jest już odwalona, wszystkie rozmowy telefoniczne wykonane, wtedy zaczyna się prawdziwe życie. Bez pośpiechu, solidnie przygotowujemy się na wyprawę. Pies podstawia głowę, ja zapinam obrozę i sprawdzam, czy przypadkiem zbyt mocno jej nie ściągnąłem, potem zakładam buty z cholewami i waciak, przepasuję się brezentową smyczą, nabijam fajkę, przecieram okulary. I ruszamy naprzeciw wieczornym przygodom. Idziemy do lasu.

Las to właściwie zbyt gromkie słowo. Raczej wciśnięty między dwie hałaśliwe arterie skrawek

zieleni, wysepka drzew ocalała podczas gwałtownego ataku miasta na las prawdziwy. Ale kiedy ściemnieje, czujemy się tutaj jak w dziewiczej puszczy, chociaż lasek jest „zaludniony”, a nawet „przeludniony”. Zaludniony głównie psami.

Wysepka ze wszystkich stron otoczona jest groźnymi tablicami: nie wolno motocyklem, nie wolno samochodem, nie wolno deptać, nie wolno zrywać, nie wolno rozpalać ognisk. Wręcz przeciwnie, należy się troszczyć, bo las to nasze bogactwo. I nie wolno też wchodzić z psami. Ale wieczorem, lekceważąc groźbę mandatu, z okolicznych dzielnic ściągają tu ludzie z owczarkami i bolończykami, dogami i jamnikami, sznaucerami, foksterierami i zwykłymi, ale bardzo sympatycznymi kundlami. Lasek wypełnia się psim szczekaniem i przywołującymi gwizdami psiarzy. Mamy tu z Psem wielu znajomych, a nawet przyjaciół, ale najbardziej lubimy spacerować we dwójkę. Idziemy główną aleją, raz zanurzając się w ciemności, to znów trafiając w krąg światła z czyjejs kieszonkowej latarki.

Obaj jesteśmy duzi i w ciemności chyba każdego możemy wystraszyć. Obaj brodaci, długonosi, długonodzy. „Wzrok dziki, suknia plugawa”, jak powiedział wieszcz. To wszystko pozór, bo jesteśmy całkowicie nieszkodliwi. Pies nigdy pierwszy nie wda się w bójkę, a zaatakowany najpierw spróbuje zakończyć sprawę polubownie. I dopiero upewniwszy się, że napastnik lub napastnicy (zupełnie go nie interesuje, ilu ich jest) nie mają zamiaru zrezygnować ze swych brzydkich zamiarów, rusza do boju. A wtedy biada wrogowi! Ja jestem jeszcze mniej agresywny, nie mówiąc już o tym, że ze względu na bardzo krótki wzrok widzę najwyżej na długość wyciągniętej ręki. Ale przechodnie — ludzie i psy — nie wiedzą o tym i odskakują jak oparzeni. Czasami nawet skręcają w boczne alejki. A kiedy nie mają gdzie skręcić, pytają z daleka:

— Chłopczyk czy dziewczynka?

— Pies — odpowiadam godnie. I nie oglądając się idziemy dalej. Mamy jesień. Wiatr, rozpędzony na dwóch najdłuższych ulicach miasta, wpada do naszego lasku i zaplątuje się w gołych gałęziach, szamocze się i nie znajduje wyjścia. Zapędzony, miotający się, pędzący suche liście wiatr wzbudza we mnie niezrozumiały niepokój. Niepokój wciąż narasta — być może dlatego, że od wczorajszego wieczoru Pies zachowuje się jakoś niezwykle.

W nocy prawie nie spał i nie dawał spać mnie. Chodził po pokoju i głośno wzdychał, hałaśliwie pił wodę ze swojej aluminiowej miski stojącej w kuchni, ziewał, z łoskotem walił się na podłogę i natychmiast wstawał. Kilka razy zrywałem się z łóżka, zapalałem światło, zakładałem okulary i mrużąc oczy, oślepione blaskiem jaskrawej żarówki, człapałem do Psa, żeby dotknąć jego nosa. Zimny i wilgotny nos trochę mnie uspokajał: najwidoczniej Pies nie był jednak chory.

Na porannym spacerze mój niepokój wzrósł. Już w najmłodszym szczenięcym wieku Pies raz na zawsze zrozumiał, że podnoszenie czegokolwiek z ziemi na dworze jest rzeczą w najwyższym stopniu nieprzyzwoitą. Od tego czasu owej wielkiej prawdy ani razu nie trzeba mu było przypominać. Inna rzecz, że kiedy obaj jesteśmy w dobrych humorach. Pies może chwycić jakiś ciężki konar lub dziurawą, wyrzuconą przez kogoś piłkę i zaproponować mi partyjkę gry, której reguły znamy tylko my dwaj. Pies pozwala mi zbliżyć się do siebie na pół kroku, a potem szybko odskakuje. Bardzo nas to obu bawi, nic więc dziwnego, że zanosimy się ze śmiechu.

Jednak dzisiaj wszystko wyglądało inaczej. Pies z zatroskaną miną krążył po pustym placu, wyszukiwał jakieś paskudztwa i bez cienia uśmiechu, absolutnie serio tym paskudztwem mnie częstował. Przynosił podarty but, kółko od kijka narciarskiego, brudną szmatę i wreszcie — pewnie nie uwierzycie! — kurzą kość. To ostatnie znalezisko zupełnie mnie zaskoczyło, bo doprawdy przekraczało wszelkie granice przyzwoitości. Będąc przy zdrowych zmysłach mój Pies po prostu nie mógł wziąć do pyska na dworze pokarmu, a już o kości w ogóle nie ma co mówić!

Obaj z Psem nie uznajemy ubogiego języka rozkazów, którym ludzie zazwyczaj porozumiewają

się z psami, nie uznajemy różnych tam „na miejsce!”, „do nogi!”, „siad!” i tak dalej. My po prostu ze sobą rozmawiamy. Pies rozumie mnie, a ja jego. Jeśli mam go o coś poprosić, coś mu doradzić, przed czymś przestrzec — z reguły dodaję zwrot „bardzo cię proszę”. Tym razem, pewnie ze zdumienia, wyrwało mi się brutalne „fuj!” Pies wzruszył ramionami i ostrożnie położył kość koło moich nóg. Z demonstracyjnym obrzydzeniem odepchnąłem ją czubkiem buta, on zaś, patrząc na mnie uważnie, znów podsunął mi zakazany, nieprzyzwoity przedmiot. W jego oczach dostrzegłem pytanie...

Następnego dnia Pies nie chciał zjeść śniadania.

Podczas popołudniowego spaceru zachowywał się równie dziwnie. Wkrótce obok mnie wyrosła piramidka, zbudowana przez Psa z jego znalezisk. Była tam jakaś gałązka z kilkoma żółtymi listkami, buteleczonek po lekarstwie, obgryziona miotła, coś tam jeszcze i na koniec wczorajsza kość.

Gdyby to był zwyczajny dzień, z pewnością spróbowałbym zorientować się, o co Psu właściwie chodzi, a w każdym razie z takimi prezentami jak kurza kość skończyłbym raz na zawsze. Ale dzień był, niestety, niezwykły. Właśnie po raz pierwszy od bez mała dwudziestu lat nienagannej, jak to się mówi, pracy zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Wezwany, a nie poproszony, żeby przejrzeć nasz wspólny artykuł, omówić plany lub wytypować moich współpracowników do wyjazdu na wykopki. Po raz pierwszy usłyszałem z ust naszego szacownego członka Akademii Nauk, że pracuję nie najlepiej. Po to właśnie zostałem wezwany.

— Doskonale rozumiem pańskie trudności — piłował mnie dyrektor. — Ale proszę mi uwierzyć, że wszelkie rozsądne terminy dawno już minęły, a pan wciąż tylko przychodzi do mnie z wnioskami natury teoretycznej. Bardzo te wnioski cenimy, ale badania teoretyczne trzeba będzie na jakiś czas odłożyć. Najwyższa już pora zająć się syntezą. Zamierzam zlecić tę pracę jeszcze jednemu laboratorium. Jest pan przeciwny? No cóż, wobec tego dam panu jeszcze dwa tygodnie. Dziękuję, nie chciałbym pana zatrzymywać...

Ja też, mówiąc prawdę, również nie miałem szczególnej ochoty siedzieć dłużej w dyrektorskim gabinecie.

Jestem chemikiem—organikiem i zajmuję się syntezą preparatów leczniczych. I wszystko wskazuje na to, że nieźle mi to idzie: w wieku trzydziestu lat obroniłem pracę kandydacką, a w pięć lat później zostałem kierownikiem laboratorium, z którego wyszła disyzyzna, pompomina, timanazydyna i inne specyfiki. Te lekarstwa można teraz kupić w każdej aptece. Zresztą niech was ręka boska broni, aby miały się one kiedyś przydać wam lub waszym bliskim.

Wszystko szło gładko do Nowego Roku, kiedy to — teraz jest już zupełnie oczywiste, że zbyt pochopnie i lekkomyślnie — wziąłem się za nieszczęsny preparat. Wówczas jednak nowa praca wydawała się zarówno mnie, jak i moim współpracownikom niezwykle interesująca, łatwa, a nawet korzystna.

Daleko, daleko, za lasami i morzami, na malutkiej wysepce wśród ciepłych wód Oceanu Spokojnego żyje niewielkie plemię. Miłe dla oka kobiety, silni i rośli mężczyźni — sam widziałem ich na fotografiach. Żyją prymitywnie, lecz wśród bujnej, szczodrej natury i są szczęśliwi. Ale cóż to obchodzi, zapytacie, nasz instytut, moje laboratorium i osobiście mnie. Dlaczego interesujemy się samopoczuciem tych ludzi? A dlatego, że ludzie na tej wyspie są długowieczni, dożywają głębokiej starości. Naturalnie im również zdarza się chorować, ale — proszę zwrócić uwagę! — nigdy nie są to choroby sercowo—naczyniowe. Żadnych zawałów, żadnego nadciśnienia. Ten fenomen został wykryty kilka lat temu; medycy ze Światowej Organizacji Zdrowia zbadali starannie tubylców i doszli do wniosku, że zdrowe serca zawdzięczają oni szczególnemu pokarmowi, a dokładniej pewnemu małżowi bytującemu na złocistych mieliznach wokół wysepki i uważanemu tam za

przysmak.

Niedawno wpadła mi w ręce interesująca książka o życiu codziennym, wierzeniach, obrzędach i pieśniach mieszkańców mórz południowych. Dowiedziałem się z niej na przykład, jak młodzieniec zdobywa względy swojej ukochanej: kradnie jej spódniczkę z trawy i o świcie, wystroiwszy się w ten szczegól dziewczęcej garderoby, kąpie się w oceanie, wyśpiewując przy tym magiczną pieśń. Mój Boże, gdyby wszystko było takie proste! Sam bym własnoręcznie zdarł z naszej laborantki Nataszy jej dzinsową spódniczkę i oddałbym ją swojemu adiunktowi Igorowi Siemionowiczowi, który już od dawna durzy się w Nataszy. Niechaj wdzieje tę spódnicę, niechaj pluska się w wannie i obudzi o świtaniu magiczną pieśnią swoich sąsiadów ze spółdzielczego domu. Wszyscy będą usatysfakcjonowani: Natasza wreszcie wyskoczy za mąż, a szczęśliwy Igor Siemionowicz przestanie wreszcie całymi dniami gapić się na przedmiot swojej miłości i tłuc ze zgrzyoty szkło laboratoryjne. Niestety...

Czytałem tę sympatyczną książkę i myślałem, że niezwykle smaczny maź w ogóle nie ma nic do rzeczy, że ludzie, którzy wierzą w zaklęcia sprowadzające miłość, i tak nigdy nie rozboli serce. Wkrótce jednak zyskałem obiektywny dowód na to, że *Molluscus crassus L.*, tak bowiem po łacinie nazywa się nasz maź, istotnie ma właściwości uzdrawiające. Niezwykle skomplikowanymi metodami instytut nasz otrzymał kilka centymetrów sześciennych wyciągu z jego płaszczu. Ekstrakt zbadano na myszach. Był niesłychanie aktywny...

Ponieważ import wystarczających ilości takiego egzotycznego naturalnego produktu był niemożliwy, trzeba było jak najszybciej otrzymać jego syntetyczny analog. Zadanie to zlecono właśnie naszemu instytutowi. Starsi wiekiem kierownicy laboratoriów nie kwapili się do podjęcia tej niepewnej pracy, a ja, głupi smarkacz! zgłosiłem się sam. Z początku wszystko szło gładko i szybko. W ciągu paru tygodni wyizolowaliśmy czynnik aktywny, określiliśmy wzór brutto nasercowego panaceum i, wspaniale wykonując w ten sposób plan kwartalny, przedstawiliśmy go na radzie naukowej. Pozostał drobiazg — synteza. Czytelnik wie, że akurat na tym beznadziejnie utknęliśmy.

Podobno takie rzeczy w nauce się zdarzają — w biografiiach bez porównania lepszych ode mnie badaczy aż roi się od podobnych przykładów. Podobno w takiej sytuacji najlepiej jest na jakiś czas odłożyć badania, odprężyć się, żeby potem przystąpić do pracy ze świeżymi siłami i świeżymi myślami. A ja miałem jeszcze tylko dwa tygodnie.

Gorączkowo szukałem wyjścia z tego ślepego zaułka. Nic więc dziwnego, że dziwactwa Psa wyleciały mi z głowy natychmiast, gdy tylko wróciłem do pracy po przerwie obiadowej. Jednak wieczorem Pies znów mi o nich przypomniał.

Powitał mnie smętnie i ponuro. Z opuszczonym ogonem włóczył się po mieszkaniu i odwracał oczy, kiedy się do niego odzywałem. Nawet do zaproszenia na spacer odniósł się bez najmniejszego entuzjazmu, ale ledwie wyszliśmy na dwór, zerwał się z miejsca i jak wariat popędził na pusty plac. Nawet zapomniał, słowo honoru, zapomniał zadrzeć nogę przy pierwszym krzaczku, a zapewniam was, że nigdy dotąd o tym nie zapomniał.

Zrobił kilka błyskawicznych kręgów wokół placu, a potem nagle przycisnął nos do ziemi, zawirował w miejscu i nagle znów zobojętniał. Wolno, niepewnie szedł w moją stronę. Był czymś mocno speszony i zdenerwowany.

Czy obserwowaliście kiedyś psa służbowego, który stracił ślad? Zwierzę dopiero co pędziło z nosem przy ziemi, z wyprostowanym jak strzała ogonem, z myśliwskim błyskiem w oczach. I nagle zatrzymuje się jak wkopane, tak że przewodnik omal nie potyka się o nie. Pies rozgląda się dokoła, myszkuje, kręci się w miejscu. Ciepły, ostro pachnący ślad, który dopiero co był tuż przed nosem,

nagle znikł. Zwierzę jest zmieszane, wystraszone, skonfundowane, przeprasza i patrzy na przewodnika.

Dokładnie tak samo patrzył na mnie w tym momencie Pies. Olśniło mnie. Mój uczciwy, wierny, zdyscyplinowany Pies! Przecież od już dobrej doby usiłował zrobić to, co od miesiąca nie udawało się mnie, superwykształconemu Igorowi Siemionowiczowi i całemu naszemu laboratorium wyposażonemu w całą masę rozmaitych naukowych rupieci — różnych chromatografów i spektrometrów. Pies z rzetelnością i oddaniem wykonywał idiotyczne zadanie, które mu dałem, żeby zabawić swoich gości. Będąc na lekkim rauszu pozwoliłem sobie na kretyński dowcip, a on, biedak, tego żartu nie rozumiał, bo i nie mógł zrozumieć. Jak zresztą mogłem żartować z tego, co dla Psa jest świętością!

Wczoraj wieczorem miałem gości. Zresztą nie, jakich tam znowu gości! Po prostu zaraz po pracy kilku naszych postanowiło nagle pojechać do mnie. Po drodze kupiliśmy trochę zakąski, bo moja lodówka zawsze jest półpusta, i parę butelek. Natasza i Igor nakryli do stołu, ja otworzyłem butelki. Trochę wypiliśmy i bez szczególnego apetytu przekąsiliśmy.

Rozmowa przy stole nie należała do zbyt ożywionych i w dodatku obracała się wokół tej cholernej syntezy. Zapraszając do siebie kolegów, wcale nie zamierzałem urządzać jeszcze jednej narady produkcyjnej, ale w duchu liczyłem, że w luźnej rozmowie wypłynie jakiś nowy pomysł, zabłyśnie bodaj iskierka nadziei, która oświecili nam jedyną możliwą, ale nie odkrytą dotychczas dróżkę. Ale nie doczekałem się ani pomysłu, ani iskierki, ani najwęższej nawet ścieżki. Kiedy więc rozmowa już ostatecznie utknęła, kiedy goście zaczęli zbierać się do domów, figlarna Natasza zawołała drzemiącego w kącie Psa.

Wśród psów, podobnie jak wśród ludzi, są geniusze, tępaki i przeciętniacy. Ale niemal każdy właściciel psa jest święcie przekonany, że właśnie jego czworonóg jest najwspanialszy. Co się zaś tyczy nas — mówię o Psie i mnie — to potrafimy patrzeć na te sprawy trzeźwo. Pies zna moje niedoskonałości i przywary, i godzi się z nimi. Ja z kolei jestem gotów przyznać, że mój przyjaciel nie jest wcale psią gwiazdą: niegłupi, ale też niebłyskotliwy; nie jest pokraczny, ale pięknišem też trudno go nazwać.

Ale mój Pies ma pewną nietuzinkową cechę, o której gotów jestem mówić bez przerwy i to bez ryzyka ośmieszenia się. Bowiem owa cecha — idealny węch — jest wszystkim znana i przez nikogo nie negowana. Posunąłbym się wręcz do tego, że gotów byłbym nazwać Psa geniuszem węchu. Licząc się w młodości w psiej szkółce niczym się wśród swoich rówieśników nie wyróżniał, a z niektórych przedmiotów, na przykład z zatrzymywania przestępcy, osiągał nawet wyniki znacznie niższe od średnich. Ale kiedy trzeba było zidentyfikować jakiś przedmiot, obaj z Psem triumfowaliśmy. Szukanie kija było koronnym numerem Psa, który wykonywał go elegancko i błyskawicznie.

Gdyby Pies służył w milicji lub na granicy, pewnie znałby go cały kraj. Nam natomiast jego wyjątkowy talent był w gruncie rzeczy niepotrzebny. Zresztą od czasu do czasu demonstrowaliśmy go przyjacielom i znajomym, zupełnie tak samo, jak szczęśliwi rodzice prezentują talenty swego cudownego dziecka. Wszyscy uczestnicy zabawy, naturalnie poza Psem, wyjmowali jednakowe banknoty, powiedzmy dziesiątki, których numery starannie spisywano. Potem następowało sakramentalne „*pecunia non olet*” i Psu dawano do powąchania jedną z dziesięciorubłówek. Następnie pieniądze tasowano jak karty lub chowano w różnych zakamarkach pokoju. Bez najmniejszego wahania, błyskawicznie Pies przynosił mi znaleziony od niechcienia właściwy paperek. Goście wyrażali głośno swój zachwyt, oczy Psa (i moje również) świeciły z zadowolenia i dumy.

W końcu Natasza pogrzebała w torebce i wyciągnęła z niej szkiełko, w którym jakiś tydzień temu

nosiła próbki do analityków. Dno szkiełka było jeszcze przyprószone drobkami nieszczęsnego preparatu. Wziąłem do ręki kruche naczynko i podsunąłem Psu, który je delikatnie powąchał. „Szukaj” szepnąłem. Któryś z gości roześmiał się niewesoło. Rzeczywiście, nasze sprawy wyglądały nie najlepiej, skoro szukaliśmy pomocy u Psa.

Jednak Pies potraktował zadanie z całkowitą powagą. Bez pośpiechu obszedł pokój dookoła, zatrzymał się przy szafie ściennej i cicho dał głos. Otworzyłem drzwiczki. Pies delikatnie chwycił zębami leżący na półce mój wyprany i uprasowany fartuch laboratoryjny i podsunął mi go pod nos.

Wyglądało na to, że pomysł Nataszy nieco poprawił wszystkim humory. Śmiałem się ze wszystkimi do łez i — zupełnie nie potrafię zrozumieć, jak to się stało — zapomniałem zrobić to, co miałem obowiązek zrobić natychmiast. Zapomniałem pogładzić Psa po kudłatym łbie i powiedzieć mu, że jestem z niego zadowolony, że jest wspaniałym psem. Wyrażając się Językiem protokołów milicyjnych — zapomniałem zamknąć sprawę. A bez tego Pies, rzecz oczywista, nie mógł uważać swojej misji za skończoną. I dlatego nie spał przez całą następną noc i nie dawał spać mnie. I dlatego szukał, biedaczysko, na pustym placu tego, czego znaleźć nie mógł, chociaż to ja mu to zleciłem. I dlatego też pewnie, zrozpaczony, że nie potrafi zrobić rzeczy niemożliwej, znosił mi na chybił trafił buteleczki po lekarstwach, szmaty, kości i rozmaite inne śmieci.

Przykucnąłem koło Psa, objąłem jego kosmatą szyję i szepnąłem mu na ucho: „Dobry Pies... Dobrze. Wszystko w porządku... Bardzo dobrze”. Pies przytulał się do mnie i obu nam w tej chwili rzeczywiście było bardzo dobrze. Ale nagle wyrwał się z moich rąk i na złamanie karku popędził w stronę lasu.

I oto już od dobrych piętnastu minut stoję na środku głównej alei i bezradnie, rozpaczliwie wygwizduję z ciemności swojego Psa. Nic podobnego dotychczas się nie zdarzyło. Pies zawsze przybiegał do mnie na pierwsze zawołanie, na pierwszy gwizd wypadał z krzaków i nie odbiegał dopóty, dopóki nie przekonał się, że go widzę. Nawet w najcięższym dla psiarzy okresie, kiedy suki prowadzi się na krótkiej smyczy, a psy, tracąc głowy, całymi watahami czekają na swoje damy pod bramami domów, nawet wtedy Pies zachowuje zimną krew. Nie chcę wcale przez to powiedzieć, że jest nieczuły na wdzięki płci słabej. Ale dla niego ulotny ślad pięknej nieznanym jest o wiele atrakcyjniejszy od niej samej z krwi i ciała. Pies jest romantykiem. Ja zresztą również. Pewnie dlatego w naszym domu nie ma do dziś gospodyni.

Wargi spuchły mi od gwizdu. Gwizdać już nie mogę i wydaję tylko jakiś wężowy syk, ale nadal przywołuję Psa. Jestem niespokojny, a szamoczący się w gałęziach wiatr jeszcze bardziej wzmacnia ten niepokój. Oczami duszy widzę, jak ormowcy schwyтали biegającego bez smyczy Psa i ciągną go na milicję. Widzę mojego biednego Psa na drodze, jak miota się w oślepiającym świetle reflektorów samochodów, które nie zmniejszając prędkości pędzą ulicą... Więc gwizdzę i gwizdzę, chociaż wargi wydają tylko ledwie słyszalny syk. Jestem bezradny, jak w sennym koszmarze.

Skończyło się to równie nagle, jak nagle kończy się senny koszmar. Gdzieś niedaleko trzasnęła pękająca gałązka, zaszeleściły krzewy, jakby niedźwiedź przedzierał się przez chaszczę i na ścieżce ukazała się ciemna sylwetka wielkiego zwierzęcia. Pies pędzi prosto na mnie, świecąc zielono wielkimi ślepiami. Wszystkie pełne irytacji i goryczy słowa, które dla niego przygotowałem, wylatują mi z głowy. Zwierz podbiega, opiera się łapami o mój waciak i natychmiast odskakuje. „Gdzie cię nosiło, diable brodaty?” — wrzasnąłem przekrzykując wiatr. Ale Pies mnie nie słuchał. Odbiegał, wracał i znów odbiegał — wołał mnie. Zrozumiałem, że to jest ważne dla nas obu, i posłusznie ruszyłem za nim na przełaj przez krzaki. Gałęzie biły mnie po twarzy, ale ich nawet nie odsuwałem, żeby nie zwolnić kroku, żeby nie zostać w tyle. Przytrzymałem tylko spadające z nosa okulary.

Pies wyprowadził mnie na skraj lasu, przebiegł kilka kroków i dźwięcznie zaszczekał. Podszedłem i omal nie wpadłem do piaskownicy, ogrodzonej niską drewnianą barierką. Na mokrym zleżałym piasku majaczyły w ciemności jakieś prawie nierozpoznawalne przedmioty. Popatrzyłem zdumiony na Psa, a on, nie przestając szczekać, naskakiwał na piaskownicę. Było oczywiste, że przyprowadził mnie tutaj, żeby coś pokazać. Wyjąłem pudełko z kieszeni waciaka i zapaliłem zapałkę.

Płomyk oświetlił dziwny zestaw w większości już mi znanych przedmiotów. Zapałka dopalała się i parzyła w palce, ale zdążyłem zauważyć i buteleczkę po lekarstwie, i kurzą kość, i kawałek opony, i szmatę. Były tam jeszcze jakieś liście, patyki i kawałki kory. Znowu zapaliłem zapałkę, podniosłem buteleczkę i przeczytałem napis na etykiecie, ale poryw wiatru znów zdmuchnął płomyk.

Wiedziałem — nie potrafię zrozumieć dlaczego — że w ułożonej przez Psa martwej naturze kryje się jakaś symbolika, jakiś określony sens. Musiałem zatem dokładnie przyjrzeć się tej kompozycji, temu z takim samozaparciem tworzonemu dziełu psiego pop-artu. Wspominając dziś ten wieczór, myślę z przerażeniem, że mogłem zwyczajnie zlekceważyć dziwactwa mojego wspaniałego Psa i rozrzucić zebrane w pocie czoła patyczki, szmatki i kosteczki. Nie wiem, jak ułożyłoby się wówczas moje życie, a przede wszystkim moje stosunki z Psem.

Zebrałem trochę chrustu, przełożyłem go strzępami gazet i rozpałem w piaskownicy małe ognisko, co jak państwo już wiecie, jest w naszym lesie surowo zakazane. Teraz mogłem już bez pośpiechu przyjrzeć się Psiej zdobyczy. Kompozycja najwyraźniej została uporządkowana według jakiejś nie znanej mi zasady. Jej centrum, jej osią była niewątpliwie kurza kość z dwoma kawałkami gumy na końcach — przypominało to kształtem hantle. Z jednej strony od tej osi odchodziły promieniście gałązki kruszyny, przyozdobione czerwonymi liśćmi osiki i głogu. Z drugiej zaś strony — nieco z boku, ale najwyraźniej na swoim miejscu — leżała buteleczka po lekarstwie. Poza tym zobaczyłem suche owoce dzikiej róży, ogarek świecy i kawałek miedzianego drutu...

Ludzie czytają książki, nie zastanawiając się nad symboliką liter i hieroglifów. Muzycy potrafią tak czytać nuty, że w uszach brzmi im nie znana dotychczas muzyka. My zaś, chemicy, za płaskimi abstrakcjami wzorów strukturalnych widzimy i wyczuwamy cały świat substancji z ich zapachami, zdolnością do reagowania ze sobą, ze wszystkimi ich niezwykłymi właściwościami. Nic więc dziwnego, że zobaczyłem i przeczytałem...

Nie chciałbym państwa nużyć czysto zawodowymi szczegółami i opisywać, co przeczytałem w układzie kurzej kości i gałązek kruszyny, i jak mi się udało to zrobić. Zresztą ja sam chyba nie potrafię dociec, co posłużyło za klucz do szyfru. Może liczba gałązek — pięć! — równa liczbie rodników w cząsteczce naszego dekoktu. Może kąt rozwarty ich pochylenia wobec kości, który — jak wiadomo z podręczników — winien wynosić około stu dziesięciu stopni. A może czerwone jesienne liście, zawierające, jak również wiadomo, cały zestaw substancji niezbędnych do prawidłowej konformacji atomów. A może... Sam nie wiem.

Nie musiałem niczego zapisywać. Widziałem całą syntezę od początku do końca, wszystkie jej siedemnaście stadiów po kolei, wszystkie uwodnienia, przemywania, rekrytalizacje i destylacje. Widziałem też produkt końcowy — syпки biały proszek rozfasowany w kartonowe pudełeczka.

A Pies wywalił jęzor, hałaśliwie dyszał i uśmiechał się do mnie porozumiewawczo.

Przez dwa tygodnie nie wychodziliśmy z laboratorium. Pies też był z nami. Spaliśmy na podłodze, owinięci w szklane przeciwpożarowe koce. Igor Siemionowicz, rozczochrany i nie ogolony, po dwadzieścia godzin bez przerwy manipulował odczynnikami pod wyciągiem i nie zauważył nawet Nataszy. A Natasza przynosiła mu kanapki. Pies trzy razy dziennie sam spacerował na instytutowym skwerku.

Dokładnie w wyznaczonym terminie położyłem na dyrektorskim biurku sprawozdanie — przepisane na maszynie i starannie oprawione. Na jego sztywnych okładkach widniał duży nadruk: „Synteza PSA”. Członek Akademii Nauk podpisał sprawozdanie bez jednej uwagi. Przekreślił tylko ołówkiem nazwę preparatu, wyjaśniając przy tym, że pentasakratamidaril nie w pełni odpowiada międzynarodowej nomenklaturze przyjętej dla tego rodzaju związków. Wróciłem do laboratorium i wytarłem ołówkiem jedyną dyrektorską poprawkę.

Już dwa razy wyjeżdżałem służbowo za granicę — w związku z patentowaniem naszego preparatu. Jeździliśmy z Igorem, który biegał po sklepach, realizując niezwykle skomplikowane zamówienia swojej Nataszy. Ja natomiast przywiozłem z dalekich podróży niezwyklej piękności obrożę i kilka puszek psich sucharków, którym producent nadał kokieteryjny kształt kostek. Spróbowałem — są dość smaczne. Pies też spróbował, uprzejmie podziękował ogonem, ale nadmiernie się nie zachwycił. Chyba po prostu nie dotarło do niego, że został poczęstowany zamorskim smakołykiem. Potem założyliśmy nową obrożę, zapaliliśmy fajkę i poszliśmy na spacer.

Jak zapewne pamiętacie, obaj jesteśmy duzi i dość na oko groźni. Dlatego zadaje się nam stale niezmiennie to samo głupie pytanie:

— To chłopiec czy dziewczynka?

— Przecież chyba widać, że to Pies — odpowiadam pogardliwie. I idziemy swoją drogą.

Przełożył Tadeusz Gosk

Oziero

Jezioro

Skoczeń nie tropi i nie wybiera ofiary. Atakuje w chwili, gdy zmysły przekazują do jego uśpionego mózgu sygnał, że zdobycz jest wystarczająco blisko. Skoczeń atakuje tylko raz i zawsze najbliższą ofiarę. Dlatego właśnie jest on niebezpieczny dla każdego, kto idzie pierwszy; pozostali są tylko zagrożeni.

Po ataku skoczeń pożera swą zdobycz. Gdy się już nasyci, wpada w śpiączkę i jednocześnie szykuje się do nowego skoku. Przygotowania te trwają przynajmniej tydzień — tak długo bowiem zwierzę musi wytwarzać odpowiednie ciśnienie powietrza w swych jamach ruchowych, ciśnienie, które jest w stanie odrzucić potężne cielsko na odległość dwudziestu metrów. Teoretycznie skoczeń może wykonać cztery ataki w miesiącu, ale nie robi tego tak często. W ciągu roku skacze od dwóch do dziesięciu razy. Dwa, jeżeli zdobyczy w pobliżu jest bardzo mało, dziesięć, jeżeli jest jej pod dostatkiem.

Tryb życia skocznia jest niezwykle prosty — atak, pożeranie, śpiączka. Gdy zwierzę jest nażarte, staje się zupełnie nieruchome, oddycha wolno i rzadko, a jego przemiana materii sprowadzona jest do minimum.

Skoczeń stanowi niezwykle prymitywną, ale niesłychanie żywotną formę biologiczną i dlatego właśnie gatunek ten przez miliony lat utrzymał się na planecie właściwie nie ewoluując. Jego mięso jest trujące i dzięki temu skoczeń nie ma naturalnych wrogów. Obdarzony jest wspaniałym węchem, wyjątkowo dobrze odbiera promieniowanie podczerwone, ale zupełnie pozbawiony jest wzroku i słuchu. Dlatego też nie zauważył, że w pustyni pojawiły się dwie żywe istoty...

* * *

Pod koniec trzeciego dnia dotarli do łańcucha piaszczystych wzgórz, które poprzedniego dnia wyłoniły się na horyzoncie z rozpalonej i jakby przykurzonej mgiełki. Jeżeli szczęście nie opuściło ich ostatecznie, ze szczytu tych wzgórz powinni zobaczyć Stację.

Myśl ta pojawiła się chyba jednocześnie u obu ludzi. W milczeniu popatrzyli na siebie i ruszyli w górę, trochę na ukos piaszczystego zbocza porośniętego skąpymi kępami sztywnej roślinności. Szli — Parra z przodu, Krugłów za nim — powolnymi, ostrożnymi krokami, oszczędnie gospodarując siłami, których pozostało im już niewiele. Wody mieli jeszcze mniej, lecz o tym starali się nie myśleć.

Nie uzgadniali tego, ale rolę prowadzącego objął Parra. Suchy, żylasty, o wiele lepiej znosił pragnienie i żar pustyni niż Krugłów — silny, ale ciężki. Krugłów był o wiele bardziej zmęczony i przestał to ukrywać, gdy zrozumiał, że takie udawanie również odbiera mu siły. Nie rozmawiali o

zmęczeniu. W ogóle, w ciągu ostatnich dwóch dni rozmawiali ze sobą bardzo mało, ale teraz na krótkich postojach Parra zatrzymywał się nieco dłużej niż sam by tego potrzebował. A także nieco częściej oglądał się i patrzył na Krugłowa.

Przed kamiennym osypiskiem Parra nieco zwolnił tempo. Lepiej było obejść, lecz po prawej stronie zbocze było zbyt strome, po lewej zaś z piaszczystego podłoża sterczała podobna do palca skala. Wyminąć ją można było tylko dołem, a to znaczyło co najmniej kilometr dodatkowego marszu.

Parra i Krugłow doskonale wiedzieli, jak niebezpieczne są takie piargi, ale zmęczenie i trudy minionych trzech dni przytłumiły ich zmysł ostrożności. No a poza tym w czasie swej wędrówki ani razu nie napotkali skoczni.

Parra co kilka kroków zatrzymywał się i z wyteżoną uwagą wpatrywał w wygładzone, wychłostane wiatrem i piaskiem odłamki skalne. Krugłow szedł jego śladem i, choć nie miało to już większego znaczenia, również uważnie przyglądał się głazom.

Parra szedł pierwszy i o dziwo, właśnie ten fakt uratował mu życie. Skoczeń jednak tu był. Może miesiąc, a może dłużej cierpliwie czekał na tę chwilę — nieruchomy i milczący, zamaskowany tak, że wyglądał jak wielki, rudy głaz. Parra bardziej poczuł niż usłyszał charakterystyczny świst sprężonego powietrza i w tej samej chwili z ochryplym okrzykiem „uwaga!” rzucił się na wznak. Krugłow nie zdążył.

Skoczeń znajdował się na jednej linii z obu ludźmi i zaatakował ich skacząc wprost przed siebie. Przeleciał nad leżącym Parra, z całą siłą swego odrzutowego napędu uderzył masywnym cielskiem w lewe ramię Krugłowa i odrzucił go jak piórko na kamienie. Krugłow nie zginął na miejscu tylko dlatego, że skoczeń celował w Parre, a nie w niego...

Parra zerwał się i zobaczył Krugłowa, który dziwnie skręcony leżał nieruchomo oraz wolno pełznącego ku niemu skoczni. Szybko zerwał z pasa ostatnią raketę sygnalizacyjną, skierował ją w stronę zwierzęcia i szarpnął za sznur odpalający. Rakietą uderzyła z sykiem o piasek i ciągnąc za sobą smugę dymu i ognia, pomknęła w dół zbocza. W ślad za nią, ospale przebierając łapami, zjechał powoli skoczeń, by tam, w dole, znów znieruchomieć i zacząć przygotowania do nowego skoku na ofiarę, która prędzej czy później nieopatrznie pojawi się koło jego legowiska. Przez cały tydzień będzie wchłaniać i sprężać potężnymi mięśniami brzucha maleńkie porcje powietrza. Przez cały tydzień skoczeń będzie niegroźny, ale dla ludzi nie było to żadną pociechą.

Krugłow miał rozszarpane ramię i zapewne złamany obojczyk. Spod hełmu spływała po policzku strużka krwi. Gdy Parra podbiegł do niego, był jeszcze przytomny. Wykrzywił zeschnięte wargi w grymasie, który miał przypominać uśmiech, spróbował coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zamknął powieki i jego potężna postać zwiotczała raptownie. Parra namacał słaby puls kolegi, próbował wlać w usta Krugłowa resztkę soku, lecz napój spłynął na ziemię po zaciśniętych ustach mieszając się z krzepnącą krwią.

Dopiero potem Parra uświadomił sobie, że prawie się nie denerwował. Pewnie już nie miał sił na przeżywanie emocji. Nagle, wyraźnie i precyzyjnie, zdał sobie sprawę, że jeśli wybór kierunku marszu mimo wszystko okaże się błędny i za wzgórzami nie zobaczą Stacji, będzie to oznaczać, że Krugłow wkrótce umrze — a potem i on.

Myśl, że gdyby Krugłow umarł natychmiast, jego szanse na przeżycie znacznie by się zwiększyły, wcale go nie przeraziła. Zarejestrował ją jak automat, nie analizował jej ani nie przeżywał, nie szukał bowiem żadnego rozwiązania, lecz po prostu wiedział, że postąpi tak, jak postąpić powinien.

Strzępem koszuli byle jak zabandażował ogromną ranę, podniósł Krugłowa z ziemi i zaczął iść drobnymi kroczkami, kołyszając się pod ciężarem. Zachodzące słońce rzucało na zbocze wzgórza kruchy cień dziwaczego, dwugłowego i dwunogiego stworzenia, które patrzyło jedynie na dwa kroki

przed siebie i uporczywie gramoliło się pod górę.

Chwilami Parrze wydawało się, że zapadła noc, ale w następnej chwili znowu spostrzegął jasność i robił kolejny krok. Nawet nie zauważył chwili, w której skończyło się podejście. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy poczuł, że ciężar jakby się zmniejszył i nawet zaczął go popychać do przodu.

Po lewej i prawej stronie wznosiły się wzgórza. Widać je było również daleko przed nimi. Cienie odchodzącego dnia pokryły mrocznym puchem połowę rozpościerającej się przed Parra doliny, ale to, co zobaczył, w zupełności mu wystarczyło.

Stacji tu nie było.

Stacji nie było, ale Parra zobaczył za to coś stokroć potrzebniejszego. W dole matowym wieczornym odbłaskiem lśniła woda.

Tego, co było potem, prawie nie pamiętał. Chyba położył Krugłowa na ziemi i pobiegł w stronę wody. Chyba po przebiegnięciu kilku kroków wrócił, znowu podniósł swego towarzysza i zaczął go nieść w dół zbocza.

Pustka. Potem nagle jakby jaskrawy rozbłysk w świadomości — i zadziwiający smak wilgoci.

Czuł wodę na wargach, języku, na skórze twarzy, rąk — i pił, pił nieskończenie długo z tego niewielkiego, prawie okrągłego jeziorka o średnicy zaledwie pięćdziesięciu kroków.

Poczuł się rześki i wypoczęty. Znow mógł myśleć. Zaczerpnął wody do pustego pojemnika po soku i podszedł do Krugłowa, który leżał w niezbyt wysokich, lecz gęstych zaroślach otaczających jeziorko i żywiących się jego wodą. Podobnie jak poprzednio cała woda rozlała się, ściekając głębokimi bruzdami w kąciakach ust. Potem wargi Krugłowa rozchyliły się. Powoli, bardzo powoli, otworzyły się oczy.

— Doszliśmy... — Parra bardziej domyślił się tych słów, niż usłyszał je w szeleszczącym oddechu kolegi. Zastanawiał się jeszcze, czy warto mu wyjaśniać, że nie są w Stacji, że jest to zupełnie krótkie odroczenie wyroku, lecz Krugłow znow stracił przytomność. Oddychał bardziej miarowo i głęboko, zupełnie jak przez sen, ale Parra nie miał złudzeń. Pas zaognionej skóry, widoczny pod brzegiem pospiesznie założonego opatrunku potwierdzał, że Krugłowowi nie można już pomóc. Jeżeli nie zastosuje się szczepionki i antybiotyków, jad skoczni zabije go w ciągu dziesięciu, dwunastu godzin.

Lot dwumiejscowym flajerem bez kompletów indywidualnych był przejawem wyjątkowej niefrasobliwości. Zresztą, nie był to właściwie lot, lecz dwukilometrowy skok ze Stacji do obozu geologów. Zwykły, normalny przelot — jak codzienny bieg przed śniadaniem. Zapomnieli obaj, że ta planeta jeszcze nie wybacza człowiekowi niefrasobliwości.

Wir uderzył w najwyższym punkcie trajektorii lotu. Zaczynał się w górnych warstwach atmosfery, był niewidzialny i dlatego właśnie nieoczekiwany.

Dżin z butelki, bezcielesny i wszechmocny, uderzył w skrzydła i w jednej chwili wykręcił i urwał stery. W następnym momencie podstawa wiru dotknęła ziemi i wciągnęła w powstały lej masy piasku. Góra i dół zmieszały się całkowicie, niebo i powierzchnia planety zlały się ze sobą. Krugłow, forsując silniki, zdołał wyrwać flajer z obrębu wiru. Parra zdążył jeszcze zauważyć oddalające się czoło burzy i gwałtownie pędzącą im na spotkanie powierzchnię ziemi. Flajer, który w walce ze szkwałem utracił stery i napęd, spadał.

Ani Parra, ani Krugłow nie ucierpieli w tej katastrofie. Katapulta i grawitacyjne bloki lądowania działały prawidłowo. Ale tuż przed zetknięciem z ziemią zobaczyli błysk i strzelający w niebo słup piasku. To eksplodował flajer. Obydwaj mieli ze sobą trzy rakiety i dwa pojemniki z sokiem. Nie wiedzieli, w którym kierunku znajduje się Stacja i jak daleko zniosła ich burza. Nie wiedzieli, dokąd

iść.

— To nic — powiedział wtedy Krugłow. — Flajer tak grzotnął, że usłyszeli go nie tylko na Stacji, ale i na Ziemi. Nawet rakiety będą niepotrzebne.

Oczywiście na pewno ich szukano. Resztę dnia i pierwszą noc przesiedzieli koło szczątków flajera. Wystrzelili w gwiaździste niebo dwie rakiety. Rankiem postanowili iść.

Krugłow umierał i nawet tego nie czuł. Parra nie widział w ciemności, jak daleko sięgnęło już zakażenie, ale dokładnie mógł sobie wyobrazić, co zobaczy o świcie.

W oazie nie byli sami. Parra wyczuwał, jak w głębi zarośli ostrożnie przesuwały się nocni mieszkańcy planety. Stworzenia te były najwidoczniej małe i nieszkodliwe, same bowiem bały się ludzi i zbytnio się do nich nie zbliżały. Parra nie miał nic przeciwko takim sąsiadom. Obecność tego drobiazgu świadczyła, że nie ma bezpośredniego zagrożenia. No i dobrze. Każdy prawdziwy drapieżnik tej planety rozprawiłby się z człowiekiem nawet nie draśnięty kawałkiem kamienia, który Parra przed zapadnięciem zmroku podniósł na brzegu jeziora. Ale drapieżniki w dolinie jednak były.

Parra drgnął i wyprostował się. W nocnej ciszy rozległ się wściekły ryk, zlewający się z krzykiem ofiary. Gdzieś u podnóża piaszczystych wzgórz toczył się bój. Walczące ciała kłębiły się, warcząc ochryple.

Drapieżnik znowu zawył. W dźwięku tym Parra usłyszał rozczerowanie, wściekłość i ból. Wycie wibrowało na najwyższej nucie, oddalało się, aż wreszcie ucichło w dali. Tym razem drapieżnikowi najwidoczniej się nie powiodło.

Parra siedział nieruchomo ściskając w dłoni bezużyteczny ułomek kamienia i aż do bólu w skroniach wsłuchiwał się w otaczającą ich obcą, groźną noc.

Ciężko zachręściły krzewy. W odległości zaledwie dwudziestu metrów od Parry i Krugłowa szło miażdżąc słabe pędy roślin coś ciężkiego i potężnego. Parra wyraźnie słyszał chrapliwy oddech i niepewne kroki zwierzęcia. Ostro zapachniała świeża krew. Plusnęła roztrącana woda. Ranne stworzenie zanurzyło się w jeziorze i zamarło, jakby go tu wcale nie było. Parra wsłuchiwał się w nocną ciszę, ale nie dobiegł już żaden odgłos.

Nad ranem zdrzemnął się nieco. Siedział koło nieruchomego ciała Krugłowa, nie wypuszczając z rąk kamiennego odłamka, i kołysał się, pogrążony w płytkim, niepewnym śnie. Nadszedł świt. Ponowny plusk wody przywrócił mu przytomność. Przez zasłonę gałązek krzewów Parra zobaczył, jak z jeziora wylazi na brzeg tamto nocne zwierzę.

Otrząsnęło się hałaśliwie i ciężkim, pewnym klusem pobiegło przed siebie. Parra machinalnie odprowadził je wzrokiem, a potem odwrócił się w stronę Krugłowa. Dobrze wiedział, co zobaczy, ale mimo to spojrzął. Spojrzął i zamarł, czując, jak ogarnia go rozbudzona nagle szaleńcza nadzieja. Krugłow żył. Przez noc purpurowy kolor rozpełzł się dalej po jego ciele, ale wcale nie tak daleko, jak spodziewał się Parra i jak powinien się rozprzestrzenić po upływie połowy doby od ataku skocznia. Krugłow powinien był umrzeć przed świtem, ale mimo wszystko żył. Parra zbadał mu puls. Był słaby, ale wyraźny i rytmiczny.

I nagle przez jego mózg przemknęła nieoczekiwana myśl. Była tak nieprawdopodobna, że natychmiast ją odrzucił, ale mimowolnie znowu ją przywołał. Wstał i poszedł wzdłuż brzegu przyglądając się krzakom. Nie musiał daleko iść. Zobaczył prowadzący do wody ślad wydeptany w trawie przez jakieś potężne stworzenie. Był to ślad ciężko rannego zwierzęcia, cały pokryty wielkimi plamami szerniałej, zakrzepłej krwi.

Chyba nie w pełni wierzył w powodzenie. Ale pełna determinacji nadzieja zmusiła go, by

zapomniał o wątpliwościach.

Rozerwał i ostrożnie zdjął z Krugłowa koszulę. Rozwiązał i zdjął sztywny od krwi opatrunek, całą siłą woli zmuszając się, by nie odwracać wzroku od strasznej, purpurowej rany ze śladami rozpoczynającego się rozkładu. Wziął Krugłowa na ręce, wniósł do jeziora i ukląkł na mulistym, miękkim dnie, podtrzymując głowę rannego nad podobną do czarnego szkła powierzchnią.

Ciemna woda rozmywała zarysy ciała kolegi, ale Parra nie musiał już nic widzieć. Stopniowo, lecz nieodwracalnie nadzieja zmieniała się w pewność. Po godzinie Krugłow poruszył się ledwo dostrzegalnie i otworzył oczy. Ze zdziwieniem rozejrzał się wokoło i zatrzymał spojrzenie na twarzy Parry.

— Pić — poprosił cicho.

I w tym momencie Parra nie wytrzymał.

Roześmiał się histerycznie, dziko, dygocąc całym ciałem jak w konwulsjach. Chciał wytłumaczyć Krugłowowi, jakie to wszystko jest śmieszne — siedzieć po szyję w wodzie i prosić pić, ale nie mógł wykrztusić nic poza jednym słowem.

— Pij!... Pij!.. Pij!.. — i śmiał się do chwili, w której zrozumiał, że już nie jest w stanie przestać.

Z całej siły wyrznął się pięścią w twarz. Ból rozbitych warg przywołał go do rzeczywistości.

— To nic — odparł widząc przestraszone spojrzenie Krugłowa — to nic. Wszystko w porządku.

Jeszcze dwa razy niewiele brakowało, by znów opanowały go ataki śmiechu, ale stłumił je rozpaczliwym wysiłkiem woli.

Czerwona tarcza słońca uniosła się na wysokość swojej podwójnej średnicy nad wzgórzami, gdy Krugłow mógł już samodzielnie obrócić się w wodzie. Od tej chwili jego stan poprawiał się coraz szybciej. Wkrótce mógł już poruszać zranioną ręką — początkowo w wodzie, potem w powietrzu. Rana zablizniała się, purpurowa opuchlizna zniknęła, ginęła nieomal w oczach. W południe wyszli z jeziora.

Parra i Krugłow z niedowierzaniem przyglądali się nierównej szramie na delikatnej, białej skórze ramienia, skórze, która nie zaznała jeszcze działania słońca ani wiatru i od razu zaczerwieniła się lekko pod wpływem padających pionowo promieni Nerimy II, równie palących jak promienie Słońca na Ziemi.

— A gdzie koszula? — zaniepokoił się Krugłow. — Przecież spiekę się na amen.

Parra uroczyście podał mu okrwawione strzępy.

— Noś na zdrowie.

— Proszę, proszę! — zdziwił się Krugłow. — Zachowałeś! A więc twierdzisz, że to koszula? Nie pamiętasz, gdzie tu jest kołnierzyk?

— Za dużo ode mnie wymagasz — odparł Parra. — Nie pamiętam.

I wspaniałomyślnie zaproponował:

— Jeżeli uważasz, że kołnierzyk jest niezbędny, mogę ci oddać swój. Jest stosunkowo czysty, choć nie wyprasowany. Tylko pospiesz się, jeśli łaska. Możemy spóźnić się na lunch.

Zaczynali znów być takimi, jakimi znano ich w Stacji, jakimi znali się nawzajem.

— Rzeczywiście, czas na nas — odparł Krugłow, tym razem poważnie. — Nie wiadomo jaki spacerek nas jeszcze czeka. Nie mamy już rakiet?

— Nie — pokręcił głową Parra.

— Szkoda. — Zafrasowany Krugłow zmarszczył brwi. — Dobrze by było... Choćby w jakiejś krańcowej sytuacji... A zresztą, mniejsza o to. I tak dojdziemy.

— Dojdziemy — przytaknęła Parra.

Weszli już między krzewy, gdy Krugłow zatrzymał się nagle.

— Poczekaj! Słuchaj, żebyśmy tylko nie zgubili tego jeziorka. Przecież nikt nam nie uwierzy na słowo. Myślałby kto, jezioro z żywą wodą!

— Nie bój się — odpowiedział Parra — nie przepadnie. Znajdziemy. Dojdziemy do Stacji i wrócimy transporterami.

— Był taki zwyczaj — rzekł w rozmarzeniu Krugłow. — Jeżeli ktoś chciał wrócić do morza, rzeki, fontanny, wrzucał na pamiątkę monetę. Wierzysz w to?

— Bo ja wiem? — przyznał się uczciwie Parra. — Chyba nie wierzę. A masz monetę?

— Skąd? Przecież nie jestem numizmatykiem. A zresztą, gdzie można by zdobyć monetę? Chyba tylko na Ziemi... Mam coś lepszego. Popatrz!

Krugłow rozpiął ocalałą jakimś cudem kieszonkę koszuli i wyciągnął połyskujące, stalowe kółeczko.

— Co to takiego?

— Kółko od pasów bezpieczeństwa. Sam nie wiem, po co podniosłem je koło leja po flajerze.

Parra pokręcił kółko w palcach i oddał je Krugłowowi.

— Bzdura, przesady — powiedział. — Ale rzuć. Gdyby nie to jezioro...

— Gdyby nie jezioro... — powtórzył jak echo Krugłow i cisnął kółeczko na środek.

Po raz ostatni błysnął w słońcu metal i zniknął w ciemnej wodzie. Ludzie stali — przez chwilę na brzegu i poszli wybraną drogą.

Jeszcze raz minęli łańcuch pagórków i znów wyszli na pustynię. Następnego dnia napotkali transporter z ratownikami.

* * *

Na miękkim, mulistym dnie leżał wrzucony przez Krugłowa kawałek żelaza. Fale wywołane jego upadkiem dawno już się wygładziły. Czarna tafla znów była nieruchoma, ale pod jej powierzchnią powstawała nowa fala — niewidzialna, śmiertcionośna fala zniszczenia. Kółeczko nie zaczęło jeszcze rdzewieć, lecz miriady życiodajnych bakterii, których unikalna kultura przez tysiąclecia ewoluowała w zamkniętej przestrzeni jeziora, ginęły stykając się z metalem. Ich szczątki zatrwały wodę naokoło i stawały się przyczyną śmierci milionów innych, a te zaś — następnych.

Wszystko skończyło się szybko i niepostrzeżenie.

Szosa przecinała pustynię prawie w linii prostej. Dopiero koło wzgórz zakrecała raptownie i zniknęła w tunelu wydrążonym w miękkim piaskowcu. Samochód zahamował przed zakrętem i mężczyzna oderwał się od swych rozmyślań, by po raz pierwszy od dwóch godzin spojrzeć na drogę.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— W Dolinie Jeziora Życia — odparła kobieta siedząca przy kierownicy. — Jeszcze nigdy tu nie byłam. Mówią, że to bardzo piękny zakątek. Zatrzymamy się?

Mimo wszystko powinienem był ją przekonać, żebyśmy poleciali flajerem, pomyślał mężczyzna, lecz głośno powiedział:

— Oczywiście. Jeżeli masz ochotę.

Samochód ruszył teraz bardzo wolno i minawszy jeszcze jeden zakręt, zatrzymał się na platformie

widokowej.

— Jaka czarna woda — powiedziała kobieta. — Niesamowite wrażenie.

— Na dnie zalega gruba warstwa mułu — flegmatycznie wyjaśnił mężczyzna — a samo jeziorko jest płytkie. Wszystko razem daje taki właśnie efekt. W gruncie rzeczy to prawie błoto.

— Ale dlaczego nazywa się Jezioro Życia? Wiesz?

Mężczyzna ze zniecierpliwieniem wzruszył lekko ramionami.

— Wśród zwiadowców krążyła legenda, że to jeziorko jakoby błyskawicznie zablizniało rany, wskrzeszało z martwych i tak dalej... Dość popularny przesąd w środowisku desantowców.

Oczywiście tutejsze borowiny mają pewne właściwości lecznicze, ale nie są czymś szczególnym.

— Ja słyszałam co innego — powiedziała kobieta. — Że w tej dolinie były kiedyś źródła bogate w sole mineralne. Woda z tych źródeł zbierała się w jeziorka. Oczywiście nie w tym. Stymulowały one regenerację żywych tkanek. Dopiero po trzęsieniu ziemi źródła wyschły. Powiadają, że było to dawno, zanim na planecie pojawili się ludzie. Jeszcze przed pierwszym desantem.

— Być może — obojętnie zgodził się mężczyzna. — Mimo wszystko powinniśmy byli lecieć flajerem.

— Tak, tak — kobieta zaczęła się spieszyć.

— Jezioro Życia — powtórzyła już w samochodzie. — Piękne marzenie!

— Bajka — mruknął mężczyzna, zapadając w drzemkę.

Przełożył Sławomir Kędziński

Podziomka

Metro

Życie metra toczyło się wedle własnych praw, była w nim własna, narzucona przez elektronicznego władkę miarowość, która nikogo szczególnie nie zachwycała, ale też i nie dziwiła, bo wydawała się powszednią koniecznością, podobnie jak i cała reszta, którą ludzie kiedykolwiek dla siebie wynaleźli, wynaleźli solidnie, mądrze, otwierając rozległe perspektywy nieustannego doskonalenia, przekonani o tym, iż kontynuują dzieło Wyzwolenia — a owe prawa, owe co do minuty na wiele lat naprzód wyliczone przejazdy, ów ruch porywający, dające się weń bez szemrania wciągnąć, miliony istnień ludzkich, już nie były przywilejem wybranych, bo metro, wykluczwszy prawo wyboru, zespoliło swoje życie z życiem ludzi, których już od dawna nie sposób było sobie wyobrazić bez jasno oświetlonych stacji, bez przetaczającego się łoskotu pociągów, bez niskich błękitnych wagonów z ogromnymi oknami, z których wyglądają szeregi miękkich, wygodnych foteli porozdzielanych od siebie rozkładanymi stolikami... pociągi biegną jeden za drugim, co minutę z tunelu wynurza się obwieszone reflektorami elektryczne pudełko, co minutę rozsuwają się dwuskrzydłowe drzwi, cześć, mówią ci bywalcy twojego wagonu, cześć, odpowiadasz, przyjemnej jazdy, no jasne, oczywiście, inaczej teraz nikt już nie jeździ i w ogóle teraz jeżdżą wszyscy, rzucasz się na swój fotel i naciskasz guzik na niewielkim pulpicie wmontowanym w poręcz, dokładnie za trzy i pół godziny rozlegnie się sygnał ostrzegawczy i nie pozwoli ci przegapić twojego przystanku, tak że nikt w wagonie się tym nie martwi, a wolnych miejsc jest coraz więcej, więc ściskasz ręce sąsiadów, cześć, cześć, przyjemnej jazdy, zobaczymy, czym też dzisiaj rozerwie nas telewizja — i wyciągamy się w fotelach, na pół leżymy, bo tak najwygodniej jest obserwować ogromny ekran, na którym już coś się dzieje, jacyś faceci skaczą z pokładu płonącego okrętu do wody, woda jest zielonkawa, pienista, trzaskają strzały, zabici padają, a ci, którzy jeszcze mogą się jakoś ruszać, starają się skakać do wody nogami naprzód, bo to chyba bardzo boli, kiedy się z wysoka wpadnie do wody na brzuch lub bok, ale możesz się tego jedynie domyślać, bo przecież nigdy nie pływałeś okrętem, nigdy z niego nie skakałeś, tak samo jak i wszyscy twoi sąsiedzi, żujący kanapki i gapiący się jak zaczarowani w ekran, niemal na pewno nigdy w niczym podobnym nie brali udziału, bo wszyscy urodziliśmy się i pomrzemy w metrze, nie mamy innego wyjścia, innej drogi, jak ta, co prowadzi nas długimi tunelami przejść biorących początek na dolnych kondygnacjach naszych domów i wiodących do przystanków metra, takie same tunele wsysają nas do metra z przedsiębiorstw, w których pracujemy... każdy z nas gdzie indziej wsiada i wysiada, gdzie indziej pracuje, ale to nic nie znaczy, gdyż dzień w dzień spotykamy się w tych wagonach i te wagony dzielą nasze życie na trzy niemal równe części: praca, sen, przejazd, trzy i pół godziny jazdy w jedną stronę, tyle samo z powrotem i jeszcze zostaje parę minut na to, żeby trochę rozprostować nogi, przejść tunelem do windy, zjeść z żoną kolację, powiedzieć jej dobranoc, bo nic więcej nie ma się jej do powiedzenia i to powtarza się codziennie, gdyż święta mało różnią się od dni powszednich, to samo metro, które zamiast do podziemnych hal fabrycznych dowozi cię na jakieś zwariowane imprezy, rozrywkowe występy, gdzie człowiek, podobnie jak w hali fabrycznej, zapomina na te parę godzin o wszystkim, a potem, jakby budząc się

ze snu, znowu spieszy do swojego wagonu i nic go już nie obchodzi, że jakiś facet, który w czterdzieści minut po nim wsiadł do wagonu, dokładnie w czterdzieści minut po nim z niego wysiadzie, już go nie dziwi, że w wagonach nie wiedzieć czemu rzadko kiedy chce się spać, zresztą może po prostu zbyt głośno gra telewizor, że automaty wydające śniadania stoją nie używane, że praktycznie nikt z nikim nie rozmawia, że mało kto bierze do ręki coś ze stert czasopism i książek leżących na stolikach, tylko w równych odstępach czasu pojawia się steward i proponuje drukowane nowości, prospekty reklamowe, a jeśli pociąg wiezie cię z fabryki do domu, jeśli czeka cię krótkie spotkanie z żoną, rozłoży przed tobą luksusowe, znakomicie ilustrowane foldery, gdzie mnóstwo kobiet i mężczyzn z zapamiętaniem uprawia znaną ci doskonale, ale już cię nużącą grę, i nagle zapragniesz, żeby zabiegi stewarda nie okazały się daremne, bo przecież ten facet też jest na służbie i spędza w metrze nie siedem godzin na dobę, jak większość z nas, tylko dwa razy dłużej, bo do stacji wyjściowej jedzie wcale nie krócej niż ty do swojej fabryki, gdzie jednak masz pewną zmianę, kiedy staniesz przy maszynie, a steward przez cały ten czas pozostaje w wagonach pociągu... dlatego masz wielką ochotę zrobić mu przyjemność, z uśmiechem wysłuchujesz jego niezdatnych dowcipów i, jeśli dzieje się to w czasie drogi do domu, zamawiasz kieliszeczek koniaku, drugi, trzeci, dopóki foldery, koniak i pikantne historyjki wyuczona na pamięć przez stewarda tak cię nie rozmarzą, że znów nie musisz o niczym myśleć i tylko czekasz, kiedy znajdziesz się w swoim mieszkaniu sam na sam z żoną, a następnego ranka spieszysz się na przystanek metra, spóźnić się nie wolno, bo inaczej przeniosą cię do innej pracy, więc dziarsko maszerujesz peronem, starając się ustawić tak, żeby podjeżdżający właśnie wagon otworzył drzwi akurat naprzeciw ciebie, cześć, cześć, odpowiadasz, podając rękę sąsiadom, no jasne, oczywiście, nikt już dziś inaczej nie jeździ, a jeżdżą wszyscy bez wyjątku, na ekranie galopują strzelający w biegu jeźdźcy lub ktoś wbija drewniany kołek w pierś potwora, żeby zabić w nim wampira, albo wypacykowana lalunia, najwyraźniej przeciągając scenę, bez pośpiechu zdejmując z siebie szatki, a z jej oczu wyraźnie widać, że po skończeniu zdjęć ona też, podobnie jak my wszyscy, ruszy długim tunelem, który jest tak zbudowany, aby pasażer znalazł się na peronie tuż przed przyjazdem swojego wagonu, cześć, cześć, przyjemnej jazdy, no jasne, nikt już dzisiaj inaczej nie jeździ i pasażerowie milkną, czekają na stewarda, coś oglądają, czytają, może nawet o czymś myślą, ale jeśli nawet myślą, to bez szczególnego napięcia, na luzie, o nic się nie martwiąc i czując w sobie gotowość do urwania swojej myśli bez żalu i zamiaru jej kontynuowania, bo to było to samo, co poruszanie palcami nóg tylko dlatego, że się je ma, z rzadka zaczynają rozmawiać o lokalizacji swojej fabryki, że jednak mieści się trochę za daleko, trzy i pół godziny drogi metrem, daleko, fakt, ale nic się na to nie da poradzić, Prawo jest Prawem, a Prawo zabrania zawierać pracodawcom kontraktów z mieszkańcami własnego regionu, mogą przyjąć do pracy tylko mieszkających w odległości co najmniej trzech godzin jazdy metrem i nic się z pewnością nie da na to poradzić, bo istnieje Prawo, a jego pogwałcenie karane jest zbyt surowo, żeby ktokolwiek z nas mógł się na to zdecydować, a zresztą wcale nam to nie jest potrzebne i nic nam to nie daje, bo żaden z nas i tak by nie wiedział, co ze sobą zrobić, gdyby nastąpiła jakakolwiek zmiana... i miejsce pracy też nam wybrały komputery, i wierzymy w mądrość ich decyzji, ponieważ nie mamy nic innego do wierzenia, nic innego nam nie dano, wagon pędzi przez mrok, za oknami migają rury niewyraźnie oświetlone lampami sygnalizacyjnymi, nie kończące się zwoje kabli przyssane do szorstkich ścian, a na ekranie już zmieniły się dekoracje, już inni ludzie zajmują się innymi sprawami, ale i tak robią to zbyt głośno, żeby dało się zdrzemnąć, i ktoś z tylnych rzędów foteli zaczyna wrzeszczeć, żeby wyrzucić ten przeklęty telewizor, ale czy w ogóle warto zwracać na to uwagę, kiedy co i rusz wybuchają podobne żądania, które nic nie znaczą, bo pasażerowie traktują je wyłącznie jako nową rozrywkę, odmianę w monotonii jazdy, a krzykacz zrywa się z miejsca, podbiega do ekranu i zaczyna walić ręką w

migotliwy obrazek, hej, przyjacielu, starają się przemówić do rozsądku, daj spokój, bo narobisz sobie tylko masę kłopotów, ale on jakby się wściekł, ryczy z wytrzeszczonymi ślepiami i już nikt nie ma wątpliwości, że facet zwariował, szkoda, niezły był chłopak, a on rzuca czymś ciężkim, ekran rozpryskuje się i gaśnie, faceta wciskają za ramiona w fotel i tak trzymają do czasu, aż wagon nieruchomieje na kolejnej stacji, gdzie ludzie w mundurach wbiegają do środka i w milczeniu, bez zbędnej krzątaniny zabierają się do roboty: wagon jeszcze porządnie nie nabrał szybkości, a trzech mundurowi już demontują rozbity kineskop, wydobywają z kartonu nowy, dwaj zajmują się awanturnikiem, sprawdzanie dokumentów, przesłuchanie świadków, protokołów, widać, że znają się na robocie — i na następnej stacji znikają, zabierając ze sobą przestępcę i rozbity kineskop — telewizor znów gra, w przejściu pojawia się steward, odnotowuje na diagramie numer zwolnionego fotela i za jakieś dwa, trzy dni zamiast szalejącego chłopaka będzie w nim siadał jakiś nieznajomy, który nieznajomym będzie bardzo niedługo i dlatego twarz tego chłopaka zatrze się w pamięci, podobnie jak zatarły się w pamięci twarze tych wszystkich, których los podzielił, chociaż każdy z nas pewnie sobie pomyślał: cholerny świat, ciekawe, czy ja potrafiłbym tak samo, przecież w tym nie ma nic trudnego, wystarczy wstać i rąbnąć w ekran czymś ciężkim, i każdy natychmiast postarał się zdławić w sobie tę myśl, co nie było trudne, bo wystarczyło sobie tylko wyobrazić, jak źle jest bez telewizora, i popatrzeć, jak dobrze działa nowy kineskop, jak świetnie pokazuje dzisiejszy wesoły program, o, czas już na mnie, do widzenia panom, życzę przyjemnej pracy, cześć, chłopaki, i po jednym zaczynamy odklejać się od naszych foteli, a życie metra trwa nadal, nadal trwa nasze życie, ile tak komu los przeznaczył, i niczym we mgle żyjesz do dnia, kiedy pociąg nagle zahamuje wprost w mrocznym tunelu na dwie mile przed stacją i pasażerowie być może po raz pierwszy w życiu poczną jakiś niejasny niepokój, który każe im zająrzeć sobie nawzajem w oczy i ujrzeć w oczach bliźniego swój własny strach, a drzwi, które otwierają się jedynie na stacjach, nagle przesuną się w swoich prowadnicach i wagon wypełni się zimnym podziemnym wiatrem, i wszyscy naraz zaczną mówić o awarii, no cóż, to się zdarza, jakieś drobne zacięcie w układzie sterowniczym i już jakiś pociąg wbił się w ostatni wagon stojącego na torach składu, to przykry wypadek, ale wszyscy otrzymają talony z wyszczególnieniem czasu, miejsca i powodów spóźnienia, a kierownictwo zakładów to uwzględni i nikt z nas nie będzie ukarany, ale ciebie dosłownie na wskroś przenika ten kłujący podziemny wiatr, rozdmuchuje w tobie krzyk przerażenia, chociaż sam nie masz pojęcia, skąd się w tobie ten krzyk bierze, na czym wyrósł twój strach i od czego nabrał takiej miażdżącej siły, to w takiej chwili najważniejsze dla ciebie jest uciec przed czarnym podziemnym strumieniem zalewającym wagon i skorupę twojego fotela, ale ponieważ nie można uciec przed tym jadowitym wiatrem, to swoje zaćmienie rzucasz w drzwi, rozpuszczasz je w zaćmieniu tunelu i nie zwracając uwagi na ostrzegawcze krzyki biegniesz w wąskiej przestrzeni między wagonami a groźnie huczącą ścianą, wykręcasz nogi na progach podkładów, ale twój strach chroni cię przed upadkiem, więc biegniesz, dławiąc się tym niezwykłym stanem, któremu dobrowolnie oddałeś swoje sflaczałe od siedzenia w fotelu ciało, a wiatr wyje, wiruje wokół ciebie i nie wiadomo, czy odpycha cię do tyłu, czy też na odwrót — pomaga przyciskając się do pleców, a pociągi ustawiły się w jedną, poprzecinaną krótkimi przerwami przestrzenną linię, rozświetloną od środka kwadratami okien, wypełniły nieruchomym metalowym farszem rurę tunelu, same wypełnione ludzkimi ciałami i strachem, więc uciekasz gdzieś w bok od nich, nieświadomie skazując siebie na spopielający ogień wysokonapięciowych przewodów, ujętych w rurki izolatorów, ale ściana nieoczekiwanie ustępuje, przepuszcza cię i teraz pędzisz przez czarną noc podziemia, nie zwalniasz, lecz przyspieszasz jeszcze kroku, żeby wszystko, co jest ci sążone u granic tego szaleństwa, dokonało się w mgnieniu oka, coraz głębiej i głębiej wciąga cię zagadkowe, nieprzewyciężone przyciąganie Ziemi, ale nagle,

potknąwszy się, przerywasz swój bieg, nieruchomiejesz, sięgasz rękami w pustkę i już niepewnie, kołysząc się na boki ruszasz dalej i wpadasz na śliską w dotyku przegrodę, to ślepy tor, rany boskie, to czarna pułapka wyłożona marmurowymi płytami, palce gładzą polerowaną powierzchnię kamienia, wymacują ledwie wyczuwalne linie styków, dalej, dalej, rozkazujesz sobie, słyszysz swój zwycięski okrzyk i ta ściana również cię przepuszcza, w nogi boleśnie wrzynają się ostre krawędzie schodów, które prowadzą cię do góry i już zaplątałeś się w plątanie czasu, zaplątałeś się i już nie wiesz, ile godzin, dni, lat pełniesz po tych schodach, poraniony, z bolesnym poczuciem bliskości i niedostępności kryjącego się gdzieś opodal ratunku i kiedy stopnie ustępują miejsca gładkiej marmurowej platformie, twój strach, wypierany dotychczas wysiłkiem fizycznym, znów się zwala na ciebie, gdyż oczy twoje ujrzały niebieski bezdenny przestwór usiany bezlikiem maleńkich migotliwych iskerek, twoja twarz wyczula dotyk ciepłe—go nieznanego wiatru, który dobiegał z dalekiej głębi tej niezmierzonej, przejrzystej przestrzeni, otwiera się przed tobą równina, tchnąca oszałamiającą, nasilającą twój strach mieszaniną zapachów, zapachy też wydały ci się ciepłe i delikatne, niewyraźne sylwetki jakichś budowli wznosiły się nad równo zakreśloną linią horyzontu, więc zacząłeś się bojaźliwie rozglądać, czując się bezbronny i nagi wśród tego bezmiaru, a dokoła nic się nie zmieniało, powietrze uderzało ci do głowy jak koniak, chciało ci się krzyczeć i płakać, upaść przed tym ogromnym światem i już nie wstawać, nie widzieć jego niebieskiego, delikatnego, straszliwego oblicza, i wtedy znów zerwałeś się do biegu, biegłeś ku sylwetkom budowli, pytałeś siebie, co oznaczają te budynki, czy to jest to miasto, w którym urodziłeś się i przeżyłeś wszystkie te lata, ale w biegu pogubiłeś całą swoją dotychczasową wiedzę i jasność sądu, nie mogłeś pomieścić w sobie podniebnego kraju, a on, wtargnąwszy do ciebie, zmiażdżył twoje serce, i wszystko, co widziałeś, słyszałeś i czułeś stało się teraz twoim śmiertelnym wrogiem, ratunku, krzyczałeś, a kto mógł cię usłyszeć na tym baśniowym bezludziu, wkrótce zgubiłeś dziurę, przez którą wypełzłeś na powierzchnię planety i teraz jedynym punktem orientacyjnym Były dla ciebie ogromne, tak odległe od ciebie budowle, uciekaj, uciekaj, ponaglałeś siebie, a dźwięk głosu uderzał w twoje ciało i odskakiwał, aż wreszcie potracił najwyższą strunę, a wtedy zatrzymałeś się i nadstawiłeś ucha, to był głos ludzki i w tym momencie oślepień i ogłuchleń, chwyciły cię czyjeś ręce i znalazłeś się w pobliżu żółtego rozkołysanego płomienia, ognisko przypominało ten stojący w ogniu okręt czy statek, z którego sypali się do wody ustrzeleni bandyci, ale ludzie, którzy cię otoczyli, byli spokojni, żaden z nich nie zamierzał strzelać ani gdziekolwiek skakać, przyglądali się tobie ze spokojnym współczuciem, ktoś masował ci nogę, ktoś podał ci szklanekę, cześć, powiedzieli, cześć, odpowiedziałeś słabym głosem, no nic, najważniejsze, że złapałeś oddech, gnałeś tak, że nie mogliśmy cię dopędzić, kim jesteście, my to my, popatrz, wszyscy tu jesteśmy przed tobą, czego ode mnie chcecie, wykrzykniesz i nagle robi ci się gorąco przy ich ognisku, nieznośnie gorąco i zaczniesz mamrotać pod nosem: słyszałem o was, znam was, pasożytów, gwałcicieli Prawa ścigają po całej Ziemi, wyłapują i rozstrzelują na miejscu, ale oni tylko wybuchną śmiechem i zapytają, kto wyłapuje, policja, rzucisz im w twarz z nienawiścią i rozpaczą, was też wyłapią i rozstrzelają do nogi, daj spokój, zaczną przemawiać ci do rozsądku, żadnej policji tu nie ma, wylazłeś na wolność, to żyj sobie, możesz zostać z nami, bo miejsca na tym terenie wystarczy dla wszystkich, ale ty nie uwierzysz właścicielom ogniska, policja, wykrzykniesz pełnym głosem, policja. Prawo, policja, a oni już nie będą się śmiać, tylko ze współczuciem pokiwiają nad tobą głowami, słuchaj, co się do ciebie mówi, idioto, o niczym nie masz pojęcia, policja też jeździ metrem, za dobrze mieliby w policji, gdyby mogli oddychać świeżym powietrzem — ale ty, przemagając ból w stawach, zerwiesz się na równe nogi — odepchniesz któregoś z nich, nikt za tobą nie popędzi i nie usłyszysz słów rzuconych ci w ślad, i już bez strachu i rozpacz, pewny ratunku zobaczysz, jak wyrastają, piętrzą się

nad tobą szare zwały budynków bez jednego okna, gmachów, które za to z dolnych kondygnacji wypuszczają długie rury, ciągnące się niczym cienutkie naczynka ku żyłom i tętnicom metra, zasilające je szybko wysychającą ludzką krwią, i ty niczym modlitwą do czarnego twego boga zaczniesz bez ustanku powtarzać: tylko dziesięć minut, dziesięć w tę i dziesięć z powrotem, za to spóźnienie odliczą mi dziesięć minut, tylko dziesięć minut...

Przełożył Tadeusz Gosk

Noty o autorach

ANDRIEJ BAŁABUCHA (ur. w 1947 r. w Leningradzie)

Topograf z wykształcenia, pracuje jako inżynier projektant. Napisał wiele artykułów i recenzji o literaturze fantastycznonaukowej. Jest autorem licznych opowiadań SF publikowanych w czasopiśmie, antologiach i almanachach. W 1983 r. ukazał się jego zbiór nowel *Ludi korablej*, a w 1986 r. powieść *Neptunowaja arfa*.

Opowiadanie „Temat dysertacji” pochodzi z almanachu *Fantastika 81*.

DYMITR BILENKIN (ur. w 1939 r.)

Ukończył w 1958 roku Wydział Geologii Uniwersytetu Moskiewskiego. Brał udział w ekspedycjach geologicznych w Azji Środkowej i na Zabajkału. Od 1959 do 1967 roku pracował w redakcji *Komsomolskiej prawdy* jako korespondent i kierownik działu nauki. W latach 1967–1979 był redaktorem naukowym w miesięczniku *Wokrug swieta*. Ostatnio zajmuje się wyłącznie pracą literacką. Jest członkiem Związku Pisarzy ZSRR.

W fantastyce naukowej debiutował w 1958 roku. Pierwszy wybór opowiadań — *Marsjanskij priboj* — ukazał się w 1967 roku. Wiele utworów Bilenkina ukazywało się w czasopiśmie, antologiach i almanachach. Opublikował także zbiory opowiadań *Nocz' komrabandoj* 1971, *Prowierka na razumr.ost'* 1974, *Sniega Olimpa* 1980. Ostatnio opublikował krótką powieść *Pustynia żizni* 1984, nowelę *Sila silnych* 1985 i zbiór opowiadań *Lico w tolpie* 1985.

Jego opowiadania w przekładzie na język polski ukazały się w almanachu „Kroki w nieznane” (w t. 1 1970 „Dzień, w którym zjawiała się żyrafa”, w t. 3 1972 „Miasto i wilk”, w t. 4 1973 „Cyrograf”, serii „Stało się jutro” oraz czasopiśmie (Problemy, Fantastyka). Dziewiąty zeszyt i cyklu SF „Is kier” to tytułowa nowela „Desant na Merkurego” 1984, a 11 zeszyt tego cyklu to wybór opowiadań pt. „Czarny Olbrzym” 1985.

DYMITR DE-SPILLER (ur. w 1938 r.)

Matematyk z wykształcenia. Mieszka w Moskwie. Debiutował w fantastyce opowiadaniem *Udiwitietnyj Igwi* opublikowanym w miesięczniku *Tiechnika molodioży* w 1967 roku. Tam też, w nr. 11/78, ukazało się opowiadanie „Mylący wygląd”. Wiele jego utworów było drukowanych w czasopiśmie i almanachach. W 1981 roku ukazał się tomik opowiadań *Pojuszczije skaty*.

ALEKSANDER GORBOWSKI (ur. w 1930 r.)

Z wykształcenia jest hindologiem. Mieszka w Moskwie. Pracuje w Akademii Nauk ZSRR. Napisał wiele prac naukowych z zakresu historii i historii sztuki.

W fantastyce naukowej debiutował w 1964 roku. Swoje opowiadania drukował w czasopiśmie i almanachach SF.

Opowiadanie „Koincydencja” ukazało się w czasopiśmie *Nauczna ja fantastika* nr 11/72.

ASKOLD JAKUBOWSKI (ur. w 1927 r. w Nowosybirsku — zm. w 1983 r.) Przez wiele lat pracował jako topograf. Pasjonował się myślistwem, badaniem przyrody i fotografią. Praca i zainteresowania Askolda Jakubowskiego znalazły odbicie w jego powieściach i opowiadaniach.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych zainteresował się również fantastyką naukową. Publikował w czasopismach i almanachach. Wydał również powieść *Argus-12* 1972 oraz zbiór opowiadań *Kupol Galaktiki* 1976. „Głosy w nocy” ukazały się w tomie pod tym samym tytułem (*Golosa w noczi*) w 1976 r.

JURIJ JAROWOJ (ur. w 1933 r. w Leningradzie)

Ukończył Uniwersytet w Swierdłowsku. Literat, członek Związku Pisarzy ZSRR. Mieszka i pracuje w Swierdłowsku. W fantastyce debiutował w 1978 roku. Kilka jego opowiadań zamieszczonych było w almanachach fantastycznonaukowych, w *Fantastice* 78 „Kryształowy dom”.

WIKTOR KOŁUPAJEW (ur. w 1936 r. w Ałdanie)

Mieszka w Tomsku. W 1961 roku ukończył Wydział Radiotechniczny Politechniki w Tomsku. Pracował w laboratorium bioniki Syberyjskiego Instytutu Fizyczno—Technicznego. Jest członkiem Związku Pisarzy ZSRR.

Pierwsze opowiadanie SF, *Bilet w dietstwo*, opublikował w 1969 roku w miesięczniku *Wokrug swieta*. Swe pełne liryzmu krótkie formy literackie drukował w czasopismach, almanachach i antologiach. Pierwszy zbiorek utworów, *Sluczysia że s czelowiekom takoje*, skąd pochodzi opowiadanie „Kiosk z gazetami”, wydał w 1972 roku. Następnie ukazały się zbiory opowiadań i nowel *Kaczeli otszelnika* 1974, *Bilet w dietstwo* 1977 oraz *Siedmaja model’* 1985. Jest również autorem wysoko ocenionej przez krytykę powieści SF *Firmiennyj pojezd* „Fomicz” 1979.

O. KRYWICZ (ur. w 1938 r. w Moskwie)

Pseudonim literacki Michaiła Gurewicza. Z wykształcenia jest inżynierem chemikiem. Pracuje jako dziennikarz w czasopiśmie *Chimija i żizń*, gdzie w 1982 r. ukazało się opowiadanie „Synteza PSA”. Jest autorem szeregu książek dla dzieci. Swoje opowiadania SF drukuje w czasopismach i almanachach.

FELIKS KRIWIN (ur. 1928 r.)

Ukończył Kijowski Instytut Pedagogiczny. Mieszka w Użgorodzie. Prozaik, w literaturze SF występuje sporadycznie. Członek Związku Pisarzy ZSRR.

Nowela „Wynalazca wieczności” pochodzi z tomu pod tym samym tytułem (wydanie polskie 1978).

BORYS ŁAPIN (ur. w 1934 r.)

Ukończył Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Irkucku. Przez dwadzieścia lat był związany z dokumentalistyką filmową.

Jest pisarzem, który w twórczości swojej podejmuje różnorodną tematykę, chętnie i często sięga do fantastyki. Wiele jego utworów SF publikowano w syberyjskich oraz moskiewskich czasopismach i antologiach. W 1976 r. ukazał się jego zbiór opowiadań *Zielonyj pojezd*, skąd pochodzi „Kongres”, a w 1978 r. zbiór *Pod szastliwoj zwiezdoj*.

WŁADIMIR MAŁOW (ur. w 1947 r.)

Mieszka w Moskwie. Z wykształcenia dziennikarz, pracuje w miesięczniku *Junnyj tiechnik*.

Zadebiutował w 1968 roku. Swoje opowiadania SF i artykuły popularnonaukowe publikuje w czasopismach i almanachach, m.in. opowiadanie „Ten, który powróci” ukazało się w miesięczniku *Iskatiel* 4/1980.

ANDRIEJ PIECZENIEŻSKI (ur. w 1955 r.)

Mieszka w Charkowie, pracuje w biurze konstrukcyjno—projektowym jako projektant artystyczny. Opowiadanie „Metro”, prezentowane w tym tomie, jest debiutem A. Pieczeńieżskiego. Ukazało się w 26 tomie almanachu *Naucznaja fantastika* w 1982 roku. Publikuje w czasopismach i almanachach.

WALERIJ POLISZCZUK (ur. w 1942 r. w Kunguri na Uralu)

Ukończył Instytut Technologiczny w Leningradzie. Kandydat nauk chemicznych. Obecnie mieszka w Moskwie i pracuje w czasopiśmie *Chimija i żiżń*.

Jest autorem wielu książek popularnonaukowych. Opowiadania SF zaczął publikować w czasopismach w roku 1982. „Sens 54” pochodzi z nr. 2/82 dwumiesięcznika *Chimija i żiżń*.

MICHAŁ PUCHOW (ur. w 1944 r.)

Mieszka w Moskwie. Ukończył Moskiewski Instytut Fizyczno—Techniczny. Do 1972 roku pracował w jednym z moskiewskich instytutów naukowo—badawczych, obecnie jest kierownikiem działu fantastyki naukowej w miesięczniku *Tiechnika molodioży*.

Zadebiutował w 1968 roku opowiadaniem *Ochotniczaja ekspedycja*. Jego utwory ukazują się w czasopismach i almanachach SF. Wydał dwa tomy opowiadań fantastycznonaukowych: *Kartinnaja galierieja* 1977 i *Zwiedznyje dożdi* 1982.

Jego opowiadania na języki polski ukazywały się w czasopismach i almanachu „Kroki w nieznanie”.

„Nasiona zła” drukowane były w dwumiesięczniku *Iskatiel* 3/1981

BORYS RUDENKO (ur. w 1950 r.)

Mieszka w Moskwie, gdzie ukończył Instytut Drogowy. Zadebiutował w 1978 roku. Jest autorem wielu opowiadań fantastycznonaukowych drukowanych w czasopismach i almanachach. Opowiadanie „Jezioro” zaczerpnięto z nr. 22 *Sbornika naucznoj fantastiki*.

ALEKSANDER SZCZERBAKOW (ur. w 1945 r.)

Mieszka i pracuje w Leningradzie. Jest inżynierem z wykształcenia. Pisze poezje i zajmuje się pracą przekładową.

W 1976 roku zadebiutował w literaturze fantastycznonaukowej nowelą *Żmij*. Wiele jego opowiadań drukowanych było w czasopismach i almanachach SF, m.in. w almanachu *Fantastika 79* opowiadanie „Złoty sześcian”.

WŁADIMIR SZCZERBAKOW (ur. w 1938 r. w Moskwie)

Ukończył szkołę średnią w miejscowości Mjakit na Dalekim Wschodzie. Absolwent Wydziału Radiotechnicznego Instytutu Energetycznego w Moskwie. Do 1976 roku kierował laboratorium naukowo—badawczym. Od 1976 pracuje jako dziennikarz, m.in. był zastępcą redaktora naczelnego miesięcznika *Tiechnika molodioży*.

Pierwsze opowiadanie fantastycznonaukowe opublikował w 1964 roku. Za utwór *Priamoje dokazatielstwo* otrzymał w 1968 roku nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Młodych Pisarzy Science Fiction krajów socjalistycznych w Warszawie. W 1977 roku wyróżniony został Wszechzwiązkową Nagrodą im. Mikołaja Ostrowskiego za tom opowiadań SF *Krasny/e koni*, skąd pochodzi „Bajka szkocka” 1974. W 1981 roku ukazała się jego powieść *Siem stichij*, a w 1985 r. *Czasza bur*.

WASILIJ SZUKSZYN (ur. w 1929 r. — zm. w 1974 r.) Wybitny, przedwcześnie zmarły pisarz, reżyser filmowy i aktor.

Urodził się w wiosce Srostki w Kraju Ałtajskim. Wcześniej rozpoczął samodzielne życie, pracował w kołchozie i fabryce traktorów. Po służbie w marynarce wojennej zdał maturę jako ekstern, był nauczycielem i dyrektorem szkoły. W 1954 roku rozpoczął studia na wydziale reżyserii filmowej i pracę aktora filmowego. Ukończył studia w 1959 roku. Od początku lat sześćdziesiątych zaczynają ukazywać się jego liczne utwory literackie, m.in. *Lubawiny* 1965, („Rodzina Lubawinów” 1967), *Ja prziszol dat’ wam wolu* 1967 („Przyszedłem dać wam wolność” 1982). Zrealizował wiele filmów, głównie według własnych scenariuszy („Kalina czerwona”). Występował w wielu filmach S. Bondarczuka, S. Gierasimowa i własnych.

W jego twórczości wyraźnie widoczna jest doskonała znajomość wsi, tradycji i kultury ludowej. Opowiadanie „Nim trzeci kur zapieje”, które opublikowane zostało pośmiertnie (*Fantastika* 79), w nader specyficzny sposób nawiązuje zarówno do klasycznej literatury pięknej, jak i do ludowych baśni i bylin.

WALENTYNA ŻURAWŁOWA (ur. w 1933 r.)

Ukończyła studia medyczne. Mieszka w Baku. Członek Związku Pisarzy ZSRR.

Zadebiutowała w 1958 roku. Wiele jej opowiadań opublikowano w antologiach SF. Oprócz tego ukazały się m.in. *Czelowiek sozdanyj Atlantidu* 1963, a „Śnieżny most nad przepaścią” w almanachu *Mir prikliuczenij* 1969.